

LISA JACKSON

LODOWATA ŻĄDZA

- Jestem tu - powiedział do niej cicho, oczekując, że odwróci głowę, uniesie delikatne, czarne brwi i obdarzy go zapraszającym spojrzeniem. A może kiwnie na niego palcem, w milczeniu przyciągnie go bliżej, nie spuszczać z niego srebrzystozielonych oczu. Ale ona się nie poruszyła. Nie drgnął ani jeden kosmyk jej hebanowych włosów. Po prostu leżała na łóżku, wpatrując się w górę. Nie tak miało być. Zamarł. Powinna patrzeć w jego stronę. Tego właśnie chciał.

- Jenna? - zawołał cicho.

Nic. Nawet nie rzuciła mu przelotnego spojrzenia.

O co jej chodziło? Odstrojona jak cholerna dziwka, zachowywała się, jakby nie obchodziło jej, że on jest tutaj, że ta wyjątkowa noc była dla niej. Dla niego. Dla nich.

Zgrzytnął zębami, rozłoszczony jej zimną obojętnością. Czy to jakaś gra? Drażni się z nim? Co, u diabła, tutaj się dzieje?

- Jenna, spójrz na mnie - rozkazał jej cicho, niemal szeptem.

Kiedy podszedł bliżej, zdał sobie sprawę, że nie była tak doskonała jak myślał. Nie... Jej makijaż pozostawiał wiele do życzenia. Szminka była zbyt blada, cienie na powiekach ledwo widoczne. Chciał, żeby wyglądała jak dziwka. Taki był plan. Czy nie powiedział jej, że ma się wcielić w rolę prostytutki? Ale przecież jest ubrana jak prostytutka. Czy nie o tym marzył?

Cholera, nie mógł normalnie myśleć. Jego umysł nie był wystarczająco jasny. Pewnie przez te prochy... A może chodziło o coś innego? Jenna nie reagowała tak, jak chciał.

Wiedziała, co lubił.

Ale przecież zawsze była zbuntowana. Powściągliwa. Zimna. Między innymi to go w niej pociągało.

- No, dalej, skarbie - szepnął, postanawiając dać jej jeszcze jedną szansę, choć trudno mu było się skupić. Może był trochę za bardzo naszprycowany i nie dostrzegał wysyłanych przez nią sygnałów pożądania. Jego umysł był zbyt mętny, jego myśli nie do końca spójne, a żądza brała górę nad rozsądkiem. Był wewnętrznie rozedrgany, miał wrażenie, że skurczyły mu się płuca. Jego penis był twardy jak skała, napierał na rozporek.

Obliznął usta. Koniec czekania.

Ukląkł na łóżku obok niej i materac głośno zaskrzypiał.

Nadal nie chciała na niego spojrzeć.

Jenna! - powiedział ostrzejszym tonem; wzbierała w nim coraz większa złość, język kołowaciał. Jenna, spójrz na mnie!

Nawet nie drgnęła.

Co za uparta kobieta! Po tym wszystkim, co dla niej zrobił! Przez te wszystkie lata nie myślał o nikim innym poza nią! Krew zawrzała mu z gniewu i zaczęły trząść mu się ręce.

Trzeba się uspokoić! Nadal może ją mieć. W swoim łóżku. Przecież nie poszła sobie, prawda?

Jenna, jestem tu - powiedział.

Zignorowała go.

Zagotował się z wściekłości, ale próbował opanować gniew. To była jej gra. Wiedziała, że im dłużej udaje obojętność, tym bardziej będzie jej pragnął.

Jego czoło pokrywał pot, chociaż było zimno, zaledwie kilka stopni powyżej zera. Mimo to w środku był rozpalony, a krew aż się gotowała w jego żyłach.

Czy ona nie czuła tej ich intymnej więzi?

Ukląkł obok niej i drżącym palcem dotknął jej policzka. Był ciepły.

Nagle zrozumiał. Chciała, żeby myślał o niej nie jako o Jennie Hughes, nie jako o jednej z bohaterek, które grała w filmach. Czy nie była ubrana jak Paris Knowlton, prostytutka z Nowego Orleanu w *Mroku*? Czy nie chciał, żeby dziś wieczór Jenna zachowywała się jak Paris? W jednej chwili poczuł się lepiej. Gorąco, które czuł teraz w żyłach, było spowodowane raczej pożądaniem i narkotykami, a nie wściekłością.

Paris -zagruchał, dotykając czule jej ciemnych włosów. W słabym świetle skrzyły się niebieskawą czernią. - Szukałem ciebie.

Nadal żadnej odpowiedzi.

Jezu, czego ona chce? Przecież on gra swoją rolę.

- Jenna?

Nawet nie zerknęła w jego stronę. Wściekłość rozlała się po jego ciele, w uszach zaczęła huczeć krew.

- Och, rozumiem - warknął, muskając szorstko palcami jej szyję. -

Naprawdę to ci się podoba, co? Lubisz zachowywać się jak dziwka.

Usłyszał ciężkie westchnienie. Wreszcie!

Jego palce otoczyły jej gardło. Było ciepłe pod jego dotykiem. Giętkie.

Próbował wyczuć tętno. Jęk.

Z bólu czy pożądania?

- O to chodzi, prawda? Lubisz, kiedy jestem brutalny, co?

- Boże, nie! -Jej głos zdawał się dobiegać z oddali, rozbrzmiewając echem w jego głowie, odbijając się od ścian. -Nie!

Ścisnął ją jeszcze mocniej.

- Przestań! Co robisz?

Był tak twardy, że aż przechodziły go dreszcze, ale nie mógł cofnąć rąk z jej szyi, nie mógł rozpiąć rozporka. Potrząsnął nią gwałtownie.

Przerażający krzyk rozdarł pokój.

Głowa Jenny opadła do tyłu.

Kolejny krzyk przerażenia odbił się rykoszetem od krokwi, rozbrzmiewając echem w jego mózgu.

- Suka! - Wymierzył jej brutalnie policzek.

- O Boże! - zawołała z płaczem. - Nie, nie, nie!

Jej makijaż zaczął się rozmywać, rysy twarzy pod wpływem uderzenia utraciły idealność. Włosy się rozsypały, gęsta, czarna peruka spadła na pomiętą materac, odsłaniając łysinę, widoczną mimo mroku.

Westchnienie.

Jej głowa przekręcona na bok.

Tak było lepiej.

Znów uniósł rękę.

- Nie... o Boże, nie! - błagała nieruchomymi ustami. - Co robisz? – zawodziła z paniką zaciskającą jej krtań. Ale na jej twarzy nie było nawet cienia emocji.

Coś tu było nie tak, stanowczo nie tak...

- O Boże, o Boże, o Boże... proszę, przestań!

Dźwięki przerażenia i zdławione szlochy wypełniły pomieszczenie, ale z oczu Jenny nie płynęły łzy, nawet nimi nie mrugała. Jej usta nie drżały.

Ramiona się nie trzęsły. Jej ciało pozostało nieruchome...

Odchrząknął. Penis mu opadł, kiedy uświadomił sobie, gdzie jest i co robi.

Cholera!

Spojrzał w dół na Jennę Hughes i jakby nagle zaczęły go parzyć ręce, puścił ją na pomiętą, jedwabną pościel.

Jej głowa uderzyła w zagłówek łóżka.

Wrzask przerażenia rozdarł przestrzeń.

Szyja Jenny złamała się.

Jej łysa czaszka oderwała się od reszty ciała.

- O Boże, nieeeee!

Głowa z szeroko otwartymi oczami stoczyła się z materaca. Wylądowała z głuchym łomotem na betonowej podłodze. Na podłodze jego azylu. krzyki przeszły w histeryczny, okropny szloch, rozdzierający pomieszczenie, odbijający się od ścian, pełznący w górę jego kręgosłupa.

O Boże! Nie! - Jej głos wydawał się odbijać echem od dachu. A zatem potrafiła czuć. Ale nie patrzyła na niego. Coś było nie tak... stanowczo nie tak.

Na podłodze rysy jej twarzy zaczęły się rozmywać, spłaszczać. Przejaśniło mu się w głowie.

I uświadomił sobie, że jego prawie doskonałe dzieło, jego woskowata ma-iii cudownej twarzy Jenny Hughes była zniszczona. Ho nie potrafił czekać. Bo wziął za dużo pigułek.

Ho pragnął jej tak bardzo, że stracił zdolność oceny sytuacji i uderzył ją.

Idiota! - wybuchnął. - Głupiec! - Tyle pracy na nic. Taka piękna twarz!

-

Czy można ją zrekonstruować? Jeszcze przed chwilą była zupełnie jak żywa,

Teraz zamieniła się w lepką breję. Przed chwilą Michał Anioł, teraz Picasso.

Jej piękne rysy rozmyły się, tworząc kałużę wokół niewidzących, szklanych oczu.

Cofał się, odsuwając od tego bałaganu na łóżku. Nie było tam krwi.

Żadnego ciała, żadnych kości. Ocierając pot z czoła, spojrzął na zacienioną scenę, na której stało kilka manekinów. Czekwały w ciszy.

Były piękne, choć nieożywione. Repliki Jenny Hughes.

Ale ta! Ponownie spojrzął na to, co jeszcze chwilą uważał za swe arcydzieło. Zmarszczył brwi. Żałosna imitacja! Ostatnio nie mógł się skoncentrować!

- Proszę... wypuść mnie.

Podniósł się i spojrzął przez ramię w stronę mrocznego kąta, gdzie żywa kobieta, związana i naga, właśnie budziła się z narkotycznego snu. To do niej należał głos, który słyszał. I to jej krzyk pełen panicznego przerażenia przesywał powietrze.

- Proszę... - znowu zaskomlała cicho. A on uśmiechnął się, czując ponowny przypływ nadziei. Szerokie czoło, prosty nos, wysokie kości policzkowe, duże, przerażone oczy. Była farbowaną blondynką, ale kolor jej włosów nie stanowił problemu. Twarz miała niemal idealną. Uśmiechnął się szeroko, zupełnie zapominając o bałaganie na podłodze. Następną repliką Jenny Hughes będzie doskonała.

Ta żalosna istota, związana i błagająca o życie, idealnie pasowała do tego, co zamierzał uczynić.

Jego gniew ustąpił w chwili, kiedy spojrzął w jedno z okien, gdzie przez szyby sączyło się słabe światło księżycy. Na zewnętrznym parapecie topniał śnieg.

Zima odchodziła.

W powietrzu było już czuć wiosenną odwilż.

Nie miał czasu do stracenia.

Rozdział 1

Tej zimy

A więc niepokoi cię nadciągająca śnieżycyca - powiedział łagodnie doktor Kandall, siedząc przy biurku. Tak się ulokował, że pomiędzy nim i pacjentem nie znajdowało się nic, poza dywanikiem pokrywającym błyszczącą, drewnianą podłogę jego gabinetu.

Niepokoi mnie zima. - Odpowiedź była gniewna, chłodna. Pacjent, wysoki, małomówny mężczyzna siedział w pobliżu okna na skórzanym fotelu. Wpatrywał się wprost w Randalla twardym, zaciętym wzrokiem.

Randall skinął głową. Niepokoisz się, bo...

Wiesz dlaczego. Sprawy zawsze przyjmują zły obrót wraz ze spadkiem temperatury.

Przynajmniej w twoim przypadku. Tak. W moim przypadku. Czy nie dlatego tutaj jestem? Widać było wyraźnie napięcie w jego zeszywniałym karku i zbieleńszych kostkach zaciśniętych dłoni. Dlaczego tutaj jesteś?

Nie traktuj mnie protekcyjnie. Daruj sobie te swoje psychologiczne lki.

Nienawidzisz zimy? Celny strzał. Sekunda wahania. Pacjent zamrugał oczami.

Nie, wcale nie. Nienawiść to zbyt mocne słowo. A więc jak byś to określił? Jakie słowo byłoby odpowiednie?

Nie chodzi o to, że nie lubię tej pory roku. Chodzi o to, co się wtedy dzieje.

- Może ten niepokój i przekonanie, że o tej porze roku wszystko się komplikuje, to twoje subiektywne wrażenia?

- Zaprzeczasz, że zimą dzieją się złe rzeczy?

- Oczywiście, że nie, ale wypadki i tragedie zdarzają się także w innych miesiącach. Ludzie topią się latem podczas pływania, spadają ze zboczy w czasie pieszych wędrówek po górach czy zapadają na choroby wywołane przez pasożyty, rozmnażające się jedynie w wysokiej temperaturze.

Złe rzeczy mogą wydarzyć się w każdej chwili.

Pacjent zacisnął szczęki; wydawało się, że w milczeniu analizuje jego opinię. Był bardzo inteligentnym mężczyzną, jego iloraz inteligencji sięgał niemal poziomu geniusza, ale nie mógł pogodzić się z tragedią, która wywarła trwałe piętno na jego życiu.

- Wiem o tym, tak mówi zdrowy rozsądek, ale dla mnie osobiście zima zawsze jest najgorsza. - Zerknął przez okno, gdzie szare chmury zasnuwały niebo.

- Przez to, co się stało, kiedy byłeś dzieckiem?

- Ty powinieneś mi to wytłumaczyć. To ty jesteś specjalistą. - Spojrzał na psychologa surowo, a potem na jego twarzy pojawił się przelotny uśmiech, który, jak przypuszczał doktor Randall, przez większość kobiet zostałaby uznany za zabójczy. Ten mężczyzna był interesującym przypadkiem, tym ciekawszym z powodu układu, jaki zawarli: żadnych notatek, żadnego nagrywania, bez wpisu w terminarzu wizyt. Niczego, co by mogło wskazywać, że kiedykolwiek się spotkali. Wszystko było okryte najgłębszą tajemnicą.

Pacjent spojrział na zegar, sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął portfel. Nie odliczał banknotów. Były już przygotowane, starannie złożone i wetknięte do specjalnej przegródki.

- Wkrótce powinniśmy się ponownie spotkać - zasugerował doktor Randall, kiedy pieniądze trafiły na jego biurko.

Wysoki mężczyzna skinął głową.

- Zadzwoń.

Doktor Randall automatycznie wygładzał zagięcia na szeleszczących dwudziestkach, kiedy stukot butów jego pacjenta oddalał się w stronę klatki schodowej na tyłach budynku. Chociaż człowiek ten usiłował przekonać siebie, że nie potrzebuje konsultacji, doskonale wiedział, iż demony zagnieździły się głęboko w najmroczniejszych zakamarkach jego duszy i nie wyjdą stamtąd bez leczenia.

Wsuwając banknoty do swojego wysłużonego portfela, Randall pomyślał, że duma prowadzi do katastrofy. Przekonał się o tym wiele razy. Ten mężczyzna, chociaż tego nie wiedział, był bliski upadku.

Cholerny pies, gdzie on się podział? - mruknął Charley Perry, żując tytoń. Przemierzał dzikie ostępy starego lasu wysoko nad Kolumbią. Było Wcześnie rano, zima zawitała już do wąwozu, a jego głupia spanielka znowu uciekła. Zastanawiał się, czy by jej tutaj nie zostawić- prawdopodobnie i tak znalazłaby drogę powrotną do chaty - ale odczuwał w związku z tym wyrzuty sumienia. Zresztą, szczerze mówiąc, poza nią nie miał nikogo. Tanzy Kiedyś była świetnym psem myśliwskim, ale teraz, tak jak on, stała się przy-cIndia i cierpiała na artretyzm.

Patrząc zmrużonymi oczami przez niskie zarośla, zagwizdał ostro; przesywający dźwięk przeciął las. Na górze trzasnęły gałęzie. Jego dłoń w rękawiczce zacisnęła się na lufie winchestera, karabinu, który podarował mu ojciec ponad pół wieku temu, kiedy wrócił z wojny.

Charley miał nowszą broń, cały arsenał, ale ten karabin szczególnie lubił. Pomyślał, że robi się nostalgiczny na starość.

Tanzy! -zawołał, zdając sobie sprawę, że nie ma co liczyć na cud.

Głupia suka!

Szedł dobrze sobie znanym szlakiem, wypatrując na ziemi śladów jeleni, łosi, może nawet niedźwiedzi, choć niedźwiedzie już zapadły w swoich legowiskach w sen zimowy. Ludzie w mieście mówili, że latem widziano w pobliżu wodospadu pumę, ale Charley nie natknął się na żaden ślad wskazujący na to. A ten wielki kot grasował na tych zboczach. Charley nigdy, w ciągu swojego umdziesięciodwuletniego życia spędzonego w tych górach, nie widział ani jednej pumy. Nie przypuszczał, żeby dzisiaj miało opuścić go szczęście. Stopy ciągle mu marzły pomimo wełnianych skarpet i wysokich myśliwskich butów. Bolało biodro, w którym nadal tkwił odłamek szrapnela. A jednak ciągle polował, przeczesując te lasy, tak samo jak robił to jako dzieciak ze swoim ojcem. Swojego pierwszego kozła upolował w Settler's Bluff, gdy miał czternaście lat. Cholera, to było dawno.

Podmuch lodowatego wiatru uderzył w twarz i Charley zaklął.

- Daj spokój, Tanzy! Zbieramy się, mała! -Już najwyższy czas, żeby wrócił orni sponiewieranym pickupem do miasta. Kupi gazetę i będzie popijał I w Canyon Cafe z garstką przyjaciół, którzy jeszcze żyli i cieszyli się tyle dobrym zdrowiem, by urwać się swoim żonom na godzinkę. Później rozwiąże sobie krzyżówkę i dorzuci drewna do pieca. Gdzie, u licha, podziewało się to psisko? Ponownic zagwizdał i usłyszał skomlenie, a potem szczekanie. Skręcił w bok i zobaczył Tanzy. Nie odrywała nosa od ziemi przy rozkładającej się kłodzie.

- Co tam masz, mała? - spytał Charley. Był przygotowany na to, że z tego, co wyglądało mu na wydrążoną kłodę, wypadnie wiewiórka czy łasica. Miał nadzieję, że nie zaszył się tam jeżozwierz ani skunks.

Wietrzyk poruszył gałęzie nad jego głową i wtedy to poczuł: cuchnący odór rozkładającego się ciała. Cokolwiek było w środku, już nie żyło. Nie musiał się martwić, że wyskoczy i śmiertelnie go wystraszy.

Tanzy czekała teraz jak oszalała, wskakując na kłodę i zeskakując z niej, sierść miała zjeżoną, a ogon smagał powietrze.

- Dobrze, już dobrze, pozwól mi tylko tam zajrzeć - powiedział Charley, klękając na jedno kolano, które głośno strzyknęło. Nachylił się i zajrzał do otworu kłody. - Co to może być? - To, co znajdowało się w środku, paskudnie śmierdziało. Ciekawość wzięła górę. Przesunął nieco kłodę, by zimowe słońce oświetliło jej wnętrze.

Zobaczył ludzką czaszkę, która spoglądała na niego.

Krew Charleya zamieniła się w lód. Wrzasnął i odrzucił kłodę, która rozłupała się, padając na ziemię.

Czaszka -z małymi, ostrymi zębami, z kosmykami jasnych włosów i resztkami gnijącego mięsa, ciągle trzymającego się kości - potoczyła się po sosnowym igliwiu i suchych liściach.

- Jezu Chryste! - szepnął.

Zerwał się wiatr, strącając z drzew śnieg. Charley cofnął się o krok, wyczuwając wkoło zło, czające się w mroku tego lasu.

- Charley Perry to wariat - mruknął szeryf Shane Carter, nalewając sobie kawy z dzbanka, stojącego zawsze na kuchence. Gdy tylko szklany dzbanek robił się pusty, szykowano kolejną porcję kawy.

- Tak, ale tym razem twierdzi, że znalazł ludzką czaszkę w pobliżu Catwalk Point. Nie możemy tego zignorować - powiedziała BJ Stevens, niska kobieta w stylu hipiski. Nosila dwa męskie imiona, co wcale jej nie przeszkadzało.

- Wyślij tam ludzi.

- Już to zrobiłam. Wysłałam Donaldsona i Montinello.

- Wcześniej Charley parokrotnie twierdził, że widział Wielką Stopę - przypomniał jej Carter, zmierzając przez pokój socjalny do swojego biura, znajdującego się na tyłach budynku sądu hrabstwa Lewis. - I jeszcze ten incydent z UFO. Wmawiał ludziom, że nad Bridge of the Gods zawisł statek kosmiczny, pamiętasz?

- Tak, jest ekscentrykiem.

- Świrem - poprawił ją Carter. — Kompletnym świrem.

- Nieszkodliwym.

- Miejmy nadzieję, że to kolejny z jego wymysłów.

- Ale zamierzasz zbadać tę sprawę - powiedziała, znając go lepiej, niż by tego chciał.

- Tak.

Carter miał żarzące się monitory komputerów, brzęczące telefony, boksy ze starymi biurkami i szafkami pełnymi akt, aż dotarł do swojego przeszklonego gabinetu z żaluzjami, które mógł zaciągnąć, gdy potrzebował prywatności. Dwa zewnętrzne okna wychodziły na parking sądu i sklep meblowy Danby'ego po drugiej stronie ulicy. Gdy wyciągnął szyję, mógł podziwiać z góry Main Street. Ale rzadko zawracał sobie tym głowę.

Postawił kawę na biurku i sprawdził swoją skrzynkę e-mailową. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że w opowieści Charleya Perry'ego kryło się coś

więcej, niż myśleli. To prawda, że zdarzało mu się przeholować, był ekscentrycznym samotnikiem, żyjącym według własnych zasad, zwłaszcza jeśli chodziło o kłusowanie, ale w gruncie rzeczy był nieszkodliwym i dość przyzwoitym facetem. Tyle że od czasu do czasu musiał zwrócić na siebie uwagę. Sprawa z Wielką Stopą zapewniła mu pewne zainteresowanie prasy. Dwa lata później twierdził, że został przetransportowany na pokład latającego spodka, żeby humanoidalni kosmici o olbrzymich głowach mogli go zbadać. Cóż, jeśli ci biedni kosmici uznali Charleya za typowego przedstawiciela mieszkańców Ziemi, prawdopodobnie byli bardzo zawiedzeni rodzajem ludzkim. Nic dziwnego, że już nie wrócili.

Zadzwoił telefon i szeryf automatycznie podniósł słuchawkę.

Odwrócił się od monitora, popijając kawę.

- Carter.

- Tu Montinello, szeryfie - powiedział jego zastępca Lanny Montinello ledwo słyszalnym głosem, z powodu kiepskiego połączenia z komórki. -

Myślę, że powinien pan przyjechać do Catwalk Point. Wygląda na to, że stary Charley miał rację. Znaleźliśmy czyjeś ciało. A przynajmniej większą jego część.,

- Cholera - mruknął Carter. Zadał jeszcze kilka pytań, a potem rozkazał Montinello zabezpieczyć miejsce zbrodni i zatrzymać Charleya do przesłuchania. Kiedy tylko się rozłączył, zadzwonił do stanowego laboratorium kryminalnego, wziął kurtkę, kapelusz i broń i zgarnął po drodze BJ. Zostawił też wiadomości ekspertowi medycyny sądowej i w biurze prokuratora.

- A nie mówiłam? - odezwała się BJ, kiedy jechali krętą boczną drogą do Catwalk Point, góry wznoszącej się prawie tysiąc metrów nad poziomem dorzecza rzeki Kolumbii. Ich przyjazd opóźnił się, bo zostali jeszcze wezwani do poważnego wypadku na drodze stanowej na południu od miasta, co zabrało im prawie dwie godziny.

Zanim dotarli do końca żwirówki, cały teren został już ogrodzony żółtą taśmą policyjną. Bynajmniej nie ze względu na gapiów. Wcześniej czy później prasa dowie się o tym i zrobi najazd, ale na razie mieli spokój.

Carter naciągnął na głowę kaptur kurtki i wysiadł z samochodu.

Było zimno, nadchodziła zima, za kilka dni zapowiadano śnieżyce.

Wysokie jodły gięły się w lodowatych podmuchach wschodniego wiatru.

Razem z BJ ostrożnie zeszli do wąwozu, gdzie uwijali się przy pracy detektywi ze stanowego laboratorium kryminalnego w Oregonie.

Fotograf robił zdjęcia. Rozciągnięto siatkę, zabezpieczając miejsce zbrodni. Spod śniegu zbierano próbki ziemi, wydrążoną kłodę opatrzone identyfikatorem. Kości ostrożnie ułożono na plastiku. Szkielet był niekompletny, a czaszka z małymi, ostrymi zębami.

- Co my tu mamy? - zapytał Carter Merline Jacobosky, wiotką jak trzcina oficer śledczą, z której zdaniem wszyscy się liczyli. Przestała pisać na kartkach przymocowanych do podkładki i spojrzała na ludzkie szczątki.

- Z grubsza? Biała kobieta, wiek od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat, ale nie mogę być tego pewna, dopóki w laboratorium medycyny sądowej nie dokona się pełnej autopsji. Została wepchnięta do tamtej kłody. - Merline wskazała długopisem na wydrążony cedr. - Brakuje kilku kości, zapewne zwierzęta rozszarpały jej zwłoki, ale nadal szukamy. Już znaleźliśmy kości łokciową i stępu, których brakowało na początku. Może szczęście dopisze nam i co do reszty.

- Może - powiedział Carter bez wielkiego entuzjazmu, przyglądając się urwistemu stokowi, opadającemu gwałtownie do Kolumbii. Teren był trudny: gęsty las, szeroka i rwąca rzeka w miejscu, gdzie Oregon graniczy ze stanem Waszyngton. Choć próbowano ją uregulować za pomocą tam, parła tak wściekle na zachód, że między drzewami widać było białe grzywy spienionych fal. Jeśli coś zostało wrzucone do Kolumbii, jest raczej mało prawdopodobne, że kiedykolwiek zostanie wydobyte.

Usłyszał jęk silnika zmagającego się z podjazdem i ujrzał między drzewami vana eksperta medycyny sądowej. Niedaleko za nim jechał kolejny samochód, należący do jednego z zastępców prokuratora okręgowego. Merline powiedziała:

- Jest jedna rzecz, która wydaje mi się bardzo dziwna. Zobacz jej zęby. - Uklękała i wskazała na zęby końcówką swojego długopisu. — Widzisz te siekacze i zęby trzonowe? To nie są naturalne ubytki... Myślę, że zostały spiłowane.

Carter poczuł dreszcz niepokoju. Kto miałby spiłować komuś zęby? I dlaczego?

- Żeby nie dało się zidentyfikować ciała? - zapytał.

- Przecież zęby można po prostu powyrywać albo połamać. Dlaczego ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu, żeby spiłować je na igiełki? -

Podniosła się i w zadumie przyglądała się czaszce. - To nie ma żadnego sensu.

- Może nasz delikwent jest dentystą z chorym poczuciem humoru?

- Nie ulega wątpliwości, że jest chory.

- Wiadomo już, kto został zamordowany? - zapytał, choć przewidywał, jaka będzie odpowiedź.

- Jeszcze nie. - Potrząsnęła głową i spojrzała na swoje notatki. - Nie było żadnych ubrań ani rzeczy osobistych. Ale będziemy szukać pod śniegiem, przebijemy się przez lód i rozgrzebiemy ziemię. Jeśli są jakieś dowody, to je znajdziemy.

- Co to? - Carter schylił się, przyglądając się czaszce z groteskowymi zębami i zięjącymi oczodołami. Wskazał na włosy. Coś było przychepione do kosmyków. Jakaś różowawa substancja, przypominająca pozostałości po gumce do ścierania.

- Nie wiem. Jakaś substancja wytworzona przez człowieka. Sprawdzimy to w laboratorium.

- Dobrze. - Wyprostował się i zauważył BJ rozmawiającą z jednym z fotografów.

Podszedł do nich Luke Messenger, ekspert medycyny sądowej. Wysoki, szczupły, z kręconymi, rudymi włosami i piegami. Na widok ciała zmarszczył brwi.

- Niekompletne? — spytał.

- Jak na razie - odparła Jacobosky.

Messenger ukląkł obok kości. Amanda Pratt, zastępca prokuratora, schodziła ze zbocza, patrząc uważnie pod nogi. Miała na sobie puchową kurtkę i śmierdziała dymem papierosowym.

- Boże, co za okropna pogoda - powiedziała, marszcząc zadarty nos na widok niekompletnego ciała. - Jezu, to, co widzę, było w wydrążonej kłodzie?

- Tak twierdzi Charley.

- Nie można wierzyć w ani jedno jego słowo - powiedziała stanowczo, lustrując jednocześnie wzrokiem okolicę.

- Może tym razem mówi prawdę.

Jej oczy błysnęły za wąskimi okularami w plastikowych oprawkach.

- Tak, jasne. A ja jestem królową Anglii. Nie, lepiej Hiszpanii. W Anglii jest stanowczo za zimno. - Spojrzała na samochody. - Czy Charley nadal gdzieś tu jest?

- W pickupie, tam. - Jacobosky wskazała głową

biały samochód na końcu drogi, którego silnik

pracował na wolnych obrotach. Za kierownicą siedział Montinello, a

Charley Perry obok niego. - Nie jest zbyt zadowolony, że go tu trzymamy.

Chce wracać do domu i rozgrzać się.

- Dziwisz się? Porozmawiam z nim - powiedział Carter.

- Dobrze - zgodziła się Amanda. - Tylko upewnij się, że masz ze sobą wykrywacz bzdur.

Carter roześmiał się i powiedział do eksperta medycyny sądowej:

- Dajcie mi znać, czego dowiedzieliście się.

- Jak tylko coś będziemy mieli - odparł Messenger. Nadal siedział w kucki nad ludzkimi szczątkami. Nawet nie spojrzął w górę. - Będiesz pierwszym, który się dowie.

- Dzięki.

Charley ścisnął w dłoniach kubek z kawą, którą ktoś mu przyniósł. Spojrzął wściekle na Cartera, jakby to on był osobiście odpowiedzialny za zepsucie mu dnia. Carter zastukał w okno i Charley niechętnie opuścił szybę.

- Aresztujecie mnie? - spytał. Miał krótką, srebrzystą brodę. Zza grubych okularów patrzyły rozgniewane oczy.

- Nie.

- W takim razie niech jeden z twoich chłopców odwiezie mnie do domu.

Spełniłem swój obowiązek, prawda? Nie ma potrzeby, żeby traktować mnie jak jakiegoś cholernego więźnia. - Splunął za okno śliną z tytoniem.

Daleko poza żółtą taśmę.

- Chciałbym tylko zadać ci parę pytań.

- Odpowiadam na pytania przez cały ranek! Carter uśmiechnął się.

- Jeszcze kilka, a potem każę mojemu zastępcy odwieźć cię do domu.

- Świetnie - mruknął Charley, krzyżując ręce na wątej klatce piersiowej.

Powiedział Carterowi, że był na polowaniu, zgubił mu się pies, którego później znalazł w wąwozie, obok tej wydrążonej kłody. Podniósł ją. i wyglądała z niej czaszka, co śmiertelnie go przeraziło. - I to już wszystko, co wiem - dodał nadąsany. - W te pędy wróciłem do domu i zadzwoniłem do twojego biura. Nie czepiaj się tego, że polowałem z Tanzy.

Potrzebowałem psa, żeby doprowadził mnie z powrotem do domu - powiedział, nagle uświadamiając sobie, że może mieć z tego powodu kłopoty. I pospiesznie dodał: - A twoi ludzie przywlekli mnie tu na nowo i już od paru godzin odmrażam sobie tyłek.

- Jak my wszyscy, Charley - powiedział Carter, zamykając drzwi samochodu. - Odwieź go do domu - polecił swemu zastępcy, a potem ponownie spojrzął na Charleya. - Gdybyś przypomniał sobie coś jeszcze, zadzwonisz, dobrze?

- Jasne. - Nie patrzył Carterowi w oczy i szeryf podejrzewał, że powie dział to na odczepnego. Nigdy nie byli w dobrych stosunkach, szczególnie od czasu, kiedy Carter obalił historię Charleya na temat Wielkiej Stopy i w dodatku zagroził mu, że powiadomi gajowego, iż Charley kłusuje na jelenie. Nie, było mało prawdopodobne, żeby Charley Perry ponownie zadzwonił. Carter spojrzął na Montinello i powiedział:

- Odwieź go do domu.

- Jasne. - Montinello wrzucił bieg i dodał gazu. W ciągu paru sekund pick-up zniknął w gęstym lesie. Dorodne jodły zdawały się sięgać chmur, z których zaczęły kapać pierwsze krople marznącego deszczu.

Carter wsunął dłoń głęboko w kieszenie długiej kurtki z kapturem i spojrzął w stronę miejsca zbrodni, gdzie roilo się od śledczych. Amanda Pratt stała parę metrów dalej, paląc papierosa i rozmawiając z Lukiem Messengerem. Niekompletny szkielet nieznaney kobiety leżał rozłożony na plastikowej płachcie. Zwłoki miały spiłowane zęby i kawałki różowej substancji we włosach.

Kim ona była i co, u diabła, robiła na tym odludziu, gdzie diabeł mówi dobranoc?

Rozdział 2

Z cichym skrzypieniem otworzyły się przeszklone drzwi. Podmuch zimowego wiatru wśliznął się do ciemnego domu. Dogasający żar w kominku jarzył się żywą czerwienią. Stary pies leżący na dywaniku obok fotela Jenny podniósł głowę i wydał z siebie niskie, ostrzegawcze warknięcie. Oczy Jenny zwęziły się, kiedy wpatrywała się w zarys sylwetki wchodzącej ostrożnie do salonu. Chociaż było ciemno, rozpoznała swoją starszą córkę, przemykającą się chyłkiem w stronę schodów. Tak jak się spodziewała. Świetnie. Jeszcze jedna nastolatka wymykająca się z domu w środku nocy.

- Cicho, Pokrako! - szepnęła ze złością Cassie, zmierzając na palcach do schodów.

Jenna pstryknęła włącznikiem lampy.

W jednej chwili w domu z drewnianych bali zrobiło się jasno. Cassie zamarła na pierwszym stopniu.

- Do diabła - mruknęła, odwracając się twarzą do matki.

- No to jesteś uziemiona - powiedziała Jenna ze swojego ulubionego skózanego fotela.

Cassie natychmiast przeszła do ofensywy.

- A ty dlaczego nie śpisz?

- Czekam na ciebie.

Cassie, jak zauważało to wiele osób, była wierną kopią Jenny z okresu jej wczesnej młodości. Przerosła ją o jakieś trzy centymetry, ale miała takie same wydatne kości policzkowe, ciemne rzęsy i brwi oraz spiczasty podbródek.

- Gdzie byłaś?

- Wychodziłam. - Odrzuciła do tyłu włosy z pasemkami.

- To wiem. Powinnaś być w łóżku. O ile sobie przypominam, około jedenastej powiedziałaś coś w rodzaju: „Dobranoc, mamó”.

Cassie bez słowa zamrugnęła zielonymi oczami.

- No dobra, z kim byłaś? Nie, nie musisz odpowiadać, domyślam się, że byłaś z Joshem.

Cassie nic nie powiedziała, ale według Jenny wszystko wskazywało na Josha Sykesa. Od kiedy Cassie zaczęła spotykać się z tym dziewiętnastolatkiem, zrobiła się tajemnicza, ponura i zbuntowana.

- Gdzie byliście?

Cassie założyła ręce na piersi i oparła się ramieniem o żółtą, drewnianą ścianę. Miała rozmazany makijaż, potargane włosy i pomięte ubranie. Jenna nie musiała długo się domyślać, co robiła jej córka. I śmiertelnie ją to przerażało.

- Po prostu jeździliśmy sobie po okolicy - powiedziała Cassie.

- O trzeciej nad ranem?

- Tak. - Cassie wzruszyła ramionami i ziewnęła.

- Na dworze jest bardzo zimno.

- Co z tego?

- Posłuchaj, Cassie. Nie zaczynaj. Nie jestem w nastroju do wygłupów.

- Nie rozumiem, dlaczego tak się przejmujesz.

- Doprawdy? - Jenna wstała i zbliżyła się do swojej zbuntowanej córki.

Wyczuła zapach dymu papierosowego, a może jeszcze czegoś innego. - Zaczniemy od tego, że cię kocham i nie chcę, żebyś skomplikowała sobie życie.

- Tak jak ty to zrobiłaś? - Cassie uniosła złośliwie jedną brew. - Kiedy zaszłaś w ciążę?

Przytyk osiągnął zamierzony cel.

- Miałam prawie dwadzieścia dwa lata. Byłam dorosła. A w ogóle to nie rozmawiamy teraz o mnie. To ty kłamiesz i wymykasz się z domu. -

Zdenerwowała się Jenna.

- Potrafię sama o siebie zadbać.

- Masz szesnaście lat.

Figura Cassie mimo tak młodego wieku była już godna pozazdroszczenia, według wszelkich hollywoodzkich standardów.

- Po prostu wyszłam z przyjaciółmi.
- I jeździliście sobie.
- Tak.
- Jasne. - Jenna ani przez chwilę w to nie uwierzyła.

Cassie spojrzała na nią wściekle.

- Słuchaj, teraz pewnie nie uda nam się osiągnąć żadnego porozumienia, więc idź do łóżka. Porozmawiamy rano.
- Nie ma o czym rozmawiać.
- Oczywiście, że jest. Zaczniemy od wymykania się, potem przejdziemy do wpadek u nastolatków i chorób przenoszonych drogą płciową. A to wszystko dopiero na początek.
- Nie mogę się doczekać - powiedziała Cassie, przypominając Jennie ją samą, kiedy była w tym wieku. - Po prostu nie lubisz Josha.
- Nie podoba mi się, że ma nad tobą taką władzę, że zrobiłabyś wszystko, aby z nim być. Nie podoba mi się, że namawia cię, żebyś mnie okłamywała.
- Nie...
- Na twoim miejscu, Cassie, dałabym sobie z tym spokój, kiedy jeszcze nie jest mocno za późno.

Ale Cassie wybuchła buntowniczym gniewem.

- Nie akceptujesz nikogo z moich znajomych, od kiedy się tu przeprowadziłyśmy. To twoja wina. Ja nigdy nie chciałam tu mieszkać. To akurat była prawda. Obie jej córki protestowały przeciwko jej decyzji o wyjeździe z Los Angeles, kiedy postanowiła poszukać spokoju w tym cichym, małym miasteczku przycupniętym na skalistych brzegach Kolumbii w Oregonie. Jenna wysłuchiwała ich narzekań od półtora roku.
- Nie powiedziałaś nic nowego. Teraz mieszkamy tutaj, Cassie, i wyko najmy to jak najlepiej.
- Staram się.
- Przy pomocy Josha.
- Tak. Przy pomocy Josha. - Oczy Cassie błyszczały wojowniczo.
- Żeby mnie ukarać.
- Nie - wycodziła Cassie, zaciskając szczęki. - Wierz mi lub nie, ale wcale nie chodzi o ciebie. Gdybym chciała cię „ukarać”, wróciłabym do Kalifornii i zamieszkała z tatą.

- Tego właśnie chcesz? - Jenna czuła się, jakby zadano jej cios pięścią, ale nie okazała żadnych emocji; nie chciała, aby Cassie wiedziała, że trafiła w bardzo czułe i bolesne miejsce.

- Chcę tylko, żeby ktoś mi ufał, rozumiesz?

- Na zaufanie trzeba sobie zapracować, Cassie - powiedziała Jenna, uświadamiając sobie, że powtarza słowa usłyszane dawno temu od swojej matki. Nie chciała podążać jej śladem. - Porozmawiamy o tym jutro. Zgasiła lampę i usłyszała, jak Cassie, powłócząc nogami, wchodzi na górę. Jenna pomyślała, że to zbyt przerażające naśladować swoją matkę.

- Chodź, Pokrako - powiedziała do psa, kierując się w stronę schodów. Jej sypialnia znajdowała się na pierwszym piętrze, tuż obok schodów, zaś pokoje dziewczynek piętro wyżej. - Idziemy do łóżka. - Stary pies szedł za nią cicho, wolnym krokiem z powodu artretyzmu. Czekał na niego na półpiętrze, Jenna usłyszała jak zamykają się drzwi pokoju Cassie. - No to jesteśmy w komplecie, wszyscy cali i zdrowi. - Jęknęła w duchu na myśl, że musi wstać za dwie i pół godziny. Dochodziła już do schodów pierwszego piętra, kiedy kątem oka zauważyła coś przez znajdujące się na półpiętrze okno z witrażem.

Jakiś ruch?

Jej własne, blade odbicie?

Pokraka cicho warknął i Jenna spięła się.

- Cii - powiedziała i mrużąc oczy, przypatrywała się uważnie przez kolorowe szybki zniekształconemu obrazowi podwórka i budynkom gospodarczym jej rancza, które Cassie nazywała „samotnią”.

Zewnętrzne lampy halogenowe żarzyły się niesamowitym błękitem, rzucając kręgi światła na stodołę, stajnię i szopy. Stojący przy drodze stary wiatrak przypominający drewniany szkielet skrzypiał, kiedy poruszały się powoli jego skrzydła. Główna brama była otwarta z powodu zamrożonego zamka oraz śniegu nawianego między słupkami. Na prowadzącej do bramy drodze nikogo nie dostrzegła, nie było słychać pracy silnika żadnego samochodu.

Jednakże porośnięte lasem wzgórze i urwiste brzegi rzeki pogrążone były w ciemności, co stanowiło idealne miejsce ukrycia...

Dla kogo?

Z pewnością nikt się nie czaił w tym zimowym mroku.

Oczywiście, że nie.

W najgorszym razie to Josh Sykes kręci się w pobliżu, chowając za rogiem stodoły, może mając nadzieję, że uda mu się wejść za Cassie do środka.

Nie wchodziło w grę nic groźniejszego.

Stary pies ponownie warknął.

- Cicho - powiedziała Jenna, kierując się do podwójnych drzwi, za którymi znajdował się jej pokój, do którego tylko ona miała wstęp. Przeprowadziła się do tej samotni nad Kolumbią w poszukiwaniu spokoju, więc powinna ignorować takie lęki. Była po prostu zirytowana na swoją smarkatą córkę. To wszystko.

Ale mimo to, kiedy weszła do ciemnej sypialni, nie mogła pozbyć się wrażenia, że zaraz coś się stanie.

Coś bardzo złego.

Rozdział 3

Cassie! - zawołała Jenna w górę schodów. - Alie! Śniadanie. Pospieszcie się! Za pół godziny musimy wyjść! Weszła do kuchni i spojrzała na zegar zawieszony nad kuchenką. Spóźniła się. Powinny być w szkole Allie za czterdzieści pięć minut, a sama droga zabierze przynajmniej dwadzieścia. Włączyła telewizor, wrzuciła do opiekacza dwie bułeczki i krzyknęła: - Pospieszcie się, dziewczęta! Usłyszała na górze szuranie kroków. Dzięki Bogu. Dopła drugą filiżankę kawy, omal nie potknęła się o Pokrakę, który kręcił się w pobliżu stołu, wstawiła pustą filiżankę do zlewu i otworzyła drzwi lodówki. Nadal nie było słyhać szumu płynącej wody, a Cassie o tej porze powinna już wejść pod prysznic. Znalazła w lodówce karton soku pomarańczowego i napełniła nim dwie szklanki, kiedy bułeczki wyskoczyły z opiekacza. W telewizorze miejscowy synoptyk zapowiadał największą śnieżycę tej zimy, a temperatura miała spaść znacznie poniżej zera.

Smarując masłem pierwszą porcję bułeczek, usłyszała kroki na schodach. Kilka sekund później pojawiła się Cassie.

- Nie ma wody - powiedziała ponuro.

- Co ty mówisz?

- To, że nie ma choleralnej wody. Odkręciłam kran i nic! - Aby udowodnić, że mówi prawdę, podeszła do zlewu i przekręciła kurek. Ani kropli.

- Nie ma ciepłej wody? - zapytała Jenna. Pomyślała, że już lepiej mieć problem z podgrzewaczem wody niż z pompą.

- Zimnej też nie ma. - Cassie spojrzała na dzbanek do kawy. - A to skąd?

- Przygotowałam sobie wieczorem. Ma regulator czasowy. - Podeszła do zlewu i odkręciła kran. Wody w dalszym ciągu nie było. - Cholera! Zdaje się, że będziesz musiała zrezygnować z prysznicu.

- Nie mogę pójść do szkoły z niemytymi włosami.
- Jakoś to przeżyjesz.
- Ale, mammo...
- Po prostu zjedz śniadanie, a potem przebierz się.
- Nie ma mowy. Nie pójde do szkoły. - Cassie ciężko opadła na krzesło w rogu. Miała podkrążone oczy i nie mogła powstrzymać się od ziewania po nocnej eskapadzie.
- Pójdziesz. Pamiętaj to stare powiedzenie: „Jeśli chcesz latać z orłami, musisz wstawać z wróblami”?
- Nie rozumiem.
- Jestem pewna, że rozumiesz.
- To takie głupie.
- Być może, ale to nasze poranne credo.

Cassie wypła łyk soku, ale bułeczkę pozostawiła nietkniętą na talerzu.

Pokraka usadowił się pod stołem, opierając głowę o jej kolano.

Zdawało się, że w ogóle tego nie zauważyła.

- Musimy ze sobą porozmawiać. Wydarzenia zeszłej nocy nie mogą się powtórzyć. Nie chcę, żebyś się wymykała. Nigdy więcej. To niebezpieczne.
- Po prostu nie lubisz Josha.
- Już o tym rozmawialiśmy. Nie mam nic do Josha. - Nawet gdyby miał *IQ* mniejsze od numeru swojego buta. - Ale nie podoba mi się, że tobą manipuluje.
- Wcale nie.
- I jeśli uprawiacie seks...
- O Boże! Oszczędź mi tego!
- Muszę o tym wiedzieć.
- To nie twoja sprawa.
- Oczywiście, że moja. Jesteś nieletnia.
- Możemy o tym porozmawiać później?

Posłała matce takie spojrzenie, jakby nie miała ona o rym wszystkim

najmniejszego pojęcia. Jenna wiedziała, że musi być bardzo ostrożna, bo inaczej osiągnie rezultat odwrotny do zamierzonego, popychając Cassie prosto w ramiona Josha Sykesa. Zerknęła na kuchenny zegar, odliczający sekundy jej życia.

- Dobrze, później. Po szkole, kiedy będziemy mieć więcej czasu.
- Super. Właśnie tego nam trzeba. Więcej czasu - mruknęła Cassie.

Jenna wyszła z kuchni, odsuwając od siebie konfrontację, która czekała ich wieczorem. Stała u podnóża schodów i zawołała:

- Allie? Wstałaś?

Usłyszała szuranie stóp. Allie, ciągle w pidżamie, skierowała się stronę kuchni. Jej rudawe włosy były rozczochrane, a na przypominającej elfiątwaczkę malował się wyraz bólu godny Oscara.

- Nie czuję się dobrze.

- Co się stało? - zapytała Jenna, choć podejrzewała, że wszystko jest w porządku. Ostatnio była to jedna z ulubionych sztuczek jej dwunastoletniej córki.

dlie nigdy nie lubiła szkoły. Choć bardzo inteligentna, była marzycielką, absolutnie nie pasującą do szkolnego zaszufadkowania.

- Boli mnie gardło - poskarżyła się Allie, dokładając starań, żeby wyglądać na chorą.

- Otwórz usta.

Jenna zajrzała w głąb gardła córki, które wyglądało na całkiem zdrowe.

- Wszystko w porządku.

- Ale boli .- Allie jęknęła żałośnie.

- Przejdzie. Zjedz śniadanie.

- Nie mogę. - Opadła ciężko na krzesło i położyła głowę na zgiętej w łokciu ręce. - Tata by mi nie kazał iść do szkoły, gdybym była chora.

Jenna nie skomentowała wątpliwej działalności ojcowskiej Roberta Kralera. Zerknęła na zegar. Nie było jeszcze ósmej. Wołała nie myśleć, co przyniesie reszta dnia.

Zostawiła dziewczyny przy stole, posprawdzała inne krany i przekonała się, że Cassie miała rację. Wody nie było. Kiedy wróciła do kuchni, okazało się, że Allie, ignorując bułeczkę, którą przygotowała jej Jenna, znalazła pudełko mrożonych gofrów i wrzuciła dwa do opiekacza.

Najwyraźniej ból gardła nie miał wpływu na jej apetyt.

Cassie, dopijając sok, wpatrywała się w telewizor. Reporterka stała w jakimś ciemnym lesie, a za plecami miała miejsce zbrodni, jeśli można było wierzyć żółtej taśmie.

- Co to? - zapytała Jenna.

- Znaleźli jakąś kobietę w Catwalk Point - powiedziała Cassie. -

Słyszałam o tym w radiu.

- Kto to jest?

- Nie wiadomo.

Jakby w odpowiedzi na pytanie Cassie, zwawa, rudowłosa reporterka, w płaszczu i szalu powiedziała:

- Na razie nie ma żadnych informacji z biura szeryfa co do tożsamości kobiety, którą wczoraj rano znalazł Charley Peny, mieszkający niedaleko miejsca zbrodni.

Na ekranie pojawił się starszy mężczyzna, którego Jenna widywała, jak się jej zdawało, w miejscowym barze. Powiedział o tym, jak znalazł zwłoki podczas polowania.

- Catwalk Point jest niedaleko stąd - stwierdziła Allie, kiedy z opiekacza wyskoczyły jej gofry, które rzuciła na talerz, obok bułeczki. - To straszne.

- Bardzo - powiedziała Jenna, ale szybko zmieniła ton. - Policja już się tym zajęła. Nie ma się czym przejmować.

Cassie głośno westchnęła, jakby nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

Allie znalazła butelkę z syropem i wycisnęła go tyle, że wystarczyłoby na dziesięć naleśników. Dwa małe gofry zostały całkowicie nim pokryte.

Jenna nie zareagowała na to. Była zbyt pochłonięta tym, co działo się na ekranie telewizora, gdzie reporterka rozmawiała teraz z szeryfem Carterem, wysokim, barczystym mężczyzną.

- Jest za wcześnie, żeby określić przyczynę śmierci - powiedział ostrożnie. Sprawiał wrażenie twardziela. Miał ostre, jak wykute z kamienia rysy twarzy, podejrzliwe, głęboko osadzone oczy i ciemne, gęste wąsy. - Nadal próbujemy zidentyfikować ciało.

- Traktujecie to jak dochodzenie w sprawie morderstwa?

- Niczego nie wykluczamy. Jest jednak zbyt wcześnie, żeby coś stwierdzić - stwierdził stanowczo, kończąc wywiad.

- Dziękujemy, szeryfie - powiedziała reporterka, zwracając się znów do kamery. - Mówiła Karen Tyler z Catwalk Point.

Obraz zniknął i na ekranie pojawiło się studio. Siedzący za biurkiem gładko ogolony mężczyzna z czołową łysiną powiedział:

- Dziękujemy ci, Karen.

A potem, uśmiechając się, przeszedł do wiadomości sportowych. Jenna wyłączyła telewizor.

- Idziemy - powiedziała.

Cassie wpatrywała się w matkę, jakby postradała zmysły.

- Mówiłam, że w takim stanie nie mogę pójść do szkoły.

- Możesz. Zbieraj się. Nie mam czasu na kłótnie.

Mrucząc coś pod nosem, Cassie odsunęła na bok nietknięte śniadanie i pobiegła na górę.

- Ty też - powiedziała Jenna, celując palcem w swoją młodszą córkę. Gofry prawie już zniknęły.

- Ale mnie naprawdę bardzo boli gardło.

- Myślę, że przeżyjesz... Zadzwoń później do szkoły, żeby dowiedzieć się, jak się miewasz. A teraz zbieraj się.

Dochodząc do wniosku, że ta strategia nie działa, Allie wepchnęła do ust ostatni kawałek gofra i popędziła na górę, zaś Jenna wybrała numer Hansa Dvoraka, emerytowanego trenera koni, a obecnie zarządcy jej małego ran-cza. Hans, tak jak Pokraka, pojawił się w jej życiu wraz z tą nieruchomością. Podniósł słuchawkę po trzecim sygnale i odezwał się niskim, ochrypłym od papierosów głosem:

- Słucham?

- Hans, tu Jenna.

Już do ciebie idę.

- Teraz wiozę dziewczynki do szkoły, ale mamy tu pewien problem. - Słyszając tupot nóg którejs z córek zbiegającej po schodach, wyjaśniła Hansowi, że nie mają wody.

- Pewnie nawaliła pompa - powiedział Hans. - Coś podobnego zdarzyło

się jakieś pięć lat temu.

- Możesz to naprawić?

- Nie jestem pewien, ale spróbuję. Niewykluczone że będziesz potrzebować elektryka albo jakiejś złotej rączki, który zna się na elektryce lepiej ode mnie. Jenna знаła elektryka, Wesa Allena, z którym grywali razem w amatorskim miejscowym teatrze Kolumbia. Był jeszcze Scott Dalinsky, który pomagał w teatrze przy oświetleniu i sprzęcie audio, jednak Jenna nie powierzyłaby mu podobnego zadania w swoim domu. Choć był siostrzeńcem Wesa i synem jej przyjaciółki Rindy, Jenna czuła się w towarzystwie Scotta niezręcznie. Zbyt często przyłapała go na tym, jak wpatrywał się w nią.

- Będę u ciebie za pół godziny - powiedział Hans.

- Dzięki.

Hans był darem niebios. W wieku siedemdziesięciu trzech lat nadal pomagał przy żywym inwentarzu i sprawiał, że wszystko to razem jakoś się kręciło. Pracował jako dozorca u poprzednich właścicieli i kiedy Jenna wprowadzała się do tego domu, ubłagała go, żeby został. Nawet przez sekundę nie pożałowała swojej decyzji. Gdyby Hans nie mógł naprawić pompy, znajdzie kogoś odpowiedniego.

Do pokoju weszła Allie, uczesana, ubrana w wełnianą kurtkę, z plecakiem na ramieniu.

- Umyłaś zęby? - spytała Jenna i natychmiast uświadomiła sobie, że przecież nie ma wody. - Przynajmniej pozuj gumę w drodze do szkoły.

- Z moimi zębami wszystko w porządku - powiedziała Allie słabym głosem, delikatnie przypominając matce, że nie czuje się zbyt dobrze.
 - Masz dzisiaj test z matematyki, prawda? Przygotowałaś się?
- Allie zmarszczyła brwi i przez krótką chwilę była wierną kopią swojego ojca.
- Nie cierpię matmy.
 - Zawsze byłaś dobra z matematyki.
 - Ale to wstęp do algebry.
 - No cóż, wszyscy musieliśmy przez to przejść - powiedziała Jenna. Zdjęła kurtkę z wieszaka przy tylnych drzwiach i wsunęła ręce w rękawy. Postaram się pomóc ci dziś wieczorem, a jeśli nie będę w stanie, pomoże pan Brennan. Był inżynierem, pracował w siłach powietrznych i...
 - Nie! - powiedziała szybko Allie i Jenna natychmiast się wycofała. Żadna z jej córek nie była zachwycona faktem, że umawia się na randki, choć od czasu ich rozvodu Robert ożenił się już po raz drugi. Rekord nawet jak na hollywoodzkie standardy. Harrison Brennan był ich sąsiadem, wdowcem. Okazywał Jennie zainteresowanie, od kiedy się tu wprowadziła.
 - Dobrze, zobaczę, co da się zrobić - powiedziała, podchodząc do schodów i jednocześnie wciągając skórzane rękawiczki. - Cassie, pospiesz się! Będziemy w samochodzie!
 - Już idę.

Wracając do kuchni, Jenna powiedziała do Allie:

- Chodź, rozgrzejemy samochód.

Pod zadaszonym przejściem powietrze było lodowate, rześkie. Kiedy otwierała drzwi garażu, zerknęła na niebo. Niskie, stalowoszare chmury przepływały nad okolicznymi wzgórzami, zapowiadając opady śniegu, tak jak mówił synoptyk.

- Brrr - mruknęła Jenna, obiecując sobie, że latem założy w przejściu do garażu okna o potrójnych szybach oraz ogrzewanie.

Pokraka i Allie weszli w ślad za nią do garażu, któremu przydałaby się solidna izolacja i nowy dach. Wsiedli do jej dzipa i Jenna włożyła kluczyk do stacyjki.

Przekręciła go, wciskając gaz.

Silnik zgrzytnął, ale nie zapalił.

- No, dalej - Jenna przemawiała do samochodu. Zerknęła na Allie, która zapinała pas. - To dlatego że jest tak zimno - wyjaśniła córce i samej sobie.

Zdeterminowana spróbowała jeszcze raz. I jeszcze. I jeszcze. Acholerstwo nie zapaliło. Rzuciła okiem w głąb garażu, gdzie stał stary ford pickup, w którego kupiła wraz z ranczem. - Weźmiemy pickupa.

- Naprawdę?

- Tak. Chodź.

Jenna zmierzała już do forda, kiedy Cassie wpadła do garażu z przyciśniętą do ucha komórką.

Wystarczyło jedno spojrzenie na to, co się działo, żeby natychmiast urwała rozmowę.

- Oddzwonię do ciebie - powiedziała i z trzaskiem *złożyła* klapkę komórki. Wrzucając telefon do torby, zwróciła się do matki: - Żartujesz, prawda?

- Nie.

- Nie mogę pozwolić, żeby ktoś mnie zobaczył w tym... złomie - powiedziała, wskazując na wgnieciony błotnik pickupa.

- Owszem, możesz.

- Ale...

- Narzekaj dalej, a obiecuję ci, że wkrótce będziesz jeździć tylko tym samochodem.

- O Boże!

- Wsiadaj. - Jenna miała już dosyć wysłuchiwania niezadowolonych smarkul. Nie dość, że Cassie chciała mieć własny samochód, to jeszcze wymyśliła sobie, że musi jeździć bmw lub sportowym mercedesem.

Irytowało to Jennę. No cóż, wszystkie te lata uprzywilejowanego życia w Los Angeles pozostawiły trwałe ślad. Jenna wgramoliła się za kierownicę, włożyła kluczyk do stacyjki i samochód z rykiem obudził się do życia już za pierwszym podejściem. - Dzięki Ci, Boże - powiedziała, kiedy jej córki, nagle przycichły, zajęły miejsce obok niej. Po czym ruszyła drogą prowadzącą poza obręb jej dwuhektarowego rancza.

Wyjechały na oblodzoną szosę.

Allie bawiła się radiem i znalazła w końcu taką stację, która się jej spodobała, a którą i Jenna mogła znieść. Cassie w tym czasie gadała na temat pogody. Dowiedziała się z Internetu, że w Los Angeles temperatura miała dzisiaj sięgnąć trzydziestu stopni, czym nie omieszkała się podzielić. Jenna próbowała nie zwracać uwagi na podły nastrój córki. Miała nadzieję, że nie wydarzy się już nic złego.

Co jeszcze mogło pójść nie tak?

Spojrzała w lusterko i miała już odpowiedź.

Za jej pickupem pojawił się samochód policyjny, błyskając czerwono-niebieskimi światłami. Zjechała na bok, spodziewając się, że ją wyminie. Nic z tego.

- Co się dzieje? - zapytała Cassie i odwróciła głowę, żeby spojrzeć przez brudną tylną szybę. - O, kurde!

Uważaj, co mówisz! - Jenna przywołała ją do porządku, obserwując w lusterku, co działo się z tyłu.

Terenówka szeryfa zatrzymała się tuż za jej samochodem. Wysoki, barczysty mężczyzna w służbowej kurtce i kapeluszu wysiadł ze swojej maszyny. Surowe spojrzenie utkwione w jej fordzie, śnieg osiadający na gęstych wąsach.

Służbista.

- To ten szeryf- szepnęła Cassie. - Ten z telewizji.

- Mamy dziś szczęśliwy dzień - mruknęła Jenna pod nosem.

Szeryf Carter we własnej osobie zbliżał się do jej samochodu. Poranek zamieniał się w koszmar, i to z zawrotną szybkością.

Rozdział 4

Przekroczyłam dozwoloną prędkość? - spytała, opuszczając szybę. Carter od razu ją rozpoznał. Jenna Hughes. Najbardziej znana mieszkanka Falls Crossing. Prosto z Hollywood, jadąca farmerskim, wiekowym pickupem z łysymi oponami, kilkoma wgnieceniami i niesprawnymi światłami stopu. Jakiś czas temu obito mu się o uszy, że kupiła stare ranczo McReedy'ego i parę razy widział ją z daleka, ale nigdy się nie spotkali. Dopiero dzisiaj. Znakomity sposób zawarcia znajomości z kobietą o tak legendarnej urodzie. Wpatrywała się w niego tymi zielonymi oczami, które widział w wielu jej filmach.

- Nie, nie chodzi o zbyt szybką jazdę - powiedział. - Nie ma pani światła stopu.

- No to świetnie - mruknęła.

- O Boże! -jęknęła dziewczyna siedząca obok, nastolatka, podobna do Jenny jak dwie krople wody. Domyślił się, że to starsza córka. Młodsza, z rudawymi włosami wystającymi spod wełnianej czapki, siedziała z tyłu, a na podłodze dostrzegł jakieś psisko. Pies warknął, ale natychmiast go uciszono.

- Mogę zobaczyć pani prawo jazdy i dowód rejestracyjny?

- Oczywiście. — Jenna zaczęła grzebać w torebce, a potem sięgnęła do schowka w tablicy rozdzielczej, który otworzył się ze skrzypnięciem. -

Przepraszam, panie władzo. Normalnie nie jeżdżę tym samochodem, ale dzisiaj mój dzip nie chciał zapalić, a ja muszę zawieźć dziewczynki do szkoły i...

- Mamo! Pan wcale nie chce słuchać historii całego twojego życia - wtrąciła się nastolatka. Posłała Carterowi ukradkowe spojrzenie, a potem zaczęła wpatrywać się w okno, jakby zamarznęte na poboczu błoto ze śniegiem było fascynującym zjawiskiem.

- Próbowałam to wyjaśnić - powiedziała Jenna, siłąc się na uśmiech, żeby go zmiękczyć. Bez skutku. Szeryf ciągle jeszcze miał przed oczami rozkładające się zwłoki niezidentyfikowanej kobiety, porzucone na podlegającym mu terenie. - To musi być to - powiedziała, wyciągając zakurzoną kopertę.

- Zakładam, że ma pani dowód ubezpieczenia.

- Powinien też tu być. - Podała mu kopertę i dyskretnie zerknęła na zegarek, przypominając mu, że się spieszy. - Czy warto tracić na to czas? Spojrzał na nią ostro.

- Uważam, że oboje mamy ważniejsze rzeczy do roboty.

Rozpieszczona księżniczka. Zapewne nigdy w życiu nie dostała mandatu.

- To zajmie tylko kilka minut - powiedział, za co został nagrodzony pełnym ulgi westchnięciem z drugiej strony samochodu.

- To dobrze, bo dziewczynki są już spóźnione.

- Nie tylko one się spóźnią- odparł.

- Och! - Znowu ten wyćwiczony, seksowny, hollywoodzki uśmiech.

Wiedziała, że może zawrócić facetowi w głowie, sprawić, że zmieni zdanie; subtelna próba, żeby postawić na swoim. Jej sztuczki zapewne działały w większości przypadków, ale Carter był dziś w wyjątkowo kiepskim nastroju. Zabrał dokumenty do swojego wozu, sprawdził je i zaczął wypisywać upomnienia. Nagle zmienił zdanie. Ta kobieta zasłużyła na mandat. Przyzwyczaiła się do tego, że ludzie jej nadskakują, łącznie z zaślepionymi policjantami, którzy przymykali oko i puszczali ją wolno. Ale to nie było Los Angeles. Choć w jego samochodzie działało ogrzewanie, palce mu kostniały, kiedy wypisywał mandat, przy akompaniamencie trzasków radia, zagłuszanych wyciem wiatru. Kilka przejeżdżających samochodów przyhamowało gwałtownie na widok jego migających świateł. Tchórze. Robili to, bo bali się, że oberwą mandat. W nosie mieli własne bezpieczeństwo i przestrzeganie przepisów.

Zły na cały świat, wyrwał z bloczku mandat i wygramolił się z samochodu.

Brnąc przez śnieżycę, zauważył sławne oczy Jenny Hughes,

obserwujące go w bocznym lusterku pickupa. Boże, ale była piękna.

Oszalamiająco piękna. Ale tego ranka była tylko zwykłą obywatelką z niesprawnymi światłami stopu.

- Proszę bardzo, pani Hughes - powiedział, kiedy opuściła szybę, i wręczył jej mandat. - Może pani pójść z tym do sądu. Pewnie zmniejszą kwotę grzywny. Ale niech pani jak najszybciej naprawi te światła. Taka jazda jest bardzo ryzykowna.

- Postaram się - powiedziała, zaciskając usta.

A więc była zła. Też mi coś;

- Niech się pani naprawdę postara - poradził jej z wyćwiczonym, oficjalnym uśmiechem. - Bezpiecznej jazdy.

Posłała mu spojrzenie, które zapewne zwałiłoby z nóg jakiegoś słabszego psychicznie mężczyznę. Ale on miał to w nosie. Odwrócił się i zmagając się z wiatrem wrócił do swojego blazera. Gramoląc się do środka, obserwował jak Jenna „Hollywood” Hughes włączyła się z powrotem do ruchu, mrugając kierunkowskazem.

Oni wszyscy przeistaczali się w idealnych kierowców, kiedy zostali ukarani mandatem. Przewidywał, że będzie tak ostrożna nie dłużej niż dziesięć minut. A przecież nie szarżowała. Nie jechała nieprzepisowo. Miała po prostu pecha, że zepsuły się jej światła stopu.

Carter usadowił się za kierownicą, wyłączył migające światła i pojechał za nią do miasta. Siedział w Canyon Cafe, w boksie tuż przy oknie. Rzucił okiem nad zasłonkami sięgającymi do połowy okna. Przez oszronione szyby zobaczył stary kościół, który najlepsze lata dawno miał za sobą, przeszedł kilka renowacji i po ostatniej został miejscowym teatrem o pretensjonalnej nazwie The Columbia Theater.

Dostał zamówioną gorącą herbatę, którą nalał do szklanki z lodem, słuchając, jak trzaskają kostki i obserwując ich topnienie w miarę szybkiego ochładzania się bursztynowego płynu. Tego ranka było niewielu stałych klientów, zaledwie paru starych dziwaków gawędzących o pogodzie. Na grillu w kuchni rumienił się przysmak z siekanego mięsa i skwierczał bekon, cicho, ledwo słyszalnie sączyła się muzyka country, kelnerka biegała od stolików do kontuaru. Część ludzi czytała gazety, inni byli pogrążeni w rozmowie. Pomachał ręką do paru, uśmiechnął się do kelnerki, cały czas mając na oku teatr. Mieszał herbatę, wpatrując się przez szparę w zasłonkach, udając pochłoniętego lekturą kroniki sportowej. Usiłował sprawiać wrażenie spokojnego, choć jego nerwy były napięte jak postronki. Był nabuzowany z powodu nadciągającego zimnego frontu. I zdenerwowany afiszem przed teatrem.

To wspaniałe życie.

Pamiętał, jak oglądał ten film w wersji czarno-białej. Wzdrygnął się na myśl o scenie, w której brat George’a Bailey’a wpadł pod lód, wyobrażając

sobie aż nadto realistycznie, co mógł on odczuwać... Zimna, lodowata woda, wirująca wokół niego, ściągnięta w dół, ścinająca mrozem płuca, kiedy się nią zachłystywał... wrażenie, że cały świat się wali, dudniące, oszalałe serce, paniczny strach,...

- Wszystko w porządku?

Poderwał głowę w górę i spojrzął na kelnerkę, osiemnastoletnią dziewczynę, która w jednej ręce trzymała dzbanek z kawą, a w drugiej dzban zimnej wody.

Spojrzął na pływające w dzbanku kostki lodu i zdobył się na uśmiech.

- Tak... wszystko w porządku. Tylko nie jestem zbyt zadowolony, że Trail Blazers znowu przegrali.

- Nikogo to nie cieszy. Poza pogodą, ludzie nie mówią dzisiaj o niczym innym. - Wydawała się usatysfakcjonowana jego odpowiedzią uśmiechnę

ła się szeroko, odsłaniając aparat korekcyjny na zębach. - Jeszcze wody, może herbaty?

- Nie, niczego mi nie trzeba. - Aby to udowodnić, uniósł swoją szklankę i upił duży łyk.

Upewniona, że jej klient jest zadowolony, przeszła do następnego stolika.

Ty idioto! - upomniał się w duchu. - Nie zepsuj tego! Bądź cierpliwy. Wszystko idzie świetnie. Doskonale.

Uspokajając się, powoli podniósł gazetę i odwrócił stronę. Potem przez szparę w zasłonkach baru zauważył starego, zajeżdżonego pickupa. Tuż za oknem. Serce załomotało mu w piersi, kiedy rozpoznał za kierownicą Jennę Hughes.

To było przeznaczenie. Nie ulegało wątpliwości. Przejeżdżała tędy tylko po to, żeby przypomnieć mu, co ma zrobić.

Zadrzał.

Była tak blisko.

Jej pickup stał na światłach i Jenna patrzyła prosto przed siebie... nie, spojrzęła we wsteczne lusterko, dotknęła kącika swoich idealnych ust, jakby ścierając jakąś drobinę szminki.

Cały drżał w środku, mając nadzieję, że Jenna odwróci się w jego stronę, żeby mógł ujrzeć jej niesamowitą twarz. Jej profil był naprawdę królewski. Klasyczny. Ale on rozpaczliwie pragnął spojrzeć w jej oczy. Jednak nie było mu to pisane.

Jenna odwróciła głowę w przeciwnym kierunku, a on mógł jedynie podziwiać przez chwilę jej lśniące, czarne włosy, kiedy przejeżdżała przez skrzyżowanie. Zaraz za nim włączyła migacz i skręciła na parking teatru. Uśmiechnął się w duchu, odczuwając głęboką satysfakcję. Znał ten przerobiony kościół jak własny dom. Równie dobrze jak jej dom. Tętno tak mu podskoczyło, że czuł silne pulsowanie w uszach... Nie spodziewał się, że ją zobaczy, a zwykle wszystko planował. Ale to... to, że znalazła się tak blisko niego, musiało być zrzędzeniem losu.

Przeznaczeniem.

Wysiadła z pickupa i przez chwilę stała, patrząc na ulicę. Nie mógł się oprzeć. Zostawił na kontuarze więcej pieniędzy, niż było to konieczne, wyszedł pospiesznie na zewnątrz i walcząc z wiatrem, ruszył w stronę teatru.

Stał po drugiej stronie ulicy za wielką jodłą i przyglądał się, jak Jenna wspina się po schodach do podwójnych drzwi. Otworzyła je, pociągając za jedno skrzydło. Zanim zniknęła w środku, posłał jej całusa.

- Już niedługo - obiecał jej szeptem wśród podmuchów lodowatego wiatru.

- No to co mamy? - zapytał Carter BJ, kiedy usadowiła się na krześle przy jego biurku. Zdejmował kurtkę, ciągle jeszcze myśląc o spotkaniu z Jenną Hughes. Jakby nie było ważniejszych rzeczy.

- Co mamy? - powtórzyła BJ. - Niewiele. - Jej włosy były krótkie, brązowe, z czerwonymi pasemkami. Miała delikatną, drobną twarz i duże, ciemnobrązowe, przenikliwe oczy. - Ekspert medycyny sądowej nadal pracuje nad naszą Jane Doe*. Nie wiemy dokładnie, kiedy umarła. Możliwe, że zeszłej wiosny, sądząc po rozkładzie ciała, znalezionych tam larwach owadów i falcie, że zwierzęta rozciągnęły część zwłok. Dostaniesz pełen raport, jak tylko będzie gotowy.

Carter zmarszczył brwi i stuknął wyposażoną w gumkę końcówką ołówka w swoje zaśmieczone biurko.

- Skontaktowałem się z Biurem Osób Zaginionych w Salem. Pracują nad dopasowaniem naszej Jane do jakiejś osoby, której zaginięcie zgłoszono w ciągu paru ostatnich lat.

- Tylko w obrębie stanu?

- Nie, nie tylko. Na początku zostanie to sprawdzone na całym zachodnim wybrzeżu. Rozmawiałem już z odpowiednimi władzami. - Carter bawił się ołówkiem, kręcąc nim między palcami, był to odruch,

który pojawił się zaraz po tym, jak rzucił palenie. Pomagało to mu koić nerwy, pomijając ten mroczny okres jego życia, kiedy umarła Carolyn. Na biurku stało w palisandrowej ramce ostatnie jej zdjęcie, które zrobił podczas ich ostatniej wycieczki na wybrzeże. - A co z przyczyną śmierci?

- Jeszcze nieznana, ale ekspert cały czas nad tym pracuje.
- A ta różowa substancja w jej włosach?
- Ciągle jeszcze ją analizują. - Zagryzła wargi, jak zwykle to robiła, kiedy intensywnie nad czymś się zastanawiała. - Prawdopodobnie to jakiś rodzaj modeliny. Coś jak... silly string czy play-doh...
- Nic więcej nie wiadomo?
- Nic konkretnego, ale w kłodzie znaleźli więcej tej różowej substancji.
- Czyli miała to na ciele?
- Może, ale bardziej prawdopodobne, że miała to wewnątrz ciała. W płucach lub żołądku.
- Nałykała się tego?
- Może w rym utonęła. Ta różowa maź mogła być przyczyną śmierci.
- Utonęła w tym? - W zamyśleniu szarpnął wąsy. - To była płynna masa?
- Nie wiem. Musimy poczekać na raport.
- Zaraz. To brzmi nieprawdopodobnie. Dlaczego ktoś miałby zabijać człowieka za pomocą takiej różowej substancji?
- Oficjalnie jeszcze nie wiemy, czy to było zabójstwo.

Skierował na nią wzrok.

- Myślisz, że to było samobójstwo? W wyniku inhalowania się różową breją? A na koniec wylądowała na szczycie góry, w wydrążonej kłodzie? Co to za dziwaczny rytuał?

* Jane Doe, żeński odpowiednik Joego Doe, osoba bez imienia, nazwiska, bez znanego miejsca zamieszkania itp. (przyp. tłum.).

- Po prostu próbuję myśleć racjonalnie.
- Zapomnij o racjonalności. Bo to nie jest racjonalne. I nie jest to też wypadek. Mamy do czynienia z zabójstwem, jestem tego pewien. Ale po co tyle fatygi? Dlaczego po prostu nie zastrzelić ofiary, udusić czy poderżnąć gardło?
- Kto wie? - Wzruszyła ramionami. - Jeśli twoja teoria jest słuszna, mamy i na wolności psychopatę czy też mieliśmy zeszłej zimy. Zrobił swoje, postanowił pozbyć się ciała i zniknął. Minęło trochę czasu, od kiedy ta dziewczyna straciła życie. Nasz przyjemniaczek mógł ruszyć dalej.

Carter zastanawiał się nad tym, mrużąc oczy. Spojrzał za okno i zobaczył złowieszcze, szare niebo wiszące nad miasteczkiem przycupniętym u podnóża Gór Kaskadowych. Odizolowanym od świata. Jedynym liczącym się połączeniem z resztą cywilizacji była międzystanowa autostrada 1-84, biegnąca na tym odcinku równolegle z Kolumbią. Przyjrzał się uważnie porośniętym drzewami grzbietom górskim i pomyślał, nie pierwszy raz, że strome zbocza i ciemne lasy otaczające Falls Crossing są idealną kryjówką dla człowieka uciekającego przed wymiarem sprawiedliwości. Ale psychopata? Na samą myśl o tym aż zacisnął zęby.

- Postaramy się dowiedzieć, kim ona jest. Będziemy współpracować z policją stanową, pozwolimy im poprowadzić tę sprawę, bo i tak będą chcieli się tym zająć, a poza tym dysponują lepszymi środkami niż my.
- Drapiąc się po podbródku, dodał: - Porozmawiam z Lanym Sparksem ze stanowej. Jestem pewien, że zgodzi się informować nas na bieżąco.
- To niepodobne do ciebie, żeby zwracać się po pomoc do innych jednostek.
- Bo ta sprawa jest inna - powiedział, nie dodając, że ma złe przeczucia.
- Skontaktuj się ponownie ze wszystkimi okolicznymi okręgami jurysdykcyjnymi w Oregonie, Waszyngtonie, Idaho, Kalifornii, nawet zachodniej Montanie. Zobaczmy, może coś będzie pasowało do naszej układanki. Dowiedz się, czy były inne przypadki znalezienia zwłok kobiet z nieznaną substancją we włosach lub w ciele.

BJ skinęła głową.

- Coś jeszcze? - zapytała, rzucając mu na biurko tekturową teczkę z raportami dotyczącymi zaginionych osób.
- Tak - powiedział, sięgając po słuchawkę, żeby zadzwonić do porucznika Sparksa. - Dostarcz mi jak najszybciej raport z wynikami autopsji Jane Doe.

Rozdział 5

Cassie nalegała, żeby ją wysadzić dwie przecznice od szkoły. Nie chciała, żeby widziano ją, jak wysiada z tej „kupy złomu”. Już i tak wstyd jej było, że zatrzymał ich szeryf. Jenna, zła z powodu mandatu, nie zamierzała się kłócić z córką. Jeśli Cassie chce marznąć, to trudno. Cassie zdawała się zupełnie nie przejmować temperaturą. Poszła jak na spacer, z komórką przyklejoną do ucha, a wiatr rozwiewał jej włosy, smagając nimi twarz i oczy. Jak matka z córką, Jenna pomyślała, że

wieczorem muszą porozmawiać. Wydawało się to zupełnie proste, a mimo to miała ściśnięty żołądek, przewidując, co się może wydarzyć.

Wysadziła Allie pod Harrington Junior High, już bez żadnych niespodzianek, a potem pojechała prosto do teatru, gdzie w pomieszczeniu, w którym kiedyś znajdowała się chrzcielnica, Rinda Dalinsky ubrana w golf, pikowaną kamizelkę i narciarskie spodnie popijała kawę z wielkiego kubka, robiąc ulotki na starej kserokopiarce. Była mniej więcej wzrostu Jenny, ale miała

niekiedy budowę, kasztanowe włosy, oliwkową skórę i bursztynowe oczy, które zawsze wydawały się jak podświetlone.

Jest Oliver? Jeśli tak, to uwaga. Przyproceedziłam psa - oznajmiła Jennm, za którą człapał radośnie Pokraka. Wąskie okna z witrażami filtrowały światło dzienne. Nieliczne ozdoby na wysokich ścianach świadczyły o dawnym charakterze tej budowli.

- Powiem mu - odrzyknęła Rinda i Jenna roześmiała się..

Oliver był starym, żółtym, przegowanym kotem, którego Rinda znalazła ukrywającego się pod werandą kościoła, kiedy rozpoczynali tu działalność teatralną. Nie miała serca oddać kota do miejscowego schroniska, więc natychmiast go adoptowała i ochrzciła imieniem Oliver na cześć swojego ulubionego bohatera z twórczości Charlesa Dickensa. Oliver stał się maskotką zespołu. Pokraka szczechnął i na widok Rindy zaczął szaleńczo wymachiwać ogonem.

Kot popędził jak błyskawica przez kilka przyległych pomieszczeń znajdujących się za sceną. Sycząc z oburzenia, wdrapał się po filarze, żeby ukryć się na poprzecznej belce. Pokraka, nadal zabiegając o względy Rindy, nawet tego nie zauważył. Rinda zachichotała rozbawiona.

- Zdaje się, że Oliver ma zbyt wielkie mniemanie o sobie.

- Jak każdy facet - powiedziała Jenna i pomyślała o policjancie, który zatrzymał ją rano. O przyjacielu Rindy. Szeryf Shane Carter był bardzo męskim typem o ciemnych oczach, gęstych wosach, mocno zarysowanej szczęce. I, jak jej się wydawało, wszystkich traktował z góry.

Oliver nie jest już facetem. Poddałam go sterylizacji. Jenna ponownie pomyślała o Carterze. Twardy. Seksowny. I cholernie upierdliwy. Lepiej go jednak nie krytykować, bo Rinda uważała szeryfa za ósmy cud świata.

- Pokraka też jest stworzeniem aseksualnym. Nad czym pracujesz? – Jenna wzięła jedną z kartek, które wypluwała kserokopiarka. - Ulotki?

Uhm. Pierwsza partia. Zrobimy coś bardziej konkretnego bliżej premiery, ale chcemy już teraz rozprowadzić to po mieście i dodać do naszej strony internetowej. Scott zajął się stroną artystyczną.

Syn Rindy, Scott, wyleciał z college'u i pracował dorywczo u swojej matki: projektował scenografię, malował dekoracje, a czasami, podczas przedstawień, pomagał bratu Rindy Wesowi Allenowi przy oświetleniu. Scott porafił zacytować dialogi niemal ze wszystkich ważniejszych filmów, począwszy od 1970 roku. Rinda wskazała na ulotkę, którą Jenna trzymała w ręce. -I co o tym myślisz?

- Podoba mi się. - Ulotka przypominała plakat filmowy z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, w pastelowych czerwonych i zielonych barwach. Nostalgia zawsze się sprawdza.

- Też tak myślę - powiedziała Rinda z pewnym wahaniem, jak zawsze, kiedy dotyczyło to jej jedyne go syna.

Jenna odłożyła ulotkę na szybko rosnący stos, sięgnęła po termos z kawą i napełniła filiżankę. Stary kościół zaadaptowany na teatr rozpaczliwie potrzebował izolacji. Obecnie, choć wiekowy piec grzał pełną parą, ciepło ulatniało się na zewnątrz przez okna z witrażami i cienkie drewniane ściany. Stan budynku pomimo wszystkich wysiłków Rindy stale się pogarszał.

- Jak idą przygotowania do przedstawienia? - zapytała Jenna. Zgodziła się pomóc przygotować niektórym aktorom, ale zgodnie z planem miała zacząć ćwiczyć z nimi dopiero na początku przyszłego tygodnia.

- Praca z dziećmi jest zawsze... wyzwaniem.

- A dorośli są lepsi?

- Odrobinę.

- Przewiduję wielki sukces. Sala będzie pękać w szwach.

- Byłby sukces, gdybyś ty grała Mary Bailey! - Rinda zaczęła urabiać ją, zresztą nie pierwszy raz.

- Masz przecież Madge Quintanna. - Jenna otworzyła torebkę ze śmietanką i wsypała biały proszek do filiżanki, nad którą uniosły się wirujące chmurki. - Poza tym ja już mam zajęcie.

Rinda nie zamierzała rezygnować.

- Madge jest... jak to ująć? Jest okropna. Sztywna jak deska.

- Poprawi się. - Jenna upiła na próbę łyk kawy. - Powiedziałam jej, żeby obejrzała film, zanim zaczniemy razem pracować w przyszłym tygodniu. Donna Reed była niesamowita. Madge na pewno to załapie.

- Ona nie jest naturalna. W przeciwieństwie do ciebie.

Jenna pozostała głucha na błagania Rindy.

- Czy nie mówiłam ci, że chętnie się w to zaangażuję, pod warunkiem że nie będę musiała sama grać co najmniej przez pięć lat?

- Ale ty masz powszechnie znane nazwisko.

- Miałam - poprawiła ją Jenna. - Zresztą... Może i nadal jest znane, ale już nie tak powszechnie.

- Byłaś pierwszoplanową aktorką hollywoodzką!

Jenna roześmiała się.

- Dajmy już temu spokój.

- Moglibyśmy dzięki temu załatwić sobie dobrą prasę.

Jenna wzdrygnęła się na tę myśl. Widziała już nieraz, ile szkód mogą wyrządzić rodzinie brukowce i plotki. Od czasu wypadku podczas zdjęć do jej ostatniego filmu wzbraniała się przed uczestnictwem w jakichkolwiek wydarzeniach medialnych. Ale Rinda żyła w innym wymiarze, czepiając się wszystkich pomysłów, jakie przyszły jej do głowy, żeby to gwiazdkowe przedstawienie stało się prawdziwym hitem. Przynajmniej na skalę Falls Crossing.

- Pomyśl tylko, co by to znaczyło dla tego przedstawienia, dla całego naszego zespołu, gdybyś pojawiła się na scenie! Moglibyśmy spłacić część zadłużenia i odpicować tę starą rudę! Zrobić izolację. Może nawet urządzić małą winiarnię. A to wszystko dopiero na początek. Pomyśl o oświetleniu i nagłośnieniu sterowanym przez komputer, o nowych kostiumach i kurtynie, która nie jest cała w strzępach pomimo ciągłego cerowania i łatania!

- Wolnego! - Jenna uniosła otwartą dłoń. - Wybiegasz myślą o wiele za daleko. Powiedziałam, że ci pomogę, obiecałam nawet pewną pomoc finansową, ale jeśli chodzi o występy czy firmowanie czegoś moim nazwiskiem,

I w żadnym wypadku sienie zgadzam. Pamiętam, że bardzo jasno określiłam, I o co mi chodzi. Że potrzebuję trochę czasu i spokoju dla siebie i moich dzie-[ci, że chcę uciec od Roberta, od Hollywood i po prostu stać się normalną mamą.

- Myślałby kto! - powiedziała Rinda, zabierając skserowane ulotki. - Nigdy nie będziesz „normalną” mamą.

- Może faktycznie jest to niemożliwe, ale naprawdę wolałabym unikać jakiegokolwiek rozgłosu.

To znaczy, że chcesz, by zapomniano o twoim nazwisku i twojej twarzy.

- Niech i tak będzie. Dzisiaj muszę skoncentrować się na tak fascynujących rzeczach, jak naprawa pompy. Nie mamy w domu wody i Hans uważa, że zepsuła się pompa elektryczna. Poza tym mam nadzieję, że mój dziup zapali, kiedy wrócę do domu. W przeciwnym razie będę musiała odholować go do warsztatu. Pewnie zrobił mi taki kawał z powodu mrozu.

- A może ciąży na tobie klątwa bóstw od mechaniki?

Jenna jęknęła i pomyślała o wszystkich awariach, które miały miejsce w ostatnim tygodniu -problemy z komputerem i dostępem do Internetu, rozładowująca się komórka, mikrofalówka, która wyzionęła ducha, a teraz zepsuta pompa i dżip, który nie chce zapalić.

- Miejmy nadzieję, że nie. Bo inaczej czeka mnie ciężka zima.

- Zima i tak będzie ciężka. Nie słyszałaś? Podobno ma to być najmroźniejsza zima od siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu lat.

Ludzie robią zakłady, czy rzeka całkowicie zamrze, co po raz ostatni zdarzyło się na początku lat trzydziestych ubiegłego wieku.

- Kolumbia? Naprawdę zamrzeła? - spytała zdziwiona Jenna. Jak musiało być zimno, by zamrzeła góraska rzeka płynąca do Oceanu Spokojnego.

Rinda uśmiechnęła się szeroko i dopiła swoją kawę.

- Tak. Na rzece była wtedy gruba warstwa lodu. Ludzie mogli przejeżdżać samochodami na drugi brzeg.

- Niewiarygodne - powiedziała Jenna, wyglądając przez oszronione szyby.

- Zdarza ci się czasem zastanawiać, czy dobrze zrobiłaś, przeprowadzając się tutaj?

- Cały czas się nad tym zastanawiam - zażartowała Jenna.

- De jest dzisiaj stopni ciepła w Los Angeles? Dwadzieścia? Dwadzieścia pięć?

- Prawie trzydzieści. Do tego pełne słońce.

- Przynajmniej zaoszczędzisz na kremie z filtrem.

- Bardzo śmieszne - powiedziała Jenna, upijając kolejny, duży łyk z filiżanki i czując, jak kawa rozgrzewa jej gardło. Wszystkie te sprawy, z którymi musiała się borykać, sprawiły, że ponownie zaczęła rozmyślać nad tym, czy nie popełniła błędu, przeprowadzając się tak daleko na północ. Czy jej wyjazd z Los Angeles rzeczywiście nie był, jak twierdziła Cassie, ucieczką od problemów? Czy jeszcze bardziej nie zagmatwała wszystkiego?

Drzwi teatru otworzyły się gwałtownie i wraz z podmuchem zimnego powietrza pojawił się Wes Allen, brat Rindy.

- Hej! - zawołała Rinda, rozpromieniając się.

- Cześć, Rindy. - Skinął Jennie głową, zatrzymując zbyt długo wzrok na jej twarzy. Jak zawsze. Niby nic wielkiego, ale jej to przeszkadzało. Był prawie trzydzieści centymetrów wyższy od swojej siostry. Oboje mieli gęste ciemne włosy, szczupłe sylwetki i białe zęby.

- Pomyślałem, że wpadnę przed pracą i jeszcze raz sprawdzę oświetlenie.

Może uda mi się coś zaradzić na to zwarcie.

- Byłoby super - powiedziała Rinda, obdarzając go spojrzeniem kochającej starszej siostry. - Naprawdę wolałabym, żeby nasz teatr nie poszedł z dymem.

Jenna rozejrzała się po stuletnim drewnianym budynku. Według wszelkich standardów ubezpieczeniowych siedzieli na beczce z prochem.

- Kobieto małej wiary! Nie dopuszczę do czegoś takiego. - Wes był bardzo pewny siebie. Nalał kawy do filiżanki, usiadł na rogu biurka Rindy i zajrzał do tekturowej teczki. - To te ulotki do nowego przedstawienia?

- Tak.

Wyciągnął jedną i przyglądał się jej krytycznie, dmuchając na kawę. Niezłe. Scott je zrobił?

Uhm. Mój dobrze zapowiadający się artysta - powiedziała Rinda. Wes włożył ulotki z powrotem do teczki i zwrócił się do Jenny. Słyszałaś o tych zwłokach, które znaleźli w Catwalk Point? Coś tam widziałam w porannych wiadomościach. Straszne, prawda? - powiedziała Rinda. - Człowiek nigdy by się czegoś takiego tutaj nie spodziewał... Chodzi mi o to, że to nie jest duże miasto i wszyscy wiedzą wszystko o sobie nawzajem.

- Nie uważam, żeby można było wiedzieć wszystko o drugim człowieku - stwierdziła Jenna.

- To dlatego że nie pochodzisz stąd - odparła Rinda.

- Nie, myślę, że Jenna ma rację - powiedział Wes. - Słyszałem, że każdy ma swoje życie publiczne, osobiste i prywatne. Życie publiczne to codzienny, rutynowy rozkład zajęć, wystawiony na widok wszystkich, osobiste życie prowadzisz z rodziną i przyjaciółmi, ale twoje życie prywatne jest tylko roje i nikt nie ma do niego dostępu.

- Chcesz powiedzieć, że tak naprawdę to mnie nie znasz, choć jesteśmy rodzeństwem?

- Nie znam twojego życia prywatnego. Nie znam twoich najbardziej intymnych myśli i poczynań. I żadna z was - przeniósł rękę z Rindy na Jennę - nie ma najmniejszego pojęcia, jaki jestem.

- Co chcesz przez to osiągnąć? Nastraszyć nas? - zapytała Rinda.

- Po prostu mówię wam, jak jest. - Mrugnął do Jenny. Postawił swoją filiżankę na brzegu biurka Rindy i skierował się w stronę schodów.

- Czasami potrafi być dziwny - szepnęła Rinda. - Nie wierzę, że naprawdę jesteśmy spokrewnieni.

- Słyszałem to! - powiedział gdzieś z góry. - Pamiętaj, Wielki Brat wszystko widzi i słyszy.

- To niech usłyszysz i to: bierz się do roboty.

- Dobra, dobra...

Takie są skutki tego, że pozwalam jemu i Scottowi bawić się tu kablami

- rzekła Rinda.

Dwadzieścia minut później schody zaskrzypiały pod ciężarem kroków Wesa.

- Zdaje się, że znalazłem miejsce awarii - oznajmił. - Poprowadzę nowy przewód, to powinno załatwić sprawę.

- Mam nadzieję.

- Zaufaj mi. - Zapiął kurtkę i przeniósł wzrok na Jennę. - Jak już mówiłem, moja siostra nie ma w sobie wiary.

- Mam. Tyle że ograniczoną - odparowała Rinda.

Spojrzał na zegarek i skrzywił się.

- Muszę lecieć. - Błysnął uśmiechem do siostry i Jenny. - Wygląda na to, że ostatnie słowo musi należeć do niej.

- Oczywiście - powiedziała Rinda, kiedy machnął ręką i wyszedł, stukając butami po podłodze z twardego drewna. Podwójne drzwi trzasnęły głośno za nim.

Rinda zadrżała, kiedy do środka wdarł się podmuch zimnego powietrza.

- Musimy znaleźć jakiś sposób na ocieplenie tego miejsca. - Podeszła do termostatu i podkręciła go o kilka stopni. - Nie można pozwolić, żeby widzowie pozamarzali nam tutaj. Przy okazji, miałam cię o coś zapytać.

- Słucham.

- Czy zabrałaś z powrotem tę czarną, jedwabną sukienkę, no wiesz, taką elegancką, z wyszywaniem koralikami dekoltem? Tę, którą miałaś na sobie w *Odkupieniu*.

- Czy zabrałam? Nie. Podarowałam ją przecież zespołowi. Dlaczego pytasz?

Rinda ściągnęła brwi.

- Brakuje jej.

- Jak to brakuje?

- Lynnetta przyszła tu w weekend, bo miała zrobić jakieś przeróbki, ale nie mogła jej znaleźć.

- Sukienka była w tej dużej szafie z kostiumami.

- Wiem. Sprawdzalam.

- Widziałam ją tam w zeszłym tygodniu.

Jenna poszła za scenę, gdzie kiedyś znajdowały się biuro parafialne i mieszkanie proboszcza. Przez kolejne lata wiele się zmieniło, aż w końcu powstał tam prawdziwy labirynt niczym w kolonii królików. Garderoby, szafy na kostiumy, charakteryzatorka z trzema stanowiskami, spory schowek na dekoracje i rekwizyty. Stare schody prowadziły na górę do przeszklonej reżyserki, skąd kontrolowano oświetlenie i nagłośnienie. Stamtąd strome schody szły jeszcze wyżej, ostatecznie docierając do dzwonnicy, której Rinda po nabyciu kościoła po prostu nie miała serca zburzyć. Jenna szybko przetrząsała ubrania na wieszakach w głównej szafie. Przeszukała ją dwa razy. Sukienki faktycznie brakowało.

- Musiała gdzieś się zawieruszyć - powiedziała, chcąc przekonać zarówno samą siebie, jak i Rindę.

Przeszukała kilkanaście mniejszych szaf, sprawdziła wieszaki przymocowane do drzwi i duże wiklinowe kosze, ale sukienki nigdzie nie było. - Tajemnicza sprawa, co? - mruknęła Rinda.

- Może leży pod sceną?

- Jest tam tylko kurz nieruszany od lat.

- Ktoś musiał ją pożyczyć.

- Albo ukraść.

- Po co? - spytała, choć znała odpowiedź.

- Bo należała do ciebie. Nosiłaś ją w filmie. Nadal masz fanów, wiesz? To, że odeszłaś ze świata filmu, nie oznacza, że wszyscy zapomnieli o tobie i zniknęli z powierzchni ziemi. Poszukam na e-Bayu. Jeśli ten ktoś nie ukradł sukienki do prywatnej kolekcji, będzie próbował szybko na niej zarobić.

- Na e-Bayu?

Rinda skinęła głową.

- Nie uwierzyłybyś, co ludzie tam sprzedają. Słyszałam o handlu narzędziami, a jeden facet próbował nawet sprzedać duszę.

Jenna roześmiała się.

- I znalazł chętnego?

- Uhm. Zgłosił się niejaki Lucyfer.

- Och, daruj sobie! - Roześmiała się, ale poczuła chłód na ramionach, jakby przecucie czegoś znacznie gorszego niż strata sukienki.

Kiedy wróciły do biura, z twarzy Rindy zniknął uśmiech.

- Brakuje też innych rzeczy, podarowanych przez ciebie. Pamiętasz, jak parę tygodni temu pytałam cię o bransoletkę i kolczyki...

- Tak, ale uznałam, że po prostu gdzieś się zawieruszyły.

Rinda jeszcze bardziej się nachmurzyła.

- Och, daj spokój, chyba nie myślisz, że zostały ukradzione, że mamy tu złodzieja? - zawołała Jenna.
- Mam nadzieję, że nie. Najgorsze jest to, że jeśli ktoś faktycznie zwinął tę sukienkę, bransoletkę i inne rzeczy, musi tu pracować, ma dostęp do teatru.
- Zapędzasz się za daleko. Te przedmioty po prostu się gdzieś zapodziały - upierała się Jenna, nie chcąc dopuścić do tego, by udzieliły się jej obawy Rindy. Miała dość własnych problemów. Ale wszystkie te rzeczy są jej. Ktokolwiek to robi, zabiera je, bo należały do niej.
- Daj temu spokój - mruknęła do siebie.
- Słucham?
- Nic. Po prostu mówiłam do siebie.
- Nie jest to dobry objaw. W każdym razie zrobię listę wszystkich rzeczy, które się „zapodziały”. Porozmawiam o tym z Shane’em.
- Z szeryfem? - Jenna powróciła myślami do spotkania z nim niecałą godziną temu. Poczwała, że pałą ją policzki. - Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.
- Dlaczego?
- Ma znacznie poważniejsze problemy do rozwiązania, począwszy od sprawy martwej kobiety znalezionej w lesie. Nie zwracaj mu tym głowy.
- Chętnie się tym zajmie.
- Carter? - Czy Rinda oszalała? Szeryf był małowówny, szorstki, urzędowy. Na pewno nie chciałby, żeby zwracano mu głowę czymś tak nieistotnym, jak brakujące przedmioty w teatrze. Mogła sobie wyobrazić kpinę w jego ciemnych oczach, gdyby zwróciła się do niego w sprawie tej kradzieży. Była pewna, że uznałby to za błańostkę.
- Carter to mój stary przyjaciel. Jest mi winien przysługę. Nie rozumiem, dlaczego go nie lubisz.
- Lubienie go nie ma tu nic do rzeczy. Po prostu go nie znam.
- Bo nie próbowałaś go poznać.
- Dobrze, jeśli chcesz wiedzieć, zatrzymał mnie dziś rano — przyznała się Jenna. - Wlepił mi mandat.
- Na litość boską, dlaczego nic nie mówiłaś?
- Nie chciałam tego rozpamiętywać. — Jenna opowiedziała, jak Carter zatrzymał ją z powodu niesprawnych tylnych świateł. — Nasze poranne spotkanie nie było zbyt przyjemne, więc nie wydaje mi się, żeby poważnie potraktował skargę, że zniknęło kilka moich rzeczy.

- Po prostu wykonywał swoją pracę.
 - Znalaziono zwłoki kobiety, połowa hrabstwa jest bez prądu, na drogach lodowisko, a on ściga mnie z powodu tylnych świateł? - Jenna zawrzała gniewem.
 - Powinnaś była mu powiedzieć, że jesteś moją przyjaciółką.
 - Jasne, to z pewnością zapewniłoby mi jego sympatię - zakpiła Jenna, przypominając sobie surowe oblicze Cartera, smagane przez wiatr ze śniegiem. - Po prostu wykreślmy Cartera z mojego karneciku, dobra? Zabrzęczała jej komórka. Otworzyła klapkę telefonu i powiedziała ostro:
 - Słucham.
 - Mamo - usłyszała zmartwiony głos Allie - masz mój plecak?
 - Nie... nie wiem, może, nie jestem w tej chwili w samochodzie. Zostawiłaś go tam?
 - Nie wiem, ale czy mogłabyś przywieźć mi go do szkoły? Mam tam pracę domową, z matematyki i jeśli jej dzisiaj nie oddam... Już jadę, Allie. Nie martw się. - Oby tylko plecak był w pickupie, a nie gdzieś w domu. - Znajdę go i zostawię ci w sekretariacie.
 - Dzięki, mam.
 - Nie ma sprawy - powiedziała Jenna, czując ulgę, gdyż wydawało się, to jej młodsza córka zupełnie zapomniała już o bólu gardła. Przynajmniej na razie.
 - Muszę lecieć - zawołała przez ramię. - Mały kłopot w gimnazjum. Kiedy dotarła do drzwi, otworzyły się one szeroko i do środka wpadła mała, żwawa Lynnetta Swaggert.
 - Wielkie nieba! Ale zimnica na dworze! - Zawołała, rozcierając ręce. Lynnetta, żona miejscowego kaznodziei, pracowała w biurze rachunkowym, a w wolnym czasie udzielała się społecznie w teatrze. Poza prowadzeniem księgowości przerabiała również stare kostiumy i szyła nowe.
 - A będzie jeszcze gorzej - powiedziała Rinda.
 - Co za radosne wieści - rzuciła w odpowiedzi Lynnetta, po czym spojrzała na Jennę. - Wychodzisz?
 - Tak. Zobaczymy się później.
 - Stara się być „normalną mamą” - zakpiła Rinda.
- Lynnetta zachichotała, a jej piwne oczy błysnęły figlarnie.
- Czy w ogóle istnieje coś takiego?
- Jenna pomyślała, że pewnie nie. Wyszła na dwór i postawiła kołnierz kurtki. Lynnetta miała rację co do pogody. Oziębilo się jeszcze o kilka stopni.

Chuchnęła w dłonie, zagwizdała na Pokrakę i wgramoliła się do pickupa. Plecak Allie, wielki jak nie wiadomo co, leżał wciśnięty za kanapę. - Gotów na małą wycieczkę? - zapytała psa. - Wracamy do Harrington Junior High.

Pies zaskomlał i Jenna poklepała jego głowę, wyjeżdżając z parkingu.

A więc w końcu odjeżdża.

Dobrze.

Siedział w swoim pickupie na parkingu sklepu spożywczego. Kilka innych samochodów, vanów i furgonetek, stało w pewnej odległości na zaśnieżonym asfalcie, ale nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Przez przednią szybę śledził przykościelny parking. Widział, jak wyjeżdżała starym samochodem na niemal puste ulice miasta.

Nie tracił czasu. Uruchomił silnik i wyjechał z parkingu w samą porę, żeby zobaczyć, jak skręca z głównej ulicy parę przecznic przed nim.

Trzymał się za nią w bezpiecznej odległości, za fordem explorerem i cysterną.

Czuł dreszczyk emocji, że jest tak blisko, a ona nie ma o tym pojęcia.

Nawet nie wie, kim właściwie jestem.

- Ale się dowie - powiedział na głos i poczuł dobrze znane podniecenie, które jak zawsze pojawiała się z nadejściem zimy. Przebywanie tak blisko niej było niebezpieczne, chociaż na wypadek, gdyby ktoś go zauważył, miał alibi. To właśnie podobało mu się w tym mieście; mógł sobie chodzić, rozmawiać z mieszkańcami i nikt z nich nie wiedział, kim naprawdę był i co robił. Był przyjacielem wszystkich i jednocześnie zupełnie obcy. Patrzył, jak wjeżdża na parking gimnazjum. Pojechał za nią i wśliznął się w wolne miejsce, niezbyt daleko od niej.

Nie zauważyła.

Skupiona na swojej misji popędziła prosto do szkoły, nie zdając sobie sprawy, że był niedaleko.

Obliznął usta i zauważył odbicie swoich oczu w lusterku.

Lodowato-niebieskie.

Śmiercionośne

Ale ona tego jeszcze nie wiedziała.

Szkoła znajdowała się w miarę blisko centrum miasta. Jenna zaparkowana samochód i próbując ignorować zimny wiatr dmuchający na szkolnym podwórku, zaniósła plecak Allie do budynku z czerwonej cegły. Było już po pierwszym dzwonku i dzieciaki zebrane w głównym holu rozchodziły się pospiesznie w różnych kierunkach, prowadząc ożywione rozmowy, biegając to tu, to tam, śmiejąc się i popychając nawzajem. Nie było wśród nich Allie, ale Jenna zwróciła uwagę na grupkę dziewcząt przy drzwiach do sali gimnastycznej. Wpatrywały się w nią, a jedna nawet pokazywała ją palcem.

Powinna już była do tego się przyzwyczać. Dopóki istnieją płyty DVD i kasety wideo, zawsze znajdzie się ktoś, kto ją rozpozna. Uśmiechnęła się do tej dziewczyny i pomachała jej. A ona natychmiast opuściła rękę i zarumieniła się po uszy.

- Sława - powiedział męski głos - to czasem prawdziwe utrapienie, prawda? Jenna odwróciła się i zobaczyła Trvisa Settlera wchodzącego do szkoły. Travis, ojciec Dani, szkolnej przyjaciółki Allie, był wdowcem i okazywał Jennie pewne zainteresowanie. Spotkali się parę razy na kawie i nawet siedzieli razem podczas zebrania dla rodziców, ku konsternacji jej córki.

Dobrze pamiętała tę rozmowę.

Mamo, nie możesz umawiać się z panem Settlerem - powiedziała Allie, wyraźnie zażenowana na myśl, że jej matka spotyka się z ojcem Dani. To właśnie Dani wygadała się, że Jenna i Travis spotkali się wcześniej tego dnia w miejscowej kawiarni. Allie przypuściła na Jennę frontalny atak w drodze powrotnej ze szkoły.

- Z panem Brennanem też nie mogę się umawiać - odparowała Jenna, kiedy jechały przez miasto.

Zgadza się! Nie możesz umawiać się z nikim. To zbyt krępujące!

- Aleja też mam swoje życie, zrozum - zaprotestowała Jenna.

- Ale ty jesteś sławna... widzieli cię na filmach i... - Allie wzruszyła ramionami i zaczerwieniła się, po czym wyjrzała przez boczną szybę dżipa. — No wiesz.

- Widzieli mnie prawie nagą na ekranie.

- Właśnie! - powiedziała Allie. - Wiesz, jakie to dziwaczne?

Tak, wszyscy, których spotykała w tym małym miasteczku, prawdopodobnie widzieli ją mniej lub bardziej roznegliżowaną w kinie czy na ekranach telewizorów w zaciszu swoich domów.

- Więc... nie możesz spotykać się z... panem Settlerem- upierała się Allie z wypiekami na twarzy. - On oglądał te filmy. Wiem to, Widziałam

płyty DVD na jego półce. *Odkupienie, Koniec lata, Mrok, Świadek.*

Wszystkie! Nawet *Utracona niewinności* Akurat to było w odtwarzaczu! Ile miałaś lat, kiedy grałaś w tym filmie? Czternaście?

- Coś koło tego - przyznała Jenna.

- Byłaś w moim wieku. To straszne.

Jenna nie była w stanie spierać się z Allie.

Dowiedziała się kiedyś od właściciela miejscowej wypożyczalni, że jej filmy mają szczególne powodzenie.

Allie miała rację. To było straszne. I to jeszcze jak.

Chociaż tyle razy tłumaczyła sobie, że należało to do jej zawodu, nigdy nie czuła się dobrze z taką sławą. A tym bardziej tutaj. Za każdym razem, kiedy spotykała kogoś w tym mieście, czy to był barman, czy bibliotekarz, zastanawiała się, co sobie o niej myśleli, jeśli oglądali jej filmy.

W Los Angeles nikt się nie przejmował takimi sprawami. Wszyscy byli związani z branżą filmową w ten czy inny sposób. Ale tutaj, w tej małej prowincjonalnej mieścinie w Oregonie, traktowano to inaczej.

Teraz, patrząc na Travisa w holu Harrington Junior High, Jenna powiedziała:

- Wierz mi, sława bardzo cięży.

- A mimo to każdy stara się ją osiągnąć w ten czy inny sposób.

- Pewnie tak. - Przeszli korytarzem do przeszklonego biura. Travis przytrzymał przed nią otwarte drzwi. - Allie zapomniała plecaka? - spytał. - A może to twój?

Plecak był brezentowy, z różowo-fioletowymi nadrukami w stylu militarnego kamuflażu, zdaniem Jenny brzydki jak nie wiadomo co. Ale Allie była do niego bardzo przywiązana, bo otrzymała go w zeszłym roku od ojca jako prezent gwiazdkowy. Został dostarczony w dużym pudle, bez wątpienia zapakowanym przez najnowszą żonę Roberta, wypełnionym podarunkami, których, jak przypuszczała Jenna, Robert nigdy nie widział. Plecak został zakupiony w modnym butik przy Rodeo Drive i zapewne kosztował niemało.

- Nie, to nie jest mój plecak - odparła Jenna z uśmiechem. - Należy do mojej córki. Swój zostawiłam w domu. Jest bardzo podobny, też z maskującym wzorem, ale wykończony złotą lamą. Pasuje jak ulał do wieczorowego stroju. Oszczędzam go na ważne randki. - Obdarzyła go uśmiechem i zauważyła, że jego niebieskie oczy zmrużyły się w kącikach.

- No to wybierzmy się kiedyś na kolację. Potraktujemy ją jak randkę i mogłabyś zabrać swój plecak.

- Pewnie, że bym go wzięła - powiedziała, podając plecak Allie sekretarce. - Dopilnuje pani, żeby odebrała go Allison Kramer? - zapytała.

- Oczywiście - zapewniła sekretarka, biorąc od niej plecak, a od Trvisa kopertę dla Dani.

- Pieniądze na lunch - wyjaśnił Jennie, kiedy wyszli razem na zewnątrz. -Zostawiła je na blacie w kuchni. Gdyby poczuła głód, może by na przyszłość pamiętała, ale... - Wzruszył ramionami.

- Ulitowałeś się nad nią.

- Tak. Może następnym razem.

- Jasne - zakpiła. Lodowaty wiatr hulał na boisku, wspólnym dla gimnazjum i szkoły podstawowej. Puste huštawki zakołysały się, brzęcząc łańcuchami. - Przewidują na dziś wieczór największe opady śniegu tej zimy - powiedział Travis.

Jenna rzuciła okien na ołowiane niebo, kiedy szli szybko na parking.

- Całkiem możliwe.

Znajdziesz trochę czasu na filiżankę kawy, zanim rozpęta się śnieżycą?

Z chęcią bym się napiła, ale może innym razem. Mam kłopot z dzipem, lompą i masą innych rzeczy.

Mógłbym ci w czymś pomóc? ..Jenna uśmiechnęła się.

- Ostrożnie - powiedziała- nie wiesz, w co się pakujesz. - Otworzyła z szarpnięciem drzwi swojego pickupa. Pokraka zaczął szaleńczo wymachiwać ogonem, kiedy wspięła się za kierownicę. - Ale może skorzystam z twojej propozycji, jeśli zaśnie będzie mógł sobie poradzić.

- Świetnie. Pamiętaj.

- Będę pamiętać.

Zamknęła drzwi i zmusiła stary samochód, żeby zapalił. Z trudem wymanewrowała tym wielkim wehikułem z oblodzonego parkingu.

Zerknęła we wsteczne lusterko i zobaczyła Trvisa, który z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie kurtki szedł do swojej terenówki. Był dobrze zbudowany, przystojny, miał wyraziste rysy i przenikliwe oczy. Jego brązowawe włosy jaśniały latem. Podobno jego żona umarła z powodu jakiejś nieuleczalnej choćby. Może któregoś dnia coś więcej o tym powie. Jeśli ona da mu taką szansę.

- Daj spokój, urwijmy się ze szkoły. - Josh położył rękę na jej ramieniu i jego twarz znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od jej, kiedy tak siedzieli, paląc papierosy, w jego pickupie, relikcie z lat siedemdziesiątych, który podrasował olbrzymimi oponami, chromowanymi felgami i takim stereo, że ryk muzyki niemal unosił dach kabiny. Nadwozie furgonetki było

tak wysoko, że Cassie musiała korzystać ze specjalnego stopnia przy progu, żeby wgramolić się do środka. Josh uważał, że ma świetną brykę. - Już i tak jesteście spóźnieni. Dlaczego nie zrobić sobie wolnego na cały dzień? Bo matka mnie zabije. Mogę wyjaśnić, dlaczego spóźniłam się na lekcję, coś wymyślić, ale jeśli zerwę się z całego dnia, będę uziemiona do końca życia!

- Zawsze cię uziemia.

To prawda. Cassie zaciągnęła się głęboko papierosem i wypuściła dym nosem.

- Jakoś się później wykpisz.

- Już i tak muszę wymyślić jakąś ściemę na temat zeszłej nocy.

- Cholera. - Opuścił szybę i prztyknięciem wyrzucił na zewnątrz niedopałek marlboro. - Powinnaś być bardziej ostrożna.

- My - przypomniała mu, próbując opanować złość. - My powinniśmy być bardziej ostrożni. - Zerknęła przez boczną szybę na park, teraz pusty, z nieruchomymi huśtawkami na placu zabaw i drzewami bez liści. - Chyba nie powinnam była się wymykać.

- Ale dobrze się bawiłaś, prawda? - Zaczął pieścić jej szyję, ocierając się ustami o jej kark, ale odepchnęła go.

- Było w porządku.

- Nie, skarbie, było super. - Uścisnął ją, podkreślając znaczenie swoich słów.

- Tak - powiedziała bez entuzjazmu. Owszem, dobrze się bawiła, pojechali w góry, gdzie się zatrzymali, paląc trawkę i pijąc piwo, ale nadal miała mieszane uczucia co do tego wszystkiego. Nie dlatego że została przyłapaną. Nie dlatego że nawiała z domu. Z powodu Josha. Czasami zachowywał się jak prawdziwy wieśniak, czasami myślała, że bardziej jest zainteresowany jej sławną matką niż nią. Westchnęła. Przez osiemnaście miesięcy, od kiedy tu mieszkała, nie udało jej się z nikim zaprzyjaźnić, nie miała nikogo, na kogo mogłaby naprawdę liczyć. No, poza Joshem. Ale czasami i w to wątpiła. W Los Angeles miała mnóstwo przyjaciół z prywatnej szkoły, do której posłał ją ojciec. To z nimi spędzała czas. Były to bogate dzieciaki, niektóre z bardzo znanych rodzin, powiązanych w jakiś sposób z branżą filmową lub muzyczną. Paige, Colby i Bella... prawdziwe przyjaciółki, które ją rozumiały. A te prostaki z Falls Crossing patrzyły na nią, jakby była jakimś dziwolągiem.

Może i była.

Zadrzała. Choć Josh podkreślił ogrzewanie w pickapie, nadal było jej zimno.

Ta cholerna pogoda i beznadziejny samochód miały się nijak do jej

wyobrażenia o idealnej randce. W Los Angeles byłoby ciepło. Może nawet upalnie. I siedziałyby w bmw, rangę roverze czy kabrioletcie mercedesa. W jakimś nowiutkim samochodzie, który miałby wszystkie bajery w standardzie i nie trzeba by go było samodzielnie „uatrakcyjnić”.

- Pojedźmy do Catwalk Point - powiedział Josh, a ona poczuła, że jej krew ścina się lodem.

- Po co?

- Nie słyszałaś? Znaleźli tam trupa.

- I chcesz tam jechać?

- To najbardziej interesująca rzecz, jaka wydarzyła się tutaj od wielu lat. Uważam, że powinniśmy to sprawdzić.

- Nie ma mowy.

- Tchórzysz?

- Tam są gliny, zostaniemy przyłapani na wagarowaniu.

- Nie, jeśli będziemy ostrożni.

- Zapomnij o tym.

- Nie mogę - powiedział i jego oczy rozbłysły ekscytacją. Cassie poczuła jak wzdłuż kręgosłupa przechodzi ją dreszcz spowodowany strachem.

I może było to zaintrygowanie? Nie mogła jednak ryzykować. Nie dzisiaj.

- Posłuchaj, naprawdę muszę iść. - Zgasiła papierosa w popielniczce i otworzyła drzwi.

- Och, daj spokój. Naprawdę chcesz iść na chemię i angielski?

- Nie. Nie chcę. - Zeskakując na twardą ziemię, spojrzała na niego.

Miał miną proszącego psa. Był ostrzyżony prawie na łyso, miał cieniutkie baczki i skąpą kozią bródkę wbrew szkolnym regułom. Twierdził, że jego rodzicom w ogóle na nim nie zależy, a ojczym uważa szkołę za stratę czasu. Wyglądało na to, że matka postawiła kreskę na swoich dzieciach. Jego plany na przyszłość nie uwzględniały pójścia do college'u. Wolał zaciągnąć się do wojska. - Naprawdę muszę iść.

Zanim zdążył zaprotestować, ruszyła energicznie w stronę szkoły. Już i tak opuściła piętnastominutowy apel, na którym były odczytywane ogłoszenia i sprawdzano listę obecności. Miała więc przechlapane. Ze szkoły zadzwonią zaraz do jej matki.

Przebiegła aleję i usłyszała, jak Josh zapala silnik pickupa. Wielkie opony zapiszczały, kiedy ruszył ostro w stronę wyjazdu z miasta.

No i dobrze! Nawet się nie obejrzała, na wypadek gdyby miał ją zobaczyć we wstecznym lusterku. Niezależnie od tego, co myślała jej mama,

Cassie nie zawsze robiła to, co chciał Josh. Wcale nie znajdowała się pod jego urokiem. Czasami jej mama naprawdę gada głupoty.

Wbiegła po schodach do szkoły.

Żeby mama nauczyła się wreszcie zadawać sensowne pytania. A przede wszystkim, żeby nauczyła się słuchać. Wtedy będzie można żyć.

Rozdział 7

Znam się o wiele lepiej na koniach niż na maszynach - przyznał Hans, wycierając ręce i wpatrując się w pompę w małym pomieszczeniu pomiędzy stodołą a garażem. Hans Dvorak był niskim, drobnej budowy, ale silnym mężczyzną, ze srebrzystą szczecinią na podbródku i płaskim, boksterskim nosem. Przez całe życie pracował na świeżym powietrzu z końmi, czego dowodem była jego ogorzała cera. Udało mu się wymienić tylne światła w pickupie, ale z pompą była zupełnie inna historia.

- Całkiem zamarzła.
- Czerwony na twarzy, z wełnianą czapką naciągniętą na uszy, klęknął na jedno kolano.
- I zdaje się, że znam powód. Spójrz na ten kabel.

Oświetlił latarką zwisający luźno przewód. Był na końcu tak postrzępiony, jakby obgryzało je jakieś zwierzę.

- Prawdopodobnie uda mi się go połączyć, ale rozejrzyj się.
- Omiótł promieniem latarki wnętrze starej szopy. Brudnej, zakurzonej, pozbawionej odpowiedniej izolacji, przez co było bardzo zimno. Pojedyncza żarówka na suficie żarzyła się słabym światłem.

Agent, który wyszukał dla niej ranczo, radził natychmiast wymienić instalację elektryczną, zmodernizować sieć wodnokanalizacyjną, zrobić nowy dach, ulepszyć system alarmowy, ale ona postanowiła od razu tu się wprowadzić, obiecując sobie, że później zajmie się wszystkimi niezbędnymi naprawami. Nic też dziwnego, że pompa, brama elektroniczna, system alarmowy i inne urządzenia zdawały się żyć własnym życiem. Ciągłe były naprawiane i ciągle się psuły.

- Wiesz, całe lata powtarzałem McReedym, że potrzebna jest nowa instalacja elektryczna. Ale czy Asa mnie słuchał? Oczywiście, że nie! Kiedy postanowił wystawić ranczo na sprzedaż, byłem pewien, że wszystko ponaprawia, ale nie musiał nawet kiwnąć palcem, bo zaraz zjawiłaś się ty.

- Powinna była zająć się tym wszystkim, jak tylko się tu wprowadziłam.
- Poświęciła dużo czasu i pieniędzy na wymianę okien i drzwi, odrestaurowanie drewnianych podłóg, zajęła się też instalacją elektryczną w domu. Uznała, że budynki gospodarcze mogą poczekać.

Najwyraźniej się myliła. - Zamierzałam przeprowadzić dalszą modernizację na wiosnę. Zdaje się, że czekałam zbyt długo - powiedziała Jenna, wypuszczając z ust obłoczek pary. Boże, ale było zimno. I z minuty na minutę temperatura spadała.

- No cóż, jakoś sobie poradzimy - powiedział Hans, pocierając podbródek. - Mam w korytach dość wody dla koni, ale zamarznie przez noc. - Zmrużył oczy i potrząsnął głową. - Powinienem być przyjąć tu wczoraj i za lać rury gorącą wodą, żeby nie zamarły. Gdybym to zrobił, może zauważyłbym, co się dzieje z instalacją, i nie mielibyśmy teraz tego problemu.

- To nie twoja wina. Myślę, że najlepiej będzie, jak sprowadzę tu zaraz hydraulika.

- I elektryka.

- I mechanika.

Wcześniej przyjrzeni się dżipowi, próbując go uruchomić. Ale cholerny silnik odmówił współpracy.

- Nie ma kogoś, kto sam dałby radę zająć się tym wszystkim?

- Może i jest. Jim Klondike, złota rączka, ale prawdopodobnie teraz ma masę roboty. - Hans uniósł czapkę i podrapał się po prawie łysej głowie. Jest jeszcze Seth Whitaker i... no, jak mu tam, ten facet, który mieszka nad rzeką... - Pstryknął palcami. - Don Ramsby. Ma własny warsztat. Oni wszyscy mogą być teraz bardzo zajęci. Prawdopodobnie wielu ludzi znalazło się dzisiaj w tej samej sytuacji co ty.

- Wyobrażam sobie.

Kiedy Hans poszedł do stajni, gdzie stało pięć uwielbianych przez Allie koni, Jenna wróciła do domu, zamierzając sama poszukać jakiegoś specja. W gabinecie wysunęła szufladę, w której trzymała książki telefoniczne, i zauważyła czerwone światełko, migające na automatycznej sekretarce. Przestraszyła się, że Allie poczuła się gorzej lub zostawiła coś jeszcze w samochodzie. Odsłuchiwała wiadomości. Pierwsza była z liceum. Cassie, którą wysadziła parę przecznic od szkoły, nie przyszła na apel. Najwyraźniej spotkała się z Joshem. Tyle wyszło z jej strofowania. Druga wiadomość była od Harrisona Brennana, jej sąsiada. Dobiegał pięćdziesiątki, był samotnym, emerytowanym wojskowym z sił powietrznych i już nieraz dawał jej do zrozumienia, że na ranczu przydałby się facet, który pomógłby jej to wszystko utrzymać w porządku.

Dzisiaj pomyślała, że miał rację.

Umówili się parę razy i nie ulegało wątpliwości, że jest nią zainteresowany. Ona nie do końca wiedziała, co czuje do niego, ale z pewnością nie był

miłością jej życia, ani „bratnią duszą”. Po prostu był jej znajomym. I chyba nikim więcej nigdy nie zostanie.

- Przepraszam, ale stęskniłem się za tobą- usłyszała słowa Harrisona. - Chciałem sprawdzić, co u ciebie. Słyszałem, że czeka nas niezła śnieżycyca. Czy nie trzeba ci w czymś pomóc? Zadzwoń do mnie, kiedy wrócisz do domu. Wahala się. Nie chciała być zależna od Harrisona. Po co ma wiedzieć, że sama nie bardzo sobie ze wszystkim radzi? Kiedy przeprowadziła się do Falls Crossing, postanowiła nie zaciągać żadnych zobowiązań. Małżeństwo z Robertem nauczyło ją, że może liczyć tylko na siebie.

A może jej znajomi w Kalifornii mieli rację? Może jej przeprowadzka na północ była pochopną decyzją? Wtedy wydawało się, że to świetny pomysł: porzucić niewiernego męża, gasnącą karierę i pełne blichtru życie w południowej Kalifornii. Chciała czegoś bardziej autentycznego dla swoich dwóch córek i dla siebie, a ta wielka posiadłość, położona w górzystym terenie nad rzeką Kolumbią, od razu przykuła jej uwagę, kiedy przyjechała w odwiedziny do swojej przyjaciółki Rindy i zobaczyła tabliczkę z napisem NA SPRZEDAŻ, przytwierdzoną do bramy. Zadzwoiła do miejscowego pośrednika od nieruchomości, obejrzała ranczo i złożyła ofertę. Zapewniający prywatność jej nowy dom znajdował się dostatecznie blisko autostrady 1-84, żeby mogła w ciągu godziny znaleźć się w Portland. Miejsce to wydawało się idealne, gdy się tu wprowadzała. Posiadłość była położona między wzgórzami, obsadzona dębami, sosnami i jodłami, przecięta strumieniem, z pięcioma końmi, starym, ślepowym psem i dwupiętrowym domem z drewnianych bali. Wszystko to razem sprawiało, że przeprowadzka na ranczo wydawała się właśnie tym, czego potrzebowała jej mała, rozbita rodzina.

Spadzisty dach, mansardowe okna i przeszklone drzwi pasowały do drewnianego wnętrza domu z dwoma olbrzymimi, kamiennymi kominkami. Dom, należący swego czasu do drzewnego magnata, był staromodny i przytulny.

Jenna zakochała się w tym ranczu.

Po raz pierwszy zobaczyła je w ciepły letni dzień. Widok bystrej rzeki zapierał dech w piersiach. Było to w czasie, kiedy próbowała uciec od koszmaru, którym stało się jej życie. Dom miał urok drewnianej chaty i znajdował się zaledwie pół godziny drogi od tras narciarskich na Mount Hood.

Wydawał się specjalnie stworzony dla niej i jej dzieci.

Ale nie dzisiaj. Teraz, kiedy w wąwozie hulał wiatr, groziła im śnieżycyca i fala mrozów, a do tego nie było bieżącej wody, miejsce to nie było już takie czarujące.

Chwilę po tym jak wyłączyła sekretarkę, zadzwonił telefon. Jenna podniosła słuchawkę, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, usłyszała:

- Mamo? Tu Cassie. Nie byłam na pierwszej lekcji, ale teraz jestem już w szkole. Muszę lecieć, bo pan Rivers zaznaczył mi nieobecność także na chemii.

- Dlaczego się spóźniłaś?

- To skomplikowane. Opowiem ci o tym, jak wrócę do domu.

Chciałam tylko, żebyś wiedziała, że wszystko w porządku.

- Cassie, zaczekaj... - powiedziała Jenna, ale jej córka się rozłączyła. -

Cudownie - westchnęła. Spojrzała w dół na Pokrakę, który walił ogonem o podłogę. - Po prostu cudownie.

- Dzwoniłem do Departamentu Transportu w Oregonie. Wysłali już piaskarki i pługi. Oprócz śniegu możemy mieć jeszcze opady marznącego deszczu. W takim wypadku nie tylko stracimy połączenie drogowe, ale będą przerwy w dostawie energii elektrycznej i ludzie zostaną uwięzieni w domach. Na razie I-84 jest przejezdna, ale jeśli warunki się pogorszą, policja stanowa ją zamknie. - Zastępca szeryfa Hixx zdawał relację ze swojego samochodu patrolowego. Carter, który miał włączoną funkcję głośnego mówienia, słuchał go jednym uchem, jednocześnie sprawdzając swoją skrzynkę e-mailową, z nadzieją, że znajdzie coś z laboratorium kryminalnego w sprawie Jane Doe.

- Informuj mnie na bieżąco o warunkach drogowych. Może będziemy mieć szczęście i śnieżycy nas minie.

- Tak, jasne - powiedział Hixx ponurym głosem. - Znasz to stare powiedzenie „kiedy piekło zamarźnie”? Myślę, że właśnie teraz nas to czeka.

Dwudziestodwuletni Bili Hixx był raczej pesymistą, ale tym razem prawdopodobnie miał rację. Jeśli śnieżycy będzie tak silna, jak przewidywano, zamieni życie wszystkich w piekło, zwłaszcza elektryków, drogowców i stróżów prawa. Spojrzał przez okno i zauważył, jak bardzo pociemniało niebo, szare chmury rozrastały się złowieszczo nad tą częścią doliny Kolumbii.

Drzwi jego biura były uchylone i słyszał, jak jego sekretarka mówi:

- Proszę poczekać... Zobaczę, czy nie jest zajęty...

Za późno. W jego drzwiach stanęła Rinda Dalinsky.

- Jesteś zajęty? - spytała z dobrze mu znanym uśmiechem.

- Jak zawsze. Zapytaj Jerri.

Jego sekretarka weszła za Rindą do gabinetu. Była wściekła.

- Próbowalam ją zatrzymać - wyjaśniła.

Carter odprawił Jerri machnięciem ręki.

- W porządku. Wiesz, że to moja stara przyjaciółka.

- Nie musisz tak podkreślać słowa „stara” - Rinda zwróciła mu uwagę.

- Gdzieżbym się odważył. - Po raz pierwszy tego dnia Carter

uśmiechnął się. Znał Rindę Allen z czasów dzieciństwa. Ich kontakt

urwał się, kiedy Rinda wyszła za mąż i przeprowadziła się do

Kalifornii. Nawiązali od nowa znajomość, gdy Rinda wróciła do Falls

Crossing jako rozwódka z dzieckiem. Nigdy nie romansowali ze sobą.

Dawno temu Rinda Allen była najlepszą przyjaciółką Carolyn. To właśnie

ona zaaranżowała randkę w ciemno, żeby Carolyn i Shane, a oboje mieli

opory, mogli się poznać. I to się liczyło. Przez te wszystkie lata Rinda

Dalinsky wyświadczyła szeryfowi mnóstwo różnych przysług i dlatego

miała prawo od czasu do czasu zachowywać się niezgodnie z

obowiązującymi regułami.

- Sam mówiłeś, że powinniśmy trzymać się regulaminu –

przypomniała mu wzburzona Jerri.

- Zgadza się, a ty spełniłaś swój obowiązek.

- Jej wtargnięcie tutaj jest niezgodne z regulaminem.

- Nie szkodzi. Dziękuję. - Mrugnął do Jerri, czerwonej ze złości. -

Mogłabyś zamknąć drzwi?

- Oczywiście.

Kiedy tylko drzwi się zamknęły, Rinda jęknęła: - Jesteś nie do

zniesienia, Carter.

- Tak mówią.

- Ależ ona jest zasadnicza. - Rinda klapnęła na krzesło i zaczęła

przyglądać się samotnemu kwiatu na kaktusie bożonarodzeniowym,

stojącym w rogu jego biurka, jedynej roślinie, jaka mogła tu żyć. -

Ostatnio panuje tu trochę napięta atmosfera, co?

- Zdaje się.

- Ustaliliście tożsamość tej kobiety z Catwalk Point?

- Przyszedł tu, żeby wyciągnąć ode mnie informacje? Co się stało?

Porzuciłaś teatr dla kariery dziennikarskiej?

- Nie, po prostu zaprzęta mnie ta sprawa, pewnie jak wszystkich.

- Niepokoisz się?

- A ty?

- Staram się zachować trzeźwy punkt widzenia - powiedział, nie chcąc

przyznać się komukolwiek, nawet Rindzie, że ta sprawa z Jane Doe

martwiła go z wielu względów. Tak, niepokoił się. Nawet bardzo.

- Przyszłam tutaj, bo jesteście przyjaciółmi.
- O co chodzi? - zapytał, gdy wiekowy grzejnik przełączył się na najwyższy bieg i szum powietrza pompowanego przez stare rury zagłuszył buczenie komputerów i dzwonienie telefonów za drzwiami jego gabinetu.
- Zginęły pewne rzeczy z teatru - oznajmiła Rinda.
- Jakie rzeczy?
- Rekwizyty. Kostiumy. Sztuczna biżuteria. Właściwie nic cennego.
- Jesteś pewna, że się gdzieś nie zapodziały?

Posłała mu wymowne spojrzenie, by przypomniawszy sobie, że nie jest idiotką.

- Z początku nie miałam pewności. Ale ostatnia rzecz, która zniknęła, zaniepokoiła mnie. To czarna sukienka podarowana przez Jennę Hughes. Prawdopodobnie sukienka sama w sobie jest warta zaledwie kilkaset dolarów, ale ponieważ Jenna miała ją na sobie w jednym z filmów, zwiększa to jej wartość rynkową.

- Przyszedł tu, bo zginęła sukienka? - zapytał, nie kryjąc zaskoczenia. - Naprawdę?

Rinda odwróciła się na krześle, unikając jego wzroku. Wpatrywała się za jedno z okien jego gabinetu. Szron pokrył szyby, rozmywając kontury budynków po drugiej stronie ulicy.

- A może jest coś jeszcze? - ciągnął ją za język. Miał nadzieję, że nie wspomni o tym cholernym mandacie.

- No dobra... tak - przyznała, patrząc znów na niego. - Nie wiem, komu innemu mogłabym to powiedzieć, Shane. Kiedy zorientowałam się w sytuacji, trochę zgłupiałam.

- Ale o co chodzi?

- Wszystkie zaginione przedmioty kiedyś należały do Jenny Hughes, co więcej - otworzyła torebkę i wyciągnęła kartkę z wydrukiem komputerowym - były rekwizytami z jej filmów. Dwie bransoletki, pierścionek, szal, okulary przeciwsłoneczne, trzy pary butów. Teraz brakuje jeszcze czarnej sukienki. Tej, którą miała na sobie w *Odkupieniu*. - Podała wydruk Carterowi. — Może powinnam była wcześniej się tym zająć, ale myślałam, że te rzeczy po prostu się zapodziały. Nie skojarzyłam, że wszystko, czego brakuje, pochodzi z filmów Jenny. Dzisiaj, po tym jak nie mogłyśmy z Jenną znaleźć sukienki, zrobiłam tę listę. Dopiero wtedy to do mnie dotarło.

- Dobrze szukałaś?
- Oczywiście!

- Pytałaś o te rzeczy personel i aktorów?
- Cały ranek wydzwaniałam do ludzi, którzy mają do nich dostęp.
- Czyli wszystko to jest pod kluczem?
- Nie, zamykany jest tylko teatr. Nie ma klódek w szafach, garderobach i schowkach.
- Może powinnaś je założyć?
- Traktujesz mnie protekcyjnie.
- Nie, wcale nie - zaprzeczył. - Po prostu nie wiem, co mogę z tym zrobić.
- Chcesz powiedzieć, że jesteś zbyt zajęty?
- Zgadza się. Rozmawiałaś z policją miejską?
- Jeszcze nie. Doszłam do wniosku, że mnie wyśmieją.
- A ja?
- Ty możesz się śmiać, nic sobie z tego nie robię.
- Rozumiem. To sprawa osobista, tak naprawdę nie nadaje się dla policji.
- Przynajmniej na razie. Po prostu pomyślałam, że powinnam o tym z kimś porozmawiać. - Pochyliła się do przodu na krześle. - Nie dziwi cię, że wszystko, co zniknęło, należało kiedyś do Jenny Hughes?
- Nie bardzo - odparł Carter. - Jest najślawniejszą osobą w okolicy. To ma sens.
- Chyba w jakimś chorym znaczeniu.
- Owszem, - Przesunął listę z powrotem do Rindy, myśląc o Jane Doe i groźbie śnieżycy. W starym obozie drwali w lesie, po wschodniej stronie, było włamanie. U podnóża Mount Hood zaginął turysta, a na południu hrabstwa odkryto laboratorium produkujące metaamfetaminę. Dwóch nietrzeźwych wjechało terenówką w boczną ścianę sklepu Grandy'ego; obaj wylądowali w więzieniu. W pobliżu Multnomah Falls na parkingu napadnięto kierowcę. I została zamordowana kobieta. Telefon Cartera dzwonił przez cały ranek. - Niewiele mogę zrobić, Rindo. Mamy pracy po uszy, a przy tej pogodzie może być tylko gorzej. Spróbuj szczęścia z chłopcami z miejskiej.
- Nie jestem z nimi w najlepszych stosunkach. - Wskazała na kartkę leżącą między nimi. - To kopia, niech tu zostanie. Dobrze, porozmawiam z inspektorem Twinkle'em, jeśli tak sobie życzysz.
- On nazywa się Winkle.
- Oczywiście, Rip Van Winkle, księżycowy gość z opowieści Irvinga.
- Uważaj, co mówisz. To najlepszy po mnie gliniarz w Falls Crossing. Pracujemy razem.

- W takim razie masz przechłapanie, jeśli to on będzie ochraniać cię od tyłu - powiedziała ironicznie, podnosząc się. - Jest za bardzo zajęty ściganiem nastolatków, żeby zabrać się do prawdziwej policyjnej roboty. Carter wiedział, o co jej chodziło. Kilka lat temu syn Rindy, Scott, miał okazję zapoznać się bliżej z lokalną policją. Rinda poprosiła Cartera o interwencję w tej sprawie u inspektora Winkle'a.

- Dobrze, zatrzymam tę listę, ale nie mam ludzi, którzy mogliby się tym zająć - powiedział i gwałtownie odsunął się do tyłu ze swoim krzesłem.

- Porozmawiaj z Wade'em, zgłoś kradzież i pozamykaj wszystko, dobrze?

Możesz nawet sprawić sobie psa obronnego do pilnowania teatru.

- Więc nie jest to dla ciebie wystarczająco poważne przestępstwo?

- Być może w ogóle nie mamy tu do czynienia z przestępstwem.

- Mówię ci...

- To sprawa priorytetów, Rindo. - Podeszedł do drzwi i otworzył je, dając do zrozumienia, że ich spotkanie dobiegło końca.

Już stojąc, Rinda powiesiła na ramieniu torebkę.

- Dobra, dobra, rozumiem. Wiem, że jesteś zajęty. Ale to naprawdę mnie niepokoi... jest jakieś dziwne.

Nie odpowiedział. Rinda podeszła do drzwi, spoza których było słychać buczenie komputerów, dzwonienie telefonów i dźwięki rozmów. , - Ale wiesz, co ci jeszcze powiem, Shane? Naprawdę uważam, że powinieneś dać Jennie szansę, zamiast od razu wlepić mandat.

- Wiedziałem, że ten temat wypłynie - powiedział, spinając się. - Poprosiła cię o interwencję? Żebym go unieważnił?

- Oczywiście, że nie. Słuchaj, zapomnijmy o tym. Kogo to obchodzi?

- Jezu, Rinda, nigdy się nie poddajesz, co?

- I za to mnie kochasz. Powinieneś ją poznać. Nie jako surowy glina. Na gruncie towarzyskim.

- Nie potrzebuję nikogo poznawać. Rozumiesz? - Ale przed oczyma stanął mu obraz Jenny Hughes; nie tej drobnej kobiety, wciśniętej za kierownicę starego forda, tylko gwiazdy hollywoodzkiej. Była marzeniem każdego faceta. Lśniące czarne włosy, duże zielonkawe oczy, pełne piersi, wąska talia i jędrna pupa, z czym afiszowała się we wszystkich swoich filmach. To były jej znaki fabryczne. Miała twarz w kształcie serca, twarz, która w jednej chwili mogła wydawać się niewinna, a w następnej emanowała seksem. Miała taki rodzaj twarzy, który sprawiał, że facet chciał ją chronić, jednocześnie licząc, że zaciągnie ją do łóżka. I

jeszcze cała ta sława, która jej towarzyszyła. Gwiazda z Hollywood. Nie w jego typie. Absolutnie nie w jego typie.

- Myślę, że mógłbyś ją polubić.
- Ty zawsze uważasz, że mógłbym kogoś polubić.
- Miałam rację co do Carolyn.
- Z początku.
- Chyba nie powinniśmy poruszać tego tematu.
- Pewnie nie.
- Gdybyście tylko mieli dość czasu... Wiedziała, że była dla ciebie stworzona.

Miała rację. Nie było sensu tego roztrząsać.

- Zgoda, masz szczęśliwą rękę, ale co z tego?

Zmarszczyła czoło, dotknęła jego rękawa.

- Nie możesz opłakiwać jej do końca życia.
- A czy to robię?
- Tak mi się wydaje.
- Bo nie umawiam się na randki? Spójrz na siebie.
- Nie rozmawiamy teraz o mnie.
- W porządku. O mnie też nie rozmawiajmy.
- Polubiłbyś ją, Shane - upierała się Rinda, omijając biurko Jerri i przechodząc do innych pomieszczeń biura.

Myliła się co do jego życia osobistego. Bardzo się myliła. Pewnie sama też to wiedziała, ale po prostu nie mogła się z tym pogodzić.

Tak samo jak on.

Rozdział 8

Nienawidzę tego miejsca - powiedziała Cassie, siedząc po turecku na swoim łóżku i patrząc wilkiem na matkę zza zasłony gęstych włosów. Słuchawki dyndały zwieszono z szyi i nadal słyszała słowa ulubionej piosenki, ale nie mogła się skoncentrować, kiedy Jenna stała w drzwiach jak średniowieczny wartownik. - Nigdy nie chciałam się tu przeprowadzać, Allie też nie, więc nie możesz mnie winić, jeśli nie układa się tak idealnie, jak tego oczekiwałaś.

- Nie oczekiwałaś, że będzie idealnie, Cassie. Nic nie jest idealne.
- Los Angeles było.

Cassie gotowała siew środku. Zauważyła, że jej matka skrzywiła się, wiedziała, że dotknęła czulego miejsca.

- Wcale nie.

- Może nie dla ciebie, ale zrobiłaś dokładnie to, przed czym zawsze przestrzegasz mnie i Allie. Uciekłaś. Z powodu taty i cioci Jill.

Jenny zbladła. Cassie czuła, że posunęła się za daleko, ale przecież matka zasłużyła na to.

- Przywiozłam was tutaj, bo myślałam, że tak będzie najlepiej dla nas wszystkich.

- Tak, jasne - warknęła Cassie. - I nie miało to nic wspólnego z *Białą ciemnością* ?

- Boże - szepnęła Jenna, opierając się o futrynę tego pokoju w dziwnym kształcie, z mansardowymi oknami i ławami.

Cassie czuła się parszywie, ale nie chciała, żeby to było po niej widać.

- Masz rację, Cass. Wyjechałam, żeby uciec od tego wszystkiego i... tak bardzo brakowało mi Jill, czułam się naprawdę okropnie z powodu tego, co się jej stało.

Cassie nie chciała sprawić matce bólu, chciała tylko, żeby się od niej odczepiła.

- Po prostu zostaw mnie samą - powiedziała gniewnie, choć tak naprawdę miała ochotę wybuchnąć płaczem.

- Nie, dopóki nie wyjaśnimy sobie paru rzeczy.

- Myślałam, że już to zrobiliśmy. Dostałam szlaban. Przyjęłam to do wiadomości.

- Zeszłej nocy też miałaś szlaban i co? A dzisiaj urwałaś się z lekcji.

Nie wydaje mi się, żebyś coś zrozumiała.

- Boże, mam, daj już spokój.

- Przecież wiesz, kochanie, że nie chcę z tobą walczyć.

- W takim razie odpuść już sobie.

- Nie mogę. Bardzo chciałabym być twoją kumpelką, ale jestem twoją matką i do moich obowiązków należy...

Cassie jęknęła, nie słuchając reszty. Wetknęła słuchawki z powrotem do uszu, próbując skupić się na muzyce. Ale Jenna weszła do pokoju i usiadła nieproszona na brzegu jej łóżka. Jakby faktycznie były „kumpelkami”. Jezu! Nie mogłaby po prostu wyjść? Cassie próbowała ją zignorować, zamykając oczy i usiłując zatracić się w muzyce, ale nic z tego nie wychodziło, kiedy matka siedziała przycupnięta w nogach łóżka. Czy ona nie rozumiała, jak trudno być córką Jenny Hughes? Być tak bardzo podobną do swojej sławnej matki? Wszyscy, których znała, czy to ze szkoły, czy z lekcji tańca, chcieli wiedzieć, jak to jest mieć za matkę taką gwiazdę, matkę, która wygląda raczej na jej starszą siostrę. Ile to razy Cassie widziała zdumione miny, którym towarzyszyły zawsze te same słowa: „To twoja córka? Niemożliwe. Jesteś zbyt młoda, żeby być jej

matką!” Jennie zawsze to schlebowało, ale Cassie była zażenowana. Podejrzewała, że każdy, kto był dla niej miły, robił to tylko dlatego, żeby zbliżyć się do Jenny Hughes, kiedyś wielkiej gwiazdy, pięknej kobiety, której życie było naznaczone tragedią, samotnej matki, starającej się od dawnego życia w świetle fleszy, dla dobra swoich dzieci. Dla Cassie to było za dużo. A do tego jeszcze Josh. Jej chłopak. Bardzo możliwe, że to było najgorsze ze wszystkiego. Cassie podejrzewała, że Josh zadawał się z nią tylko ze względu na Jennę. Odkryła jego sekretną kolekcję filmów DVD, którą chował w dolnej szufladzie swojej szafki nocnej. Miał również zdjęcia Jenny, które ściągnął z Internetu i wydrukował. Ale najbardziej obrzydliwe było to, jak zachowywał się za każdym razem, kiedy znaleźli się w towarzystwie jej matki. Bezskutecznie próbował ukryć fascynację Jenną Hughes. Po prostu nie mógł oderwać od niej oczu. Gapił się na nią w specyficzny sposób, który Cassie zdiagnozowała jako czyste pożądanie. Tak samo jak wszyscy inni faceci.

Nie, Josh nie kochał jej dlatego, że była wyjątkowa, jak zapewniał ją tysiąc razy. Jeśli w ogóle ją kochał, w co czasami wątpiła, to tylko dlatego że była córką Jenny Hughes. Cassie poczuła dławienie w gardle i zrobiło się jej gorąco. O, cholera, zbierało się jej na płacz! Nie ma mowy! W żadnym wypadku! Zacisnęła mocniej oczy, zdeterminowana nie uronić ani jednej łzy z powodu czegoś tak głupiego.

- Cassie? - Poczwała dłoń matki na swoim kolanie.
- Odejdź! - Cassie zwiększyła głośność w odtwarzaczu CD.
- Naprawdę musimy porozmawiać.

Czy zagłuszenie głosu matki było niemożliwe? Cholera!

- Zostaw mnie, mamó.

Z zamkniętymi oczami ponownie podkręciła głośność. Dłoń z jej kolana zniknęła, a materac się poruszył; prawdopodobnie Jenna wstała.

Po jakimś czasie Cassie delikatnie uniosła jedną powiekę. Pokój był pusty, drzwi uchylone. A więc Jenna wreszcie wyszła. Cassie poczuła wyrzuty sumienia. W głębi duszy wiedziała, że mamie naprawdę zależało na niej i Allie, ale popełniła kolosalną pomyłkę, przesiadając je do tego zapyziałego miasteczka na odludziu.

Życie towarzyskie Cassie gwałtownie zamarło, a Allie zrobiła się jeszcze bardziej nieśmiała niż w Los Angeles. Owszem, miała konie i lekcje gry na pianinie, ale poza tym zawsze siedziała zaszyta w swoim pokoju z gameboyem.

Jak ona sama z telewizorem i odtwarzaczem CD.

Rozgniewana na swoją matkę, siebie i cały cholerny świat, Cassie zerwała się z łóżka, przeszła pokój i cicho zamknęła drzwi. Potem chwyciła pilota i włączyła telewizor. Szukając reality-show, natrafiła na lokalne wiadomości. Reporter był w górach, w Catwalk Point, gdzie znaleziono martwą kobietę. Cassie zatrzymała się na chwilę na tym programie. Co za makabra! W szkole krążyły pogłoski, że szczątki tej kobiety były pozbawione głowy i poszarpane przez zwierzęta...

Zaczęła przerzucać kanały, aż znalazła program dla randkowiczów.

Otworzyła podręcznik do historii na wypadek, gdyby ponownie miała wtargnąć tu jej matka, i usadowiła się wśród poduszek.

Ciągle słysząc okrutne słowa Cassie, Jenna szła korytarzem. Powtarzała sobie, że musi być silna. Cassie była wściekła i rozdawała ciosy na oślep. Choć powiedziała wiele okropnych rzeczy, prawdopodobnie wcale tak nie myślała.

Czy była blisko prawdy?

Jenna wolała się w to nie zagłębiać. Nie chciała myśleć o Jill, o bolesnych powodach, dla których musiała opuścić Kalifornię. Rozwód nie był przyjemny, ale z tym mogła sobie jeszcze jakoś poradzić. Śmierć Jill to zupełnie inna sprawa. Znowu odezwało się poczucie winy, które nie dawało jej spokoju od czasu wypadku. Idąc do kuchni, Jenna mówiła sobie, że Cassie próbuje ją zranić jedynie dlatego, że sama cierpi. Trzeba dać jej parę godzin, żeby mogła się uspokoić, a potem spróbować jeszcze raz. Czasami jednak wydawało się jej, że nie ona tutaj rządzi.

Podgrzała kawę, którą zrobiła z zakupionej w mieście wody, a potem sprawdziła, co u Allie. Znalazła ją na podłodze małego gabinetu na dole; grała na game boyu, jednocześnie oglądając telewizję.

- Odrobiłaś już lekcje?

- W sumie tak - powiedziała Allie, wpatrując się w malutki ekran.

- Co znaczy „w sumie”?

- Nie mam nic zadane. Matematykę odrobiłam w szkole i pozostało mi tylko streścić książkę. - Uniosła wzrok i dodała: - Zrobię to po kolacji.

- W porządku. - Jenna nie miała siły na kolejną kłótnię. Podmuchała na kawę i poszła do kuchni. Wyciągnęła książkę telefoniczną z kredensu przy telefonie, a potem zaczęła uważnie przeglądać żółte strony. Dzwoniła już do kilku majstrów, których znalazła w lokalnej gazecie, ale wszędzie zgłaszały się automatyczne sekretarki. I jak na razie żaden z nich nie odpowiedział. Przekartkowała część z naprawami domowymi. Część tych nazwisk słyszała, inne były jej zupełnie obce. Należało unikać majstrów od

wszystkiego, którzy nie podejmowali się każdej pracy, w istocie nie znając się na niczym.

Może zadzwonić do Wesa Allena?

Natychmiast odrzuciła ten pomysł. Nie miała ochoty znaleźć się z nim sam na sam.

Należało też coś zrobić z dziupem. Albo zadzwonić do serwisu w Gresham, i kazać zaholować tam samochód, albo spróbować dogadać się w tej sprawie z miejscowym gościem, właścicielem jednej z dwóch stacji benzynowych w mieście.

- Decyzje, decyzje - mruknęła, sięgając po słuchawkę.

Kiedy czekała, aż ktoś odbierze, w jej głowie rozbrzmiewały bolesnym echem skarżenia Cassie. Czy opuściła Kalifornię w związku z *Białą ciemnością!* Głęboko w środku poczuła zadawniony ból. Jenna nadal nie potrafiła rozmawiać o wypadku, w którym zginęła jej siostra. *Biała ciemność* był to film, który nigdy nie został ukończony. *Biała ciemność* był to ukochany projekt Roberta, przeklęty od samego początku. *Biała ciemność* to koniec jej kariery, jej małżeństwa, dotychczasowego życia, przyczyna śmierci Jill.

- Usługi wodno-kanalizacyjne - powiedział radosny kobiecy głos, przerywając rozmyślenia Jenny. Głos prawdziwej, żywej istoty, a nie automatu.

- Świetnie. - Jenna uśmiechnęła się, odsuwając od siebie wszelkie myśli o tragedii, która zapędziła ją do Oregonu. - Mam nadzieję, że możecie mi pomóc. Mam pewien problem z pompą i...

- Proszę chwilę poczekać, dobrze?

Zanim Jenna zdołała odpowiedzieć, kobieta przełączyła się na drugą linię. Zapadła cisza. Jenna czekała i czekała, ale połączenie zostało przerwane. Odłożyła słuchawkę i ponownie wybrała numer, ale był zajęty. Oczywiście. Dziś wszystko szło nie tak. Spróbowała jeszcze raz, ale nic to nie dało.

- Świetnie - mruknęła i odłożyła słuchawkę. Czowała się tak, jakby ciążyła nad nią klątwa. - Trzeba coś z tym zrobić - powiedziała sobie, opierając się o parapet i przyglądając się przez szybę zimowemu zmierzchowi. Zewnętrzne światła już się paliły, rzucając na ziemię niesamowitą, niebieską poświatę. Wiatr w końcu ustał, a cisza, która zapanowała, wydawała się dziwna, nienaturalna.

Cisza przed burzą. Poczuła lodowaty dreszcz, który przeszedł wzdłuż kręgosłupa. W nadchodzącej nocy było coś mrocznego, przycającego, śmiercionośnego. Czowała to.

Zauważyła, że z nieba zaczynają spadać pierwsze płatki śniegu.

Była tam.

W środku tego chaotycznie zbudowanego, drewnianego domu.

Bez wątpienia Jenna Hughes czuła się bezpieczna. Spokojna.

Mylila się.

Śmiertelnie się myliła.

Płatki zimowego śniegu powoli spływały z szarego nieba, a on obserwował ją ze swojej kryjówki, sekretnego obserwatorium, które urządził sobie wysoko w gałęziach starej jodły, rosnącej od strony wzgórza. Jej ranczo rozciągało się poniżej, nad Kolumbią.

Rustykalny stary dom był punktem centralnym tego ogrodzonego terenu, jej azylu. Poszarzałe ściany na wysokość dwóch pięter sięgały okien mansardowych i stromego dachu. Przez oszronione szyby przebijały plamy światła; światło odbijało się od zamarznętej ziemi, przypominając mu o jego przeszłości, o tym, jak często przebywał na dworze, na zimnie, ze szczękającymi zębami, obserwując dym unoszący się z komina ciepłego zakazanego domu jego matki.

To było dawno temu.

Teraz, kierując wojskową lornetkę na okna, dostrzegł ją, przemieszczającą się po domu. Zanim zdążył nastawić ostrość, zniknęła z widoku, skręcając w korytarz.

Zauważył jakiś ruch w małym gabinecie na dole, ale to był tylko stary pies, schorowany owczarek niemiecki, który spał przez większą część dnia.

Gdzie ona była?

Gdzie, do licha, poszła?

Jego wewnętrzny głos mówił mu, że należy zachować cierpliwość.

Już wkrótce będzie mógł zrobić to, czego pragnął.

Padął coraz większy śnieg, przysypując gałęzie i pokrywając ziemię. Zerknął w dół, na białą pierzynę. Oczyma duszy widział krople krwi, ciepłe, parujące, które zamarzały powoli w nieregularne czerwone plamy.

Przeszedł go dreszcz podniecenia; mocny podmuch wiatru przeleciał z wyciem przez wąwóz, kłusając odkrytą skórę powyżej jego wełnianej maski na twarzy. Gałęzie, nad nim i wokół niego, kołysały się w dzikim tańcu, a on uśmiechał się, cieszył się z zimna, czuł, że to dobry znak.

Teraz śnieg sypał już porządnie.

To był odpowiedni czas.

Czekał tak długo.

Zbyt długo.

Kiedy w sypialni zapaliło się światło, znowu ją ujrzał. Długie włosy, zebrane w węzeł, spływały po jej plecach, kragłoci przykrywała workowata bluza, na jej twarzy nie było śladu makijażu, ale i tak była piękna. Podskoczyło mu ciśnienie, kiedy przeszła wzdłuż rzędu okien do garderoby. Zaszło mu w gardle. Może uda mu się zobaczyć ją nago, może mignie jej doskonale zbudowane ciało, wysportowana sylwetka, duże piersi, wcięta talia, ciało zarazem silne i bardzo kobiece. Poczul napięcie w kroczu. Czekał. Zignorował światło, które zapaliło się w innej części domu.

Wiedział, że to prawdopodobnie któraś z jej córek.

Jego usta zrobiły się suche jak piasek, a pożądanie rozgrzewało wyziębioną krew. Sypialnia z żółtawymi, sosnowymi ścianami i łagodnie płonącym ogniem w kominku nadal była pusta. Co, u licha, zabierało jej aż tyle czasu? Tak bardzo jej pragnął. Pragnął jej od dawna.

Oblizal zimne usta, kiedy wróciła, w czarnym staniku i dżinsach biodrówkach. Była piękna. Prawie doskonała w tych obcisłych spodniach. - Zdejmij je, Jenna - wymamrotał cicho, wypuszczając powietrze w postaci szarych obłoczków pary.

Jej piersi jakby za chwilę chciały wyskoczyć z tego seksownego, czarnego stanika. Ale ona poszła do łazienki. Wyregulował ostrość lornetki, kiedy nachyliła się nad umywalką, nakładając szminkę i malując rzęsy masarą. Widział jej tyłek, te słodkie, słodziutkie pośladki, opięte czarnym dżinsem, kiedy nachyliła się bardziej do lustra; dzięki jego gładkiej, szklanej powierzchni wpatrywał się w jej szeroko otwarte oczy, srebrzystozielone, obwiedzione gęstymi, czarnymi rzęsami. Przez moment zdawało się, że napotkała jego spojrzenie, że patrzy prosto na niego — zawahała się, trzymając w ręce szczoteczkę do nakładania tuszu. Pomiedzy jej wygiętymi łukowato brwiami pojawiły się zmarszczki, cień niepokoju. Jakby wiedziała. Jej oczy zwięzły się, a jego serce waliło jak oszalałe.

Odwrociła się szybko i zaczęła wpatrywać się za okno, w zapadającą ciemność i obficie sypiący śnieg. Czy to strach widział w jej zielonych oczach? Przeczucie?

— Poczekaj tylko — szepnął łagodnym głosem w grobowej ciszy lasu. Śnieg sypał już tak gęsto, że jej obraz był zamazany, a jego penis zrobił się nagle twardy jak skała, kiedy wyobraził sobie, co mógłby z nią zrobić.

Chwilowy strach Jenny zniknął, a na jej ustach pojawił się lekki uśmiech, jakby doszła do wniosku, że się wygłupiła. Zgasila światło w łazience i wróciła do sypialni. Wzięła z łóżka sweter i wciągnęła go przez głowę. Przez kilka sekund był w prawdziwej ekstazie, patrząc jak jej ręce uniosły się i przez moment nic nie widziała, uwięziona w swetrze, ale zaraz jej głowa wynurzyła

się z szerokiego półgolfu, a ręce wsunęły w rękawy. Odsunęła z dekoltu spięte włosy i zniknęła z pola widzenia, gasząc światło i wychodząc na korytarz.

W jego żyłach zawrzała żądza na myśl o niej.

Tak pięknej.

Aroganckiej.

Dumnej.

Ale już niedługo, całkiem niedługo rzuci ją na kolana.

Rozdział 9

Mam coś - powiedziała BJ, kiedy Carter następnego dnia wszedł do budynku sądu. Ostatnie trzy godziny spędził na miejscu wypadku - ciężarówka wpadła w poślizg i nastąpił niekontrolowany skręt przyczepy. Było to na I-84. Olbrzymia ciężarówka wjechała na niewidoczny na asfalcie lód i uderzyła w terenówkę pełną nastolatków jadących w góry na narty. Jeden z dzieciaków po obejrzeniu przez sanitariuszy został puszczony do domu, dwoje innych zabrały karetki do miejscowego szpitala, a kolejny poleciał karetką lotniczą do Portland. Kierowca osiemnastokołowej ciężarówki wyszedł z kolizji bez szwanku.

- Tylko mi nie mów, że masz więcej złych wiadomości - powiedział Carter, ściągając rękawiczki. Był zziębnięty, zmęczony i głodny, bo ominęły go zarówno śniadanie, jak i lunch. Marznący deszcz utrudniał ruch, szkoły były pozamykane, a teraz jeszcze przez wąwóz przetaczała się zamieć śnieżna. BJ nie zwracała uwagi na jego zły humor, kiedy wszedł do małej kuchni i nalał sobie filiżankę kawy z dzbanka stojącego na wolnym ogniu. Napił się i poczuł, jak gorący płyn rozpływa się po pustym żołądku. W końcu, kiedy już skierowali się do jego biura, spytała:

- O co zamęczasz mnie od ponad dwudziestu czterech godzin?

- O wyniki autopsji Jane Doe.

- Brawo. - Uśmiechnęła się do niego. - Poproś, a dostaniesz.

Wyniki leżały na jego biurku. Zdjął płaszcz i powiesił na wieszaku, a potem podniósł kartki z wydrukiem komputerowym i szybko je przejrzał.

- Przyczyna śmierci nie została ustalona.

- Zgadza się, ale przeczytaj o zębach. Niewątpliwie zostały spiłowane.

Nie znaleźliśmy dokumentacji stomatologicznej, więc nie możemy zidentyfikować jej w ten sposób. Na palcach nie miała ciała, więc nie ma odcisków. Niewiele z niej zostało, za mało, żeby zidentyfikować na

podstawie cech fizycznych. Żadnych tatuaży ani blizn, żadna z jej kości nie była złamana, przynajmniej żadna z tych, które znaleźliśmy. Ale zrobili analizę substancji z jej włosów.

Carter widział już tę notatkę.

- Lateks?
- Tak, ale pianka lateksowa.
- Coś w rodzaju gumy.
- Uhm. I trochę tego było w jej wnętrzu. Zobacz, co jeszcze znaleźli. Alginian.

A co to takiego, do diabła?

Alginian pochodzi z wodorostów, ma formę proszku, a po dodaniu wody powstaje substancja używana w protetyce, służąca do pobierania wycisków zębów. Miałeś kiedyś robioną koronkę? Żeby dobrze ją dopasować, trzeba wbić zęby w formę z półpłynną substancją o wiśniowym smaku. To jest właśnie alginian.

- Skąd to wiesz? - zapytał. BJ zawsze go zdumiewała.
- Jestem przyjaźnie nastawiona do Internetu.
- A więc kiedy ja marzną na najgorszej śnieżycy stulecia, ty surfujesz po sieci - powiedział oskarżycielsko, opierając się biodrem o brzeg biurka i ponownie studiując raport.
- Tak, a przy okazji pijam gorące kakao i zjadam czekoladki. – Uniosła figlarnie brwi. - Czy nie tak właśnie powinno być?
- Oczywiście - odparł sarkastycznie, próbując przetworzyć nowe informacje. - Dlaczego akurat alginian i lateks?
- Może to mieć jakiś związek ze spiłowanymi zębami.
- Myślisz, że mamy tu sadomasochistycznego dentystę?
- Nie wiem, z czym mamy tu do czynienia. - Spoważniała. - Ale nie podoba mi się to.
- Mnie też nie.
- Uważają, że nie żyje prawie od roku.

Carter skinął głową, przeglądając raport.

- Masz jeszcze jakieś informacje?
- Laboratorium kryminalne ciągle nad tym pracuje, ale nie znaleźli żadnych śladów opon ani odcisków stóp, żeby można było zrobić odlew, żadnych innych dowodów w najbliższym otoczeniu.
- Przecież sama nie wczołgała się do tej kłody.
- Nie, ale ktokolwiek to zrobił, zatarł za sobą ślady, zresztą to było tak dawno. Zmieniały się pory roku, zwierzęta rozszarpały ciało, erozja gleby

i deszcz też zrobiły swoje. Nawet wykrywacze metalu niczego nie znalazły. — BJ przyglądała ręką swoje krótkie włosy. — Wiesz, co mnie niepokoi?

Zęby. Ciągłe do tego wracam. Po co zabijać kogoś i jeszcze tracić czas na spiłowanie zębów?

- Może zrobił to, kiedy jeszcze żyła.
- Jezu! Nawet tak nie mów. Nie cierpią dentystów. Wiercenia i... Boże, to takie pokręcone.
- Może to go kręci.
- Musimy przygwoździć bydlaka.
- Jeśli nadal tu jest. Rok to dużo czasu. A może już mu się noga powinęła i odsiaduje swoje. Policja stanowa sprawdza, czy nie ma innych spraw, roz wiązanych albo i nie, podobnych do tego przypadku.
- Nic nie jest podobne do tego przypadku - powiedziała. -

Przynajmniej, mam taką nadzieję.

- Ja też - przyznał. Kiedy oddaliła się korytarzem, usadowił się na swoim krześle. Ponownie skontaktował się z Biurem Osób Zaginionych, a potem dokończył raport w sprawie wypadku na autostradzie, odbierając jednocześnie telefony i obserwując jednym okiem okno, gdzie do oszronionych szyb przyklejało się coraz więcej śniegu.

Jenna, osłaniając wełnianym szalem dolną część twarzy, przeszła trzy przecznice od warsztatu samochodowego do poczty. Skip Uhrig, właściciel warsztatu, obiecał, że jej dzip będzie gotowy za parę godzin. Należało tylko wymienić alternator.

Jeden problem z głowy, ale i tak pozostała ich cała masa. Przeszła przez ulicę, uważając, by nie pośliznąć się na oblodzonym chodniku. Z szarego nieba sypał skośnie śnieg, tak gęsty, że ograniczał widoczność. Obie jej córki zostały w domu, ponieważ z powodu pogody zamknięto wcześniej szkoły. Pchnęła przeszkłone drzwi poczty, mieszczącej się w ceglany budynku, wzniesionym pod koniec ubiegłego stulecia.

Znajdowały się tu cztery okienka, ale klientów obsługiwała tylko jedna osoba. Zresztą nie miało to żadnego znaczenia. W kolejce stały zaledwie dwie osoby, z których jedna, wysoka kobieta w długiej kurtce z kapturem, szalu i spodniach narciarskich, ciągle zerkała przez ramię na Jennę, kiedy otwierała swoją skrytkę pocztową, skąd wyciągnęła stos korespondencji. Jenna nie zwracała na to zbytnej uwagi. Coś takiego towarzyszyło jej na każdym kroku. Ludzie albo natychmiast ją rozpoznawali, zapominając języka w gębie, albo przyglądali się

ukradkowo, próbując przypisać jej twarz nazwisku. Nie spodziewali się zobaczyć jej w miasteczku, załatwiającej te same sprawy co oni.

Ponieważ miała kilka godzin, postanowiła przejść się do teatru i zobaczyć, czy Rinda nie da się namówić na lunch bądź filiżankę kawy w pobliskim barze. Wpychając korespondencję do torebki, otworzyła ramieniem drzwi i wyszła na ulicę. Chodniki były prawie puste, a zwykle i tak spokojny ruch kołowy jeszcze bardziej zmalął.

Szła uliczką, na której kosze na śmieci, zaparkowane samochody i garaże były pokryte dziesięciocentymetrową warstwą śniegu. Stromy, wysoki dach teatru przykrywała biała czapa, strzelista dzwonnica była wycelowana w ciemne niebo, a witraże w oknach żarzyły się od zapalonych w środku świateł. Dawny kościół wyglądał bardzo sielankowo i poruszał nostalgiczne nuty, dopiero po bliższym przyjrzeniu zauważało się popękana, odłóżką farbę, nadgniłe deski, kruszącą się zaprawę murarską w przejściach i mroczną wieżę, która bez krzyża na czubku wydawała się niedokończona i nieco złowieszcza.

Uważała, że zorganizowanie teatru w starym kościele było nieco dziwnym pomysłem, niezależnie od ulg podatkowych, jakie przysługiwały Rindzie w związku z odrestaurowaniem historycznego budynku.

Zamiast do głównych schodów poszła na skróty, od tyłu i weszła przez drzwi, prowadzące na klatkę schodową. Można stąd było dotrzeć do głównej części teatru lub zejść krętymi schodami do podziemia, gdzie znajdowała się kuchnia i garderoby - przed pięćdziesięcioma laty sale lekcyjne szkółki niedzielnej.

Na schodach rozbrzmiewały echem głosy. Rinda rozmawiała z jakimś mężczyzną.

- Mówiłem ci, żebyś porozmawiała z Winkle'em - powiedział z rozdrażnieniem.
- A ja ci mówiłam, że to strata czasu. On i ja mamy ze sobą na pieńku.
- Wiem, ale to by go nie powstrzymało od wykonywania swoich obowiązków.
- Posłuchaj, Shane, mam tu problem.
- Bo ktoś kradnie błyskotki, które kiedyś należały do gwiazdy? – odparł szorstko i Jenna zdała sobie sprawę, że Rinda rozmawiała z szeryfem. Świetnie. Przystanęła na klatce schodowej. - Czy to naprawdę takie dziwne? Nie rozumiesz? Nieważne, czy jest to Jenna Hughes, Jennifer Lopez, Drew Barrymore czy jakakolwiek inna osoba ze znaną twarzą i sławnym nazwiskiem; ludzie zawsze będą próbować się do niej zbliżyć, prosić o autograf, okazywać sympatię, kolekcjonować rzeczy, których kiedyś

używała. Gwiazdy same się o to proszą. To zupełnie naturalne. Taka jest cena sławy.

- Bzdury. Kradzież to kradzież.
- Dlatego tu jestem.
- Mogłeś przysłać któregoś ze swoich zastępców.
- Są dziś zbyt zajęci. Ja mam teraz przerwę na lunch i moja wizyta tutaj mieści się w ramach osobistej przysługi. Teraz się tu rozejrzę, chociaż mówiłaś, że już wszystko przeszukałaś i nie ma żadnych śladów włamania, brakuje jedynie rzeczy podarowanych przez Jennę Hughes. Przepytałaś ludzi, którzy tu pracują?
- Większość.
- Większość? - powtórzył, nie kryjąc sarkazmu.
- Nie wszyscy byli tu od czasu, kiedy zorientowałam się, że sukienka zniknęła. Obdzwoniłam tych, których mogłam, ale paru osób nie udało mi się złapać.
- Próbuj dalej. I porozmawiaj z panią Hughes. Może stwierdziła, że nie ma ochoty rozstawać się z tymi rzeczami.

Jenna zjeżyła się. Dlaczego uważał, że mogłaby zabrać z powrotem swoje stare kostiumy, które ofiarowała teatrowi?

- Nie zrobiłaby tego - zaprotestowała Rinda.
- Ale ktoś to zrobił.
- Nie Jenna.
- W takim razie kto?
- Spodziewam się, że to wyjaśnisz.

Zaklął pod nosem i mruknął coś w rodzaju: ostatni raz... cholerne hollywoodzkie gwiazdy... więcej z nimi problemów niż są warte... powinny siedzieć w Kalifornii, gdzie ich miejsce.

Jenna usłyszała już dość. Wspięła się na górę, do dawnej apsydy, a kiedy stanęła w otwartych drzwiach, zobaczyła Rindę i szeryfa, którzy stali w środkowej nawie przy pierwszym rzędzie ławek.

No to naprzód, powiedziała sobie, wchodząc do środka. Szeryf miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Szerokie plecy zwięzały się ku dołowi, przechodząc w wąską talię i szczupłe biodra; albo był z natury atletycznie zbudowany, albo musiał włożyć w to sporo pracy. W mundurze, choć z gołą głową (kapelusz trzymał w dłoni, przesuwając jego rondo między palcami), świetnie się prezentował. Uosobienie męskości. Nie było co do tego dwóch zdań.

- Zdaje się, że słyszałam moje nazwisko - powiedziała.
- Uhm. - Rinda skrzywiła się i oparła o ławkę.

Szeryf ledwie zerknął na nią przez ramię. Czarne oczy oszacowały ją bez cienia zainteresowania.

- Owszem, jeśli nazywa się pani Jenna Hughes. - Jego wzrok prześliznął się po jej twarzy i skinął głową, jakby potwierdził jej tożsamość. - A więc słyszała pani.

Przynajmniej nie udawał, że jej nie poznaje.

- Tak. I przekonałam się, że pan mi nie ufa. ,

- Nie ufam wielu ludziom - powiedział, przeciągając samogłoski. - To normalne w tym zawodzie.

- Domyślałam się - powiedziała, podchodząc bliżej. - Szkoda. -

Wyciągnęła do niego rękę. - A jednak nie ukradłam moich rzeczy.

Owszem, jechałam starym pickupem z niesprawnymi tylnymi światłami, ale w tym tygodniu to jedyne moje przewinienie względem prawa.

- O Boże! - szepnęła Rinda. Siedziała spięta na swoim miejscu, a jej twarz robiła się coraz bledsza.

- Dobrze wiedzieć. - Szeryf potrząsnął jej ręką na powitanie, ale nie pozwolił sobie nawet na cień uśmiechu. Nie wydawał się ani odrobinę zmieszany tym, że przypadkiem usłyszała ich rozmowę.

- Powiedziałam mu, że nie zabrałabyś sukienki- powiedziała Rinda, na której twarz powoli powracały kolory.

- Tak było.- Jego ciemnobrązowym oczom zapewne **nic** nie mogło umknąć.

Głęboko osadzonym pod osłoną czarnych brwi, na twarzy z wydatnymi kośćmi policzkowymi, które sugerowały, że pochodził od rdzennych Amerykanów. Jego włosy były prawie czarne i gęste, przetkane jedynie kilkoma srebrnymi nitkami. - Zresztą Rinda zawsze śpiewa hymny pochwalne na pani temat. Rinda wzruszyła ramionami, jakby odcinając się od tego wszystkiego.

- Ale pan otworzył jej oczy. - Jenna była zbyt zmęczona, żeby trzymać swój gniew w ryzach. Czowała, jak palą ją policzki. Jakim prawem ten szeryf osądza ją? - Uznał pan za stosowne dać jej... - Jenna wycelowała palec w kierunku Rindy - ..do zrozumienia, że wcale nie jestem taka wspaniała i że może nie powinno mi się ufać.

Pod gęstymi węsami drgnął mu kącik ust, jakby rozbawił go jej wybuch.

Jenna pomyślała, że gdyby się uśmiechnął, mógłby być przystojny. Była taka szansa. Niewielka, ale była. Może uśmiecha się do jakiejś innej kobiety.

Carter skinął głową.

- Po prostu chcę, żeby zachowywała obiektywizm.

- Hej! - wtrąciła się Rinda. - Nie rozmawiajcie o mnie, jakby mnie tutaj nie było!

- Marzenie ściętej głowy - zażartował Carter.

Jenna omal się nie uśmiechnęła. A więc miał poczucie humoru.

- Proszę posłuchać, szeryfie. Wiem, że jest pan zajęty - powiedziała, zadzierając głowę, żeby patrzeć mu w oczy. - Zdaje się, że najprościej byłoby, gdybym zastąpiła brakujące przedmioty innymi, które mam w domu. - Rinda chciała zaoponować, ale Jenna mówiła dalej. - I tym razem zamkniemy wszystko w szafie, do której tylko Rinda będzie miała klucz.

- Ale sukienka, bransoletki i...

- Może się jeszcze znajdą - powiedziała Jenna. - Jeśli nie, zrobimy, jak powiedziałam. Mam jeszcze inną sukienkę, która będzie się nadawać, i mnóstwo sztucznej biżuterii.

Rinda przeczesała włosy sztywnymi palcami.

- O Boże! Jenna, czuję się naprawdę okropnie z powodu tego wszystkiego.

- Na szczęście nie jest to sprawa życia i śmierci.

Carter zeszywniał, jakby go obraziła.

- Kradzież to przestępstwo. Porozmawiam z sierżantem Winkle'e z miejskiej policji. Przyśle tu kogoś. Tymczasem rozejrzę się tutaj. - Odwrócił się do Rindy. - Pokaż mi, gdzie trzymaliście te przedmioty.

Komu potrzebne są te gwiazdy? mówił sobie jakiś czas później, kierując się do baru. Spełnił swój obowiązek wobec przyjaciółki, rewanżując się za jedną z miliona przysług, wyświadczonych mu przez Rindę. Dla niego sprawa zaginięcia czarnej sukni wieczorowej Jenny Hughes była już zamknięta, i Cholera, co za strata czasu. A ta wielka gwiazda nawet nie wydawała się zainteresowana jego pomocą. Widział ją wcześniej parę razy z oddali w ciągu minionego półtora roku, ale nigdy nie poznali się osobiście. Nie był zakurzony, że jest taka drobna, ale jej siła wywarła na nim wrażenie.

W teatrze nie zachowywała się jak typowa hollywoodzka paranoiczka, nie urywała się na księżniczkę, której wszystko się należy. W ciągu tych kilku minut, kiedy z nią rozmawiał, wydała mu się zupełnie normalna, choć może trochę drażliwa i uparta, nieświadoma faktu, że nawet bez makijażu była zniewalająco piękna. I wyglądało na to, że wcale nie była wkurzona z powodu tego mandatu. Po obu stronach drogi leżały zwały śniegu, zmieszanego z piaskiem i żwirem, co świadczyło o tym, że jakiś czas temu jechał tędy pług śnieżny. Było zimno. I bez nadziei na zmianę. Meteorolodzy przewidywali, że będzie jeszcze gorzej. Mówili, że może zamarznąć nawet wodospad.

Nie chciał myśleć o tym, co się stało, kiedy poprzednim razem spływająca kaskadami woda zamieniła się w lód. Oczyma duszy widział Davida,

jego Kłopy ześlizgujące się z gładkiej, lodowej powierzchni... Carter otrząsnął się ze wspomnień, czując ten sam lodowaty strach, który zawsze im towarzyszył. Zerknął w górę, w niebo, z którego sypał bezustannie śnieg; miał nadzieję, że pogoda się zmieni, zanim wszyscy idioci, maniacy lodowej wspinaczki, odkryją to miejsce, zwałą się tutaj, wyciągną swoje czekany, liny i raki, żeby wdrapać się na wodospad. Zadzwoniła komórka i wszedł pod markizę Canyon Cafe, żeby odebrać telefon. Był to kolejny raport na temat samochodu, który wypadł z drogi. Stanowa drogówka zajęła się już tą sprawą. Obyło się bez obrażeń, zastali tylko przestraszonego kierowcę i skasowanego chevroleta impalę.

Carter zamknął z traskiem klapkę telefonu. Kiedy myszkował w teatrze, jego komórka zadzwoniła trzy razy, bez wątpienia zarówno Rinda, jak i Jenna Hughes słyszały jego rozmowy, przekonaly się, jak był zapracowany. Nawet uparta jak osioł Rinda zaczynała rozumieć, że sprawa zaginionej sukienki będzie musiała poczekać. Carter musiał skupić swoją uwagę na sprawach zagrażających życiu, będących wynikiem śnieżyicy. Ciężarówky, które wpały w poślizg, dzieciaki, które trzeba przetransportować pogotowiem lotniczym do szpitala, niezidentyfikowane zwłoki kobiety, znalezione w Catwalk Point, to wszystko miało pierwszeństwo przed jakimiś zaginionymi kostiumami byłej gwiazdy hollywoodzkiej.

Kilku mężczyzn w narciarskich kombinezonach akurat wychodziło z Canyon Cafe, kiedy Shane zbliżył się do jego drzwi. Był to niewielki lokal, zaledwie z kilkoma boksami, paroma stolikami i długim barem ze stołkami, które zwykle okupowali miejscowi. Ten mały bar od ponad pięćdziesięciu lat był prawdziwą instytucją w Falls Crossing, znaną z serwowanych przez cały dzień zestawów śniadaniowych, wielkich, tłustych hamburgerów z zapiekaną cebulą i grubych kawałków domowego ciasta. Shane zamówił zestaw z cheeseburgerem i kawę na wynos, zignorował próbującą flirtować z nim kelnerkę i kiedy tylko jego zamówienie zostało zrealizowane, nie tracąc czasu, wyszedł od razu na dwór, gdzie temperatura spadła o kolejnych kilka stopni. Wiatr był ostrzejszy, jego wycie tak przenikliwe, że mogłoby obudzić umarłego. Z okapów budynków zwisały sople długie, przezroczyste sztylety, które przypominały mu o dniu, w którym David zaproponował, żeby wspiąć się na wodospad.

Carter miał wtedy szesnaście lat i nie grzeszył rozumem. Obaj byli pewnymi siebie, zadufanymi kretynami. Pomyślał o tym z gniewem, wspinając się po schodach sądu. Wszedł do swojego gabinetu,

zostawiając uchylone drzwi, a następnie wybrał numer do policji miejskiej i zostawił Wade'owi Win-kle'owi wiadomość głosową dotyczącą „przestępstwa” w teatrze. Nagrywając się, ściągnął kurtkę i kaburę na szelkach.

Zastanawiał się, co Winkle z tym zrobi. O ile w ogóle zareaguje.

Nie jego problem.

On miał już dość kontaktów z Jenną Hughes.

Klapnął na krzesło, otworzył pojemniczek z ketchupem, skraplając nim kartonik frytek. Były zimne i rozmiękłe, ale tak bardzo był głodny, że nie zwracał na to uwagi. Udało mu się trzy razy wgryźć w hamburgera, kiedy zjawiła się BJ, która po zastukaniu w drzwi, natychmiast wkroczyła do środka.

- Nie jest trochę za późno na lunch? - zapytała, opierając się biodrem o jego biurko.

- Nie miałem czasu. - Odchylił się na krzesło i odłożył hamburgera do papierowej torebki. - Tropiłem zbrodnię w teatrze Kolumbia.

- W teatrze?

- Nawet nie pytaj - powiedział, wracając myślami do Jenny Hughes. Działo się to zbyt często w ciągu ostatnich paru godzin. Otarł usta dłonią i przesunął kartonik z frytkami w stronę BJ. - Częstuj się. Coś nowego?

- Policja stanowa sprawdza wszystkich dostawców stomatologicznego alginianu oraz lateksu, a także poszerzyła krąg zaginionych osób. Jest też mowa o zamknięciu 1-84, jeśli pogoda się nie poprawi.

- To było do przewidzenia. - Robiło się coraz gorzej.

- Paru snowboardzistów zaginęło w ośrodku Meadows Ski - powiedziała, sięgając po frytki.

Carter, uważnie słuchając, zaczął jeść hamburgera.

- Szuka ich patrol narciarski. Poza rym mamy już przerwy w dostawie prądu w Hampton. Pod ciężarem śniegu łamią się gałęzie i spadają na przewody.

- Wygląda na to, że zabawa dopiero się zaczyna - powiedział, wsuwając plaster uciekającej cebuli pod górną część bułki.

- O, tak... najlepsze dopiero przed nami. - Wstała, przeciągnęła się i wyjrzała przez okno. - Ciekawe, kiedy ta pogoda w końcu odpuści.

- Nigdy.

- Jasne - zaśmiała się wesoło. - Śnieżycy musi niedługo minąć.

Carter rozumiał jej niepokój. Sam miał dziwne przeczucie, że dopóki temperatura nie wzrośnie, sprawy w Falls Crossing będą się miały coraz gorzej.

Zamknął oczy, czując łaskotanie śniegu na gołej skórze. Maleńkie, zimne płatki powinny chłodzić, ale tylko podgrzewały jego krew. Miał wzwód. Był bardzo twardy. Stojąc nago na małej polanie pośród starych jodeł, których igły pokryte były śniegiem, a w ich ciężkich gałęziach gwizdał wiatr, czuł zew, palącą potrzebę.

Nadszedł czas zabijania.

Z każdym kolejnym, delikatnym dotknięciem śniegu żądza krwi stawała się coraz większa. Pojawiała się zawsze w samym środku zimy.

To jego czas, powiedział sobie, wybiegając myślami daleko naprzód, do tego, co sobie zaplanował. Żył naprawdę tylko wtedy, gdy błyszczący lód pokrył drogi, a z nieba spadały kryształki śniegu.

Od ostatniego razu minęło dużo czasu, prawie osiem miesięcy. Ale teraz nadeszła właściwa pora.

Oczyma wyobraźni zobaczył Jennę Hughes. Przypomniał sobie, jak wcześniej śledził ją w mieście...

Kobieta jego marzeń.

Jego obsesja.

Och, jak bardzo jej pragnął.

Dziś wieczorem będzie idealnie.

Otworzył oczy i wpatrywał się w górę, na spadający śnieg, trzymając szeroko otwarte powieki, żeby maleńkie, lodowe drobinki mogły dotknąć jego gałek ocznych, lekko je kłując.

Jenna - piękna, przepiękna kobieta.

Nie, to jeszcze nie był odpowiedni moment. Było niedostatecznie zimno. Drzewa, krzaki i szyby musiały pokryć się białym szronem. Nie, nie był na nią przygotowany.

Były inne, które musiały zostać dla niej poświęcone. Musiały ją poprzedzić.

Paris Knowlton.

Faye Tyler.

Marnie Sylvane.

Zoey Trammel.

Niezależnie od tego, jak bardzo jej pragnął, zmusi się do czekania.

I wiedział, która będzie następna.

Już ją znalazł.

Nie była doskonała.

Nie tak jak Jenna.

Ale wystarczy.

Na razie.

Rozdział 10

W porządku, dziewczyny, mamy z powrotem dżipa - zawołała Jenna, wchodząc do kuchni, gdzie rzuciła na blat trzy torby z zakupami spożywczymi, a następnie ściągnęła kurtkę. Nie dodała, że choć miała wóz z napędem na cztery koła, powrót do domu oblodzonymi drogami był bardzo stresujący. -Dziewczyny? -powtórzyła, kiedy nikt jej nie odpowiedział. Zatrzymała się pośrodku kuchni, czując, jak śnieg topnieje w jej włosach. -Allie?

Dlaczego dom wydawał się taki pusty?

Popędziła schodami na górę, spodziewając się zastać Cassie ze słuchawkami na uszach, ale jej pokój był pusty, łóżko zaścielone.

- Cassie? Allie? - Minęła łazienkę i pobiegła do pokoju Allie, ale tam również nikogo nie było, tylko migał telewizor z wyłączonym dźwiękiem, a grę boy leżał porzucony na zmiętych poduszkach.

Tylko bez paniki. Muszą gdzieś tu być. Gdzie mogłyby pójść? Na zewnątrz szaleje zamieć.

Hej, dziewczyny, to nie jest zabawne! - powiedziała, zbiegając z powrotem na dół, gdzie sprawdziła gabinet, jadalnię i salon. - Allie! Cassie!

Zatrzymała się obok kominka i nasłuchiwała. Ale słyszała tylko jęk wiatru, ciekawe jak długo jeszcze będzie prąd.

Gdzie jest pies?

- Pokraka?

Żadnej odpowiedzi. Dom był pusty.

Cały niepokój, którego doświadczała przez dwa ostatnie dni, skryzalizował się. Jej żołądek ścisnął się ze strachu. Czy nie czuła, że coś było nie tak? Czy nie czuła się, jakby ktoś ją obserwował, śledził? A teraz dziewczynki... O Boże!

Musi się wziąć w garść. One gdzieś tutaj są. Trzeba szukać dalej.

Jej uwagę przyciągnął warkot silnika terenówki i poczuła chwilową ulgę. Najwyraźniej pojechały z kimś na przejażdżkę, no jasne, i ktokolwiek to był -Zapewne Josh - teraz odstawiał je z powrotem. Cassie prawdopodobnie sądziła, że uda im się przejechać i wrócić przed jej powrotem, i że to się nigdy nie wyda. Zabrali ze sobą Allie, żeby się nie wygadała.

A pies? Niby po co mieliby zabrać Pokraka?

W tym momencie uświadomiła sobie, że samochód wjeżdżający do otwartej bramy nie należał do Josha Sykesa. Wypadła na dwór, kiedy wielka czerwona terenówka zatrzymała się obok garażu, a zza kółka wygramolił się wysoki mężczyzna. Z drugiej strony wysiadł Harrison Brennan. Na jej widok uśmiechnął się.

- Są z wami moje córki? - zapytała zdyszana.

- Nie.

- Widziałeś je?

Harrison zerknął nad jej ramieniem zdezorientowany. *Żartujesz?*

No oczywiście. Słyszac chrzęst kroków za plecami, czuła się jak kretynka, jak jakaś nadopiekuńcza idiotka.

Mamo! - Usłyszała wołanie Allie i kiedy się odwróciła, zobaczyła Cassie, Allie i psa, brnących przez śnieg od stajni. Allie zaczęła biec, Pokraka, przeskakując zaspę, ruszył za nią. - Sprawdzałyśmy tylko, co u koni.

Wszystko w porządku?

Tak, oczywiście - powiedziała Cassie. - Hans zostawił im mnóstwo wody, ale Cherlak był niespokojny.

Spod różowej wełnianej czapki Allie spojrzała gniewnie na siostrę.

- Hans powiedział mi, żeby sprawdzić!

- Pojechał za ledwie dwie godziny temu!

- No to wszystko w porządku. - Jenna czuła się jak debilka. Powinna była zauważyć na śniegu ślady butów córek, prowadzące do stajni. Co ona sobie myślała? Dlaczego jest tak przewrażliwiona? - Przepraszam - powiedziała do Harrisona.

- Nie ma sprawy. To jest Seth Whitaker. - Wskazał na stojącego obok wysokiego mężczyznę. - Jenna Hughes.

- Miło mi pana poznać - powiedziała, ściskając jego dłoń w rękawiczce.

- Seth reperował mi piec, a potem zmusiłem go, żeby wpadł do ciebie i sprawdził, co z pompą.

- Świetnie. Jenna uśmiechnęła się do niego. - A zatem jest pan elektrykiem?

- I hydraulikiem, prawdziwą złotą rączką. Majstrem od wszystkiego - odpowiedział Harrison.

- Chociaż bez dyplomu - powiedział tamten facet. Miał przyjemną powierzchowność, był parę centymetrów niższy i nieco tęższy od Harrisona, który szczycił się tym, że utrzymuje kondycję taką, jaką miał w wojsku, a je go krótkie srebrzyste włosy były niewiele dłuższe niż wtedy, kiedy służył w siłach powietrznych.

- Chyba zdołamy to naprawić - powiedział Harrison.
 - Byłoby super - odparła. - Hans uważa, że nawaliła instalacja elektryczna w pompowni - powiedziała, wskazując mały budynek gospodarczy.
 - Wiem, gdzie to jest. - Harrison odwrócił się do Setha. - Nie jest zamknięta.
 - Wezmę narzędzia. - Seth poszedł do swojego pickupa, a Jenna popatrzyła badawczo na Harrisona.
 - Skąd wiesz, że nie zamykam pompowni?
 - Bo cię znam. Nie zamykasz niczego poza domem, garażem i bramą wjazdową, choć i to nie zawsze. - Skrzywił się lekko. - Powinnaś być ostrożniejsza. Martwię się o ciebie. - Spojrzał na dom. - I o dziewczynki.
 - Wszystko jest w porządku - powiedziała z rezerwą. Nie potrzebowała takich pouczeń. - Zamykam bramę, kiedy działa. Ale zdaje się, że nikt nie jest w stanie naprawić tego zamka.
 - Może mógłbym kogoś znaleźć.
 - Nie! Sama się tym zajmę.
 - Dobra. - Skinął głową, co ją zaskoczyło. Spodziewała się, że będzie się z nią spierać. - Idź do domu i rozgrzej się. Nie masz nawet kurtki. Zupełnie zapomniała, żeby zarzucić na siebie kurtkę, kiedy wpadła w panikę z powodu nieobecności dzieci.
- Harrison uśmiechnął się dobrotliwie. Dlaczego traktował ją tak protekcyjnie? Jak laleczkę z chińskiej porcelany?
- Poradzimy sobie sami - powiedział.
 - Mogłabym pomóc.
 - Naprawdę damy sobie radę.
- Nie miała żadnych argumentów. Darowanemu koniowi nie należy zaglądać w zęby.
- W takim razie zaparzę kawę- powiedziała. Chciała wszystkim udowodnić, że jest rozsądna i dystygowana, wcale nie tak słaba i zależna od mężczyzn, jak te kury domowe z czarno-białych sitcomów z lat pięćdziesiątych. Na pewno nie była June Cleaver! - Chociaż tyle mogę zrobić.
 - Byłoby wspaniale. - Uśmiech Harrisona zrobił się jeszcze szerszy, kiedy poszedł na tył pickupa, skąd Whitaker wyciągał już dużą skrzynkę z narzędziami.
- Jenna poczuła zimno przenikające przez jej sweter i weszła do domu. Allie rzuciła kurtkę i czapkę na oparcie jednego ze stołków barowych.

Śnieg, który przylgnął do materiału, zaczynał topnieć, tworząc małą kałużę na podłodze.

- Dzwonił Ron - powiedziała Cassie, schodząc na dół. Przebrała się w obcisłe dżinsy i sweter. — Powiedział, że nie dał rady dojechać z powodu śnieżyicy.

Jenna wycierała wodę z podłogi ścierką do naczyń.

- Zupełnie o nim zapomniałam - powiedziała. Ron Falletti był jej trenerem. Ostatnio pracował również z Cassie. Cisnęła ścierkę do pralni przez otwarte drzwi.

- Ty?! - zapytała Cassie z udawanym przerażeniem, łapiąc się rękami za serce. - Jak mogłaś o nim zapomnieć? Nie sądziłam, że to możliwe!

- Miałam ostatnio zbyt dużo spraw na głowie. - Jenna zmieliła ziarna swojej ulubionej włoskiej mieszanki, potem wrzuciła sproszkowaną kawę do pojemniczka ekspresu i nalała butelkowanej wody, którą kupiła w sklepie. Uwaga Cassie dała jej do myślenia. Jenna rzadko opuszczała treningi.

Od czasu przeprowadzki tutaj po rozwodzie utrzymanie dobrej formy stało się jej obsesją. Katowała się, by w wieku trzydziestu ośmiu lat jej ciało było równie jędrne jak wtedy, kiedy była dwudziestolatką.

Kiedy kawa parzyła się, Jenna rozpakowywała torby z zakupami. Cassie podeszła do okna, wpatrując się w pompownię.

- Wiesz, mam, zawsze mi doradzasz w sprawie chłopców i randek. - Przejechała paznokciem po zaparowanej szybie.

- To mój obowiązek. Jestem twoją matką.

- Może teraz moja kolej, żeby coś ci doradzić.

- O! No więc słucham. — Jenna podążyła wzrokiem za spojrzeniem córki. Harrison, który wyłonił się z drzwi pompowni, wpatrywał się w dom, jakby nad czymś się zastanawiając.

- Nie lubię go - powiedziała Cassie, wskazując Harrisona.

Jenna odciągnęła Cassie od okna. Nie chciała, żeby Harrison Brennan widział, że go obserwują.

- On tylko stara się pomóc.

- Wiem, że tak to właśnie wygląda, ale... - Cassie wysunęła dolną wargę i zwróciła się twarzą do matki. - On trochę za bardzo narzuca się z tą pomocą, a poza tym dyktuje ci, co masz robić. Chyba uważa, że wszystko wie najlepiej.

- Albo że nie mam innego wyjścia.

- Właśnie.

- Wiem - przyznała Jenna, wycierając blat. - Nie jest jeszcze taki stary. Ma pięćdziesiąt dwa, może pięćdziesiąt trzy lata.

- O Boże, mamo, to antyk!
 - Dla ciebie.
 - Dla ciebie też.
 - Nie, skarbie. Wcale nie. - Jenna otworzyła lodówkę i wyjęła musztardę, majonez i słoik z piklami. - Po prostu wydaje się z innego pokolenia.
 - Bo jest! A tata Josha mówi, że Brennan był w CIA, nie w siłach powietrznych, jak ci powiedział. Był szpiegiem albo agentem, czy jak tam ich nazywają.
 - To nie przestępstwo — zauważyła Jenna zirytowana, że Josh i Cassie najwyraźniej omawiali jej znajomość z Harrisonem.
 - Wiem, ale to trochę... dziwne. To znaczy, ilu znasz szpiegów? – Cassie otworzyła lodówkę i wyciągnęła kubeczek z jogurtem.
 - Może więcej, niż mi się wydaje, skoro są szpiegami i się kamuflują - zakpiła.
 - Mówię poważnie, mamo.
 - Dobrze, dobrze. Rozumiem. Pan Brennan nigdy mi nie wspominał, że był w CIA.
 - Właśnie. - Cassie znalazła łyżkę i oderwała wieczko jogurtu. Może to nieprawda, Cassie - powiedziała Jenna, ale zaraz uświadomiła sobie, że tak naprawdę niewiele wie o swoim nadopiekuńczym sąsiedzie. Zerknęła przez okno w stronę pompowni, ale Harrison albo wrócił do środka, albo był gdzieś na terenie rancza. Ta myśl powinna ją uspokoić, ale poczuła się jeszcze bardziej podenerwowana.
- Och, na litość boską! Przecież to paranoja. Ale co o nim wiedziała? - zastanawiała się, smarując musztardą chleb, kupiony dwa dni temu w piekarni. Powiedział jej, że był żonaty i od jakiegoś czasu rozwiedziony, ale nie mogła sobie przypomnieć od jak dawna i z jakiego powodu. Kiedy o tym wspominał podczas kolacji w Portland, zrobił to w sposób bardzo wymijający, jakby temat był zbyt osobisty i bolesny. A może chodziło o urażoną dumę?
- Cassie również wpatrywała się zamyślonym wzrokiem w pompownię, jednocześnie mieszając kawałki owoców w jogurcie.
- Harrison wydawał się zbyt uprzejmy; poza tym było tak, jakby chciał postawić kobietę wysoko na piedestale, jednak cały czas sprawując nad nią kontrolę.
- Rozumiem, co chcesz mi powiedzieć. Ale nie martw się. Tak, parę razy byłam z nim na kolacji, pozwalałam, żeby się tu kręcił i naprawiał różne rze czy, ale tak naprawdę to nie jestem nim zainteresowana.

- Czyli po prostu go zwodzisz? - Cassie włożyła do ust łyżkę jogurtu.
- Nie... Po prostu potrzebowałam trochę czasu, żeby określić moje uczucia.
- Ponownie przekopując lodówkę, znalazła paczkę krojonej pieczeni wołowej.

- I?

- Naprawdę nic do niego nie czuję.

Wyglądało na to, że Cassie ulżyło.

- Powiesz mu o tym?

- Nie dzisiaj - powiedziała Jenna. -Ale wkrótce powiem. -Znalazła w lodówce pojemniczek odłuszczonej śmietanki, powąchała, żeby upewnić się co do jej świeżości, a następnie przelała ją do niewielkiego dzbanuszka. -Dobrze, Cassie, skoro już przedyskutowałyśmy szczegóły mojego życia intymnego, może teraz pomówimy o twoim?

Cassie jęknęła.

- Nie powinnam była nic mówić.

- Nie... cieszę się, że to zrobiłaś. - Przynajmniej jej córka rozmawiała z nią, nie odcinała się.

- Nie teraz, dobrze?

Cassie ponownie spojrzała przez oszronioną szybę.

- W takim razie później.

- A może nigdy?

- Nic z tego. Nie wywiniesz się tak łatwo.

- Odsuść sobie.

Allie, dudniąc nogami po schodach, zbiegła na dół. Za nią, stopień po stopniu, zszedł Pokraka.

- Jutro nie ma szkoły! - oznajmiła Allie radośnie. Niedawno jeszcze twierdziła, że jest chora, a teraz podskakiwała radośnie.

- Skąd wiesz? - zapytała Cassie.

- Mówili w telewizji! - Allie zachowywała się jak skazaniec, który właśnie dowiedział się o zawieszeniu wykonania wyroku.

- Liceum też będzie zamknięte?

- Wszystkie szkoły! Czy Dani może u nas przenocować? - zapytała.

- No to, świetnie - mruknęła pod nosem Cassie i włączyła mały telewizor wbudowany w szafkę przy spiżarni; oglądały w nim programy przy kolacji.

Jenna zaczęła szukać w szufladzie latarki na wypadek, gdyby nie było prądu.

- Nie wydaje mi się, żeby pomyśl, aby przenocowała u nas Dani, był najlepszy - powiedziała. Nie chciała gasić entuzjazmu Allie, zwłaszcza

że jej młodsza córka miała tylko garstkę przyjaciół od czasu przeprowadzki do Oregonu. Zrobiła się jeszcze bardziej nieśmiała i zamknięta w sobie, niż była w Los Angeles. - Dzisiaj nie jest do tego najlepszy moment. Przecież szkoły zamknęli z powodu złej pogody, prawda?

- Ale mogłybyśmy jeździć na sankach i zbudować zamek ze śniegu.
- Oszalałaś? Na takim mrozie? - ofuknęła ją Cassie, wpatrując się w ekran, gdzie reporterka, ubrana w długą czerwoną kurtkę z kapturem, stała przy drodze międzystanowej. Sypał śnieg, a na poboczu stał coraz dłuższy sznur olbrzymich ciężarówek.
- .. .zgodnie z przewidywaniami temperatura będzie cały czas spadać, co jest oczywiście bardzo nie na rękę kierowcom tych potężnych maszyn...
- powiedziała, próbując przeprowadzić wywiad z niezadowolonym kierowcą pod osłoną jego osiemnastokołowca.
- Jazda teraz nie jest zbyt bezpieczna - powiedziała Jenna.
- Ale pan Settler powiedział, że ją przywiezie — upierała się Allie.
- Skąd wiesz? - Jenna sprawdziła pierwszą latarkę, jaką udało się jej zna leźć. Światło było słabe, ale stabilne.
- Bo już do nich dzwoniłam.

Oświetlenie, telewizor i wszystkie inne urządzenia zasilane energią elektryczną wyłączyły się na kilka sekund, ale zaraz ponownie zaczęły działać.

- Robi się nieciekawie - powiedziała Cassie.
- Uważam, że jest super. - Allie nie dawała się niczym zrazić. - Dani może do nas przyjechać, mamó? Proszę cię.

Zadzwoił telefon i Allie chwyciła słuchawkę.

- Słucham? - powiedziała. - Tak... już daję. - Wyciągnęła rękę do matki z telefonem bezprzewodowym. - To pan Settler - powiedziała scenicznym szeptem, kiedy Jenna wzięła od niej telefon. - Proszę cię, proszę. - Teraz już błagała z dłońmi złożonymi jak do modlitwy.

Jenna zignorowała zabiegi młodszej córki.

- Słucham?
- Witaj - powiedział Travis Settler. - Zdaje się, że Allie zapoznała cię z planem.
- Żeby Dani została u nas na noc?
- Tak. Strasznie mnie o to męczy, ale powiedziałem, że najpierw muszę ustalić to z tobą.
- Jeśli chcesz, możesz ją tutaj przywieźć - powiedziała Jenna, a Allie zaczęła wydawać triumfalnie okrzyki. - Chociaż drogi są niemal

nieprzejezdne, a w domu zaczyna migotać światło. Nie mamy też bieżącej wody, ale dwóch panów właśnie nad nią pracuje. Kupiłam trochę butelkowanej wody w mieście. Będzie jak na biwaku.

- Dani przepada za biwakami. Ale oczywiście wszystko zależy od ciebie - dodał.

Jenna czuła na plecach świdrujący wzrok Allie.

- Dani jest tu zawsze mile widziana.

- W takim razie w porządku. Może coś kupić po drodze?

- Dziękuję, ale wszystko mamy. Zrobiłam zakupy. Jesteśmy zaopatrzone na parę dni.

- Skoro tak, to będziemy w ciągu godziny.

- Świetnie. Powiem Allie.

Rozłączyła się. Jej córka już pędziła schodami na górę.

- Hej, Allie, zaczekaj, nie chcesz kanapki?

- Później! - odkrzyknęła Allie.

- Ja też nie jestem głodna - oznajmiła Cassie.

- Dobrze. Zjecie później - stwierdziła Jenna, zadowolona, że jej młodsza córka odzyskała humor. Nie można było tego powiedzieć o Cassie, która po zjedzeniu jogurtu wrzuciła opakowanie do kosza pod zlewem, a potem stała, z rękami założonymi na piersi, oglądając wiadomości.

- Beznadzieja- mruknęła, kiedy synoptyk zapowiadał minusową temperaturę na resztę tygodnia.

- Przeżyjemy.

- Jakby to była jakaś szkoła przetrwania.

- Jeszcze trochę, a każę ci rąbać drewno i gotować w żeliwnym garnku nad ogniem, kiedy zabraknie prądu. Wszyscy będziemy spać tutaj na dole, w śpiworach przed kominkiem.

- Och, oszczędź mi tego — powiedziała Cassie.

- Pomyśl o tym. Bez MTV, ciepłego prysznica, suszarki do włosów, w ogóle bez elektryczności. Może, jeśli dopisze nam szczęście, komórki będą działać.

- Świetnie się bawisz, znęcając się nade mną, prawda?

- Po prostu chcę ci zwrócić uwagę na to, że wcale nie jest jeszcze tak źle.

- Jasne. - Cassie poszła na górę. Jenna przelała kawę do termosu i właśnie miała zanieść ją do pompowni, kiedy usłyszała pukanie do drzwi z tyłu domu. Chwilę później Harrison wszedł do środka.

- Chyba czytasz mi w myślach - powiedział, dostrzegając parujący termos. Zawołał przez ramię: - Seth! Mówiłem ci, że będzie miała dla nas kawę!

Przez przeszklone drzwi Jenna widziała, jak Whitaker pomachał ręką, niosąc narzędzia do pickupa.

- Mamy już wodę? - spytała.

- Jeszcze nie. Ale już niebawem. Zaczęliśmy rozmrażać pompę i Seth naprawił parę poluzowanych przewodów. W tej chwili w pompowni pracuje grzejnik, a ociekającą wodę odprowadzamy węzem na zewnątrz, żeby ponownie tam nie zamarzała. Kiedy Seth zajmował się pompą, trochę zaizolowałem budynek. Do jutra powinno być po problemie i znowu będziesz miała wodę.

- Alleluja!

- Może powinnaś zastanowić się nad wybudowaniem latem solidniejszego budynku pompowni. - Usadowił się na krześle przy stole, kiedy Jenna nałała mu filiżankę parującej kawy. - Do tego czasu pomogę ci przetrwać zimę.

- Dzięki - powiedziała, choć wewnętrznie sprzeciwiała się jego władcemu tonowi. Obecnie potrzebowała jego pomocy. Kilka minut później w drzwiach pojawił się Seth. Zaproponowała mu kawę, ale odmówił. Wszedł do środka, wycierając buty.

- Za dużo kofeiny - powiedział krótko. Zerknął na zegarek.

- Śpieszysz się? — zapytał Harrison.

- Mam jeszcze inną robotę.

- W takim razie będziemy się zbierać.

- Ile jestem panu winna? - Jenna zapytała majstra.

- Już mu zapłaciłem - powiedział Harrison, zapinając kurtkę.

- Co? Za mnie? Nie ma mowy. - Sięgnęła po torebkę.

- Tak, zapłacił - powiedział Seth.

- Chwileczkę. Nie mogę się na to zgodzić. Naprawdę, Harrison. Dziękuję ci za pomoc, ale sama reguluję swoje rachunki. - Patrzyła mu prosto w oczy. - I chcę, żeby tak pozostało.

Harrison zrobił się czerwony na twarzy.

- Potraktuj to jako sąsiedzka przysługę.

- Nie lubię być dłużna. Nikomu. - Spojrzała na majstra. - Biznes to biznes. Zapłacę za pański czas i wszelkie materiały, jakie musiał pan kupić.

Seth przestępował z nogi na nogę, najwyraźniej zakłopotany tą sytuacją.

- Proszę się tym nie przejmować.
- Ale się przejmuję.
- Tutaj właśnie tak załatwiamy sprawy - wyjaśnił Harrison. -
Troszczymy się o siebie nawzajem.
- Nie! - Uniosła obie ręce w geście protestu. - Ja mam do tego inne
podejście! Nie mogę pozwolić na to, żebyś się o mnie „troszczył”. Nic z
tego. Sama potrafię zatroszczyć się o siebie i taka sytuacja bardzo mi
odpowiada.
Ale do niego nic nie docierało.
- Czy ci się to podoba, czy nie, martwię się o ciebie i twoje córki.
Żyjecie same na tym odludziu. Rozmawiałem już z Sethem o
zainstalowaniu nowego alarmu tutaj, w domu. I nie podoba mi się, że
brama wjazdowa jest ciągle otwarta.
- Co takiego? - Jenna aż się zachłysnęła. - To ja podejmuję tu decyzje.
- Twój stary system alarmowy jest do niczego.
To akurat była prawda.
- W takim razie zainstaluję nowy. Myślałam już o tym. Ale teraz,
kiedy szaleje śnieżycyca, prawdopodobnie potrwa to jakiś czas.
- Seth, mógłbyś pomóc w tej sprawie? Wspominałeś, że masz jakieś
znajomości w tej firmie?
Whitaker pokręcił głową.
- Wolę się w to nie mieszać.
Jenna była mu wdzięczna za taką postawę. Odwróciła się do Brennana.
- Posłuchaj, Harrison, w domu jest już system alarmowy. Może
niedoskonały, czasami nie działa, ale staram się pamiętać, żeby go włączać, i,
jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, będę starać się jeszcze bardziej.
Uśmiechnął się rozbrajająco. Osiągnął swój cel.
- Dzięki.
- W porządku! - warknęła zezłoszczona. Za kogo ten facet się uważa? -
Teraz, skoro już to ustaliliśmy, nie musisz martwić się o mnie i dziewczynki.
Naprawdę. - Skrzyżowała ręce na piersi. - Jeśli mam być szczerą, cała ta
twoja troska sprawia, że czuję się wyjątkowo niezręcznie. Potrafię sama
zadbać o siebie.
- Dobrze, już dobrze. - Uniósł ręce, jakby się poddawał. - Przepraszam...
Popełniłem błąd.
Jenna nadal wrzała ze zdenerwowania, ale skinęła głową.
- Dobrze. Chciałam tylko, żebyśmy się zrozumieli.
- Zdaje się, że za bardzo przyzwyczailem się do kontrolowania sytuacji
i wydawania rozkazów. Zboczenie zawodowe.

- Pewnie tak. - Próbowała się opanować. Ten facet robił wszystko, żeby jej pomóc. Po prostu był zbyt nachalny.

Zamrugnął oczami.

- Postaram się, żeby taka sytuacja więcej się nie powtórzyła.

- Dobrze.

- Po prostu zależy mi na tobie i dlatego martwię się o ciebie i dziewczynki.

- Już ci mówiłam, żebyś się nie przejmował - powiedziała stanowczo. - To nie twoje zmartwienie.

Seth, nie mogąc znieść dłużej tej sprzeczki, rzekł:

- Słuchajcie, chciałbym skończyć robotę w pompowni, upewnić się, że wszystko jest w porządku. - Wyszedł tylnymi drzwiami, wpuszczając do środka podmuch zimnego powietrza.

Jenna została sama z Harrisonem Brennanem. Popatrzyła na niego.

- Przepraszam, że się uniosłam. Wiem, że starasz mi się pomóc, ale próbuję żyć po swojemu. Doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

- Wyczuwam, że będzie jeszcze jakieś „ale”. Odsunęła niesforny kosmyk z oczu.

- Ale nie mogę pozwolić, żebyś kierował moim życiem, płacił moje rachunki czy...

- Seth był mi winien przysługę- przerwał jej Harrison. Nagle zrobił się bardzo poważny. Surowy. Mięśnie mu się napięły na zaciśniętych szczękach. - Jeśli chcesz sama zapłacić Whitakerowi, zatrudnij go jeszcze kiedyś. Ale na dzisiaj jesteśmy rozliczeni. Taką miałem z nim umowę. Nie musimy tego drażnić. W przyszłości możesz umawiać się albo z nim, albo ze mną, ale ja nigdy nie wezmę od ciebie pieniędzy za pomoc.

- Uczciwy układ - powiedziała, poddając się. Spojrzała na blat, gdzie leżały kanapki, którymi wzgardziły jej córki. Wskazała na nie ręką. - Co powiesz na kanapkę z pieczenia wołową w ramach wynagrodzenia za cały twój trud?

- Zgoda - powiedział i rozpogodził się.

Przez głowę przemknęło jej wspomnienie June Cleaver, w perłach i długiej, rozszerzanej ku dołowi spódnicy, ale odsunęła od siebie te myśli. W tej chwili w domu panował spokój i pojawiła nadzieja na bieżącą wodę. Czy można było chcieć czegoś więcej?

Rozdział 11

Pół godziny później, kiedy Harrison odkładał swój talerz do zlewu, wyrzwał przez okno. Jego srebrzyste brwi ściągnęły się, a mięśnie twarzy jeszcze bardziej napięły.

- Wygląda na to, że masz towarzystwo - powiedział.
- Och, racja-powiedziała Jenna. -Dzisiaj zostaje u Allie na noc jej przyjaciółka.

Usta Harrisona zacisnęły się, kiedy patrzył, jak Travis Settler wyskakuje na ziemię pokrytą śniegiem. Chwilę później pojawiła się za nim jego córka Dani.

- Będę się zbierał. - Sięgnął po kurtkę, kierując się do tylnych drzwi.
- No to jeszcze raz dziękuję - powiedziała Jenna.

Harrison włożył buty i ruszył w kierunku pickupa Setha Whitakera. Jenna widziała, jak pozdrowił Travisa lekkim skinieniem głowy. W tym momencie na schodach rozległ się tupot nóg i Allie wypadła na dwór. Bez kurtki.

Jenna chwyciła jej kurtkę z oparcia krzesła, ale Allie i Dani już były w domu. Roześmiane pobiegły na wyścigi na górę.

Chwilę później przez otwarte drzwi wsunął się Travis.

- Widać, że nie są zmartwione, że jutro nie idą do szkoły.

Jenna uśmiechnęła się.

- Ja też uwielbiałam takie sytuacje.
- Mielicie w Los Angeles śnieżyce?
- Nie. - Potrząsnęła głową. - Dorastałam tuż pod Seattle. Pamiętam, jak koleżankami modliłyśmy się, żeby spadł śnieg.
- Działo?
- Rzadko, a już wówczas, kiedy trzeba było oddać jakąś ważną pracę domową. - Usłyszała szum silnika i zobaczyła, jak pickup Setha Whitakera cofa się.
- Czyżbym przepłoszył twoich gości?
- Nie - odparła bez przekonania. Widziała, że Harrison Brennan siedział sztywno, patrząc przed siebie. Czy jednak nie obserwował domu w bocznym lusterku.
- Coś nie tak? - zapytał Travis i Jenna nagle uświadomiła sobie, że stoi on obok stołu, przyglądając się jej.
- Nie... przepraszam... po prostu mam tyle spraw na głowie.
- Może mógłbym ci w czymś pomóc? - W jego niebieskich oczach pojawił się cień niepokoju.
- Jasne. Załatw gorący piasek, szmaragdowe fale, mnóstwo palm... i koniecznie jakieś trzydzieści stopni w cieniu.

- Może też parę kieliszków margarity?

- Tylko pod warunkiem że będą podwójne, wymieszane w shakerze.

- Masz cholernie konkretne fantazje.

- A jaki jest sens w marzeniach, jeśli człowiek nie wie, czego chce? - odparła, czując, jak powoli ustępuje jej napięcie.

- A ty, wiesz, czego chcesz?

- Uhm. - Skinęła głową. - Przeważnie. A ty?

- Myślałem, że wiem... dawno temu. - Wzruszył ramionami. - Teraz nie jestem już taki pewien. - Wydawało się, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale jego uśmiech zbladł, a w oczach nagle pojawiło się coś zimnego, tajemni czego. - Lepiej już pójdę. Dani powiedziała, żebym nie nadużywał gościnności, bo potrzebuje „trochę przestrzeni dla siebie”. Zadzwoń do mnie, gdyby był z nią jakiś problem.

- Nie będzie.

- Albo gdybyś znalazła się w jakichś tarapatach. - Spojrzał za okno, na pofałdowany teren, kończący się starym lasem. - Jesteś tu trochę odizolowana.

- Nic nam nie będzie - zapewniła go, choć jego ostatnie słowa trochę ją zastanowiły. Wybrała to miejsce właśnie ze względu na to odludne położenie, ale teraz, patrząc jak Travis idzie do swojej terenówki przez zacinający śnieg, słysząc gwałtowne podmuchy wiatru w wąwozie, zastanawiała się, czy nie popełniła pomyłki. Kiedy wsiadł do środka, z trudem się powstrzymała, by nie wybiec za nim, nie zatrzymać go, przyznając się, że wcale nie jest taka silna, jak się mogło wydawać. Bardzo by jej odpowiadało, gdyby w domu był jeszcze ktoś dorosły, najlepiej mężczyzna, kiedy siły przyrody ukazywały swoje tak surowe, groźne oblicze.

Poczuła chłód, kiedy jechał drogą, przedzierając się przez szybko tworzące się zaspę, oświetlając je reflektorami. Zadzwoił telefon i sięgnęła po słuchawkę.

- Halo? - powiedziała, ale nie było żadnej odpowiedzi. - Halo? - Słyszała trzaski, jakby ktoś dzwonił z komórki. Poprzez zakłócenia docierały przytłumione dźwięki jakiejś znanej piosenki. - Halo? Nic nie słysze. Proszę zadzwonić jeszcze raz.

Rozłączyła się i czekała.

Ale telefon milczał. W całym domu panowała nienaturalna cisza. Zwykle codzienne dźwięki - buczenie lodówki, huczenie pieca, cichy szmer telewizora na górze - zagłuszał jęk wiatru, smagającego obłuzowane szyby okna na strychu. Zamigotało światło i Jenna nagle uświadomiła sobie, co słyszała przez

telefon. Ta niewyraźna melodia był to motyw przewodni z *Białej ciemności*, ostatniego filmu, w którym grała, filmu, który nigdy nie trafił na ekrany. Mimo to piosenka stała się przebojem. A *Biała ciemność* była wielką katastrofą, przyczyną rozpadu jej małżeństwa i śmierci jej siostry.

Zrobiła krok w tył. W szybie mignęło rozmyte odbicie i przez moment wydawało jej się, że widzi Jill. Piękną, niewinną Jill, która była tak bardzo podobna do Jenny, że czasami brano je za bliźniaczki. Teraz nie żyła.

Przez nią.

Czuła, jak pieką ją oczy na wspomnienie tysięcy ton śniegu, opadających kaskadą ze śmiercionośnym rykiem w dół zбочa.

To ja powinnam zginąć, nie moja siostra.

Samooskarżenia huczały jej w głowie, tak jak działo się to wielokrotnie w ciągu minionych lat.

- O Boże! - szepnęła, potykając się o stojące w kącie krzesło, które zaskrzy piało, trąc o podłogę. Kto do niej dzwonił i dlaczego puścił jej tę muzykę? Ale przecież mogła się przesłyszeć. Równie dobrze mogła to być inna piosenka.

Szybko podniosła słuchawkę i spojrzała na identyfikację połączenia wchodzącego - numer zastrzeżony.

- Cholera. - Wybrała 69, mając nadzieję, że pozna nazwisko ostatniego dzwoniącego, ale nagrana wiadomość pozostała anonimowa.

Czy się ukrywał?

- Sukinsyn - syknęła, odkładając z trzaskiem słuchawkę, roztrzęsiona w środku.

Próbowała sobie wytłumaczyć, że przesadza. Że nic się nie stało. Że po prostu zbyt wybujała wyobraźnia spletała jej figła. Ale oczywiście wiedziała, że okłamuje samą siebie.

- Weź się w garść - nakazała sobie, ale wiedziała, że dzisiaj nie potrafi tego uczynić.

Była tam, tuż po drugiej stronie zimnej szyby. Nie tak piękna jak Jenna Hughes, ale wystarczająco do niej podobna, i kiedy przyglądał się jej, ignorując migający czerwono-niebieski neon reklamujący piwo, wyobrażał sobie, że będzie odpowiednia. Tylko piersi miała mniejsze, a jej biodra nie były tak krągłe. Ale na razie ujdzie. Miała blond włosy, ale to nie był jej naturalny kolor; ciemniejsze włosy przy skórze wskazywały na to, że z natury jest brunetką, tak jak Jenny. Obserwował, jak krząta się przy stolikach, ociera nerwowo ręce o fartuch, często zerkając w okna, za którymi szalała śnieżycą.

Zupełnie jakby wiedziała, że on tam jest.

Jakby rozumiała, że jej przeznaczenie czeka na nią w ciemnościach zimowej nocy.

Uśmiechnął się i poczuł dreszcz emocji, przemieszczający się wraz z krwią, lodowaty impuls, przypominający mu o innym czasie... o dawno minionej młodości i pokrytym twardą skorupą jeziorze, o lodowatej wodzie, obmywającej jego skórę, o trzęsącej się dziewczynie i ciemnych, śmiertcionośnych odmętach... Wszystko to były obrazy przeszłości. Na moment zamknął oczy, wybiegając w przyszłość. Jego wyobraźnia tworzyła intensywnie erotyczne obrazy kobiety z baru... Faye... tak, Faye Tyler ze *Świadka* - to była ona, ukrywająca się tutaj pod przybranym nazwiskiem... Piękna.

Seksowna.

Doskonała.

Jak Jenna.

Jej imię rozbrzmiało w jego głowie z mocą kościelnych dzwonów. Oblizął usta. Pragnął jej.

Jenna.

To ona była tą jedyną.

Nie ma takiej drugiej.

A dzisiaj za pośrednictwem tej kobiety, tej nędznej repliki, będzie jego.

ROZDZIAŁ 12

Nie powinno się pić w samotności.

Trudno. Jenna miała cholernie ciężki dzień i stwierdziła, że filiżanka bez-kofeinowej kawy, wzmocnionej nieco alkoholem, nie zaszkodzi jej. Znalazła w lodówce bitą śmietaną w aerozolu i dodała jej trochę do filiżanki, posypując wszystko czekoladą w proszku. Gdyby Ron dowiedział się o tym, ukarałby ją dodatkowymi minutami na bieżni. Ale on miał dopiero dwadzieścia sześć lat i z pewnością nie wiedział jak kojąca może być czekolada z alkoholem w tak stresowych sytuacjach.

- Prawda? - zwróciła się do psa, który usadowił się w swoim ulubionym miejscu pod stołem. Merdał ogonem, uderzając nim głośno o podłogę, kiedy Jenna usiadła na krześle i zagłębiła rękę w torebce, by wyjąć wcześniej odebraną pocztę. Tyle się dzisiaj działo, że dopiero teraz przypominała sobie o korespondencji. Dziewczynki zjadły pizzę, sałatkę i

lody, a potem poszły na górę, ona zaś postanowiła wziąć gorącą kąpiel w jacuzzi.

Popijając małymi łyżkami swój napój, segregowała magazyny, rachunki i ulotki reklamowe, które uzbierały się w jej skrytce pocztowej w ciągu minionego tygodnia. Aż dotarła do ręcznie zaadresowanej koperty. Jej imię i nazwisko były wypisane starannie literami, nie było adresu zwrotnego. Nożem rozcięła kopertę, zauważając stempel z Portland.

W środku była pojedyncza kartka.

Kartka z krótkim wierszem miłosnym, którego słowa nakładały się na jej zdjęcie w czarnej, eleganckiej sukience z dekoltem wyszywanym koralikami; zdjęcie to zostało zrobione na planie *Odkupienia*, gdzie grała zimną, uwodzicielską i psychotyczną morderczynię Annę Parks.

Jesteś prawdziwą kobietą.

Zmysłową. Silną. Uwodzicielską.

Jesteś jedyną kobietą.

Szukam cię. Pragnę. Czekam.

Jesteś moją kobietą.

Dziś. Jutro. Zawsze.

Przyjdę po ciebie.

Serce Jenny zamarło. Krew ścięła się w żyłach.

- O Boże! - szepnęła, odrzucając list, jakby ją parzył. Kawa z filiżanki rozchlapała się na stół, plamiąc kartkę i kopertę. Kto jej to przysłał? Dlaczego? Rozejrzała się dokoła, jakby nadawca listu mógł gdzieś tu na nią czyhać.

Pokraka podniósł się i zaskomlał.

- Już... już w porządku - powiedziała, choć ledwo mogła oddychać. Ten ktoś znał jej adres pocztowy, wiedział, że tu mieszka. Kiedy wyprowadzała się z Los Angeles, próbując zacząć wszystko od nowa, poprosiła, żeby listy od fanów były kierowane na adres jej agenta... Jej skrytka pocztowa miała być całkowicie prywatna.

Ale to małe miasto.

Wszyscy wiedzą, że tu mieszka.

Tak to już jest w tym zawodzie.

Nie mogła jednak opanować mocno przyspieszonego pulsu. Już wcześniej otrzymywała listy od fanów, którzy mieli na jej punkcie obsesję. Kiedy jeszcze była mężatką, mieszkała w południowej Kalifornii i występowała w filmach, jej nazwisko pojawiało się raz za razem w plotkarskich kolumnach. Ale od półtora roku jej korespondencja była sprawdzana i filtrowana przez Monty'ego Fendersona z Fenderson Agency. Miała ochotę zadzwonić do niego, zrobić mu awanturę.

Śmiechu warte.

Ludzie wiedzieli, że mieszka w małym miasteczku w Oregonie. Przecież to było do przewidzenia.

A zatem to list od jakiegoś świra. Co z tego?

Była po prostu zbyt zdenerwowana z powodu śnieżycy, wszystkich tych rozmów o zamordowanej kobiecie, kłótni z córkami... Powinna uspokoić się, dopić kawę i wreszcie zrobić sobie tę kąpiel... Mimo to krążyła po domu, rozmyślając o tym, że znajduje się z dala od miasta, otoczona lasem, i drzewami i rzeką, odcięta od reszty świata; chodziła od pokoju do pokoju, zaciągając rolety. Wzdłuż jej kręgosłupa przebiegł dreszcz, kiedy jeszcze raz przeczytała ostatnią linijkę.

Przyjdę po ciebie.

Bez namysłu podeszła do ściany i wcisnęła kod alarmu. Chwilą później maleńkie, zielone światełko zmieniło się na czerwone. Był to prymitywny system alarmowy, podłączony jedynie do drzwi. Kiedy otwierano drzwi, alarm się uruchamiał, włączał się brzączyk, a po dwóch minutach, jeśli alarm nie został rozbrojony, zaczynały wyc syreny. Ale nie miała umowy z żadną firmą ochroniarską, która w razie czego powiadomiłaby biuro szeryfa.

Jutro rano musi zająć się tą sprawą.

Usiadła przy kominku, ogrzewając ręce. Miała starego, schorowanego psa i śrutówkę bez amunicji. To była cała jej ochrona.

Anonimowy list... Nic wielkiego.

Ale został wysłany z Portland, niecałą godzinę jazdy stąd.

W środku była zimna jak lód.

Przyjdą po ciebie.

Wzięła głęboki oddech. Niech tylko spróbują. Gniew wziął górę nad strachem. Jutro nie tylko podpisze umowę z firmą ochroniarską, ale też kupi amunicję do śrutówki.

- Zgódź się, Cass... będzie fajnie - nalegał Josh. - A poza tym jutro nie ma szkoły. Spotkaj się ze mną za godzinę, tam gdzie zawsze.

- Jeśli to się wyda, będzie po mnie. - Cassie leżała w swoim łóżku, za grzebana głęboko pod kołdrą naciągniętą na głowę, z komórką przyciśniętą do ucha. Josh chciał, żeby się wymknęła. Znowu. Zaraz po tym, jak została przyłapana. Nie... nie mogła tak ryzykować.

- Co z tego? Czy matka może uziemić cię jeszcze bardziej?

- Może mi bardzo uprzykrzyć życie - powiedziała Cassie, krzywiąc się lekko. To prawda, że matka niesamowicie ją wkurzała, ciągle wtykając

nos w jej sprawy, ustanawiając jakieś zasady, traktując ją jak dziecko, ale w głębi duszy Cassie wiedziała, że robi to dla jej dobra.

- Nie przyłapie cię. Zanim wyjdiesz, będzie już spała. Pewne jak w banku.

Cassie wahała się, przygryzając wargę, a potem podjęła ostateczną decyzję.

- Nie mogę. Naprawdę.

- Och, nie bądź mięczakiem. Masa ludzi dziś wychodzi.

- Ich rodzice zgadzają się na to.

- Nie, Cass. Oni po prostu nie pozwalają swoim starym, żeby nimi rządzili, tak jak ty to robisz. Oni nie boją się swoich rodziców.

- Wcale nie boję się mojej mamy.

- Owszem, boisz.

- Akurat.

- W takim razie dlaczego nie zapytasz jej, czy możesz wyjść?

- Nie zgodziłaby się. Jestem uziemiona. Pamiętasz? - Czasami potrafił być naprawdę tępy!

- A jak może cię powstrzymać?

- Po pierwsze, włączyła dzisiaj alarm. Widziałam ze schodów. Pewnie zrobiła to po to, żeby zatrzymać mnie w domu.

- No to go wyłącz. Znasz przecież kod, prawda?

- Wtedy dom będzie niezabezpieczony.

- Co z tego? - powiedział ze śmiechem.

- Posłuchaj, po prostu nie chcę mieć kłopotów.

- Ponieważ, jak już mówiłem, boisz się swojej mamy. Sama dałaś jej taką władzę nad sobą. Tak naprawdę problem tkwi w tobie.

No i super. W każdym razie to nie twój problem! - Rozłączyła się i wyłączyła zupełnie komórkę. Gdyby Josh postanowił do niej ponownie zadzwonić, nie będzie tego słyszeć. Czasami był taki natrętny. Ale jego słowa prześladowały ją. Boi się swojej mamy. Sama dała jej taką władzę nad sobą. Problem tkwi w niej samej. Nie, po prostu Josh starał się znaleźć jakiś sposób żeby zrobiła to, co on chce. To on próbował ją sobie podporządkować. Nie jej matka. Wynurzyła się spod przykrycia i wcisnęła guzik pilota, włączając telewizor. Na jednym z programów nadawano film, który kiedyś jej umknął, bo akurat była w trakcie wyprowadzki z Kalifornii.

Z sąsiedniej sypialni usłyszała śmiech. Allie i jej przyjaciółka korzystały z tego, że jutro nie ma szkoły. Najpierw spędziły trochę czasu na dworze, próbując zbudować śnieżną fortecę. Ponieważ było na to za zimno, poszły do ogrzewanej stajni, żeby sprawdzić, co się dzieje u

koni. Potem wrócili do domu na gorące kakao i popcorn. Cassie zaszlochała cicho. Nawet Allie miała przyjaciółkę. Jenna miała znajomych z miejscowego teatru. Jedyne Cassie nikogo nie miała od czasu, odkąd tu zamieszkały.

Był tylko Josh.

Dlaczego jednak chciał być z nią.

Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do dawnych przyjaciół z Los Angeles i Santa Monica, ale było już za późno. Zresztą kiedy ostatnim razem zadzwoniła do Paige, ta po kilku słowach dała jej do zrozumienia, że jest zajęta. Najwyraźniej nie chciała rozmawiać. Cassie nie miała do niej pretensji. Gdyby sytuacja była odwrotna, pewnie zachowywałyby się tak samo.

Film jej nie wciągnął. Przełączyła na inny kanał i zobaczyła swoją matkę.

- Cholera! - Z ekranu patrzyła Jenna Hughes, młodsza niż ona teraz, grająca rolę nastoletniej prostytutki w *Utraconej niewinności*. Zezłoszczona Cassie wcisnęła na pilocie przycisk POWER i obraz zniknął. Nie ma sposobu na ucieczkę przed jej matką. Nawet w zaciszu jej pokoju. Poczula łzę, ściekającą z kącika oka, i gniewnie ją otarła. Co się z nią dzieje? Spojrzała na zegar. Dochodziła pierwsza... w domu zrobiło się cicho. Wymknęła się na korytarz i zerknęła do pokoju Allie. Obie dziewczyny już spały, w śpiworach, na rozłożonych na podłodze dmuchanych materacach. Przemknęła się do schodów i spojrzała w dół. Spod zamkniętych drzwi pokoju Jenny nie widać było światła.

Wszyscy spali.

Wróciła do swego pokoju i włączyła komórkę.

Dostała nowego SMS-a: Kocham cię.

Łzy popłynęły jej strumieniem. Josh był jedynym człowiekiem w tym zapomnianym przez Boga miasteczku, któremu zależało na niej.

Przezwydzając płacz, szybko napisała odpowiedź: Będę przy bramie za 20 min.

- Zmywam się - powiedziała Sonja, zdejmując fartuch i ciskając go do kosza na zapleczu. W głośnikach pulsowała muzyka country.

Lou, kucharz, mruknął coś na znak zgody, oskrobując grilla. Na zapleczu baru była jeszcze tylko jedna osoba, kelner, beużyteczny, leniwy chłopak, wiecznie nadąsany i przeważnie nahaju, wywołanym jakąś niewiadomą substancją. Na uszach miał słuchawki, słuchając Bóg wie czego, wyrażał

swój stosunek wobec muzycznych gustów swojego wujka Lou. Teraz ledwo raczył zerknąć na Sonję, jeżdżąc nieudolnie mopem po podłodze. Ale dzisiaj miała to gdzieś. Po prostu chciała wrócić do domu, do swojego męża i trójki dzieci. Ostatni klient wyszedł piętnaście minut temu, a zanim to zrobił, Sonja miała ochotę zrzucić go z barowego stołka, dosłownie siłą usunąć z baru. Kto przy zdrowych zmysłach wychodzi z domu w taki wieczór?

Tylko stali klienci Lou, stwierdziła nie pierwszy raz, zapisując sobie w myślach, że musi znaleźć lepszą pracę.

Włożyła kurtkę narciarską, naciągnęła wełnianą czapkę i rękawiczki, wzięła sfatygowany plecak.

- Do zobaczenia jutro, jeśli drogi będą przejezdne - powiedziała, a jej szef znów coś mruknął w odpowiedzi. Jednak Milczący Lou. Był lepszy od Lou Gaduły czy Lou Mądrali. Albo od Lou Lubieznika. Pomyślała to sobie, grzebiąc w plecaku w poszukiwaniu kluczyków do samochodu. Wyszła z baru i powiedziała:

- Mamy cholerną epokę lodowcową.

Wiatr mocno dmuchał, atakując jej nieosłonięte policzki twardymi kryształkami lodu.

Że też dała się namówić Lesterowi Hatchellowi na wyjazd z Palm Desert i zamieszkanie tutaj. W Palm Desert zapewne było dzisiaj jakieś dwadzieścia stopni powyżej zera. A tu jest dwadzieścia stopni mrozu. Czy było tu pięknie? Tak. Nawet zimą. Czy dało się tu żyć? Do diabła, nie! A przynajmniej nie w środku zimy. Tęskniła do palm i gorącego piasku. Miała dość sosen, zasp śniegowych i cholernego grzańca.

Mroźny wiatr przewiewał jej ciężką kurtkę i nawet światło świątecznych lampek, migających na okapie baru, wydawało się słabe i żalosne. Dlaczego, u licha, dała się przekonać Lesterowi, dlaczego zgodziła się na przeprowadzenie do tego okropnego, lodowatego miejsca?

Co za noc!

Szła powoli przez parking do swojej małej hondy hatchback z napędem na cztery koła, pokrytej warstewką cienkiego lodu. Nawet zamek, starannie zaizolowany kawałkiem kartonu, był solidnie zamrożony.

Na szczęście miała klucze zasilane bateriami, które rozgrzewały zamek po włożeniu do środka; wepchnęła klucz do zamka i uśmiechnęła się do siebie, kiedy niecałą minutę później drzwi się otworzyły. Cieszyła się, że wraca do domu, do chrapiącego Lestera i dzieciaków, śpiących na piętrowym łóżku.

Miała złe przeczucia co do tej nocy, od samego początku czuła, że coś było nie tak. Intensywność ataku zimnego frontu wydawała się nienaturalna, a wszystkie rozmowy, które w ostatnich dniach słyszała w barze, dotyczyły tylko jednego: miała to być najcieńsza zima od ponad stu lat.

Świetnie! Właśnie tego im trzeba. Miejscowe dzieciaki oczywiście szalały z radości, że nie muszą iść do szkoły. Jej syn Cliff niemal skakał po ścianach, kiedy około siedemnastej wychodziła z domu na swoją zmianę. Zimno wdzierało się pod jej kurtkę, kiedy wsiadła w końcu do swojego samochodu i zamknęła drzwi. Przekręciła kluczyk w stacyjce.

Cisza.

- Nie - szepnęła, próbując jeszcze raz. - Nie rób mi tego.

Nic. Nawet nie zarzęził.

Wciskała gaz, czując ten nieokreślony strach. To samo mroczne przeczucie, które miała wcześniej.

- No dalej, dalej. - Spróbowała jeszcze raz i jeszcze. Nie widziała nic przez pokrytą śniegiem przednią szybę, nie wiadomo, jak długo będzie musiała czekać na pomoc drogową. Mogła zadzwonić do Lestera, ale wtedy musiałby zostawić dzieciaki same albo ciągnąć ze sobą opatulonego jak bałwan ośmioletniego Cliffa.. Może Lou zechciałby ją podrzucić?

Spróbowała jeszcze raz, w końcu się poddała. To nie miało sensu.

Samochód zdechł.

Świetnie, pomyślała sarkastycznie, otwierając na oścież drzwi i wystawiając na zewnątrz nogi.

Wtedy go zobaczyła.

Szedł do niej.

Na moment poczuła strach, ale zaraz rozpoznała jego sylwetkę i chód. Był stałym klientem baru. Kiedy się zbliżył, nawet w tym słabym świetle dostrzegła jego niebieskie oczy pod wełnianą czapką, zauważyła, że się uśmiechał. Znajoma twarz! Jeden ze stałych bywalców. Ktoś, komu mogła zaufać na tym pustym parkingu.

- Hej! - powiedziała, gramoląc się na zewnątrz. - Dzięki Bogu, że pan tu jest.

- Jakiś problem?

- Mój samochód nie chce zapalić. Zupełnie zdechł.

- Może ja spróbuję?

Jakby była jakąś głupią gęsią, która nie wie, jak uruchomić własny samochód. Zmusiła się do uśmiechu, usuwając się w skrzypiący, głęboki po kostki śnieg.

- Proszę bardzo - powiedziała, robiąc zachęcający ruch ręką w kierunku otwartych drzwi. - Jeśli uda się panu zapalić, poproszę Lou, żeby dał panu do końca życia dziesięcioprocentowy upust.

- To nie będzie konieczne - odparł, nachylając się do niej i przyciskając coś twardego do jej kurtki. Zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, wstrząsnął nią przesywający ból. Ból rozszedł się po całym jej ciele, w mózgu eksplodowała panika. Próbowwała krzyknąć, ale jego odziana w rękawiczkę ręka zastrąbiła jej usta. Czowała jakiś obrzydliwy, słodkawy i mdły zapach, krztusiła się, nie mogąc złapać tchu... Co on wyprawiał? Dlaczego? O Boże, zgwałcił ją... albo jeszcze gorzej... Krzyczała bezgłośnie, próbując kopać i walczyć, ale jej ręce i nogi były słabe, zdrętwiałe. Nie mogła się bronić. Nie mogła krzyknąć. Mięśnie, twarde jak stal, owinęły się wokół niej i zapadła się w niego, wymachując kończynami, choć było to bezcelowe. Jej ciało nie reagowało na polecenia mózgu. Przeszywał ją strach, myślała bezładnie o swoich dzieciach. To nie mogło dziać się naprawdę. Nie mogło!

- Nie opieraj się, Faye. Nie możesz nic zrobić - szepnął.

Faye? Nie nazywa się tak! Pomylił ją z inną kobietą... Próbowwała mu powiedzieć, że to straszna pomyłka, ale szmata przykrywająca jej nos i usta sprawiała, że czuła się zamroczone, język odmawiał posłuszeństwa, a formujące się w ustach słowa wypływały na zewnątrz w postaci błagalnego kwilenia: „Nie jestem Faye! Nie rozumiesz? Proszę, spójrz na mnie! Nie jestem tą, za którą mnie bierzesz!”

Głowa opadła jej do tyłu. Próbowwała się skoncentrować, zmusić go, by odczytał jej myśli, ale było za późno. Wraz z padającym śniegiem wszystko zaczęło niesamowicie wirować. Olbrzymie, oszronione ciężarówki, wysokie lampy uliczne i świąteczne lampki, rozciągnięte wzdłuż okapu baru, wszystko to mieszało się, zamazując jej pole widzenia. Jej bezsilny opór ustał, nogi w końcu zupełnie się poddały. Wzrok zaczęła zasnuwać ciemność, zabierając ją ze sobą.

Tracąc przytomność, Sonja Hatchell wiedziała, że już po niej.

Rozdział 13

Telefon przy łóżku zadzwonił o 4.15. Carter, wyrwany ze snu, wyciągnął rękę i zrzucił z podstawki bezprzewodowy telefon. - Cholera - mruknął, chwytając słuchawkę i przykładając do ucha. Ktokolwiek był po drugiej stronie, nie miał dobrych wiadomości.

- Carter.

- Witaj, szeryfie. Tu Palmer z meldunkiem.
 - Co jest, Dorie? - zapytał Carter i wolną ręką potarł twarz, próbując się obudzić.
 - Miałam telefon od Lestera Hatchella i pomyślałam, że chciałbyś o tym wiedzieć. Sonja nie wróciła do domu z pracy. Dzwonił przed chwilą bardzo zdenerwowany. Jej samochodu nie ma pod barem; już to sprawdził. Przejechał również jej zwykłą trasą i nigdzie jej nie znalazł. Wysłałam Hixsa do baru, ale to faktycznie dziwna sprawa.
 - Czy zgłaszano jakieś wypadki drogowe? - Carter całkiem się obudził. Lester Hatchell był jego przyjacielem.
 - Tak. Jeden od północy. Wypadek zdarzył się piętnaście kilometrów na północ od Falls Crossing. Kierowca został zabrany do szpitala. Nic więcej.
 - Cholera. - Odrzucił kołdrę, spuszczając gołe stopy na zimną, drewnianą podłogę.
 - Pomyślałam, że chciałbyś wiedzieć.
 - Miałas rację, Dorie. Dzięki. - Rzucił słuchawkę, poszedł do łazienki. Kiedy mył zęby, woda zagrzała się na tyle, że mógł wejść pod prysznic. Dziesięć minut później, ogolony i ubrany, zbiegł schodami na dół ze swojej sypialni na poddaszu.
- W piecu dogasał ogień. Nie wiedział, kiedy wróci. Nie posprzątał po wczorajszej kolacji - resztek po mrożonej pizzy i dwóch puszek po piwie. Przy tylnych drzwiach domu wsunął glocka do kabury, włożył kurtkę i kapelusz, a potem poszedł do garażu, gdzie włożył rękawiczki i poczuł pierwsze uszczypnięcie mrozu tego poranka. Zeszłego wieczoru obejrzał prognozę pogody. Dalej to samo. Żadnych oznak przełamania zimnego frontu. Przewidywano śnieg, śnieg i jeszcze raz śnieg, a meteorolodzy mówili, że temperatura jeszcze się obniży i być może rzeka zamarznie.
- Kolejne złe wiadomości.
- Wsiadł do swojego blazera i zmarszczył brwi na wspomnienie tego, jak wodospad zamarzł poprzednim razem. Miał wtedy szesnaście lat i był strasznie głupi.
- Z zaciśniętymi szczękami wycofał samochód z garażu; koła przeorywały świeży śnieg, a przednia szyba zaczęła zachodzić mgłą. Oczyma duszy widział Pious Falls, jego spływającą kaskadami wodę zmrożoną w grube, lodowe pióra, opadające z wysokości ponad trzydziestu metrów do zamarzniętej rzeki.
- Zrobimy to? - zapytał jego najlepszy przyjaciel David Landis. Twarz Davida była czerwona od zimna, jego oczy błyszczały z podekscytowania,

kiedy mrużąc je, patrzył w górę urwiska, skąd opadał strumień zamrożonej wody. David i Shane byli przyjaciółmi od pierwszego dnia szkoły podstawowej.

- Raczej nie.

- Dlaczego? - David już mocował raki, czekając miał zatknięty za pasek, a liny, szelki i karabinki, przymocowane do kurtki. - Będzie super. - Rzucił przez ramię rozbawione spojrzenie. - Tylko mi nie mów, że się boisz. Shane Carter, mistrz biegów zjazdowych, wytrawny alpinista. I co? Tchórzysz? Stałeś się mięczakiem trzęsącym portkami?

- Po prostu nie uważam, żeby to był dobry pomysł. - Jakby na poparcie jego słów, w wąwozie zawył wiatr, szeleszcząc suchymi liśćmi, łamiąc kruche gałęzie drzew. Wszystko pokrywał lód, połyskujący czystym, bezlitosnym szklivem.

David nie dał się zrazić. Jak zawsze niczego się nie lękał. Poprawił wełnianą kominiarkę na twarzy.

- Z tobą tak zawsze - zadrwił, wypuszczając z ust obłoczki pary. - Mówię ci, człowieku, to nasza życiowa szansa. Czy jeszcze kiedyś będzie na tyle zimno, żeby zamarznął wodospad? Jutro to miejsce i Multnomah Falls zaroją się od wspinaczy. A dzisiaj mamy je wyłącznie dla siebie. - Po tych słowach zacieśnił pasek kasku i nałożył gogle. Ponownie zadarł głowę, spoglądając na lodowe słupy, wznoszące się tak wysoko, że ginęły w chmurach. Po prostu kipiał entuzjazmem. - Zrobię to, z tobą, lub bez, więc się zdecyduj...

Teraz, po dwudziestu paru latach, Carter, mrużąc oczy, wpatrywał się w przednią szybę, na której pracowały wycieraczki, zgarniając śnieg. Blazer ślizgał się i prychał, dopóki nie dotarli do szosy, która była odśnieżona przez pługi i posypana piaskiem, choć świeży śnieg już osiadał na starszych, oblodzonych garbach.

Gdzie była Sonja Hatchell?

Obawiał się najgorszego. Z baru do domu Hatchellów droga wiała się przez wzgórze, przechodząc przez trzy czy cztery mosty nad wartkimi strumieniami. Miał nadzieję, że Sonja nie wpała w poślizg, kończąc życie uwięziona w swoim małym samochodzie, do którego wnętrza wdzierала się lodowata woda.

Nie, nie należy tak myśleć.

Prawdopodobnie nic jej nie jest.

Może po prostu pokłócili się z Lesem i postanowiła nie wracać do domu?

O godzinie dziewiętej trzydzieści Jenna otworzyła drzwi teatru, napierając na nie biodrem, ponieważ ręce miała zajęte dwoma kubkami z parującą kawą, którą kupiła w pobliskiej kafejce. Przeszła do biura Rindy i powiedziała:

- Jedna duża, bezcukrowa, karmelowa latte z dodatkową śmietanką i czekoladą dla ciebie. I podwójna beztłuszczowa mocha grandę z bitą śmietaną dla mnie.
- Ratujesz mi życie. - Rinda wyjęła kawałek karmelu pływającego w kawie i włożyła go do ust. - Tego mi było trzeba. Jest cholernie zimno, lada moment piec przestanie grzać, a kopiarka już jest popsuta. I to dopiero początek. - Stuknęła brzegiem swojego papierowego kubka o kubek Jenny.
- Za to, żeby się poprawiło.
- Amen - powiedziała Jenna, sadwiąc się na podniszczonym, wielkim fotelu w rogu, często wykorzystywanym jako rekwizyt w przedstawieniach.

Drzwi teatru otworzyły się głośno i do pokoju wszedł Wes Allen. Pomimo bardzo niskiej temperatury miał na sobie dzinsy i wełniany sweter z kapturem. Żadnej kurtki, płaszcza ani czapki.

- Co to za teatralne pogaduchy przy kawie? - spytał, przysiadając na brzegu biurka Rindy.
- Pijemy espresso - wyjaśniła Rinda, rozpromieniając się na widok brata.
- Obrzydliwość. - Prychnął. - Dajcie mi czegoś prawdziwego. Czarnej kawy bez żadnych dodatków.

Rinda roześmiała się.

- Mówisz jak prawdziwy mężczyzna.
- Skoro tak uważasz. - Mrugnął do Jenny, a ona zmusiła się do uśmiechu. Co było w nim takiego, że tak to ją niepokoiło? Był bratem Rindy, ale zawsze stawało te parę centymetrów za blisko, poufale dotykał jej ramienia, czy, jak teraz, mrugał do niej konspiracyjnie, jakby coś ich łączyło.

Powiedziała sobie, że nie powinna tak się tym denerwować.

- Co to za nadzwyczajne okoliczności sprawiły, że z samego rana kazałaś mi wyskakiwać z łóżka? — zapytał.
- Piec i kopiarka, na początek. Poza tym Scott mówił, że w jednym rzędzie świateł robi się zwarcie. Grzebał przy nich wczoraj wieczorem, ale nie potrafił naprawić.
- Bo dzieciak z niego. Co innego ja, jestem profesjonalistą. - Uniósł w górę ręce, jakby oczekując aplauzu.

- Jasne. Przypominam sobie, że kiedyś już bezskutecznie próbowałeś na prawić te światła.
 - A jak tam twoje sprawy? - Zmienił temat, obracając się na biurka, by spojrzeć w twarz Jenny. - Co z pompą.
 - Wszystko załatwione. Wczoraj wpadli do mnie Harrison Brennan i jego znajomy, Seth Whitaker.
 - Mogłaś zadzwonić do mnie.
 - Następnym razem - obiecała, pijąc kawę. Od strony sceny rozbrzmiały kroki.
 - To pewnie Blanche. Chciała coś tam pozmieniać w nutach – powiedziała Rinda.
 - Nie przeszkadzam? - zapytała Blanche, wsuwając głowę przez drzwi. Na nosie miała wąskie okulary w czarnych oprawkach. Choć skończyła już sześćdziesiąt lat, wydawała się znacznie młodsza. Krótkie, sterczące włosy, okalające jej okrągłą twarz, były niemal pomarańczowe. Kiedy się uśmiechała, zmarszczki przy jej oczach i ustach robiły się bardziej wyraźne. Obecnie nikogo nie miała, ale chodziły słuchy, że była parokrotnie zamężna. Ona sama niechętnie mówiła o swoim życiu osobistym. Blanche zdjęła z szyi szalik z frędzlami.
 - Wchodź i przyłącz się do nas. Zaraz zrobią kawę.
 - Zanim się zaparzy, pójde zobaczyć co z piecem - powiedział Wes.
 - Najwyższa pora - stwierdziła Rinda i zaczęła z Blanche omawiać poprawki w nutach.
- Dwadzieścia minut później Blanche wypila kawę, zerknęła na zegarek, westchnęła, powiedziała, że jest spóźniona na spotkanie, i wypadła przez drzwi. Wes nadal majstrował przy piecu. Rinda i Jenna znowu zostały same w biurze.
- Chcę ci coś pokazać - powiedziała Jenna, sięgając do torebki.
 - Co?
 - Coś, co odebrałam wczoraj razem z pocztą.
 - List od fana?
 - Można to i tak nazwać... jeśli słowo fan oznacza fanatyka. – Podana Rindzie plastikową torebkę, w której były list i koperta. - Nie otwieraj. Możesz przeczytać i tak.
 - Dobrze. - Rinda spojrzała na list i pobladła. - Jezu, co to, u licha, ma być?
 - Nie wiem.
 - Jesteś prawdziwą kobietą? Jesteś moją kobietą? -przeczytała, a jej oczy zrobiły się okrągłe. - Kto ci to przysłał?

- Anonim.
- Zadał sobie trud, żeby wydrukować tekst na twoim zdjęciu.
- Na reklamowym zdjęciu z *Odkupienia*.
- To jest porąbane! Nienormalne! Bierz ten list i idź zaraz do Shane'a Cartera! - nakazała Rinda, a potem przeczytała głośno: - Przyjdę po ciebie. - Boże, to przerażające. - Upuściła plastikową torebkę na stos nowej poczty, leżącej na jej biurku.
- Nawet bardziej niż przerażające.
- Jak ten świr zdobył twój adres?
- Nie wiem... Pewnie nie było to wcale takie trudne w erze komputerów, Internetu, powszechności informacji. Obecnie można odnaleźć każdego. Nawet nie jestem pewna, czy ludzie objęci programem ochrony świadków są bezpieczni. Szerzy się złodziejstwo danych osobowych.
- To jest coś znacznie gorszego.
- Wiem - przyznała Jenna, a następnie dopiła kawę i zgmiotła papierowy kubek.

Z głębi teatru dochodził stukot, seria głośnego, metalicznego walenia; zapewne Wes próbował naprawić piec. Jenna przypomniała sobie dzień, kiedy przypadkiem stał się świadkiem jej rozmowy z Rindą. Czy teraz też je słyszał?

- A zatem nie bądź głupia - mówiła Rinda. - Zwróć się z tym listem do stróżów prawa. Zaczynaj od Cartera.

Jenna jęknęła w duchu. Nie miała ochoty na kolejne spotkanie z mrukliwym szeryfem.

- Twoje ranczo znajduje się na jego terenie. Albo sam ci pomoże, albo skieruje cię we właściwym kierunku. - Rinda przygryzła wargę, a bruzdy na jej czole pogłębiły się. Jenna niemal słyszała tryby obracające się w głowie jej przyjaciółki. - Nie uważasz, że to może być coś więcej niż zwykły zbieg okoliczności, że skradziono akurat część rzeczy podarowanych przez ciebie? Wszystkie pochodziły z twoich filmów. Nie brakuje nic z rzeczy podarowanych nam przez innych. A dostaliśmy tego całe tony... Ofiarowano nam masę różności w ciągu paru ostatnich lat, a brakuje jedynie rzeczy, które kiedyś należały do ciebie. Nie podoba mi się to.
- Mnie też nie - przyznała Jenna, znowu odczuwając coraz większą niepewność, choć próbowała zachować spokój. Już wcześniej myślała o tym, co powiedziała Rinda. - Jeśli mam być szczerą, ostatnio nie podoba mi się wiele rzeczy.
- Wydarzyło się coś jeszcze?

Rozległ się głośny brzęk, po czym w teatrze nagle zapadła cisza. Ucichł szum pompowanego powietrza i buczenie maszynarii. Coś niesamowitego.

A może to napięte nerwy płały jej sztuczki?

Oliver, przyczajony za biblioteczką, wydał z siebie niespokojne miauknięcie, następnie wskoczył na biurko Rindy i zaczął robić toaletę.

- Odebrałam dziwny telefon - przyznała się Jenna. - Nie słyszałam wyraźnie, bo były zakłócenia, ale zdawało mi się... - Zawahała się. Czy rzeczywiście słyszała muzykę w tle? A może tylko to się jej wydawało?

- Jaki dziwny telefon? - Rinda ciągnęła ją za język; w jej głosie słychać było troskę.

- Nikt się nie odzywał, ale słychać było muzykę z *Białej ciemności*.

- Wystarczy! Musisz pójść z tym na policję. Jak najszybciej. –

Poderwała się na równe nogi, a przestraszony Oliver zeskoczył z biurka i wypadł za drzwi jak błyskawica.

- Wiem, wiem. Zrobię to. - Pod wpływem stanowczego spojrzenia Rindy dodała: - Dzisiaj.

- Mówiłaś o tym dziewczynkom?

- Wspomniałam, że dostałam dziwny list i muszę być wyjątkowo ostrożne. Powiedziałam im też, żeby telefony odbierała automatyczna sekretarka, dzięki czemu będziemy mieć zarejestrowane wszystkie wchodzące połączenia. Nie chciałam, żeby się wystraszyły, i nie dałam im przeczytać tego listu.

- Allie jest jeszcze dzieckiem, ale może Cassie powinna go przeczytać.

- Nie chciałam jeszcze bardziej jej zdenerwować. Obecnie nasze stosunki nie układają się zbyt dobrze.

- Jest nastolatką. Nic w tym dziwnego.

- Wiem, ale w ostatnim czasie ciągle skaczemy sobie do gardeł.

Przyłapałam ją na nocnym wymykaniu się z domu i dałam jej szlaban, ale nie wy daje mi się, żeby odniosło to jakiś rezultat.

- Olewa cię, co?

- I to jak - przyznała Jenna, po czym pożałowała, że zaczęła ten temat.

To, co działo się pomiędzy jej córką i nią, było wyłącznie ich sprawą. Jednakże czasami Jenna potrzebowała się komuś zwierzyć, innemu rodzicowi, który znał uroki życia z nastolatkiem, innej matce, która rozumiała frustracje i zmartwienia towarzyszące wychowywaniu dzieci.

- Po prostu nie lubisz jej chłopaka - stwierdziła Rinda. W tym momencie ponownie coś trzasnęło i równomierny szum przepływającego powietrza wypełnił ciszę.

- Tak twierdzi Cassie.

- A to prawda? - Rinda wyrzuciła fusy ze swojej kawy do donicy z paprocią.
 - Za co go tu lubić? Pali, pije, épa, tak myślę, nie pracuje i nie ma dobre go wpływu na moją córkę. W tym roku kończy szkołę, o ile wcześniej nie wy rzuca go za wagarowanie, i nie może się zdecydować, czy iść do miejscowego college'u, wstąpić do wojska, czy może podjąć pracę u swojego wuja i kłaść wykładowy.
 - Czyli jest taki sam jak większość osiemnastolatków.
 - On ma dziewiętnaście lat. I powinien wreszcie wziąć się za siebie.
 - Tak jak ty w jego wieku? - zapytała Rinda, unosząc brwi.
 - Ja przynajmniej pracowałam.
 - Dla producenta prawie dwa razy starszego od siebie, który cię wykorzystywał.
 - Robert mnie nie wykorzystywał. A poza tym w końcu wyszłam za nie go za mąż - powiedziała Jenna. Chwilę później, kiedy dotarły do niej jej własne słowa, skrzywiła się. - O Boże! Mam nadzieję, że Cassie nie myśli o poślubieniu Josha.
- Rinda spojrzała na nią z politowaniem.
- Prawdopodobnie przeszło jej to przez głowę.
 - Ale ona ma przed sobą takie możliwości. Jest inteligentna, śliczna i...
 - Wzdychając, Jenna potrząsnęła głową.
 - Powiedz wprost, że nie uwielbiasz być samotną matką.
 - Nie cierpię tylko tego, że muszę stać nieugięte na straży dyscypliny.
- Cała reszta to głupstwo.
- Tak sądzisz? - Rinda zachmurzyła się, jakby pomyślała o swoim synu, Scotcie. - A mnie się czasem wydaje, że to jedno wielkie pasmo utrapień.
 - Słyszałam, że można trochę odetchnąć, kiedy dzieciom stuknie czterdziestka.
- Rinda roześmiała się bez przekonania.
- Kobietom znacznie słabszym od nas udało się przygotować dzieci do dorosłego życia. Jednak one nie musiały borykać się z czymś takim... — Rinda wskazała plastikową torebkę na biurku. - Chcesz, żebym poszła z tobą do szeryfa?
 - Nie potrzebuję eskorty. - Na myśl, że ponownie spotka się z szeryfem Carterem, straciła pewność siebie. Było oczywiste, że jej nie lubił i nie chce zawracać sobie głowy jej sprawami.
- Bez wątpienia potraktuje ją tak jak poprzednio.

Sonja drżała. Czuła się ocieślała. Miała wrażenie, że jej krew gęstnieje. I jeszcze ten brzęczący dźwięk... przebijający się przez jakąś muzykę. Gdzie się znajdowała, dlaczego była taka zamroczona? Poruszyła się lekko, ale nie miała kontroli nad swoim ciałem...

Otworzyła oczy i zamruła, ale nadal było ciemno... Nie... znajdowała się w świetle, intensywnie jasnym, małym kręgu światła, jakby na środku sceny, pod jupiterem, tylko otaczająca ją przestrzeń była czarna jak smoła.

Czy poza tym kręgiem światła byli ludzie? Ludzie przyglądający się jej z ukradka? Próbowwała się poruszyć, uświadamiając sobie, że jest naga, przypięta do skórzanego fotela, wyposażonego w podnózek i zagłówek... Fotel dentystyczny, a może staroświeckie krzesło elektryczne, jakie widziała w filmach?

W jej głowie przejaśniało pod wpływem panicznego strachu, tak wielkiego, że bała się, iż ponownie może stracić przytomność.

A może to tylko sen? Dlaczego jednak taki dziwny? Jej nagie ciało było mocno przyciśnięte do zimnego fotela. Głowę miała odchyloną do tyłu i unieruchomioną, zaś usta boleśnie rozszerzone jakąś klamrą, której nie widziała.

Boże, zabierz mnie stąd!

I jeszcze to uczucie, że jest obserwowana... Wytężyła wzrok, ale udawało jej się dostrzec jedynie niewyraźne zarysy otaczającej rzeczywistości.

- Budzimy się? - Gdzieś z ciemności odezwał się męski głos.

Podskoczyła, czując ostry ból w miejscach, gdzie jej ręce i nogi były skrupowane. -Musimy coś na to zaradzić.

Gdzie jest ten bydlak? Dlaczego jej to robi? Próbowwała coś powiedzieć, ale wydała z siebie tylko pisk, bo usta miała unieruchomione. Przypomniała sobie porwanie, swój samochód, który nie chciał zapalić... Kim był ten potwór, który to zrobił? Gdzie on jest? Spojrzała w górę, na wiszącą nad jej głową aparaturę... Stara wiertarka dentystyczna, połyskująca złowieszczo w intensywnym świetle. Krew ścięła się w jej żyłach.

Serce waliło jak oszalałe.

Pomimo zimna na jej skórę wystąpił pot, kiedy próbowała się poruszyć.

Gdyby tylko mogła *zrzucić* te więzy i wydostać się stąd! Ogarnęła ją panika.

Szamotała się w pętach, walcząc rozpaczliwie. Wszystko na próżno.

Muzyka nasiliła się... Była to piosenka, którą powinna rozpoznać... może z jakiegoś filmu.

Musiała się stąd wydostać. Natychmiast! Oszalała ze strachu, próbowała przekręcić się na fotelu, ale ledwie mogła się ruszyć; jej mięśnie były zdrętwiałe, pasy na nadgarstkach, nogach i piersi trzymały ją mocno, wrzynając się w ciało. Dopiero teraz zauważyła wbitą w jeden z nadgarstków igłę, od której odchodziła długa plastikowa rurka kroplówki. Przejrzysty płyn przenikał kropla po kropli do jej krwiobiegu. Jakaś makabra. Zupełny surrealizm. Koszmarny sen. Tak, to musiał być koszmarny sen.

Próbowała krzyczeć. Wrzeszczeć. Kopać. Na próżno. Kim jesteś, ty chory bydlaku?

- To na nic, Faye - powiedział bezcielesny głos; wydawał się jakby bliżej. Próbowała mu powiedzieć, że nie nazywa się Faye. O Boże, miał nie tę kobietę! To wszystko było jakąś straszliwą pomyłką. Jestem Sonja! Puść mnie!

Dostrzegła w mroku jakiś ruch, ktoś powoli się zbliżał, okrążał ją, balansując na granicy światła.

Poczuła mrowienie na skórze.

To nie mogło się dziać naprawdę. Ale on zbliżył się jeszcze bardziej; wysoki, umięśniony. Próbowała podążać za nim wzrokiem.

Nagle, jakby jakimś cudem w tej diabelskiej pieczarze weszło słońce, oślepiające światło zaczęło rozchodzić się promieniście od podłogi, rozświetlając otaczającą ją przestrzeń; wtedy uświadomiła sobie, że znajdowała się w centrum uwagi, a ludzie, których obecność wyczuwała, których spojrzenia czuła na sobie, nie byli ludźmi... to były manekiny, nagie, łyse, pozbawione wyrazu, rozmieszczone wokół niej. Wpatrywały się w nią ziejącymi pustką oczodołami.

Jakby była ofiarą złożoną na ołtarzu.

Zrobiło się jej słabo z przerażenia.

Co to było?

- Widzisz je, Faye? - zapytał bezcielesny głos. - Czekają na ciebie.

Ona nie nazywa się Faye, a to są jakieś lalki. One na nikogo nie czekają! Kątem oka zauważyła ruch. Był blisko. Muskularny mężczyzna, kompletnie nagi. Jego ciało było naprężone i pozbawione owłosienia, tak jak ciała manekinów. Na głowie miał czapkę.

Znała tego potwora. Ufała mu. A teraz on się do niej zbliżał, nagi, w rękawiczkach chirurgicznych. W jednej ręce trzymał nożyczki, w drugiej przewodową golarkę elektryczną, która głośno brzęczała.

Wzdrygnęła się, kiedy uniósł kosmyk jej włosów i szybko ściał. Długie, jasne pasmo spadło na podłogę. Nie mogła mu uciec, nie mogła kopać, nie mogła drapać, nie mogła krzyczeć, nie mogła się bronić.

Krzyczała bezgłośnie, a ślepe manekiny dalej się przyglądały, kiedy ciał jej włosy. Ciach, ciach. W rytm muzyki.

Przypomniały się jej sceny z filmów, kiedy skazańcowi golono głowę przed egzekucją. Och, nie... nie...

Kiedy brzęczenie rozległo się tuż przy jej uchu, a lalki o pozbawionych wyrazu twarzach nadal się jej przyglądały, wiedziała już, że nie ma ucieczki.

Rozdział 14

Przykro mi, Les... na razie żadnych wieści- powiedział Shane, czując się, jakby dźwigał na barkach ciężar całego świata. - Rozmawiałem z policją stanową. Nic nie mają. Tak samo jak moi zastępcy. U chłopców z miejskiej też nic. Sprawdziliśmy najbliższe szpitale. Sonja do nich nie trafiła. Rozmawiałem z Lou Muellerem, powiedział mi, że też z nim rozmawiałeś, a także z jego bratankiem Chrisem Muellerem, który pomagał Lou zamknąć lokal. Wygląda na to, że ci dwaj byli ostatnimi, którzy ją widzieli.

- A co z klientami? - zapytał Les, a w jego głosie kryła się nadzieja.

- Zajmujemy się tym. Lou podał nam nazwiska stałych klientów, mamy też opisy paru innych, jak też kwitki z kart płatniczych. Moi zastępcy przesłuchują wszystkich, którzy byli wczoraj wieczorem w barze.

Umieściliśmy na liście poszukiwanych samochodów hondę Sonji. - Jak dotąd nic to nie dało. Z powodu złej pogody psy były w stanie przeszukać tylko ograniczony teren, helikoptery zostały uziemione, nawet policjanci z noktowizorami nie mogli wydajnie pracować podczas zimnej nocy. -

Przydałoby się nam najbardziej aktualne zdjęcie Sonji.

- Jasne. Coś jeszcze mogę zrobić?

- Bądź pod telefonem, porozmawiaj z jej wszystkimi przyjaciółmi i krewnymi. Przyślę kogoś do ciebie. - Nie minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny od czasu, kiedy Sonję widziano po raz ostatni, ale Shane miał złe przeżycie co do jej zaginięcia. To nie było do niej podobne. Lester przysięgał, że się nie pokłócili, a nawet gdyby, to czy pojechałaby gdzieś w samym środku takiej śnieżycy, najgorszej od półwiecza? Nie, to nie miało żadnego sensu. Lou powiedział jego zastępcy, że Sonja nie wydawała się niczym zmartwiona ani zdenerwowana, zachowywała się tak samo jak

zawsze. Myślał, że po pracy pojechała prosto do domu, ale nie widział momentu jej odjazdu. Po prostu zauważył brak jej samochodu na parkingu, kiedy zamykał bar.

Niedobrze. Bardzo niedobrze.

- Dzięki, Shane. - Głos Lesa lekko zadrżał, a potem rozległ się trzask odkładanej słuchawki.

Shane wpatrywał się w telefon. Co się stało z Sonją Hatchell? Dopił kawę, zgniótł papierowy kubek i wysłał zastępcę do domu Hatchellów. Jego praca tutaj, w hrabstwie Lewis, polegała przede wszystkim na uczestniczeniu w odprawach, pisaniu raportów i wykrywaniu drobnych przestępstw.

Owszem, zdarzało się im aresztować handlarzy narkotyków, mieli wypadki drogowe, kierowców prowadzących w stanie nietrzeźwym, imprezujące małolaty i sporo przypadków wandalizmu. Owszem, jego zastępcy byli wzywani, kiedy dochodziło do przemocy domowej, ale zwykle oskarżenia wycofywano, zanim jeszcze sprawa trafiła do sądu. Jego wydział pomógł dwa lata temu rozbić gang zajmujący się produkcją i rozprowadzaniem metaamfetaminy, no i była jeszcze ta dziupla w hrabstwie East, którą pomogli zamknąć, ale jeszcze nigdy z wydrążonych kłód nie wypadały zwłoki kobiet ani nie ginęli mieszkańcy miasta.

Aż do tej pory. Spojrzał w okno. Nad dachami budynków przesuwaly się powoli ciężkie, szare chmury. Złowrogie i śmiercionośne. Życie zmieniło się w Falls Crossing. I to wcale nie na lepsze.

Zerknął przez rozsunięte żaluzje na swoje biuro. Istny dom wariatów.

Telefony ciągle brzęczały, a przepracowani policjanci krzatali się, sporządzając raporty i spisując dane zatrzymanych, mając czas jedynie na otrzepanie butów ze śniegu i ogrzanie przemarzniętych palców za pomocą kubka z kawą, przed ponownym wyjściem na oblodzone ulice. Było coraz więcej wypadków i mieli coraz więcej doniesień o przerwach w dopływie energii elektrycznej i spadających konarach drzew. Szpital był wypełniony, ludzie tłoczyli się w izbie przyjęć. A Amanda Pratt, ambitna zastępca prokuratora, wierciła mu dziurę w brzuchu z powodu kobiety znalezionej w Catwalk Point. Przysłała mu dwa e-maile i raz zadzwoniła, żądając dalszych informacji. No i jeszcze dziennikarze... Już do niego wydzwaniiali, w tym ta lokalna reporterka Roxie Olmstead, która nigdy nie dawała się zbyć.

Carter miał właśnie dzwonić do porucznika Sparksa, kiedy zauważył znajomą postać zmierzającą w jego stronę. Choć Jenna Hughes była niezbyt wysoka, od razu rzucała się w oczy. Miała na sobie grubą kurtkę narciarską i dopasowane spodnie, wsunięte w kozaczki. Kiedy szła,

odwracały się za nią wszystkie głowy. Była cholernie seksowna, choć zdawała się w ogóle nie przykładać do tego wagi.

Carter odłożył słuchawkę, nie wybierając numeru. Przez żaluzje obserwował, jak Jenna zerka w jego kierunku, a następnie zatrzymuje się przy biurku jego sekretarki. Pomyślał, że Jenna Hughes chyba będzie tu stałą klientką.

W obliczu tego wszystkiego, co się działo obecnie w hrabstwie, nie była im potrzebna taka hollywoodzka księżniczka. Ale tak czy owak będzie miał ją na głowie. Wstał, kiedy Jerri zastukała do drzwi i wetknęła do środka głowę.

- Jest tu Jenna Hughes i chce z panem rozmawiać. - Jerri nie wyglądała na zbyt zadowoloną, co ostatnimi czasy często się jej zdarzało.

- Wpuść ją.

Ledwie wypowiedział te słowa, do środka wkroczyła Jenna. Nawet bez filmowego makijażu i specjalnego oświetlenia była wspaniała.

- Tylne światła już naprawione? - zapytał. Spojrzała na niego ostro.

- Owszem, naprawione.

- Miło mi to słyszeć. - Wskazując ruchem ręki krzesło przy biurku, po wiedział: - Proszę usiąść.

Usiadła, ściągając wełnianą czapkę i rękawiczki. Na jej ramiona opadły długie czarne włosy zaplecione w warkocz.

- Naprawdę nie chcę zawracać panu głowy. Wiem, że jest pan zajęty. Musicie mieć tu urwanie głowy przez tę śnieżycę.

- Jakoś sobie radzimy.

- To dobrze. - Westchnęła, szarpiąc nerwowo za rękawiczki i posyłając mu błagalne spojrzenie tych sławnych zielonych oczu. — Mam problem.

- Zginęły jeszcze jakieś rekwizyty z teatru? - zapytał, po części żartując, ale nie udało mu się wywołać nawet cienia uśmiechu na tych jakże często fotografowanych ustach.

- Nie o to chodzi.

Zagłębiając rękę w swojej pojemnej torebce, potrząsnęła głową. Nie zauważył wcześniej, ale była taka spięta: zaciśnięte usta, zmarszczki niepokoju widoczne pomiędzy jej lekko wygiętymi brwiami, nerwowość, z jaką przeszukiwała torebkę.

To coś poważniejszego niż kradzież tamtych rzeczy. Tak mi się wydaje.

Rinda stwierdziła, że powinnam przyjść z tym do pana, skoro mieszkam 1 w pańskim okręgu jurysdykcyjnym. Szczęściarz z pana, co? -

Spojrzała na niego, nadal bez uśmiechu, a następnie wyciągnęła plastikową torebkę i rzuciła ją na środek jego biurka. - Odebrałam to

razem z korespondencją, było w mojej skrytce pocztowej. t- Co to jest? - zapytał, podnosząc torebkę. - List od jakiegoś fana?

- Coś więcej niż zwykły list.

Czytał kolejne słowa poprzez cienki plastik, przestając się dziwić. Jenna Hughes wygląda tak, jakby zaraz miała zemdleć. *Jesteś wspaniałą kobietą. Zmysłową. Silną. Uwodzicielską. Jesteś jedyną kobietą. Szukam cię. Pragnę. Czekam. Jesteś moją kobietą.*

Dziś. Jutro. Zawsze. Przyjdę po ciebie.

- Kto to przysłał? - zapytał.

- Nie wiem.

Widać było, że wzbudziła jego zainteresowanie.

- Nie domyśla się pani, kto mógłby przysłać coś takiego? – Przybliżył torebkę do oczu, przyglądając się kopercie. Taka sama czcionka jak w liście. Nadano w Portland.

- Nie mam pojęcia.

- Czy coś takiego zdarzyło się już kiedyś? Westchnęła lekko i wzruszyła ramionami.

- Tak. Raz.

Odłożył plastikową torebkę na biurko, wyjął z kubka długopis i przysunął do siebie notatnik.

- Proszę mówić.

- Tamten przypadek miał miejsce jakiś czas temu, kiedy jeszcze mieszkałam w Los Angeles. Oczywiście, zawsze istnieli obsesyjni fani. Zawsze.

Ale... - Przygryzła wargę, ale wzięła się w garść i spojrzała mu w oczy.

- Ale myślałam, że tu jestem bezpieczna.

- Czy kiedykolwiek ktoś panią śledził?

- Ostatnio nie.

- A w przeszłości?

Zawahała się, a potem skinęła głową.

- Istnieje pewien typ fanów, którzy przekraczają granice, próbują za bardzo się zbliżyć. Owszem, był jeden facet, który po prostu nie przyjmował do wiadomości słowa „nie”. - Jej czyste oczy zasnuły się wspomnieniami. - Dzwonił i nachodził mnie w domu, krążył za mną, kiedy uprawiałam jogging, zjawiał się na planie zdjęciowym, a nawet wtedy, kiedy jadłam kolację w restauracji. I przysłał mi list. To wszystko mogło człowieka wytrącić z równowagi. Byłam wówczas mężatką.

Załatwiliśmy z mężem, żeby dostał zakaz zbliżania się do mnie.

- I co potem? - zapytał.

- Nigdy więcej mnie nie niepokoił. Zdaje się, że w końcu coś do niego dotarło.

Jej wyjaśnienie nie było dla niego przekonujące.

- Chce pani powiedzieć, że zakaz wszystko załatwił? Miał na pani punk cię taką obsesję, że aż musiała się pani zwrócić z tym do policji, a potem po prostu zniknął?

- Tak. - Wzruszyła ramionami. - Nie wiem, co się z nim stało, ale zostawił mnie w spokoju.

Carter pokręcił słowa. Parę razy pstryknął długopisem.

- Jak on się nazywał?

- Vincent Paladin.

Carter zapisał to w swoim notatniku.

- Jego adres?

- Nie wiem, co się z nim stało. Wtedy miał dwadzieścia siedem lat. Nigdy nie mieszkał w jednym miejscu dłużej niż kilka miesięcy. W tamtym czasie miał mieszkanie w Compton, w hrabstwie Los Angeles. Twierdził, że był studentem, ale policja odkryła, że kłamał. Pracował w punkcie ksero – Quickie Print, chyba tak to się nazywało.

- Jak dawno to było?

- Pięć... prawie sześć lat temu.

- I od tamtej pory nie dawał znaku życia?

- Żadnego.

Dziwne. Czy to możliwe, żeby Paladin przeniósł się tutaj?

- Czy tamten list był podobny do tego?

- Nie. Tamten to był długi, chaotyczny list, napisany ręcznie na żółtej kartce z notatnika. Zdaje się, że było tego z siedem stron.

- Ma pani kopię?

- Nie. - Uśmiechnęła się nieznacznie. - Nie lubię takich rzeczy rozpamiętywać.

- Ale policja z Los Angeles ma to w swoich aktach, prawda?

- Chyba tak. Zajmowała się tą sprawą detektyw Sarah Brown.

Carter zapisał nazwisko policjantki i zanotował sobie, żeby zadzwonić do lartamentu policji w Los Angeles. Jest coś jeszcze, co może mi pani powiedzieć o Paladinię?

- Niewiele. - Potrząsnęła głową, a długi warkocz zakołysał się między jej łopatkami. - Był introwertykiem z tą dziwną obsesją na moim punkcie.

- Czy kiedykolwiek wyrządził pani jakąś krzywdę?

- Nie. I nie wydaje mi się, żeby do tego zmierzał. Nigdy nie był agresywny, nigdy nie wtargnął do mojego domu, tylko kręcił się pod bramą. Dostawałam gęziej skórki, widząc go tam, choć nigdy nie siedział pod bramą zbyt długo.
 - A co pani powie na temat tego zdjęcia? - zapytał, ponownie sięgając po przyniesiony przez nią list. Na tym zdjęciu Jenna Hughes była seksowna, uwodzicielska i wyrafinowana.
 - Zdjęcie reklamowe *Odkupienia*, filmu, który nakręciłam prawie dwieście lat temu,
 - Przychodzi pani coś do głowy? Jakiś powód, dlaczego ze wszystkich zdjęć promocyjnych z pani udziałem zostało wybrane właśnie to?
 - Nie mam pojęcia. To zdjęcie było dostępne dosłownie wszędzie. W wypożyczalniach wideo. W Internecie. W fanklubach, sklepach z rekwizytami filmowymi. Tuż przed wejściem tego filmu na ekrany wypuszczono tysiące tych zdjęć, ale, jak już mówiłam, to było dawno temu. Carter zadał jeszcze parę pytań na temat Paladina, ale nie dowiedział się wiele. Zannotował sobie, żeby sprawdzić, gdzie ostatnio ten przyjemniaczek zarzucił kotwicę i co porabiał. Czy mógł przyjechać za Jenną na północ? Wykradać należące do niej *rzeczy!* Wspomniała o telefonie, który odebrała, o tym, że wydawało jej się, że słyszała w tle muzykę z jednego ze swoich filmów.
 - Ma pani jakichś wrogów?
 - Poza chłopakiem mojej córki? - spytała, ale natychmiast na jej twarzy pojawił się skruszony wyraz. - Proszę o tym zapomnieć, dobrze?
 - Dlaczego?
 - To nie on... Tylko żartowałam.
 - To nie jest temat do żartów.
 - Nie - powiedziała poważnie, a jej oczy przybrały ciemniejszy odcień zieleni. - To nie jest temat do żartów.
 - A co z pani byłym mężem? Pokręciła przecząco głową.
 - Robert jest zbyt zajęty sobą, a poza tym utrzymujemy dobre stosunki.
 - A co z dawnymi chłopakami i byłymi kochankami?
- Uśmiechnęła się i zarumieniła.
- Nie ma takich - powiedziała, podrzucając rękawiczki na kolanach i patrząc prosto na niego. - Jest pan zaskoczony?
 - Tak.
 - Nie jestem jak te postaci, które gram, szeryfie - powiedziała szybko.
 - Domyślałem się tego.
- Uniosła brwi z niedowierzaniem.

- Ale wiele osób tak sądzi. Identyfikują mnie z postaciami, które widzą w filmach. Zapominają, że to tylko gra aktorska.

Zadzwonił jego telefon i Carter odebrał krótką wiadomość! A potem odłożył słuchawkę.

- Przepraszam - powiedział, przyglądając się swoim zapiskom.

- Pytał mnie pan o moje życie intymne -przypomniała mu ostrym tonem.

Nie dziwił się, że nie chce rozmawiać o swoim życiu osobistym, ale musiała zmienić nastawienie. Jeśli chciała, by jej pomogli, musiała udzielić odpowiedzi na wszystkie jego pytania.

- No więc, co z nim?

Skrzywiła się niechybnie i zacisnęła ręce na poręczach krzesła.

- Od czasu rozwodu nie prowadzę ożywionego życia towarzyskiego.

Umówiłam się z paroma facetami na kawę czy kolację, ale to wszystko.

W sumie byłam na czterech, może pięciu randkach, o ile można tak to nazwać.

- Co to za mężczyźni?

- Jezu!

Czekał, wpatrując się w nią, nie naciskając.

- Nie chcę ich w to wciągać.

- To ważne. - Był stanowczy i miał już dość jej lawirowania. - Albo chce pani, żebym pomógł, albo nie.

- Tak, rozumiem. Dwa razy byłam w restauracji zHarrisonem Brenna-nem, sąsiadem, który pomaga mi czasem przy różnych rzeczach w domu. I umówiłam się parę razy na kawę z Travisem Settlerem, ojcem przyjaciółki jednej z moich córek. Proszę mi wierzyć, że to wszystko było bardzo niewinne. Nic, co by było dozwolone dopiero od osiemnastu lat.

Zignorował tę ironię.

- Dlaczego nie umawiała się pani częściej? - spytał i ponownie spojrzał na nią przenikliwym wzrokiem. Zakładał, że w jej życiu było pełno facetów, ale wyglądało na to, że jednak nie wciska mu kitu.

- Nie mam zbyt dużo czasu, a poza tym, chyba onieśmielam mężczyzn.

- Z powodu swojej sławy?

- Tak.

- Dobrze, proszę mi więc powiedzieć, kto pani zdaniem mógłby wysłać taki list?

- Nie wiem. Dlatego tu jestem. Spojrzał na nią zwięzonymi oczami.

- Nie mam czasu, pani Hughes. Proszę podzielić się ze mną swoimi podejrzeniami.

- Żałuję, ale nie mogę - odparła, gdyż nie przychodził jej do głowy absolutnie nikt, kogo by podejrzewała o to, że mógłby chcieć ją dręczyć. Potem podała mu nazwiska ludzi, których poznała od czasu swojej przeprowadzki tutaj; większość z nich Carter znał osobiście i żadnego nie uważał za świra, zdolnego wysłać obsesyjny list. Ale, z drugiej strony, nigdy nie wiadomo, co kto robi, kiedy inni go nie widzą.

Ponownie spojrzął na list, który znalazła w swojej skrytce pocztowej. Tekst został rozmieszczony w tak staranny sposób, żeby słowa nie zasłaniały jej twarzy.

- *Odkupienie* to ten film, w którym grała pani morderczynię, zgadza się? Zacisnęła usta.

- Psychotyczną morderczynię.

- Z ciągotami do sadomasochizmu.

- Głównie masochizmu - poprawiła go. - Annę Parks zadawała ból swoim kochankom, nie sobie.

Pamiętał ten film. Był na nim w kinie z Carolyn. Pamiętał, jak podczas długiej jazdy do domu rozmawiali o tym, czy w tym thrillerze więcej było erotyki, czy przemocy.

- Nie wydaje się pani dziwne, że ze wszystkich zdjęć promocyjnych, jakie pani zrobiono, wybrał właśnie to? - zapytał, mając złe przeczucia. Już nie uważał Jenny Hughes za hollywoodzką księżniczką, robiącą aferę z powodu zniknięcia kilku świecidełek, które podarowała miejscowemu teatrowi.

- Nie sądzę, żeby to było przypadkowe - przyznała, oblizując nerwowo usta. — I właśnie tego się najbardziej boję.

- Ale muzyka, którą pani słyszała, była z innego filmu?

- Z *Białej ciemności*. Piosenka była przebojem. Sam film nigdy nie wszedł na ekrany. - Odchrząknęła, a następnie opowiedziała szybko o wypadku, który położył kres produkcji. Pamiętał, że czytał o lawinie, która spowodowała tragedię. Patrząc teraz na nią, widział ból w jej oczach. Uświadomił sobie, że nigdy nie pogodziła się ze stratą siostry, która zginęła podczas filmowania. To był dziwny wypadek: materiały wybuchowe, które miały zostać użyte w ostatniej scenie, niespodziewanie eksplodowały, wywołując zabójczą lawinę. Siostra Jenny znalazła się na drodze setek ton zsuwającego się z rykiem śniegu i lodu. Nie miała najmniejszej szansy. Jenna w pewnym sensie winiła siebie o to, że nie była w stanie uratować życia młodszej siostrze.

Zadał jeszcze parę pytań i właśnie kończyli rozmowę, kiedy do drzwi zapukała BJ.

- Kiedy będziesz wolny? - spytała, zaglądając do jego gabinetu. Jej twarz była pozbawiona zwykłego uśmiechu.
 - Prawie skończyliśmy. Jenna podniosła się.
 - Nie chcę panu zabierać więcej czasu. Proszę mi powiedzieć, gdybym coś jeszcze mogła zrobić.
 - Zatrzymam to i dam do laboratorium, żeby zbadali - powiedział, wskazując na plastikową torebkę. - Tymczasem niech pani zachowa czujność. Proszę dobrze zamykać dom i samochody.
 - Rozumiem.
 - Skontaktuję się z panią. Proszę mnie informować, gdyby coś się wydarzyło, gdyby były jakieś niepokojące listy czy telefony albo gdyby przyszło pani coś do głowy, co mogłoby pomóc.
 - Dobrze.
 - Ma pani alarm?
 - Tak.
 - Proszę z niego korzystać. Mogłaby też pani pomyśleć o psie obronnym.
 - Mam już psa.
- Przypomniał sobie, że widział tego wiekowego kundla w starym pickapie, a potem w teatrze. Przez chwilę rozważał, czy powiedzieć jej, żeby zastąpiła go młodszym, silniejszym zwierzęciem, które przynajmniej będzie miało dobry słuch, ale powstrzymał się. Podniósł się, wkładając ręce do kieszeni spodni.
- Proszę mnie posłuchać, musi pani zastosować dodatkowe środki ostrożności, dobrze? Dla dobra swojego i swoich dzieci. Jak powiedziałem, postaram się, żeby droga w pobliżu pani domu była patrolowana, ale moi ludzie i tak już mają zbyt dużo pracy. Pani sama musi pamiętać o zachowaniu ostrożności i dbać o własne bezpieczeństwo. Może powinna pani zatrudnić ochroniarza i postarać się o bardziej... agresywnego psa. - Z kamiennym wyrazem twarzy podniósł plastikową torebkę. - Dam to do sprawdzenia w laboratorium, może są tam odciski palców albo jakieś inne ślady. Dowiemy się, z jakiego rodzaju papieru, tuszu i drukarki mamy do czynienia.
 - Dziękuję.
- Może źle ją ocenił, może nie powinien od razu zakładać, że wszystkie hollywoodzkie aktorki to egocentryczki ze skłonnościami do narcyzmu.
- Poinformuję panią, jak już coś będziemy wiedzieć.

- Świetnie. - Skinęła głową, po czym wyszła pośpiesznie z jego gabinetu. Patrząc, jak wychodzi, wiedział, że to nie było ich ostatnie spotkanie. I wcale nie martwił się z tego powodu. Jenna Hughes była cholernie intrygującą kobietą.

Rozdział 15

Jakieś nowe problemy? - zapytała BJ, patrząc, jak Jenna, mijając biurka, I zmierza do drzwi wyjściowych.

- Jak zawsze. - Carter przyglądał się tyłkowi najslawniejszej mieszkanki Falls Crossing. Nawet pod warstwami ciepłej odzieży był bardzo interesujący cy. - Mów, co się dzieje?
- Charley Perry, najwyraźniej lubi być gwiazdą. Stacja KBST trąbi dziś od rana o wywiadzie, jaki z nim zrobili.
- Litości! -jęknął Carter. - Mówiłem mu, żeby trzymał dziób na kłódkę.
- To zupełnie jak mówić grizzly, że ma być delikatny, kiedy częstujesz go stekiem.
- Pewnie tak. Jakieś wieści z biura osób zaginionych co do Jane Doe?
- Na razie nic nie pasuje.

Carter poszukał pilota do małego telewizora stojącego na szafce z aktami.

- Co to jest? - BJ patrzyła na plastikową torebkę leżącą na biurku Cartera.
- Wygląda na to, że Jenna Hughes zyskała kolejnego fana.
- Jesteś wspaniałą kobietą? Jesteś jedyną kobietą? Jezu, za kogo uważa się ten facet? Za Julio Iglesiasa?
- Albo Enriąe. - Carter spojrział ponownie na list. Niepokoiło go to bardziej, niż chciał przyznać. Myślał o jej pięknej twarzy. - Ktokolwiek to przy słał, uważa, że ona należy do niego.
- Czy Jenna Hughes domyśla się, kto mógł to zrobić?
- Nie, ale przypomniała sobie nazwisko maniaka, który uganiał się za nią parę lat temu. Vincent Paladin, jakaś szumowina, przesiadująca w wypożyczalniach wideo.
- Mieszka tutaj?
- Nie wiem. - Czy to był tylko zbieg okoliczności, że Jenna Hughes otrzymała ów list w tym samym czasie, kiedy w Catwalk Point została znaleziona Jane Doe, a Sonja Hatchell zniknęła... Wydarzenia te wydawały się niepowiązane ze sobą... ale czy na pewno?

Jane Doe była prawdopodobną ofiarą zabójstwa, którego dokonano jakiś czas temu.

Sonja Hatchell zniknęła. Ale mogła stąd uciec albo zaginąć podczas śnieżycy. A teraz ktoś prześladował Jennę Hughes, może nawet ją śledził.

- Co się dzieje? - BJ przyglądała się mu. - Słyszę, jak kręcą ci się koła zębate w mózgu.

- Po prostu zastanawiam się nad zbiegiem okoliczności. Wierzysz w coś takiego?

- Absolutnie nie.

- Ja też - powiedział i włączył telewizor.

- Oho, zaczyna się. - BJ już wpatrywała się w mały ekran telewizora, gdzie Charley Perry rozmawiał z reporterką. Białe włosy miał gładko uczesane, brodę przystrzyżoną, kraciatą koszulę czystą i wyprasowaną. - Spójrz na niego, jaki odstawiony i dostojny.

- Idiota. - Zdegustowany Carter zwiększył głośność, słuchając, jak Charley Perry strzela informacjami. - Powiniennem wsadzić go do kicia za utrudnianie śledztwa.

- Pomyśl tylko, co by wtedy o nas napisano. - BJ puściła do niego oko.

- Pamiętaj, to ludzie na ciebie głosowali. Jesteś zaprzysiężonym stróżem prawa i...

- Tak, rozumiem. - Słuchał, jak Charley wyklada swoją teorię na temat tego, co przydarzyło się niezidentyfikowanej kobiecie, a potem opowiada o tym, jak jego wierna suka Tanzy *znalazła* szczątki. Na ekranie pojawił się biało-brązowy kundel, mający w sobie coś ze springer spaniela. Tanzy zaskomliła i schowała się za krzywe, odziane w dzinsy nogi Perry'ego, gardząc przysmakiem oferowanym jej przez reporterkę. Program wkrótce dobiegł końca i Carter wyłączył telewizor.

- Charley jest nieszkodliwy.

- Ale jest debilem. - Carter miał coraz gorszy humor. Z powodu braku nowych wieści w sprawie Jane Doe, zaginięcia Sonji Hatchell, pojawienia się maniaka prześladowającego Jennę Hughes i robiącego karierę medialną Charleya Perry'ego dzień w zawrotnym tempie ze złego zamieniał się w jeszcze gorszy.

Boże, jak zimno. Jak zimno... i ta muzyka... skąd dochodzi ta muzyka? Szczękając zębami, Sonja otworzyła jedno oko, starając się na nowo nie zasnąć. Odzyskiwała i traciła świadomość, jej mózg był otępiały, a myśli bezładne. Nie wiedziała, ile minęło czasu: minuty, godziny czy dni. Przypominała sobie, że została uprowadzona, ale nie pamiętała porywacza.

Czy to naprawdę się zdarzyło? Pojawiały się jakieś fragmentaryczne obrazy, to, jak została pozbawiona ubrania, ale wspomnienia były surrealistyczne niczym sen. Potem przypomniała sobie potwora, który nie tylko ogolił jej głowę, ale też spiłował zęby... Próbowała dotknąć językiem swoich zębów, ale poczuła krew, w miejscu, gdzie kiedyś były, teraz miała małe, ostre wypustki.

To nie był sen!

Gdzie się teraz znajduje? Dlaczego jeszcze żyje?

Wydawało się jej, że jest w stanie nieważkości, i było jej strasznie zimno... każdy centymetr ciała zdawał się pokryty lodem. Otaczały ją cienie o zamazanych barwach, pozbawione formy i znaczenia w tej rozległej, mrocznej przestrzeni.

Gdzie ona jest?

Było źle. Bardzo źle. O co tu w ogóle chodziło?

Wyteęzała wzrok, ale przemieszczające się cienie nie miały żadnego kształtu. Nasłuchiwała uważnie, ale jej uszy rejestrowały jedynie tęskne dźwięki ballady, która wydawała się jej znajoma, piosenki, którą powinna rozpoznać.

Czy to była tylko jej wyobraźnia, czy rzeczywiście wyczuwała złą wolę czającą się w otaczającym mroku, coś, może raczej kogoś złego, obserwującego ją?

Drżąc, próbowała się skoncentrować, myśleć. Pomimo zimna. Pomimo ściskającego ją strachu.

Fragmenty wspomnień, postrzępione jak ząbkowate sople lodu, przecięły jej mózg.

Jak zimno!

Poruszyła się, a wraz z nią poruszyło się wszystko wokół. Plamy mglistego światła układały się w niesamowite wzory na jej nagim ciele - tak, nagim. Pomyślała o tym gorączkowo i zalała ją fala przerażenia.

Każdy centymetr jej skóry był obnażony i tak zimny, jak jeszcze nigdy przedtem. Oddychała z trudem, czując, jakby ciecz, w której była prawie całkowicie zatopiona, zamrażała jej ciało od zewnątrz do samego środka.

Byle nie panikować! Trzeba pomyśleć, jak się stąd wydostać.

Miała wrażenie, że stoi, choć nie czuła żadnego nacisku na swoje zdrętwiałe stopy... Jakby była zawieszona. Tyle że bez sznurów.

O Boże, to było jak jakiś dziwaczny odlot... po trefnym LSD.

Zacisnęła mocno powieki z nadzieją, że te zniekształcone obrazy znikną, ale kiedy ponownie otworzyła oczy, nic się nie zmieniło.

Z całą siłą, jaką udało jej się zebrać, przekręciła głowę, spoglądając w dół na swoje stopy. Nagie stopy. Nagie, zmarznięte stopy, które na niczym nie stały. Zwisaly, ale się nie poruszały. Co, u diabła? Czuła ucisk w sercu, kiedy próbowała się skupić i ponownie patrzeć przed siebie, na wypaczone obrazy i dziwną grę słabego światła. Było tak, jakby została uwięziona w olbrzymim akwarium... olbrzymiej szklanej kadzi, wypełnionej czymś przezroczystym i gęstym, jakby zamarzającą wodą jakby podtrzymywały ją jakieś pasy, połączone z wielkim podnośnikiem, którego ramię znajdowało się w górze; nie czuła pasów, bo po prostu było jej zbyt zimno. Co to jest? Co to za jakieś dziwaczne science fiction?

Przerażona, próbowała się rozejrzeć. Akwarium z wodą znajdowało się w ciemnym budynku, jakimś wielkim magazynie; panował mrok, w którym cienie wykonywały niezwykle taniec. Widziała kobiety, oświetlone od tyłu, nieruchome, w dziwnych pozach, ustawione razem. Manekiny! Pozostały na scenie, chociaż fotel dentystyczny i wiertło zniknęły.

Jak długo była nieprzytomna? Pamiętała, jak regulował kroplówkę, coś jej aplikując, zanim odleciała, a potem... obudziła się tutaj.

Nadal słychać było muzykę, zapadającą w pamięć melodię z jakiegoś filmu, sączącą się przez to pomieszczenie.

Rozpaczliwie próbowała się poruszyć, dotrzeć do brzegu akwarium, spróbować wspiąć się po pionowej ścianie i wydostać na drugą stronę. Próbowała, wyężdżając całą siłę. Serce jej waliło, pompowała się krew. Ale jej ręce i nogi pozostały bezwładne. Nieruchome. Niewzruszone.

Spróbowała ponownie. Z taką siłą, że aż zacisnęły się jej zęby i czuła, że mogą popękać jej naczynia krwionośne.

Nic.

Próbowała krzyczeć, ale z jej gardła wydobywał się jedynie pisk.

Jej przerażenie się wzmogło.

Poziom adrenaliny gwałtownie podniósł się w jej prawie zamarzniętej krwi, ale ona nadal nie mogła się ruszyć. Nie mogła poruszyć nawet palcem.

Dlaczego, u diabła, nie mogła się ruszać ani mówić?

Dlaczego nie mogła krzyczeć?

Co się stało z jej głosem?

Co to, u diabła, miało być?

W jej głowie rozbrzmiewała muzyka.

Woda wydawała się jeszcze gęstsza, jakby razem z jej ciałem zamieniała się powoli w lód. Ale to było szaleństwo. Wariactwo.

Nagle muzyka ustała.

Zapadła cisza, co było jeszcze gorsze, a następnie rozległy się kroki, ciche, miarowe... zbliżające się... nieubłaganie. Z tyłu.

Gorączkowo próbowała się odwrócić, krzyczeć, błagać o pomoc, ale wszystko na nic. Jej szyja nie drgnęła nawet o centymetr.

- Już się obudziłaś? - Głęboki męski szept rozbrzmiał echem w pomieszczeniu, hucząc w jej głowie. Ten sam głos, który słyszała wcześniej. Jego głos.

Wypuść mnie stąd, bydlaku!

- Zastanawiałem się, czy przyjdiesz, Jenna.

Jenna? Nie jestem Jenną! Próbowała krzyczeć, próbowała mu powiedzieć, że ma inną kobietę, że to wszystko była pomyłka, ale jej głos odmówił posłuszeństwa.

- A może powinienem mówić do ciebie Faye?

Faye? Nie! Nie jestem Faye. Nie jestem Jenną. To nie mnie chcesz, idioto!

Walczyła z całych sił, próbując się poruszyć, ale jej mózg szybko robił się równie ociężały jak reszta ciała. Nie mogła się poruszać, traciła czucie...

Wiedziała instynktownie, że jeśli pozwoli sobie na zapadnięcie się w kuszący mrok nieświadomości, nigdy już się nie obudzi, nigdy więcej nie zaczerpnie tchu, nigdy więcej nie zobaczy swoich chłopców... Wypuść mnie, proszę cię, proszę... nie rób tego... to pomyłka! Ale nawet jeśli słowa te przyszły jej do głowy, nawet jeśli próbowała krzyczeć, czuła, że coraz bardziej się zapada, że zaprzestaje walki o zachowanie świadomości, i zdała sobie sprawę, że wkrótce znajdzie się w objęciach śmierci.

Starła się z całych sił nie zasypiać, ale jej powieki zrobiły się ciężkie, ciało zupełnie sparaliżowane i wtedy mężczyzna, który do tej pory był jedynie bezcielesnym głosem, zaczął krążyć wokół akwarium. Widziała jego twarz, zniekształconą przez szkło. Twarz sadystycznej bestii.

- Przyszedł czas na ciebie, Faye - powiedział miękko, jakby delektując się każdą sylabą. Kiedy Sonja spotkała jego spojrzenie, rozpoznała czyste zło, czające się w jego lodowatych, pozbawionych emocji oczach.

Rozdział 16

Szło jak po grudzie. Przynajmniej tak się wydawało Carterowi, kiedy rzucił klucze na półkę w pobliżu drzwi swojego domu. Był fizycznie kompletnie wypompowany, ale jego mózg wyrabiał nadgodziny, napędzany kofeiną i nikotyną, której się nawdychał, biorąc kilka papierosów od Jerri. Rzucił palenie przed lary, ale w chwilach wielkiego

zmęczenia, kiedy próbował rozpracować jakiś problem, lub po wypiciu dwóch piw, miał tendencję do rezygnowania z nikotynowej abstinencji, choć nigdy do takiego stopnia, żeby kupić sobie paczkę papierosów. Wyzначył sobie granicę - nie będzie płacić za palenie. Wiedział przy tym, że sam się oszukuje.

Zdjął kurtkę i odwiesił ją na haczyk, potem zrzucił buty. W domu było tak zimno, że para szła z ust, chłód ciągnął też od starych, drewnianych podłóg, przenikając przez wełniane skarpety. Kolejne dziesięć minut spędził na rozniecaniu ognia, do którego wrzucił parę kawałków omszałej dębiny, przyniesionych wczoraj.

W końcu rozległo się trzaskanie ognia i ciepło zaczęło się rozchodzić od starego piecyka. Carter podniósł się i przyglądał płomieniom przez szklane drzwiczki.

Laboratorium kryminalne policji stanowej w Oregonie nie znalazło żadnych nowych dowodów, które mogłyby pomóc zidentyfikować Jane Doe. Z rozmów z producentami alginianu wynikało, że nigdzie nie zniknęła większa ilość tej substancji. W dokumentacji nie było też nic o tym, żeby w ostatnich latach duża partia alginianu została sprzedana indywidualnemu odbiorcy, niebędącemu stomatologiem, artystą, kimś, kto wykorzystuje tę substancję w celach zawodowych. Ale detektywi z policji stanowej nadal sprawdzali różnych dystrybutorów, nawet w Kanadzie. Obraz twarzy Jane, sporządzony przez komputer i policyjnego rysownika, nie był jeszcze kompletny.

Wszystkie te zabiegi wymagały czasu.

Sonja Hatchell zaginęła przed czterdziestoma ósmioma godzinami, a nadzieja na jej szczęśliwe odnalezienie malała z minuty na minutę. Jego zastępcy zorganizowali ekipy składające się z ochotników i poszukiwania trwały cały czas pomimo paskudnej pogody. Wszystkie drogi i mosty zostały sprawdzone po dwa razy. Ale ciągle nic. Jakby Sonja razem z samochodem zniknęła z powierzchni ziemi.

No i była jeszcze sprawa Jenny Hughes, jej zaginionych rzeczy, dziwnego telefonu i anonimowego listu, a na dokładkę szkody spowodowane przez śnieżycę. W ostatnich dniach zawierucha ustawała akurat na tyle, żeby piaskarki mogły dogonić pługi, a potem na nowo zaczynał dmuchać wiatr i sypać śnieg. Na 1-84 zdarzyły się dwa kolejne wypadki i policja stanowa ponownie zamknęła autostradę międzystanową.

Ludzie z domów pozbawionych elektryczności zostali ewakuowani. Wszystkie strumienie górskie były skute lodem i nawet większe rzeki zaczynały zamarzać. Ogólnie mówiąc, bałagan był straszny, a w cholernych komunikatach meteorologicznych zapowiadano jeszcze gorszą pogodę. Reporterzy, poubierani w stroje narciarskie, radosnym głosem mówili, ile jest centymetrów śniegu, a następnie pokazywali dzieci jeżdżące na sankach po miejskich ulicach, samochody, które wpadły w poślizg i utknęły na poboczu szosy, korki utworzone z ciężarówek i narciarzy, uprawiających biegi ulicami Portland. A tymczasem Carter i jego ludzie, razem z policją stanową, wydziałem transportu i wszystkimi przedsiębiorstwami komunalnymi pracowali na okrągło, czuwając nad bezpieczeństwem dróg i mieszkańców.

Boże, ale był zmęczony.

Na zewnątrz wiatr huczał w drzewach. Carter poszedł do kuchni, otworzył lodówkę i nie zwracając uwagi na jedzenie, wyciągnął tackę z kostkami lodu. Siegnął po butelkę Jacka Danielsa, którą trzymał w kredensie. Uderzył tacką o blat, aż kilka kostek poszybowało w przestrzeń, i zrobił sobie drinka. Zgodnie z grafikiem przez następne dwa dni miał wolne, ale przewidywał, że zostanie wezwany jeszcze przed świętem. Popijając whisky, miał ochotę na papierosa, ale zignorował to pragnienie, usiadł przy biurku i włączył komputer. Zamrugało światło i musiał spróbować jeszcze raz. Nie było więcej problemów z prądem i udało mu się wejść do Internetu. Wpisał do wyszukiwarki „Jenna Hughes”. Pod tym hasłem znajdowała się astronomiczna liczba stron. Zwłaszcza jak na aktorkę, która wycofała się z zawodu, dawną gwiazdę, która powinna była już przestać wzbudzać tak powszechne zainteresowanie. Carter wszedł na stronę pierwszego fanklubu i po chwili wpatrywał się w komputerowy wizerunek Jenny, internetową wersję błyszczącego, portretowego zdjęcia. Jenna była w połowie zwrócona do obiektywu aparatu, z cieniem uśmiechu na pełnych ustach. Jej zielone oczy błyszczały prowokująco. Lśniące czarne włosy opadały bezładnym gąszczem, okalając kokieteryjnie jej twarz. Choć zdjęcie obejmowało tylko głowę i ramiona, miało się wrażenie, że Jenna była naga przed obiektywem, że kpiała sobie z każdego, kto miał czelność się w nią wpatrywać.

Carter poczuł podniecenie, delikatne ukłucie żądy. Wiedział, że właśnie taki skutek miały wywoływać zdjęcia reklamowe filmów. Pobudzać wyobraźnię facetów, którzy fantazjowali na temat Jenny w sytuacjach

intymnych. Ale na te zdjęcia patrzyli także, wyobrażając sobie różne rzeczy, faceci niezrównoważeni.

Przerażająca perspektywa.

Przejrzał kilka stron, poczytał parę faktów o niej. Bez większego problemu znalazł zdjęcie Jenny, promujące *Odkupienie*, to samo zmysłowe zdjęcie, które zostało skopiowane, wydrukowane i przesłane jej przez jakiegoś psychologa.

Ściągnięcie tego zdjęcia było śmiesznie proste.

Nawet sześciolatek by sobie z tym poradził.

Zanim Carter skończył drinka, przejrzał z tuzin stron, ale był to ledwie wierzchołek góry lodowej. Wpisał w wyszukiwarkę parę wersów z wiersza, nie nic nie znalazł i dał za wygraną. Jenna Hughes miała poważny problem, owszem, ale inni ludzie też je mieli. Pomyślał o Lesterze Hatchellu i zmarszczył brwi.

Co się stało z Sonją?

Nawet podczas zamieci śnieżnej ludzie i ich samochody tak po prostu nie znikają z powierzchni ziemi.

A może?

Poszedł do kuchni i nalał sobie kolejnego drinka. Szalał wiatr, pogrążając szybami w oknach, zawodząc w drzewach, łamiąc mniejsze gałązki, które uderzały w ściany jego starego domu. Nienawidził zimna. Ileż razy zastanawiał się nad przewodzką w cieplejsze strony.

Do Tempe w Arizonie albo do Sonomy w Kalifornii, albo do Taos w Nowym Meksyku. Postarał się o literaturę na temat różnych miast z południowego zachodu, ważył wszystkie argumenty za i przeciw przewodźce w stronę słońca, ale nigdy się na to nie zdecydował.

Zupełnie jakby sądzone mu było życie tutaj, jakby niewidzialne więzy trzymające go w Falls Crossing były mocne niczym stalowe liny.

Ponownie usiadł za biurkiem, ale zanim spojrzał na monitor, wpadł mu w oczy przezroczysty sześcianik ze zdjęciami, który od dawna stał na biurku. Był to prezent od Carolyn na ich pierwszą rocznicę ślubu.

Znajdowały się tam wyblakłe fotografie jego, jako znacznie młodszego, mniej zmęczonego mężczyzny, który w tamtym okresie swojego życia umiał się uśmiechać. Sześć fotografii. Na wszystkich znajdował się on, na czterech był z Carolyn, na jednym z Davidem, z czasów szkolnych, a ostatnie zdjęcie było grupowe, z Rindą Allen, jej bratem Wesem, z Carolyn i paroma innymi osobami. Świątowali przyjęcie Nowego Roku, wszyscy mieli na głowach małe czapeczki i dmuchali w śmieszne piszczałki...

Tamto przyjęcie noworoczne było tak dawno temu.

Podczas innej mroźnej zimy.

Na moment zamknął oczy. Próbował przywołać twarz Carolyn. Ale pamiętał jedynie sceny z fotografii, których nazbierało się trochę przez te wszystkie lata. Poszedł do szafy w korytarzu, odsunął na bok walające się luzem narzędzia i znalazł stare kartonowe pudełko. W środku znajdowały się taśmy wideo z życia, które wiodł dawno temu. Wyciągnął pierwszą z brzegu kasetę i poszedł do salonu. Zawahał się przez moment, następnie wsunął kasetę do magnetowidu i włączył telewizor. Parę sekund później zobaczył ją.

Ścisnęło mu się serce.

Śmiała się, jej jasne włosy wystawały spod czerwonej wełnianej czapki, szal powiewał, a buty ślizgały się, kiedy biegła przez śnieg, rzucając śnieżkami w stronę kamery.

- Nie... Shane, ani się waż - rozkazała, śmiejąc się, kiedy obraz zachybotał, a od strony kamery poszybowała kulka śniegowa, rozbijając się na jej plecach. - Och, ty diable! To było nie fair! Tylko zaczekaj. - Rzuciła kilka śnieżek w stronę kamery. - Kiedy wrócimy do domu...

- To co? - spytał jego głos.

- Postaram się, żebyś za to zapłacił!

- Jak?

- Wezmę cię z zaskoczenia.

- Nie mogę się doczekać - powiedział i kolejna śnieżka przeleciała obok jej głowy.

To był ostatni film, jaki z nią nakręcił. Trzy dni później został wezwany do wypadku. Jej samochód ześliznął się z drogi i spadł do kanionu Cougar Creek. Zginęła w wyniku uszkodzenia kręgow szyjnych.

Carolyn.

Jego żona.

Kobieta, którą przysiągł kochać aż do śmierci.

I kochał.

Boże, jak bardzo.

Jeszcze długi czas później.

Faye nie była do tego odpowiednia.

Stojąc nago przy przezroczystym szklanym zbiorniku, przyglądał się ciału niemal martwej kobiety, wiszącemu w chłodni, i zastanawiał się, dlaczego tak się pomylił. Co prawda była odrobinę podobna do Jenny Hughes, ale jej skóra miała niewłaściwy odcień; tatuaż w postaci pierścienia róż na jej kostce w ogóle tu nie pasował. Jej szczeka była

ostrzej zarysowana, oczy mniejsze, zaś nos nie tak prosty. Po prostu nie była idealna.

Ale z drugiej strony, nikt nie był.

Poza Jenną.

Niezadowolony ze swojego wyboru, uwolnił tę kiepską replikę z więzów. Kiedy jej zimna skóra otarła się o jego ciało, nie mógł powstrzymać dreszczu podniecenia. Serce mocniej zaczęło mu bić, a krew szybciej krążyć w żyłach. Było tyle rzeczy, które mógł z nią zrobić. Zmysłowe przyjemności, które planował od dłuższego czasu. I mógł to wszystko zrobić teraz, kiedy ciągle żyła, oddychając płytko prawie zamrzniętymi płucami. Odsunął od siebie wszelkie erotyczne myśli dotyczące tej kobiety - tej podróbki. Leżenie z nią, dotykanie i całowanie jej w tym stanie byłoby świętokradztwem. Musiał się oszczędzać.

Dla Jenny.

Ta chwila była już blisko... tak blisko. Musiał zmusić się do zachowania cierpliwości. Z zarzuconą na ramiona kobietą ponownie rozejrzał się po pomieszczeniu, przenosząc wzrok na ściany podświetlone od dołu, będące prawdziwym sanktuarium Jenny Hughes. Zewsząd wpatrywała się w niego. Była na zdjęciach, które ściągał z Internetu, na plakatach filmowych, które kupował przez te wszystkie lata, na powiększonych zdjęciach z magazynów i gazet, a nawet na niewyraźnych fotkach z brukowców. Była dosłownie wszędzie, jej wizerunki pokrywały sufit i ściany.

I pomyśleć, że przez moment gotów był ją zdradzić z tą... tą smutną, bladą, łysą repliką.

Palił go wstyd, kiedy niósł ją w ciemny kąt i delikatnie wkładał do specjalnego, długiego, prostokątnego pudła. Wzdrygnęła się lekko, kiedy jej skóra dotknęła wcześniej przygotowanego alginianu. Jej ciało zanurzało się coraz bardziej w tej gumowatej substancji. Cała sztuka polegała na tym, żeby jej ciało znalazło się w stanie zawieszenia, by jej pośladki i ramiona nie dotknęły dna zbiornika. Jeśli alginian będzie miał odpowiednią konsystencję, odlew jej ciała wyjdzie idealnie. Była to skomplikowana praca, gdyż proces gęstnienia następował bardzo szybko. Próbował stworzyć odlew całego ciała, ale, jak dotąd, wszystkie próby kończyły się niepowodzeniem i był zmuszony używać manekinów z odlewami głowy. Miał nadzieję udoskonalić ten proces, żeby, kiedy porwie Jennę, mógł sporządzić odlew jej ciała wiele razy, w różnych pozycjach, jeśli tylko uda mu się utrzymać ją przy życiu dostatecznie długo. A wtedy zbuduje jej świątynię. Uczył się na własnych błędach.

Za pierwszym razem nie ogolił dokładnie głowy kobiety, a pozostawione włosy zepsuły całe wrażenie. Głupia wpadka amatora. Strata czasu. Prawdziwe marnotrawstwo. Co on sobie myślał? Od tamtej pory pracował bardziej starannie, podchodził do swojej sztuki w sposób naukowy, planował wszystko z najmniejszymi detalami, wiedział, kogo użyje do swojego projektu. .. Przez ostatnie dwa lata sporządzał listę kobiet, które by się najlepiej nadawały do jego świątyni, ale do tworzenia swoich dzieł zabrał się dopiero j zeszłej zimy. Zanim Jenna Hughes tu się przeprowadziła, szukał kobiet o odpowiednich rysach twarzy i podobnej budowie ciała.

Teraz, kiedy Faye zanurzyła się w różowe, płynne głębiny, czuł satysfakcję. Nie ruszała się. Nie mogła, była nieruchoma, bo ją zamroził. Alginian przeciekał ku górze, pomiędzy jej nogi, wciskał się między klatkę piersiową i ręce, przykrywał jej zamknięte oczy. Wnikał do najintymniejszych zakamarków jej ciała i przywierał do niej. Cały proces zajmie tylko kilka minut. Umrze w wyniku uduszenia, ale nie będzie się męczyć, bo i tak była już w stanie śpiączki, w którą wprowadziła ją lodowata woda i środki uspokajające.

Wkrótce będzie miał idealny odlew. Z największą ostrożnością wyłuska ją ze stwardniałego alginianu, a potem schowa jej bezużyteczne ciało do zamrażarki, zanim na dobre się jej pozbędzie.

Patrzył jak alginian zaczyna twardnieć.

Tak jak się tego spodziewał.

Zostawił trumnę, przeszedł przez drzwi do swojego pokoju komputerowego i usiadł przy biurku z kilkoma klawiaturami. Załogował się i zaczynając od e-Bayu oraz paru jego ulubionych sklepów z sukienkami retro, rozpoczął poszukiwania. W końcu gdzieś, jeśli poświęci dostateczną ilość czasu, znajdzie potrzebne części garderoby i biżuterię, uda mu się skompletować pełen kostium dla Zoey, jego następnego projektu, postaci, którą Jenna grała w *Niemiej zimie*. Znalazł już kostium dla Faye Tyler ze *Świadka*, a Annę Parks z *Odkupienia* wkrótce włoży tę czarną sukienkę, którą zabrał z teatru.

Uśmiechnął się, kiedy pomyślał, co powie Jenna na widok jego hołdu dla niej. Bez wątplenia będzie oszołomiona. Oniemiaje z wrażenia. Na zawsze będzie jego dłużniczką.

To będzie czas rozkoszowania się!

Miał nadzieję, że uda mu się ją utrzymać przy życiu dostatecznie długo, żeby uświadomiła sobie, jak bardzo ją kochał, jak bardzo mu na niej zależało, jak bardzo chciał ją unieśmiertelnić.

Przez przeszklone drzwi zajrzał do chłodni, gdzie alginian stwardniał na ciele Faye Tyler.

Wkrótce jego dzieło będzie ukończone.

Podszedł do okna, gdzie mógł zobaczyć siebie całego, blade odbicie wysokiego, muskularnego mężczyzny z grzywą włosów, ostrymi rysami i inteligentnymi oczami.

Szczyił się tym, że był prawie doskonałym okazem.

Był mężczyzną, który mógłby mieć każdą kobietą.

Był mężczyzną, który chciał tylko jedną kobietą.

Był mężczyzną, który zamierzał zdobyć tę jedną, wyjątkową kobietę.

Już niedługo.

Rozdział 17

A więc zawarliście z Carterem rozejm? - zapytała Rinda. Siedziały razem z Jenna w biurze teatru, segregując bilety przeznaczone do przedsprzedaży.

- Nigdy nie byliśmy w stanie wojny.
- Ale byliście wobec siebie opryskliwi.
- Opryskliwi? Och, daruj sobie. - Jenna potrząsnęła głową. - Zapomnij o swataniu nas, dobrze, Rinda? I nie próbuj zaprzeczać. Widzę, do czego zmierzasz, i powiem ci, że nic z tego nie będzie.
- Uważam, że bylibyście...
- Tak, tak. Wiem. Ale zapomnij o tym. - Nie potrzebowała teraz żadnych facetów.
- Kawał chłopca z niego.
- Co z tego?
- Ja bym nie pogardziła.
- To się z nim umów. - Przeliczyła wszystkie bilety z sektora A i położyła stosik na biurku Rindy. - Ten facet jest jak wrzód na tyłku.
- A więc go jednak lubisz.
- Daj mi spokój. - Zaczęła liczyć bilety z sektora B, ale wybiła się z rytmu. - Jest uparty, typ służbisty, żyje według własnych zasad. Kowboj.
- Nie ma w tym nic złego.
- Jest jak najbardziej - zaprotestowała. To, że Rinda przejrzała ją na wylot, bardzo jej się nie podobało. - Zapomnijmy na razie o Carterze, zgoda?

- Zgoda... Zobaczmy, co my tu mamy... - Rinda nachyliła się do monitora komputera. Miała tam plan widowni, ale stary komputer był przeciążony, pojemność twardego dysku zajęta niemal całkowicie nowym oprogramowaniem, które w ostatnich tygodniach zainstalował Wes. Według niego nowe programy powinny ułatwiać im życie; na razie jednak wszystko to przynosiło odwrotny skutek, a stary twardy dysk miał problem nawet z najprostszymi poleceniami. Przygryzając dolną wargę w skupieniu, Rinda próbowała wydrukować plan widowni, podczas gdy Jenna, siedząc na składanym krześle, które przysunęła do biurka przyjaciółki, liczyła wydrukowane wcześniej bilety, które nie zostały jeszcze sprzedane.

W tle szumiał piec, dmuchając gorącym powietrzem, które szybko rozchodziło się po starym, pełnym przeciągów teatrze. Słychać było też brzdąkanie na pianinie; to Blanche pracowała nad muzyką do kolejnego przedstawienia.

- Co masz przeciwko Carterowi? - nagabywała Rinda, nadal wpatrując się w monitor.

- Myślałam, że temat został zamknięty.

- To proste pytanie.

- Poza tym, że wlepił mi mandat, a potem potraktował mnie, jakbym była jakąś hollywoodzką primadonną, nie mam nic przeciwko niemu.

Rinda spojrzała znad oprawek okularów, których używała do komputera.

- Po prostu przyznaj to, Jenna, że załaził ci za skórę - powiedziała Rinda, bezwiednie głaszcząc kota, który wskoczył na biurko.

- Uważasz, że mnie irytuje?

- Nazywaj to, jak chcesz. Ale teraz jesteście już w dobrych stosunkach, tak?

- Chyba tak. - Znowu pomyliła się w liczeniu i zakłęła pod nosem. Cholera, na czym skończyłam?

Rinda roześmiała się.

- Dobra, poddaję się! Jeśli naprawdę musisz wiedzieć, Carter zachował się w porządku, kiedy poszłam do niego w sprawie listu. Był zainteresowany.

Podszedł do sprawy poważnie. Pełen profesjonalizm. Nie tak jak wtedy, kiedy myślałam, że oczekuję jakiegoś specjalnego traktowania. Miałam wrażenie, że spodziewał się, że zajadę limuzyną, w okularach przeciwsłonecznych, z toną szminki na ustach i w butach od Guccio...

Wyobrażenie jakby żywcem wyjęte z *Przewodnika dla idiotów po hollywoodzkich stereotypach*.

Rinda zaśmiała się.

- Źle go odebrałaś. Jest po prostu zajęty. Znam Shane'a. Uczepi się tej sprawy jak rzep psiego ogona.
- Mam nadzieję. - Ponownie zabrała się do liczenia biletów z sektora B.
- Może faktycznie byś się zastanowiła nad tym, co ci radził.
- Świetnie, teraz ty. Nie zamierzam wymienić Pokraki na nowy, groźniejszy model - powiedziała Jenna, a stary pies, zwinięty na wycieracze u podnóża schodów do dzwonnicy, zaczął walić ogonem na dźwięk swojego imienia. - Nie zatrudnię też żadnego cholernego ochroniarza.
- Ale alarm masz już naprawiony, prawda?
- Zadzwoiłam do stosownej firmy, ale są zawaleni robotą.
- Jak dziewczynki reagują na to wszystko?
- Wystraszyły się. Nie chcę, żeby wpadły w panikę, więc nieco zbagatelizowałam sprawę z tym maniakiem, ale staram się nie zostawiać ich samych. Hans i jego żona Ellie zaferowali się, że przyjadą, jak tylko będę ich potrzebować.
- Dvorakowie? Ale oni są tacy wiekowi.
- Hans niedawno skończył siedemdziesiąt lat, nie jest jeszcze taki stary, a Ellie jest nawet młodsza. Oboje są w dobrej kondycji fizycznej i psychicznej. Ale niby dlaczego ich przed tobą bronią?
- Przepraszam, cofam to pytanie.
- Słusznie. Poza Hansem i Ellie parę razy w tygodniu przyjdzie Estella, sby posprzątać.
- Jeśli pogoda pozwoli.
- No i przyjedzie jeszcze Ron, na nasze treningi. On ma dwadzieścia sześć lat. Jest dla ciebie wystarczająco młody?
- Na litość boską, Jenna, ale jesteś drażliwa - powiedziała Rinda, a potem uśmiechnęła się. - Już dobrze, zdaje się, że masz powody. Scott zszedł z krokwi, gdzie poprawiał oświetlenie i najwyraźniej słyszał całą ich rozmowę.
- Mógłbym pomóc w sprawie alarmu - zaproponował, nie patrząc Jennie w oczy. Był niezdarnym młodzieńcem z nastroszonymi rudymi włosami i oczami dziwnie okrągłymi, bo nie mógł się przyzwyczaić do szkielek kontaktowych. - Tylko daj mi szansę, mamo.
- Co? Och! - Jenna dostała gęsiej skórki, kiedy rozpoznała słowa ze swojego pierwszego filmu, *Utraconej niewinności*. Jako Katrina, trzynastoletnia prostytutka, wypowiedziała dokładnie takie samo zdanie,

błagając swoją małomówną, wyniosłą matkę o szansę zarobienia własnych pieniędzy za cenę utraty dziewictwa.

- Scott! - Rinda przywołała go do porządku. - Wystarczy już tego cytowania dialogów? Jenna wie, że jesteś jej fanem.

Scott gwałtownie zamrugał oczami i zaczerwienił się.

- Przepraszam.

- Słusznie. Skończ z tym. - Nie był to pierwszy raz, kiedy Scott wyskoczył z jakimś cytatem, wpłatając go w rozmowę, ale Rinda wcześniej nie reagowała, a i Jenna przymykała na to oko.

- Ja... eee... po prostu pomyślałem, że mógłbym dopilnować, żeby Jenna miała nowy alarm ze wszystkimi najnowszymi bajerami, jak czujniki na podczerwień i detektory ruchu. Coś naprawdę nowoczesnego.

- Scott zwrócił się do Jenny. - Czy nie mówiłaś, że chcesz mieć nowy alarm?

- Tak, zastanawiam się nad tym - powiedziała ostrożnie, czując, na co się zanoszą.

- Mógłbym ci go zainstalować! - powiedział z uśmiechem, który wydawał się szczery, jednak Jenna nie mogła pozbyć się wrażenia, że coś z tym chłopakiem jest nie tak. - Łatwizna!

- No nie wiem. - Jenna próbowała się wykręcić.

- Wydaje mi się, że to dobry pomysł. - Rinda zmarszczyła brwi, wpatrując się przez okulary w monitor komputera. - Czemu nie?

- Chyba powinna mi go założyć firma ochroniarska. Byłby połączony z niemi i policją, gdyby, Boże broń, wtargnął jakiś intruz.

- A teraz nie masz czegoś takiego? — zapytała Rinda.

- Alarm się zepsuł, a firma, która go zainstalowała, już nie istnieje.

- Czyli jest bezużyteczny. Na twoim miejscu zgodziłabym się, żeby Scott się temu przyjrzał i coś tam poprawił na miarę swoich możliwości, dopóki nie założą ci nowego alarmu. Przy tej pogodzie może to potrwać nawet parę tygodni. Albo miesięcy. - Rinda wcisnęła jakiś klawisz, a potem zaklęła pod nosem, kiedy monitor zamigotał i zgasł. - Cholera - jęknęła, uderzając w biurko i przewracając filiżankę z kawą.

Przestraszony Oliver zeskoczył z biurka, rozrzucając pocztę, a następnie zniknął na schodach, prowadzących w dół, do garderób.

- Świetnie - powiedziała Rinda, kiedy razem z Jenną pozbierały listy i koperty. Następnie zwróciła się do swojego syna: - Skoro tak się palisz do naprawiania elektroniki, może mógłbyś przyjrzeć się temu głupiemu komputerowi.

- Potrzebna jest inna płyta główna, większy twardy dysk i jeszcze wiele innych rzeczy. Taniej będzie kupić nowy.
- Wspaniale. Mów do mnie jeszcze. - Rinda ponownie położyła stos korespondencji na rogu biurka. - Jestem zupełnym imbecylem, jeśli chodzi o sprawy techniczne.
- Dobra, dobra - powiedział Scott, unosząc ręce w obronnym geście. - Pozwól, że się temu przyjrzę. Przesuń się. - Ukląkł przy biurku matki, prze bierając szybko palcami po klawiaturze. Zmarszczył brwi i zacisnął mocno usta, przyglądając się ekranowi. - Ten program zajmuje za dużo miejsca- mruknął w końcu.
- Tyle to sama wiem - powiedziała Rinda.
- Może mógłbym spróbować załatwić to inaczej... - Jego palce ponownie zaczęły biegać po klawiaturze, a na ekranie pojawiły się ciągi dziwnych znaków.

Drzwi frontowe otworzyły się ze skrzypieniem, a następnie zamknęły z hukiem. Ucichły dźwięki pianina. Parę sekund później wszedł Wes, ubrany w dzinsy i grubą kurtkę.

- Jakież problemy? - spytał, patrząc na Scotta, klęczącego przed komputerem. Twardy dysk?
- Owszem. - Rinda skrzyżowała ręce na piersi. - Doprowadza mnie to do szału.
- Chwila. - Scott nadal wpatrywał się w monitor, który migotał, budząc się do życia. - Dobra... gotowe. Ale długo nie pociągnie. Naprawdę przydałby ci się nowy sprzęt.

Wes ściągnął rękawiczki.

- Zaraz zobaczę. Scott zacisnął szczęki.
- Powiedziałem, że już działa.
- Chciałbym się temu przyjrzeć. - Wes zatarł dłonie i skinął na Rindę, żeby zwolniła krzesło, co zrobiła, aczkolwiek niezbyt chętnie. Usiadł, za czął pisać na klawiaturze i zaklął. - Cholerne palce, zupełnie nie mam w nich czucia. - Zerknął na Jennę. - Przez ostatnie dwie godziny brałem udział w poszukiwaniach Sonji Hatchell.
- Znaleźliście? - zapytała Rinda.
- Nie. Przy tej pogodzie to raczej niemożliwe, ale policja nadal próbuje.
- Ciekawe co się z nią stało?

Jenna pomyślała, że z pewnością nic dobrego, ale nie powiedziała tego głośno.

- Słyszałem, że nie układało jej się z mężem. - Scott wzruszył obojętnie ramionami. - Założę się, że po prostu prysnęła.
- Dlaczego wygadujesz takie rzeczy? — zapytała Rinda.
- Bo widywałem ją czasem w barze. Zawsze narzekała na zimno. Pocho dziła z Kalifornii i chciała tam wrócić. Myślę, że pożarli się z Lesterem i po stanowiła wyjechać na południe.
- Zostawiając dzieci?
- Czasami tak się zdarza - powiedział Scott sarkastycznym tonem. Blanche Johnson wetknęła do pokoju głowę w ręcznie dzierganym berecie.
- Wychodzę. Gdybym była potrzebna, zadzwoń - powiedziała i dopiero wtedy zauważyła ich posępne miny. - Co się stało?
- Właśnie rozmawialiśmy o Sonji Hatchell - odpowiedziała Rinda. Blanche ściągnęła brwi. Zmarszczki przecinające jej czoło pogłębiły się.
- Cały czas mam nadzieję, że się znajdzie. Zadzwońi skądś, albo coś takiego...
- I ja tak myślę - powiedział Scott.
- Sonja nigdy nie zachowałaby się tak nieodpowiedzialnie. - Rinda pokręciła przecząco głową. - Znam ją. Nawet gdyby była wkurzona na Leste- ra, zadzwoniłaby do dzieci.
- Może. - Scott nie był przekonany.
- W każdym razie wersja, że postanowiła uciec, to najlepszy z możliwych scenariuszy - szepnęła Rinda. - To straszne. Najpierw ta kobieta znaleziona w Catwalk Point, a teraz zaginięcie Sonji. Człowiek zaczyna się zastana wiać, czy te dwie sprawy nie są jakoś ze sobą związane.
- Jestem pewna, że policja już to sprawdza - powiedziała Blanche, szukając kluczy w torebce. - Muszę już lecieć. - Wyciągnęła wielkie kółko z klu czami i spojrzała na Jennę. - Odwołałam w tym tygodniu lekcje z powodu pogody, więc przekaz Allie, żeby sama ćwiczyła. Nadrobimy to, kiedy usta nie śnieżycy i drogi zostaną oczyszczone. - Zerknęła na oszronioną szybę. - Mam nadzieję, że to szybko nastąpi. Nie cierpię takiej pogody.
- Jak my wszyscy - rzuciła przez ramię Rinda, przyglądając się zmaganiom Wesa z komputerem.
- Dopilnuję, żeby Allie posiedziała przy pianinie - obiecała Jenna.
- Znienawidzi cię za to. Dzieciaki uwielbiają w taką pogodę szaleć na dworze. Sanki, lepienie bałwana, łyżwy. - Blanche znajdowała się już w połowie drogi do wyjścia. - Obawiam się, że wprawki na pianinie najmniej będą ją interesowały.

- Zobaczymy.

- Hm. Zobaczymy.

Kroki Blanche ucichły w głębi teatru.

- Stara dziwaczka - powiedział Wes, jakby sam do siebie.

Jenna zgadzała się z nim, ale nic nie powiedziała. W ostatnich dniach wszyscy zachowywali się dość dziwnie. Może przez tę pogodę. A może tylko tak się jej zdawało... Nie zamierzała tego analizować.

- Powinno być dobrze. - Wes odchylił się tak bardzo do tyłu na krześle, że aż coś strzyknęło mu w plecach. Program działa, tylko wolno.

Scott skrzywił się.

- Czy nie tak mówiłem?

- Scott, wstałeś dziś lewą nogą z łóżka, co? - zapytał Wes i pogładził siostrzeńca po głowie. - Nie żałowałaś sobie żelu do włosów, mały.

Scott skulił się, odsuwając się do tyłu.

- Odczep się! - Poczerwieniał na twarzy, a w jego oczach pojawił się groźny błysk. - Nie jestem mały.

- Powinieneś przestać używać tych bajerów do włosów - dokuczał mu Wes. - To dobre dla bab.

- Przestań, Wes - wtrąciła się Rinda.

- Jego gadanie nie robi na mnie wrażenia - warknął Scott. - Stary pierdziel.

Wes uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Rozumiem. Zawstydziłem cię. Zapomnijmy o całej sprawie, dobra? — Wyciągnął rękę.

Scott nie miał ochoty ucisnąć wyciągniętej dłoni wuja.

- W porządku. Nie ma sprawy. - Nadąsany, ruszył do drzwi, gdzie się zatrzymał. - Aha, Jenna - powiedział - gdybyś chciała, żebym ci pomógł z alarmem, daj mi znać.

Wes odwrócił się do niej.

- Nadal masz problem z alarmem?

- Oczywiście, że tak - powiedziała Rinda.

- W takim razie przyjadę go naprawić.

- Nie musisz...

- Świetny pomysł - wtrąciła Rinda i wskazała na syna, który patrzył z wściekłością na swojego wuja. - Zabierz ze sobą Scotta, Wes. - Kiedy Rinda zauważyła, że Jenna chce zaprotestować, dodała: - Posłuchaj Jenna, zrób to dla mnie, dobrze? Żeby nie musiała się tak bardzo martwić. Alarm ma senstylko wtedy, kiedy działa. I jest włączony.

Jenna nie kłóciła się. Jeśli dzięki alarmowi dom będzie bezpieczniejszy dla niej i dla dzieci, to przecież warto z tego skorzystać. Co z tego, że w towarzystwie zarówno Wesa, jak i Scotta czuła się podenerwowana? Wyglądało na to, że ostatnio wszyscy tak na nią wpływali. Nawet ten poważny szeryf ze swoimi zimnymi, osądającymi oczami.

Sława przyzwyczała ją do ciekawskich spojrzeń, potajemnych zerknięć, a nawet bezczelnego gapienia się na nią z otwartymi ustami. Ale rzadko spotykała się z taką chłodną, spokojną obojętnością, jaką okazał jej szeryf. Był bardzo formalny, szorstki za pierwszym razem, kiedy ich drogi się spotkały. Za drugim razem był trochę cieplejszy, ale pozostała między nimi atmosfera nieufności. A może, jak sugerowała Rinda, wpadła mu w oko?

Czyż nie uznała, że szeryf jest atrakcyjny?

Śmieszne.

Nigdy nie pociągali jej mężczyźni tego typu, tajemniczy, małomówni, powściągliwi, ale ten...

Wyszła na dwór, ale nie mogła przestać myśleć o Carterze. Owszem, był przystojny. Wolny. I seksowny. Ale co z tego? Był dla niej owocem zakazanym. I najwyraźniej nie przepadał za nią. Przypomniała sobie jego rady: proszę kupić pit bulla, zatrudnić ochroniarza...

Stawiając kołnierz, by osłonić się przed wiatrem, przeszła przez zaśnieżony parking do swojego dżipa. Carter był po prostu jeszcze jednym przykładem

wypalonego gliniarza, który za dużo widział. Ale czego się spodziewała? Że zacznie całować jej stopy, bo kiedyś była gwiazdą filmową?

Wdrapała się do swojego dżipa, nakazując sobie powrót do rzeczywistości.

- Będę w środę. Wczesnym rankiem.

- O siódmej? - zapytał doktor Randall, zerkając na zegarek. Było późno, prawie jedenasta wieczorem. Już pogasił większość światel w swoim mieszkaniu i czekał na najnowsze wiadomości w telewizji.

- O szóstej, jeśli to panu pasuje.

Psycholog miał ochotę powiedzieć, że to zbyt wczesna pora, ale się powstrzymał. Pozwólmy facetowi na podejmowanie własnych decyzji. Chciał pokazać, że nad wszystkim panuje, choć wiele spraw wymykało mu się spod kontroli. Na zewnątrz wydawał się spokojny i zdecydowany,

człowiek, który wie, czego chce. Typ macho. Ale w środku... To była już inna historia.

Bardzo interesująca.

Nie pierwszy raz kusiło go, żeby potajemnie nagrywać sesje, zachować jakąś dokumentację. Ten przypadek stanowił materiał na książkę, był tego pewien. Ale obiecał. A do tej pory nigdy jeszcze nie okłamał pacjenta ani nie złamał swojego prywatnego kodeksu etycznego.

Był człowiekiem, który dotrzymywał danego słowa.

Choć prasa dałaby się pokroić za takie rewelacje.

A policja? Cóż, na pewno bardzo chcieliby poznać informacje, jakimi doktor Emerson Randall dysponował na temat swojego pacjenta.

Na tym polegał problem z jego pracą. Jej dychotomia. Prawda a rzeczywistość. Ale, tak w ogóle, czym była rzeczywistość? Istniało wiele filozoficznych teorii na temat tego, co było rzeczywiste, a co nie.

No i jeszcze pozostawała strona etyczna.

To dopiero było ciekawe.

Uśmiechnął się. W przeciwieństwie do swojego pacjenta lubił zimę, lubił zmienność i różnorodność pór roku, nawet śnieg i lód. Było w tym coś oczyszczającego. Gwałtowność przyrody, siła matki natury, moc Boga sprawiały, że człowiek stawał się pokorniejszy, bardziej świadomy swojego miejsca na tej krążącej wokół Słońca planecie.

Jego dłoń ciągle była zaciśnięta na słuchawce. Zmusił się, żeby ją odłożyć. W zamyśleniu podrapał się po zaroście pokrywającym podbródek, kiedy duży, stojący w holu zegar wybił pełną godzinę.

Był odpowiedzialny przed swoim pacjentem.

Ale gdyby jego pacjent umarł, a biorąc pod uwagę okoliczności, jego śmierć mogła nastąpić w każdej chwili, to co by szkodziło napisać książkę?

Wyciągnął dyktafon, wcisnął czerwony guzik i zaczął mówić. Chciał to mieć po to, żeby zapamiętać wszystkie szczegóły. Potem zamknął kasetę w sejfie. Nie wykorzystał tych informacji dla własnych korzyści.

Przynajmniej dopóki żyje jego pacjent.

Rozdział 18

Szeryfie? Tu Montinello. Wygląda na to, że mamy małą imprezkę w Ca-twalk Point.

- Imprezkę? - powtórzył Carter, zwalniając, a następnie zawracając swoją terenówkę na odśnieżonej drodze. Śnieg przestał na chwilę padać, zgodnie z prognozami pogody.

- Nastolatki.

- Świetnie. Przytrzymaj ich. Przyjadę za dwadzieścia minut.

- Nie powinienem zawiadomić policji stanowej? Miejsce zbrodni znajduje się na ich terenie.

- Zadzwoń do Sparksa. - Rozłączył się i soczyście zaklął. Głupi gówniarze. Co robili na dworze w środku nocy, w miejscu, gdzie popełniono zbrodnię? Zmienił bieg i skręcił w stronę wzgórz. Mówiło się, że przestępcy wracają na miejsce zbrodni. Może faktycznie czasem tak się zdarzało, ale Carter nie znał takich przypadków z własnego doświadczenia. Kto byłby na tyle głupi? Nastolatki. Jasne.

Może któryś z nich był w to zamieszany albo zna kogoś, kto miał z tym coś wspólnego. Może coś przypadkiem słyszeli?

Była tak możliwość, ale wątpił w to. Podejrzewał, że małolaty po prostu chciały się zabawić. Napić, zapalić skręta. Odlecieć w miejscu największej od dziesięcioleci zbrodni, jaka miała miejsce w Falls Crossing. Idioci. Carter postanowił napędzić im porządnego stracha. Zadzwoił do Sparksa i zostawił mu wiadomość, cały czas jadąc pod górę. Opony trochę się ślizgały, ale napęd na cztery koła doskonale się spisywał. Światło księżyca nadawało srebrzystą poświatą ośnieżonym skarpom i uginającym się pod białym puchem gałęziom, ale nadal było znacznie poniżej zera.

Kiedy jego blazer przekroczył most nad Cougar Creek, zauważył, że wodospad jest solidnie zamrożony, strugi wody zamieniły się w lód. Tak jak tamtej zimy, kiedy zginął David. Carter zmrużył oczy, ale nie widział dzięki temu lepiej drogi, wijącej się między przysypanymi śniegiem drzewami. Nagle znalazł się w innym czasie i w innym miejscu.

- Mówię ci, człowieku, to życiowa szansa. Możemy być pierwszymi, którzy wdrapią się tam na górę! - Dawid roześmiał się, zapinając rękawiczkę. Stali u podnóża wodospadu, wpatrując się w niewiarygodny pióropusz zmrożonej wody.

Shane spojrzał na stumetrowe zbocze.

- No nie wiem.

Ale David nie był w stanie dłużej czekać. Parę sekund później już wspinał się po lodzie, coraz wyżej i wyżej.

- Cholera - zaklął Shane, patrząc to w górę, to na swój sprzęt. - David, zaczekaj!

- Nie da rady, stary!

- Cholera.

Serce Shane'a waliło jak oszalałe. Choć było upiornie zimno, pocił się w puchowej kurtce.

David nigdy niczego się nie bał, ale ta wspinaczka na wodospad Pious Falls była idiotycznym pomysłem. Carter wiedział to, choć dopiero skończył szesnaście lat.

- Carter, nie bądź mięczakiem! - David powoli piał się w górę gigantycznego sopła, wołając przez ramię do Shane'a, stojącego u podnóża zamrożonego wodospadu.

Shane z zadartą głową przyglądał się, jak jego przyjaciel powoli, miarowo pokonuje kolejne odcinki lodowej stromizny. Nie mógł się zdecydować na wspinaczkę. Z trudem utrzymywał równowagę na zamrożonej sadzawce, do której wpadał wodospad. Kiedy spojrzał w dół, zauważył dwa martwe pstrągi, zamrożone pstrągi.

- Na co czekasz, głupi dupku? Rusz się! - David wrzasnął przez ramię, a jego głos odbił się echem w cichym, przysypanym śniegiem kanionie. - Takie rzeczy opowiada się później swoim wnukom!

I te słowa prześladowały Shane'a Cartera od tamtego nieszczęsnego dnia. Zatrzeszczało radio, sprowadzając go do rzeczywistości. Na wschód od Falls Crossing spalił się transformator i kolejni mieszkańcy rejonu zostali pozbawieni energii elektrycznej. Choć radio strasznie skrzeczało, udało mu się dowiedzieć, że ekipy pogotowia energetycznego były już w drodze. Cholera - zaklął Carter, obawiając się, że jeszcze długo przyjdzie poczekać, zanim ta okropna pogoda się zmieni. Jeśli zimny front nie ustąpi, będzie coraz więcej domów pozbawionych prądu, więcej ludzi do ewakuacji, więcej uziemionych kierowców i jeszcze większy tłok w izbach przyjęć.

W ponurym nastroju skierował samochód na ostatni odcinek podjazdu do Catwalk Point.

Niebiesko-czerwone migające światła nadawały lasowi niesamowity wygląd. Terenówka Montinello stała pośrodku czegoś, co kiedyś było piaszczystą drogą, oświetlając reflektorami trzy inne samochody - dwa pickupy i forda bronco, ustawione przy miejscu zbrodni. Kiedy Shane wyłączył silnik, Montinello machnął rękaw stronę samochodów, z których wygramoliła się grupka nachmurzonych nastolatków. Te same nieroby, co zwykle: Josh Sykes, Ian Swaggert i paru innych, którzy próbowali ukryć swoje twarze.

- Mówią, że po prostu chcieli się trochę zabawić. Nic wielkiego.

Niektórzy twierdzą, że nie wiedzieli, że to miejsce zbrodni.

- Tak, jasne - powiedział Carter, wypuszczając z ust obłoczek pary i patrząc znacząco na żółtą taśmę nadal rozciągniętą między drzewami. - Domyślam się, że nie potrafiały czytać.

Sykes spojrzał na niego ze złością.

Carter wziął od Montinello papierosa i zapalił, czując jak ciepły dym wije się w jego płucach.

- Zebrałeś oświadczenia?

- Wszystko mam na taśmie.

- Prawa odczytane?

- Tak.

- Dobrze. Mieli przy sobie jakieś nielegalne substancje? - zapytał, kiedy wiatr zawiął od położonej daleko w dole rzeki. Wśród małolatów były dwie dziewczyny.

- Trochę tego mieli. Alkohol. Marihuana. Do tego jeszcze jakieś niezidentyfikowane pigułki.

- Wszyscy wylegitymowani?

- Owszem.

W oddali słychać było jęk silnika kolejnego samochodu, wspinającego się pod górę.

- Pewnie chłopcy ze stanowej - powiedział Carter. - Zawiadomiłem Spark- sa. To ich teren.

- Formalnie. - Montinello przestąpił ciężko z nogi na nogę i zapalił papierosa. — Nie wszyscy są pełnoletni. Dwie dziewczyny nie skończyły jeszcze

osiemnastu lat. Jedna to córka BJ. Już do niej dzwoniłem. Jest wściekła, niedługo tu będzie.

- Cholera - warknął Shane pod nosem. W wyobraźni widział już nagłówek w „Falls Crossing Tribune”: CÓRKA ZASTĘPCY SZERYFA POCIĄGNIĘTA DO ODPOWIEDZIALNOŚCI KARNEJ ZA SWOJE WYBRYKI. Tyle tylko, że skoro Megan nie miała jeszcze osiemnastu lat, jej nazwisko nie pojawi się w prasie. Przynajmniej taką miał nadzieję.

- BJ wpadnie w szaf.

- Już wpadła, ale poczekaj, to nie koniec niespodzianek - zapewnił go Montinello, kiedy kolejny podmuch wiatru przetoczył się przez wzgórze.

Carter spał się.

- Co takiego?

- Ta druga dziewczyna to córka Jenny Hughes. - Wskazał odzianym w rękawiczki palcem wyższą nastolatkę. - Ta w fioletowej czapce.

- Do diabła. - Oczywiście musiała być w to zamieszana córka najślawniejszej mieszkanki Falls Crossing. Zlustrował grupkę nastolatków stojących w kupie, nadal buńczucznych, choć szczękały im zęby i strach zaczął zaglądać w ich naćpane oczy. Jego wzrok zatrzymał się na córce Hughes. Pierworodnej córce, która była tamtego dnia w samochodzie, kiedy kazał Miss Hollywoodu zjechać na pobocze.

Podobieństwo dziewczyny do sławnej matki było zdumiewające. Te same wydatne kości policzkowe i ciemne, wygięte w łuk brwi. Nos trochę większy, ale tak samo głęboko osadzone oczy. Niesforne kosmyki rozjaśnionych pasemkami włosów wysuwały się spod czapki, spływając na twarz, która już teraz była piękna. Stała obok syna Sykesa, wysokiego, patykowatego chłopaka, kreującego się na twardziela.

Carter był tu gliną na tyle długo, żeby poznać rodzinę Josha Sykesa. Zmusiły go do tego obowiązki zawodowe. Według niego Josh był typowym przykładem, co się dzieje, kiedy zaniedbuje się dzieciaka, pozostawiając go samemu sobie. Nie mógł znaleźć właściwej drogi w życiu i jeśli nic się nie zmieni wpakuje się w duże kłopoty. I to niedługo.

Przyjechał porucznik Sparks, potężny mężczyzna z ciemnymi, kręconymi włosami i intensywnymi, brązowymi oczami. Rozejrzał się po miejscu zdarzenia. Jego mundur i postura wzbudzały szacunek u małaolatów.

- Co wy sobie myśleliście, do cholery? - spytał retorycznie. Kazał odholować starszych chłopaków do miasta, a dwie szesnastolatki pozwolił oddać rodzicom, choć i tak czekało je wezwanie do sądu.

Pomiędzy drzewami zawył silnik kolejnego samochodu. Światła reflektorów rozlały się po pniach drzew. Oho - mruknął Montinello. Należący do BJ pickup zatrzymał się z poślizgiem. Zostawiła samochód na chodzie, z włączonymi światłami, które świdrowały ciemność, i wyskoczyła z kabiny. Przysłowiowa wściekła osa.

W dżinsach, bluzie i wielkiej kurtce narciarskiej szła ciężkim krokiem przez śnieg.

- Co się tutaj dzieje, u licha? - zapytała, nawet nie patrząc na mężczyzn, tylko idąc prosto do grupki nastolatków. Bez makijażu, wyrwana ze snu, naskoczyła na córkę.

- Jezu Chryste, Megan, czy ty nie masz za grosz rozumu? To jest miejsce zbrodni!

Megan bez słowa wpatrywała się w ziemię.

- Jestem gliną!

Nadal żadnej odpowiedzi.

- Dobra, wsiadaj do samochodu.

Zaganiając krnąbrną nastolatkę do samochodu, zatrzymała się przy policjantach.

- Nie wiem, co powiedzieć- przyznała, zaciskając usta. - Nie miałam pojęcia, że się wymknęła z domu.

- Zdarza się - odparł Sparks.

- Nie sądziłam, że coś takiego przydarzy się mnie, i wierzcie, więcej się nie powtórzy! Zasłużyła sobie na najwyższą karę. Czy ona nigdy niczego się nie nauczy? - powiedziała BJ, wznosząc oczy ku niebu, na którym nie było ani jednej gwiazdy.

- Wszyscy się kiedyś nauczą - powiedział Carter.

- Nie wszyscy. - BJ nie życzyła sobie protekcyjnego traktowania. - Cholera! - Spojrzała przybita na Cartera. - Nawet nie wiesz, jakim jesteś szczęściarzem, że nie masz nastoletniego dziecka.

A potem zwróciła się do córki:

- Ja nie żartuję, Megan, te głupoty muszą się skończyć. Od zaraz! -

Otworzyła drzwi od strony pasażera i czekała aż jej córka, tłumiąca w milczeniu złość, wgramoli się do środka.

BJ, zanim siadła za kierownicą, posłała piorunujące spojrzenie jednemu z chłopaków.

- Posłuchaj mnie, Ian. Nigdy więcej. Rozumiesz? - Dźgała wściekle palcem zimne powietrze, celując w grupę małolatów. - Jeśli coś takiego się powtórzy, będę musiała zaznajomić się bliżej z twoją mamą i tym twoim świętym ojcem pastorem, a wierz mi, nie spodoba ci się, co mam im do powiedzenia. - Po tych słowach odwróciła się, wdrapała do swojego mruczącego pickupa, wycofała, następnie wrzuciła jedynkę i odjechała z rykiem silnika, zabierając swoją krnąbrną córeczkę do domu.

- Nie chciałbym teraz być w skórze Megan - Montinello wyraził głośno swoje myśli.

Carter pomyślał, że nie zazdrości też jej matce. Sparks wskazał na Cassie Kramer.

- Możesz dopilnować, żeby dotarła do domu? - zapytał Cartera. - Zamierzałem poprosić o to BJ, ale ona ma teraz swoje sprawy na głowie.

- Zresztą już odjechała - odparł Carter. Nie był zachwycony tym pomysłem, ale wszyscy inni byli zajęci pozostałymi nastolatkami i

zabezpieczaniem miejsca zbrodni. Na szczęście większość dowodów została już zebrana.

Skinął ręką na Cassie.

- Wskakuj - rozkazał, a następnie powiedział, by podała mu numer domowego telefonu. Zanim ruszyli, zadzwonił, ale został połączony z automatyczną sekretarką. Zostawił wiadomość.

- To może na komórkę? - zapytał i Cassie podała mu numer. Jednak i to połączenie zostało automatycznie przekierowane do poczty głosowej Jenny Hughes. Tym razem nie zostawił wiadomości.

Miał nadzieję jakoś załagodzić sytuację, nie chciał, żeby matka Cassie przeżyła wstrząs. Myślał o tym, żeby jakoś ją przygotować, zanim zjawią się pod drzwiami.

Niestety, nie udało się.

Na razie była to pechowa noc.

Uruchomił silnik i zerknął we wsteczne lusterko. Cassie siedziała skulona w kącie samochodu z nieszczęśliwą miną.

Zastanawiał się, jak zareaguje jej matka, a potem przypomniał sobie Jennę Hughes w opiętych spodniach narciarskich, kiedy siedziała na krześle przy jego biurku, opowiadając o nękającym ją maniak.

Przypomniał sobie to, co napisał ten świr. Jesteś wspaniałą kobietą. Zmysłową. Silną. Uwodzicielską. Ktokolwiek to napisał, dobrze to ujął. Ale dzisiaj Jenna Hughes będzie po prostu zwykłą, oszalałą ze strachu i zmartwienia matką. No, chyba że nie przejmuje się swoimi dziećmi. Chyba że jest jedną z tych matek, które traktują dzieci jako swoistego rodzaju zabawki, całkowicie zajęte sobą.

Ale Carter nie uważał, żeby tak było w przypadku Jenny. Podczas tych paru spotkań odniósł inne wrażenie. Chodziły słuchy, że przeprowadziła się tutaj, by uciec od zgiełku i jupiterów Hollywoodu. Ze względu na dzieci.

Ponownie zerknął we wsteczne lusterko. Dziewczyna siedziała naburmuszona, zbuntowana przeciwko całemu światu. Zaklął pod nosem i zmienił bieg.

ROZDZIAŁ 19

Noc była dziwna. Niepokojąca.

Jenna otworzyła oczy, nasłuchując uważnie.

Obok łóżka Pokraka wydał z siebie ciche warknięcie. Uniósł siwiejącą głowę, jakby on również wyczuwał jakieś zmiany w powietrzu, jakiś ruch w nocnych ciemnościach.

Wtedy usłyszała. Pracujący na wolnych obrotach silnik samochodu.

Gdzieś w pobliżu domu.

Zerknęła na zegarek. 3.53.

Jaki diabeł?

Szybko wysunęła się spod przykrycia, chwyciła szlafrok, który zostawiła w nogach łóżka, i wkładając go podeszła do okna. Wyrzała przez rolety i zobaczyła samochód szeryfa, zaparkowany przy garażu.

Serce jej zamarło.

- O Boże! — szepnęła.

Co się stało? Dlaczego przyjechał tu szeryf?

Chodziło o tego świra? Dowiedział się, kto napisał ten list? A może ten facet tu był? Zalała ją fala paniki.

Pokraka warknął. Sierść na jego grzbiecie zjeżyła się.

Jenna wypadła boso z sypialni. Pobiegła na górę, żeby zajrzeć do sypialni Allie, a Pokraka deptał jej po piętach. Młodsza córka spała grzecznie w łóżku, z rozkopaną kołdrą, rozrzuconymi rękami, otwartą buzią, cicho pochrapując. Jenna popędziła do następnego pokoju. Serce waliło jej jak młotem. Pchnęła drzwi i zamarła z przerażenia, kiedy zobaczyła puste łóżko.

- O Boże, nie! - szepnęła, kiedy po domu rozniosło się głucho pukanie drzwi. Coś strasznego stało się z Cassie! To dlatego ktoś z biura szeryfa walił do jej drzwi. Popędzana strachem pobiegła do schodów. Modliła się duchu, słysząc, jak drzwi kuchenne otwierają się ze skrzypem. Mamo? Głos Cassie! Dzięki Bogu! Odczuła wielką ulgę.

Z pośpiechu potknęła się na ostatnim stopniu. Pokraka warczał i szczekał. Jenna wpadła do kuchni, w momencie gdy Cassie zapaliła światło.

- Co się dzieje? Dlaczego nie jesteś w łóżku? - Jej wzrok zatrzymał się na towarzyszącym Cassie mężczyźnie. Szeryf Carter. Surowy, tajemniczy szeryf Carter, o mocnej, niczym wyrzeźbionej w kamieniu szczęce i podejrzliwych oczach. Ostatnio często go widywała.

Pies szczekał teraz na cały regulator, biegając wokół Cartera i szczerząc zęby.

- Pokraka! Cicho! - rozkazała Jenna.

Pokraka jeszcze raz warknął, a następnie wlaź pod stół kuchenny, skąd obserwował Cartera nieufnymi, ciemnymi oczami.

- Przepraszam -powiedziała Jenna, zacieśniając pasek szlafroka. Jej wzrok spoczął na Cassie. - Co się dzieje? Gdzieś była?

- Pani córka razem z paroma innymi dziećmi była dziś w Catwalk Point - odpowiedział jej Carter.

Nie spodziewała się tego. Catwalk Point?

- Czy to nie tam znaleziono zwłoki tej kobiety?

- Zgadza się. - Carter skinął głową z ponurą miną.

Cassie przestępowała z nogi na nogę, wpatrując się w podłogę.

- Dlaczego? - Jenna zwróciła się do córki. - Dlaczego wymknęłaś się w środku nocy i tam pojechałaś? - Odsunęła włosy z oczu, jej tętno zaczęło się uspokajać. Co tu się dzieje?

Cassie wzruszyła ramionami.

- Powinnaś być w łóżku. Co ty sobie wyobrażałaś?

W oczach Cassie błysnęła przekora, ale zacisnęła zęby i nie powiedziała ani słowa.

- Próbowałem się dodzwonić, ale odebrała automatyczna sekretarka - wtrącił się Carter.

- Co? Ale przecież byłam w domu, z nikim nie rozmawiałam...

- powiedziała Jenna, a potem uświadomiła sobie, co się stało. -

Odwiesiłaś słuchawkę? - zapytała córkę. - Och, Cass - westchnęła, czując się nagle znacznie starsza, niż była.

- Próbowaliśmy też dodzwonić się na komórkę, ale nie odbierała pani.

- Zawsze ją ładuję w nocy. Jest wyłączona - powiedziała, wyczuwając jego dezaprobatę.

- Myślałem, że ma pani alarm.

- Mam... Włączyłam go przed pójściem do łóżka... O, nie! Cassie, wyłączyłaś go?

Cassie zacisnęła usta, nadal milcząc.

- Cass... Jak mogłaś? Mówiłam ci o liście, o tym dziwnym telefonie i...

- I tak nie działał. Wiesz, co jest wart. Nawet nie paliła się czerwona lampka. I

- Dobrze, zostawmy już to. Poprosiłam Wesa Allena, żeby wpadł i zobaczył, co da się zrobić z tym alarmem. Niech jakoś działa, dopóki firma ochroniarska nie zainstaluje nam nowego.

Zdawało jej się, że Carter lekko się spiął na wzmiankę o Wesie Allenie, bracie Rindy.

- Posłuchaj - dodała - pogoda jest taka, że na razie jesteśmy zmuszone zadowolić się tym, co mamy. Alarm czasami działa, więc korzystajmy z niego. - Westchnęła, wpatrując się w pierworodną córkę. - Na Boga, Cassie, co ty sobie myślałaś?

- Chciałam się trochę zabawić. Zdajesz sobie sprawę, jak tutaj jest nudno? - wyrzuciła z siebie Cassie, zerknęła na szeryfa i ponownie zamknęła się w sobie.

- Musimy wezwać ją do sądu. Chodzi o zarzut posiadania nielegalnych substancji przez nieletnich.

Jennie zamarło serce.

- Pili, mieli przy sobie trochę narkotyków.

- O Boże! - Jenna skuliła się w sobie. - A inni? Wszystko z nimi w porządku? Nikomu nic się nie stało?

- Nie. Po prostu zrobili sobie imprezkę.

- Na miejscu zbrodni. - Jenna ponownie skierowała wzrok na zegar. - O wpół do czwartej nad ranem. - Głupie małolaty. Zacisnęła pięści i wepchnęła je do kieszeni szlafroka, przyglądając się córce.

Pomimo całej swojej brawury i pozowania na twardzielkę Cassie wyglądała na przestraszoną. Dobrze. To już coś.

- Byłaś z Joshem, prawda? - zapytała Jenna, ale Cassie po raz kolejny nie udzieliła odpowiedzi. Jakby chroniła tego głupka, swojego chłopaka. -

- Masz coś do powiedzenia szeryfowi?

Cassie wpatrywała się w drewnianą podłogę, jakby nagle ujrzała tam coś niezwykle fascynującego, a potem wymamrotała szybko, ledwie słyszalnie:

- Dzięki za podwiezienie.

Jenna wiedziała, że na nic więcej nie może liczyć. W tym momencie na górze skrzypnęła podłoga. Pokraka postawił uszy i zaczął wachlować się ogonem. Allie się obudziła.

- Ona nie musi wiedzieć o tym wszystkim - powiedziała szybko Cassie, kiedy nad ich głowami zadudniły kroki, kierując się na schody.

- W porządku. - Tym razem Jenna zgodziła się ze swoją starszą córką. Nie była w nastroju na przeciąganie tej sceny, zwłaszcza w obecności szeryfa Cartera. - Porozmawiamy o tym rano.

Allie wpadła do kuchni; jej rudawe włosy sterczały na wszystkie strony pod dziwnymi kątami, na twarzy malowało się zdziwienie, oczy miała na pół otwarte.

- Słyszałam krzyki - powiedziała i stanęła jak wryta, kiedy zauważyła Cartera.

- To jest szeryf Carter - wyjaśniła niechętnie Jenna.

- Wiem. Wlepił ci mandat.

- Przywiózł Cassie do domu.

- Do domu? Ale przecież ona była w domu. - Allie całkowicie się obudziła. Ominęła Cartera szerokim łukiem, przyglądając się mu podejrzliwie, i podeszła do matki.
- Cassie postanowiła wyjść - powiedziała Jenna.
- Wyjść? - powtórzyła Allie, spoglądając przez okno na zimną noc. Gdzie? A czy ona nie jest nadal uziemiona?
- Nie twoja sprawa - burknęła ostro Cassie.
- Która godzina? - Allie przez moment skupiła wzrok na zegarze, następnie spojrzała z powrotem na siostrę. - Nie rozumiem - powiedziała. I w tej samej chwili zamrugnęła oczami. Ugryzła się w język. Dotarło do niej. Nic zadała więcej ani jednego pytania. Ku swojemu zaskoczeniu Jenna zobaczyła, jak jej córki wymieniły między sobą porozumiewawcze spojrzenie. Zawarły pakt milczenia.
- Porozmawiamy o tym rano, kiedy prześpiemy się i będziemy w stanie trochę jaśniej myśleć. Najważniejsze, że nikomu nic się nie stało. A teraz idźcie do łóżka.

Cassie, jakby bojąc się, że Jenna może zmienić zdanie, skierowała się pośpiechu do schodów. Wbiegła na nie, głośno stukając nogami, zupełnie inaczej niż parę godzin wcześniej, kiedy schodziła. Wtedy skradała się bezgłośnie na paluszkach. Miała w tym wprawę. Jenna wołała nie myśleć o tym, ile razy jej córka przemykała się cichutko korytarzem, a potem schodami na dół. Ile razy Cassie ją okłamała? Jak często wyłączała alarm, otwierała zamki i wymykała się w ciemności, żeby spotkać się z Joshem? Poczucia ucisk w żołądku. Co oni robili? Pili? Oczywiście. Uprawiali seks? Bardzo prawdopodobne. Palili trawkę lub crack? O Boże, miała nadzieję, że nie. Jak nazywają się te narkotyki, które były tutaj tak łatwo dostępne? Me-taamfetamina? Ecstasy? No jasne. O Boże!

Jenna westchnęła głośno. Istniała możliwość, że Cassie jest już w ciąży. Trzeba mieć trochę wiary, zaufać jej.

Po tym, jak w ciągu jednego tygodnia dwa razy została przyłapana na wymykaniu się z domu?

Choć Jenna bardzo chciała ufać swoim dzieciom, trudno jej było uwierzyć, I że Cassie i Josh nie uprawiali seksu. A Cassie miała dopiero szesnaście lat.

Gdyby tylko mogła, skreśliłaby Joshowi kark, a potem by go wykastrowała!

- Świetnie - mruknęła ze złością, dopiero po chwili uświadamiając sobie, że szeryf Carter nadal tu stoi, z rękami w kieszeniach kurtki, wpatrując się w nią tymi niebezpiecznymi, brązowymi oczami.

- Przepraszam za to wszystko - powiedziała szybko. - I jestem naprawdę wdzięczna za odstawienie Cassie do domu. Skinął głową.

- Nie ma sprawy - powiedział, ale jego mina zadawała kłam tym słowom. - Niestety, to jeszcze nie wszystko. Musi się stawić przed sądem dla nieletnich.

- Może to i dobrze. Cassie potrzebuje czegoś, co by nią wstrząsnęło, przestraszyło, sprawiło, by zaczęła traktować rzeczywistość bardziej poważnie. - Jenna odgarnęła włosy z twarzy i potrząsnęła głową. - Ona już nie liczy się z moim zdaniem.

- A co na to jej ojciec?

- Robert? - Jenna parsknęła pozbawionym wesołości śmiechem. - Zadzwońię do niego rano... Nie, najpierw każę Cassie do niego zadzwonić i opowiedzieć, co ostatnio porabiała. - Obawiała się konfrontacji. Bez wątpienia Robert oskarży ją, że nie panuje nad ich córkami. Był świetny we wskazywaniu winnych, gorzej mu szło z rozwiązywaniem problemów. Omawianie z Robertem trudnych spraw można było porównać z chodzeniem po ruchomych piaskach. Było bezcelowe, dreptało się w miejscu, co fatalnie wpływało na Jenę. To, że Robert będzie wiedział o całej sytuacji, w żaden sposób nie wpłynie na jej polepszenie.

Znowu zauważyła, że Carter się jej przygląda i nagle uświadomiła sobie jak musi wyglądać: rozczochrane włosy, żadnego makijażu, twarz poprzecinana zmarszczkami ze zmartwienia, kraciasta flanelowa pidżama, wystająca spod jej ulubionego, nieco znoszonego szlafroka frotte. Oto wizerunek olśniewającego hollywoodzkiego kociaka.

- Och, gdzie moje maniery? - zażartowała. - Chyba nie jestem przyzwyczajona do przyjmowania gości o czwartej rano.

- Nie jestem tu w charakterze gościa.

Jego głos nie był już tak surowy jak zwykle. Jakby rozumiał, przez co przeszła tej nocy. Hm, może ten facet miał jednak serce, ukryte gdzieś głęboko w tej jego wielkiej kłacie. Nie. Nie liczyłaby na to.

- Ale skoro już pan tu jest... Może napiłby się pan kawy lub czegoś inne go?

- zapytała. Kawa w dzbanku stojącym na ladzie przypominała gęstniejące ścieki.

Wzrok Cartera podążył za jej spojrzeniem.

- Zrobię świeżej - zaproponowała.

- Proszę nie zawracać sobie głowy. Muszę się zbierać. - Zrobił krok w stronę drzwi, ale ona już wzięła się do roboty. Dlaczego za każdym razem, kiedy się spotykali, musiała występować w charakterze ofiary?

- Przynajmniej tyle mogę zrobić. - Wiedziała, że i tak teraz nie zaśnie.

Niezważając na jego protesty, wyrzuciła wczorajsze flisy do zlewu, umyła szklany dzbanek i nasypała ziarnistej kawy do młynka. Przekrzykując jego hałas, powiedziała: - Mam kubek termiczny, będzie mógł pan zabrać kawę ze sobą.

- To naprawdę nie jest konieczne.

- Oczywiście. I chociaż wyciąga pan mnie i moją córkę z kłopotów, by najmniej nie jest to łapówka - rzuciła przez ramię. - Wie pan, to zabawne, ale za każdym razem, kiedy się widzimy, co ostatnio zdarza się dość często, jestem w jakichś tarapatach.

- To dlatego że jestem gliną.

- Wiem. Ale w ostatnim czasie mam wrażenie, że gdziekolwiek się zwrócę, natykam się na pana.

- Koszmar, co?

- Tak. Prawdziwy koszmar. - Zerknęła przez ramię i przyłapała go na uśmiechu, ujrzała błysk białych zębów pod ciemnymi wąsami. Kiedy się uśmiechał, był przystojny w ten szorstki sposób, typowy dla facetów pracujących na świeżym powietrzu, co nigdy wcześniej nie wywierało na niej więk szego wrażenia. Ale teraz, widząc te drobne zmarszczki przy jego oczach i cień zarostu na brodzie, co jeszcze bardziej dodawało mu męskości, zwróciła uwagę na to, jaki jest atrakcyjny. Niedorzeczność. Była czwarta rano. Przez kilka ostatnich godzin, choć miał tyle innych rzeczy do roboty, zajmował się jej córeczką, która została młodocianym przestępcą.

Nalała wody do dzbanka, włączyła ekspres.

Kuchnia wypełniła się ciepłem i zapachem parzonej kawy.

- Ma pan dzieci? - spytała, choć z tego, co słyszała o nim w mieście, wnioskowała, że nie ma.

- Nie. - Oparty o kredens, spoglądał na okno nad zlewem.

- Są błogosławieństwem... ale czasami to...

- Przekleństwo?

- Hm, powiedzmy, że... utrapienie - przyznała, wycierając blat ścierką.

- Ale warto je mieć?

- Oczywiście. Trzeba po prostu pogodzić się z tym, że nie zawsze wszystko idzie dobrze. - Otworzyła szafkę i zobaczyła, że kubek termiczny, którego szukała, stoi dwie półki powyżej zasięgu jej rąk. Opierając się o blat, wspięła się na palce, ale nie mogła po niego sięgnąć.

- Może ja pomogę. - Zanim zdołała coś powiedzieć, podszedł do niej. Pachniał powietrzem, tytoniem i płynem po goleniu. Zdjął kubek. - O to chodziło? - Jego twarz była tak blisko jej twarzy, że widziała złote plamki

na jego brązowych tęczęwkach i zauważyła, że w jego ciemnych wąsach miała czelność pojawić się kilka zbuntowanych, srebrnych nitok.

- Uhm - wykrztusiła z siebie.
- Coś jeszcze? - Podał jej kubek.
- To wszystko.

Odsunął się, a ona w końcu mogła zaczerpnąć powietrza. Nalała kawy i zakręciła wieczko, po czym się zreflektowała:

- Och... a może dodać cukru lub śmietanki?
- Nie potrzeba. - Zabrzęczał jego telefon. Wyciągnął go z kieszeni. - Carter - powiedział, a jego wzrok na moment spotkał się jej spojrzeniem. - Co? - Jego twarz napięła się, usta zacisnęły. - Gdzie? - spytał, słuchając uważnie, podczas gdy ekspres nadal szumiał. - Dobra, będę tam za pół godziny... tym czasem przytrzymaj na posterunku dzieciaki, które były w Catwalk Point. Chcę z nimi pogadać... Nie wiem, gdzie. Nie ma jakiejś wolnej celi? Jeśli nie, rzuć ich na głęboką wodę... niech poznają naszych stałych klientów. Zobaczymy, może się przestraszą i nabiorą trochę rozumu.
- Rozłączył się. - Muszę lecieć, ale będziemy w kontakcie. Nie miałem żadnych wieści z laboratorium w sprawie tego listu, ale dzisiaj do nich zadzwonię. Trochę ich przycisnę. Zakładam, że nie miała pani więcej problemów?
- Poza Cassie? Nie. Błysnął uśmiechem.
- Proszę dokładnie sprawdzić alarm. Upewnić się, że działa. No i jeszcze brama. Dlaczego jest otwarta?
- Jest zepsuta - przyznała. Oświetlone przez lampy żelazne skrzydła bramy, zawieszane na kamiennych filarach, stały otworem, przysypane śniegiem i oblodzone. - Zepsuł się zamek elektroniczny. Naprawiałam go już dwa razy. Nie wiem, o co chodzi, ale coś jest ze mną nie tak; chyba mam złą karmę. Wszystkie elektryczne i mechaniczne urządzenia, które się tutaj znajdują, ciągle nawalają.
- Może mógłbym pomóc? Znam w mieście ludzi, którzy naprawią alarm i bramę, a nawet zainstalują kamery, jeśli pani tego sobie zażyczy. - Delikatne zmarszczki przecinające jego czoło pogłębiły się, kiedy dodał: - Oczywiście z powodu tej śnieżycy i przerw w dopływie prądu większość elektryków pracuje na okrągło. Będzie miała pani szczęście, jeśli uda się kogoś ściągnąć przed wiosenną odwilżą.
- Wiem. Ale parę osób już mi zaoferowało swoją pomoc.
- Dobrze. - Spojrzał w dół, na Pokraka, który zaczął machać ogonem, wynurzając się spod krzesła. - Tak, ma pani świetnego psa obronnego - powiedział, poklepując go po głowie.

- Nie zamienię tego psa na żadnego innego. - Podała Carterowi kubek termiczny.

- Też bym tak postąpił na pani miejscu. A kubek oddam jak najszybciej.

- Nie ma pośpiechu. - Wskazując na wysoki kredens, dodała: - Sam pan widział, jak często z niego korzystam.

- W porządku. I dobranoc, a może raczej powinienem powiedzieć dzień dobry. - Skierował się do tylnych drzwi. - Proszę za mną zamknąć. Jenna zamknęła drzwi na zasuwę, a następnie patrzyła przez kuchenne okno, jak Shane Carter idzie zadaszonym przejściem, a potem wraca po własnych śladach w śniegu do swojego blazera. Parę sekund później odjechał, unosząc rękę, kiedy mijał dom.

Pomachała mu automatycznie i nie ruszyła się, dopóki żarzące się czerwienią tylne światła nie zniknęły w mroku.

Jenna wzdrygnęła się i poczuła bardziej samotna niż kiedykolwiek od czasu swojej przeprowadzki do Falls Crossing. Na dworze nadal było ciemno, poświata poranka nie rozświetlała jeszcze nieba na wschodzie.

Było zimno i ciemno.

Rozdział 20

Znasz to powiedzenie, że szewc bez butów chodzi - zrzędziła BJ następnego ranka. Wyglądała na zmęczoną. Pod jej oczami pojawiły się wory, włosy miała nieulożone, a ramiona zwieszzone. - Zdaje się, że dotyczy to również gliniarzy. Ich dzieci nie przestrzegają prawa. A przynajmniej moje dziecko. — Zrezygnowana opadła na krzesło przy biurku Shane'a.

- Może dobrze się stało, że Megan została złapana, kiedy jest jeszcze nieletnia.

- Czyżby? Chyba nie myślisz, że to dopiero początek? - Twarz BJ, zawsze pełna ekspresji, teraz była zgaszona, a kąciki ust ściągnięte niepokojem. - Wiesz, gdybym mogła wysłać ją do szkoły wojskowej, zrobiłabym to.

- Czy nie przesadzasz?

- Może. Ale tak bardzo się denerwuję. - BJ odchyliła się do tyłu na krześle i zamknęła oczy. - Boże, daj mi siłę.

- Z Megan wszystko będzie w porządku.

- Kiedy? Jak będzie miała dwadzieścia pięć lat? Trzydzieści? Nie dożyję tego. Mówię ci, ona mnie wykończy.

Carter roześmiał się.

- Nie wydaje mi się, żeby miała szansę ciebie pokonać.
- Cholera, mam nadzieję, że masz rację. - BJ otworzyła oczy i poprawiła się na krześle. - I co, przesłuchałeś chłopaków?
- Tak. Razem ze Sparksem i jeszcze jednym gliniarzem ze stanowej. - Pamiętał ponure twarze Josha Sykesa, Iana Swaggerta, Anthony'ego Pereza i Carla Watersa. Wszyscy pozwali na twardzieli. Dopiero rano, gdy przekazano ich rodzicom, okazali nieco skruchy. Jeśli nawet zamknięcie w areszcie napędziło im stracha, zdołali to ukryć. - Byłbym zaskoczony, gdyby któryś z nich miał jakieś powiązania z tą martwą kobietą. Myślę, że po prostu chcieli się popisać, no wiesz, wycieczka w miejsce, gdzie została znaleziona ofiara morderstwa.
- Miałabym ochotę pourywać im łby. Zwłaszcza temu małemu gnojkiowi Swaggertowi.
- Lepiej nie. Jeszcze by zarzucili policji brutalność.
- Należy mu się. Im wszystkim się należy. Gówniarze. Seks, narkotyki i alkohol... to wszystko, co ich interesuje.
- Wiesz przecież, że istnieją przepisy chroniące nieletnie dziewczyny.
- Wiem, wiem. Ale do czego tu się przyczepić?
- Ona ma dopiero szesnaście lat.
- A oni? Siedemnaście, osiemnaście? Wszyscy równie głupi.
- Z Megan wszystko w porządku?

Pewnie tak. Jedynym problem mojej córki jest jej głupia, nadopiekuńcza, wścibska, staromodna, niczego nierozumiejąca matka, która nie pozwala jej robić tego, na co ona ma ochotę. - Jeszcze nie mówiłam nic Jimowi. Porozrywałby tych chłopaków na strzępy.

- Jak to możliwe, że on nic nie wie?
- Przespał to wszystko. Możesz w to uwierzyć? Strasznie chrapie i śpi w pokoju gościnnym, gdzie nie ma telefonu. Nie słyszał dzwonka, mojego wrzasku ani tego, jak Megan trzaska drzwiami swojego pokoju. Rano jak zwykle wyszedł o szóstej do pracy i pomyślałam, że oszczędzę mu złychwiesci aż do wieczoru. Może do tej pory zdołam ochłonać i dowiem się czegoś więcej na temat tego, co te dzieciaki tam robiły. - Wypuściła z płuc powietrze i spojrzała prosto na Cartera. - Będzie to dla niego jak grom z jasnego nieba. Jim żywi staroświeckie przekonanie, że jego ukochana, mała córeczka nigdy nie będzie piła ani ćpała, a dziewictwo zachowa aż do czasu zamążpójścia po skończeniu trzydziestu lat. - BJ wyprostowała się na krześle. - Myślę, że już czas stawić czoło rzeczywistości. Wszyscy musimy to zrobić. - Wyciągnęła przed siebie ręce, aż strzeliły jej kostki u dłoni. -

Dobra, wystarczy gadania o mojej idealnej, bajkowej rodzinie. Co jeszcze mamy nowego?

- Nic dobrego - przyznał Carter, szybko streszczając jej ostatnie wydarzenia. - Zostałem wezwany do Tannerów w sprawie włamania, zaraz po tym, jak odstawiłem Cassie Kramer jej matce. Ktoś wykradł im narzędzia z szopy. Ślady prowadziły w dół wzgórza, do szosy. Potem zajmowałem się chłopakami, a resztę poranka spędziłem na rozmowie z ludźmi ze stanowej. Szczątki Jane Doe nadal niezidentyfikowane, nic się nie ruszyło w sprawie Sonji Hatchell. Dwa razy rozmawiałem już dzisiaj z Lesterem, a ekipa poszukiwawcza ponownie przeszukała las wokół ich domu, podobnie jak teren przy barze. Niczego nie znaleźli. Jeszcze raz obdzwoniłem szpitale i kliniki. Nikt nie widział Sonji Hatchell.

-A co z jej samochodem?

Shane pokręcił głową.

- Nie ma. Nie wystawiono na niego żadnego mandatu. Nie ma najmniejszej poszlaki, żeby pojawił się w jakimś warsztacie naprawczym czy u blacharza. Kiedy pogoda się trochę uspokoi, policja stanowa przyśle helikoptery, żeby sprawdzić, czy Sonja nie wypadła z drogi i czy jej samochód gdzieś nie utknął. - Zauważył jej zmartwione spojrzenie. - Ale jeśli tak się stało, to nie ma zbyt wielkiej szansy, żeby nadal żyła.

- Cholera jasna - powiedziała BJ, chwilowo zapominając o swoich problemach z córką. - Ludzie nie znikają tak po prostu z powierzchni ziemi. Nie ma kosmitów w latających spodkach, którzy by porywali mieszkańców Falls Crossing, niezależnie od tego, co twierdzi Charley Perry.

- Mogła zostać uprowadzona. Nie przez kosmitów. Zawsze istnieje możliwość, że ktoś się na nią zaczął i zmusił ją, żeby z nim odjechała.

- W takim razie co z jego samochodem? — zapytała BJ ze zmarszczoną twarzą, intensywnie myśląc o okolicznościach zdarzenia. - W jaki sposób napastnik dostał się do baru? Pieszko? A może wrócił potem po samochód, który ukrył gdzieś w pobliżu? - BJ myślała na głos. Wzrok utkwiała w biurka, ale Carter wiedział, że oczyma wyobraźni była zupełnie gdzie indziej.

- Jeśli została uprowadzona, nie musiało się to stać przy barze – zauważył Carter. - Ten ktoś mógł porwać ją gdzieś po drodze, zatrzymać ją jakoś, a po tem wepchnąć się do jej samochodu. A może nawet sama go wpuściła? Mogła pomóc człowiekowi, który znalazł się w tarapatkach z powodu śnieżycy.

- Gdzieś musiał mieć jakiś samochód.

- Owszem, gdzieś blisko miejsca, w którym została uprowadzona. Ale minęło trochę czasu, mógł wrócić po swój wóz.

- Pieszko? W takie zimno? Może stopem?

- A może miał współnika?

- Sądzisz, że mogło być ich więcej?

- Całkiem możliwe. Sparks też zastanawia się nad tą teorią.

Zaproponował nawet, że policja stanowa porozmawia z prasą, może będą mogli pomóc. Zgadza się z nim. — Carter myślał o tym już od jakiegoś czasu. Dziennikarze byli zazwyczaj jak wrzód na tyłku, ciągle depcząc po piętach, węsząc za sensacją, spekulując, co się stało. Ale bywało, że pomagali w śledztwie, ostrzegając ludzi przed niebezpieczeństwem czy też prosząc ich o pomoc.

Carter przeważnie wołał trzymać „czwartą władzę” na dystans, ale może teraz był odpowiedni moment, żeby poprosić lokalną telewizję, radio i gazety o pomoc w odnalezieniu Sonji Hatchell. Policja stanowa już apelowała o zgłaszanie im wszelkich informacji, mogących w jakiś sposób wiązać się z jej zniknięciem, ale dowiedzieli się tylko tyle, że ostatnimi, którzy ją widzieli, byli Lou i jego bratanek. Sonja jakby rozplynęła się w powietrzu po wyjściu z baru.

- Dobra, powiedzmy, że Sonja została napadnięta w swoim samochodzie. Ale jak daleko mogła zajechać w taką śnieżycę?

- Miała samochód z napędem na cztery koła.

- Nawet taki daleko nie zajedzie po oblodzonych drogach, z których znaczna część została zamknięta.

- Myślisz, że ten facet pochodzi stąd?

- Możliwe - powiedziała BJ- i mam wrażenie, nazwij to jak chcesz, przecuciem lub kobiecą intuicją, że zniknięcie Sonji może być związane ze sprawą Jane Doe.

Carter przestał bawić się ołówkiem i spojrzał BJ prosto w oczy.

- Nie nazwę tego kobiecą intuicją, bo mam takie samo wrażenie. Ale to daleko idący wniosek, skoro nie mamy ogniwa łączącego te dwie kobiety.

- Poza tym, że oba te przypadki są bardzo dziwne. Tu nigdy nie działały się takie rzeczy. Zbyt wielki zbieg okoliczności.

- Policja stanowa nie kupi tej teorii. Ale porozmawiam ze Sparksem. To porządny facet, nie zignoruje tego tak po prostu. Zastanowi się nad tym trochę. Tymczasem Sonja znalazła się na liście osób poszukiwanych w Oregonie, Waszyngtonie, Idaho i Kalifornii, mają również dane jej samochodu. Jej zdjęcie pokazano też w telewizji. - Bębnił palcami o biurko,

w pełni świą dom tego, że czas upływa, a pogoda może być jeszcze gorsza, co zmniejsza szansę, że znajdzie Sonję żywą.

- Co z Lesterem? - zapytała BJ, podnosząc się z krzesła.

- Jakoś się trzyma. Ze względu na dzieci.

- BJ podeszła do okna.

- To ta cholerna pogoda. Wszystkich doprowadza do obłądu.

- Tak. Zwalmy wszystko na pogodę.

- Zabawne, Carter - mruknęła, wychodząc z jego gabinetu. –

Naprawdę zabawne.

- Też tak uważam. - Niestety ostatnimi czasy nic nie było zabawne. Absolutnie nic.

- ...zapewniam, że Robert zostanie poinformowany o pani telefonie- obiecała jego sekretarka.

- Dziękuję. - Jenna rozłączyła się. Jak zwykle ojciec jej dzieci był nieuchwytny, kiedy go potrzebowała. Kolejny raz musi poradzić sobie ze wszystkim sama. Co prawdopodobnie na dłuższą metę wyjdzie im tylko na dobre.

Była dziesiąta rano i obie jej córki jeszcze spały. Jenna wspięła się cicho po schodach, minęła pokój Allie i zapukała do drzwi sypialni Cassie. Otworzyła je. W pokoju panował bałagan. Nawet przy zaciągniętych roletach i zgaszonym świetle zauważyła, że całe ubranie, które miała na sobie w nocy, Cassie rzuciła na kupę w nogach łóżka. Na podłodze leżały porozrzucone płyty CD i książki, zaś słoiczki z kremem, lakier do paznokci, przybory do makijażu oraz perfumy, a także talerze, szklanki, butelki po napojach i puste kartony zaśmiecały biurko, szafkę nocną i parapet. Z przepełnionego kosza wysypywały się śmieci.

Albo Cassie była zatwardziałym niechlujem, albo miała depresję

Prawdopodobnie trochę i to, i to.

Cassie ciężko przeżyła separację rodziców, a potem rozwód. Przeprowadzka do Oregonu również nie była dla niej łatwa. Jednak nie usprawiedliwiało to tak otwartego buntu i robienia z pokoju chlewu.

- Cassie, obudź się - powiedziała łagodnie Jenna i usiadła w rogu jej pomiętego łóżka.

W odpowiedzi usłyszała mruknięcie spod kołdry.

- Musimy porozmawiać.

- Teraz? - Cassie podniosła głowę, otworzyła zaczerwienione oczy i spojrzała na szafkę nocną, gdzie stało radio z zegarkiem, żarzącym się na czerwono. Jęknęła. - Mamo, jestem taka zmęczona.

- Wyobrażam sobie. Ale wiesz, co mówię o „lataniu z orłami”.
- Tak, tak... Jeśli chcesz nocą latać z orłami, rano musisz wstawać z wróblami. To głupie powiedzenie.
- Może i tak, ale będziemy się do niego stosować. Więc zejdź na dół, zanim twoja siostra wstanie.
- Ale jest tak wcześnie.
- Nie wydaje mi się. Zrobię śniadanie.

Westchnęła głośno, jakby była najbardziej prześladowaną nastolatką na świecie.

- Masz pięć minut -powiedziała Jenna. Wyszła szybko z pokoju i zbiegła po schodach, zanim jej córka mogła zaprotestować. Nie była już tak wściekła jak zeszłej nocy, ale chciała nauczyć Cassie rozumu. Co ona sobie myślała? Nic nie myślała. W tym problem. Po prostu wyszła, żeby zabawić się z przyjaciółmi i zrobić małą zadymę. Jenna musiała przyznać, że sama nieraz tak postępowała.

A jednak Cassie zmierzała w złym kierunku, mogły z tego wyniknąć wielkie kłopoty.

Jenna sprzątała fusy od kawy, kiedy usłyszała na schodach kroki córki.

- No dobra, więc wstałam - burknęła, stawiając gołe stopy na drewnianej podłodze kuchni. Miała na sobie spodnie od pidżamy i krótką flanelową koszulkę, odsłaniającą brzuch. - Czy to nie mogło poczekać?
- Już i tak czekało zbyt długo.
- Świetnie. - Ziewając, podeszła do dzbanka z kawą, naląła sobie filiżankę i opadła na krzesło przy stole. - Więc mów.
- Zmień swoje zachowanie, Cassie. Mam tego powyżej uszu. Posprzątasz swój pokój, a potem zadzwonisz do taty i opowiesz mu wszystko o ostatniej nocy. Próbowałam go złapać, ale nie udało mi się. Może ty będziesz miała więcej szczęścia. Poza tym chyba sama powinnaś opowiedzieć mu o swoich poczynaniach. A potem, jak to wszystko zostanie już załatwione, porozmawiamy o twoim życiu towarzyskim.
- Masz na myśli Josha?
- Chwilowo nie jest moim ulubieńcem.
- Nigdy go nie lubiłaś - zarzuciła jej Cassie, popijając kawę drobnymi łyżkami.
- Nie chodzi o niego. Nie podoba mi się to, co się dzieje z tobą. Co cię, u licha, napadło, żeby wymykać się z domu i jechać do Catwalk Point?
- Nic wielkiego się nie stało.

- Powiedz to szeryfowi Carterowi. Cassie odchyliła się do tyłu na krześle.
- Jemu też się podobasz, prawda?
- O co ci chodzi?
- Daj spokój, mamó, przecież nie jesteś głupia. Ten facet na ciebie leci. Czy to nie dziwne? Wszyscy faceci interesują się tobą. Pan Brennan, pan Settler. Teraz jeszcze ten gliniarz. Czy ty wiesz, ilu tych miejscowych wieśniaków siedzi w Internecie, wchodzi na twoją stronę i sprawdza wszystkie inne, poświęcone tobie? Założę się, że nawet Hans wypożycza twoje filmy. .. - Potarła ręką oczy i głośno pociągnęła nosem. - W Los Angeles było o wiele łatwiej.
- Może i było - przyznała Jenna - ale nie rozmawiamy o mnie ani o przeprowadzce. Rozmawiamy o tobie, o twojej postawie, o tym, że mnie okłamujesz. Weszłaś na złą drogę, Cassie, i boję się o ciebie. Naprawdę się boję. Może właśnie dokonujesz wyboru, który na zawsze zmieni twoje życie.
- Ze mną jest wszystko w porządku - powiedziała Cassie. Oczy znowu miała suche, usta zaciśnięte.
- Na pewno? - zapytała Jenna, zła, że niepotrafi dotrzeć do swojej córki.
- Wiesz, mamó, może tu nie chodzi tylko o mnie. Ostatnio jesteś bardzo spięta. Zresztą zawsze taka jesteś w okolicach Bożego Narodzenia. To była prawda. Od czasu tragedii podczas kręcenia *Białej ciemności*, która miała miejsce w okresie świątecznym, Jenny czuła awersję do wszystkiego, co choć trochę wiązało się ze świętami Bożego Narodzenia. Cassie pochyliła się na krześle, przyciskając filiżankę z kawą do gołego brzucha.
- Większość ludzi cieszy się z powodu świąt, wiesz? Urządzają przyjęcia, mają choinki, śpiewają kolędy, robią zakupy, jeżdżą na sankach.
- Tego właśnie chcesz? Śpiewać kolędy, robić zakupy i jeździć na sankach? - spytała Jenna i nałała sobie kawy, zauważając, że lekko trzęsą się jej ręce. Musi się wziąć w garść. Nie przywróci życia Jill. To był wypadek. Ale uporczywa myśl, że to, co się stało w Kolorado, było czymś więcej niż zwykłym wypadkiem, nie chciała się od niej odczepić. Miała poczucie winy, że ona przeżyła, a jej młodsza siostra zginęła.
- Może - powiedziała Cassie, wzruszając ramionami.

Jenna jakoś nie mogła sobie wyobrazić jej w wełnianym płaszczu, opatulonej szalem, jak idzie zaśnieżonymi ulicami Falls Crossing, radośnie śpiewając *Cichą noc* czy jakąś inną kolędę. Nie, to po prostu do niej nie pasowało. Cassie odstawiała filiżankę na stół.

- Jejku, po prostu chcę mieć trochę rozrywki. Czy to takie straszne?

Jenna mieszała kawę, rozprawdzając śmietankę.

- A wymykanie się z domu i wycieczka na miejsce zbrodni to świetna rozrywka, prawda?

- Tak! - Cassie założyła ręce pod piersiami, jeszcze bardziej obnażając pępek. - Szału można dostać, jak się cały czas siedzi tutaj i nic nie robi. Spojrzała w okno. - Mam dosyć tej pogody. Zadzwońię do taty. Na pewno pozwoli mi wrócić do domu na święta.

Wrócić do domu! Jennie ścisnęło się serce. Cassie nigdy nie myślała o obecnym miejscu jak o swoim domu, ciągle uważając za dom południową Kalifornię, gdzie były jej korzenie. - Może to dobry pomysł - powiedziała wbrew sobie. - A teraz porozmawiajmy o seksie, narkotykach i alkoholu. Cassie jęknęła.

- Musimy?

- Owszem. Musimy.

Ostrożnie malował jej twarz. Zanurzał pędzelek w farbach na palecie, pracując bez wytchnienia. Grała muzyka; melodia ze *Świadka* rozbrzmiewała z dwudziestu głośników, które zainstalował w swojej pracowni. Uwielbiał tę muzykę. A kiedy spojrzał w górę, na scenę z upozowanymi manekinami, poczuł przypływ dumy.

Większość z nich była ubrana w idealne kopie ubrań z filmów Jenny Hughes. Niektóre, jeszcze nagie, czekały na odpowiednie kostiumy, a wszystkie, jak dotąd, były anonimowe, pozbawione rysów twarzy na bezpłciowych, łysych głowach. Wkrótce miało się to zmienić.

Przypatrywał się scenie, na której stały nieruchomo kobiety z jego snów. Choć były niedokończone, wyobrażał sobie, że są doskonałe, jakby to one grały w filmach Jenny.

Marnie Sylvane, samotna nauczycielka z *Końca lata*, obok Katrina Petrova z *Utraconej niewinności*. Katrina. Pierwszy film Jenny - była nastolatką, kiedy zagrała młodą prostytutkę. Zwrócona w przeciwnym kierunku stała Annę Parks, psychotyczna morderczyni z *Odkupienia*, Trochę dalej znajdowała się Paris Knowlton, młoda, zalekniona matka z *Mroku*, w świetle tego samego jupitera co Rebecca Lange, narciarka zjazdowa z nigdy niedokończonej *Białej ciemności*. W odległym kącie Zoey Trammel

autystyczna kobieta z *Niemiej zimy*, siedziała w bujanym fotelu, który wystąpił w filmie. A teraz pracował nad Faye Tyler, seksualnie wyzwoloną kobietą lat siedemdziesiątych. Była prawie ukończona. Jak wiele osiągnął w tak krótkim czasie!

Ale miał jeszcze tyle do zrobienia. Niedługo będzie musiał pozbyć się zwłok i samochodu. Jednak musiał odczekać trochę, zanim wywiezie Faye... nie... nie Faye, po prostu ciało, które posłużyło jako wzorzec dla jego artystycznego projektu. Musiał zawieźć Faye na urwiste zbocze górujące nad Kolumbią pozwolić, by jej samochód stoczył się do rzeki. Nie znajdą go przez długi czas... może nawet nigdy. Ciało uwięzione w środku ulegnie rozkładowi.

Pozbycie się jej to prosta sprawa.

Znacznie trudniejsze było modelowanie i malowanie twarzy.

Uchwycenie piękna Jenny Hughes wydawało sieniemożliwe. To, co odlewał, korzystając z twarzy kobiet przypominających Jennę, dalekie było od ideału. Trąciło amatorszczyzną.

Patrzył spod zmarszczonych brwi na maskę, pracując z jeszcze większym poświęceniem, pomimo zimnej temperatury czując krople potu na czole. Pewną ręką zrobił zarys oczodołu oraz cienką czarną linię, wzdłuż powieki, gdzie później włoży brwi; wyobrażał sobie, jak jego dzieło będzie wyglądać po dodaniu sztucznych oczu w idealnym odcieniu zieleni. Miał już perukę, uformowaną na podobieństwo fryzury, którą Jenna nosiła jako Faye Tyler.

Przerwał na moment pracę, odłożył pędzelek i wziął do ręki pilota. Tak, jak to robił setki razy wcześniej, włączył telewizor z olbrzymim ekranem, zamontowany na przeciwległej ścianie, a potem przesunął do przodu DVD ze *Świadkiem*, który już był w odtwarzaczu. Z łatwością znalazł scenę, której potrzebował - zbliżenie pięknej twarzy Jenny Hughes. Zobaczył ją, patrzącą prosto w kamerę; w jej oczach błyskały figlarne iskierki, na pomalowane delikatnie różem usta wypływał powoli uśmiech...

Serce zaczęło mu szybciej bić, kiedy wyobraził sobie, że patrzyła prosto na niego. Flirtowała z nim. Kusiła go. Wabiła. Pragnęła go. Nie odrywając wzroku od ekranu, wcisnął guzik PLAY. Patrzył, jak niedbale odrzuca do tyłu włosy, odwraca się i zaczyna iść... powoli odchodzić.

Kamera skupiła się na jej pośladkach, opiętych cienką spódniczką, i na gołych nogach, wyeksponowanych dziesięciocentymetrowymi szpilkami. Zadrzał w środku. Obliznął usta. Czekał.

W nadeszła końcu ta chwila. Sekunda, dla której żył. Faye Tyler powoli odwróciła głowę, i spojrzała przez ramię. Wcisnął pauzę. Przyglądał się jej seksownemu, zapraszającemu spojrzeniu i czuł pulsowanie w kroczu, krew zaczęła krążyć szybciej w jego żyłach. Była tak doskonała. Łzy napłynęły mu do oczu, kiedy podziwiał jej czyste piękno. Łagodnym głosem powiedział: - Jesteś moją kobietą. Dziś. Jutro. Zawsze. Przyjdę po ciebie.

Rozdział 21

Dobra wiadomość była taka, że śnieżycy osłabła. Mrozy puściły i cyfrowy wyświetlacz w jego blazerze wskazywał temperaturę około zera.

Złą - że nadciągał kolejny zimny front, gorszy od pierwszego, nie było więc możliwości, żeby śnieg zaczął szybko topnieć. Dodajmy do tego fakt, że minął prawie tydzień, a po Sonji Hatchell wszelki ślad zaginął. Wątpił, żeby jeszcze żyła, choć nigdy nie zdradził się ze swoimi myślami przed Lesterem.

Carter jechał krętym odcinkiem drogi, prowadzącej do Falls Crossing, słuchał policyjnego radia, a nadmuch w jego blazerze pracował pełną parą. Dwa razy dziennie kontaktował się z policją stanową w Oregonie. Sparks dbał o to, żeby Carter był ze wszystkim na bieżąco, ale właściwie nie było nic nowego do zrelacjonowania. Nadal nie mieli pojęcia, kim była Jane Doe, nawet po rozszerzeniu listy osób zaginionych; nie mieli też jeszcze domyślnego wizerunku tej kobiety, ani stworzonego komputerowo, ani przez artystę rzeźbiarza. Trop z alginia-nem też nie doprowadził do niczego, ale technicy laboratoryjni znaleźli ślad jeszcze jednej substancji we włosach Jane Doe: maleńki kawałek gipsu. 5 Ale to już było coś. Niewiele, ale coś.

Pierwsze promienie świtu dopiero przebijały się przez oszronione drzewa, rosnące wzdłuż tego odcinka szosy, a na poboczach wznosiły się wysokie zasy. W drodze do miasta minął parę porzuconych samochodów i spotkał pług śnieżny, zmierzający w przeciwnym kierunku, za którym, w niewielkiej odległości, podążała piaskarka. Był okropnie zmęczony, mięśnie miał napięte, i chyba cała kawa na świecie nie byłaby w stanie usunąć znużenia, które nim owładnęło.

Nawet nie mógł spać.

Może to przez tę pogodę.

Może przez Jane Doe i Sonję Hatchell.

A może chodziło o Jennę Hughes, która, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, zawładnęła jego życiem. Studiował list, który dostała, prowadził dochodzenie w sprawie jej zaginionych rzeczy - sprawdził e-Bay, popytał w lombardach w Portland, nawet przejrzał strony internetowe jej fanklubów - ale niczego nie znalazł. Sprawdził wypożyczalnie wideo i sklepy, ściągnął listę klientów, którzy interesowali się filmami Jenny Hughes, ale, jak dotąd, nie miał żadnego podejrzanego. Co gorsza, choć nigdy by się do tego nie przyznał, zaczął o niej śnić. Sceny z jej filmów zdominowały jego noce. Budził się spocony, podniecony, czując się jak kompletny idiota.

Zadzwoił do niej dwa razy. Nie otrzymała więcej dziwnych listów ani nic nie zginęło z jej osobistych rzeczy. Udało jej się załatwić sprawę z alarmem i elektroniczną bramą, która w końcu zaczęła się zamykać.

Wjechał do miasta, gdzie właśnie gasły latarnie uliczne; kolorowe lampki świąteczne żarzyły się na wszystkich sklepach. Kiedy mijał teatr, odruchowo sprawdził, czy nie ma dżipa Jenny. Na przysypanym śniegiem parkingu nie było samochodów, podświetlona reklama informowała, że są jeszcze bilety na premierę sztuki *To wspaniałe życie*, która zostanie wystawiona podczas grudniowego weekendu.

Pod budynkiem sądu zaparkował samochód na zarezerwowanym dla niego miejscu, wszedł do środka, nalał sobie kawy i poszedł do swojego biura, gdzie zabrał się do przeglądania raportów, poczty, e-maili i odsłuchiwanie wiadomości głosowych.

B J pojawiła się około dziesiątej. Wyglądało na to, że jest trochę w lepszym nastroju. Jej córka wraz z całym tym towarzystwem dostała wezwanie do sądu w sprawie wykroczenia, którego dopuścili się, organizując imprezę w Catwalk Point, ale okazało się, że nic wielkiego się nie stało, żaden z imprezowiczów nie miał powiązań z tą zbrodnią, a przynajmniej tak się wydawało, miejsce przestępstwa nie zostało zdewastowane i w żaden sposób nie zaszkodziło to śledztwu. Sparks postanowił potraktować ich łagodnie, młodszym stawiając zarzut wałęsania się po nocy, a starszym, że nakłaniali nieletnich do spożywania alkoholu i zażywania narkotyków. Przekonał jednak prokuratora, by ukarać ich tylko skierowaniem do przymusowych prac społecznych.

Jednak BJ uważała, że dobrze załatwiono sprawę.

- Nikomu nic się nie stało, więc to rodzice powinni zająć się własnymi dziećmi. Megan wie, co z mężem sądzimy o tym.

Carter nie był jednak pewien, czy to odpowiednia taktyka. Pamiętał przesłuchiwanie Josha Sykesa: bezczelny małolat siedział rozparty na metalowym krześle, wojowniczo wystawiając do przodu kozią bródkę.

Prowokował przesłuchujących, nie chcąc mówić. Co Cassie Kramer widziała w tym młodym chuliganie?

BJ zerwała się na równe nogi, wybiegła z gabinetu i wróciła z kubkiem wody, którą wlała do donicy z usychającą rośliną, stojącą w rogu jego biurka.

- Ten kaktus powinien kwitnąć - powiedziała z naganą. - Okaż mu nieco zainteresowania.

- Niedawno go podlewałem - mruknął Carter. - Właśnie dostałem informacje na temat Vincenta Paladina, tego faceta, który nękał Jennę Hughes i w przeszłości.

- No i co?

- Mieszka na Florydzie. Wyszedł na zwolnienie warunkowe. Dobrze się sprawuje i co tydzień odwiedza swojego kuratora. Tego dnia, kiedy list został wysłany z Portland, był w Tampie.

- Mógł mieć współnika.

Carter dokończył kawę, a potem zgniótł w palcach papierowy kubek.

- Nie sądzę... ci maniacy są zwykle samotnikami.

- Czyli wykluczasz go?

- Nikogo nie wykluczam - powiedział szybko.

BJ uniosła brwi.

- Wstaliśmy dziś z łóżka lewą nogą?

- Czyż nie przydarza mi się to codziennie?

- Tak, ale ostatnio stało się to bardziej widoczne.

- Może po prostu wykańcza mnie to zimno.

- W takim razie twój nastrój szybko się nie poprawi. W prognozach zapowiadają jeszcze więcej przyjemności tego typu. Chyba powinniśmy zacząć się do tego przyzwyczajać.

Wieczorna próba okazała się zupełną katastrofą. Dwie aktorki w ogóle się nie pojawiły: jedna nie mogła uruchomić samochodu, druga została w domu, ponieważ pośliznęła się na lodzie i skrzyła nogę w kostce. W sali prób było to zbyt zimno, to zbyt gorąco, w zależności od fantazji pieca, i zaledwie nieliczni pamiętali swoje kwestie. Pianino okazało się rozstrojone, a do tego ciągle jeszcze były problemy ze światłem i nagłośnieniem. Kiedy dwugodzinna próba dobiegła końca i ostatni z kandydatów na aktorów wyszli z teatru, Jenna miała ochotę rwać włosy z głowy. Zgłosiła się na ochotnika w charakterze nauczycielki aktorstwa, ale po dzisiejszym dniu, żałowała swojej decyzji. Dlaczego to zrobiła? Czy była aż taką masochistką? Czy tak bardzo

chciała się wtopić w tę społeczność, że była gotowa zafundować sobie istne tortury przez kolejnych pięć tygodni? Nigdy więcej. Blanche przy pianinie obok sceny zbierała swoje nuty, zaś Lynnetta, szyjąca kostium, siedziała na ławce na końcu sali. Wes i Scott prawdopodobnie na górze pracowali nad niesprawnymi światłami, zaś Jenna, Rinda i Yolanda Fisher siedziały na brzegu sceny, gdzie kiedyś znajdowała się ambona.

- Nie było tak źle, prawda? - zapytała Blanche, wkładając nuty do teczki.

- Było gorzej niż źle - odparła ponuro Rinda. Blanche schowała nuty w skórzanej aktówce.

- Och, zawsze tak mówisz na tym etapie przygotowań do przedstawienia.

- Bo taka jest prawda. - Yolanda Fisher owijała karmazynowym szalem głowę z krótkimi kręconymi włosami. Yolanda, gibka Afroamerykanka, prowadziła lekcje tańca w teatrze we wtorkowe i czwartkowe wieczory, a w ciągu dnia sprzedawała ubezpieczenia. Dzisiaj pomagała im przy próbie. - Było fatalnie.

- Eee! - mruknęła Blanche przez zaciśnięte usta, z których starła się szminka. - Co o tym myślisz, Jenna?

- Że tylko Bóg jest w stanie nam pomóc.

Rinda i Yolanda roześmiały się, nawet Wes, schowany wśród krokwi, gdzie zajmował się światłami, parsknął śmiechem. Lynnetta, którą właśnie skonczyła szyć, zmarszczyła brwi. Także Scott, jeśli w ogóle jeszcze tu był, zachował milczenie. Jenna zerknęła na wysoki sufit z pociemniałymi belkami i niszami po bokach. Kiedyś był tam balkon dla chóru, pomieszczenie dla młodych matek z małymi dziećmi i kilka wbudowanych szaf. Nad balkonem wznosiła się dzwonnica, do której prowadziły schody. Według Jenny ta wysoka wieża już dawno powinna zostać rozebrana.

Blanche prychnęła zdegustowana.

- Jakbyście nie wiedzieli, że tego rodzaju rzeczy po prostu wymagają czasu, prób, prób i jeszcze raz prób. - Nałożyła beret i skórzane rękawiczki.

- Masz rację - zgodziła się Jenna. - Próby są niezbędne. - W duchu pomyślała, że oprócz tego przydałoby się jeszcze trochę więcej talentu i znacznie więcej zaangażowania. Jednak był to teatr amatorski, aktorzy nie dostawali pieniędzy, a dochód ze sprzedaży biletów miał zasilić fundusz remontowy teatru i zapewnić opłacanie reszty personelu.

A zatem nie należało narzekać.

- Zbieram się. Do zobaczenia - powiedziała Yolanda i wyszła szybko bocznymi drzwiami na parking.

Lynnetta wbiła igłę w poduszczyk i przewiesiła sukienkę przez ramię.

- Myślę, że powinniśmy wybaczyć aktorom i ochłonąć. Blanche ma rację. Wszyscy za bardzo się denerwujemy.

- Niestety to prawda - przyznała Rinda. - Dobra, zapomnijmy o tym. Nie wszystko naraz. Zrobimy kolejną próbę za dwa dni. Miejmy nadzieję, że pojawią się wszyscy aktorzy.

- Och, jestem pewna, że tak będzie. - Blanche zdjęła różowe trampki i wsunęła nogi w zamszowe kozaczki obszyte futerkiem. - Trochę wiary! - Uśmiechnęła się ze swojego żarciku. — Och, zdaje się, że te słowa padły już kiedyś tutaj. - Zabrała swoją aktówkę z pianina. - To do zobaczenia pojutrze.

Siódma, tak?

Rinda skinęła głową.

- O ile pogoda dopisze.

- Och, kochana, nie sądzę, żeby pogoda miała nam dopisywać tej zimy. - Blanche uraczyła ich kolejnym uśmiechem, a potem, stukając obcasami o drewnianą podłogę, wyszła z teatru.

- Co z nią jest? - zawołał Wes z góry, a potem zszedł po schodach prowadzących do dzwonnicy.

- Zawsze stara się zachować optymizm - powiedziała Rinda.

Jenna miała mieszane uczucia. Nauczycielka muzyki mieszkała sama z pięcioma kotami w domu z trzema pianinami, pełnym szkła z czasów Wielkiego Kryzysu, wypełnionym książkami. Była mężatką, ale nikt nie wiedział, czy się rozwiodła, owdowiała, czy tylko żyła z mężem w separacji. W zasadzie nie było pewności, czy kiedyś faktycznie istniał jakiś mąż i syn, o którym od czasu do czasu wspominała. Była utalentowana muzycznie i odrobinę ekscentryczna. I, w odczuciu Jenny, wcale nie zawsze zachowywała optymizm.

- Myślę, że wszyscy powinniśmy postarać się o bardziej pozytywne nastawienie. - Lynnetta włożyła sukienkę do małej torby sportowej.

- Dobrze, dobrze. - Rinda odgarnęła włosy z oczu. - Masz rację. To była dopiero pierwsza prawdziwa próba. Potem pójdzie lepiej. - Zerknęła na zegarek. - Cholera! Późno już. Pies siedzi zamknięty w domu przez cały dzień. Muszę lecieć. Scott! - krzyknęła w stronę krokwi. - Jedziemy. - Ponieważ nie było odpowiedzi, Rinda zwróciła się do brata. - Nie było go z tobą?

- Był, ale nie widziałem go od drugiego aktu.

W takim razie pepperoni - powiedziała Jenna. - Niedługo będę.
Wyłączyła telefon i skierowała się na odsnieżone miejsce; zaparkowała pomiędzy czarnym vanem i czerwonym pickupem, który miał tak wielkie koła, że mógłby brać udział w zawodach monster trucków. Ryczało radio, basy dudniły tak głośno, że choć szyby były ledwo uchylone, powietrze aż drgało w rytm hip-hopowej piosenki. W kabinie siedziało trzech chłopaków w bejsbolówkach, z daszkami skierowanymi do tyłu. Śmiali się, rozmawiali i palili papierosy.

Jednym z tych nastolatków był Josh Sykes.

Dobry humor Jenny wyparował. Pomyślała, czy aby z nim teraz nie porozmawiać. Postanowiła jednak nie robić tego, nie upokarzać go w obecności kumpli. Postawiła kołnierz kurtki narciarskiej i szybkim krokiem weszła do środka, gdzie zamówiła pizzę i dietetyczną colę.

Czekając na pizzę, usiadła w jednym z pustych boksów i popijała colę drobnymi łyżkami. Dwa inne boksy były zajęte, ale nikt nawet nie zerknął w jej kierunku. Całkowita anonimowość. Rozkoszowała się uczuciem wolności, jakie za sobą niosła.

Minęło parę minut i do środka wszedł Josh z kumplami, bliźniaczo podobnymi do siebie. Jenna natychmiast straciła spokój.

Jeden z chłopaków, w workowatych dżinsach, z grubymi, złotymi łańcuchami, w kurtce za dużej o jakieś trzy rozmiary, podparł się łokciem o ladę, próbując flirtować z dziewczyną, która przyjmowała zamówienia. Drugi gapił się przez okno, jakby na kogoś czekał. Josh zauważył Jennę i przestał rzucać dowcipami. Ich spojrzenia spotkały się i Jenna widziała, jak przełknął ślinę, zanim znowu przybrał nonszalancką postawę.

Nie mogła sobie odmówić okazji, jaka się nadarzyła. Wstała i podeszła do tego chuligana, chłopaka Cassie.

- Cześć, Josh.

- Cześć - odpowiedział.

- Jak leci?

W jego oczach błysnęła nieufność. Ani trochę nie wierzył w jej przyjazne nastawienie. Więc może nie był aż tak głupi, jak myślała.

- W porządku. Wpadłem po pizzę.

- Ja też. - Spojrzała na jego dwóch kumpli, którzy czekali, co z tego wyniknie. - Może przyjdiesz do mojego boks, żebyśmy mogli porozmawiać. Kupię ci coś do picia.

- Nie chce mi się pić.

- W takim razie po prostu dotrzyмай mi towarzystwa przez parę minut, zgoda?

Bez słowa poszedł za nią do stolika, podczas gdy jego kumple uśmiechali się znacząco. Jenna usiłowała zachować spokój, wiedząc, że jeśli straci panowanie nad sobą, osiągnie tylko tyle, że Josh przyjmie postawę obronną, zacznie się stawiać. Dlatego też, choć krew w niej się gotowała, wskazała mu miejsce, a sama usiadła naprzeciw niego.

- Na pewno nic nie chcesz?

- Nie. - Położył na stole dłonie splecione jak do modlitwy.

- W porządku. Sprawa jest następująca. Wiem, że zależy ci na Cassie, a jej zależy na tobie.

Spojrzał na nią, jakby chciał sprawdzić, czy żartuje. Nie żartowała.

- Więc uważam, że powinieneś opiekować sienią, chronić ją. - Z trudem zmusiła się do wypowiedzenia tych słów, bo nie wierzyła, że istnieją mężczyźni chroniący kobiety. A Josh był najmniej odpowiednim kandydatem na takiego rycerza.

- Tak... - powiedział słabo, jakby nie wierzył w to, co słyszy.

- Wydaje mi się, że chciałbyś dla niej jak najlepiej, a wiesz, namawianie jej, żeby się wymknęła z domu i pojechała na miejsce zbrodni, a potem piła i brała narkotyki... no cóż, to chyba nie jest dla niej najlepsze. - Próbowwała powstrzymać sarkazm, ale trochę ją poniosło.

- Nie robiliśmy nic złego - powiedział, a potem zauważył jej ostrzegawcze spojrzenie i zmienił taktykę. - Chcieliśmy się tylko trochę zabawić, to wszystko.

- Wiem. - Powiedziała, jakby naprawdę mu wierzyła. Problemem polegał na tym, że Josh wykazywał całkowity brak wyobraźni. Zapewne miało to źródło w jego pochodzeniu, w tym, że wychowywał się w rodzinie, która w ogóle się nim nie przejmowała, Josh nie był w stanie wybiec wyobraźni poza rogatki swego miasteczka, nie potrafił zaplanować swojej przyszłości. - Ale rozrywka tego typu, że robicie rzeczy, za które możecie zostać aresztowani, wcale nie jest najlepsza dla Cassie. Dla ciebie też nie. Posłuchaj, będę z tobą szczerą, dobra? Byłam naprawdę wściekła na Cassie i na ciebie, ale staram się nie denerwować, żeby nie zrobić czegoś, czego wszyscy byśmy żalowali. Ponownie uniósł wzrok, a ona uważnie patrzyła mu w oczy, upewniając się, czy ją zrozumiał, czy dotarło do niego, że pod jej słowami kryła się zawołowana groźba.

- Możesz do nas wpadać i odwiedzać Cassie. Możesz ją gdzieś zabrać.

Ale koniec z wymykaniem się po nocach, rozumiemy się? To po prostu jest niebezpieczne, a z pewnością nie chciałbyś narażać Cassie na niebezpieczeństwo.

- Tak... ale...

- Pizza dla pani Hughes - powiedziała dziewczyna zza kontuaru i Jenna szybko się podniosła.

- Dzięki, Josh - powiedziała, zostawiając swój ą ledwie tkniętą colę i oszołomionego Josha. Zmusiła się do godnego Oscara uśmiechu, którym obdarzyła dwóch kumpli Josha, a następnie zabrała tekturowe pudełko i wyszła

z pizzerii Martino.

A więc miała za sobą pierwsze starcie z Joshem; była pewna, że nie ostatnie.

Rozdział 22

Znowu padał śnieg, wirowały płatki rozwiewane przez wiatr. Jenna wdrapała się do swojego dżipa i włączyła silnik. Wyjechała na wstecznym biegu z parkingu i zaryzykowała jeszcze jedno spojrzenie w okno pizzerii. Teraz wszyscy trzej patrzyli na nią przez zimną, oszronioną szybę. Nic dziwnego, że czuła ich spojrzenia świdrujące jej plecy.

Machnęła ręką i z fałszywym uśmiechem odjechała.

- Napaleni, samolubni idioci - mruknęła, a potem w duchu skarciła się za obłudę. Pomyślała jednak, że cel uświęca środki. Chodziło tu o dobro Cassie, o jej bezpieczeństwo.

Mijając gmach sądu, dwupiętrowy, żółtobrazowy ceglany budynek, wzniesiony niemal sto lat temu, zauważyła, że w gabinecie Cartera paliło się światło. Wśród paru stojących na parkingu samochodów odszukała wzrokiem jego chevroleta blazera. A więc był jeszcze w pracy. Słyszała, że od śmierci żony całkowicie poświęcił się pracy. Podobno zginęła w wypadku samochodowym, który zdarzył się podczas innej surowej zimy. Włączyła wycieraczki, bo śnieg sypał coraz bardziej. Kręciła gałką radia, szukając prognozy pogody, ale zamiast niej znalazła zniekształconą zakłóceniami piosenkę Jimmy'ego Buffetta, która przywodziła na myśl gorący piasek, tropikalne wody i wyszukane drinki.

Było to jak obietnica raj.

Nuciła razem z radiem. Zabrzęczała jej komórka. Spodziewała się, że to Allie, która czasami dzwoniła, żeby dowiedzieć się, czy kupiła pizzę.

Otworzyła kłapkę telefonu i zobaczyła na wyświetlaczu numer z Los Angeles.

Robert.

- Słucham? - powiedziała.

Cześć, Jen. - Miękki baryton Roberta przerywały zakłócenia. - Słyszałem.

.. mamy... problem... Cassie dzwoniła... i...

- Robert, nie słyszę cię. Coś przerywa.

- ...cholerna komórka... dzwonię... - Jego słowa zniekształcały trzaski. - Słyszysz mnie?

- ...przerywa...

- Tak, u mnie też. Oddzwonię do ciebie... kiedy dotrę do domu, ze stacjonarnego. Słyszysz?

- ...Cass...

- Nie słyszę cię! - krzyknęła, dojeżdżając do ostrego zakrętu, przed którym nieco zwolniła. Wystarczyło tego, by koła wpadły w poślizg. Zarzuciła ją na przeciwny pas. - Cholera! - Puściła telefon, który spadł na podłogę. Pudełko z pizzą również tam wylądowało. Adrenalina podskoczyła jej gwałtownie; zacisnęła mocniej ręce na kierownicy i udało jej się zapanować nad samochodem. Skręciła z powrotem na swój pas, gdzie na nowo zaczęła się ślizgać.

- O Boże - szepnęła, redukując bieg, żeby zahamować silnikiem. Zabrzęczał telefon, ale zignorowała go, koncentrując się na drodze, oblodzonej wstędze asfaltu.

Śnieg sypał coraz mocniej. Komórka znowu zadzwoniła. Może to znowu Robert? Nieważne. Chciała po prostu dotrzeć do domu cała i zdrowa. Poza tym przyzwyczała się do tego, że jest samotną matką. Już prawie tydzień, jak Cassie została przyłapana na wymykaniu się z domu, a jej ojciec dopiero teraz zechciał łaskawie odpowiedzieć na jej telefon. Co za facet!

Zapanowała w końcu nad dżipem, ale krew ciągle pulsowała jej w żyłach, nerwy miała napięte do ostatecznych granic, kiedy droga zaczęła wić się i opadać, przybliżając do Kolumbii, ciemnego węża zimnej wody, kotłującej się szaleńczo w wąwozie.

Nie mogła się już doczekać, kiedy wróci do domu, rozpali w kominku, spróbuje pysznej pizzy z ciągnącym się serem i pepperoni.

Może weźmie kąpiel i poczyta tę książkę, która leżała w jej szafce nocnej. W lusterku wstecznym błysnęły światła reflektorów.

Dzięki Bogu. Nareszcie nie jest sama. Znalazł się jakiś inny idiota, jadący tą drogą nad rzeką. W pewnym sensie było to pocieszające.

Zerknęła w tył, mrużąc oczy. Tamten samochód doganiał ją, miał włączone długie światła, które ją oślepiały.

Jenna wzięła kolejny zakręt. Jadący za nią samochód został w tyle.

Na prostej drodze znów ją doganiał. Trzymał się zbyt blisko jak na zimowe warunki. Co do cholery? Jenna lekko nacisnęła na hamulec. Ostrzeżenie dla kierowcy, by trzymał się z daleka. Bez rezultatu. Światła reflektorów zamrugały.

Bawił się z nią? Nie zważając na oblodzoną drogę? To jakieś szaleństwo. Serce waliło jej ze strachu. Pomyślała o Joshu Sykesie. Czy chciał ją wystraszyć na śmierć po tym, jak zawstydziła go przed jego kumplami? To jakiś idiotyzm. Tamten samochód był tak blisko, że zupełnie ją oślepił. Jenna zwolniła, mając nadzieję, że facet da sobie spokój. Nie. Uczepił się jej zderzaka, ryzykując stłuczkę.

- Kretyn - wymamrotała Jenna, zaczynając się pocić. Myślała o tych wszystkich ostrzeżeniach przed piratami drogowymi, którzy specjalnie uderzali w tył samochodu samotnej kobiety, zmuszając ją, by zjechała na pobocze. Kiedy ich ofiara zatrzymywała się, żeby ochrzanić faceta i wziąć jego dane, terroryzowali ją bronią i porywali. Potem znajdowano ją zgwałconą lub zamordowaną.

Tylko bez paniki.

Jenna zacisnęła zęby.

Pomyślała o liście, który dostała, o tym wrażeniu, że jest obserwowana, o okropnym fakcie, że ciało jakiejś kobiety zostało znalezione w górach i że inna miejscowa kobieta zaginęła.

Nie, to pewnie jakiś głupi szczeniak - Josh lub jego przyjaciele.

Oblizła usta i znów spojrzała w lusterko.

Facet cały czas jechał za nią.

Przyspieszyła.

On również.

Drzewa i znaki drogowe przemykały obok.

Zwolniła.

Poczuła uderzenie z tyłu.

- Ścisnęła kierownicę, ale dziób wpadł w poślizg. O Boże!

Inny samochód z przeciwka. Jenna błyskała ostrzegawczo światłami, ale samochód przejechał obok. Co robić? Nie mogła się zatrzymać. Łup!

Znowu w nią uderzył. Tym razem znacznie mocniej.

- Sukinsyn - warknęła, gdy dziób zaczął się obracać. Nacisnęła hamulec i weszła w zakręt. Serce waliło jej jak oszalałe, ale koła trzymały się drogi.

Co robić? Nie mogła doprowadzić go prosto do swojego domu.

Biuro szeryfa znajdowało się w przeciwnym kierunku i nie miała dość paliwa, żeby dotrzeć do Troutdale... O Boże! Była niedaleko zjazdu do domu. Nie mogła sięgnąć do komórki, która leżała na podłodze od strony pasażera, pod pudełkiem z pizzą. Nie mogła ryzykować, żeby się po nią schylić.

Ale ten debil za nią nie wiedział tego.

Modłać się, żeby jej podstęp się udał, zdjęła prawą rękę z kierownicy i sięgnęła do torebki. Zerkając na drogę, wyciągnęła małego, czarnego pilota od drzwi garażu. Trzymając go przed sobą, udawała, że wciska klawisze telefonu, a następnie przyłożyła pilota do ucha. Miała nadzieję, że facet w świetle reflektorów zobaczy ją i nie zorientuje się, że to podstęp. Jechała dalej, kiwając głową, poruszając ustami, udając, że rozmawia, i pocąc się jak mysz.

Może ten facet za nią był po prostu kiepskim kierowcą?

Akurat!

Ponownie zerknęła we wsteczne lusterko.

Miała wrażenie, że zwolnił.

Przełknęła z trudem ślinę. Zjazd na lokalną drogę, która przebiegała obok jej domu, znajdował się już za półtora kilometra. Nadal udawała, że rozmawia przez telefon, kiedy droga zaczęła opadać w dół. Jadący za nią samochód pozostawał coraz bardziej w tyle. Ostatni zakręt. Koła lekko pośliznęły się, ale zaraz złapały przyczepność.

Zerknęła w lusterko.

Nic.

Żadnych świateł.

Na razie.

Przyspieszyła, spodziewając się, że za chwilę zobaczy oślepiający blask reflektorów tamtego samochodu.

Ale otaczały ją jedynie nocne ciemności.

Na lokalnej drodze była już sama. Nie widziała za sobą reflektorów i choć wyłączyła radio, nie słyszała warkotu silnika innego samochodu, poza dudnieniem swojego dżipa.

A może jechał za nią z wyłączonymi światłami?

Na tę myśl wstrząsnął ją dreszcz. Mrużąc oczy, wpatrywała się we wsteczne lusterko.

Czy nie miała wrażenia, że ktoś obserwuje ją z wieży teatru? Czy ta sama osoba mogła wyjść z teatru i pojechać za nią? Ale dlaczego?

Żeby ją nastraszyć. Tak jak tamtym listem.

- Co? - Allie podniosła wzrok znad swojego dzieła sztuki.
- Dzwonił tata?
- Dzisiaj? Nie.
- A kiedy indziej?
- Tak.
- Nic nie mówiłaś.
- Zapomniałam.

- Kiedy to było?
- Nie wiem... chyba wczoraj. A może innego dnia.
- Chciał ze mną rozmawiać?

Allie przygryzła wargę i skrzywiła się.

- Tak.

A więc Robert nie był aż takim dupkiem, jak myślała.

- Musisz mówić mi o wszystkich telefonach do mnie, dobrze? Albo zapisuj.
- Dobrze - wymamrotała Allie.
- Aha, co z tym telefonem, który dzisiaj odebrałaś? Kto to był?
- Jakiś facet.

Włosy zjeżyły się jej na głowie.

- Jaki facet? - zapytała.
- Nie wiem. Powiedział, że jeszcze zadzwoni.
- Mówił, czego chce? - spytała Jenna, starając się, żeby w jej głosie nie było słycać strachu.
- Nie. Po prostu chciał rozmawiać z tobą, a kiedy zapytał, gdzie jesteś, powiedziałam, że nie wiem.

Zalała ją fala paniki.

- Zaraz, powiedziałaś obcemu człowiekowi, że jesteś tutaj sama?
- Nie. - Allie pokręciła głową. - Nie byłam sama. Byli tu ze mną Hans, Ellie i Cassie... Więc kiedy zapytał, czy jestem sama w domu, powiedziałam mu, że nie. Nie jestem głupia, mamó.
- Jasne, że nie.

Cassie prychnęła.

- Nigdy nie udzielaj żadnych informacji. Nie nauczyłaś się niczego w Los Angeles, kiedy tamten Paladin prześladował mamę?
- To była inna sytuacja! - upierała się Allie, ale Jenna poczuła nagłe ściskający gardło niepokój. List. Wrażenie, że ktoś ją śledzi... obserwuje. Rzeczy ginące z teatru. - Dlaczego brama nie była zamknięta? - zapytała, usiłując zachować zimną krew.

Znowu jest problem z tym elektronicznym zamkiem. Hans próbował go naprawić - powiedziała Cassie, odkładając magazyn i spoglądając na Jennę, jakby w końcu wyczuła kryjący się w jej głosie niepokój. -O co chodzi, mamó?

- Myślę, że powinniśmy trochę lepiej się zabezpieczyć.

Oczy Cassie zwęziły się.

- Chodzi o to, żebym nie mogła się wymykać, tak? - zaatakowała Jennę.
- Posłuchaj, Cass! Wiesz, że nie pochwałam tego, co robisz. Ale dostałam niedawno bardzo dziwny list...
- Jak bardzo? - zapytała Cassie.

- Wystarczająco.

Allie nagle straciła zainteresowanie pizzą.

- Myślisz, że dzwonił tu ten sam facet, który przysłał ci list? - spytała, ściągając brwi i przygryzając wargę.

- Nie wiem - przyznała Jenna, a następnie przeszła się po domu, zamykając wszystkie drzwi i okna. - Naprawdę nie wiem.

Allie drążyła dalej:

- Jesteśmy tu bezpieczne?

- Oczywiście - odparła Jenna, ale w głębi duszy nie wierzyła w to. Ani przez moment.

Rozdział 23

Musze? -jęknęła Cassie, kiedy Jenna podała jej telefon. Nie miała ochoty dyskutować z ojcem.

- Koniecznie!

Cassie chciała się jakoś wykręcić, ale wybrała numer telefonu ojca i poszła do gabinetu, odwracając się plecami do matki, kiedy Robert odezwał się szorstkim głosem. - Cześć, tato - powiedziała.

- Cześć Cass.

W jego głosie wyczuwało się cień uczucia i Cassie nagle strasznie za nim zatęskniła. Wiedziała, że jako mąż jej mamy był palantem, czasami też nie spisywał się jako ojciec, ale poza nim nie miała nikogo.

- Co się dzieje?

Ścisnęło się jej gardło. Boże, nie chciała go rozczarować. Wzdychając i walcząc ze łzami, powiedziała:

- Chyba nawaliłam. - A potem opowiedziała mu całą historię. Naprawdę całą... no, nie przyznała się, że palili marihuanę i uprawiali seks... Nie chciała go szokować... Ale całą resztę wyznała jak na spowiedzi, łącznie z tym, że się wymknęła z domu, pojechała z Joshem na miejsce przestępstwa i została odstawiona do domu przez szeryfa.

Przez cały ten czas nie odezwał się ani słowem.

- To wszystko? - zapytał, kiedy skończyła.

- Tak.

- Nauczyłaś się czegoś?

- Nie dać się przyłapać? - próbowała żartować, choć po policzkach ciekły jej łzy.

- Hm, myślę, że sama powinnaś wiedzieć, co jest najważniejsze. Daj mamie odetchnąć, dobrze?

- Dobrze. - Pociągnęła głośno nosem. - Myślisz... myślisz, że mogłabym przyjechać do domu?

Cisza.

Serce jej zamarło.

- Na święta?

- Myślałam o...

- Byłoby świetnie! -przerwał jej, zanim zdążyła powiedzieć, że chciała wrócić do Los Angeles na stałe. - Planujemy pojechać na parę dni do domku rodziców Tammy w Tahoe. Od lat nie miałem na nogach nart. Ale mógłbym sprawdzić, czy znalazłby się tam jakiś pokój... - Urwał, a Cassie przełknęła kolejne łzy. Próbował w delikatny sposób wykręcić się od jej wizyty.

Nie powiedział tego, ale przyjazd córki był mu nie na rękę.

- Nieważne, mama i tak pewnie by mnie nie puściła.

- To może podczas przerwy wiosennej... nie, nic z tego. Mam w planach nowy film, w marcu zaczynamy zdjęcia. Jednak może mógłbym znaleźć parę dni, żeby was odwiedzić. Kręcimy w Kanadzie, w Vancouver. Albo wy mogłybyście przylecieć! - Powiedział to z takim entuzjazmem, jakby naprawdę w tej chwili czuł. - Ustalę to z waszą mamą. Obiecuję. No dobrze... tyl-ko nie sprawiaj jej więcej kłopotów.

- Jasne - powiedziała, powstrzymując się przed pociągnięciem nosem; nie chciała, żeby wiedział, jak bardzo cierpiała.

- To co, wszystko jest w porządku?

W porządku? Z choinki się urwał?

- Tak - skłamała. Wcale nie było w porządku. I nigdy nie będzie.

- Czy powinienem porozmawiać z mamą?

- Nie. - Pokręciła przecząco głową, jakby mógł ją widzieć za pośrednictwem kabla telefonicznego.

- Niedługo zadzwonię. Kocham cię... Aha, Allie jeszcze nie śpi?

Powinienem z nią pogadać.

To rozwścieczyło Cassie. Oczywiście, że powinien!

- Zawołam ją. — Weszła do kuchni i mruknęła:

- Tata chce z tobą rozmawiać. - Dała słuchawkę Allie, a potem, zanim ktoś coś powiedział, zanim kompletnie się rozkleiła, pognała po schodach do swojego pokoju, gdzie rzuciła się na łóżko. Nie będzie płakać. Nie, chce, żeby one to usłyszały. A jednak z jej oczu płynęły łzy, gorące i rześiste. Przeszła szybko do swojej łazienki, zamknęła drzwi na zamek i włączyła radio, podgłaśniając tak bardzo, jak tylko się dało. Odkręciła wodę pod prysznicem i w umywalce, a potem przyłożyła wilgotny ręcznik do twarzy,

pozwalając sobie na cichy szloch, wystarczający, by złagodzić trochę cierpienie, ale na tyle cichy, że nikt nie mógł usłyszeć jej bólu. Drań - szepnęła, myśląc o swoim ojcu. Problem polegał na tym, że go kochała. Będzie musiała znaleźć jakiś sposób, żeby zagłuszyć to niedorzeczne uczucie. Tak naprawdę wcale go nie obchodziła. Podczas rozwodu nawet nie walczył o przyznanie mu prawa do opieki nad nią. Co za mięczak! Pociągając nosem, tarła oczy. Robert Kramer nie był wart tego, żeby tak się zadreęczała.

A co z Joshem? Czy on był wart?

Gdyby nadal mieszkała w Los Angeles, to czy w ogóle zwróciłaby uwagę na takiego chłopaka jak Josh Sykes? Może raczej uważałaby, że lepiej go unikać?

- O Boże! Nie wiem.

Powinna była sobie przypomnieć Mike'a Cavaletti, Noela Feddersona, Brenta Eldersa...

Potajemnie wdychała do nich, kiedy jeszcze mieszkała w południowej Kalifornii. Opalem, inteligentni, uprzywilejowani, skazani na sukces...

- Snoby - mruknęła pod nosem.

Tak jak ona. Czy w głębi duszy nie jest jedną z nich? Czy chciałaby, żeby znajomi z Los Angeles zobaczyli ją z Joshem wysoko w górach, na śniegu, I w miejscu przestępstwa? A potem w samochodzie szeryfa, który odwiózł ją do domu jak jakąś kryminalistkę?

- Cholera jasna! - powiedziała, nagle wściekła na swoją sytuację, rodzinę i cały pieprzony świat. Rozebrała się i weszła pod prysznic. Miała dość matki, która mówiła jej, co ma robić, siostry, która zachowywała się jak idiotka, ojca, który ich unikał, i Josha, który wywierał na nią presję, by robiła rzeczy, na które niezbyt miała ochotę.

Był najwyższy czas, żeby zajęła się sobą. Do diabła z innymi. Kiedy przychodziło co do czego, okazywało się, że nikt jej nie zna, nie rozumie i tak naprawdę nie dba o nią. Nawet Josh. Zwłaszcza Josh!

Od tej pory to ona będzie *numero uno*.

Ostrożnie wycelował lornetkę w ranczo. Siedział w swojej kryjówce wysoko wśród oszronionych gałęzi i ustawiał ostrość. Brama była zamknięta, dom oświetlony. Jenna z dziećmi siedziała w kuchni. Niepokoiła się. Spoglądała ukradkiem na zewnątrz, a potem pozamykała okiennice, zasłaniając mu widok. Nie mógł nic na to poradzić.

Nie przeszła obok żadnego jasnego okna, była dla niego niewidoczna.

Wezbrał w nim gniew.

Nie zamykaj się przede mną.

W myślach powrócił do przeszłości, rozpamiętując wszystkie mroźne zimy i zatraskiwane przed nosem drzwi. Nawet po tym „incydencie”, jak to zostało później określone, drzwi były przed nim zamknięte.

- Mamó, nie! - powiedział głośno, zaskakując tym samego siebie.

Drżał, przypominając sobie ohydny dźwięk pękającego lodu. On i Nina szli przez zamarzniete jezioro, skrzące się srebrem w świetle księżyca, pod rozświetlonym migoczącymi gwiazdami niebem. Nie zwracali na nic uwagi, istnieli tylko oni. Czuł ciepło jej gołej dłoni przez swoją rękawiczkę, widział falbany jej nocnej koszuli, falujące wokół białych kostek. Jej czarne włosy były rozpuszczone, a oczy obiecywały rozkoszne, jakie tylko mógł sobie wyobrazić. Całowali się. Dużo. Ujrzał przelotnie jej pierś przez rozcięcie w koszuli nocnej... małą... krągłą... z uroczą, ciemną brodawką, stwardniałą pod wpływem zimna.

- Chodź ze mną - powiedział wcześniej po tym, jak zapukał w okno jej sypialni. Otworzyła je natychmiast i wysunęła się na zewnątrz, zostawiając swoją młodszą siostrę, pochrapującą na górze piętrowego łóżka. Uciszyła go bez słowa, przykładając palec do jego ust, a on uśmiechnął się, zaczekał, aż włożyła obszyte futerkiem kapcie, a potem wziął ją za rękę i poprowadził szybko do lasu.

Razem biegli przez śnieg... z dala od wściekłych spojrzeń, gniewnych słów i razów ciężkich rąk, spadających zniecka i niezasażenie.

Nocne powietrze było świeże i zimne, nieskażone smrodem stęchłego oddechu, dymu papierosowego, nie do końca opróżnionych butelek whisky. Prowadziły ich gwiazdy i światło księżyca.

Byli wolni. Choć tylko do świtu.

Nie obchodziło go, że mieli mało czasu, liczyło się tylko to, że byli razem.

Młodzi. Silni.

- Chodź, Nina - namawiał ją, ciągnąc za rękę. A ona roześmiała się. Był to najczystszy ton, jaki kiedykolwiek słyszał, dźwięczny, niosący się przez nocny las. Dotarli do brzegu jeziora i weszli na grubo lód. Pośliznęła się, ale ją złapał, trzymał mocno w ramionach, serce waliło mu jak młotem, co było równie radosne i przerażające.

Poza delikatnym szumem wietrzyku noc była cicha i spokojna. W paru położonych wśród lasu chatach paliły się światła, przy najbliższym pomoście tkwił w lodzie zapomniany kajak. Dotknął jej włosów, wpatrując się w tę cudowną twarz.

Odrzuciła do tyłu głowę, przekomarzając się z nim:

- Założę się, że mnie nie złapiesz. Uścisnął ją.

- Już cię złapałem.

- Nie na długo. - Śliska jak węgorz, oswobodziła się z jego objęć i zaczęła uciekać; jej stopy się ślizgały, czarne włosy rozwiewał wiatr.

- Czekaj! - zawołał, ale zignorowała go, oddalając się coraz bardziej od zasypanych śniegiem brzegów. Wiedział, że to może być niebezpieczne. Matka często ostrzegała go, żeby nie wchodził na lód. Ale tej nocy jezioro było jak magia. Czarna magia.

Oczywiście złapał ją, a ona, roześmiana i przemarznięta na kość, szamotała się w jego ramionach. Serce waliło mu jak oszalałe, kiedy przyciągnął ją mocniej, wpatrując się w jej oczy, w których odbijała się noc.

- Pocałuj mnie - rozkazała, przyciągając jego głowę. Zimne usta dotknęły jego warg, burząc krew w żyłach. Jej język naparł na jego zęby, prześliznął się między nimi, dotknął języka.

Jęknął. Stracił panowanie nad sobą. Zadarł jej koszulę nocną, napięcie, które nagle pojawiło się między jego nogami, domagało się zaspokojenia. Na początku pomyślał, że ten dziwny dźwięk to odgłos krwi gwałtownie pompowanej jego żyłami, głośne bicie serca. Ale się mylił. Napięły się instynktownie, kiedy usłyszał niesamowity pomruk. Złowieszczy, ledwie słyszalny trzask, który wysłał ostrzeżenie do jego mózgu.

Uniósł głowę. Do brzegu było jakieś sto pięćdziesiąt metrów. Kiedy zdążyli oddalić się od niego tak bardzo?

- Nie ruszaj się - szepnął, drżąc. - Może to ustanie.

Ale wiedział, że tak nie będzie.

Rozległ się kolejny, głęboki pomruk, rozbrzmiewający echem w jego sercu. Aż zjeżyły mu się włosy.

- O Boże!

- Co to?

Byli zbyt daleko od brzegu. Zbyt daleko.

- Szybko! - rozkazał, kiedy następny, trzeszczący dźwięk rozległ się w jego mózgu. Wtedy poczuł, że lód przesuwają mu się pod nogami. Złapał ją za rękę. - Biegnij! - wrzasnął, przekrzykując głośniejszy, ostrzejszy trzask, dźwięk gwałtownie pękającego lodu.

- Dlaczego? O Boże!

- Biegnij!

- Nie mogę! - W kapciach ślizgała się na szklanej tafli. Złapał ją za rękę i pociągnął w stronę brzegu. Była ciężka jak kłoda, spowalniała ucieczkę, ale nie zwracał na to uwagi. Biegł coraz szybciej, jego nogi również się ślizgały. Kierował się do swojego domu, gdzie, jak widział pomiędzy pozbawionymi liści drzewami, w oknach jarzyło się ciepłe światło, czuł

zapach dymu ulatującego z komina, słyszał śmiech i muzykę, a na zaśnieżonym podjeździe zauważył jakiś samochód.

Nina płakała, jej strach znajdował ujście we łzach.

- Dalej - dopingował ją, szarpiąc mocno za rękę, zmuszając ją, by biegła.

Odwrócił się w stronę domu. - Mamo! - krzyknął tak głośno, że jego głos odbił się echem od powierzchni lodu. - Mamo! Pomocy!

Tafla lodu przesunęła się pod nim.

Ręka Niny wysliznęła się z jego odzianej w rękawiczkę dłoni. Jej przerażony pisk rozciął czerń nocy. Trzask!

Lód pod ich nogami rozstał się.

A on zobaczył wielką, ziejącą szczelinę, która przemieszczała się w ich kierunku, jakby chciała ich połknąć. Jej celem była Nina. Nina cofnęła się, próbowała uciekać.

- Szybko! - Podpełzł w jej stronę. Szczelina rozszerzyła się do rozmiarów bezdennej otchłani i Nina - piękna, ufna Nina - krzyząc straszliwie, wpadła do wody z obrzydliwym, mrozącym krew w żyłach pluskiem.

- Nie! O Boże, nie! - Rzucił się do miejsca, w którym zniknęła, wpatrując się w mroczną, lodowatą głębinę, słysząc, jak wokół pęka lód. Nie mógł jej dostrzec. Bez namysłu skoczył w ciemną, ziejącą dziurę. Wchłonęła go zimna woda, dusząc, ściągając w dół lodowatymi, okrutnymi mackami. Zanurzył się, przeszukując ponure, ciemne wody jeziora. Dusił się z braku powietrza. Nic nie widział, cały się trząsł.

Gdzie jesteś? Nina...

Pływając rozpaczliwie wkoło, wypatrywał jej, jej koszuli nocnej, czegokolwiek. Szukał jej, choć wiedział, że sam może zginąć.

Z jego nosa uchodziły bąbelki powietrza. Zimna woda wdierała się do gardła. Rzucił się ku górze, kierując się do szczeliny w lodzie. Kiedy jego głowa wynurzyła się z wody, kaszał, prychał, pluł.

- Nina! - wychrypiął w tej lodowatej ciemności. - Nina!

Nic.

Nigdzie nie słyszał jej słodkiego głosu.

Rozejrzał się po jeziorze, ale nie dostrzegł znaku życia. O Boże, ona ciągle tam była. Zamarzała. Tonąła. Umierała.

Ponownie zanurkował głęboko w atramentowe ciemności. Upływały kolejne sekundy, a on nic nie widział przez tę mulistą wodę. Jakie były szanse, że ona przeżyje? Jak długo człowiek mógł przebywać pod wodą w prawie zerowej temperaturze? Czy były jakieś kieszenie powietrzne, pomiędzy wodą a lodem? W jego oszalałym mózgu pojawiały się kolejne,

wyraźne obrazy Niny, kiedy pływał przerażony, a płuca paliły go żywym ogniem.

Coś śliskiego otarło się o niego; odepchnął to nogą, zanim pomyślał, że mogła to być Nina.

Zmusił się, żeby zanurkować głębiej, przeszukiwał nieprzeniknioną ciemność. Zdawało mu się, że słyszy w oddali głosy. Płuca omal mu nie pękły, odczuwał straszliwy ból, ale nie mógł jej tu zostawić. Nie mógł. Gdzie jesteś?

Wypuścił bańkę powietrza, próbując przeniknąć wzrokiem niezgłębioną czerń. Zobaczył białe palce... rękę... sięgnął po nią, a potem uświadomił sobie, że były to jego własne, zdrętwiałe palce, unoszące się przed nim w wodzie. Zgniataty go masy wody, płuca paliły, kiedy poczuł, że o jego nogę znowu się coś otarło. Co to było? Co to było, do cholery? Nina?

Czy... czy coś... Nie mógł myśleć, tracąc powoli kontakt z rzeczywistością.

Wypuścił powietrze i mocno poruszył nogami, żeby wypłynąć na powierzchnię.

Łup!

Uderzył boleśnie głową taflę lodu.

Z płuc uleciały resztki powietrza.

O Boże! Był uwięziony!

Wypuszczając ustami bąbelki powietrza, macał rękami, próbując znaleźć jakąś szczelinę w lodzie. Wokół niego wirowała ciemność. Zachłysnął się i woda wypełniła jego płuca. Rzucając się rozpaczliwie, usłyszał ponownie trzask i lód nad jego głową rozdzielił się.

Kaszłąc, krztusząc się i prychając, wynurzył się, z wymiotował wodą i złapał się brzegu ostrej białej skorupy.

Słyszał głosy... odległe głosy... aniołów... Czy demonów? Kręciło się mu w głowie, głosy były stłumione, dalekie.

Rozległ się krzyk. Rozdzierający dźwięk, który przewiercił mu mózg.

Wyrzucił z siebie więcej wody, a potem zobaczył światło, zmierzające w jego stronę. Po czym czerń zasnuła jego umysł.

Był pewien, że umrze, i pogodził się z tą myślą.

Ale Bóg pozwolił mu przeżyć. Jakimś cudem został oszczędzony.

Teraz, gdy patrzył, jak pada deszcz ze śniegiem, a błyszczący lód pokrywa gałęzie olbrzymiej jodły i podłogę jego kryjówki, ogarnęły go ten sam mrok i wściekłość, które towarzyszyły mu przez minione lata. Dlaczego ocalał?

Dlaczego Nina zginęła?

Obudził się w szpitalnym łóżku i szybko zdał sobie sprawę, że jest obwiniany o śmierć Niny. Widział to w nieszczęśliwym spojrzeniu matki, wyczuwał z zachowania się policjantów i psychologów, którzy z nim rozmawiali.

Choć nie postawiono mu formalnych zarzutów, na zawsze został uznany za winnego przez wszystkich, których znał.

I przez siebie.

Czy nie zwabił jej tam?

Czy nie chciał jej mieć dla siebie?

Czy nie poczuł delikatnego dreszczyku podniecenia na myśl, że to przez niego, przez swoją miłość do niego, ona straciła życie?

Czy mógł ją ocalić?

Prawdopodobnie nie.

Ale kiedy te małe paluszki otarły się o jego kostkę, a teraz był przekonany, że to właśnie jej dotyk wtedy poczuł, dlaczego wynurzył się na powierzchnię, zamiast sięgnąć w dół? Co by go kosztowały te dwie dodatkowe sekundy?

Jego życie?

Wiedział swoje.

Ona zginęła przez niego.

Uśmiechnął się. Zmienił ostrość w lornetce. Chłodzące kryształki lodu osiadały na jego twarzy, kiedy obserwował dom Jenny Hughes ze swojej kryjówki.

Nina była pierwszą, która oddała życie. Próbował zagłuszyć to uczucie triumfalnego rozradowania, kiedy uświadomił sobie, że ma władzę nad życiem i śmiercią. Próbował odczuwać smutek. Starał się wywołać poczucie winy. Ale to szybko minęło.

Obiecał sobie, że nigdy więcej nie będzie kochać.

A potem zobaczył Jennę Hughes.

Wystarczył ułamek sekundy, żeby już wiedział.

Ona była tą jedyną.

Od tej chwili wszystkie pozostałe kobiety z jego życia wydawały się nic nieznaczące. Łącznie z Niną. Biedna, ufna mała Nina.

Piękna.

Jak pozostałe.

Sięgnął do kieszeni i dotknął palcami rękawiczkę, którą ukradł... małą, czarną, skórzaną. Te rękawiczki, Jenna, jako Annę Parks, nosiła w *Odkupieniu*.

Zamknął oczy, przypominając sobie scenę, kiedy Annę, ubrana w śliski, czarny stanik, stringi, mając te same rękawiczki i ozdobną obrozę na szyi, zabrała się do swojego kochanka. Leżący na łóżku kochanek spodziewał się

delikatnej, erotycznej gierki, a skończyło się na tym, że doświadczył erotycznej śmierci.

Doskonale.

Opuścił lornetkę, która zawisała mu na szyi, i zamknął oczy, kiedy wiatr złożył na jego karku zimny pocałunek. Powoli rozpiął rozporek. Myślał o Jennie. Myślał o lodowatej, zachłannej wodzie jeziora. Krople marznącego deszczu spływały po jego twarzy.

Powoli wsunął penis w rękawiczkę.

A potem wyobraził sobie, że klęczy przed nim Jenna Hughes.

Rozdział 24

To był długi dzień. Długi tydzień. Wycieraczki jego blazera zgarniały śnieg padający z nocnego nieba, a reflektory przecinały ciemność, oświetlając warstwy śniegu i lodu, pokrywające drogę.

Z jednej strony drogi wyłaniały się stuletnie jodły, wycelowane w pozbawione gwiazd nocne niebo, wysokie i złowieszcze, łapały płatki śniegu w swoje ogromne gałęzie; po drugiej stronie, pokryta krą, ociążała Kolumbia płynęła wolno na zachód. W rogach przedniej szyby gromadził się śnieg i kryształki lodu, zaś w środku na szybach osiadała para, ponieważ nadmuchi już nie wystarczał.

Kiedy przejechał wąskim mostem łączącym brzegi Pious Creek, zadzwoniła komórka.

- Carter - powiedział przez telefon.

- Tu Sparks.

- Mam nadzieję, że masz dobre wieści.

- Na to wygląda. Nie tylko mamy kompletny portret kobiety znalezionej w Catwalk Point, ale być może udało się nam ustalić jej tożsamość.

Carter zacisnął dłonie na kierownicy.

- Myślimy, że zaginioną kobietą może być Mavis Gette.

Nazwisko to nic nie mówiło Carterowi.

Mavis Gette.

Już nie Jane Doe.

- Dwadzieścia osiem lat. Ostatnie znane miej sce zamieszkania Yorba Linda w Kalifornii - powiedział Sparks. - Typ samotnika. Nie utrzymywała kontaktów z rodziną, żadnych bliskich przyjaciół... Jeszcze raz sprawdzamy to z kuzynką, która mieszka w Portland, możesz w to uwierzyć? Już zeskanowała i przesłała e-mailem dwie fotografie Gette, jakie

miała. Nie są najlepszej jakości, ale podobieństwo do naszego, sporządzonego komputerowo Portretu jest uderzające. Do rana powinniśmy dostać faksem dokumentację stomatologiczną, choć potwierdzenie jej tożsamości na tej podstawie będzie trudne z uwagi na spiłowane zęby... Skoncentrujemy się na strukturze szczęki, brakujących zębach, jakichkolwiek pozostałościach po interwencji stomatologicznej. Ostatni raz widziano ją zeszłej zimy. Z kuzynką rozmawiała pod koniec stycznia.

- I nikt nie tęsknił za nią od tamtej pory?

Ta rozmowa telefoniczna nie była przyjemna. Gette nie miała pracy i po raz kolejny prosiła o pieniądze. Kuzynka - Georgina Sharpe - odmówiła, pokłóciły się. Sharpe podała nam nazwiska paru znajomych Gette i innych członków rodziny, ale jak dotąd rozmawialiśmy tylko z ciotką. Nie widziała jej ani nie miała od niej żadnych wieści od blisko roku.

Carter poczuł lekkie podniecenie. Jak zawsze, kiedy pojawiała się szansa, że sprawa ruszy z miejsca.

- Gdzie była Mavis Gette, kiedy dzwoniła do kuzynki?

- Kuzynka nie jest pewna, ale myśli, że Gette podróżowała stopem z Kalifornii po 1-5.

- Stopem?

- No cóż, nie była zbyt mądra. Porzuciła szkołę w drugiej klasie liceum i na tym zakończyła edukację. Według Sharpe Gette chyba powiedziała, że dotarła do Medford. Sprawdzamy teraz wszystkie połączenia przychodzące Sharpe, żeby ustalić, skąd dokładnie Gette dzwoniła. Skontaktowaliśmy się też z jej ostatnim pracodawcą, właścicielem motelu w Yorba Linda, gdzie była pokojówką. Kontaktujemy się ze wszystkimi, którzy ją znali. Ostatnio była samotna, ale miała dwóch nieudaczników mężów i wielu chłopaków, niektórych z kryminalną przeszłością. O wszystkim będę cię powiadamiał na bieżąco.

- Możesz przesłać mi e-mailem jej portret?

- Już wysłany. Razem z raportem.

Carter zwolnił przed zakrętem i patrzył zmrużonymi oczami na drogę.

- Zakładam, że sprawdzacie tę Sharpe.

- I jej męża. Była księgową w prywatnym przedsiębiorstwie przewozowym. Właścicielem firmy jest jej mąż.

- A Gette podróżowała stopem.

- Tak, sprawdzamy wszystkich jego kierowców, ale chyba posuwamy się tu za daleko, biorąc pod uwagę fakt, że jego żona sama do nas zadzwoniła,

- Chyba że to ona jest podejrzana.

- Zobaczymy. Rozmawiałem już z FBI, a kalifornijska policja stanowa

przeszuka rzeczy Gette, których nie zabrała z mieszkania, kiedy się wyniosła. Minęło już jednak sporo czasu i właścicielka mieszkania mogła wszystko sprzedać lub wyrzucić. Nie wiązałem z tym zbyt wielkich nadziei, ale kto wie? Jak tylko potwierdzimy jej tożsamość, zrobimy konferencję prasową. Może zgłosi się ktoś, kto będzie w stanie udzielić nam jeszcze jakichś informacji.

- Miejmy taką nadzieję - powiedział Carter. - Zamierzam porozmawiać z Lesterem Hatchellem, sprawdzić, czy Sonja znała tę kobietę.

- Nadal myślisz, że te sprawy są ze sobą powiązane?

- Może tak, może nie.

- Nie zaszkodzi sprawdzić — zgodził się Sparks. Rozmawiali jeszcze przez kilka minut, a potem Carter się rozłączył. Rozważał różne możliwości. Nie wymyślił nic nowego, ale po raz pierwszy poczuł, że brnąc przez ruchome piaski, znaleźli wreszcie jakieś oparcie dla stóp.

Kilka minut później był w domu, ściągnął rękawiczki, kurtkę, buty, dorzucił do ognia i zasiadł przed komputerem. Załogował się, sprawdził swoją pocztę, wśród której znalazł e-maile od Sparksa. Otworzył wszystkie załączniki, raport i komputerowy portret pamięciowy Mavis.

Była piękną kobietą.

Regularne rysy, wysokie kości policzkowe, mocny podbródek...

Została zredukowana do szkieletu, upchniętego w wydrążonej kłodzie.

Dlaczego?

Kto jej to zrobił? Psychopata, na którego natrafiła, podróżując autostopem? Może ktoś, kogo znała? Obejrzał zdjęcia przesłane przez jej kuzynkę i stwierdził, że są bardzo podobne do wygenerowanego komputerowo obrazu. Widniała na nich kobieta dwudziestoparoletnia, z ponurą miną, dużymi oczami i niesfornymi, brązowymi włosami.

- Co się z tobą stało? - wymamrotał Carter, wpatrując się przez kilka sekund w jej zdjęcie, a następnie poszedł do lodówki i wyciągnął puszkę piwa z plastikowej zgrzewki. Otworzył je z charakterystycznym trzaskiem, napił się i ponownie zasiadł za biurkiem. Piec w końcu zaczął grzać i zrobiło mu się całkiem ciepło. Kliknął w informacje o Sonji Hatchell i skopiował jej zdjęcie. Nie był może wybitnym specjalistą, ale znał się na komputerach na tyle dużo, żeby wiedzieć, jak wyciąć, wkleić, powiększyć, zmniejszyć i ustawić zdjęcia obu kobiet obok siebie. Nie potrafił nałożyć ich na siebie, ale nie musiał tego robić. Podobieństwo było ewidentne, jeśli chodziło o twarze. Zajrzał w ich dane. Okazało się, że Sonja miała metr sześćdziesiąt dwa wzrostu, Mavis była o centymetr wyższa - na tyle samo eksperci oszacowali wzrost Jane Doe. Sonja była szczupłej budowy, ważyła pięćdziesiąt

kilogramów. Z ostatniego prawa jazdy Mavis Gette, wydanego przez stan Kalifornia, wynikało, że ważyła pięćdziesiąt dwa kilogramy. Prawie tyle samo.

Mniej więcej takiego wzrostu i wagi była Jenna Hughes.

Nie było jednak żadnych dowodów łączących Jennę Hughes z Jane Doe czy Sonją Hatchell.

- Nie mogę znaleźć tej fajnej bransoletki - narzekała Allie, jedząc śniadanie.

- Jakiej bransoletki? - Jenna siedziała przy biurku w gabinecie, szukając w Internecie jakiejś firmy ochroniarskiej. Dzwoniła już do trzech, ale żadna z nich nie była w stanie przysłać nikogo, kto by natychmiast założył jej nowy alarm. Byli zawałeni robotą. Wczoraj rozważała nawet zatrudnienie ochroniarza, zgodnie z sugestią szeryfa Cartera. Dzisiaj jednak była przekonana, że idiotą, który jechał za nią, był Josh Sykes, choć nie mogła tego udowodnić. Nie mogła też pozbyć się wrażenia, że jest obserwowana, a te wszystkie rzeczy psują się naraz na ranchu niezwykłym zbiegiem okoliczności.

- No wiesz której - marudziła Allie.

Jenna cofnęła się z krzesłem, tak że widziała teraz kuchnię, gdzie Allie smarowała bułeczkę masłem orzechowym.

- Tej z czarnymi i białymi koralami, takiej rozciągającej się.

- Chodzi jej o sztuczne perły - wyjaśniła Cassie. Była do tej pory w swoim pokoju, sprząając ten wieczny bałagan. Teraz zносиła na dół plastikowy worek pełen śmieci w jednej ręce, a w drugiej trzymała chwiejny stos talerzy i kilku szklanek.

- Myślę, że jest w mojej szkatułce z biżuterią, tej w szafie. - Jenna weszła na kolejną stronę firmy ochroniarskiej.

- Nie, nie ma. Już sprawdzałam.

- Jesteś pewna?

- Tak! - Allie podniosła głowę, najwyraźniej zezłoszczona, że matka jej nie wierzy. Wszystkie były podenerwowane. Uwięzione w domu czekały na osłabnięcie śnieżycy. Cassie była w złym humorze, bo nadal miała szlaban, a rozmowa telefoniczna z ojcem w niczym jej nie pomogła. Jak zawsze za wszystko winił Jennę. Po skończeniu tej rozmowy czuła się bardziej sfrustrowana niż kiedykolwiek. Nawet Allie, której pokazała słuchawkę, wydawała się jakaś przygaszona.

- Chciałam ją założyć, idąc do Dani - powiedziała Allie. Jakby Dani Settler, ta chłopczyca, mogła coś takiego zauważyć.

- Poczekaj, może ja jej poszukam. - Jenna poszła na górę do swojego pokoju i przeszukała szkatułkę z biżuterią. Bransoletki tam nie było, sprawdziła więc inne pudełko, w którym przechowywała rzadko noszoną sztuczną biżuterię. Nic. Gdzie się podziała? Ostatnim razem użyła jej w charakterze gumki do zebrania włosów, ale pamiętała, że odłożyła ją na miejsce. Oczywiście dziewczynki mogły ją sobie „pożyczyć”, ale jeszcze w zeszłym tygodniu chyba widziała ją w szkatułce.

Marszcząc brwi, przeszukiwała swoje pokoje, nawet zajrzała do pokoi dziewczynek i sypialni gościnnej na górze. Poszła też na strych, gdzie czasami bawiła się Allie. Nadal nic.

Codziennie zapodziewały się różne rzeczy, ale Jenna nie mogła pozbyć się męczącego ją uczucia niepokoju. Po raz kolejny zaginęło coś, co miała na sobie w jednym ze swoich filmów - w tym przypadku jako Marnie Sylvane w *Końcu lata*. Może miało to jakieś znaczenie, może nie. Wróciła do swojej sypialni. Przyjrzała się półkom, parapetom, szafkom nocnym. Wszystko było na swoim miejscu, poza bransoletką.

Chciała już zadzwonić do swojej sprzątaczkii Estelli, ale nie zrobiła tego.

Nic wielkiego się nie stało. Po prostu zginęła kolejna rzecz... nie, nie zginęła, zawieruszyła się. Znajdzie ją w końcu. Czuła narastający ból głowy.

Poszła do łazienki, wzięła trzy ibuprofeny, popiła szklanką wody i wróciła do sypialni. Choć nie miała tego w zwyczaju, otworzyła szufladę szafki nocnej, gdzie znalazła wszystkie rzeczy, które zawsze tam trzymała latarkę, małą paczkę chusteczek higienicznych, książkę, którą czytała. Potem spojrzała mi drugą nocną szafką, z której nigdy nie korzystała, po drugiej stronie łóżka. Na wszelki wypadek zajrzała do środka.

Serce podskoczyło jej do gardła.

- Jezu! — szepnęła.

W szufladzie leżała koperta.

Zaadresowana do niej.

Tymi samymi wielkimi literami, które widziała wcześniej.

Identyczna z kopertą, którą otrzymała pocztą parę dni temu.

Przełknęła z trudem ślinę. Od jak dawna tu leżała? Jak się tu dostała? Czy osoba, która to napisała, była tutaj? W jej domu? W jej sypialni?

Zimny pot pojawił się między jej łopatkami, z całych sił powstrzymywała się, żeby nie krzyknąć. Strach przyprawił ją o gęsią skórę.

— Ty sukinsynu — mruzczała pod nosem. — Nie możesz mi tego zrobić...

Nie pozwolę ci. - Ale w środku była przerażona. Roztrzęsiona.

Ostrożnie, za pomocą chusteczki, wzięła białą kopertę z szuflady i otworzyła ją paznokciem. Ze środka wypadła pojedyncza kartka. Kolejny wiersz. Nałożony na kolejne zdjęcie. Promocyjne zdjęcie *Świadka*.

Jestem prawdziwym mężczyzną.

Spragnionym. Silnym. Gotowym.

Jestem jedynym mężczyzną.

Wiem. Obserwuję. Czekam.

Jestem twoim mężczyzną.

Dziś. Jutro. Zawsze.

Przyjdę po ciebie.

Rozdział 25

Nie czekając, aż sekretarka ją zapowie, Jenna wtargnęła do gabinetu szeryfa Shane'a Cartera i opadła na krzesło.

- Potrzebuję pomocy - powiedziała. Musiała coś zrobić i to natychmiast. - A jeśli pan nie może mi pomóc, proszę skierować mnie do kogoś innego. Dostałam kolejny list.

- Co takiego?

- No właśnie. Mój wielbiciel znowu dał o sobie znać. - Usiłowała mówić lekkim tonem, ale nie potrafiła ukryć strachu, który ścinał jej krew w żyłach. Pomyśleć tylko, że ten człowiek był w jej własnym domu. W jej sypialni. Drżała, wyjmując z torby plastikową torebkę, w której schowała ten obrzydliwy wiersz. Rzuciła ją na biurko Cartera. - A wczoraj wieczorem ktoś usiłował zepchnąć mój samochód z drogi i zginęło mi z domu jeszcze parę rzeczy, pamiątek z planu filmowego. Co chwila coś się psuje i nie wiem, czy ktoś usiłuje mnie zastraszyć, czy może to ja popadam w paranoję... O Boże! - Odgarnęła włosy z oczu i westchnęła głęboko.

- Może pani zacząć jeszcze raz od początku? - Odchylił się w fotelu, patrząc na nią sponad splecionych palców, którymi podparł brodę. Minę miał ponurą, usta zaciśnięte, ale pomyślała, że po raz pierwszy, odkąd zostali sobie przedstawieni, widzi w jego oczach cień współczucia.

- Proszę chwilę poczekać. - Sięgnąwszy do telefonu, nacisnął guzik interkomu i powiedział: Jerri, bądź tak dobra, przynieś pani Hughes filiżankę kawy albo wodę mineralną. - Uniósł gęste brwi i spojrzał na nią, żeby sama sobie coś wybrała.

- Wszystko mi jedno. Cokolwiek...

Usiłowała zrozumieć, dlaczego dostaje te listy. Czemu ktoś miałby ją prześladować w spokojnym, małym Falls Crossing... Chociaż w ciągu ostatnich

paru tygodni wcale nie było tu tak znów spokojnie. Przyjechał za nią z Los Angeles, czy też gdzieś w tym małym miasteczku natknęła się na tego świra, którego nawet nie zauważyła?

- Bezkofeinową, Jerri - powiedział Carter i skrzywił się, słysząc jej odpowiedź. — Zapamiętam to sobie. Aha, i nie łącz żadnych rozmów... Dobrze, wiem nie dotyczy to nagłych wypadków. Niech ci będzie, jeśli zadzwonią, łącz Sparksa, Messengera i wszystkich ze stanowego laboratorium kryminali- stycznego, zwłaszcza gdyby się odezwał Merline Jacobosky. Całej reszcie mów, że oddzwonię... - Wyłączył interkom i spojrzał badawczo na Jennę. - A te raz, pani Hughes, proszę mi to wszystko opowiedzieć jeszcze raz. Powoli.

- Dobrze. - Zrobiła jak, jak prosił. Wiedziała, że Carter odpowiada za całe hrabstwo, że gubernator usiłuje namówić władze federalne do ogłoszenia na tym froncie stanu klęski żywiołowej. Zebrała myśli i opowiedziała wszystko, co zdołała sobie przypomnieć. Przeczytała list, nie wyjmując go z plastikowej torebki, i zachmurzył się, a zmarszczki w kącikach jego oczu pogłębiły się wyraźnie.

- Już zdecydowałam się pójść za pana radą - powiedziała, kończąc swoją relację. - Zadzwoiłam do kilku firm, szukając ochroniarza i kogoś, kto mi wymieni system alarmowy. Niestety, przy tej pogodzie i biurokracji trochę to potrwa. Zna pan Wesa Allena? - Carter skinął głową, zaciskając szczęki, których mięśnie zarysowały się wyraźniej. - Pracuję z nim w teatrze, zgodził mi się pomóc, naprawić prowizorycznie obecny system, żeby działał, dopóki nie wymienię go na nowy.

- Dobry pomysł.

- Sugerował mi pan, żebyśmy sobie znalazła ochroniarza.

Pokiwał głową.

- Ma pan kogoś, kto by się nadał? - spytała. - Zna pan tu mnóstwo ludzi. Również takich, którzy pracowali w policji, w służbach porządkowych. W przeciwnym razie zostanie mi książka telefoniczna i Internet. - Uśmiechnęła się blado. - To trochę tak, jakby wejść z deszczu pod rynnę.

Uniósł brwi i kącik jego ust drgnął.

- Dość ma pani kłopotów z tym tutaj. - Postukał palcem w plastikową torebkę, leżącą na jego biurku. - Popytam ludzi. Mam paru znajomych, którzy może zainteresują się tą pracą.

- Dobrze - zgodziła się, chociaż nie była pewna, czy poczuje się lepiej, mając w domu obcego człowieka. - Za garażem jest warsztat, jest też stara

szopa, którą wykorzystuję teraz jako składzik.

Zrobił jakąś notatkę i powiedział:

- Tymczasem chciałbym sprawdzić pani dom i wszystkich, którzy mają do niego dostęp. - Powiódł kciukiem po stercie akt na biurku, wyjął teczkę z jej nazwiskiem na okładce. Kiedy trafił na potrzebny dokument, rzucił teczkę na biurko tak, żeby mogła zobaczyć jego treść. - To lista ludzi, którzy byli w pani domu w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, a przynajmniej tak twierdziła pani podczas ostatniej bytności u mnie. Chce pani tu coś zmienić? Coś dodać?

Podniosła teczkę i przejrzała listę nazwisk. Przyjaciele, rodzina, rozmaici fachowcy, dostawcy, a nawet para domokrażców, sprzedających Biblię.

- Wydaje mi się, że jest kompletna - powiedziała.
- Kiedy pani zdaniem podrzuciono ten list?
- Nie mam pojęcia. Nigdy nie otwieram tamtej szuflady. To mogło być wczoraj albo trzy miesiące temu... A może nawet wcześniej.
- Czy pani sprzątaczką zagląda do szuflad?
- Wątpię. Po prostu odkurza z wierzchu.
- A dzieci? Czasem wtykają nos, gdzie nie powinny.
- Pytałam dziewczynki przed wyjściem z domu. Żadna z nich nie otwierała szuflady.
- Są teraz same?
- Nie, tego błędu nie powtórzą, chociaż starsza ma już szesnaście lat... - Jenny spojrzała w oczy Carterowi. Wiedział o kłopotach z Cassie, sam ją odwiózł do domu ostatnim razem, kiedy wymknęła się bez pozwolenia. - No cóż, Cassie już pan zna. Uważa, że traktuję ją jak małe dziecko, ale nicna to nie poradzę.
- Czy nie narzeka na to większości szesnastolatek?
- Niestety.

Jeszcze raz przeczytał list.

- Nasz poeta zaczyna się powtarzać.
- Ma ograniczone słownictwo - zażartowała bez przekonania.
- Każę sprawdzić to w laboratorium - powiedział, kiedy nagle zadzwonił telefon. - Zaraz wyślę funkcjonariusza z zestawem do pobierania odcisków palców. Sam przyjadę później. Porozmawiamy z pani sąsiadami i z każdym, kto był u pani ostatnio, sprawdzimy, czy nikt nie zauważył niczego podejrzanego.
- Nie wspomnieliby o tym wcześniej?
- Możliwe, że nie wydawało im się to wtedy podejrzanym. Spróbuję odświeżyć ludziom pamięć. - Wargi pód wąsem drgnęły mu w

uśmiechu. -Jak zajrzę do pani, będę miał już może ze dwa nazwiska kandydatów na ochroniarza. - Odchylił się do tyłu w fotelu.

- Dziękuję - powiedziała.

Czując się niewiele lepiej, wyszła z biura szeryfa. Skierowała się w stronę sklepu sportowego. Nie popierała posiadania broni palnej, sama myśl o nabitej strzelbie w domu napawała ją zgrozą, ale teraz, kiedy grożono jej rodzinie, uznała, że potrzebuje jakiegoś zabezpieczenia. Już wcześniej zastanawiała się, czy nie kupić nabojów do śrutówki, ale była zbyt zajęta. Teraz nie mogła już tego odwlekać.

Nigdy w życiu nie strzelała do niczego innego poza papierową tarczą, i - No cóż, na wszystko w życiu przychodzi pora - mruknęła do siebie, schodząc po schodach budynku sądu i ciasniej opatulając szyję szalikiem.

Carter patrzył, jak odchodzi. Trudno ją było winić za ten strach. Wstał, przeciągnął się, podszedł do okna i wyjrzał na parking przez zamrożnięte szyby. Parę chevroletów blazerów, jakiś ford explorer, ciężarówka i dwa ford crown victoria. W pobliżu kilku przechodniów, pochylając głowy, walczyło z podmuchami wiatru. Po drugiej stronie ulicy, u Danby'ego, trwała kolejna wyprzedaż, tym razem reklamowana Mikołajami wymalowanymi na witrynach.

Typowe małe miasteczko w Stanach Zjednoczonych.

Miasteczko, w którym jedna kobieta zaginała, a inną znaleziono martwą. Nieco wcześniej porucznik Sparks zadzwonił. Ze względu na spiłowane zęby trudno było zidentyfikować Mavis Gette na podstawie danych z kartoteki dentystycznej, czekano więc na wyniki badań DNA. Mogło to potrwać jakiś czas, ale kuzynka Gette potwierdziła, że Mavis kiedyś złamała obojczyk - kość obojczykowa, którą znaleziono w pobliżu zwłok, zdaniem patologa sądowego była kiedyś złamana. Carter uważał, że Jane Doe to Mavis Gette. FBI zgadzało się z tą opinią, co potwierdzał Sparks, który kontaktował się z ich śledczymi. Więc po co spiłowano jej zęby? Skąd się wzięły algi-nian w jej włosach? Czy ten facet był jakimś szalonym dentystą psychopatą. W jaki sposób kobieta, która po raz ostami dała znak życia z Medford, znalazła się na Catwalk Point?

Pokręcił głową, próbując rozluźnić zeszywniałe mięśnie karku, i zauważył z okna Jennę Hughes, która szła prędko przez parking. Buty jej się ślizgały nieco i musiała się oprzeć o błotnik jednego z fordów.

Dziwnie się przy niej czuł. Zakładał, że to jakaś hollywoodzka księżniczka, rozpieszczona i przyzwyczajona do wygodnego życia. A jednak mylił się. Przynajmniej tutaj, w Falls Crossing, nie zachowywała się jak gwiazda -

nie, wręcz przeciwnie. Była po prostu samotną matką, tracącą głowę ze zdenerwowania. Starał się przypomnieć sobie nazwiska znajomych byłych policjantów, którzy mogliby chcieć zrobić jej przysługę i nająć się do pracy ochroniarza. Wszystkie kandydatury odrzucił, a kiedy zrozumiał dlaczego, miał ochotę sam sobie wymierzyć kopniaka. Nagle poczuł się o nią zazdrosny.

Nie podobała mu się myśl, że ktoś z jego znajomych miałby się nią opiekować.

Ale jeszcze gorzej byłoby, gdyby została bez opieki.

Sam nie mógł się tym zająć.

Już i tak miał na głowie tyle, że ledwie zdążał.

Nie spuszczał jej z oczu, kiedy wsiadała za kierownicę swojego dżipa i odjeżdżała z parkingu. Ten śmieszny pies siedział obok niej.

- I wszystko jasne. - Zesztywniał na dźwięk głosu B J.

Odwrócił się i zobaczył, że stoi w drzwiach, oparta ramieniem o framugę.

- Co?

- Sam wiesz co - odezwała się zjadliwie. - I ty, i wszyscy inni gorąckowicze faceci w całym hrabstwie, nie, w całym tym kraju, macie wzwód na sam widok Jenny Hughes.

Prychnął.

No, proszę. Nawet nie zaprzeczasz. - Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. -nie sądziłam, że doczekam tego dnia. Westchnął.

Mamy trochę pracy, nie uważasz? Zakochałeś się, Carter. Przyznaj się. A przynajmniej masz na nią ochotę.

- A ty zanadto wybujałą wyobraźnię.

- Draniu, myślałam, że jesteś ponad takie rzeczy.

Idąc z powrotem do biurka, pomyślał, że nikt nie jest na to odporny.

- Ta pani ma problem — powiedział, pokazując B J drugi list. — Ktoś wyraźnie ją prześladuje. Pomyślałem sobie, że użyjesz tej swojej komputerowo-internetowej magii i pomożesz mi znaleźć sukinsyna.

- Chętnie - zgodziła się B J. - Jeszcze nie przejrzałam całej listy osób, które wypożyczały filmy z jej udziałem, ale mogę i to sprawdzić w sieci.

- Dobrze - powiedział i zdał sobie sprawę, że przecież nie wzywał jej do siebie. - Chciałaś czegoś ode mnie?

- Nie ja. Dziennikarze. Domagają się oświadczenia.

- Mogą je dostać od policji stanowej.

- Tak, to im właśnie powiedziano, ale paru nie przyjmuje do wiadomości odpowiedzi odmownej. Najbardziej uparta jest Roxie Olmstead, lokalna reporterka z „Banner”. Chce zrobić z tobą wywiad. Dopadła mnie na

ulicy, wie, że z tobą współpracuję, i bardzo prosi, żebyś z nią porozmawiał.

Przypominał ją sobie z jakiejś poprzedniej sprawy. Ładna. Drobna.

Czepliwa jak rzep.

- Powiedz jej, żeby poczekała na swoją kolej, dobrze?
- Mówiłam, że nie mam absolutnie żadnego wpływu na twoje decyzje.

Będzie musiała spróbować sama się z tobą skontaktować.

- Wielkie dzięki.
- Chciałam ci tylko dodać otuchy.
- Dziękuję. — Sięgnął po słuchawkę telefonu.
- Popularność bywa upierdliwa — powiedziała BJ i ruszyła do wyjścia. Święte słowa. Powstrzymał się od komentarzy i zadzwonił do Montinello. Wysłał go na rancho Jenny Hughes. Wątpliwe, żeby udało się znaleźć jakieś odciski palców, ale kto wie? Może im się poszczęści. Tak czy owak uwagi BJ trafiały zbyt blisko celu. Co go napadło, żeby fantazjować na temat Jenny Hughes? Aż wstyd przyznać się do takiej głupoty.

- Ochroniarz? Mówisz serio? - Cassie przestała otwierać pudła z napisami OZDOBY ŚWIĄTECZNE i z przerażeniem popatrzyła na matkę. - Chcesz, żeby z nami mieszkał jakiś obcy facet? Nie ma mowy.

- Wprowadzi się do warsztatu za garażem. - Jenna nie ustępowała. Odchwili, gdy znalazła ten drugi list, nie mogła się uspokoić. Była cały czas podenerwowana. Rozstrojona. Traciła zmysły ze strachu. Bała się zwykłych domowych odgłosów i bez przerwy sprawdzała, czy wszystkie zamki są po zamykane. W sklepie sportowym kupiła naboje, ale jeszcze nie załadowała

starej strzelby. Allie odwijają z papieru szklaną ozdobę choinkową w kształcie śnieżnego bałwanka.

- Mogłabyś wynająć pana Settlera.
- O, jeszcze i ta - szepnęła Cassie.
- Nie, serio. On czasem pracuje jako detektyw.
- Naprawdę? - spytała Jenna.
- Mhm. —Allie odłożyła ozdobę na stół, gdzie bałwanka oświetliła czerwona poświata z kominka, w którym palił się ogień.
- On ci to powiedział? - dopytywała się Cassie.
- Nie on, Dani.
- Dani opowiada bzdury każdemu, kto da się na nie nabrać.
- Ale to prawda. Widziałam jego rewolwer.
- Co takiego? - Jenna przecinała taśmę klejącą na innym pudle, ale teraz spojrzała ostro na córkę. - A z jakiej racji grzebałaś w rzeczach pana Settlera?

- Nie grzebałam. Miał go przy sobie. W kaburze pod pachą. Widziałam ją pod jego marynarką.
 - Dziwne. - Cassie wyciągnęła z pudła warstwę gazet, a potem sznur lampek choinkowych. - Wiedziałaś, że jest prywatnym detektywem?
 - Nie. Nigdy mi o tym nie wspominał.
 - Jeszcze dziwniejsze.
 - Raczej nie zatrudnimy pana Settlera.
 - Dzięki Bogu - mruknęła Cassie pod nosem.
 - Ale byłoby fajnie.
 - Ty po prostu chcesz, żeby Dani z nami mieszkała - oburzyła się Cassie.
 - On się nadaje. Służył w wojsku. W jednostkach specjalnych czy czymś takim.
 - Kolejna bajeczka. Allie, dorośnij wreszcie, dobrze?
 - Ale to prawda!
 - Akurat. - Cassie włączyła sznur lampek do kontaktu. Rozjarzyły się, rzucając małe kolorowe plamki światła na podłogę.
 - Dość tego. Nic nie wiemy o panu Settlerze.
 - Poza tym że się ślini na twój widok.
 - Cassie! - Nóż do papieru ześlizgnął się i Jenna skaleczyła się w kciuk drugiej dłoni. - Cholera!
 - To prawda.
 - Służył w wojsku - Allie odezwała się ostro do starszej siostry. - Dani pokazała mi kilka pamiątek. Medale, zdjęcia i nagrody. Pan Settler był kimś w rodzaju sierżanta w jakiejś elitarniej jednostce.
- Jennie sięgnęła do szafki nad zlewem po pudełko plastrów z opatrunkiem. Dlaczego Travis nic nie wspominał o swojej przeszłości? Owinęła kciuk plastrem. Krew prześwitowała przez opatrunek, ale nie przesaczyła się.
- Czy pan Settler wie, że zaglądałaś do jego rzeczy? - zapytała.
- Allie wzruszyła ramionami.
- Allie? - Jenna skarciła ją łagodnie, otwierając pudło jednobarwnych lampek.
 - Nie wiem. Dani powiedziała, że to nieważne.
 - Ta dziewczucha ma świra- odezwała się Cassie, rozplątując do końca sznur lampek. - Uprawia taekwondo, strzela do celu ze strzelby i jeździ konno na oklep, tak?
 - No i co z tego? - Allie najeżyła się jeszcze bardziej.
 - Jej się wydaje, że jest facetem, prawda?
 - Chwileczkę! Może my wszystkie też powinnyśmy naśladować Dani - powiedziała Jenna, rozplątując kolejne światełka. Pomyślała o

nadchodzącej gwiazdce i zastanowiła się, jak zdoła z siebie wykrzesać choć odrobinę świątecznego nastroju. Nie dość, że nadal nie mogła się uporać ze śmiercią Jill, teraz jeszcze i to... Ten prześladowca... Obserwował ją, wchodził do jej domu...

Rozdział 26

Wizyty u sąsiadów nic nie dały. Na jednym z rancz sąsiadujących z posiadłością pani Hughes nie było żywej duszy, właścicielami drugiego byli starsi państwo, którzy nie zauważyli niczego szczególnego. Poza tym że Harrison Brennan przesadnie się zdenerwował, słysząc, że ktoś śmiał niepokoić Jennę Hughes. Nikt nie widział ani nie słyszał niczego, co ich zdaniem byłoby warte wzmianki.

Kiedy Carter parkował swojego blazera na podjeździe Jenny Hughes, południe już minęło i Montinello zbierał się właśnie do odjazdu.

Skończył

pobieranie odcisków palców, a natknąwszy się na Cartera, wspomniał coś o szukaniu igły w stogu siana.

- W całym domu jest mnóstwo śladów. Ma dwójkę dzieci, przyjaciół, gosposię, zarządcę rancza, osobistego trenera, poza tym dzieciaki mają swoich kolegów, a na dodatek w domu bywają ekipy remontowe. – Montinello stał przy jednym z terenowych wozów jednostki, zaparkowanym przed garażem Jenny Hughes. - Jeśli ten, kto zostawił list, nie okaże się skończonym idiotą, wątpię, żeby nam się poszczęściło.

Stał obok swojego samochodu i kręcił głową. Nieliczne płatki śniegu, wirując, spadały z nieba i chociaż daleko było jeszcze do wieczoru, zimowy mrok osiadał na okolicznych drzewach i zabudowaniach.

- Nigdy nic nie wiadomo. Ile znaleziono odcisków w jej sypialni? – spytał Carter, podnosząc wzrok na wielki dom, w którym mieszkała Jenna. Z wysokiego komina sączył się dym, a z bocznej werandy unosiła się para wodna, widocznie musiało tam stać jacuzzi. Otoczony drzewami, z soplami lodu zwisającymi z dachu, wiejski dom wyglądał jak prosto z bożonarodzeniowej pocztówki. Ale za tą uroczą fasadą czaiło się coś zdradliwego, coś złego.

- Było trochę... Niektóre większe niż jej.

Carter pokiwał głową i nagle zacisnął zęby na myśl o jakimś mężczyźnie w sypialni Jenny Hughes. Montinello uniósł małą walizkę, którą miał przy sobie.

- Od wszystkich domowników pobrałem odciski palców dla porównania. Jeśli będzie taka potrzeba, wezmę je też od ludzi, którzy tu bywają: od jej

trenera, od tego faceta, który prowadzi ranczo. Od jego żony. Ale na razie zacznę od tego, co mam. Powiedziałem jej, żeby zadbała trochę o ochronę. Kiedy tu byłem, dwóch facetów, ten Wes Allen i jego siostrzeniec, naprawiało system alarmowy i elektroniczną bramę, które na razie działają, sam sprawdziłem. Ale ona mówi, że system trzeba albo kompletnie zmodernizować, albo wymienić na nowy. Dzwoniła do kogoś w tej sprawie.

- Dobrze. - Carter mimo wszystko wcale nie czuł się uspokojony co do bezpieczeństwa Jenny. W tym miejscu - pięknym jak ze świątecznej kartki, ale odizolowanym od świata - było coś, co go niepokoiło. Spojrzał na okoliczne lasy, na całe hektary gołej, zasypanej śniegiem ziemi, na liczne zabudowania gospodarcze. Stajnia, stodoła, garaż, wiatrak, pompownia, szopy... Mnóstwo miejsc, w których mógł się ukryć złoczyńca. Zbyt wiele tu takich miejsc. Montinello otworzył drzwiczki blazera i wrzucił do środka swój sprzęt.

- Daj mi znać, jeśli coś znajdziesz.

- Jasna sprawa.

Kiedy Montinello odjechał, Carter przeszedł pod zadaszeniem między budynkami i zapukał głośno do tylnych drzwi. Pies rozszczękał się, a kiedy Jenna uchyliła drzwi, chciał wyskoczyć na zewnątrz.

- Pokraka, opanuj się! - skarciła psa, otwierając drzwi szerzej. Pokraka biegał wokół niego jak oszalały. - A pan twierdził, że to nie jest pies obronny - powiedziała ze śmiechem. Włosy miała upięte z tyłu głowy i lekko pachniała perfumami, na które już wcześniej zwrócił uwagę.

- Chyba stanął na wysokości zadania.

- Moim zdaniem to reakcja groźbę, że go zastąpię pitbullem - uśmiechnęła się wesoło, chwytając psa za obrozę. - Niech pan wejdzie, jeśli starczy panu odwagi. - Miał wrażenie, że oczy jej zabłyśły jaśniej na jego widok i pomyślał, że jest idiotą. Cieszy się, że go widzi, bo się boi, a on jest stróżem prawa. A może udawała? W końcu miała sporą wprawę. Tyle lat aktorstwa.

- Witam w moim domu rodem z koszmaru - zaprosiła.

Zdjął buty. Puściła psa, który natychmiast trącił go pyskiem w nogę, a potem uderzył parę razy ogonem, zawzięcie nim machając.

- Och, Pokrako, tracisz wiarygodność - strofowała Jenna, prowadząc Cartera do kuchni.

Poza bożonarodzeniowymi ozdobami, pudełkami, papierem i lampkami porzucanymi wszędzie na podłodze, w paru miejscach widać też było czarny i srebrzysty proszek, ślady po pobieraniu odcisków palców przez

Montinello. Młodsza z dziewczynek walczyła ze sznurem lampek, wymieniając żaróweczki. Nawet nie uniosła głowy.

- Allie, pamiętasz szeryfa Cartera?

- Tak. — Dziewczynka na moment podniosła wzrok. ,

- Możesz mówić do mnie Shane - powiedział. A zwracając się do Jenny dodał: - To mniej onieśmielająca forma, prawda, Allie?

Mała wzruszyła ramionami, nie odrywając się od swojego zajęcia.

- Dzieci mnie uwielbiają- zażartował, a Jenna się roześmiała, na moment zaglądając mu w oczy, co go od razu zauroczyło.

- O, na pewno.

- Skoro tak pani twierdzi...

Spojrzała na bałagan na podłodze.

- Jakby już za chwilę miały się zacząć święta, prawda? - rzuciła lekkim tonem, znacznie spokojniejsza niż przed południem.

- Racja. - Ominął pudło bombek i z kieszeni kurtki wyjął kartkę. Wynotował na niej nazwiska i numery telefonów trzech mężczyzn, którym ufał. - Sam do nich nie dzwoniłem, ale może któryś znajdzie czas.

- Ochroniarze?

- Potencjalni. - Pokiwał głową. - Mogę za nich osobiście ręczyć.

Kiedy Jenna podniosła na niego oczy, błyszczały bardziej niż przed chwilą.

- Dziękuję, szeryfie. Zrobił pan więcej niż trzeba.

- Taki mam zawód.

Uniosła ciemne brwi.

- Skoro pan tak twierdzi.

- Tak twierdzą - powiedział. Zapadło milczenie. Spuściła wzrok, a on zauważył, że jej długie rzęsy rzucają cień na policzki. Słyszał tykanie zegara i telewizor, grający w innej części domu. - Zechce mi pani pokazać, gdzie znaleziono ten list?

- Jasne... Proszę tędy... - Przeszła nad długim sznurem lampek choinkowych, a potem poprowadziła go po schodach na górę. Carter usiłował nie zwracać uwagi na biodra poruszające się pod dzinsami ani na kilka kosmyków czarnych włosów, które wysunęły się z koka upiętego na jej głowie, ale przychodziło mu to z trudem. Prawie nie zauważył psa, który wyskoczył pierwszy, kiedy otworzyła podwójne drzwi na półpiętrze, w połowie klatki schodowej.

Jej sypialnia zajmowała całe piętro, a kiedy do niej wszedł, zrozumiał, że wpadł już na dobre. Owionął go zapach cedru, mydła i bzu. Pod ścianą stało wielkie podwójne łóżko, z rzuconym nań niedbale białym jedwabnym szlafrokiem.

W pokoju pełno było świec, a wypolerowaną podłogę z twardego drewna pokrywały puszyste dywany. Zza lekko uchylonych drzwi do szafki wyglądał telewizor, a rząd okien wychodził na wzgórza pokryte lasami.

Ślady czarnego i srebrzystego proszku widać było praktycznie wszędzie, a zwłaszcza na jednej z szafek nocnych przy łóżku, na biurku, na szafce z telewizorem, na klamkach u okien i drzwiach.

- Mogę się nieco rozejrzeć?

- Ależ bardzo proszę - powiedziała.

Zajrzał do łazienki przylegającej do sypialni, z wpuszczaną w podłogę wanną, kabiną prysznicową i sauną. Obok była garderoba wielkości jego całego salonu. Na jej ścianach dostrzegł mnóstwo pótek, wieszaków, a nawet szuflady. Długie suknie, spodnie, bluzki, sukienki i swetry wisiały nad półkami pełnymi butów i innymi, na których rzędem stały torebki. Więcej ubrań niż powinna posiadać jakakolwiek normalna kobieta. Jedna z szuflad była lekko uchylona, wystawał z niej czerwony koronkowy stanik. Gardło mu się lekko ścisnęło, kiedy wyobraził ją sobie w tej bieliźnie, ale opanował się i przeszedł do sypialni.

Stała obok szafki przy łóżku, czekając na niego.

- To tu znalazłam list - powiedziała, ostrożnie wysuwając szufladę. Teraz była pusta. - Jak mówiłam, nikt do niej nie zagląda. Chyba nie była otwierana od momentu, kiedy się tu wprowadziłam.

- Pomijając osobę, która ten list podrzuciła.

- Tak. - Podeszła do okna. - Wie pan, na początku, zaraz po przyjeździe, czułam się tutaj taka swobodna. Jakbym była w niebie. Ale ostatnio... - Odwróciła się, spojrzała mu w twarz i opuściła wzrok. - Wiem, że to za brzmi śmiesznie, ale miałam ostatnio takie wrażenie... Wrażenie, jakby ktoś mnie obserwował. - Lekko zagryzła wargę. - Miałam je, zanim jeszcze znalazłam ten pierwszy list. To takie dziwne uczucie. Robi mi się zimno nasamą myśl o nim. - Zarumieniła się lekko. - Wiem, to paranoja...

- Może nie.

- Tak. - Spojrzała na blat szafki nocnej. - Pomyśleć tylko, że on tu był. W moim domu. W mojej sypialni. - Głos jej lekko zadrzał. - Mógł wejść do środka, kiedy spałam. Boże, mógł wejść do pokoiów dziewczynek. Wie pan, jaka to odrażająca myśl?

Pokiwał głową i usłyszał warkot silnika zbliżającej się do domu furgonetki.

- Może chwilowo przeprowadzi się pani do hotelu?

- Nie pozwolę, żeby j akis... drań wyrzucił mnie z mojego własnego domu.

Wykluczone. Zatrudnię ludzi. Dziś rano dzwoniłam do ślusarza. Już zmienił wszystkie zamki. Wes Allen naprawił system alarmowy, a ja kupiłam naboje

do strzelby.

- Co pani zrobiła? - Był zaszokowany. Ta mała kobietka z bronią w ręku?

- Wie pani, jak tego używać?

- Mam nadzieję, że nie będę musiała.

- Ale ma pani w domu dzieci i...

- I mam zamiar je chronić. Nauczyłam się strzelać dawno temu, do roli w *Odkupieniu*. Annę Parks była zabójczynią. Zwykle korzystała z innej bro ni, ale dwa razy użyła rewolweru. Reżyser chciał, żebym wyglądała z bronią naturalnie, więc wzięłam parę lekcji. Czy kiedykolwiek strzeliłam do żywej istoty? Nie. Czy umiałabym strzelić? Tak. Gdybym musiała bronić dzieci.

- To był rewolwer?

- Tak.

- Dobrze byłoby poćwiczyć ze strzelbą. Ma odrzut i... No cóż, ja bym wybrał inną broń.

- Lepiej mieć strzelbę niż nic.

Pomyślał o danych statystycznych, mówiących o tym, że właściciele broni palnej często zabijają sami siebie albo swoich bliskich.

- Niech pani uważa.

- Staram się - odparła.

Pies uniósł łeb, a potem głośno warknął. Szurając pazurami po nagiej drewnianej podłodze, Pokraka zaczął szczekać jak oszalały i rzucił się po schodach.

- Traktuje swoje zadania bardzo serio - zażartowała Jenna, idąc za psem na dół.

Harrison Brennan stał na tylnej werandzie, zaglądając przez okienko w drzwiach.

Sądząc po minie, był wściekły jak diabli.

Gdy Jenna otwierała drzwi, pies głośno szczekał. Pokraka nigdy nie przepadał za Harrisonem Brennanem, tak jak jej dziewczynki. Przy wszystkich swoich dobrych chęciach bywał irytujący.

- Szeryf jest tutaj? - zapytał. - Zadzwoń do mnie.

- Jestem - powiedział Carter, stając za nią tak blisko, że poczuła na karku jego oddech. Po jej plecach przebiegł lekki dreszcz, ale zignorowała go.

- No to już masz odpowiedź na swoje pytanie. - Jenna próbowała nie irytować się na sąsiada. Jak zawsze miał na uwadze wyłącznie jej dobro.

Pokraka raczej nie podzielał tej opinii i nadal warczał na Harrisona.

- Ćśś - uciszyła psa. - Albo znajdziesz się zaraz na śniegu.

- Ten cholerny kundel nigdy się do mnie nie przekonał - powiedział Harrison i spróbował poklepać go po głowie. Warczenie ucichło, ale Pokraka nadal był

zjeżony, a jego ogon ani drgnął. Trzymał łeb nisko opuszczony, obserwując każdy ruch Harrisona. - Jak widzę, najchętniej odgryzłby mi rękę.

- Nie zwracaj na niego uwagi. Wejdz do środka - zaprosiła, a potem rzuciła psu ostrzegawcze spojrzenie. - A ty się zachowuj jak należy. Idź na swoje posłanie.

Pokraka wsunął się pod stół, a Carter, jakby nie chcąc jej krępować, powiedział:

- Czy mógłbym rozejrzeć się trochę po domu? Chciałbym poznać jego rozkład.

- Proszę się czuć jak u siebie - odparła wdzięczna mu za to, że traktuje poważnie rzucane jej groźby. Czowała się z nim bezpieczniej. Kiedy Carter poszedł na górę, Jenna zabrała Harrisona do gabinetu. Na jego pytania odpowiadała wymijająco, póki nie znaleźli się poza zasięgiem słuchu Allie. Wtedy opowiedziała mu, co się tu działo w czasie ostatnich paru dni. Słuchając jej, Harrison robił się coraz bardziej ponury, zaciskał szczęki, niespokojnie zacierał dłonie. Ale nie powiedział ani słowa, stał tylko na środku gabinetu i przypatrywał się jej natarczywie błękitnymi oczami.

Kiedy skończyła, rzekł:

- Zostawił ci ktoś w domu list z pogróżkami, a ty do mnie nawet nie zadzwoniłaś?

- Uznałam, że powinna się tym zająć policja - powiedziała, słysząc, jak schody skrzypią pod krokami Cartera.

Jestem twoim najbliższym sąsiadem - zauważył, marszcząc brwi. - I mam swoje chody. Tą sprawą powinno się zająć FBI! - Przeciągnął dłonią po swoich krótkich, sztywnych włosach. - Co tu się, u diabła, dzieje?

- Tego właśnie usiłujemy się dowiedzieć - odezwał się Carter.

Brennan cały swój gniew zwrócił przeciw szeryfowi.

- I twoim zdaniem ona jest tutaj bezpieczna?

- Harrison, nic mi się tu nie stanie - wtrąciła.

- Ale ten system alarmowy ciągle nawala. Zadzwoń do Setha. Jeśli on sobie z tym nie poradzi, znajdę kogoś innego, kto go naprawi.

- To już załatwione - powiedziała. - Był u mnie Wes Allen.

Stojący obok niej Carter zaczął się denerwować. Brennan parsknął ironicznie.

- To on niby zna się na tym? Bawi się systemami nagłaśniającymi i podobnymi głupotami. A to jest poważna rzecz.

- Wierz mi, zdaję sobie z tego sprawę - rzuciła Jenna.

- Sprawdź system jeszcze raz. Znajdę kogoś, kto się na tym zna. Jeśli nie Seth Whitaker, to Jim Klondike. To prawdziwa złota rączka. - Próbowała protestować, ale Harrison nie zwracał na nią uwagi. Spojrzał na szeryfa. -

A co wy robicie w tej sprawie?

- Wszystko, co w naszej mocy.

- Hm. - Harrison niedowierzająco uniósł siwe brwi i znów zwrócił się do Jenny: - Potrzebujesz ochrony. Kobieta z dziećmi, zupełnie sama tutaj... Nie podoba mi się to.

- To mój dom.

- Nie jest wystarczająco zabezpieczony. - Potarł dłonią kark. - Chyba mógłbym na jakiś czas się tu przenieść.

Carter natychmiast się nastroszył, a Jenna powiedziała:

- To nie będzie konieczne, Harrison. Zatrudniam ochroniarza.

- Ochroniarza? Kogo? - spytał ostro.

- Jeszcze nie jestem pewna. Porozmawiam z nimi. Szeryf Carter podał mi kilka nazwisk...

- Nadałbym się Jake Turnquist - przerwał jej Brennan, mrużąc błękitne oczy. - Lepiej bym się czuł, gdybym sam się tu przeniósł, ale jeśli nie chcesz, to skontaktuj się z Jakiem. To mój przyjaciel, służył w Navy Seal. Kiedyś pracował trochę dla policji w Portland, a potem był prywatnym detektywem. Teraz mieszka w Hood River. Nie ma na głowie żony ani dzieci, więc chyba będzie mógł przenieść się tutaj.

Jenna z trudem panowała nad sobą. Była okropnie zmęczona i wystraszo na, przez cały dzień prawie nic nie jadła, a teraz ogarniała ją ochota skoczyć Harrisonowi do gardła. Dlaczego Harrison Brennan uważa, że może ją taki lekceważyć?

Czy naprawdę była aż taką ciamajdą?

- Posłuchaj, Harrison, zastanowię się i zrobię to, co uznam za stosowne - powiedziała, zaciskając zęby, czując, jak krew w jej żyłach zaczyna się gotować od cichej wściekłości. - Ale najpierw porozmawiam z ludźmi, których polecił mi szeryf.

- Turnquist jest na liście - powiedział Carter, nie spuszczać wzroku pod spojrzeniem Harrisona Brennana. - Harrison ma rację. Turnquist to porządny gość. Pracowałem z nim przy kilku sprawach, zanim odszedł z policji.

Brennan jakby nieco się odprężył.

- No to załatwione.

- Niezupełnie - powiedziała Jenna, która najchętniej udusiłaby tego faceta. - Ale zadzwonię do niego.

- Dobrze. - Carter jeszcze raz rozejrzał się po domu. - Będę w kontakcie. Proszę do mnie dzwonić, jeśli cokolwiek panią zaniepokoi albo będzie pani czegokolwiek potrzebowała.

- Tak zrobię - obiecała i odprowadzając go do tylnego wyjścia, poczuła, że znów zaczyna się bać. Potem zaczęła, patrząc przez szybę w drzwiach, jak szeryf wyjeżdża przez otwartą bramę. Razem z nim opuszczał ją ten ciepły spokój, który ją ogarniał w jego obecności. Została sama na samą z Harrisonem, który robił się nie do zniesienia. Troszczył się o nią, ale ta troska zaczynała jej bokiem wychodzić. Nie przycisnęła guzika, którym zamykało

się elektronicznie sterowaną bramę, znów działającą jak wcześniej zapewniał ją Wes. Zamknie ją po wyjeździe Harrisona.

Czekał na nią w kuchni, biodrem opierając się o blat, a w rękę trzymał jej bezprzewodowy telefon.

- Dzwoniłem do Jake'a - powiedział z uśmiechem, który wskazywał, że jest z siebie dumny. - Misja wykonana.

- To znaczy?

- Weźmie to zlecenie.

Poczuła się przyparta do muru.

- Nie obejrząwszy posiadłości? Nie spotykając się ze mną i nawet nieoglądając tego? - Wskazała dłonią wewnątrz domu o nietypowym rozkładzie. - Czy ustaliłeś z nim wynagrodzenie? Godziny pracy? Harrison, przestań to robić. Nie możesz rządzić moim życiem. - Zbliżała się do niego, patrząc mu w oczy, gniew bił od niej gorącymi, gwałtownymi falami.

- Ja tylko próbuję ci pomóc.

- I zagłaskać kota na śmierć.

- Jake ci się spodoba. - Patrzył na nią tak, jakby nie docierało do niego ani jedno jej słowo.

Wyprostowała ramiona i zacisnęła zęby.

- Nie o to chodzi, jasne? Nie potrzebuję twojej opieki.

- Bo tak świetnie radzisz sobie sama? - zapytał, a w jego oczach pojawił się jakiś niemiły blask.

- Bo nie chcę, żebyś to robił! Po prostu. Lepiej już idź, dobrze? I przestań sobie wyobrażać, że między nami coś jest.

Patrzył na nią jak na wariatkę.

- Poczekaj. Mówisz bez sensu. Potrzebujesz pomocy.

- Ale nie chcę, żeby ktoś mną rządził! Jestem dorosłą kobietą, na litość boską. Więc weź trochę na wstrzymanie. I, cholera jasna, daj mi wreszcie święty spokój.

Przez chwilę stał bez ruchu na środku kuchni, nie ruszając się z miejsca, zaciskając usta, a potem, jakby jej słowa wreszcie do niego dotarły, wciągnął powietrze przez zęby.

- Skoro tego sobie życzysz. - Zapinając kurtkę, ruszył w stronę tylnych drzwi. - Przepraszam, że tak ci się narzucałem. - Taki już jestem.

Przyzwyczailem się w wojsku do wydawania rozkazów.

Nie dała się udobruchać. Spojrzała tylko na niego z gniewem.

- Słuchaj, dla spokoju własnego sumienia obejrzę jeszcze ten system alarmowy, a potem nie będę ci się już narzucać. Jeśli zmienisz zdanie, zadzwoń do mnie.

Wiedziała z całą pewnością, że nie zadzwoni.

I najprawdopodobniej on też zdawał sobie z tego sprawę.

Krew szumiała mu w uszach. Pulsowała w żyłach. Płatki śniegu topniały na jego nagiej skórze, małe strużki wody spływały po twarzy i nagim ciele.

Miał na sobie wyłącznie rękawice, poza tym żadnego ubrania. Mięśnie mu drżały, kiedy podciągał się na drążku do ćwiczeń, zimnym metalowym drążku, umocowanym między dwiema wysokimi sosnami.

Podciągnąć się do góry... Powoli... Opuścić się jeszcze wolniej. Ciało wyprężone. Stopy razem. Do góry. Na dół. Do góry. Na dół. Sto razy.

Codzienne ćwiczenia. Niezależnie od pogody.

Solidny jak poczta Stanów Zjednoczonych.

Godny zaufania.

Ale śmiertelnie groźny.

Nie do pokonania zimą.

Ten sam mróz, którego nienawidził, dodawał mu sił. Liczył w myślach powtórzenia, czuł ból mięśni, kiedy zmuszał je do wysiłku, i ogarniała go potrzeba, żeby znów zabić, nieodparta potrzeba, która zaczynała w nim pulsować. Zaciskając zęby, skończył rundę ćwiczeń, a potem lekko zeskoczył na ziemię, zapadając się po kostki bosych nóg w świeżym śniegu.

Pot na jego skórze mieszał się z lodowatymi śnieżynkami. Gorąco i zimno.

Lodowate powietrze ogarniające jego nagość. Para unosząca się z nagiego ciała.

Pod skórę przesączało mu się zło nocy.

Na sekundę przymknął oczy.

Wyobraził sobie polowanie.

Czas zabić.

I wiedział, gdzie znaleźć ofiarę...

Skoro cholerny Mahomet nie raczył przyjść do góry, góra będzie musiała ruszyć tyłek i pofatygować się do Mahometa.

Roxie Olmstead miała dość wysłuchiwanie rutynowego „bez komentarza” w biurze szeryfa hrabstwa Lewis. Wkurzało ją, że nie może dostać się do Cartera. Unikał jej, to nie ulegało wątpliwości.

Zostawiała mu wiadomości w skrzynce głosowej, wysyłała e-maile, kręciła się pod budynkiem administracji hrabstwa w nadziei, że uda jej się przydybać Cartera i wydobyć od niego jakieś informacje na temat Mavis Gette, której poćwiartowane zwłoki znaleziono na Catwalk Point. Nawet po identyfikacji zwłok Carter nie oddzwaniał na jej telefony. Ta suka, sekretarka Jerri Morales, obojętnie informowała ją, że Carter „właśnie wyszedł”, „jest na spotkaniu” albo „nie może teraz odebrać telefonu”. O Mavis Gette dowiedziała się z oświadczenia wydanego przez policję stanu Oregon.

- Do diabła - mruknęła, wychodząc z redakcji „Banner”, lokalnej gazety hrabstwa Lewis. Wiatr nią targnął, zrywając z głowy kaptur i lodowatymi palcami przeczesując pasma włosów. Ściskając w objęciach laptopa, termos i lorebkę, dojrzała w padającym śniegu do samochodu i otworzyła drzwi małego czterodrzwiowego auta. Żołądek znów jej nawalał i kiedy zdrapała już warstwę lodu pokrywającą przednią szybę, wzięła do ust dwie tabletki leku na nadkwasotę, a potem uruchomiła silnik i włączyła nawiew na przednią szybę. Jej corolla miała na liczniku ponad trzysta tysięcy kilometrów i była zajeżdżona niemal na śmierć, ale silnik się nie poddawał. Na oponach z kołcami mogła dojechać niemal wszędzie. Nawet do domu szeryfa Cartera.

Uśmiechnęła się do siebie, rozmyślając o tym stróżu prawa. Carter wysoki i przystojny, bardziej przypominał hollywoodzkiego kowboja niż policjanta. Roxie strasznie wkurzało, że unikał jej jak ognia. No cóż, dzisiaj to się zmieni. Włączyła wycieraczkę, żeby szybciej pozbyć się lodu z szyby, i nastawiła radio na jedną z niewielu stacji, które można było tutaj odbierać. Słuchała popu z lat osiemdziesiątych, kiedy lód powoli topniał, a wnętrze samochodu ogrzewało się. Przetarła szyby od wewnątrz i ruszyła, lawirując pomiędzy samochodami stojącymi na parkingu. A potem wyjechała na ulicę.

Uśmiechnęła się szeroko. Uwielbiała śnieg, uwielbiała patrzeć, jak kołuje i tańczy w światłach reflektorów. Na skrzyżowaniu przyhamowała, znalazła w torebce tubkę błyszczyku i pociągnęła nim wargi. Sprawdziła efekt we wstecznym lusterku. Kiedy światła się zmieniły, nacisnęła pedał gazu, zanim wiszący na jej zderzaku facet zdążył się zniecierpliwic i użyć klaksonu. Wyjeżdżając z miasta, namyślała się nad tym, co powie Carterowi.

Jeśli nie będzie go w domu, zaczeka. Miała ze sobą termos kawy, koc i książkę, która była wystarczająco ciekawa, żeby przykuć jej uwagę, ale nie aż tak pochłaniająca, żeby straciła poczucie czasu. Jeśli szeryf nie pokaże się w ciągu godziny, da sobie spokój i znów spróbuje jutro. Bardzo chciała się z nim spotkać, ale na tym mrozie nie mogła czekać zbyt długo, żeby nie wyładować całego akumulatora.

Ale zmusi go do rozmowy.

W cztery oczy.

Miała mu do zadania parę pytań i zastanawiała się, co zrobić, żeby nie zatrzasnął jej drzwi przed nosem. Mogła skłamać, że jechała tędy i skończyło jej się paliwo, ale wiedziała, że przejrzałby ją z miejsca. Co zrobić? Jak podejść Cartera? Znała jego podstawowe dane - wiek i wykształcenie, wiedziała, że prawie przez całe życie mieszkał w Falls Crossing, że był żonaty, że jego żona zginęła zimą, kiedy nagle zepsuła się pogoda, całkiem podobnie jak teraz, ale Roxie chciała skruszyć jego niewidzialną zbroję. Jaki właściwie był ten człowiek, kryjący się za odznaką szeryfa?

Sama przed sobą niechętnie przyznawała, że często o nim myśli. Coś ją fascynowało w tym chmurnym, spokojnym, tajemniczym mężczyźnie w mundurze. Wolą nawet się nie zastanawiać, jak by to zinterpretował psychoterapeuta, zwłaszcza że jej własny ojciec był policjantem.

Pograżona w myślach, niemal machinalnie hamowała i włączała kierunkowskazy w tej zamieci, zbliżając się do skrętu w stronę jego domu. Podśpiewując do taktu starej piosenki Billy'ego Idola, nie zauważyła, że ruch na drodze robi się coraz mniejszy. Ani tego, że jedzie za nią jakiś samochód.

Z pomrukiem silnika jej toyota mknęła drogą, zimowe opony dobrze trzymały się nawierzchni, reflektory przecinały mrok cienkimi wiązkami światła, które połyskiwało na brudnym, zapiaszczonym, ubitym śniegu.

Piosenka skończyła się i Roxie spojrzała w lusterko wsteczne, dopiero teraz zauważając, jak blisko niej trzymał się jakiś samochód. Niemal siedział jej na zderzaku.

- Jezu! - warknęła, jakby mógł ją usłyszeć. - Hej, koleś, to nie jest Los Angeles!

Przyspieszyła, na moment wpadając w lekki poślizg, ale on też zwiększył prędkość. Idiota. Jeden z wielu. Gdyby tylko mogła odczytać jego tablicę rejestracyjną! No właśnie. Zwolniła, ale on przykleił się do jej zderzaka, widocznie obawiając się wyprzedzać na tej krętej, oblodzonej drodze.

Na szczęście zaraz będzie zjazd na drogę prowadzącą do domu Cartera.

Wtedy na pewno pozbędzie się tego kretyna.

Przed zakrętem chciała zredukować bieg i wcisnęła sprzęgło. W skrzyni biegów coś zgrzytnęło. Do licha, ostatnio samochód miał swoje narowy. Wóz jadący za nianie zwolnił.

- Uważaj! - powiedziała.

Udało jej się wrzucić dwójkę, a kiedy corolla zbliżała się do zjazdu, spróbowała wrzucić jedynkę. Pacan nadal kleił się do jej zderzaka! Nie odsunął się ani o centymetr. Co on sobie wyobraża? Ostrożnie przeniosła stopę na hamulec i skrzyła kierownicę.

Trach!

Jej głowa poleciała do przodu.

Co, u diabła? Jadący za nią idiota uderzył w jej zderzak!

Toyota zaczęła wirować na drodze jak szalona.

Instynktownie wcisnęła hamulec.

Błąd! Straciła kontrolę nad samochodem, który nadal kręcił się wokół własnej osi, zmierzając w stronę drzew.

- Cholera!

Próbowała kontrować poślizg kierownicą, nie blokować kół, ale drzewa, wirując, zbliżały się coraz szybciej. Za szybko.

- Cholera, cholera, cholera! - wrzeszczała, usiłując nie wpadać w panikę, modląc się, żeby samochód zwolnił. Była już na krawędzi pobocza. Wielka sosna o grubym, pokrętnym pniu zamajaczyła jej w oczach.

Bardzo blisko.

- Nie!

Jeszcze bliżej, a tuż przed nią znak z napisem: TEREN PRYWATNY, WSTĘP WZBRONIONY.

- Nie!

Łup!

Zgrzyt blachy.

Zakryła dłońmi twarz.

Szarpnęło ją naprzód, głową uderzyła o kierownicę, ale pas bezpieczeństwa utrzymał ją w fotelu.

Szyba rozprysła się, zasypując ją szkłem, do wnętrza toyoty dostał się lód i śnieg.

Przygryzła sobie wargę i teraz poczuła smak krwi.

Oszołomiona sięgnęła do zapięcia pasa i we wstecznym lusterku zobaczyła, że ktoś podchodzi do samochodu. Ten dureń, który ją potracił! Półprzytomna, rozpięła pas i zaczęła szukać klamki drzwi. Zbierało jej się na wymioty.

- Coś ci się stało? - spytał męski głos.

Tak, ty cholerny kretynie - pomyślała półprzyciennie. - Przez ciebie.

- Pomogę ci.

Świetnie. Cudownie. A potem powiem ci, co o tobie myślę, i zniszczę cię przed sądem.

Drzwi samochodu otworzyły się, a ona zwymiotowała, ochlapując śnieg i framugę drzwi. W ustach miała kwaśny posmak. Udało jej się otrzeć wargi grzbie-em dłoni w rękawicze. Cała się trzęsła. Nie mogła się rozklejać.

- Dlaczego, do cholery, siedziałeś mi na zderzaku? — spytała ostro, kiedy i duża dłoń chwyciła ją za ramię. Podniosła wzrok i spojrzała przez włosy opadające jej na twarz. Czy ona czasem nie zna tego faceta? Chyba już go widziała gdzieś w mieście?

- Chciałem tylko zwrócić twoją uwagę, Marnie.

- Co? - Usiłowała zebrać myśli. - Marnie? Ja nie mam na imię Marnie! Idiota!

- Przyszedłem ci z pomocą. - Uśmiechnął się i w tym uśmiechu dostrzegła coś złowieszczonego, okrutnego.

- No to zabieraj te łapy, bo nic mi nie jest! - powiedziała. W głowie jej się rozjaśniało. W torbie miała gaz, a w bocznej kieszeni drzwi toyoty leżał drapak do lodu.

- Nie mam ochoty. - Wyciągał ją z samochodu. Zaczęła stawiać opór, aż nagle zobaczyła w jego ręku broń, jakby rewolwer, i serce jej zamarło.

- Co to jest? - szepnęła, patrząc mu w zimne jak lód oczy.

- Zbawienie.

- Ale ja nie jestem kobietą, której szukasz. - Walczyła, usiłując dosięgnąć drapaka do lodu, torby, czegokolwiek.

- Wiem - odparł i wymierzył do niej tym, co trzymał w ręku. Ciało Roxie przeszły elektryczny szok. Zadygotała, a on znów poraził ją prądem. Roxie osunęła się bezwładnie. - Oczywiście, że nie jesteś właściwą kobietą, Marnie. Ale będziesz jakoś musiała ją zastąpić

Randall spojrział na zegarek. Niechętnie kończył tę sesję, bo ostatnio stawały się coraz rzadsze. Jego pacjent odwołał poprzednią, która miała się odbyć bardzo wcześnie rano, a dzień później zadzwonił i umówił się na dzisiejszy wieczór. Niestety, czas było kończyć rozmowę. Następna pacjentka, ostatnia tego paskudnego wieczoru, za kwadrans wejdzie schodami od frontu. Zdziwił się, że nie odwołała sesji, biorąc pod uwagę pogodę, ale to była twarda sztuka. W terapii od piętnastu lat, najprawdopodobniej zostanie w niej dożywotnio. Ten pacjent też powinien.

Randall postukał w blat biurka dłu gopisem. Obiecywał sobie wcześniej, że nawet go nie weźmie do ręki, ale teraz zapomniał o tym.

Jego odruch nie uszedł uwagi pacjenta.

- No więc mówi pan, że muszę stawić czoło swoim lękom?
- Tak. - Randall skinął głową i odłożył długopis do pojemnika na biurku.
- Robię to codziennie.
- Naprawdę? - Randall z uznaniem pokiwał głową, ale jego pacjent nadał był podejrzliwy i spięty. Siedział na krawędzi kozetki, obie dłonie zaciskając w pięści.

Świdrował Randalla wzrokiem.

- Wie pan, zaczynam podejrzewać, że to wszystko jest gównem warte.
- Sam pan do mnie przyszedł.
- Zasugerowała mi to osoba, dla której pracuję.
- I skorzystał pan z rady.

Pacjent zacisnął szczękę.

- Uznałem, że może to coś pomoże.
- I pomogło?
- To pan jest tu specjalistą.
- Nie umiem czytać w cudzych myślach.

Na jego twarzy pojawił się ślad uśmiechu.

- Nie? No to po jaką cholere trące tu pieniądze?
- Bo chciał się pan pozbyć poczucia winy.

Pięści otworzyły się i znów zacisnęły.

- Wydaje mi się, że to niemożliwe.

Gęste brwi spotkały się u nasady nosa.

- Moim zdaniem robi pan postępy.
- Naprawdę?
- Mhm. Ale te spotkania są nie tylko poufne, są również dobrowolne.

Nikt panu nie każe tu przychodzić.

- To fakt.
- Wie pan, że nie ponosi pan odpowiedzialności za śmierć Davida.

Jakiś muskuł zadrżał na zaciśniętej szczękę.

- Ani za śmierć Carolyn.

Pacjent wyjrzał przez okno, szarpiąc dłonią szew gładkiej skóry pokrywającej kozetkę.

Randall spoglądał na Cartera, usiłującego zmierzyć się z upiorami czyhającymi na niego w mroku zimowej nocy.

- Nie wierzy mi pan - powiedział Randall.

- Pana tam nie było. Gdyby David albo Carolyn znajdowali się teraz tutaj, mogliby opowiedzieć zupełnie inną historię. - Z kamiennym wyrazem twarzy przyjrzał się psychologowi. - Oni oboje liczyli na mnie. A ja ich zawiodłem.

- Oni też pana zawiedli.

Carter parsknął.

- Ale ja nie umarłem dlatego, że mój przyjaciel okazał się idiotą, a moja żona mnie zdradziła.

- Przecież pan ich nie zabił. Nie mógł się pan wspiąć po lodzie dość szybko, żeby zapobiec upadkowi Davida, a Carolyn jechała na spotkanie z kochankiem, kiedy trafiła na lód i jej samochód spadł w przepaść. Nie mógł pan temu zapobiec.

- Pokłóciliśmy się.

- To bez znaczenia.

- Nie powinienem był pozwolić jej wsiąść do samochodu.

- A mógł pan temu zapobiec? - zapytał Randall. Sekundy głośno tykały na zegarze stojącym na kominku.

- Nie wiem. - Szeryf pokręcił głową. - Pewnie nie. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął portfel z odznaką. - CHROŃ I SŁUŻ, czy nie tak jest tu napisane? - Oczy miał ciemne i chmurne. - A ja nie zdołałem ochronić ani mojego przyjaciela, ani mojej żony.

- Nie był pan policjantem, kiedy zginął David.

- Ale byłem nim, kiedy zażądałem rozwodu, a Carolyn z płaczem wybiegła z domu.

- Nie próbował pan za nią jechać?

- Tylko do granic miasta - powiedział Carter i zmrużył oczy. Randall wiedział, że szeryf pogrąża się we wspomnieniach, nie widzi nocy za oknami gabinetu, znów przygląda się scenie wypadku, w którym straciła życie jego żona.

- Dlaczego?

- Bo jechała do niego do domu - powiedział Carter, znów spoglądając na lekarza. - Wie pan, moim zdaniem to do niczego nie prowadzi. - Zdjął marynarkę i kurtkę z wieszaka i ruszył do drzwi. - Jeśli uznam, że potrzebuję kolejnej sesji, zadzwonię.

Randall uśmiechnął się.

- Jak pan sobie życzy. Ale moim zdaniem są sprawy, którym powinien się pan przyjrzeć.

- Wie pan co, doktorze? Niektóre sprawy zawsze będą mnie prześladować.

Powiedziawszy to, wyszedł drzwiami prowadzącymi na tylną klatkę schodową. Randall odczekał, a potem podszedł do okna. Szeryf zgarmał śnieg z przedniej szyby, a potem wsiadł do swojego blazera. Kiedy wyjeżdżał na ulicę, kolejna klientka już skręcała na parking. Randall wrócił do swojego biurka i sięgnął do szuflady. Wyłączył magnetofon, na którym bez większego poczucia winy nagrał całą sesję. Szeryf Carter prawdopodobnie nie zdawał sobie z tego sprawy, że wraz z nadejściem opadów śniegu zaczynał się jego taniec ze śmiercią. Nie dość, że stracił swoich bliskich zimą, przydarzyło mu się też więcej groźnych wypadków niż statystycznie przypada na osobę, a wszystkie miały miejsce w trakcie ciemnych zimowych miesięcy. Parę razy samochód wypadł mu z drogi. W trakcie ratowania dziecka z domku letniskowego podczas zażartej kłótni jego rodziców, ojciec dziecka - wyrzutek społeczny, pijak, człowiek bezrobotny i wściekły na cały świat - postrzelił Cartera w nogę. Kiedyś Carter przybył na pomoc starszej kobiecie odciętej od świata podczas burzy śnieżnej, właśnie wtedy eksplodował jej grzejnik na gaz. Jakimś cudem oboje przeżyli. A potem ten wypadek podczas wyprawy na ryby, kiedy jego łódź zawadziła o coś i przewróciła się w niespokojnych, zimnych wodach Kolumbii. Na innej łodzi zauważono, co się stało, i, cudem pomoc dotarła na czas. Ale wcześniej czy później szczęście opuści Cartera i zemści się na nim jego własna brawura. Zawsze tak bywało.

Kamery nareszcie znów działały... Wpatrywał się w ekran i przez ukryty obiektyw obserwował, jak Jenna Hughes chodzi po swojej sypialni, zdejmując sweter, pochyla się i kręcąc pupą, ściąga dżinsy, a jej idealnie zaokrąglone pośladki osłonięte są wyłącznie skąpymi koronkowymi majteczkami... Czarne majteczki, wycięte wysoko na udach, które ledwie zakrywały jej najintymniejsze miejsca. Członek drgnął mu lekko i zaczął się wyprężyć, kiedy weszła do łazienki, wyciągnęła rękę i odkręciła prysznic, a potem rozpięła stanik i rzuciła maleńki, delikatny skrawek materiału na haczyk wiszący niedaleko kabiny prysznicowej.

- Tak jest - szepnął, wpatrując się w ekran, a w ustach nagle zabrakło mu śliny. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł go jęk, który go zirytował. Marnie zaczynała się budzić. Dziwka! Nauczycielka, która uganiała się po barach za niewłaściwymi mężczyznami... Rzykując wszystko, byle się dać przelecieć. Nie chciał jej słuchać, póki patrzył na Jennę. Idealną Jennę. Zdjęła majteczki, pokazując całe swoje piękne ciało, kopnięciem nogi pozbywając

się skąpej bielizny, a potem przystanąła na moment przed lustrem, żeby szybko upiąć włosy na głowie. W lustrze zobaczył jej piersi — duże, jędrne, o spiczastych, małych sutkach.

Spod prysznic rozchodziły się kłęby pary, a ona weszła do środka kabiny i zamknęła szklane drzwi.

Nagle poczuł, że jest twardy jak skała i pozwolił dłoni zabłądzić w okolice własnej nagości, pogłodzić gładką, chłodną skórę członka w erekcji.

Delikatne palce. Wyobrażał sobie dotyk dłoni Jenny, zmysłowy cud jej palców... A potem język. Muśnięcie. Pieszczota.

- Och.

Jenna?

Nie, Marnie.

Z pokoju obok. Budziła się.

Erekcja ustępowała.

Przyszedł czas, żeby się rozprawić z Marnie.

Rozdział 28

Carter mówił serio, kiedy nazwał ostatnią sesję z doktorem Randallem „gówno warta”. Nie robili żadnych postępów, brnęli mozolnie od nowa przez wciąż te same obszary emocji. Skontaktował się z psychoterapeutą, idąc za radą prokuratora okręgowego, ale sesje okazały się, oględnie mówiąc, nierówne, nie dawały satysfakcji.

Kilka lat temu przestał przychodzić do Randalla, ale tej zimy wznowił spotkania, bo z nadejściem mrozu powróciły koszmary senne. Okropne sny, w których widział twarz Davida pod lodem, patrzącego na niego i cicho poruszającego wargami, kiedy wydawał ostatnie tchnienie, i jeszcze gorsze obrazy Carolyn, jej pokrzwawionej twarzy, uwięzionej w zmiażdżonym samochodzie. W przeciwieństwie do milczącego we śnie Davida Carolyn wciąż monotonnie powtarzała: „Dlaczego, Shane? Dlaczego? Dlaczego nie możesz mi wybaczyć?”

Dobre pytanie.

Czy to wina Carolyn, że Shane więcej czasu spędzał w roli zastępcy szeryfa niż jako mąż swojej żony? Czy to jej wina, że nie czuł się gotowy na dziecko, którego tak rozpaczliwie pragnęła? Czy to jej wina, że Shane zachęcał ją, żeby sama częściej spotykała się z przyjaciółmi, kiedy on pracował? Czy to jej wina, że Wes Allen, człowiek o artystycznej duszy, dobrze wiedział, jak sprawić, żeby osamotniona kobieta poczuła, że ktoś jej pragnie?

- Skurwysyn - mruknął Carter, starając się pozbyć obrazu, który nawiedzał go od lat: Carolyn i Wes w łóżku Cartera w te noce, kiedy on był na służbie. Mocno ścisnął dłońmi kierownicę, kiedy nagle rozdzwoniła się jego komórka.

Odebrał ją, zanim zdążyła zapiszczeć ponownie.

- Carter - warknął.

- Tu Hixx. Na Southeast Rivercrest mamy wypadek z udziałem jednego pojazdu. Toyota rocznik siedemdziesiąt trzy, zarejestrowana na Roxie Olmstead.

Reporterka. W pobliżu jego domu.

- Nic jej nie jest?

- Nie wiemy. Nie ma jej w samochodzie, na którym już zebrało się sporo śniegu.

- Gdzie jest?

- W tym rzecz. Nikt nie ma pojęcia. Wysłała z redakcji około siódmej, wylogowała się z sieci o szóstej pięćdziesiąt i, według słów jej gospodyni nie pojawiła się w domu nawet po to, żeby wyprowadzić swojego psa. Jest niezamężna, mieszka sama. Dzwoniliśmy do okolicznych szpitali, ale nie została nigdzie przyjęta. Nie dzwoniła też po pomoc drogową ani na policję, żeby zgłosić wypadek. Nie skontaktowaliśmy się jeszcze z jej przyjaciółmi ani rodziną.

- Może uciekła z miejsca wypadku. Wypiła o parę drinków za dużo, nie chciała ponosić konsekwencji i zaszła się gdzieś, póki nie wytrzeźwieje.

- Wygląda to tak, jakby ktoś ją zabrał stamtąd. Znalaziono ślady opon innego pojazdu i odciski butów. Ale co najdziwniejsze, jej torba i laptop pozostały w samochodzie. Nie wzięła ich ze sobą ani nie zabrał ich ten ktoś, kto był na miejscu wypadku.

Carter poczuł, że po kręgosłupie przebiega mu dreszcz niepokoju.

- No i jest jeszcze coś. Wydrukowała sobie z Internetu plan dojazdu. Trasę do pana domu, szeryfie.

- Do mojego domu? - O co w tym wszystkim chodziło, u diabła? Mózg przeszło mu igłą poczucie winy. Czy ta Olmstead nie chodziła za nim ostatnio, chcąc wyprosić wywiad albo przynajmniej oświadczenie? A on ją ignorował. - Zabezpieczcie miejsce wypadku - powiedział, kończąc rozmowę. - Zaraz tam będę.

Carter zaniepokoił się. Pomyślał o zaginięciu Sonji Hatchell. O Mavis Gette znalezionej na Catwalk Point. Dwie sprawy, które pozornie nie wiązały się ze sobą. Dotyczyły zupełnie odmiennych sytuacji: autostopowiczka, która wsiadła do samochodu niewłaściwego faceta, i kelnerka, która razem ze

swoim samochodem zniknęła którejś zimowej nocy. Ale obie zdarzyły się w tej okolicy. Nie należy wyciągać pochopnych wniosków, ale ogarniało go niedobre przeczucie w związku z tym wszystkim. Nie opuszczało go, kiedy jechał przez śnieg tam, gdzie był już wóz patrolowy policji stanu Oregon i paru reporterów- nie tylko z „Banner”, bo pojawiła się też furgonetka lokalnej stacji telewizyjnej. Prawdopodobnie dlatego że z policji zadzwoniono do gazety, usiłując namierzyć Olmstead. Ktoś dał cynk ludziom z telewizji.

Niewysoka kobieta w błękitnej kurtce podsunęła mu mikrofon.

- Szeryf Carter? Jestem Brenda Ward z KB ST. - Za nią krok w krok szedł kamerzysta. - Czy pana zdaniem zniknięcie Roxie Olmstead ma związek ze sprawą Sonji Hatchell?

Carter odwrócił się i stanął twarzą w twarz z reporterką. Zauważył wymierzony w siebie obiektyw kamery.

- Nie wiemy jeszcze, czy zginęła. Na razie mamy tu tylko wypadek, spowodowany prawdopodobnie burzą śnieżną, i naprawdę nie mogę w tej chwili spekulować ani wygłaszać żadnych opinii ponad to, co powiedziałem.

Podeszła do niego o krok, machnięciem ręki ponaglając kamerzystę, ale Carter zignorował ją i skierował się w stronę miejsca wypadku. Na szczęście zatrzymała się przy taśmie ochronnej.

Sytuacja wyglądała dokładnie tak, jak Hixx opisał ją przez telefon, ale kiedy Carter stał zwrócony plecami do wiatru i przyglądał się zgniecionej masce toyoty, zaczęły go ogarniać wątpliwości. Coś tu nie grało.

Zdecydowanie nie grało.

Roxie obudziła się, leżąc na zimnej, twardej płycie. Zdrętwiały jej mięśnie całego ciała. W głowie czuła pulsujący ból. W ustach miała jakiś obrzydliwy posmak. A przede wszystkim było jej strasznie zimno. Tak okropnie zimno, że z trudem łapała oddech. Otworzyła jedno oko, a w myślach mieszały jej się wspomnienia. Jechała na spotkanie z szeryfem, jakiś wariat zepchnął ją z drogi, a potem użył elektrycznego paralizatora. Co gorsza, teraz była naga.

Co ten wariat jej zrobił?

Była związana, nie bardzo mogła się ruszać. Śmiertelnie się przeraziła, ale usiłowała opanować lęk. Gdziekolwiek była, musi pomyśleć, jak się stąd wydostać. I to bezzwłocznie. Musiała zachowywać się cicho, żeby ten świr nie zauważył, że się obudziła. Powoli obróciła głowę na bok, leżąc na

zimnym, gładkim betonie, i usiłowała coś zobaczyć, z nadzieją, że się zorientuje, gdzie się znalazła i jak można stąd uciec.

Światło było słabe, ale gdy wyciężyła wzrok, udało jej się dostrzec, że jest w magazynie czy jakimś innym wielkim pomieszczeniu z wysokim sufitem pokrytym plakatami i zdjęciami. Zdjęciami jednej kobiety. Jenny Hughes. Na litość boską, co za szaleniec ją porwał? Nie widziała żadnych drzwi ani okien, ale przecież gdzieś tu musi być jakieś wyjście. Na środku pomieszczenia stał podest, a na nim kilkanaście ludzkich postaci. Na wpół ubranych kobiet. Niektóre były łyse. Inne kompletnie nagie. Dwie miały woskowe, wymalowane twarze, na pozostałych w ogóle nie widać było żadnych rysów. Serce Roxie niemal przestało bić, kiedy przyglądała się tej grupie kobiet, z których żadna nie drgnęła nawet o milimetr... To nie kobiety, to jakieś posągi. Surrealistyczne rzeźby. Zamrugała parę razy powiekami i wreszcie zrozumiała, że ma przed sobą manekiny, podobne do tych, które widywała w Saksie i u Neimana-Marcusa.

Co to, do cholery, miało być? Jakaś zwariowana scenografia do *Żon ze Stepford*. I dlaczego było tu tak upiornie zimno? Czy ten psychol nie znał centralnego ogrzewania? A może to miała być część tortur? Przy tej myśli zrobiło jej się słabo. Tortury! O Boże, nie! Przyglądała się manekinom zgrupowanym wokół fotela - fotela dentystycznego z pełnym wyposażeniem i wiertarką.

Usłyszała jakiś odgłos i zamarła.

Pomieszczenie wypełniła muzyka. Melodia z *Końca lata*, jednego z filmów z Jenną Hughes. Roxie oglądała go kilka razy w telewizji kablowej, identyfikując się z Marnie Sylvane, główną postacią, samotną nauczycielką, która nie mogła znaleźć miłości. Marnie Sylvane. Czy ten psychol nie zwrócił się do niej „Marnie”, kiedy ją zaatakował? Co się tu działo?

Kątem oka dostrzegła go. Zupełnie nagi stał w przeszklonym pomieszczeniu, wpatrując się w monitor komputera. Zadrżała, ogarnięta nową falą strachu, a on, jakby to wyczuł, obrócił się nagle i skupił wzrok na niej.

- Marnie, obudziłaś się, tak? - Uśmiechnął się lodowatym uśmiechem i wszedł do pomieszczenia, na którym się znajdowała.

- Nie jestem Marnie - powiedziała, a jego uśmiech nieco zbladł.

- Oczywiście, że jesteś.

- Nazywam się Roxie Olmstead i jestem reporterką z „Banner”, dziennika hrabstwa Lewis. - Usiłowała wstać, ale kostki miała związane grubym sznurem i nie udało jej się nawet podnieść do pozycji siedzącej.

Cholera by to wszystko. - Mąż się zaniepokoi moją nieobecnością i zadzwoni na policję. Będzie cię szukał i skręci ci kark, kiedy cię znajdzie.

- Nie jesteś zameżna, Marnie.
- Mówiłam ci, kretynie, że nie jestem Marnie. -Nie była też mężatką, ale pomyślała, że on się nabierze na ten blef.
- Po prostu się wstydzisz.
- Co takiego?
- Bo pozwoliłaś sobie na wiele... Aleja się rym zajmę. Zobaczysz.
- Co ty, do cholery, wygadujesz? Nie trzeba się mną zajmować... -
Udało jej się usiąść, ale kiedy zobaczyła u jego boku paralizator, zamarław bezruchu. Krew w jej żyłach lodowaciała.
- Tak lepiej - powiedział. Ledwie słyszała jego słowa ponad dźwiękami muzyki. Nie odrywała oczu od paskudnego, małego rewolweru. - A teraz...
Odpęż się.
Ale ona rzuciła się na niego, atakując paznokciami, usiłując go zranić.
Wrzasnął, kiedy zadrapała go w policzek. Paralizator syknął i poczuła nagły szok elektryczny, który powalił ją na posadzkę.
Uderzyła brodą o zimny beton.
W głowie eksplodował ból. Niewiele brakowało, a zemdlałaby.
- Głupia suka - warknął, dotykając twarzy i rozsmarowując krew, która ciekła z ranki pod lewym okiem. - Chyba już czas, żeby dać ci nauczkę.
Roxie po raz pierwszy w życiu poczuła się bezradna. Nie mogąc mówić ani się ruszyć, patrzyła, jak on wyciąga z kieszeni błyszczącą jednorazową strzykawkę. Trzymając ją w górze, wycisnął nieco przezroczystego płynu w zimne powietrze. Spojrzał w jej przerażone oczy i znów się uśmiechnął..
Zimnym, pełnym wyrachowania uśmiechem mordercy.
Po raz pierwszy od piętnastu lat Roxie Olmstead zaczęła się modlić.

Rozdział 29

Okazało się, że Harrison Brennan wcale nie przesadził z opisem Jake'a Turnquista. Zbudowany jak atleta mężczyzna o błękitnych, uważnych oczach spotkał się z Jenną, dobił z nią targu i po szybkich oględzinach posiadłości wybrał na swoje lokum warsztat mieszczący się nad garażem. Stwierdził, że ma stamtąd widok na cały dom. Ustalili, że będzie nocować w warsztacie i odwozić dziewczynki do szkoły. Jenna bardziej się lękała o ich bezpieczeństwo niż o własne. Sama zgodziła się nosić przy sobie komórkę z systemem GPS i walkie-talkie, a poza rym zainstalować system GPS w dzi-pie. Każda dziewczynka miała mieć własną komórkę, również z systemem GPS, oraz walkie-talkie.

- Koszmar - stwierdziła Cassie, obserwując z kuchennego okna, jak Jake

wyładowuje swój sprzęt z przyczepy holowanej za furgonetką. Przerzucił przez ramię sportową torbę i wniósł dwie skrzynki z ekwipunkiem po ze wewnętrznych schodach. - Odtąd Wielki Brat nie spuści nas z oka.

- Ale twoja matka będzie znacznie spokojniejsza. - Jenna zatrzasnęła klapę zmywarki i spojrzała w tę samą stronę, co Cassie.

- Jak długo tu zostanie?

- Ile będzie trzeba.

Turnaunist podbiegł znów do furgonetki i wyjął z niej śpiwór, torbę z laptopem, a na koniec strzelbę z celownikiem laserowym.

- Można się wystraszyć - szepnęła Cassie.

Jenna ujęła dłoń córki.

- Tak jest bezpieczniej.

- Nie wiem, czy dużo bezpieczniej będę się czuła z obcym człowiekiem, który tu zamieszka ze swoimi strzelbami, noktowizorami i całym tym szpiegowskim szpejem - mruknęła Cassie, kiedy Jenna puściła jej dłoń. -

Zupeł

nie jakby bawił się w Rambo.

Jenna pomyślała, że Rambo bardzo by się tu przydał.

- Dajmy facetowi szansę, dobra?

Wczoraj osobiście wręczył jej listę referencji, długą na trzy strony. Jenna zadzwoniła do dziewięciu osób z tej listy i wszyscy wprost nie mogli się go pochwalić.

- Powierzyłbym mu własne córki. Wnuczki zresztą też - stwierdził jeden z rozmówców.

- Pomógł nam odkryć, kto nas prześladowa - powiedziała inna osoba. -

Jake Turnaunist znalazł łobuzów, którzy postawili płonący krzyż na naszym podwórzu i poprzecinali opony w naszej furgonetce. Namierzył ich i przekazał władzom. Wreszcie mogliśmy spać spokojnie.

Nikt nie powiedział złego słowa o tym człowieku.

Jenna od razu go zatrudniła.

Teraz, kiedy patrzyła, jak wraca do przybudówki nad garażem, poczuła lekką ulgę. Chociaż, gdyby miała wybór, wynajęła do tej roli szeryfa! Od pierwszej chwili, kiedy zaczęła brać pod uwagę zatrudnienie ochroniarza, wyobrażała sobie, jakby to było, gdyby Shane Carter wprowadził się do warsztatu nad garażem, nadzorował posiadłość, siedział z nią wieczorami, sprawdzał, czy wszystkie drzwi i okna są pozamykane, a parkan otaczający ranczo nieuszkodzony.

Chociaż Carter wzbudzał w niej mieszane uczucia, Jenna nauczyła się ufać jego instynktowi i szanować go jako przedstawiciela prawa. Od Rindy

usłyszała wystarczająco wiele o jego prywatnym życiu, żeby wierzyć, że ten człowiek zrobi wszystko, co trzeba, by zapewnić bezpieczeństwo jej i jej córkom.

Miał jednak pod opieką całe hrabstwo, a nie tylko jej małą rodzinę.

Mimo wszystko wyobrażała sobie, że to on niesie walizkę po schodach garażu.

Och, daj spokój, Jenna, sama wiesz, o co ci chodzi. To nie w pracowni chcesz widzieć tego faceta, prawda? W gruncie rzeczy chciałabyś się dowiedzieć, jak to będzie, kiedy on cię weźmie w ramiona, kiedy cię pocałuje, kiedy zacznie się z tobą kochać.

A to dopiero!

Skąd ją to naszło?

Skąd jej się to wzięło?

Owszem, Shane Carter jest twardym, seksownym stróżem prawa, ale co z tego? Wystarczyło tylko spojrzeć na stos ostatniej poczty, leżący na kuchennym stole, na kopertę z rachunkiem za mandat, żeby sobie przypomnieć, jak upierdliwy potrafi być Carter. Nie znał umiaru. Czy ona oszalała, snując marzenia na temat tego faceta? Czy nie podsłuchiwała, co sądzi o niej, kiedy skarżył się na nią Rindzie w teatrze? Czy nie powiedział, że we własnych oczach chce ona uchodzić za jakąś hollywoodzką księżniczkę?

Tak, ale to było, zanim go poznała, zanim okazał troskę o nią i jej córki, zanim zauważyła w jego oczach cień uśmiechu, przebłysk serdeczności. Należało spojrzeć prawdzie w oczy: zaczynała się durzyć w tym człowieku.

- Och, wykluczone! - powiedziała na głos,

- Co, wykluczone? - spytała Cassie.

- Nic. Ja... Trochę się zamyśliłam. - Znów wyjrzała przez okno i zobaczyła, że Jake skończył już wносить swoje rzeczy i skierował się teraz w stronę bramy. Wspomniał wcześniej, że sprawdzi bramę i system alarmowy, przejdzie się wzdłuż ogrodzenia i zapozna się z terenem.

Później może będzie miał jakieś dalsze pomysły.

Była skłonna zgodzić się na wszystko.

Za każdym razem, kiedy wchodziła do swojej sypialni, zaczynała czuć się nieswojo. Jak ten intruz zdołał się tu dostać i podrzucić list? Ile razy był w jej domu? Czy usiadł na jej łóżku, kiedy jej tu nie było? Czy się na nim położył? Czy wyobrażał sobie, że ona jest z nim, kiedy spoglądał na stojące na biurku zdjęcia Jenny z córkami?

- Mamo? Nic ci nie jest? - spytała Cassie i Jenna wróciła do rzeczywistości.

Cassie przyglądała się jej badawczo. - Nie boisz się chyba, prawda?

- Nie! - Jenna zmusiła się do uśmiechu. - Po prostu myślę o przedstawieniu. Jutro wieczorem mamy próbę. Chcieliśmy ją odwołać ze względu na

pogodę, ale... - Spojrzała na szare chmury - Chyba się przejaśni. A to znaczy, że jutro jedziecie do szkoły...

Cassie wydała melodramatyczny jęk.

- A ja będę miała kolejną pasjonującą próbę sztuki *To wspaniałe życie*. Teraz idź i poszukaj siostry. Spytaj, co chce zjeść na lunch.

- Niech zgadnę. Hamburgera z serem, chicken nuggets albo pizzę.

- Albo nachos - dodała Jenna, zadowolona ze zmiany tematu. - Potem możesz pomóc mi zawiesić lampki przed domem.

- A Hans nie może tego zrobić? Albo ten nowy facet, Turnquist?

Jenna zachichotała.

Chyba nie należy to do jego obowiązków. Sama mówiłaś, że rodzina powinna wspólnie obchodzić gwiazdkę, śpiewać kolędy. Zaczniemy więc od powieszenia lampek. To będzie początek nowej tradycji.

Cudownie — westchnęła Cassie. — Po co ja w ogóle otwierałam usta? I Bo ogarnął cię nastrój Bożego Narodzenia.

- Ach, daj mi spokój... - szepnęła Cassie, ale roześmiała się i po raz pierwszy od znalezienia tego listu w swojej sypialni Jenna poczuła się odrobinę lepiej.

Dwa dni po wypadku Carter, jadąc do miasta, minął sosnę, na której rozbił się samochód Roxie. Od czasu gdy znaleziono uszkodzoną, porzuconą toyotę, reporterka nie dała znaku życia. Ekipy poszukiwawcze nie znalazły żadnych wskazówek co do jej losu. Na drzewie został paskudny ślad, drzazgi i kora odarta do żywego drewna, które już pokrywało się żywicą.

Policja stanu Oregon współpracowała z FBI, ale porucznik Sparks nie miał dla Cartera zbyt wielu wiadomości. Ze względu na podejrzenie porwania stanowe laboratorium kryminalistyczne zbadało miejsce wypadku samochodu, a corollę odholowano do policyjnego warsztatu, gdzie obejrzeni ją technicy. Nie znaleźli żadnych śladów poza notatką, która jasno świadczyła, że Roxie jechała do domu Cartera, kiedy straciła panowanie nad kierownicą. Świeże wgniecenie na tylnym błotniku wskazywało na to, że ktoś mógł ją potrącić, ale na karoserii było kilka innych, starszych wgnieceń. Laboratorium badało zadrapania na zderzaku, ale nie zostały na nim żadne ślady lakieru.

Roxie zostawiła torebkę, torbę sportową z rzeczami na siłownię, laptopa, rozbity termos z kawą i mapę wydrukowaną z Internetu, która zawierała plan

dojazdu do domu Cartera. Pracowała aktualnie nad kilkoma tematami naraz, a jednym z nich było zniknięcie Sonji Hatchell. Teraz i ona zaginęła.

Ironia losu.

Przeznaczenie?

Czy po prostu zwyczajny pech?

Carter rozmawiał z detektywem z policji stanowej i powiedział mu, że unikał Roxie Olmstead przed jej zaginięciem, podobnie zresztą jak wszystkich innych dziennikarzy. Teraz miał poczucie winy. Czy gdyby udzielił jej wywiadu, żyłaby dzisiaj?

Nie ma jednak żadnego dowodu na to, że nie żyje. Szukają zaginionej kobiety, nie zwłok.

W głębi duszy czuł lęk. Nie chciał być pierwszym, który wymówi słowa „seryjny zabójca”.

Niemniej ciągle się zastanawiał. Czy gdyby udzielił jej wcześniej wywiadu, musiałyby jechać tą trasą? I zostać potrącona? Porwana?

- Cholerny świat - mruknął do siebie. Policyjne radio zatrzeszczało, kiedy mijał teatr. Okna udekorowano bożonarodzeniowymi lampkami, a podświetlany szyld oznajmiał wszystkim, że jeszcze można kupić bilety na kolejne przedstawienie miejscowego teatru amatorskiego, adaptację sztuki *To wspaniałe życie*.

A od kiedy życie jest takie wspaniałe? Carter był w nastroju ponurym jak wiszące na niebie chmury. Na szczęście nie padał śnieg. Służbom miejskim wreszcie udało się odśnieżyć i posypać piaskiem drogi, a prąd elektryczny mieli prawie wszyscy obywatele hrabstwa Lewis. Jednak mróz nadal się utrzymywał i teraz na odmianę zaczynała budzić niepokój kra na rzece. W wyższych partiach gór padał śnieg na zmianę z gradem i pogoda nie zamierzała się poprawić.

Zauważył dżipa Jenny Hughes, zaparkowanego na placu przed teatrem.

Ciekawe, czy wynajęła Turnausta, czy nadal szuka ochroniarza. Nie powinny same mieszkać na rym odludziu. Ponieważ miał kilka minut do rozpoczęcia służby, wjechał na parking. Bez zastanowienia wbiegł na ganek i wszedł do budynku teatru.

Z głośników rozlegała się muzyka i usłyszał głosy dochodzące z suterenu. Stukając butami po drewnianej posadzce, zszedł do pomieszczenia dźwiękowców. Znalazł tam Rindę i Jenę, pochylone nad ekranem komputera.

- Cześć, przystojniaku - powiedziała Rinda, wstając. Uściskała Cartera, a potem odsunęła go na odległość ramienia i przyjrzała mu się. - Kiepski poranek?

- A nie wszystkie są takie?

Rinda zamrugała oczami, a Jenna, oparta o biurko, uśmiechnęła się. I co to był za uśmiech! Wręcz promienny. Prawdopodobnie wyuczony.

- Zobaczyłem pani dżipa przed teatrem i postanowiłem sprowadzić, co u pani słyhać. Zatrudniła pani Turnaquista?

Pokiwała głową.

- Nie widzę go tutaj...

- Zabrał dzieci do szkoły i ma wrócić do domu. Tak się umówiliśmy. Będzie nocował w warsztacie nad garażem, bo ma stamtąd dobry widok na dom, a poza tym ani na chwilę nie rozstajemy się z komórkami i walkie-talkie. -

Jakby odczytując pytanie w oczach Cartera, dodała: - Bardzo się boję, oczywiście, że się boję, ale nie mogę pozwolić, żeby przez dwadzieścia cztery godziny na dobę ktoś mi siedział na karku. Muszę mieć nieco prywatności. Nieco niezależności.

- System alarmowy działa?

- O tyle, o ile. Jake sprawdził wszystko jeszcze raz i co wieczór obchodzi teren... Czuję się o wiele bezpieczniej. Dziękuję panu.

• Proszę spełniać wszystkie jego polecenia. Rinda sapnęła niecierpliwie.

- Grzeczniej byłoby odpowiedzieć: „Ależ nie ma za co”. Carter, kiedy przestaniesz być takim sztywniakiem?

- Kiedy będzie wreszcie bezpiecznie.

- Nigdy nie jest bezpiecznie - zauważyła Rinda, tracąc dobry humor. - Ale owszem, w naszej okolicy bywało lepiej. Najpierw Sonja, a teraz Roxie. Pewnie nie masz nowych informacji o żadnej z nich.

- Na razie nie.

- Strasznie mi się to nie podoba. Roxie jako dziecko była taka miła, chociaż uparta.

- Znałaś ją?

- Kiedy ze Scottem przeprowadziliśmy się tu z Kalifornii, poznałam Lilę, matkę Roxie. Obie byłyśmy wtedy świeżo upieczonymi rozwódkami, więc znalazłyśmy wspólny język. Scott często bawił się z Roxie, chociaż była od niego parę lat starsza.

Drzwi teatru otworzyły się i odgłos kroków poprzedził nadejście Wesa Allena.

- Hej, co słyhać? - Napotkał spojrzenie Cartera. - Cześć, Shane - powiedział.

Skinął głową i uśmiechał się z przymusem. Trwało tak od lat. I pomyśleć, że kiedyś wszyscy byli przyjaciółmi.

- Cześć, Wes.

- Tutaj walczysz z przestępczością? - spytał Wes, mrugając okiem.

Rinda zachichotała trochę nerwowo.

- Walczę z nią, gdzie się da - odparł Carter, nie dając się wyprowadzić z równowagi. Był taki czas, kiedy miał wielką ochotę zmasakrować twarz Wesowi Allenowi i pewnego wieczoru dał się ponieść nerwom. Ryzykując utratę pracy, postanowił przyłożyć facetowi, który uwiódł mu żonę. Ale to było całe lata temu, zanim przyjął do wiadomości, że prawdopodobnie to Carolyn uwiódła Wesa i że on sam, Carter, nie był bez winy, bo odsunął się od niej. Może te lata terapii mimo wszystko nie poszły na marne. Skinął głową w stronę Jenny Hughes. -Zajrzę do pani później.

Czy to tylko jego wyobraźnia, czy faktycznie zielone oczy Jenny na moment rozbłysły?

- Proszę to zrobić.

- Będę pamiętał - obiecał i po raz pierwszy od ponad dwóch tygodni poczuł, że na krańcu tego tunelu jest jakieś światło. — Do zobaczenia — powiedział do Rindy, a zdumionego Wesa Allena klepnął mocno w ramię.

Dlaczego tu jest tak ciemno?

I zimno... tak okropnie zimno.

Zabolały ją ręce.

Półprzytomna otworzyła jedno oko.

Gdzie się znalazła?

Głowa jej ciążyła, myśli były bezładne, pamięć fragmentaryczna. Bolały ją usta. Zęby wydawały się jakieś dziwne.

Gwałtownie drżąc, zaszczekała bolącymi zębami tak mocno, że odgłos tego odbił się echem w jej czaszce. Usiłowała myśleć.

Mroźne powietrze wirowało dokoła niej.

Była naga?

Zmusiła się do otwarcia drugiego oka i zobaczyła, że znajduje się w pomieszczeniu przypominającym laboratorium, mrocznym, cylindrycznym w kształcie, tak wyziębionym, że jej oddech zamieniał się w wąskie strużki pary. Roxie wisiała nieruchomo nad jakimś wielkim zbiornikiem.

Co? Wisiała?

Roxie, myśl! Gdzie, do diabła, jesteś?

Wracały do niej fragmenty wspomnień. Wypadek. Paralizator. Strzykawka.

O Boże, jakiś psychol ją dopadł!

Usiłowała krzyknąć, ale nie mogła z siebie wydobyć głosu. Ramiona miała wyciągnięte nad głową, ręce i nogi przywiązane do długiej stalowej belki, która wpijała się jej w kręgosłup.

Patrząc w dół, zauważyła, że zbiornik jest szklany, wypełniony bezbarwnym płynem.

O Boże, to jakiś kwas! Przerazona szarpnęła się w więzach, przypominając sobie horrory, które oglądała kiedyś tak chętnie. Panika ścisnęła jej wnętrzności. Lodowato zimne powietrze wirowało wkoło niej. Musiała stąd uciec. Natychmiast! Gorączkowo przeszukiwała wzrokiem wielkie, zimne pomieszczenie. Sufit był jakieś siedem metrów nad nią, zaokrąglone ściany odległe i pogrążone w mroku, ale w rogu stali jacyś ludzie. Nie, nie ludzie, manekiny bez twarzy, które widziała już wcześniej, wszystkie ubrane w dziwne stroje. .. A może kostiumy... Ubrania, które na pewno już gdzieś widziała, ale to przecież niemożliwe... Opanowała strach, kiedy zobaczyła plakaty filmowe poprzyklepiane na ścianach otaczających tę makabryczną scenę, plakaty ze znanych jej filmów:

Odkupienie.

Mrok.

Utracona niewinność.

Koniec lata.

Filmy, w których główne role grała Jenna Hughes... I to jej zdjęcia były Wszędzie, przyklejone do ścian i sufitu. Co to miało być? Jakaś makabryczna kaplica poświęcona aktorce? O co chodziło w tym szaleństwie?

To jakiś sen. Koszmar. Nic więcej.

Ale serce jej łomotało, krew szumiała w uszach. Chociaż zeszywniała z zimna, teraz zaczęła się pocić, mokrymi, drobnymi kroplami czystego strachu.

Czy była tutaj sama? Pomocy! - krzyknęła. - O Boże, proszę, niech mi ktoś pomoże!

Ale jej głos brzmiał cicho i niewyraźnie, nawet we własnych uszach. Strach i desperacja wczepiły się w nią pazurami.

I wtedy go zobaczyła. Znowu.

Tego podłego kutasa, który jej to wszystko zrobił.

Całkiem nagi, stał w niesamowitej, błękitnawej poświacie ekranu komputerowego.

- Ty pieprzony zбочeńcu! - usiłowała krzyczeć. - Zdejmij mnie stąd, ty bydlaku! - Jej słowa były niewyraźne... Niezrozumiałe.

Spojrzał na nią. Nawet się uśmiechnął. O Boże, on się tym dobrze bawi.

Opuściła ją odwaga.

- Pomóż mi! - próbowała błagać. - Proszę!

Poruszył się lekko i dostrzegła jego erekcję... On się tym naprawdę podniecał. Pomyślała, że chyba zaraz zwymiotuje.

Nacisnął jakiś klawisz przy komputerze i pokój wypełniła muzyka.

Rozpoznała tę piosenkę. Temat z filmu *Biała ciemność*. Film nigdy nie został Ukończony, ale piosenka została nagrana.

Belka drgnęła.

Dreszcz przerażenia przeleciał po kręgosłupie Roxie. Krzyknęła.

Stalowy kabel zaczął się odwijać ze zgrzytem.

Powoli, bardzo powoli belka zaczęła się opuszczać. Była coraz bliżej powierzchni przejrzystego, śmiercionośnego płynu.

- Nie! O Boże, nie! -Roxie zaczęła jęczeć i trząść się, bezskutecznie szarpiąc się w więzach, z przerażeniem widząc, że opuszcza się coraz niżej.

- Proszę, na miłość boską, puść mnie!

Muzyka brzmiała coraz głośniejsze, aż zaczęła rezonować echem w całym pomieszczeniu, tętniąc jej w głowie. Stalowa belka dotknęła przejrzystego płynu. Roxie wciągnęła zimne powietrze, które aż parzyło w płucach, kiedy palce u nóg zanurzyły się w lodowatym płynie.

To nie był kwas.

Zwyczajna woda.

Wystarczająco zimna, żeby w niej zamarznąć.

- Przestań! Proszę! Dlaczego ty mi to robisz?

Jej stopy były już pod wodą, mięśnie usiłujące przeciwstawić się zimnu przenikającemu ją do szpiku kości ogarniały skurcze. Woda sięgała ponad łydki, ponad uda, coraz wyżej. Dziko krzyknęła, usiłując się wyswobodzić, ale nogi i ręce nie reagowały, bo więzy były zbyt ciasne, a krew przestawała krążyć w żyłach. Kiedy woda dosięgła jej do piersi, zrozumiała, że już jest po niej. Przez łyżki i obłe ściany zbiornika znów widziała tego skurwysyna. Teraz stał o wiele bliżej. Splunęła w jego stronę, trafiając w szkło ponad powierzchnią wody. Nawet nie drgnął. Stał bez ruchu, nagi i podniecony.

Patrząc.

Czekając

Zabijając ją centymetr po centymetrze.

Rozdział 30

Carter kwadrans po tym, jak zdecydował się zapomnieć o dawnych pretensjach do Wesa Allena, siedział już przy swoim biurku w budynku administracji hrabstwa. Większą część ranka odpowiadał na e-maile, wypełniał formularze, odbierał telefony i zajmował się zwykłymi sprawami

swojego wydziału, ale przez cały ten czas rozmyślał o zaginionych kobietach, o Mavis Gette i o listach, które dostawała Jenna Hughes. Czy był między nimi jakiś związek? Na razie nie mógł tego udowodnić.

Ale bynajmniej nie zamierzał się poddawać.

Nie pomagało mu to, że popędzało go biuro prokuratora okręgowego.

Amanda Pratt zajrzała do jego gabinetu, słodka jak cukierek, wypytyując o sprawę Mavis Gette. Złamany obojczyk, nieznacznego przodozgrzyz i wreszcie badania DNA dowiodły, że Jane Doe to była Mavis Gette, której zabójca prawdopodobnie nadal przebywał na wolności. Amandę, swoją zastępczynię, poganiał z kolei prokurator okręgowy, a na niego naciskały media i społeczeństwo, domagające się schwytania mordercy.

- Musimy znaleźć jakieś odpowiedzi - powiedziała Amanda.

- Pracujemy nad tym. Jeśli cokolwiek się pojawi, dowiesz się pierwsza.

- Dzięki, Carter.

Położyła dłoń na jego dłoni, jakby coś ich ze sobą łączyło. A potem zmarszczyła nos i zafundowała mu uśmiech, który miał być czarujący i łagodny. Nie był taki. Ta kobieta przypominała rekina w krótkiej spódnicy i pantoflach na siedmiocentymetrowych obcasach. Interesowało ją wyłącznie to, żeby jej szef dostał awans, bo wtedy sama zajmie stołek prokuratora okręgowego. Nie obchodziło jej, kogo po drodze na szczyt nadzieje na obcasy swoich szpilek. Carter to wiedział. Całe biuro wiedziało. Na szczęście dała mu wreszcie spokój i odeszła, stukając obcasami w holu. Następną kilka godzin spędził, opędzając się od telefonów, kończąc raporty i przyglądając się zdjęciom obu zaginionych kobiet i Mavis Gette. Miały podobną posturę, chociaż inny kolor włosów. Wszystkie były ładne, drobnej budowy, niezły metr sześćdziesiąt wzrostu, wszystkie miały około trzydziestki i były rasy białej. Ale Mavis była tu tylko przejazdem. Roxie pracowała zawodowo. Sonja dzieliła czas pomiędzy domem i pracą, usiłującą jakoś związać koniec z końcem. Mavis i Sonja mieszkały kiedyś w Kalifornii, Roxie nigdy.

Mimo wszystko coś je łączyło. Choć nie wiedział jeszcze co. Zapisał nazwiska kobiet w notatniku, zastanawiając się nad każdą.

Mavis Gette nie żyje.

Sonja Hatchell i Roxie Olmstead zaginęły.

Dowody nie pozwalają połączyć ich ze sobą.

A jednak... Kiedy wpatrywał się w zdjęcia wszystkich trzech kobiet na monitorze swojego komputera, miał wrażenie, że mają ze sobą coś wspólnego.

- Cześć! - powiedziała BJ, wsuwając głowę do jego gabinetu. Był tak pogrążony we własnych myślach, że nie usłyszał, jak otwierała drzwi. - Po

stawię ci lunch, co ty na to?

- A co to za szczególna okazja?

- - Przyda nam się przerwa.

- Zawsze to samo - powiedział, sięgając po kurtkę.

- Słuchaj, Carter, nie znasz tego starego powiedzenia o zaglądaniu w zęby darowanemu koniowi? Więc przymknij się i pośpiesz, bo inaczej sam będziesz musiał sobie kupić tego cholernego burgera.

- A ja myślałem, że szarpniesz się na stek.

- Chyba ci się coś przyśniło - powiedziała.

Mimo fatalnej pogody przeszli pieszo parę przecznic do Canyon Caf , gdzie poczekali na boks. Mała restauracja była zatłoczona, pełna ludzi, którzy zjechali do miasta po tygodniu odcięcia od świata w swoich domkach letniskowych. Dzieci wróciły do szkół, wszystkie sklepy otwarto, autostrada międzystanowa znów była czynna. Tak, życie wracało do normy, pomijając to, że oprócz zwykłej przestępczości miał na głowie zwłoki, dwie zaginione kobiety i psychopatycznego prześladowcę.

Dźwięki muzyki w stylu country ledwie się przebijały przez szmer rozmów, szc ek sztuc ow i syk płyty do sma enia hamburgerow. Dwie kelnerki uwijały się jak w ukropie, nalewając kawę i wodę, a kucharz przyjmujący szybkie zamówienia stawiał na kontuarze przygotowane dania. Zapach sma onej cebuli i skwierczących hamburgerow walczył o lepsze z aromatem świe o upieczonych ciast.

BJ prędko zajęła właśnie zwalnający się boks i zaczęła, aż jedyny w restauracji chłopak do sprzątania stołow zbierze naczynia i zgarnie dwudolarowy napiwek leżący między słomianymi matami, serwetkami i brudnymi talerzami. Gdy już blat został wytarty do czysta, kelnerka, która pracowała w tej restauracji, odkąd Carter pamiętał, naląła im kawy i przyjęła od nich zamówienie.

- Coś nowego w sprawie tych dzieciaków z Catwalk Point? - spytała BJ.

- A więc o to chodzi... Prywata. Mam ci przekazać, co wiem od policji stanowej. Zmrużyła oczy, spoglądając na niego znad filiżanki z kawą.

- Jasne. Uważaj rybę z frytkami za łapówkę. Nie po ałuję środków. Ale owszem, skoro ty i Sparks jesteście do ć blisko, pomyślałam, że będziesz wiedział co  więcej.

Carter roześmia  się.

- Dziewczynkom nic nie grozi. Nie postawi się im zarzutow. Je li chodzi o Megan, sama ju  to wiesz.

- A co z pozostałymi?

- Chłopcy będą pewnie musieli wykonać jakieś prace społeczne za to, że dostarczyli alkohol, chociaż nie mają ukończonych dwudziestu jeden lat. W sumie dość łatwo się z tego wyplącają.

- Za łatwo - powiedziała. - Dobrze chociaż, że Megan nareszcie oprzytomniała i zerwała z łańcem Swaggertem.

- Długo w tym wytrwa?

Za wcześnie, żebym mogła coś powiedzieć. Ale nie tracę nadziei. Od i/nsu tego „zajścia”, bo tak to między sobą nazywamy, Megan siedzi cicho i kłuje nos pod miotłą. Jim, w przeciwieństwie do mnie, nie wścieka się, tylko utrzymuje na Megan wielkimi, smutnymi oczami. Jego mina mówi aż nadto. Wyrażnie: „Jak mogłaś zrobić mi coś podobnego?” Jakby w tym wszystkim huczało o niego. No, nie mogę narzekać. Na razie wszystko jest w porządku. Ale zobaczymy, czy ta mała glista Swaggert zostawi Megan w spokoju. Lepiej żeby tak było, inaczej będzie miał ze mną do czynienia. Wypiła spory łyk kawy. - Widzisz, ile tracisz, nie mając dzieci?

Kelnerka przyniosła ich zamówienie, dla BJ hamburgera i frytki, a dla Cartera halibuta z pieczonymi ziemniakami. BJ rzuciła się na jedzenie, jakby od tygodnia nie miała nic w ustach.

- Dziś dam sobie spokój z dietą - powiedziała. - Jak można próbować ichudnąć zimą? Kto ma ochotę na szpinak bez sosu sałatkowego, kiedy temperatura spada do dziesięciu stopni poniżej zera? - Ze smakiem zaczęła jeść hamburgera.

Przez jakiś czas nie rozmawiali o niczym istotnym, pomachali do paru stałych klientów, których znali. Kończyli już posiłek, kiedy BJ powiedziała:

- Wreszcie mam raport o ludziach, którzy wypożyczali lub kupowali filmy z Jenną Hughes. Lista jest bardzo długa. - Odsunęła na bok koszyk na pieczywo. - Parę razy pojawia się twoje nazwisko. - Nie skomentował tej uwagi. - No, ale jesteś w dobrym towarzystwie. - Wyjęła z torebki portfel i położyła na stole kilka banknotów. - Sprawdziłam sklepy z kasetami wideo w mieście, w okolicy, w Internecie, wypożyczalnie zresztą też. Mnóstwo osób oglądało filmy z Jenną Hughes, odkąd się tu przeprowadziła. I nie mówię już o tych, którzy mają prywatne kolekcje filmów przegrywanych z telewizji.

Wyszli na zewnątrz i BJ ciasniej owinęła się płaszczem.

- No więc, jakie nazwiska, poza moim, rzuciły ci się w oczy?

- Hm. Jej największym fanem jest chyba Scott Dalinsky.

- Syn Rindy?

BJ pokiwała głową.

- Ma wszystkie filmy, jakie kiedykolwiek nakręciła. Zamawiał je w sieci i nawet kupił w serwisie e-Bay kilka pamiątek związanych z jej filmami.
- Sprawdziałaś dane z jego karty kredytowej?

Uśmiechnęła się figlarnie.

- Mam swoje źródła.
- Prawie wszyscy mieszkańcy miasta - stwierdziła, przystając na chodniku i czekając, aż przejedzie jakaś ciężarówka, zanim zeszła na jezdnię. Przy krawężniku leżały zasy śniegu, zepchnięte przez pługi i nadtopione ciemnym silników przejeżdżających samochodów. -I też sporo osób spoza miasta. Jakiś facet z Hood River i kobieta z Gresham są jej wielkimi fanami. Pełną kolekcję ma Wes Allen, Blanche Johnson i Asa McReedy, facet, od którego odkupiła posiadłość. Poza tym interesuje się jej filmami mnóstwo dzieciaków ze szkoły średniej, łącznie z Joshem Sykesem... No cóż, zobaczysz kompletny wydruk, ale ta lista raczej poszerza, niż zawęża krąg podejrzanych. - Weszli po schodach do ciepłego wnętrza budynku hrabstwa.

Minęli stanowisko ochrony i pokoje przesłuchań, a potem schodami weszli na pierwsze piętro.

- Poczekaj chwilę - powiedziała BJ. Pięć minut później weszła do gabinetu Cartera nie z jednym, ale z trzema plikami wydruków. Pierwsza lista, z nazwiskami osób, które wypożyczały albo kupowały kasety wideo, liczyła ponad trzydzieści stron.
- Aż tyle?
- Właśnie - odparła. - A to dopiero początek. Są to ludzie, którzy wypożyczyli albo kupili jakiś film z Jenną Hughes w ciągu ostatnich dwóch lat i mieszkają w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od Falls Crossing. Zerknęła na Cartera szelmowsko. - Obawiałam się, że wyczerpię przydział papieru dla mojego działu, jeśli rozszerzę parametry, ale zawsze możemy je zmienić, cofnąć się o kilka lat albo zwiększyć promień poszukiwań. Ograniczyłam się do stu pięćdziesięciu kilometrów, bo obejmie to metro w Portland i rejon kodu pocztowego urzędu, w którym nadano tamten list. Jeśli nasz świr chciał być sprytny i dojechał tam z drugiego krańca miasta czy przedmieść, to i tak depczemy mu po piętach. Jeśli przyjechał z dalszej okolicy, musimy rozszerzyć parametry, ale sądzę, że facet mieszka w miejscu, skąd może dostać się do domu Jenny Hughes samochodem. Wiemy, że albo on, albo jego współnik zostawił list w jej sypialni. - Na pierwszej liście położyła dwa kolejne wydruki. Grube pliki zadrukowanych kartek.
- Popularna dama - powiedział. Sięgnął po ołówek i kręcąc nim między palcami, przejrzał listę ludzi, którzy wypożyczali albo kupowali filmy Jenny.
- Nieco zbyt popularna, jak dla mnie.

- Hm. - Nazwiska umieszczono w odpowiedniej kolejności. Ci, którzy kupili albo wypożyczyli najwięcej filmów, znajdowali się na szczycie listy, ci, którzy najmniej, na ostatnich stronach. - Zbyt popularna. I za bardzo seksowna. Chociaż pewnie nie zwróciłaś na to uwagi.

Spojrzał na nią spod oka, a potem przejrzał pobieżnie listą nazwisk. Scott I Jilinsky znalazł się na pierwszym miejscu. Porównałaś to z listą jej znajomych? Uhm. Ostatnia strona.

Przerzucił wydruk. Na ostatniej stronie, literami jak woły, wydrukowana była lista przynajmniej trzydziestu nazwisk, łącznie z jego własnym. Scott Jalinsky, Harrison Brennan, Wes Allen, Travis Settler, Asa McReedy, Yolana Fisher, Lou Mueller, Hans Dvorak, Rinda Dalinsky, Estella Trevino, Seth Whitaker, Blanche Johnson, Jim Stevens.

- Twój mąż?

- Jim to pełnokrwisty amerykański samiec. Nie jest uodporniony. A jak ci się to podoba? Derwin Swaggert, nasz pastor, tatuś lana. Sądzisz, że wypożyczył *Odkupienie* ze względu na odniesienia do chrześcijaństwa, które chciał może wykorzystać w niedzielnym kazaniu?

Carter parsknął śmiechem.

- Albo *Mrok* - może to ma coś wspólnego z psalmem dwudziestym trzecim? No wiesz, jest tam fragment o tym, że się idzie przez ciemną dolinę śmierci.

- Naprawdę masz na pieńku ze Swaggertami - zauważył Carter.

- Tylko z ich synalkiem. I tylko wtedy, kiedy się kręci koło mojej małej. -

Wskazała na listę. - Zostawiam cię z tym i... Zerknij sobie, chyba na stronę siódmą... - Szybko przerzuciła kartki i przesunęła palcem wzdłuż listy na zwisk. - O, tu jest. Roxie Olmstead wypożyczyła *Utraconą niewinność* na niecały tydzień przed swoim zniknięciem. Pomyśl nad tym przez chwilę.

- Dobrze - odpowiedział, a potem zerknął na pozostałe wydruki, których jeszcze przed nim nie położyła. - Masz tam jeszcze więcej danych, jak sądzę.

- Ach, Sherlocku, nie bez powodu zostałeś mianowany szeryfem. Zacydował twój wyczulony zmysł detektywa.

- O, psiakrew! A ja przez cały czas byłem pewien, że to zasługa mojego męskiego uroku osobistego.

- No jasne, to przede wszystkim - odparła, a każde jej słowo ociekało sarkazmem. Położyła na biurku drugi plik wydruków. - Porozumiałam się z zarządzającym oficjalną stroną internetową Jenny Hughes, sprawdziłam, kto przesyła jej najwięcej e-maili, kto najczęściej loguje się na tej stronie. Tym razem wydrukowałam nazwiska fanów, którzy mieszkają w promieniu osiemdziesięciu kilometrów.

Spojrzał na wydruki.

- Jesteś operatywna.

- Też tak uważam. - Oparła się biodrem o biurko Cartera. - Następnie przejrzałam strony internetowe fanów Jenny Hughes, nieautoryzowane i półlegalne. Ale zabawa. Powiem tylko, że przyciąga więcej patologicznych tyków niż jej się statystycznie należy.

Carter zacisnął szczęki. Nie podobało mu się, że każdy chory typ z komputerem mógł mieć własny, mały kawałek Jenny Hughes. Tak jak on sam. BJ nadal objaśniała:

- Niektóre z tych stron są pełne różnego szajsu, nagich zdjęć, być może montowanych, erotycznych aluzji i wszelkiego typu dyskusji o tym, jaka to ona jest seksowna. Jeśli tak wygląda życie, kiedy człowiek jest piękny, bogaty i sławny, to ja się na to nie piszę. Przeglądając niektóre z tych stron, miałam wrażenie, że powinnam była założyć rękawice ochronne, bo klawiatura została skażona. Powinnam dostać premię za pracę w trudnych warunkach.

- Napisz podanie. Zobaczymy, co na to powiedzą odnośne władze - podsunął Carter bez śladu ironii.

- Zaznaczę, że to był twój pomysł - zażartowała BJ, wracając do wydruków. Carter, oczywiście, rozumiał, że sława ma swoje ciemne strony - wiecznie spragnieni zdjęć paparazzi, obsesyjni fani, nadużycia prasy brukowej - ale zawsze uważał, że tak to już musi być. Teraz jednak, kiedy widział, jak strach zaczyna dominować w powszednim życiu Jenny Hughes, przekonał się, jak poważne są to zagrożenia. Ogarniały go niema wściekłość i niezłomna determinacja, żeby znaleźć tego psychopata, który ją terroryzował. BJ nadal mówiła o tym, co znalazła w Internecie.

- Trudniej było dopaść kogoś przyznającego się do opieki nad takimi stronami, ale udało mi się poprzeglądać logi czatów i różne fora, stwierdzić, kto ma największą obsesję na temat Jenny Hughes i jej filmów. Problem w tym, że ci ludzie nie muszą używać swoich nazwisk, korzystają ze wszelkiego typu dziwaczkich pseudonimów. Usiłuję jednak niektórych z nich namierzyć.

- Możesz to zrobić?

BJ mrugnęła okiem.

- Tak sądzę.

- Legalnie?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Absolutnie.

- Żebyśmy mogli wsadzić tego bydlaka, kiedy go znajdziemy. Żeby nie mógł ściągnąć nam na kark jakiegoś przekupnego adwokata, który zacznie biadolić, jak to policja nadużyła praw jego klienta.

Zawahała się tylko na mgnienie oka. - Jasne.

Jesteś pewna?

Nie martw się, Carter. W sądzie wszystko będzie cacy.

Oby. Może mi jeszcze powiesz, że za pomocą łączenia i sortowania udało i się otrzymać listę osób, które odwiedzały jej strony i zarazem wypożycza- albo kupiły najwięcej filmów?

I mieszkają w okolicy. - Z uśmiechem pełnym samozadowolenia poło-yla na biurku cieńszy plik kartek. - Bardzo proszę, szefie - powiedziała. -Sami niespodziewani podejrzani.

Rozdział 31

W domu jest zupełnie jak w więzieniu - poskarżyła się Cassie, kiedy Josh podjechał po nią po lekcji nauce o świecie. Rzykowała trochę, zrywając się z godziny nauki własnej, ale było jej wszystko jedno. Już i tak . duze zaległości i zastanawiała siei co jej odbiło, żeby się zapisać na i przedmiot. Josh otworzył drzwi swojej furgonetki i poczekał, aż Cassie wdrapie się do wysokiej kabiny. Kiedy już sam wsiadł, zapaliła papierosa i dodała: - Mam teraz ochroniarza, który wygląda jak żołnierz albo agent iadu. Chce wiedzieć o wszystkim, co robię.

- O wszystkim? - spytał Josh, unosząc brwi.

- Bez wyjątku. - Wypuściła strużkę siwego dymu. - To mi działa na nerwy.

- Ile czasu będzie u was?

- Nie mam pojęcia. Pewnie dopóki nie odkryją, kto przesyła mamie te dziwaczne listy.

A twoim zdaniem, kto to jest? - zapytał i, wyjeżdżając z parkingu pod szkołą, docisnął pedał gazu. Tył furgonetki zarzuciło na lodzie.

- Hej! - zawołała. - Daj sobie spokój, dobra? Nie jestem w nastroju.

Ale Josh tylko spojrzał na nią z góry. Pomyślała, że zachowuje się zupełnie tak, jakby dopiero co wygrał wyścigi Indy 500. Co ona tu, do diabła, robi z tym wielkim pyszałkiem?

- No więc kto wysyła te listy? - powtórzył pytanie.

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Może ten sam kretyń, co poprzednio. Kiedy jeszcze mieszkaliśmy w LA. Albo jakiś inny świr. Chciałabym tylko, żeby przestał. - Spojrzała na Josha, czekając na jakąś reakcję. -

Policja też się tym interesuje. Szeryf usiłuje sprawdzić, kto wysyła te listy.

- Ten idiota nawet z lupą nie znalazłby własnej dupy.

- Czy ty zawsze musisz być taki obrzydliwy?

- Kiedy mówię prawdę - nadąsał się Josh. - Zawsze się mnie czepia.

- Teraz zajął się tym, kto przysłała mamie te listy. Będzie próbował od kryć, kto jest nią w tak chory sposób zafascynowany.

- Pewnie połowa mężczyzn w tym kraju.

- Tak, wiem. - Pomyślała, że łącznie z samym szeryfem. No cóż, Carter to bystry, przystojny facet... Tak samo, jak ten nowy ochroniarz. Tylko że Jake był naprawdę stary, musiał mieć po trzydziestce. Podobały jej się jego krótkie blond włosy, intensywnie niebieskie oczy i prosty nos, który pasował do idealnych zębów. Był umięśniony, w dobrej formie i kiedy już się uśmiechnął, wyglądał jak chłopak z telewizyjnej reklamy zachęcającej do przeżycia wielkiej życiowej przygody i wstąpienia do marines. A na dodatek był inteligentny. Jak brzytwa. Poznała się na nim od razu. To prawda, że przez Jake'a Turnausta żyła jak w więzieniu, ale mogła sobie wyobrazić gorszego klawisza. Uchyliła nieco okno, wpuszczając zimne powietrze, żeby usunąć dym z kabiny, a Josh, jednym okiem patrząc na drogę, włączył kompakt i maksymalnie podkręcił basy. Głośniki zadudniły, a on zaczął wybijać palcami rytm na kierownicy, kiwając głową w takt głośnej muzyki.

- I co, twoja mama nadal tak się na mnie wścieka?

- Wścieka to mało powiedziane.

Skrzywił się.

- Kurde.

- Obchodzi cię to?

- Jasne. Trudno mi się z tobą widywać. - Rzucił jej obleśny uśmiech, który, jak przypuszczała, miał uchodzić za uwodzicielski.

Zirytował ją. Czasami pytała samą siebie, co w ogóle widzi w Joshu. Od czasu tej wpadki na Catwalk Point zastanawiała się, czy z nim nie zerwać. Ale wtedy będzie całkiem sama. I co z tego? Może to lepiej, niż wstydzić się za Josha, który czasem zachowywał się, jakby miał czternaście lat. Może to dlatego ten ochroniarz wydał jej się taki atrakcyjny, bo był dorosły?

- Wiesz, zajrzyj do nas, kiedy mama jest w domu. Moglibyśmy się razem pouczyć albo pooglądać telewizję.

- W towarzystwie tego dupka ochroniarza? Wielka mi frajda. - Wytrząsała papierosa z paczki leżącej na desce rozdzielczej. Zapalił go zapalniczką i jechał dalej przy ryczącej muzyce. Cassie wyrzuciła niedopałek swojego papierosa przez okno. Towarzystwo Josha działało jej na nerwy. Zatrzymał nic przy sklepie, kupił wodę gazowaną, a potem jeździł po oblodzonych ulicach, machając ręką do mijanych przyjaciół, popisując się swoją odpicowaną furgonetką. Cassie umierała z nudów.

- Gdybyś przyszedł, mógłbyś wreszcie poznać moją mamę - powiedziała : naciskiem.

A co to niby ma znaczyć?

Sam wiesz najlepiej.

- O Jezu, Cass, nie zaczynaj od początku. Mówię ci, nie staje mi na widok twojej mamy.

- Miło wiedzieć - mruknęła pod nosem.

- Rodziców nie ma w domu. - Uśmiechnął się do niej milej. - Możemy i tam pojechać i mieć chatę dla siebie.

Jakby seks mógł wszystko załatwić. Nagle poczuła się bardzo zmęczona. Popatrzyła na zegarek.

- Naprawdę nie mogę. Jake przyjedzie po mnie punktualnie z ostatnim dzwonkiem.

- Jake? - powtórzył.

- Ochroniarz.

- Myślałem, że obstawia twoją mamę.

- I mnie, i moją siostrę. Razem z mamą opracowali cały program, nas wozi w ciągu dnia, a wieczorami pilnuje domu. Lepiej, żebym była pod szkołą, kiedy tam przyjedzie. - Napiła się wody i popatrzyła na Josha tak, jakby nagle zaczynała rozumieć, że ma inne zajęcia, że są inne rzeczy, które wolałyby robić, zamiast wałęsać się z nim.

- No, Cassie...

- Serio, Josh. Nie mogę znów nawalić. Mama była naprawdę bardzo zła ostatnim razem, kiedy pojechałam z tobą i nakryli nas gliniarze.

- Cholera. -Nie sprzeczał się dłużej i z ponurą miną zawiózł ją pod szkołę. Nie raczył jej nawet pocałować na pożegnanie, po prostu odjechał z parkingi z rykiem muzyki.

Kiedy policja zastała ich na miejscu zbrodni, Cassie spojrzała na Josha innymi oczami. Twierdził, że ją kocha, ale ona mu nie wierzyła. Był po prostu zwykłym wiejskim chłopakiem, który chciał się dobrze zabawić, mając gdzieś wszelkie konsekwencje. Najbardziej lubił ścigać się samochodami, polować albo oglądać półpornograficzne filmy i pić piwo. Josh Stykes swoją starą, podrasowaną furgonetką z odpicowaną kabiną i ekstraszereki oponami jechał bardzo szybko drogą donikąd.

Też atrakcja...

Cassie miała lepsze rzeczy do roboty.

O wiele lepsze.

Carter chyba po raz dwudziesty przejrzał listy otrzymane od BJ. W ciągu dnia, w przerwach między innymi obowiązkami, studiował nazwiska osób, które znał przez większą część swojego życia, ale jedynym człowiekiem, do którego wciąż powracał w myślach, był Scott Dalinsky. Syn Rindy. Dziwak, nieszkodliwy. Czy jednak na pewno? Może oceniał go łagodniej, bo był ojcem chrzestnym Scotta? I co z Harrisonem Brennanem? Sąsiadem, który traktował Jenę zdecydowanie zbyt zaborczo?

Shane bębnił palcami i zastanawiał się nad listą, kiedy nagle zatrzymał wzrok na nazwisku Wesa Allena, swojego dawnego przyjaciela. Z osobiste go doświadczenia wiedział, że Wesowi nie można ufać, ale nie chciał, żeby to, co zaszło między nim a Carolyn, miało wpływ na jego opinię.

Szukał dalej. A może to Ron Falletti, trener Jenny, albo Lester Hatchell? Les kupił dwa filmy Jenny na długo przed zniknięciem jego własnej żony. Ale prawie wszyscy z biura, łącznie z Montinellim i Amandą Pratt, wypożyczyli kilka z jej filmów. Nawet stary poczciwy Dean Randall, lekarz psychiatry, kupił *Utraconą niewinność* i *Odkupienie* w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

Wydawało się, jakby całe miasto miało we własnych domach po maleńkim kawałku Jenny Hughes.

Trudno się było dziwić, biorąc pod uwagę, jaką sensację wzbudziła wiadomość o jej wyjeździe z Hollywood. Wszyscy nagle bardzo się zainteresowali Jenną i jej karierą. Mnóstwo filmów wypożyczono i sprzedano w czasie pierwszych sześciu miesięcy po tej przeprowadzce. Nawet on miał kilka płyt DVD z jej filmami. Jego cała kolekcja składała się z *Rockiego*, *Terminatora*, serii *Ojców chrzestnych* i trzech filmów Jenny Hughes. Swego czasu miał więcej kompaktów i kaset wideo, ale przekazał je bibliotece, kiedy pozbywał się rzeczy Carolyn po wypadku.

Pomijając kilka zdjęć i amatorskich filmów wideo, po jej śmierci usunął wszystko, co mogło mu ją przypominać. Żeby nie myśleć o tym, że go zdradziła. Do diabła...

Zadzwonił telefon i Carter podniósł słuchawkę, ale nie odrywał oczu od listy. Prześladowca Jenny znajdował się na niej, był tego pewien. Należało go tylko znaleźć.

Próba nie udała się. Jenna, idąc w stronę drzwi teatru z torebką na ramieniu, nie miała co do tego wątpliwości. Tiffany, jedna z aktorek, miała zapalenie krtani. Madge Quintanna, grająca Mary Bailey, była zimną jak posąg z Wyspy Wielkanocnej. Facet obsadzony w roli męża Mary kuśtykał po scenie o kulach i zapominał trzecią część swojego tekstu. Światła ciągle mrugały podczas pierwszego aktu, za co Wes winił Scotta.

Jenna czuła się śmiertelnie zmęczona i kiedy z Rindą i Blanche, niosącą naręczę partytur, szła do wyjścia, marzyła o gorącej kąpieli i o książce, która okaże się na tyle nudna, żeby ją natychmiast uśpić. Jakby czytając w myślach Rindy, Blanche powiedziała:

- Na to zapalenie krtani matka Tiffany powinna jej dawać gorącą wodę I miodem i cytryną. Lepsze to od wszystkich środków, które można kupić w aptece bez recepty.

- Gorącą wodę?

- Z miodem. I z cytryną. Słyszałam, że można też dolać trochę whisky, **Ale** moim zdaniem to niepotrzebne i nigdy nie dawałam jej swoim dzieciakom. Chcesz, żebym zadzwoniła do Jane? Znam ją całkiem nieźle, bo Tiffany brała u mnie lekcje fortepianu przez dwa... a może trzy lata. Chętnie do niej przekreślę.

- Jeśli sądzisz, że to coś pomoże, to bardzo proszę. - Rinda spojrzała na Jennę i dodała, kiedy drzwi zamknęły się za rozpromienioną Blanche: - Wątpię, czy pomoże nam teraz cokolwiek poza boską interwencją.

- Jakoś tam będzie - powiedziała Jenna i owiązała szyję szalikiem.

- Prędzej piekło zamarznie. - Rinda wyjrzała przez okno i pstryknęła palcami. - No cóż, jest tak zimno, że może już faktycznie zamarza.

- Nie wiedziałam, że Blanche ma dzieci — powiedziała Jenna, zdając sobie sprawę, jak słabo w gruncie *rzeczy* zna swoich współpracowników i kolegów.

Przy drzwiach Rinda przystanęła.

- My jesteśmy ostatnie, tak?

- Nie, Lynnetta chyba jeszcze pracuje przy kostiumach w garderobie.

- Racja. Lynnetta! -zawołała Rinda, a jej głos rozniósł się echem po sali. - Lynnetta?

- Tak? - odchrząknął cichy głos.

- Wychodzimy.

- Idźcie już, ja pozamykam.

- W porządku! - odchrząknęła Rinda. - Zamknę drzwi za nami. Kiedy będziesz wychodziła, zamknij je ponownie. I wyłącz światła.

- Dobrze, dobrze! - zawołała Lynnetta, a jej głos znów wzbudził echo pod wysokim stropem.

- Akustyka pozostawia tu wiele do życzenia - mruknęła Rinda pod nosem. - Jeszcze jeden problem do rozwiązania.

- Zaczekajmy. - Jenna zawiązała szalik na węzeł. - Nie chciałabym zostawiać jej tu samej.

- Nie jest sama. Jest tu przecież Oliver.

- Och, ten ją na pewno obroni.

Rinda nie chciała słuchać żadnych argumentów Jenny.

- Lynnetcie nic się nie stanie. Zamknę zamek i żaden potwór tu nie wejdzie.

- Mówię poważnie, pamiętaj o tych zaginionych kobietach i o tamtej, której zwłoki znaleźli. Uważam, że powinniśmy zostać.

- Lynnetta nigdy się nie śpieszy. To może jeszcze potrwać z pół godziny albo i dłużej. Nie martw się o nią. Mieszka zaledwie dwie ulice stąd i zawsze dzwoni po męża, żeby przyszedł i odprowadził ją do domu, jeśli jest ciemno. Pastor robi to bardzo chętnie.

- Ale miasto przestało już być bezpieczne.

- Przecież zamknę drzwi? - Rinda położyła dłoń na ramieniu Jenny.

Naprawdę, nic się nie stanie. Nie denerwuj się.

- Chciałabym, ale nie mogę.

- Posłuchaj, ona sobie zadzwoni do mężusia i Romeo odprowadzi ją do domu.

Jenna nie mogła sobie wyobrazić męża Lynnetty jako romantycznego kochanka.

- Spytam jeszcze na wszelki wypadek. Lynnetta, jesteś pewna, że chcesz tu zostać?! — krzyknęła w kierunku schodów obok sceny.

- Tak! Idźcie. Nic mi nie będzie.

Rinda rzuciła Jennie spojrzenie z gatunku: „A nie mówiłam?” Uniosła znacząco brew i dorzuciła:

- Może chce się nas pozbyć, bo, kiedy mąż przychodzi, robią to na środku sceny.

- Jesteś okropna - powiedziała Jenna, myśląc o wielebnym Derwinie Swaggercie, czterdziestoletnim, surowym mężczyźnie o długiej, czarnej brodzie, krzaczastych brwiach i głosie grzęjącym podczas kazań.

- Nie tak dawno temu w tym budynku był kościół, pamiętasz? Seks w miejscu, gdzie kiedyś stał ołtarz, na pewno przemawia do wyobraźni.

- Uspokój się. Chodźmy stąd, zanim ta rozmowa zejdzie na jeszcze niższy poziom.

I A czy to jest możliwe? - Rinda zaniósł się śmiechem.

- Pewnie nie. - Jenna szarpnięciem otworzyła jedno skrzydło ciężkich drzwi. Ostry podmuch wiatru wdarł się na korytarz. Wyjrzała na zewnątrz, w ciemną bezgwiezdną noc. - Kiedy się wreszcie ociepli?

- Nigdy - zawyrokowała Rinda. Zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku. - Według meteorologów nie widać końca tej zimy. - Zeszły po schodach. - Czas pomyśleć o przeprowadzce na południe jeszcze przed premierą sztuki, zanim zniszczy nas miejscowa prasa.

Szły cementowaną alejką na prawie pusty parking, gdzie pod samotną latarnią czekały dwa samochody. Latarnia rzucała na nie przytłumione światło, a samochody połyskiwały cienką warstwą lodu. Wiatr wzmógł się, powiał od strony bocznej uliczki przez parking, przenikając na wskroś grubą puchową kurtkę Jenny, jakby uszyto ją z przejrzystej koronki.

- Masz czas na piwo? - Rinda szukała kluczyka. - Ja stawiam. Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić za dzisiejsze prezenty - dodała, mając na myśli ubrania, buty i torebki, które Jenna przyniosła do teatru.

- Nie ma o czym mówić. Liczę na odpis od podatku. Mój księgowy będzie uszczęśliwiony.

- No to ty postawisz.

Jenna zachichotała.

- Lepiej nie dzisiaj. Muszę się zameldować - powiedziała i dłonią w rękawiczce wyciągnęła walkie-talkie z kieszeni kurtki. - Poza tym jestem padnięta. Nie za dobrze sypiam, odkąd dostałam ten dziwny liścik od mojego wielbiciela.

Od chwili, kiedy odkryła, że ktoś się zakradł się do jej sypialni, Jenna nie zaznała ani chwili spokoju. Wydawało jej się, że wciąż słyszy dziwne odgłosy i przez cały czas miała wrażenie, że prócz Jake'a Turnquista jeszcze ktoś obserwuje każdy jej krok. Już sama świadomość, że ktoś był w jej domu, chodził jego korytarzami i grzebał w jej rzeczach sprawiała, że nerwy miała napięte i podskakiwała przy byle szmerze.

- Masz już przecież swojego ochroniarza. Sprawy powinny wyglądać lepiej, prawda?

- Wiem, że to powinno pomóc, ale... - Jenna spojrzała na wznoszącą się w niebo iglicę kościoła, celującą w nisko wiszące chmury. - I tak jestem ciągle podenerwowana.

- Tym bardziej powinnaś się napić piwa lub wina. Poza tym chciałam pogadać z tobą o sztuce. Na pewno zauważyłaś, że Madge nie wczuwa się w rolę Mary Bailey. - Rinda otworzyła samochód z głośnym piknięciem.

- Jakoś się w tym odnajdzie.

- Kiedy? W następnym tysiącleciu?

- Nie jest aż tak źle.

- A moim zdaniem owszem. Przyznaj, Jenna, Madge jest straszna. Okropnie, beznadziejnie, fatalnie obsadzona, - Zmarszczyła brwi w nierzeczywiściej, niebieskawej poświacie latarni. - Moja wina. Powinnaś była wybrać kogoś innego.

- Przesadzasz - zaoponowała Jenna, chociaż też nie mogła patrzeć na Madge w roli Mary Bailey.

- Nie, nie przesadzam. Mam pewne oczekiwania co do tej roli.
- Jeśli chcesz, żebym ją zastąpiła, zapomnij o tym. Madge jakoś sobie poradzi. - Jenna spojrzała na zegarek. Miała wielką ochotę na kieliszek wina. Albo jeszcze lepiej na kawę ze sporą porcją likieru kawowego. Chciała się odprężyć, zapomnieć na chwilę o wszystkich stresach. Ale robiło się już późno. - Naprawdę lepiej się pożegnaj. Możemy o tym pogadać rano, przy kawie.
- Zgoda. - A zatem kawa... Powiedzmy, o dziesiątej w Canyon Cafe?
- Tak.
- Ale ja stawiam.
- Dobra. - Jenna otworzyła drzwi dzipa i wsiadła do środka. Drząc z zimna, uruchomiła silnik, a potem, zamknąwszy drzwi, włączyła ogrzewanie, maksymalnie podkręciła nawiew i czekała, aż lód na przedniej szybie stopnieje. Po kilku minutach widziała już co nieco przed sobą. Wyjechała z parkingu chwilę po Rindzie, kierując się czerwonymi tylnymi reflektorami jej samochodu, nieco zmartwiona tym, że Lynnetta siedzi sama w suterenie. W ciągu ostatnich kilku tygodni zmartwienie stale jej towarzyszyło. Wszystko wkoło wytrącało ją z równowagi, spędzając sen z jej powiek. Jadąc zaśnieżonymi ulicami, miała wrażenie, że miasto jest bardziej spokojne niż zwykle. Na wąskich ulicach ze świątecznymi wystawami sklepów po obu stronach spotykała niewiele samochodów. Żadne z tych światełek, girland czy wieńców nie wprawiły Jenny w radośniejszy nastrój. Jak zawsze od śmierci Jill Jenna obawiała się świąt, pory roku, która niosła ze sobą pustkę, chłód i poczucie winy. Powinna była zginać zamiast Jill. Ile razy te same słowa tłukły się echem jej po głowie? Sto? Tysiąc? Dziesięć tysięcy. Przestań! - powiedziała na głos. Ze względu na nadchodzące święta Wiczynała się robić drażliwa. Niepokojące listy, jakie dostała, i zaginięcie tych kobiet tylko zwiększały napięcie. Włączyła radio. Z głośników popłynęły dźwięki *Blue Christmas*. Elvis Presley słodko gruchał o smutnych świętuch. Tylko tego jej brakowało. Super - powiedziała. Wyłączyła radio i sięgnęła po komórkę. Zadzwo niła do domu i Allie odebrała przed drugim dzwonkiem.
- Mama?
- Tak.
- Masz mój plecak, prawda? Zostawiłam go w samochodzie i zapomnia-

im o nim. Nie miałam go przez cały dzień, a teraz muszę odrobić lekcje i...

- Chwileczkę, kochanie. - Usiłując utrzymać samochód na drodze, Jenna włączyła światło w kabinie i zaryzykowała szybki rzut okiem na tylne siedzenie. - Chyba go tu nie ma.

- Był z tyłu. Pamiętasz? Wrzuciłam plecak z innymi rzeczami, z tymi Śmieciami, które zabierałaś do teatru.

- To znaczy z tymi workami ubrań i torebek, które im przekazałam? -

Jenna wróciła myślami do chwili, kiedy przyjechała na parking. Wes Allen Właśnie wysiadł ze swojej furgonetki i zaproponował, że pomoże jej wyładować rzeczy z bagażnika. Była mu bardzo wdzięczna za pomoc. - No to pewnie jest w teatrze.

- Ale on mi jest teraz potrzebny - zajęczała Allie.

- Dzisiaj wieczorem? - spytała Jenna, usiłując jakoś się wymigać od prośby wrotu do miasta. - Chcesz, żebym po niego pojechała?

- Proszę, mamo. Jeśli nie odrobię lekcji z algebry, pani Hopfinger mnie zabije.

- Wątpię, żeby sytuacja była aż tak poważna.

- Jest poważna! - Sądząc z tonu, Allie gotowa była za chwilę się rozplakać.

- Sprawa życia i śmierci? - zażartowała Jenna.

- Tak! - Allie nie była w nastroju do żartów.

- Dobrze, dobrze - powiedziała Jenna, godząc się z nieuniknionym, już mrużąc oczy i wypatrując przez zamgloną szybę miejsca, w którym mogła by zawrócić. - Nie martw się, kochanie. Pojadę po twój plecak.

- Dzięki, dzięki, dzięki!

- Ależ nie ma za co—powiedziała, a kilka płatków na nowo zaczynającego padać śniegu zatańczyło w świetle reflektorów samochodu. - Jest tam Jake?

- Tak.

- Daj mi go do telefonu.

- Dobra.

Na sekundę zapadła cisza. Jenna zauważyła szerszy fragment drogi i zwolniła.

W tym momencie usłyszała głęboki męski głos:

- Turnquist.

- Słuchaj, mamy problem z plecakiem Allie -powiedziała. Wyjaśniła, jak jej zdaniem do tego doszło - Wracam po niego.

- Momencik... - Usłyszała w jego głosie niepokój.- W teatrze nie ma żywej duszy. Sam się tym zajmę.

- To za długo potrwa, Jake. Teatr jest zamknięty na cztery spusty, a ja mam klucz. I chyba nie będę tam sama. Lynnetta Swaggert została jeszcze, kiedy wychodziłam dziesięć minut temu. Ma przyjść po nią mąż i odprawa-

dzić ją do domu, więc nic nie powinno mi się stać. Poza tym nie chcę, żebyft zostawiał dziewczynki same w domu. Mam ze sobą walkie-talkie, gaz i ko mórkę. Jeśli nie będzie mnie w domu za trzy kwadranse, wezwij posiłki. Czują, że miał ochotę zaprotestować, ale na szczęście się powstrzymał. Obiecała, że zadzwoni, jeśli wyda jej się coś nie w tak.

Problem polegał na tym, że w obecnie wszystko było nie tak. Nic nie wy glądało jak należy.

- A niech to diabli - szepnęła, a potem, mimo własnych wątpliwości, szyb- ko zawróciła i ruszyła z powrotem do Falls Crossing.

Jeśli będzie miała szczęście, zastanie jeszcze w teatrze Lynnette.

Rozdział 32

Prawdopodobnie to tylko kwestia nerwów, ale miasto wydawało jej się znacznie bardziej opustoszałe niż wtedy, kiedy przejeżdżała przez nie kilka minut wcześniej. Parking teatru był pusty i połyskiwał od lodu. Stary kościół przerobiony na teatr stał tam jak samotny wartownik, mroczny, zimny i nieprzystępny. Wieża jak ostrze sztyletu przecinała kurtyny opadającego śniegu.

Patrząc przez szybko zachodzącą mgłą przednią szybę, Jenna poczuła, że po plecach spływa jej strużka zimnego potu, ostrzeżenie, żeby nie szła ani krok dalej.

Zastanawiała się przez moment, czy znów nie zadzwonić do Jake'a i nie poprosić, żeby czekał na linii, kiedy ona będzie szukała plecaka, ale uznała, że wyjdzie tylko na słabą kobietkę, bojącą się własnego cienia.

Nic ma co tak się nad sobą rozczułać! Po prostu weźmie ten plecak i wróci do domu.

Zanim zdążyła zmienić zdanie, wysiadła z dżipa, zamknęła samochód i po- ezowała, jak lodowate igielki śniegu wpadają jej za kołnierz. Szybkim krokiem przcszła przez śliski parking, a potem wbiegła po schodach. Słyszac ruch uliczny z pobliskiej przecznicy, powiedziała sobie, że wcale nie jest tu tak zupełnie lama. Włożyła klucz do zamka. Przekręciła go, ale zamek nie ustąpił.

- No, rusz się - ponagliła go, zastanawiając się, czy to może jakiś znak. Wreszcie udało jej się otworzyć drzwi. - Dzięki Bogu.

Teatr był wewnątrz zimny i cichy. Światło przesączało się przez witraże, two- rzac dziwne, ruchome wzory. Przejął ją dreszcz lęku. Nawet wiszące na ścia- nach stare obrazy o treści religijnej robiły w tym mroku demoniczne wrażenie.

- Weź się w garść - mruknęła pod nosem i przekręciła kontakt. Nawę dawnego kościoła natychmiast zalało światło, a szybko bijące serce Jenny

niecو się uspokoiło. Kiedy szła szybko, jej kroki rozbrzmiewały głośnym echem. - Lynnetta? - zawołała, głównie po to, żeby usłyszeć własny głos. - Jesteś tu jeszcze? Tu Jenna. - Zamilkła i nasłuchiwała, ale, tak jak się spodziewała, nie usłyszała odpowiedzi, tylko skrzypienie starych krokwi i gwizd wiatru w kościelnej wieży. Najwyraźniej Lynnetta, wsparta na ramieniu męża, poszła już do domu.

Jenna szybko zeszła kilka stopni w dół po schodach i minęła gabinet Rindy. Potem zeszła jeszcze niżej, do sutereny i garderoby, w której nadal czuło się zapach perfum Lynnetty. Sięgnęła w stronę kontaktu, ale jej dłoń zawisła w powietrzu.

Poczuła na skórze zimny powiew, ostrzeżenie, że coś jest nie w porządku. Znalazła się tu, gdzie nie powinna być. Oparła się o ścianę.

- Lynnetta? - zawołała, pewna, że w tym budynku ktoś jest, wyczuwając czyjś oddech. Wstrzymała oddech i nasłuchiwała.

Cisza.

- Jezu! - szepnęła. Nerwy miała napięte jak postronki. Znowu czuła, że jej serce wali dzikim rytmem, kiedy włączyła światło i jasny, oślepiający blask jarzeniówek zalał przebiegalnie, stanowiska do makijażu i szafy na kostiumy. Worki z ubraniami leżały tam, gdzie je postawiła, pod szafami. Jenna błyskawicznie przejrzała ich zawartość. Żadnego plecaka. Stos torebek i butów ustawiono na starym, obdrapanym biurku, ale plecaka Allie też tam nie było.

- No, świetnie - szepnęła Jenna z irytacją, przeszukując wszystko jeszcze raz i usiłując nie słuchać wiatru jęczącego w wieży ani skrzypienia starych, osiadających belek.

Doszła do wniosku, że Allie tylko się wydawało, że zostawiła plecak w samochodzie. I wtedy to usłyszała.

Ciche skrzypnięcie buta na drewnianej podłodze... Włosy zjeżyły jej się na karku. Dostała gęsiej skórki.

- Jest tu ktoś? - zawołała, sięgając do torebki po pojemnik z gazem.

Cisza.

Niesamowita cisza.

A jednak... Czuła, że nie jest sama... Wiedziała, że w pobliżu ktoś się czai.

Prawie nie mogła oddychać

Nie powinna była w ogóle się odzywać. Teraz, jeśli jakiś złoczyńca czai się w mroku, wie doskonale, gdzie ona jest. Tkwiała w tej suterenie jak w pułapce. Chyba że poszłaby schodami do tylnego wyjścia obok kuchni. Ale do

tego wyjścia było za daleko, musiałyby iść długim, ciemnym korytarzem pełnym załomów. Lepiej wrócić do głównych schodów.

Ze zdenerwowania cała oblała się potem, a gardło ścisnęła jądłowaty strach.

Do diabła z tym cholernym plecakiem! Ścisnąc w rękę pojemnik z gazem, jakby to był srebrny krucyfiks, a ona sama miała za moment stanąć twarzą w twarz z wampirem, powoli weszła po schodach. Sięgnęła do torebki po komórkę i kiedy otworzyła klapkę, aparat piknął.

W uszach słyszała szum własnej krwi. Nie mogła złapać oddechu, w ustach kompletnie jej zaschło. Z trudem przełknęła. Wybrała klawisz, który automatycznie wybierał jej domowy numer i słuchała, jak komórka usiłuje się połączyć. Odbierzcie. Proszę. Ostrożnie minęła załom schodów, nadstawiając uszu.

Stuk.

- O Boże! - Jenna obróciła się na pięcie, trzymając palec na przycisku pojemnika z gazem. Upuściła przy tym komórkę, która głośno uderzyła o podłogę.

Coś otarło się o jej nogi z tyłu.

Podskoczyła i niewiele brakowało, a krzyknęłaby ze strachu, kiedy nagle zauważyła Olivera. Kot spojrzał na nią zielonymi oczami zza przewróconego stojaka na parasole i położył się na posadzce.

- Na miłość boską, Oliver, przestraszyłeś mnie na śmierć!

Kot miauknął żałośnie i natychmiast mu wybaczyła, czując, jak w żyłach rozlewa się ulga. Poglaskała jego miękki łebek i ustawiła stojak jak należy.

- Przepraszam - powiedziała łagodnie, a kot zamruczał głośno niczym silnik samolotu. -1 nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę.

Znalazła swoją komórkę i włożyła ją do kieszeni.

• Widać chyba, że w ostatnich dniach jestem trochę nie w formie, prawda?

Nerwy miała tak napięte, że w każdej chwili mogły jej odmówić posłuszeństwa. Zupełnie zapomniała o tym kocie.

Jakby wręcz dumny z tego, że ją przestraszył, Oliver otarł się o jej nogi, a ona, już spokojniejsza, schowała pojemnik z gazem.

- Zostań tutaj i pilnuj teatru - powiedziała mu. Kot podreptał do gabinetu Lindy, wskoczył na biurko i zaczął się myć. - Dobrze. Bardzo grzeczny kolek. Żaden zły człowiek nie da sobie rady z takim obrońcą.

Głośne stukanie do drzwi rozniosło się echem po teatrze.

Jenna o mało nie zemdląła.

- Jenna? Tu Shane Carter! - usłyszała głos szeryfa.

Kolana się pod nią ugięły. Carter? Tutaj? Z ulgą pobiegła główną nawą i otworzyła zamek.

Z miną równie ponurą jak otaczająca noc stał pod okapem dachu, Do oczu napłynęły jej łzy ulgi, kiedy wchodził do budynku teatru.

- Nic pani nie jest?

Ciągle coś jej było, odkąd dostała ten pierwszy list! Przełknęła z trudem ślinę i skłamała przez zaciśnięte zęby:

- Chyba nie.

- Jest pani pewna?

- Och jasne. Nic minie będzie. -Czuła się jak idiotka, usiłując powstrzymać łzy. - Cieszę się, że pana widzę.

Objął ją ramieniem, a ona zapragnęła mocno się do niego przytulić, poolić łzom spłynąć z oczu.

- Wszystko będzie dobrze — powiedział miękko, a jej serce omal nie pękło, kiedy musnął wargami jej czoło. - Nic pani nie grozi.

Roześmiała się.

- Jak może pan tak mówić? - Czuła się jak najbardziej zagrożona.

Zajrzał do wnętrza budynku.

- Ktoś tam jest?

- Tylko Oliver.

- Kto? Aha, kot Rindy.

- Tak. Omal nie dostałam przez niego zawału serca. Biorąc pod uwagę mój stan w ostatnich dniach, nie jest wcale trudno o taki efekt.

- No to zamykajmy i odwieżę panią do domu.

- Świetnie.

Oczami wyobraźni widziała już, jak z kieliszkiem wina leży w wannie z gorącą wodą, a jej lęki ulatniają się wraz z parą. I że wjacuzzi siedzi z nią Carter... Śmieszne. Zanim wyobraźnia poniosła ją za daleko, wyłączyła światło i w teatrze zapadły egipskie ciemności.

Przekroczyła próg i wyszła w mroźną noc. Znów miała kłopoty z kluczem, ale oporny zamek ostatecznie jednak pozwolił się zamknąć.

Carter sprawdził drzwi. Były zamknięte.

- Chodźmy.

- Skąd pan wiedział, że jestem w środku? - Ich oddechy zamieniały się w parę i mieszały w powietrzu, gdy szli blisko siebie na parking, gdzie blazer Cartera stał obok jej dżipa.

- Turnquist się odezwał - powiedział Carter. - Wyjaśnił mi, co się stało.

Poprosił, żeby ktoś sprawdził, czy wszystko w porządku. - Carter spojrział jej w oczy. - Zgłosiłem się na ochotnika.

Serce jej drgnęło.

- Z poczucia obowiązku?

Uniósł ciemną brew.

- I tak miałem już jechać do domu.

Poczuła lekkie ukłucie rozczarowania, powiedziała sobie, że jest niepoprawną idiotką. Na co liczyła? Że Carter ruszy jej ochoczo na pomoc, bo mu na niej zależy?

- Turnquist dobrze zrobił, że zadzwonił. Nie powinna pani wychodzić wieczorem bez towarzystwa. Czułbym się o wiele lepiej, gdyby stale miała pani kogoś przy sobie. Niech pani nie jeździ sama, dopóki nie zatrzymamy tego człowieka.

- Moim zdaniem dziś wieczorem byłam całkiem bezpieczna. Oliver nic miał zamiaru mnie atakować.

- Tym razem. Nie wiem, czy na dłuższą metę można zaufać temu kotu powiedział ze śmiertelnie poważną miną, a ona zaśmiała się z ulgą. Doszli do jej samochodu i Carter dotknął lekko jej ramienia. - Naprawdę proszę uważać. Nie chciałbym, żeby cokolwiek się pani stało. Zwłaszcza kiedy ja jestem na służbie. - Znów ją uściskał, a ona poczuła się lepiej, otoczona jego ramieniem. - Wie pani, miałbym słabe szanse na następną kadencję, gdybym stracił najszlachetniejszą mieszkankę hrabstwa.

A więc jednak ma poczucie humoru. Przez ułamek sekundy wydawało jej się, że mróz ścinający ziemię nie jest już tak złowrogi.

- Nie chciałabym, żeby ucierpiała pana nieskazitelna reputacja – zażartowała i poczuła, że się rumieni. Jak nastolatka! Co się z nią działo?

- Podoba mi się takie podejście do sprawy.

Przez króciutki moment w chłodnej niebieskiej poświacie ulicznej latarni miała wrażenie, że on ją pocałuje. Najwyraźniej miał ochotę wziąć ją w ramiona i całować do utraty tchu. Czuła w powietrzu tę elektryczną iskrę, tę atmosferę flirtu. Zadrżała. On wcisnął dłonie do kieszeni, jakby nagle przestał im ufać.

- Proszę na siebie uważać.

Wbrew własnej woli poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Spróbuję.

- Proszę próbować ze wszystkich sił. - Na jego ustach zadrgał leciutki uśmiech. - A ja też dam z siebie wszystko.

Poczuła, jakby coś w niej w środku pękało. Czułość ze strony tego mrukliwego stróża prawa?

- Dzięki - powiedziała bez tchu. - Postaram się. - A potem, zanim zdołała się zastanowić, wspięła się na palce i musnęła wargami jego policzek.

- Dziękuję, szeryfie. Chyba nigdy nie cieszyłam się bardziej z niczyjego widoku niż w tym momencie, kiedy znalazł się pan po drugiej stronie

tych drzwi. - Wskazała ruchem głowy ganek teatru. -I pan niech na siebie uważa. - Przystając na moment, zanim wsiadła do swojego dżipa, przechyliła głowę na bok, jakby taksując go spojrzeniem. - Jestem pewna, że nie ma pan ochoty wysłuchiwać takich rzeczy, ale pod tą fasadą twardej kryje się cholernie sympatyczny facet.

- Nie tak znów sympatyczny. - Oczy znów mu pociemniały pożądaniem.
- Moim zdaniem tak. - Zauważyła błysk białych zębów pod wąsami.
- No cóż, niech pani tego nie rozpowiada. Zepsuje mi pani reputację.

Przykładając palec w rękawiczce do ust, zapewniła go:

- Nie zdradzę pana sekretu.
- Dobrze. A teraz proszę wracać do domu, zanim oboje tu zamarzniemy.

Pojadę za panią.

- Nie musi pan...
- Muszę.

Odrobinę lżejszy nastrój ostatnich kilku chwil ulotnił się w mroźną noc, ale nadal w powietrzu wisiała ta aura zmysłowości, ten ból nowo odkrytego pożądania, które między nimi zaiskrzyło, niczym płatki śniegu wirujące i opadające na ziemię. Z wyschniętym gardłem Jenna wsiadła do samochodu, usiłując zignorować nierówne bicie własnego serca. Przecież to szaleństwo! Nie pora na takie fantazje. I to Carterem? Grzebiąc w torebce, znalazła kluczyk do stacyjki. Ręce w rękawiczkach nieco jej drżały. Aż podskoczyła, kiedy zapukał w okno od strony siedzenia kierowcy, zbliżając twarz do zimnej szyby.

Nacisnęła guzik i szyba zaczęła się opuszczać. Jego twarz znalazła się zaledwie o parę centymetrów od jej twarzy, ciepła wśród tej mroźnej nocy.

- A na przyszłość - powiedział - na imię mam Shane.
- Ale wszyscy mówią do pana Carter, prawda? - Poczowała dyskretny zapach wody po goleniu. - Albo: szeryfie?
- Za moimi plecami używają też pewnie innych określeń, niewartych powtarzania, ale chciałbym, żeby mówiła pani do mnie Shane.
- Niech będzie, Carter - zażartowała.

Uniesiona brew.

- Też nieźle. - Nie spuszczał z niej wzroku chwilę, a płatki śniegu osiadały mu na ciemnych włosach i szerokich ramionach. Przez chwilę znów sądziła, że ją pocałuje. I znów się rozczarowała. -Na razie. -Poszedł w własnego samochodu,
- Oddychaj głęboko - szepnęła do siebie, zamykając okno i patrząc szeryf wsiada za kierownicę blazera. Co ona sobie myślała, flirtując z

i całując go w policzek? - Nerwy - powiedziała, a potem wrzuciła biegiem. Po prostu roztrzęsione nerwy. - Kojarzył się z poczuciem bezpieczeństwa to wszystko. Wcale nie chodzi o to, że jest seksowny jak diabeł, ani o ten jego uśmiech i ciemne, ciepłe oczy, od których topniał się lód wokół jej serca. Głupia kobieto! Przy wszystkich swoich obecnych zmartwieniach ostatnia rzecz, jakiej ci potrzeba, absolutnie ostatnia rzecz, to angażowanie się w jakiegoś faceta - a zwłaszcza Cartera. Nawet o nim nie myśl w taki sposób!

Wypuszczając powietrze z płuc, zła na siebie i na swoje głupie fantazje zerknęła w lusterko wsteczne. Carter, tak jak obiecał, jechał za nią. Jej spojrzenie powędrowało dalej, w stronę szybko niknącego w oddali teatru. Wstrząsnął ją dreszcz. Samotna budowla ze spiczastą wieżą przesywającą niebo wywierała tej mroźnej nocy ponure wrażenie, wydawała się złowieszcza wśród śniegu. Ale przecież ten budynek nie ma żadnych mroźnych sekretów. Przecież to dawny kościół, miejsce radości, gdzie wierni zbierali się, żeby chwalić Pana.

Więc czemu dzisiaj wieczorem czuła się tak, jakby sam szatan objął miejsce we władanie?

- Bo jesteś histeryczką albo masz paranoję-mruknęła. W budynku, w którym urządzono teatr, nie działo się nic złego. Nic! - Naogładała się zbyt wielu horrorów. - Po prostu pozwoliła, żeby jej obawy wzięły górę. Jeśli nawet w tych starych drewnianych ścianach kryły się jakieś straszne tajemnice, tej nocy nie mogły dożyć do głosu. Przybył jej na odsiecz szeryf Carter niezwykle przystojny gliniarz. Nawet teraz jechał jej śladem w padającym śniegu. Mogło być gorzej. Mogło być znacznie gorzej.

Jednym okiem spoglądając na drogę, otworzyła telefon komórkowy, chcąc zadzwonić do domu. Próbowwała kilkakrotnie, ale wyglądało na to, że telefon przy upadku na podłogę w gabinecie Rindy doznał uszkodzeń. Wreszcie się jednak połączyła.

- Halo? — wśród zakłóceń usłyszała głos Allie.

- Cześć, kotku. Słuchaj, kochanie, plecaka nie ma w samochodzie i nie ma go też w teatrze. Sprawdziłam.

- Ale musi tam być!

- Może zostawiłaś go w szkole.

- Nie.

- Albo jest w samochodzie Jake'a, albo w twoim pokoju, albo...

- Mamo! - przerwała rozgniewana Allie drżącym głosem. - Ja wiem, gdzie on był. Na tylnym siedzeniu dzipa!

- Nie martw się. Zadzwoń do kogoś z klasy, może przewidywać ci pytania

przez telefon, albo... Jeśli mają faks, to mogą ci przesłać kopię.

- Nie będą mogli, jeśli już odrobili lekcje! A mnie potrzebna jest książka!
- Porozmawiamy, kiedy dojadę do domu. Jeśli trzeba będzie, rano zadzwonię do pani Hopfinger.
- Nic nie słyszę.

Jenna powtórzyła, niemal krzyżąc, a Allie próbowała dalej się klócić. Wreszcie wyprowadziła matkę z równowagi.

- Uspokój się, Allie. Zrobiłam, co mogłam. Możesz się dąsać i wściekać, ile ci się żywnie podoba, ale to nic teraz nie zmieni.

Zapadła długa cisza. Jenna nie przerywała jej. Zastanawiała się, czy połączenie nie zostało przerwane. Wreszcie, kiedy już miała odłożyć telefon, Allie mruknęła niemal niedosłyszalnie:

- Jake chce z tobą mówić.
- Dobrze. — Jenna przystanęła na skrzyżowaniu. — Daj mi go.

Chwilę potem odezwał się ochroniarz.

- Wszystko w porządku? - spytał.
 - Poza tym, że plecak zaginął w akcji, a komórka odmawia posłuszeństwa - powiedziała, znów zerkając w lusterko. Samochód Cartera nadal za nią jechał. - Słyszysz mnie?
 - Ledwo ledwo.
 - No cóż, odsiecz przybyła na ratunek. Dziękuję.
 - Robię, co do mnie należy - powiedział. Słyszała go coraz gorzej.
 - Doceniam to. Naprawdę. Za dwadzieścia minut będę w domu.
- Połączenie przerwało się, zanim zdążył odpowiedzieć.
- Ale szmeln - powiedziała, rzucając komórkę na siedzenie obok.

Patrzył, jak odjeżdżała.

Siedząc na wieży, ukryty w mroku, patrzył przez lornetkę z noktowizorem, jak Jenna Hughes odjeżdża swoim dżipem.

Z tym cholernym szeryfem na zderzaku.

Nie spodziewał się, że pojawi się tutaj policja.

Ani nie spodziewał się, że Jenna, jego Jenna przytuli się do szeryfa i pocałuje sukinsyna w policzek. Krew zagotowała się w nim ze złości, a powieka zadrgało nerwowym tikiem. Nie powinna nikogo całować, z nikim rozmawiać, z nikim flirtować.

Z nikim oprócz niego!

Następnym razem zaplanuje sobie wszystko dokładniej.

Ale i tak dziś wieczorem mógł mieć Jennę, Gdyby chciał. Gdyby była na to pora.

Ale pośpieszył się.

Nie działał według planu.

Precyzja. Oto klucz do wszystkiego. Precyzja.

Dzisiaj wieczorem o mało nie został przyłapany.

Bo był za bardzo niecierpliwy.

Znów się za to zgał i na sekundę zamknął oczy, pozwalając, by chłodne powietrze owiało mu twarz, ochłodziło gniew w jego żyłach. Małeńkie kryształki lodu pieściły jego twarz i wyobraził sobie, że całują go chłodne wargi Jenny. Ach, co za słodka, słodka chwila.

Ale ona go nie całowała. Dziś wieczorem stanęła na palcach i chłodnymi wargami dotknęła twarzy tego bydlaka.

Mięśnie napięły mu się z wściekłości.

Przyjazd szeryfa zaskoczył go. Dopiero co zakończył swoją misję i zatrzymał się jeszcze na chwilę, żeby przejrzeć torby z ubraniami podarowanymi teatrowi przez Jenę, szukając idealnej apaszki dla Zoey Trammel... Zielonej apaszki ze złotymi nitkami, przetykającymi chropowatą tkaninę - takiej jak ta, którą zawsze miała na sobie w *Cichym śniegu*. Dobry tytuł, z ironicznym podtekstem.

Kiedy usłyszał, że ma zamiar przekazać trupie teatralnej jeszcze jakieś rzeczy, miał nadzieję, że znajdzie tam parę perełek do swojej kolekcji.

Bardzo się rozczarował. Podarowała głównie jakieś stare ciuchy. Stare ubrania, z których powyrastały jej dzieci, rzeczy, które nie miały związku z jej filmami. Przyciskał te sztuki ubrania do twarzy, mając nadzieję, że wyczuje jej zapach, pozostały w nich aromat jej perfum, ale rozczarował się. Myślał też, że może dołączyła chociaż jedną parę majteczek czy stanik, ale nie było tam żadnej bielizny, nawet koszulki nocnej czy halki.

Poszukiwania okazały się niemal całkowicie pozbawione efektów. Dopóki nie zauważył plecaka i go nie rozpoznał. Przynęta. Skuteczna przynęta.

Myśl ta wywołała uśmiech na jego twarzy. Ze swojej wysoko umiejsczonej kryjówki spoglądał na światła miasta położonego wzdłuż brzegów rzeki Kolumbia, niosącej kry, które uniemożliwiały żeglugę, niepokojącą okolicznych mieszkańców. Nawet strumienie spływające do rzeki pozamarzały, a wodospady spadające ze skał pozamieniały się w płachty lodu.

Idealna pora na zabijanie.

Po kręgosłupie przeleciał mu dreszcz podniecenia. Potraktował te nowe, świeże opady śniegu jako dobrą wróżbę, znak, że wszystko toczy się właściwym trybem.

Odczekał jeszcze kilka minut, obserwując parking i pokryte lodem ulice, upewniając się, że szeryf nie wysłał żadnego innego patrolu w pobliże teatru. Wreszcie pewien, że nikt mu nie zakłóci spokoju, zabrał się do swojej pracy. Zarzucając na ramię plecak dzieciaka, zszedł po schodach szybkim, cichym krokiem. Pachnąca stęchlizną wieża z dzwonnica osłaniała go przed wiatrem, a chwiejne stopnie spiralnych schodów cicho skrzypiały pod jego ciężarem. Zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy znalazł się w suterenie. Dobrze znał ten teren.

Minął stare dekoracje oparte o ścianę, przeszedł korytarzem ze stanowiskami do makijażu, z lustrami i żarówkami, aż dotarł do zapomnianego składziku, ukrytego głęboko pod sceną.

W tym małym, ciasnym, ciemnym pomieszczeniu jako dziecko chował się za szeregiem składanych krzesel. Wysłuchiwał kazań pastora, słyszał, jak ludzie szurali stopami nad jego głową, słuchał muzyki pianina, pięknych, dźwięcznych pierwszych nut każdej pieśni, zanim chór i wszyscy zgromadzeni zaczęli śpiewać tak głośno, że musiał zatykać uszy.

To było jego własne, prywatne sanktuarium, chłodne, ciemne miejsce, gdzie mógł się ukryć i nikt nie wiedział, gdzie jest. Jego składzik, do którego nikt nigdy nie zaglądał.

Teraz własnym kluczem otworzył drzwi, a ze środka wydostało się stęchłe powietrze. Światłem punktowej latarki omiół kilka pudeł, skrzyń i kufrów, które tam stały i o których dawno zapomniano. Ponownie przejrzał pęk kluczy, wybrał najmniejszy i otworzył jeden z zakurzonych kufrów.

Pchnął zaokrąglone wieko.

Otworzyło się, skrzypiąc.

Przeszył go prąd elektryczny, kiedy utkwiał spojrzenie w ledwie oddychającej, skulonej w środku postaci. Nieprzytomnej. Nieświadomej swojego losu.

Tak, jak ją tam zostawił.

Widać było jedną drobną dłoń. Wpatrzył się w te palce. Całkiem podobne do palców Zoe, jeśli Znajdzie dla nich odpowiedni pierścionki... Obejrzał palec serdeczny i zmarszczył brwi, kiedy zauważył ślubną obrączkę i pretensjonalny pierścionek zaręczynowy. Te absolutnie się nie nadają. Zoe była niezamężną kobietą. Natychmiast zdejmie obrączkę. Patrząc na palec, zaczął się jednak zastanawiać, czy go jakoś nie wykorzystać. Poczł przyływ adrenaliny, wywołujący stwardnienie w kroczu.

Och, tak. Palec nadawał się idealnie. .

- Chodź, Zoey - szepnął łagodnie, wyjmując drobną kobietę z jej ciasnej kryjówki. - Czas podjeść kurtynę.

Rozdział 33

- Miałem nadzieję, że wybierzemy się kiedyś razem na kolację- powiedział Travis. Jenna trzymała słuchawkę telefonu między ramieniem a uchem. Wkręcając korkociąg w korek butelki z winem, usiłowała nie myśleć o Shanie Carterze. W lusterku wstecznym obserwowała przez całą drogę, jak jechał za nią. Miała nadzieję, że skręci w stronę jej domu, ale kiedy otworzyła się brama wjazdowa, minął ją i zniknął w coraz większej zamieci. Rozczarowana weszła do domu. Porozmawiała z Turnquistem i dziećmi, a potem, niechętnie, oddzwoniła na telefon Trávisa Settlera. Nie odebrał, ale sam oddzwonił dziesięć minut później.

Perspektywa kolacji % nim straciła nagle na atrakcyjności.

Przez wiejskiego szeryfa, któremu jest obojętna? Mimo że ma tu bystrego, przystojnego, samotnego ojca o niezwykłym poczuciu humoru. Czy warto usyschać z tęsknoty za samotnym stróżem prawa?

Zaproponowała:

- Może wpadniecie do nas z Dani, kiedy już drogi będą bardziej przejezdne? Mogę nawet coś ugotować, chociaż repertuar mam raczej ograniczony.
- Kiedy drogi będą przejezdne? -Roześmiał się. Rozległy się trzaski, jakby jechał gdzieś przez burzę śnieżną. Nie oddzwonił do niej z domu, ale z komórki. - A kiedy to będzie? W maju?
- Myślałam o grillu latem - odpowiedziała żartem, nieco się odprężając. Wyjrzała przez okno i wyciągała korek z butelki. Długie sople zwisały z dachu, a wiatr wył wokół domu, szarpiąc okiennice. Korek wyskoczył i nałapał sobie wina do kieliszka na długiej stopce. - Co powiesz na czwartego lipca?
- Sprawdzę swój kalendarz - odparł i po chwili dodał: - Chyba mam wolne. A więc jesteśmy umówieni. Pamiętaj, omówiliśmy już kwestię plaży i drinków nad ciepłym morzem.

Zapomniała już całkiem o tej rozmowie.

- Zgadza się.
- A może jednak nieco wcześniej? Poważnie, Jenna, naprawdę chciałbym się z tobą zobaczyć. Bez dziewczynek. Cassie mogłaby z nimi posiedzieć, a my wybralibyśmy się do Portland. Jest tam, w Hotel Danvers, bardzo chwalona restauracja.

Teraz słycać go było znacznie lepiej. Spróbowała wina i spytała:

- Skąd dzwonisz?

Jakby się zawahał.

- Z samochodu, usiłuję dojechać do domu.

- Dani jest z tobą?
- Siedzi z opiekunką - odparł.
- W domu?
- Zabieram ją po drodze. A czemu pytasz?

A więc dlatego nikt nie odbierał, kiedy zadzwoniła do niego do domu.

Odsłuchiwał wiadomości z sekretarki z trasy. Nic w tym niezwykłego. Czy ona zaczyna teraz podejrzewać już wszystkich, nawet Travisa?

- Zastanawiałam się tylko, w jakim stanie są drogi - skłamała, bo przecież niecałą godzinę temu sama wracała do domu z teatru.

- W paskudnym.

Popijając chardonnay, zmrużyła oczy i w wirującym śniegu dojrzała znikające tylne światła jakiegoś samochodu. Czy to możliwe, że przejeżdżał właśnie koło jej domu i nawet o tym nie wspomniał?

- Jesteś gdzieś niedaleko mnie?
- Nie. A o co chodzi? Coś jest nie w porządku?

Patrząc, jak światła znikają, pomyślała, że wszystko jest nie w porządku.

- Nie, to tylko ta pogoda. - Znów skłamała.
- No to umówmy się na randkę, jak ustanie śnieżycy - zaproponował. - Zadzwonię.
- Dobrze. A wiesz, jest coś, o co chciałam cię zapytać.

- Słucham.

Jenna zebrała się na odwagę.

- Allie ubzdurzyła sobie, że była kiedyś w jakichś służbach specjalnych.
- Tak?
- Czy to prawda?
- Owszem, ale nie lubię rozmawiać na ten temat - odparł.
- Wspomniała też, że jesteś prywatnym detektywem.
- Do diabła. - Głośno wypuścił powietrze. - Dani za wiele mówi. Popisuje się. To prawda. Zajmuję się różnymi oszustami podatkowymi, pomagam prawnikom znajdować tatusiów nieplacących alimentów, w ogóle takich ludzi, którzy nie wywiązują się ze swoich zobowiązań. Tego typu rzeczy. Nic tak spektakularnego jak w telewizji.
- A ja myślałam, że jesteś zwyczajnym ranczerem.
- Bo jestem. To dodatkowa robota.
- Nosisz broń? - spytała.
- Tylko wtedy, kiedy uważam, że może mi być potrzebna. Ale owszem, mam pozwolenie na broń. Jenna, czemu pytasz mnie o to wszystko?
- Byłam po prostu ciekawa - powiedziała, zastanawiając się, czemu nie może mu się zwierzyć, czemu nagle przestała mu ufać, czemu unikanie prawdy

stało się tak istotne.

- Opowiem ci wszystko o sobie przy kolacji, ale nie jestem tak tajemni czy i interesujący, jakby chciałyby przedstawiać mnie ludziom moja córka. No, dojechałem już do opiekunki, więc będę kończyć.

- Pozdrów Dani ode mnie i nie gniewaj się na nią, że lubi się tobą chwalić, dobrze?

- Oczywiście - obiecał i jego głos zabrzmiał nieco łagodniej na wzmiankę o córce. - Jest przewodniczącą mojego fanklubu. I pewnie jedyną członkinią. Zadzwoń niedługo.

Wyłączył się i Jenna została sama z mieszanymi uczuciami. Czy był tym troskliwym ojcem, za którego go uważała, czy w istocie zupełnie nieznanym człowiekiem z sekretami, których pilnie strzegł?

Och, powinna wziąć się w garść. Travis Settler to porządny facet. Powinna zaufać swojemu kobiecemu instynktowi i przestać tęsknić za Shane'em Carterem. To jest dopiero facet z problemami!

Podeszła bliżej okna. Przez syjący śnieg dostrzegła jakiś ruch przy stajni, ciemną postać, która szybko się poruszała. Serce jej zamarło, zanim zorientowała się, że to Turnquist, obchodzący posiadłość. Tak samo jak co wieczór. Zmieniał porę, o której sprawdzał ogrodzenie, czasami zabierając ze sobą Pokrakę, czasami nosząc noktowizor. Obchodził stajnię, szopy i stodołę, sprawdzał zamki, drzwi i okna. Wydawało się, że nigdy nie śpi. Ale Jenna i tak nie czuła się całkowicie bezpieczna. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek tak się jeszcze poczuje. Zakorkowała butelkę wina i odstawiła ją do lodówki, a potem zabrała do połowy opróżniony kieliszek na górę. Słyszała szum leżącej wody i głośno grające radio w swojej łazience, gdzie Cassie brała prysznic. Allie, z psem u nóg, zwinęła się w kłębek na łóżku i oglądała telewizję. Pokraka usłyszał Jennę na korytarzu i podniósł łeb, wałąc ogonem.

- Wszystko w porządku? - spytała Jenna, wchodząc do pokoju.

Allie wzruszyła ramionami.

- Chyba tak.

- Przykro mi, że nie znalazłam twojego plecaka, ale po prostu go tam nie było. - Allie nie odpowiedziała. - Słuchaj, mam złą wiadomość: śnieżycy jest coraz większa.

- Nie cierpię dowcipów o złych i dobrych wiadomościach - burknęła Allie.

Jenna nie ustępowała.

- A dobra wiadomość jest taka, że lekcje pewnie zostaną jutro odwołane, więc i tak nie musiałabyś oddawać pracy domowej. Może ci się upieczce. - Mrugnęła okiem do córki. - I co ty na to?

Allie zmusiła się do słabego uśmiechu.

- To by było świetnie.
- Tak myślałam. Dobranoc, kochanie.
- Dobranoc, mamo.

Jenna przystanąła przy drzwiach łazienki, skąd nadal słychać było szum wody i dźwięki radia. Zdecydowała się nie przeszkadzać Cassie i zeszła na półpiętro do swojej sypialni. Do pokoju, w którym był kiedyś ten człowiek. Ogarnęło ją to samo nieprzyjemne, dziwne wrażenie, które zawsze odczuwała na myśl, że jakiś świr chodził po jej domu, dotykał jej rzeczy, grzebał w jej szufladzie. Jej spojrzenie pobiegło do szafki przy łóżku. Nie, to nie możliwe... Serce jej załomotało, kiedy wyobraziła sobie, że prześladowca zostawia tu kolejną wiadomość.

Bzdura. Niemożliwe.

Starając się zapanować nad lękiem, jednym haustem dopiła wino, podeszła do szafki i powoli otworzyła szufladę. Wstrzymała oddech, zaglądając do środka. Pusto.

Dzięki Bogu! Odetchnęła i wtedy światła zamigotały. Raz. Drugi. Trzeci.

- Cholera!

Piętro wyżej Cassie pisnęła, a dźwięki lecącej wody i radia jednocześnie ucięło jak nożem.

Szybkie, lekkie kroki rozległy się na schodach na półpiętro. Odgłos psich łap na drewnianej podłodze.

- Mamo? - odezwała się Allie drżącym głosem, uchylając drzwi. – Telewizor mi mrugał.

- Wiem. Wejdz do środka.

Zaproszenie okazało się spóźnione. Allie już była w pokoju matki. Pokraka nie kazał na siebie czekać, też wpadł do sypialni i wskoczył na łóżko.

Odgłos mokrych stóp plaskających o podłogę.

- Co się, u diabła, wyprawia? - Cassie w narzuconej w pośpiechu koszuli nocnej, z mokrymi włosami owiniętymi turbanem z ręcznika, stanęła na półpiętrze, tuż przy otwartych drzwiach do sypialni Jenny. Na powiekach miała rozmazany tusz do rzęs, a na jej policzkach i czole widać było pianę z szamponu.

- Obawiam się, że zaraz zgaśnie światło.
- Chyba żartujesz! - Cassie skrzyżowała ramiona na piersiach, a ręcznik przekrzywił jej się na jedną stronę. - Mamo, życie tutaj to koszmar. Więcej niż koszmar.

- Już mówiłaś. - Światła znów zamigotały. Cassie zakłęła pod nosem, a Jenna poczuła, że traci panowanie nad nerwami. Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Uspokójcie się. Pali się ogień w kominku, mamy ciepłe piżamy, pachowe kołdry, latarki i świece. Jake pilnuje domu z zewnątrz, więc wszystko

jest w porządku.

- Ty to nazywasz „w porządku”? - spytała Cassie, prostując swój turban.
- Traktuj to jak przygodę.
- Tak, jasne - zakpiła Cassie. - Och, mammo, jesteś taka żałosna.
- Nie pozwalaj sobie, Cass - ostrzegła Jenna, mówiąc to do pleców wychodzącej córki. - Nie mam nastroju na takie uwagi.
- Ale jest upierdliwa! - skomentowała Allie.

Święte słowa.

- Czasami.
- Przez większość czasu. — Allie rzuciła się na łóżko matki, a pies zwinął się obok niej w kłębek. - Zostanę na trochę.
- Dobry pomysł. - Jenna zdecydowała się nie iść za Cassie. Niech się najpierw uspokoi. Wszystkie były wytrącone z równowagi. Usiadła na skraju łóżka. - A może obejrzymy razem jakiś film?
- Bo jutro nie ma szkoły?
- Zobaczymy.

Allie uśmiechnęła się radośnie, zapominając o swoich obawach, że światło zgaśnie.

- Ale nie jakiś straszny film, dobrze?
- Znajdę komedię.

Jenna pilotem włączyła telewizor, zapaliła dwie świece i wyjęła kilka dodatkowych poduszek do podłożenia pod plecy. Nie mogła się do tego przyznać dzieciom, ale ona sama też wpadała w panikę na myśl o braku prądu. Tego jeszcze by brakowało, żeby utknąć w domu bez światła i ogrzewania. , Wiedząc, że na zewnątrz ktoś jest...

Kto wie. Kto obserwuje. Kto czeka.

Podeszła do okien i opuściła żaluzje. Zauważyła przy tym Jake'a Turnquista, który brnął przez śniegu koło stajni, przecierając nową ścieżkę, a biały puch osiadał na jego ciemnej kurtce i czapce.

Samotny strażnik w mroźną noc.

Oby tylko Turnquist zdołał zapewnić im wystarczającą ochronę przed tym czymś złym, co ją obserwowało.

„Przyjdę po ciebie”.

A tylko spróbuj, pomyślała i przypomniała sobie strzelbę, która leżała nabita pod łóżkiem.

Przez całą drogę do domu Carter miał ochotę sam sobie dokopać.

Co go, do cholery, napadło na tym parkingu przed teatrem?

W jego hrabstwie ginęły bez wieści kobiety i nie wyjaśniono jeszcze sprawy morderstwa, a on w tym czasie klei się do Jenny Hughes? Z głową pełną kosmatych myśli, godnych nastolatka, na temat tej hollywoodzkiej księżniczki? Czy już kompletnie zdumiał?

No cóż, w gruncie rzeczy, ona sama na niego leciała. Zauważył w jej oczach błysk pożądania, wyczuł w niej więcej niż tylko odrobinę podniecenia, kiedy dotknęła wargami jego twarzy. Ale czy naprawdę była nim zainteresowana? A może to tylko taki mały występ w wykonaniu przekonującej aktorki?

- Cholera - mruknął. Miał straszną ochotę na papierosa.

Mrużąc oczy, gdy wycieraczki usiłowały się uporać z nowym atakiem śniegu, skierował wóz krętą drogą, prowadzącą obok jego domu. Trzeba przestać już o tym myśleć. Wykonał swój obowiązek. Była bezpieczna. Nic się nie stało. Tyle że pocałowała go w odruchu wdzięczności. Co z tego?

Minął miejsce wypadku Roxie Olmstead i zamyślił się na temat zaginionych kobiet. Z notatek na jej laptopie i informacji zebranych od jej współpracowników policja wywnioskowała, że była w drodze do domu Cartera, chcąc spróbować wyciągnąć od niego jakieś informacje na temat tajemniczego zniknięcia Sonji Hatchell. Czy ktoś dowiedział się o jej zamiarach i próbował nie dopuścić, żeby zebrała ten materiał, czy też przypadkiem padła ofiarą kolejnego porwania?

Czy ten człowiek działał w sposób przemyślany?

Czy planował te porwania, dobierając sobie ofiary, czy po prostu brał kobietę, która mu się akurat podobała? Nie mógł się doczekać, aż się dowie, co o tym myśli specjalista FBI od kreślenia profili przestępców.

Napierając na kierownicę, poczuł, jak opony ślizgały się przez chwilę, zanim znalazły oparcie. Blazer zawył, przedzierając się przez świeży śnieg zalegający podjazd do jego domu.

Chociaż policja stanowa i FBI nie były do końca przekonane co do związku łączącego zniknięcie obu kobiet, Carter ufał własnemu instynktowi. I on, i BJ uważali, że tamte sprawy - zabójstwo Mavis Gette i kłopoty Jenny Hughes - jakoś się ze sobą łączą. Carter nie doszedł jeszcze do tego, w jaki sposób, chociaż pewne domysły chodziły mu po głowie. Jak zawsze przy trudnych sprawach miał to męczące uczucie, że coś mu umyka.

No więc, co to było?

Przez zasłonę śniegu światła samochodu oświetliły wykończoną w typowym wiejskim stylu ścianę jego domu - domu, który dałoby się porównać pod względem rozmiaru z garażem Jenny Hughes. Blazer zatrzymał się i Carter

wyłączył silnik. Od Jenny Hughes dzieliło go tak wiele, że nie powinien nawet o niej marzyć. Był przecież realistą i zawsze to sobie cenił.

Więc dlaczego wciąż go nawiedzała nocą, kiedy w snach prowadziła go do swojej sypialni?

Sny były bardzo realistyczne.

Lód osiadał na szybach okien. Na zewnątrz śnieg nie przestawał padać. W pobliżu łóżka huczał ogień na kominku, a on kochał się z nią w każdej pozycji, napinając mięśnie. Jej ciało było miękkie i podatne, usta ciepłe, oczy spoglądały na niego z niewinną zmysłowością. Ich miłość była gorączkowa, brutalna, przepełniona pożądaniem i pragnieniem, które nie ustawało, dopóki ich ciała nie pokryły się warstewką potu.

A potem Carter się budził.

I czuł się jak idiota.

Ale zaspokojony idiota.

Co on sobie, do diabła, sobie wyobrażał?

Realista!

Czy Carolyn także nie zajmowała wyższej niż on pozycji społecznej jako córka byłego gubernatora? Była modelką reklam drukowanych w „Oregonian”? Czemu nie mógł sobie upatrzeć miłej, miejscowej kobiety, właścicielki piekarni, agentki ubezpieczeniowej, kierowniczkę agencji reklamowej, kogoś na kogo to on mógł patrzeć z góry, a nie odwrotnie? Zaciskając zęby tak mocno, że szczęka go rozbolała, wyrwał kluczyki ze stacyjki. Był głodny, śmiertelnie zmęczony i czy chciał się do tego przyznać, czy nie - napalony jak diabli.

- Cholera - mruknął, wysiadając z samochodu. Wszedł do domu. Tuż przy drzwiach zrzucił buty i powiesił kurtkę na wieszaku.

Upominał sam siebie, że ma zadanie do wykonania - nie mógł sobie pozwolić na to, żeby go rozpraszała kobieta -jakaś kobieta. Powiesił pas z bronią na oparciu krzesła, rzucił aktówkę na kanapę, rozniecił ogień w piecyku, do mikrofalówki wrzucił mrożony zestaw obiadowy w wersji „dla dużego faceta” i ustawił zegar.

Zrobił sobie mocnego drinka i usiłował przestać myśleć o Jennie Hughes.

Jakiś psychopata upatrzył ją sobie na przyszłą ofiarę i należało patrzeć na to z odpowiedniego dystansu. Co, oczywiście, okazywało się niemożliwe. W jakiś sposób zapadła mu w pamięć i opanowała myśli.

Mikrofalówka pomrukiwała, a on sączył drinka. Włączył telewizor i znalazł wiadomości. Na ekranie ukazał się nieaktualny już materiał nakręcony przez Charleya Perry'ego na Catwalk Point, a potem komentarz do zniknięcia Sonji Hatchell i Roxie Olmstead. Policyjne źródła „zbliżone do

śledztwa" twierdziły, że nie ma żadnego związku między tymi sprawami, ale dziennikarze spekulowali, że w grę może wchodzić działanie seryjnego porwacza, a może nawet seryjnego gwałciciela czy zabójcy.

Dwoje redaktorów prowadzących wydanie wiadomości - kobieta i mężczyzna niemal identycznie ubrani - gawędziło o tym, że obywatele powinni zachować środki ostrożności, i zapowiadało oświadczenie ze strony policji stanowej. Super, Carter zagrzechotał kostkami lodu w swoim drinku, niech porucznik Lany Sparks się z tym upora.

Mikrofalówka zabrzączała, a on zrobił sobie jeszcze jednego drinka, zaniósł gorącą, plastikową tackę na ściereczce do naczyń do saloniku i korzystając z pufa jak ze stołu, obejrzał prognozę pogody.

Kolejne złe wiadomości. Następny zimny front pchał się znad Kanady i temperatura miała spaść poniżej poziomu zanotowanego po raz ostatni pięćdziesiąt lat temu. Reporter stojący na tle wodospadu Multnomah wydawał się przytłoczony dwustoma metrami zamarzniętych kaskad wody. Wspinacze lodowi już się zjeżdżali, żeby spróbować zdobyć drugi co do wielkości wodospad na granicy Stanów Zjednoczonych.

- Cholerni durnie - burknął, przełykając kęs lasagne. Jak David. Skrzywił się, nie chcąc wspominać tego dnia, kiedy David Landis pośliznął się, odpał od lodu i runął na spotkanie śmierci. Wyłączył głos telewizora, zostawił na pufie niedojedzony obiad i z drinkiem usiadł przy biurku. Szybko stukając w klawiaturę, załogował się do Internetu, sprawdził pocztę elektroniczną, zajrzał na oficjalną stronę internetową Jenny Hughes, a potem zaczął surfować po stronach jej fanów.

Kto robi teraz to samo? Ilu ludzi w kraju, czy na całym świecie, w tym właśnie momencie usiłowało dowiedzieć się czegoś więcej o seksownej aktorce? Kto z nich mieszkał w pobliżu, kto był świrem, który mógł dostać się do jej domu?

Wyciągając z aktówki listę BJ, porównywał spis osób, które wypożyczyły lub kupiły jej filmy, z listą osób, które odwiedziły ją w domu w ciągu ostatnich paru miesięcy.

W grę wchodził: Wes Allen, Harrison Brennan, Scott Dalinsky, Rinda Dalinsky, Travis Settler, Yolanda Fisher, Ron Falletti, Hans Dvorak, Estelle Thri-ven, Joshua Sykes, Seth Whitaker, Lanny Montinello, Blanche Johnson i Sha-ne Carter. Wykreślił z otrzymanej listy kobiety i siebie. Doszedł do wniosku, że uzyskana w efekcie lista „podejrzanych” to zaledwie początek. Na pewno o niektórych osobach Jenna zapomniiała: o robotnikach, którzy kręcili się po posiadłości, o znajomych znajomych. A poza tym, prawdę mówiąc, facet wcale nie

musiał zaliczać się do znajomych. To mógł być ktoś, kto albo miał klucz od poprzedniego właściciela, albo uzyskał dostęp do domu w inny sposób bez wiedzy Jenny. Carter zabębnił palcami o biurko, wpatrując się w zdjęcie Jenny Hughes wciąż wyświetlone na ekranie, fotos filmowy, na którym jej długie włosy opadały na jedno ramię. Spoglądała w kamerę tak, jakby patrzyła na kochanka. Ramiona miała obnażone i zdjęcie sugerowało nagość. Przejrzał serię zdjęć pokazujących Jennę w różnych rolach. Katrina Petrova, jej pierwszy gwiazdorski występ w roli młodocianej prostytutki w *Utraconej niewinności*, Marnie Sylvane, nauczycielka prowadząca podwójne życie w *Końcu lata*, Paris Knowlton, przerażona młoda matka w *Mroku*. Były też inne zdjęcia z filmów, w których zagrała większe role, i wreszcie kilka jej fotosów z ostatniego, nieukończonego filmu *Biała ciemność*, wyprodukowanego przez jej męża, filmu, który nigdy nie wszedł na ekrany, na planie którego zginęła jej siostra Jill. Jenna grała Rebeckę Lange, narciarkę zjazdową, i do tej roli nieco zmieniono jej wygląd.

Na zdjęciach z planu oczy Jenny były intensywnie niebieskie, zapewne efekt barwionych szkieł kontaktowych. Włosy miała rozjaśnione na blond. Na jednym ze zdjęć, kiedy Rebecca leżała w szpitalu po wypadku podczas zjazdu, którego omal nie przypłaciła śmiercią, twarz miała opuchniętą, skórę pozbawioną blasku, zęby połamane. Trudno w niej było rozpoznać piękną Jennę Hughes.

Wyglądała jak zupełnie inna kobieta.

Dzięki sztuce charakteryzacji.

Carter nie odrywał wzroku od zdjęcia. Charakteryzacja! To był właśnie klucz do zagadki.

Połączył się ze stroną poświęconą alginianowi. Szybko ją przejrzał, odszukał artykuł na temat zastosowania alginianu do wykonywania odcisków w protetyce dentystycznej, a potem spojrzął na zdjęcie spiłowanych zębów Mavis Gette. Myślał przedtem, że prawdopodobnie zrobiono to, żeby ukryć jej tożsamość, ale może jednak chodziło o coś innego.

Przypominając sobie wygląd połamanych zębów Jenny Hughes w roli Rebecki Lange, wyobrażał sobie, co należało zrobić w celu uzyskania takiego efektu. Ktoś, dentysta albo specjalista od charakteryzacji, zrobił wycisk zębów Jenny Hughes, a potem wykonał zestaw sztucznych, połamanych zębów, które nakładało się na jej własne. Coś takiego jak szczeka, którą dzieci kupują sobie wraz ze strojem wampira na Halloween.

- Do licha - szepnął i czytał dalej. Znalazł informację na temat wykorzystania alginianu do tworzenia protez i masek. Jak mógł przeoczyć coś tak oczywistego?

Przez kolejną godzinę energicznie poszukiwał informacji na temat produkcji masek i form do odlewów. Dowiedział się, że maski można tworzyć, pokrywając jakąś część ciała modelu płynnym alginianem, żeby otrzymać negatyw odlewu. Kiedy alginian zastygał, formę odlewu zdejmowało się ostrożnie. Jeśli wlało się do niej potem gips, artysta uzyskiwał idealną kopię oryginalnej części ciała modelu, na przykład twarz albo stopę.

Potem maskę można było pomalować, uzupełnić, obrobić, dowolnie zmienić jej wygląd.

W przemyśle filmowym pracowali specjaliści, którzy tworzyli postacie potworów, bohaterów komiksów albo postarzali aktorów, wykorzystując właśnie tę technikę.

Carter wpatrywał się w ekran monitora. Na szybkim podglądzie obejrzał film wideo, pokazujący aktora hollywoodzkiego, który przekształcał się w wilkołaka za pomocą maski z alginianu, protezy dentystycznej, szkieł kontaktowych, sztucznych włosów i kosmatej peruki. Nie tylko jego twarz, ale i ręce też zmieniały się ze zwykłych ludzkich dłoni w pokryte futrem łapy ze szponami ostrymi jak brzytwy.

- Artysta albo specjalista od charakteryzacji - powiedział do siebie Carter, myśląc o śladach alginianu znalezionych na twarzy Mavis Gette. - Nie żaden dentysta.

Szukali, idąc złym tropem.

Ponownie obejrzał wideo. Kiedy nakładano alginian na twarz aktora, do nosa wsuwano mu słomki, żeby mógł oddychać.

I przeżyć.

A jeśli obiekt, taki jak Mavis Gette, już nie żył? Wtedy jej twarz i inne części ciała można było wykorzystać jako model bez konieczności wsuwania słomek do oddychania.

Tylko że laboratorium kryminalistyczne znalazło ślady alginianu wewnątrz jej organizmu, jakby się go nałykała.

Czy alginian zastosowano, kiedy Mavis Gette jeszcze żyła, tworząc autentycznie pośmiertną maskę? Dlaczego nie walczyła i nie zniszczyła maski?

Może próbowała. A może została oszołomiona albo uśpiona jakimś środkiem...

To było coś rodem z kiepskich filmów science fiction.

Siedząc w fotelu, wpatrywał się w monitor komputera. Miał ogromną ochotę na papierosa - zawsze lepiej mu się myślało z papierosem w dłoni.

Pogrzebał w szufladzie biurka, znalazł w niej starą paczkę gumy nicorette i wsunął jedną do ust. Była zwietrzała, nie dawała nawet w połowie takiego efektu, jak należało, niemniej zaczął ją żuć i wrócił do poszukiwań w Internecie, tym razem przeglądając strony poświęcone potworom z filmów. Obejrzał kolejny krótki film wideo. Przekonał się, jak aktor zamienia się w istotę pozaziemską, kolejny w przerażającą postać szatana, a trzeciego postarzono o całe dziesięciolecie.

Czy to możliwe?

Czy ten facet zrobił maskę z twarzy Mavis Gette?

Bo jak inaczej wytłumaczyć ślady alginianu na jej czaszce?

Czy ten sam świr porwał Sonję Hatchell?

Carter w zamyśleniu żuł gumę i gryzmołąc coś w notatniku, usiłował przetrwać świeżo nabyte wiadomości. Jaki psychopata zabijałby kobietę po to, żeby z jej twarzy czy z części ciała zdjąć maskę?

Czy to możliwe, że zabójca Mavis Gette był charakterizatorem, kimś związanym z Jenną Hughes, kimś, kto pracował w tej branży?

Pomyślał o Vincencie Paladini, który kiedyś pracował w sklepie wideo, Ale Paladin, o ile wiadomo, nie miał w przeszłości żadnych związków z wyrobem masek ani produkcją filmów. I nie było go w okolicy. Carter sprawdził to dwa razy z jego kuratorem sądowym. Vincent zajmował się własnymi sprawami na Florydzie.

No więc kto jeszcze? Ktoś, kto był tu przejazdem? Co to mógł być za człowiek?

Carter znów spojrzął na listę osób, które wypożyczały filmy Jenny Hughes. Na jej czele znajdował się Wes Allen. Był artystą, chociaż nie miał nic wspólnego z charakteryzacją i nigdy nie mieszkał w Kalifornii. Ale odwiedzał siostrę i siostrzeńca, kiedy mieszkali przez jakiś czas w pobliżu Los Angeles.

Carter, rozparty w fotelu, słuchał, jak ogień trzeszczy w piecyku. Należało zachować ostrożność, prywatne urazy wobec Wesa mogły zmącić obraz sytuacji.

Trzeba szukać dowodów!

Postukał końcem ołówka w blat biurka. Wciąż wracał myślami do Jenny Hughes. Pięknej, inteligentnej, seksownej kobiety, która teraz stała się obiektem...

Obiektem uwielbienia?

Czy zbrodni?

Otworzył najczęściej odwiedzane strony internetowe, znalazł jej nazwisko. Za naciśnięciem klawisza jej zdjęcia znów pojawiły się na monitorze. Każde było wspaniałe, celowo uwodzicielskie, jednocześnie niewinne i intrygujące.

A przecież na monitorze widział tylko płaską, dwuwymiarową replikę tej żywej, rzeczywistej osoby.

Żując pozbawioną, smaku gumę, myślał o Jennie dłużej niż powinien. BJ miała rację - leciał na nią.

Na gwiazdę Hollywood.

Zupełnie jak setki milionów innych mężczyzn.

Z których jeden ją prześladował.

I mógł to być Wes Allen.

Kogo dałoby się łatwo wyeliminować z listy podejrzanych? Wypluł gumę do popielniczki i otworzył górną szufladę biurka. Szperając w głębi, znalazł małe tekturowe pudełko. W środku, na wyściółce z waty, leżały trzy pierścionki. Jego własna obrączka ślubna, obrączka Carolyn i pierścionek zaręczynowy z brylantem.

Odłożył na bok biżuterię i wyjął wyściółkę z waty. Pod nią leżał w pudełku podniszczony klucz do zamka starego typu. Ten, którego nigdy nie użył, chociaż nieraz go kusiło.

Nie zastanawiając się dłużej, wsunął klucz do portfela. Na wszelki wypadek. W tej samej chwili odezwała się jego komórka.

Przycisnął zielony klawisz i wpatrzył się w obrazy na swoim komputerze. Zdjęcia Jenny Hughes.

- Shane Carter.

- Szeryfie, tu Dory. - Telefonistka mówiła bez tchu, była zdenerwowana.

- Tak?

- Właśnie dostaliśmy zgłoszenie - powiedziała. - Zaginęła żona Derwina Swaggerta.

- Lynnetta? - Czas jakby stanął w miejscu.

- Tak.

- Do diabła! - Carter od razu zrozumiał, że porwano kolejną kobietę. - Ile czasu jej nie było?

- Tylko parę godzin, ale on szaleje z niepokoju. Już dzwonił na komisariat miejski, ale chce, żebyś ty się tym zajął, więc cię zawiadamiam. Wiem, że nie minęły jeszcze przepisowe dwadzieścia cztery godziny, ale pomyślałam, że będziesz wolał wiedzieć wcześniej.

- Dobrze pomyślałaś - powiedział Carter, mając przed oczyma drobniutką Lynnette, słodką kobietkę, która miała przesadnie pobożnego, surowego

męża i zbuntowanego dzieciaka. - Gdzie ją po raz ostatni widziano?

- W teatrze Kolumbia.

Tam, gdzie sam był niedawno.

Gdzie była wcześniej Jenna Hughes.

- Od razu wysłałam najbliższy patrol. Jeszcze się nie zgłosili z raportem.

- Dzięki, Dory. - Już odsuwał krzesło i sięgał po pas z bronią. - Zaraz tam będę.

Rozdział 34

Tylko nie Lynnetta... O Boże, tylko nie Lynnetta. Jenna chyba upadłaby, gdyby Carter nie chwycił jej pod ramię.

- Przykro mi - powiedział, stojąc w jej kuchni o szóstej rano. Lodówka mruzczała, ogień na kominku syczał i trzaskał, napełniając powietrze zapachem płonącego drewna. Ale świat w ciągu nocy tak się zmienił, że wszystkie te uspokajające dźwięki i zapachy zeszyły na plan dalszy.

Carter zadzwonił do niej i powiedział, że zajrzy na chwilę. Przyjechał niecałe pięć minut potem z okropną wiadomością o zaginięciu Lynnetty Swaggert. Wyglądał fatalnie. Pod zaczerwienionymi z braku snu oczami pojawiły się worki. Czoło przecinały głębokie zmarszczki niepokoju. Na szczęście ciemniał jednodniowy zarost i przylgnął do niego zapach dymu z papierosów.

Fizycznie sprawiał wrażenie śmiertelnie zmęczonego, ale pod tą maską krył się Carter nabuzowany adrenaliną, kofeiną i nikotyną.

- Chciałem cię zawiadomić osobiście — powiedział. — I zapytać o ten wczorajszy wieczór, zanim przyjechałem szukać cię w teatrze. Ty i Rinda jesteście być może ostatnimi osobami, które widziały Lynnettę Swaggert.

Żywą.

Nie powiedział tego, ale słowo to zawisło między nimi w kuchni niemal namacalnie. Lynnetta. Dlaczego Lynnetta? Istniało spore prawdopodobieństwo, że Lynnetta Swaggert już nie żyje. Tak jak coraz bardziej stawało się prawdopodobne, że nie żyją Sonja Hatchell i Roxie Olmstead.

- Czy Lynnetta w ogóle nie zadzwoniła do męża?

- Nie. Sam zaczął do niej dzwonić po dziewiątej trzydzieści.

- Zaraz po naszym wyjściu.

Kiedy ze snu wyrwał ją dziś rano telefon od Cartera, włożyła dzinsy i sweter, upięła szybko włosy i zbiegła po schodach z psem depczącym jej po piętach w tej samej chwili, gdy Jake wpuszczał już samochód szeryfa.

- Zawsze istnieje szansa, że zdążyła do tej pory wyjść - zastanawiał się głośno, chociaż oboje wiedzieli, że nie jest to prawda.
- Bez samochodu, przy takim mrozie?
- Ktoś mógł ją podwieźć. Ktoś ze znajomych.
- Sam w to nie wierzysz.
- Ani przez chwilę — przyznał i wreszcie, jakby dopiero teraz zdając sobie sprawę, że wciąż trzyma Jennę za ramię, puścił ją. - Więc spójrzmy jeszcze raz na to, co działo się wczoraj. Kto był w teatrze, czy Lynnetta przyjmowała jakieś telefony, kto tam zaglądał, kto dzwonił, czy korzystała z poczty elektronicznej, czy sprawiała wrażenie, że ma jakieś kłopoty? Moim zdaniem policja stanowa też będzie się z tobą kontaktować, pewnie porucznik Sparks. W pierwszej chwili sprawia onieśmielające wrażenie, ale to przyzwyczajony facet. Nie wiem, kto z FBI odezwie się do ciebie, ale agentka, która pracuje na naszym terenie, zna się na swojej robocie. Dorwiemy tego faceta.
- Zanim porwie jeszcze kogoś?

Carter zacisnął usta, a ona pożałowała, że wymknęły jej się te ostre słowa.

- Taki mamy zamiar.
- Będziecie musieli się spręzać - powiedziała i podeszła do młynka do kawy. - Kimkolwiek jest ten człowiek, nigdy nie będzie miał dość. - Dolała wody do zbiornika i włączyła ekspres.

Carter pokiwał głową.

- Wygląda to tak, jakby podbijał stawkę.

Pokraka szczerką cicho, gdy otworzyły się tylne drzwi.

- To ja! - zawołał Turnquist. Przystanął przy drzwiach pralni i schylił się, żeby rozsznurować ciężkie buty. - Co się dzieje?

Carter odłożył kapelusz na stół i przewiesił kurtkę przez oparcie kuchennego krzesła. Miał na sobie pas z bronią, co przypomniało Jennie, jak niebezpieczne stało się jej życie i życie innych mieszkańców Falls Crossing.

Kawa spływała do dzbanka, a jej zapach napełniał kuchnię. Carter usiadł przy stole i wyjaśnił, że Lynnetta Swaggert w ogóle nie oddzwoniła do męża. Zniknęła z teatru i nie dotarła do domu. Wczoraj wieczorem pastor obdzwonił wszystkich znajomych, szukając żony. Carter razem z policją stanową sprawdził wszystkich, którzy byli w teatrze lub widzieli się z Lynnetta w ciągu ostatnich kilku dni.

- Więc dopadł ją między moim wyjściem z teatru a powrotem po plecak Allie - powiedziała Jenna. Ścisnęło ją w dołku. Powinny z Rindą zostać, dopóki Lynnetta nie skończyła swój ej roboty!
- Albo był z nią razem, w teatrze, kiedy wróciłaś.

Jenna zdrząła. Kiedy szukała plecaka, miała wrażenie, że ktoś obok cicho oddycha, porusza się bezszelestnie. I pomyśleć, że mógł stać tak blisko niej, jak teraz Carter. A ona doszła do wniosku, że to tylko kot. Ręce jej drżały, kiedy nalewała kawę i niosła kubki do stołu, a potem siadała naprzeciwko szeryfa. Gdy Carter robił notatki i popijał kawę, Jenna opowiedziała mu to, co zapamiętała z poprzedniego wieczoru, włącznie z tym dziwnym wrażeniem, że ktoś oprócz niej jest w teatrze. Powiedziała też wszystko, co wiedziała o Lynnetcie Swaggert - że była kobietą religijną, żoną pastora, którego Jenna widziała tylko z daleka, że miała syna, który przyjaźnił się z Joshem Sykesem, i że była znakomitą krawcową, szyjącą kostiumy dla zespołu teatralnego. Stwierdziła, że Lynnetta, chociaż skończyła trzydzieści osiem lat, wyglądała znacznie młodziej, miała w sobie mnóstwo energii, pracowała na pół etatu jako księgowa dla jakiejś tutejszej firmy.

- A co z jej życiem osobistym? - spytał Carter.

- Moim zdaniem było udane. W każdym razie nie uskarżała się. - Jenna wiedziała bardzo mało na temat tej kobiety, ale Lynnetta wspominała, że ma brata w okolicy Cincinnati.

- I to by było wszystko - zakończyła, zacierając ręce, jakby nagle zrobiło jej się zimno. Czuła się odpowiedzialna za to, co się stało. Mimo że wiedziała, iż nie ma to sensu.

Jej kawa stała nietknięta na stole.

- Domyślasz się czegoś? - spytała, kiedy Carter skończył notować.

Zawahał się. Jenna spodziewała się, że wykręci się, powie, że nie może z nią rozmawiać o tej sprawie. Ale on ponuro zmarszczył brwi, przez chwilę wpatrywał się we wnętrze kubka, zanim dopił jego zawartość jednym haustem, po czym rzekł:

- Na razie nie. Ale chciałem cię o coś zapytać.

- Słucham.

- Czy znasz w Hollywood jakichś specjalistów od charakteryzacji?

- Oczywiście. Wielu.

- Mówię o osobach, które zajmują się robieniem odlewów z głów aktorów, żeby zmienić wygląd przy zachowaniu tych samych rysów twarzy.

- Tak... Specjaliści od potworów. Są firmy, które zajmują się taką pracą.

Robert, mój były mąż, pracował z siedmioma, kiedy zaczął kręcić horrory - odparła, wciąż myśląc o Lynnetcie. - A czemu pytasz?

- To długa historia. Jedna z moich teorii. - Taka, którą Carter nie miał zamiaru się z nią dzielić. - Czy możesz mi zrobić listę tego typu firm, które pracowały przy filmach, w których grałaś, i wszystkich innych, które znasz?

- Jasne.

- Uważasz, że to jakiś charakteryzator z Hollywood napastuje Jenne? - spytał Turnquist.
 - Nie wiem, kto to robi, ale chcę sprawdzić wszelkie możliwości. - Zadzwoił jego telefon. — Carter. — Jego twarz przybrała jeszcze bardziej po nury wygląd. - Zaraz tam będę - powiedział i rozłączył się. - Muszę iść. Jakiś kandydat na wspinacza lodowego właśnie spadł z wodospadu Pious. Wygląda na to, że złamał sobie miednicę. - Nerwowo przesuwiał palcami gęstą czuprynę. - Będę wdzięczny, jeśli uda ci się sporządzić wykaz tych firm charakteryzatorskich.
 - Przefaksujemy ci ją później - powiedział Jake. Patrzył, jak do bramy podjeżdża samochód Hansa Dvoraka. Hans opuścił okno i wpisał kod. Bra ma się otworzyła.
 - Ilu ludzi zna kod do bramy? - spytał Carter.
 - Sześciu... może siedmiu. To ludzie, którzy tu pracują- odparła Jenna. Turnquist pokiwał głową.
 - Mam ich nazwiska.
 - Tę listę też mi dostarczcie i zmieniajcie codziennie kod.
 - Codziennie? - spytała zaskoczona Jenna.
 - Tak.
 - Zadzwoię do Wesa Allena, żeby przeprogramował system – powiedział Turnquist.
- Carter potarł szczękę.
- A może zwrócisz się do kogoś innego? - zasugerował, mocniej marszcząc brwi.
- Turnquist zmrużył oczy.
- Coś nie tak z Allenem?
 - Jest zbyt zajęty własną firmą i teatrem. - Carter zdjął kurtkę z krzesła i włożył ją.
 - Wes znajdzie na to czas - powiedziała Jenna, wyczuwając jakiś podtekst, którego nie mogła do końca zrozumieć. A potem przypomniała sobie, jak Rinda opowiadała, że między jej bratem a szeryfem sajakieś zadawnio nie porozumienia. Coś w związku z żoną Cartera.
 - W takim razie zadzwonię do Setha Whitakera, tego znajomego Harrisona - rzekł Turnquist.
 - Nie znam go zbyt dobrze. - Carter spojrział na Jenne.
 - Poznałam go, wydaje się w porządku - powiedziała.
- Turnquist pokiwał głową.
- Ręczę za niego.
 - Pracował już dla ciebie? - zapytał Carter Jenne.

- Tak, kiedy zamarzyła pompa.
- No to niech ci pokaże, jak zaprogramować system. Będziesz codziennie zmieniała kod. I będziesz go znała tylko ty, dzieci i Turnquist. - Zapinając kurtkę Carter, skinął głową w stronę Jake'a.
- Oraz Hans i Estella - dodał Jake.
- Nie. Niech dzwonią, a wy będziecie ich wpuszczać. Niech ten elektryk, Whitaker, zrobi to tak, żebyście mogli z domu zwalniać zamek bramy.
- To może trochę potrwać. - Zastanawiała się, jak dziewczynki sobie poradzą z wiecznie zmieniającym się kodem do bramy.
- Więc znajdź kogoś innego. Firmę, która zainstaluje taki zamek dzisiaj albo jutro. - Przyglądał się Jennie, wkładając kapelusz na głowę. - To nie będzie trwało wiecznie - zapewnił ją i ruszył do drzwi. - Wkrótce dopadniemy tego sukinsyna.

Rinda zadzwoniła niecałą godzinę później. Była roztrzęsiona, głos jej drżał. Odwołała wszelkie zajęcia w teatrze - lekcje tańca, lekcje śpiewu, nawet próbę do zbliżającej się premiery.

- To straszne - szeptała przez ściśnięte gardło, jakby walcząc ze łzami. - Miałas rację, powinniśmy były zostać tam wczoraj i zaczekać, aż przyjdzie mąż Lynnetty. Nie należało zostawiać jej samej.
- Wątpię, czy by to pomogło. Jeśli ten świr upatrzył ją sobie, znalazłby inny sposób, żeby ją dopaść.
- Kto to taki? Czekał, aż wyjdziemy. Obserwował nas. Może nawet miał klucz. - Traciła panowanie nad sobą, podnosiła głos. - To nie był przypadkowy atak. On to zaplanował. Czuję to. O Boże, jak ktoś mógłby chcieć skrzywdzić Lynnetę?
- Nie wiem. - Jenna oparła się biodrem o blat kuchenny i wpatrzyła w ogień. Nie wyobrażała sobie człowieka, który mógłby chcieć skrzywdzić żonę pastora.

Rinda pociągnęła nosem i spytała:

- Czy Carter zaglądał do ciebie?
- Tak, dziś rano.
- Tutaj też był, zadawał mnóstwo pytań. Dopiero co wyszedł. On, albo ktoś z policji stanowej, będzie rozmawiał ze wszystkimi członkami zespołu, z aktorami, pomocnikami, z inspicjentem, z każdym. Nawet ze Scottem, dasz wiarę?

Jenna nie była tym zaskoczona, ale nie powiedziała tego głośno. Rinda i tak była bardzo zdenerwowana, jej smutek stopniowo zamieniał się w gniew.

- W głowie mi się nie mieści to szaleństwo - przyznała Rinda. - Mam nadzieję... Modlę się... żeby nic się Lynnetcie nie stało. Może jej zniknięcie to jakaś pomyłka...

Ale rozpacz i ból w jej głosie mówiły co innego.

- Jeszcze nie traćmy nadziei - powiedziała Jenna.

- Nie straciłam jej. Ale nie jest mi łatwo. Ty też trzymaj się mocno. Ta reporterka z KBST, Brenda Ward, już do mnie dzwoniła. Dwa razy. I ktoś z „Bannera”, gdzie pracowała Roxie Olmstead. Zostawili mi kilka wiadomości. Ci ludzie to kanibale. Ktoś z ich własnego grona zaginął, a oni usiłowają zrobić z tego sensację. - Rinda wydmuchała nos i dodała wojowniczo: - Ale tylko spróbuj ich namówić, żeby napisali coś o zwykłych ludzkich sprawach, takich jak odnowienie teatru, a sama zobaczysz, co będzie. Nic! Ich obchodzą tylko morderstwa, skandale, krew i seks!

- Moim zdaniem teatr będzie miał teraz sporą prasę.

- Złą prasę. Jeszcze tylko nam potrzeba... I Lynnetta... Nie mogę przestać myśleć o niej, o tym wczorajszym wieczorze... O Boże, Jenna, co się tutaj dzieje?

- Nie wiem.

- Muszę kończyć — powiedziała Rinda. — I uprzedzić Scotta.

- Uprzedzić go?

- Tak. On w ogóle jeszcze nie słyszał o Lynnetcie. Pojechał wczoraj wieczorem do Portland na koncert, który powinien być odwołany ze względu na pogodę, ale jednak się odbył. W każdym razie Scott nie ma o niczym pojęcia. Shane wszedł na wojenną ścieżkę. To mnie doprowadza do szału! Żeby choćby sugerować, że Scott może coś wiedzieć... Shane Carter jest jego ojcem chrzestnym, a i tak mu nie ufa.

- Taką ma pracę. W tej chwili nie może ufać nikomu - powiedziała Jenna, trochę się jeżąc na myśl, że właśnie broni mężczyzny, którego Rinda przez całe miesiące wychwalała pod niebiosa.

- O, nie! - sapnęła Rinda.

- Co?

- Włącz telewizor. Przełącz na KBST.

Trzymając telefon przy uchu, Jenna wzięła drugą ręką pilota i włączyła stację, którą wymieniła Rinda. Na ekranie stała reporterka w śniegu. Za nią widać było budynek teatru. W tle widać było wozy policyjne i kilku umundurowanych mężczyzn, a także plakat informujący o sprzedaży biletów na *To wspaniałe życie*.

Rinda aż jęknęła.

- Chciałaś prasy.

- Teraz nikt nie przyjdzie na przedstawienie.
- Nie wiadomo. Premiera dopiero za dwa tygodnie - powiedziała Jenna, zastanawiając się, czemu usiłuje pocieszyć przyjaciółkę. Rinda miała rację, sytuacja była poważna. Biedna Lynnetta.
- To nie jest właściwy rodzaj prasy.
- Według mojego agenta nie ma czegoś takiego jak zła prasa - powie działa Jenna, ale Rinda nie dała się pocieszyć.
- Oho!
- Co?
- Wóz policyjny na moim podjeździe. Ta sprawa będzie się ciągnąć bez końca.
- Może znajdą Lynnetę.
- Miejmy taką nadzieję - powiedziała Rinda i rozłączyła się.

Jenna dalej oglądała telewizję. Czuła się pusta w środku, kiedy reporterka Brenda Ward, energiczna rudowłosa kobieta w niebieskiej kurtce i rękawiczkach, mrużąc oczy w padającym śniegu opowiadała o zaginięciu Lynnetty Swaggert. Od relacji o zniknięciu Lynnetty przeszła do sprawy poprzednio zaginionych kobiet. Potem pokazano prognozę pogody, przypominając, że szkoły są nadal zamknięte. Jenna, myśląc wciąż o Lynnetcie, prawie tego nie zauważyła. Wreszcie wyłączyła telewizor. Dzień spędziły w domu. Obie dziewczynki, chociaż tego nie powiedziały, nudziły się śmiertelnie i żadna nie była zainteresowana upieczeniem pierwszej partii bożonarodzeniowych pierniczków, pomocą w porozwieszaniu światełek i ozdób świątecznych ani kartami lub jakąkolwiek inną grą planszową. Wołały własne towarzystwo. Cassie plotkowała przez telefon, rozmawiała ze znajomymi przez Internet, albo oglądała w telewizji opery mydlane. Allie, z Jakiem u boku, wydeptała świeżą ścieżkę w śniegu, żeby pomóc Hansowi przy koniach. Dwie godziny później wróciła z czerwonymi policzkami i zasmarkanym nosem. Jenna zrobiła jej gorące kakao i kanapkę z masłem orzechowym, a potem kazała poćwiczyć na pianinie. Mała niechętnie zgodziła się i teraz, kiedy Jenna siedziała przy stole nad książeczką czekową, dobiegały jej uszu melodie kolęd.

Przez Harrisona Brennana Jenna zdołała skontaktować się z elektrykiem, ale oczywiście ledwie Seth Whitaker zdążył przyjechać, kiedy Harrison, zdecydowany pomóc czy go chcą, czy nie, wjechał przez otwartą bramę. Zaparkował obok półciężarówki Turnquista. Pomimo protestów Jenny Brennanabrał się do pomocy Whitakerowi, który z pewnością wolałby sam wykonać pracę.

- Jeśli on panu przeszkadza, poproszę, żeby sobie pojechał - powiedziała Jenna do Whitakera, kiedy ubrana w kombinezon narciarski wyniosła im termos z kawą. Brennan stał kilka kroków dalej, poza zasięgiem jej głosu, rozwijając zwój kabla. Miał na sobie mocno dopasowany kombinezon z jakimś cienkiego, izolowanego materiału, kurtkę i gogle narciarskie.
- Nie przeszkadza mi. - Whitaker, w czapce myśliwskiej z opuszczonymi nausznikami, skupiony na pracy przy bramie wjazdowej, nawet nie podniósł wzroku. Przy nogach ustawił skrzynkę z narzędziami, którą powoli zasypywał padający śnieg.
- Wiem, jak on potrafi rozstawiać ludzi po kątach.
- Przyzwyczał się do tego podczas służby w wojsku - powiedział Whitaker, przykręcając obudowę panelu sterowniczego do słupka bramy. - Proszę. A teraz czas na krótką lekcję. - Wyjął termos z jej osłoniętych rękawicami rąk. - Niech pani wciśnie klawisz z napisem PID. PID to osobisty numer identyfikacyjny. Proszę wpisać trzy cyfry, które coś dla pani znaczą, i ponownie nacisnąć PID,
Nacisnęła dwa, dwa, sześć.
- Dzień moich urodzin - wyjaśniła.
- No cóż, niech tak będzie, ale w przyszłości proszę używać czegoś mniej oczywistego. Teraz, kiedy wprowadziła już pani osobisty identyfikator, trzeba wpisać kod składający się z czterech cyfr - to one będą się zmieniały codziennie. Proszę sobie wybrać dowolne cyfry. Zmienimy kod jeszcze raz, kiedy zrozumie pani, jak to działa.
Jenna wpisała jeden, dwa, trzy, cztery.
Uśmiechnął się szeroko, mrużąc brązowe oczy.
- Dobrze. A teraz proszę przycisnąć reset. - Pokazał klawisz czubkiem śrubokręta. Zrobiła, jak kazał. - Dobrze, a teraz proszę wprowadzić nowy kod. - Znów wprowadziła cyfry. Po naciśnięciu ostatniej, brama otworzyła się. Powtarzając ten sam proces, zamknęła bramę.
Whitaker nogą otworzył skrzynkę z narzędziami i wrzucił śrubokręt na tackę, gdzie leżały obcęgi, szczypce i wkrętaki. Zamknął skrzynkę i zaczął otwierać termos. Wydawał się zadowolony z własnego dzieła, nawet się uśmiechnął.
- Może pani to samo zrobić z domu. Doprowadzę tam kabel.
- A czy nieproszony gość nie może sam zmienić kodu?
- Musiałby znać pani PID. Dlatego sugerowałem, żeby wymyśliła pani coś bardziej twórczego niż data urodzenia. - Nalał kawy do kubeczka z termosu.
- Rozumiem. Mam nadzieję, że uda mi się zapamiętywać ten zmieniający

się codziennie kod.

- Można ustalić jakiś system, który będzie znać tylko pani i dzieci. Na przykład będzie pani dodawała trzydzieści trzy do pierwszej liczby. Teraz wpisała pani jeden, dwa, trzy, cztery, więc pani kod to tysiąc dwieście trzydzieści cztery. Jutro doda pani trzydzieści trzy i kodem będzie tysiąc dwieście sześćdziesiąt siedem, czyli jeden, dwa, sześć, siedem. Następnego dnia znów pani doda trzydzieści trzy, a kod zmieni się na tysiąc trzysta, czyli jeden, trzy, zero, zero.

Jennie zakręciło się w głowie od tych cyfr.

- Chyba wymyślimy coś prostszego.

Whitaker wzruszył ramionami i napił się kawy.

- Żebyście tylko mogły zapamiętać.

- Zrozumiałaś już? - zapytał Harrison, podchodząc do nich ze zwojem kabla.

Odwracając się plecami do wiatru, Jenna sięgnęła do kieszeni.

- Nigdy tego nie zrozumiem. - Wyjęła kubek. - Obaj napijcie się kawy na rozgrzewkę.

Napotkała spojrzenie niebieskich oczu Harrisona, któremu na wargach zadrgał nieznaczny uśmiech, ledwo widoczny spod kominiarki. Jakby wzruszył go ten dowód uprzejmości z jej strony. Ostatnio doszło między nimi do dość ostrej wymiany zdań.

- Dzięki - powiedział, przyjmując kubek. - Faktycznie nieco tu zimno.

- Chyba z dwadzieścia stopni poniżej zera - zgodził się Whitaker. - Kie-

-

dy wieje wiatr, jest jeszcze chłodniej.

Uśmiechając się w wirującym wkoło śniegu, Whitaker podał termos Brennanowi.

- A pani się napije? - spytał Jenne.

- Mam kubek w domu. Pozwolę wam tu zamarzać, a sama się napije przy kominku - zażartowała.

- No, ładnie - mruknął Whitaker.

- Wejdźcie do domu, kiedy skończcie, ogrzejecie się przy ogniu.

- Prawie już tu skończyliśmy.

- Dzięki Bogu. Zimniej tu niż w tyłku Eskimosa. - Brennan spojrzał na Jenne, oceniając ją wzrokiem. - Ale nie uskarżam się. Zimno nigdy mi nie dokucza. Zima to moja ulubiona pora roku.

Mimo że FBI i policja stanu Oregon zaangażowały się w śledztwo w sprawie zaginięć i zabójstwa, biuro szeryfa miało mnóstwo pracy. Przy szkodach wyrządzonych przez śnieżyce, oblodzonych drogach, zaspanych domach, z powodu przerw w dostawie prądu i przez takich idiotów, jak ten chłopak, który połamał sobie miednicę w ośmiu miejscach, usiłując wspiąć się na wodospad Pious. Dziennikarze zjechali do Falls Crossing masowo, mimo fatalnych dróg.

Zorganizowano ekipę do poszukiwania Lynnetty Swaggert. Grupa w dużej części składała się z ochotników — sąsiadów, przyjaciół, członków gminy kościelnej - którzy już padali ze zmęczenia po przeczesaniu pokrytych śniegiem pól i lasów, gdzie szukali Sonji Hatchell i Roxie Olmstead. Nawet Skauci Odkrywcy, młodzi ludzie, marzący o zawodzie policjanta, z których pomocy często korzystano podczas poszukiwań, byli przemęczeni, rozdrażnieni i przemarznięci do szpiku kości. Na myśl o kolejnych poszukiwaniach tracili entuzjazm.

Carter siedział przy biurku za wciąż rosnącą stertą papierów. Wkoło stały puste kubki po kawie i walały się kartki z numerami telefonów, na które nie zdążył odpowiedzieć. Większość papierkowej roboty będzie musiała jeszcze poczekać. Priorytetem stała się sprawa zaginionych kobiet, a mąż Lynnetty dodatkowo pogarszał i tak już trudną sytuację.

Wielebny Derwin Swaggert występował w telewizji, rozwodził się na temat woli boskiej, prosząc o modlitwy za swoją żonę. Na ten wieczór zaplanowano czuwanie przy świecach i wielebny zachęcał wszystkich do modlitw nie tylko za Lynnetę, ale i za inne zaginione kobiety.

Nastroje się pogarszały.

Zastępcy szeryfa i zwykli funkcjonariusze potrzebowali odpoczynku.

Nawet BJ inaczej się zachowywała.

Weszła do gabinetu Cartera i przytknęła drzwi.

- Wiesz, że mam problem z łanem Swaggertem. Nadal kręci się koło Megan. Ale to.... - Uniosła dłoń i pozwoliła jej opaść bezwładnie. - To jest naprawdę straszna sprawa.

- Może ją jeszcze znajdziemy.

- Trzeba ją znaleźć żywą!

Jerri zapukała do drzwi i rzuciła na jego biurko dwie kartki.

- Faks do ciebie - powiedziała. - Od Jenny Hughes.

Kiedy Jerri wyszła i zamknęła drzwi za sobą, BJ zapytała:

- Jaki faks?

- Lista firm charakterystycznych, które robią potwory. - Szybko przejrzał listy. - Firm, które mogą wykorzystywać alginian do robienia form z od-

lewów.

- O czym ty mówisz?

Carter wyjaśnił jej, w jaki sposób alginian mógł stanowić ogniwo łączące zabójstwo Mavis Gette z Naprawdę bierzesz to poważnie?

- Jak najbardziej.

BJ przyjrzała się liście.

- Nie wiem, to mocno naciągane - powiedziała. - Mówiłeś o tym FBI albo policji stanowej?

- Dzwoniłem do Larry'ego Sparksa. Powiedział, że to sprawdzi. Dadzą znać FBI. Mają tam specjalistę od profili przestępców, który pracuje teraz nad sprawą seryjnych porwań, ale nadal nie są przekonani, że te sprawy się ze sobą wiążą.

- Wyśmieją cię tak, że wylecisz z pracy na zbity pysk.

Parsknął śmiechem.

- Jakoś to przeżyję. - Przesuwając palcem po wydruku z nazwami firm, dodał: - A teraz tak. Potrzebny jest nam spis ich pracowników i wszystkich osób związanych z tymi firmami. Może ktoś współpracował z nimi w Kalifornii, a potem przeprowadził się na północ. - Zmrużył oczy i oparł brodę na splecionych dłoniach. - I trzeba sprawdzić, czy którejs z tych firm nie zginął kiedyś alginian. Może wiesz, komu dostarczano go ostatnio w nasze okolice?

- Poza dentystami? - Pokręciła głową. - Nikomu.

- A w Portland? Vancouver? Seattle? W odległości możliwej do pokonania samochodem.

- Nadal to sprawdzam.

- Dobrze.

Jerri znów zapukała i wsunęła głowę do gabinetu.

- KBST koczuje przed wejściem— powiedziała. —Jedną z reporterek jest zerknęła do notatek - Brenda Ward, która chce zrobić z tobą wywiad.

- Nie teraz.

- Prosiła o oświadczenie.

Carter pochylił się naprzód.

- Powiedz jej, żeby zadzwoniła do porucznika Sparksa z oregońskiej policji stanowej.

Jerri zniknęła, a BJ podniosła listę. • - Mogę sobie zrobić kopię? - spytała.

- Jasne. A kiedy będziesz miała wydruk listy pracowników, którzy ostatnio zmienili miejsce zamieszkania, zrezygnowali z pracy albo wzięli urlop, po równaj go z listą osób, które wypożyczały albo kupowały filmy, nie tylko tutaj,

sprawdź również okolice Portland, może cały północny Oregon i południowy Waszyngton. Jeśli to nie da rezultatów, rozszerzymy zakres poszukiwań. — Zgniółł pusty kubek po kawie i wyrzucił go do śmieci. - Ale mam przeczucie, że ten facet jest niedaleko. - W zamyśleniu zmrużył oczy. - Tak samo jak facet, który porywa kobiety. W kościele nie było żadnych śladów szamotaniny, w miejscu wypadku Olmstead też nie ani na parkingu restauracji Lou. Albo temu facetowi udaje się obezwładnić ofiary bez walki, albo skłania je jakoś do współpracy. Pamiętasz Teda Bundy'ego? Czasami nosił gips albo bandaż, żeby zaskoczyć ofiary, którym wydawał się mniej groźny.

- Roxie Olmstead rozwaliała swój samochód. Trudno tu mówić o współpracy.

- Może być na tyle sprytny, żeby się dostosować do każdej sytuacji. Jeśli jeden sposób zawodzi, znajduje inny.

- Miejmy nadzieję, że nie jest tak sprytny - powiedziała BJ - a tylko ma szczęście. - Wzięła dwie kartki z faksem Jenny i skierowała się do wyjścia. - Aha, zaraz. - Zatrzymała się. - Trafiłam w Internecie na cytata: „Dziś. Jutro. Bez końca”. Z wiersza napisanego przez Leo Ruskina, słyszałeś o nim? Carter pokręcił głową.

- Tak, drugi Timothy Leary z New Age. Pisze poezje, które do mnie osobście nie przemawiają, ale posłuchaj, ten fragment wiersza miał być wykorzystany jako hasło promocyjne *Białej ciemności*, filmu, którego Jenna Hughes nigdy nie dokończyła.

Carter gwałtownie uniósł głowę.

- Powinna to chyba pamiętać - powiedział. - Przecież jej mąż był producentem tego filmu i stracili miliony.

- Można by tak sądzić, ale ona nie zajmowała się produkcją. A potem jej siostra zginęła, rozpadło się małżeństwo. Mogła zapomnieć o całej sprawie, jeśli kiedykolwiek w ogóle o tym wiedziała.

Carter poczuł, że krew zaczyna mu krążyć szybciej. Ożywienie także ogarniało go zawsze, kiedy zbliżał się do wyjaśnienia jakiejś sprawy.

- A gdzie teraz jest Ruskin?

- Szukam go.

- Sprawdź wszystkie jego poprzednie miejsca zamieszkania. A kiedy zajmiesz się firmami charakterystycznymi z Los Angeles, zacznij od tej, którą zatrudniono do *Białej ciemności*.

- Dobrze - obiecała, wychodząc z gabinetu.

Co to jest?

Dobry Ojciec w niebieskich, co się tutaj dzieje?

Lynnetta otworzyła półprzymknięte oczy i zadrżała.

Było tak zimno... Lodowato zimno... Odczuwała także otepienie, jakby mózg miała pełen mułu. Mrugając powiekami, rozejrzała się powoli po obszernym pomieszczeniu. .. Czy to jakiś magazyn? Z miejsca, w którym siedziała na fotelu, widziała rodzaj kanapy. Gdzieś grała muzyka, ale wydawała się bardzo odległa. Kiedy zmrużyła oczy, dostrzegła kobiety stojące na jakimś podwyższeniu. Połowa z nich nie miała twarzy, ubrań ani włosów, ale trzy z nich... Lynnetta z trudem przełknęła ślinę. To były trzy Jenny Hughes! Nie, to były dziwne, przypominające ją manekiny.

Podniosła wzrok. Nad głową miała długie ramię wiertarki dentystycznej z nierdzewnej stali... Jasno połyskujące w przytłumionym oświetleniu.

Nie... Przecież to się nie mogło dziać naprawdę. Coś tu było nie tak.

Bardzo, ale to bardzo nie tak. Musiała wziąć się w garść, obudzić się albo... Usłyszała jakiś dźwięk, ciche szuranie, które bardzo ją wystraszyło.

Była półprzymknięta i miała wrażenie, że jak Alicja wpadła do króliczej norki. Wszystko było takie nierealne. Dziwaczne. Postawione na głowie.

Znów zamrugowała powiekami, usiłując wyteńczyć wzrok i oczyścić umysł.

Ale nie mogła pozbyć się uczucia oszołomienia.

Zobaczyła go kącikiem oka. Mężczyznę, który wystraszył ją w teatrze. Teraz był nagi.

Och, nie!

Przypomniało jej się, jak siedziała w teatrze, w pomieszczeniu pod sceną. Usłyszała jakiś hałas, kiedy odkładała obrębianą sukienkę. Sądząc, że to hałasuje kot kręcący się tam, gdzie nie powinien, zawołała go. Ale kiedy skreśliła za róg do gabinetu Rindy, natknęła się na mężczyznę, który czekał na nią po ciemku. Wydawało jej się, że trzyma rewolwer. Rzuciła się do ucieczki, ale on ją złapał, przystawił jej zimny metal do karku i poraził prądem. Szok elektryczny wstrząsnął jej ciałem. Osunęła się na ziemię, ale jemu to nie wystarczyło i wbił jakąś igłę w jej ramię.

Po kręgosłupie przebiegł jej dreszcz strachu. Usiłowała zobaczyć go wyraźniej, próbowała się wyrwać. Ale nie mogła uciec, była przywiązana do tego przeklętego fotela. Przeraziła się, kiedy zdała sobie sprawę, że też jest naga. O Boże, czy on miał zamiar ją zgwałcić? Dlaczego? Co ona takiego zrobiła, że zasłużyła sobie na tak straszny los?

Oczy napełniły jej się łzami. Przez łzy widziała go z obnażonymi genitaliami, z tatuażem na piersi. Trzymał w ręku coś, czego nie mogła rozpoznać.

Pomóż mi, Boże, pomóż!

Kim był ten człowiek? Wydawało jej się, że go zna, że go kiedyś widziała w mieście. Ale zmienił się. Był szczuplejszy, niż zapamiętała, włosy miał

rzadsze i ufarbowane na inny kolor. Jakby się przebrał... Albo jakby w przebraniu występował przez ten cały czas, kiedy go znała.

Nawet oczy miał inne. Okrutne. Jak błyszczące błękitne kamienie, osadzone głęboko w czaszce. Najczystsza forma zła, z jaką się kiedykolwiek zetknęła.

Z trudem przełknęła ślinę, patrząc na przyrząd, który trzymał w ręku. Było to jakieś narzędzie dentystyczne. Gumowa obręcz na metalowym stelażu, coś, co człowiekowi nie pozwala zamknąć ust.

Nie! Zaczęła wpadać w panikę, chociaż umysł miała przymglony. Musiała się stąd wydostać! Natychmiast! Ale nie mogła uciec. Była przywiązana do tego fotela. Ponad dźwiękami muzyki i głośnym waleniem własnego serca usłyszała jakiś głos:

- Nie niepokój się, Lynnetto. Jestem przy tobie.

Czy to głos Boga? Czy to halucynacja, skutek psychodelicznego narkotyku, jaki jej wstrzyknął w żyły za pomocą wenflonu tkwiącego w jej nadgarstku? Opuściła wzrok na własną dłoń i po raz pierwszy zauważyła bandaż... Gruby kłęb gazy założony na palce, ściskający je razem. O co tu chodziło? Na gazie była ciemnoczerwona plama...

Niewątpliwie krew płynąca z jej serdecznego palca... Choć nie czuła żadnego bólu, dłoń wyglądała jakoś dziwnie. Rozpaczliwie spróbowała poruszyć palcami, ale jej sienie udało. Pewnie przez ten lek, który spływał z kroplówki. Coś musiało być w tym przejrzystym płynie, co przyćmiewało jej zmysły i tłumilo ból.

Więc dlaczego miała zabandażowaną dłoń? Czy stawiała opór? Walczyła? Nie mogła sobie przypomnieć. Nie miała czasu, żeby się nad tym zastanawiać

Podchodził coraz bliżej.

A ją ogarniał coraz większy lęk.

Zaufaj mi. Znów głos Ojca, próbującego ją uspokoić, pełen nadziei, że wiara ją podtrzyma.

Proszę, Ojcze, miej nade mną litość, modliła się, zamykając oczy i czując gorący oddech Lucyfera na swojej chłodnej twarzy. Myślała o męczennikach z dawnych czasów, o tych nieustraszonych duszach, które pogodziły się z wolą Boga. Z jakiegoś powodu Bóg poddawał ją próbie, ale ona nie będzie się bała... On ją wyzwoli. Tego była pewna.

Pomyślała o wiosnie i o swoich kochanych, nieżyjących już rodzicach, a potem o Derwinie, tym pracowitym mężczyźnie, który ją przecież kochał... I pomyślała o synu, Ianie, jeszcze niedorośłym, nastawionym na wszystkie pokusy czyhające w tych czasach na młodzież. Kochany Boże, nie

opuszczaj ich, modliła się i postanowiła, że niezależnie od tego, jakie tortury zaplanowało dla niej to wcielenie szatańskiego zła, ona nie straci wiary. Nigdy! Niedługo znajdzie się w domu Ojca. Niedługo będzie z Nim. Jak ci, którzy byli przed nią, jak Jezus, który cierpiał na krzyżu, przetrwa te męki na ziemi, żeby dostać nagrodę w niebie.

Będę z Tobą już wkrótce, słodki Jezu. Będę z Tobą już wkrótce, powtarzała w duchu.

Nadal nie otwierała oczu, kiedy ten potwór brutalnym ruchem wcisnął jej gumową rozpórkę do ust, nawet nie pisnęła, kiedy ją ustawił tak, że szczękę miała boleśnie opuszczoną, z mocno naciągniętymi wargami, z językiem i zębami wydanymi na jego łaskę. Ledwie drgnęła, kiedy usłyszała, że wiertarka zaczyna pracować. Modliła się, na nic nie zważając.

Ojcze nasz, któryś jest w niebie...

Wiertarka głośno zawyła w zetknięciu z jej zębami, a jej nozdrza wypełnił smród palącego się szkliwa. Lynnetta wiedziała, że to tylko kwestia sekund zanim okrutne wiertło trafi na nerw.

Rozdział 36

Normalnie rzecz biorąc, nie było to włamanie. Miał klucz.

Klucz, który Wes Allen dał Carolyn wiele lat temu.

Shane Carter nie miał nakazu rewizji. Wiedział, że cokolwiek tam znajdzie, zostanie to odrzucone przez sąd. A on straci pracę.

Carter wahał się przed podjęciem tej decyzji prawie cztery dni, począwszy od wieczoru, kiedy zniknęła Lynnetta Swaggert.

Miał nadzieję, że uda mu się zebrać wystarczające dowody przeciw Weso-wi, żeby zdobyć ten cholerny nakaz rewizji, ale niestety Amanda Pratt i jej szef, prokurator okręgowy, nie przejęli się faktem, że Wes Allen jest artystą, zna Jennę oraz kupił lub wypożyczył wszystkie jej filmy na DVD i wideo. A poza tym Wes nie miał żadnych powiązań z Leo Ruskinem, poetą z Los Angeles, piszącym w stylu Leary'ego, który, jak się wydawało, wyparował z powierzchni ziemi.

Shane sam zdawał sobie sprawę, że te dowody są co najmniej wątpliwe, a na instykt policjanta trudno się było powoływać. Poza tym pozostawała jeszcze kwestia zemsty osobistej, na co natychmiast zwróciła uwagę Amanda Pratt.

- Czy ten facet nie jest twoim przyjacielem?... Ach tak! - Siedząc na skraju biurka i machając nogą, strzeliła palcami, jakby nagle doznała olśnienia. - To ten gość, który miał romans z twoją żoną, tak? Ten sam, którego w ataku wściekłości przysięgałeś zabić? Czy to nie z tego powodu poradzono ci, żebyś

poszedł do terapeuty? Zdaje się, że omal nie straciłeś przez to pracy.

- To było dawno temu — powiedział Carter.
- Ludzie uważają, że zemsta najlepiej smakuje na zimno.

Nie ustąpiła. W rezultacie tego kilka godzin później zaparkował samochód na starej leśnej przecince w pobliżu domu Wesa Allena, zamierzając złamać prawo, zaryzykować utratę wszystkiego, na co pracował przez całe życie.

Kierując się przecuciem.

I brakiem umiaru, kiedy chodziło o Jennę Hughes.

Co to powiedział na jego temat doktor Randall? Że jest tego typu człowiekiem, który zawsze znajdzie sposób, żeby sobie zaszkodzić.

Wysiadł z samochodu. Miał na nogach buty o rozmiar za duże, te same, które Wes zostawił w domu Cartera wiele lat temu. Bardzo dobre buty.

Popularnej marki, ulubione przez myśliwych i wędrowców na pomocnym zachodzie. Ostrożnie przeszedł przez las, korzystając z latarki, zadowolony z tego, że śnieżycy ustała. Dobrze znał zwierzęce szlaki, chodził nimi, kiedy polowali razem z Wesem i Davidem.

To było całe lata temu. Carter nie był tutaj od tego dnia, kiedy David Landis runął na spotkanie śmierci, usiłując wspiąć się na wodospad Pious. Ale niewiele tu się zmieniło - rosły te same drzewa, mijał siklawy, teraz zamrożone na kość kolumny lodu, które opadały z urwiska daleko w górze do lodowej sadzawki u jego stóp.

Noc była cicha. Bez szumu kaskad wody, spadającej z urwiska, bez wiatru wiejącego kanionem, wyżłobionym przez rzekę Kolumbia, las zachowywał sobie tylko właściwą ciszę. Skrawek księżyca prześwitywał przez grubą powłokę chmur, ale gwiazd nie było widać, jakby nie chciały spoglądać na scenę popełnianego przez niego przestępstwa.

Czasem człowiek nie ma innego wyboru, jak tylko wziąć prawo we własne ręce.

Schodząc ze wzgórza, dostrzegł wśród drzew posiadłość Wesa, małą farmę ze starym domem i wielką stodołą, oświetloną lampą na wysokim słupie. Nie było tam furgonetki Wesa, co nie stanowiło żadnej niespodzianki, bo Carter zauważył ją przed Lucky Seven Saloon, popularnym barem tuż za miastem. Wes zwykł spędzać tam ze dwie godziny, ilekroć w jakimś meczu grała drużyna Trail Blazers. Carter zakładał, że ten zwyczaj nie ulegnie zmianie dziś wieczorem. Mecz zaczął się godzinę temu, a więc miał dużo czasu. Chyba że Wes nie zostanie na ostatnią kwartę.

Carter zastanawiał się nad wzięciem do spółki BJ. Poleciłby jej siedzieć z piwem w barze i zadbać o to, żeby Wes nie ruszył się ze stołka. Ale BJ

zaczęłyby zadawać pytania, a wtedy on musiałby ją wtajemniczyć w coś, co jeśli nie było wręcz nielegalne, na pewno balansowało na granicy prawa. Nie, uznał, że lepiej zrobić to samemu.

Przystanął, żeby się upewnić, czy nikt nie kręci się po farmie. Oparł się o pień sosny, której jakoś udało się ująć siekierze drwała, i patrzył, jak jego oddech na mrozie zamienia się w parę. W oddali, na drodze, migwały nieliczne światła samochodów. Po odległych torach mknął pociąg. Nie czekał żaden pies. W piętrowym wiejskim domu z szerokimi werandami, stromym dachem i obdrapaną fasadą było ciemno. Dom wydawał się pusty. - Teraz albo nigdy - powiedział Carter sam do siebie i obszedł dom od strony stodoły, gdzie przystanął i nasłuchiwał przez chwilę, czy nie ma tu jakiegoś psa. Nic nie usłyszał, żadnego warczenia, żadnego ostrzegawczego szczeknięcia. Zakradł się przez rozchwierutaną bramę i poszedł na tylną werandę, tak jak często to robił w dawnych latach.

Zanim Wes i Carolyn zostali kochankami.

Zaciskając szczęki, wbiegł na werandę po dwa stopnie naraz i chwycił za klamkę drzwi. Zdjął zębami jedną rękawiczkę, a potem gołą dłonią sięgnął do kieszeni po portfel i wyjął z niego klucz.

Klucz wszedł gładko w stary zamek i bez trudu dał się przekręcić. Carter był przygotowany na to, że zaraz zawyje alarm, który Wes mógł zainstalować w ciągu ostatnich pięciu lat. Ale oprócz szczeknięcia zamka nie rozległ się żaden inny dźwięk.

Na razie szło nieźle.

Zostawił buty na werandzie, a potem, w samych skarpetkach, przeszedł przez krótki korytarz, który kiedyś był mu dobrze znany.

Zapach tego domu nie zmienił się, a na kuchennym blacie zauważył rząd pustych, dużych butelek po piwie. Te same, co dawniej meble, których nie zaakceptowałyby żadna kobieta, były nieco zakurzone, ale salonik wyglądał dość schludnie z bliźniaczymi fotelami, długą kanapą, dużym telewizorem i zestawem głośników.

Deski podłogi zaskrzypiały pod stopami, kiedy przeszukiwał kolejne pokoje, przesuwając promień światła latarki na stół w jadalni, ozdobiony zakurzoną kompozycją kwiatową, która miała chyba z dziesięć lat. Kurz osiadł na niegdyś błyszczącym blacie. Potem Carter wszedł do małego pokoiku przy schodach, pomieszczenia, które służyło Wesowi za gabinet. Na szerokim blacie biurka, obok porządnego komputera, leżało mnóstwo papierów. Na jednym stosie rachunki, obok gazety, trzeci plik tworzyły czasopisma. Nic tu nie wzbudzało podejrzeń, rachunki dotyczyły opłat za

różne media, kart kredytowych, prenumerat czasopism, począwszy od „Popular Science” do „Plaboya” i „Penthouse’a”.

Komputer był włączony... i za dotykaniem klawisza monitor ożywił się. Carter zerknął na zegarek. Był tu od dziesięciu minut - mógł sobie pozwolić najwyżej na jeszcze dziesięć, gdyby Wes znudził się meczem.

Ponieważ korzystał z komputera Wesa, dostęp do danych nie sprawiał problemu, wszystko miał na wyciągnięcie ręki. Carter zerknął na strony, które ostatnio odwiedzał Wes: e-Bay i oficjalna strona Jenny Hughes znajdowały się na szczycie listy. Sprawdzając listę ulubionych stron Wesa, znów zobaczył e-Bay i stronę Jenny Hughes, ale poza tym także strony jej fanów, pornografię i serwisy poświęcone koszykówce, elektronice, majsterkowaniu i sztuce. Carter skopiował listę, przesłał ją na własny adres, a potem skasował wysłaną pocztę. Gdyby Wes był sprytny, mógłby to odkryć, ale z pewnością nigdy się nie zorientuje, że miał gościa.

Cyfrowy zegar na monitorze ostrzegł go, że czas wyznaczony na wizytę prawie już minął. Wytarłszy klawiaturę do czysta, Carter szybko wszedł po schodach i minął dwie małe, nieogrzewane sypialnie. Sądząc z wyglądu, nikt z tych pokoiów nie korzystał. Na stołach, krzesłach i łóżkach bez materaców piętrzyły się pudła, szafy ziały pustką. Rzuciwszy okiem, przekonał się, że w pudłach są stare papiery, zeznania podatkowe i tym podobne dokumenty. Nic z tego, czego szukał.

Nie sprawdzał tych pomieszczeń zbyt dokładnie, zajrzał tylko do łazienki i wszedł do sypialni Wesa. Była równie skromnie umeblowana jak reszta domu. Stały tam żelazne łóżko, biurko z telewizorem i stoliczek przy łóżku, gdzie leżały okulary, pudełko chusteczek higienicznych i pilot od telewizora. Porządkie. Czysto. Wszystko na swoim miejscu. Jakby Wes spodziewał się odwiedzin. Carter spojrzął na zegarek. Zaraz mecz się skończy, chyba że wyznaczą dogrywkę. Musiał działać szybko.

Prędko przejrzał zawartość szafy. Nic nie znalazł. Otworzył szufladę szafki przy łóżku i wciągnął głośno powietrze, kiedy latarką oświetlił jej wnętrze. Ujrzał kilka sztuk biżuterii i plik zdjęć.

Carolyn.

W gardle poczuł smak żółci, kiedy pośpiesznie przeglądał polaroidowe odbitki.

Zdjęcia Carolyn roześmianej, wyglupiającej się, pokazującej na coś albo przygryzającej wargę. Zdjęcia Carolyn w dzinsach i swetrach, w bikini, w koronkowej koszulce. Zdjęcia, kiedy brodziła w rzece, kiedy siedziała za kierownicą furgonetki Wesa, kiedy leżała na łóżku w zmiętej pościeli.

Carter zamknął oczy.

- Skubaniec. - Tak mocno zazgrzytał zębami, że zaboląa go szczęka. -

Cholerny skubaniec!

Stary, dotkliwy ból zdrady przeszył mu mózg.

A czego się spodziewał, przychodząc na przespiegi?

Czy to była misja z góry skazana na przegraną? Osobista zemsta, jak to sugerowała Amanda Pratt? Czy to tego w gruncie rzeczy szukał?

Pomyślał, że spali te zdjęcia, ale potem odłożył je do szuflady i zamknął ją.

Obecne poszukiwania nie dotyczyły prywatnych spraw Cartera. Nie chodziło o Carolyn. Rzec dotyczyła Jenny Hughes i jej bezpieczeństwa.

Aon stąd wyjdzie z pustymi rękoma.

Tak się na razie wydaje.

Ale nie mógł zostawić tam tych zdjęć Carolyn. Powtarzając sobie w duchu, że jest cholernym durniem, schował je do kieszeni. Niech Wes odkryje, że zginęły. Co zrobi? Przyjdzie na komisariat i oskarży Cartera o kradzież zdjęć własnej żony?

Nie zastanawiając się dłużej, zaczął schodzić po schodach. Aż podskoczył, kiedy stary zegar stojący przy drzwiach frontowych zaczął wybijać godzinę. Zajrzał do każdej szafy i szafki, na każdą półkę, kiedy szedł w stronę tylnego wyjścia. Zamknął za sobą drzwi. Musiał się stąd szybko wynosić! Nie należało kusić losu.

Na werandzie wciągnął buty i wyszedł przed dom. Zauważył zewnętrzne drzwi do sutereny. Zamknięte. Z prowadzącą do nich wydeptaną w śniegu ścieżką. , W szufladzie przy drzwiach był pęk kluczy...

Chociaż czas uciekał, nie mógł zrezygnować z okazji, nie sprawdzić, co tam jest. Wrócił po własnych śladach, złapał kółko z kluczami i wrócił do drzwi piwnicy. Przez wszystkie te lata znajomości z Wesem Allenem nigdy nie przekroczył tych drzwi.

Wypróbował sześć kluczy, dopiero siódmy otworzył drzwi. Kierując się światłem latarki, ostrożnie wśliznął się do środka, przymknął drzwi za sobą i po starych, drewnianych schodach zszedł do wilgotnej, ceglanej piwnicy, tak niskiej, że ledwie mógł w niej stanąć prosto. Wąski promień latarki oświetlił stare słoiki, narzędzia, nieużywany sprzęt do wędkowania i polowań, gumki, canoe, które widziało lepsze czasy.

Nic.

Wszedł głębiej do środka, próbując nie liczyć mijających sekund Starannie oświetlił latarką każdy kąt. Żółtawy promień przesuwiał się po spowitych pajęczynami belkach, osypującym się tynku, aż do kąta, gdzie widać było kolejne drzwi, tym razem zamknięte na kłódkę.

Co u diabła?

Carter zerknął na zegarek. Czas mu się skończył. I to już jakiś parę minut temu. Ale nie mógł się teraz wycofać. Spróbował kilku kluczy, aż trafił na właściwy. Klódka ustąpiła, a on otworzył drzwi i włączył światło.

Poczuł się tak, jakby go ktoś kopnął w brzuch.

Ten mały pokój był świątynią, cholernym ołtarzem na cześć Jenny Hughes.

W przeciwieństwie do reszty piwnicy to pomieszczenie było idealnie czyste, a jego ściany niedawno zagipsowano i pomalowano złotawą farbą. Podłogę pokrywał dywan, na jednej ze ścian wisiał wielki ekran telewizyjny, obok stał magnetowid i odtwarzacz DVD z systemem głośników. I wszystkie zdjęcia Jenny Hughes. Oprawione albo przypięte do ścian, pośród świec, bransoletek, naszyjników, spinek do włosów i podwiązek. Krótkowłosa ciemna peruka na gipsowym modelu głowy. Na oparciu jedyne mebla w tym pokoju, zwróconej w stronę ekranu kanapy pokrytej czerwoną skórą, leżały połyskujące kolczyki.

Przez chusteczkę wziął do ręki jakiś diadem. Czy nie coś takiego nosiła Jenna w *Utraconej niewinności*, gdzie grała młodocianą prostytutkę? A czy te kolczyki nie przypominały tych, które błyszczały w uszach Paris Knowlton, którą Jenna odtwarzała w *Mroku*, Carter ostatnio obejrzał wystarczająco wiele jej filmów. Mógł zaufać własnej pamięci. Spojrzał na zegarek i zmarszczył brwi. Za długo już tu siedział.

Ruszył do wyjścia, oświetlając latarką tytuły filmów wideo i DVD, tytułów, które kojarzyły się z pornografią albo z Jenną Hughes. Bardzo intymny pokój telewizyjny Wesa Allena. Carter z niechęcią pomyślał o tym, co mógł robić Wes, oglądając te filmy.

Miał już wyjść, kiedy promień światła prześliznął się po czarnej kasecie wideo. Na jej okładce nie było typowej naklejki z tytułem. Gdy się lepiej przyjrzał, dostrzegł małą nalepkę: CAROLYN.

- Cholera! - Carter sięgnął po kasetę, mając zamiar wsunąć ją do kieszeni albo rozwalić na tysiąc kawałków. Nie mógł jednak, jeśli chciał przy-skrzynić Wesa. A chciał tego ze wszystkich sił. Jeśli nie za coś innego, to za szerzenie pornografii. Zżerała go ciekawość, co znajdowało się na tej cholernej taśmie.

Nie mógł skompromitować odznaki. Nie mógł.

Ale włożył kasetę do kieszeni.

Czas było wynosić się stąd do wszystkich diabłów.

Jakiś dźwięk przerwał ciszę. Głęboki pomruk silnika furgonetki. Coraz bliżej.

Psiakrew!

Szybko wyszedł z pokoju, wyłączył światło dłonią w rękawiczce, zamknął za sobą drzwi i zatrzasnął zamek kłódki. Nagle stanął jak wryty. Furgonetka podjeżdżała pod dom, jej silnik brzmiał coraz głośniejsze. Przez szczelinę w drzwiach piwnicy zobaczył błysk reflektorów. Furgonetka Wesa Allena. Carter zamarł.

Przywarł do ściany.

Słyszał, jak silnik zgasł. Drzwi furgonetki otworzyły się ze skrzypnięciem, a potem Wes zaczął brnąć przez śnieg do domu.

Carter wstrzymał oddech, kiedy kroki zbliżyły się do tylnej werandy. Na moment zatrzymał się, a potem wszedł do wnętrza domu. Skrzypiały deski nad głową Cartera.

Wes, włącz sobie wiadomości... Sprawdź pocztę elektroniczną... Albo idź na górę do łóżka... Odeśpij to...

Ale kroki nad jego głową zatrzymały się w kuchni.

Z góry nie dobiegał żaden dźwięk.

Jakby Wes wyczuł w powietrzu coś niezwykłego. Jakby wyczuł, że ktoś był w jego domu.

Carter usłyszał kolejne ciche szurnięcie. Odgłos otwieranej szuflady? Och, do diabła, czyżby Wes miał zamiar odwiedzić swoje prywatne sanktuarium?

Carter nadal miał przy sobie kółko z kluczami. Jeśli Wes właśnie go szukał... Nie wolno wpadać w panikę. Trzeba coś wymyślić. Wes kręcił się po domu. Zaklął. Szukając kluczy, których nie było?

Carter powoli wyjął z kieszeni komórkę. Spocony mimo mrozu, włączył ją i wyciszył. Wybrał numer BJ.

Odezwała się po drugim dzwonku.

- Halo?

- Zadzwoń do Wesa Allena - szepnął Carter.

- Co?

- Tu Carter. Zadzwoń do Wesa Allena, do domu. Powiedz mu, że widziałeś, jak ktoś się kręcił koło jego sklepu w mieście. Że powinien tam natychmiast pojechać. Że dzwoniłaś już do mnie i mam się z nim tam spotkać.

- Carter? O czym ty, u diabła, mówisz? - zapytała. - Co się dzieje?

Nad jego głową skrzypiały deski podłogi.

- Co jest, do kurwy nędzy! - zaklął głośno Wes.

- Zrób, co mówię. Już! - szepnął Carter do telefonu, a potem szybko jej podał numer domowy Wesa Allena.

- A ty nie możesz sam zadzwonić? - zapytała, a potem dodała obrażonym tonem: - No dobra... Ale będziesz mi winien przysługę.

Carter wyłączył komórkę. Ledwie śmiał oddychać w tej wilgotnej, pustej piwnicy. Mógł sam zadzwonić do Wesa, ale wtedy zabrakłoby mu czasu, żeby wyprzedzić go w drodze do sklepu. Ktoś inny musiał wykonać ten telefon - i tym kimś była BJ. W ten sposób, jeśli Wes nabierze się na podstęp, wszyscy będą kryci.

Nad jego głową Wes znów podszedł do drzwi, a jego buty załomotały na deskach werandy.

No dalej... Dzwon, cholera...

Wes był coraz bliżej.

Na litość boską, BJ, dzwoni!

Słyszał kroki tuż przy drzwiach piwnicy, jeszcze chwila, a Wes Allen przekona się, że zamek jest otwarty. W tym momencie zadzwonił telefon.

Carter czekał, pilnie nasłuchując.

Telefon znów się odezwał. Kroki zatrzymały się.

Odbierz ten telefon, Wes. Odbierz ten cholerny telefon.

- Jezu... - Wes pobiegł przez śnieg, wbiegł po schodach. Tylne drzwi otworzyły się przy kolejnym dzwonku telefonu. Carter, stojąc tuż pod podłogą, słyszał to wszystko.

- Halo! - W głosie Wesa wyczuwało się irytację. Drzwi zatrzasnęły się za nim. - Co? Kto mówi? W moim sklepie? Nie było alarmu... Czy to nie należy do waszych obowiązków? Och, do diabła... Tak... Dzięki. Sprawdzę to. Wes odłożył słuchawkę, zaklął i wypadł za drzwi. Carter słyszał, jak biegnie do swojego samochodu. Drzwi furgonetki otworzyły się i zamknęły, a potem wreszcie zawarczał silnik.

Carter oparł się z ulgą o ścianę. Będzie musiał kupić BJ kwiaty, zabrać ją na bal albo coś w tym rodzaju.

Opony zapiszczały. Furgonetka ruszyła z rykiem. Carter odczekał dwie minuty, na wypadek gdyby Wes postanowił zmienić zdanie, a potem wybiegł z piwnicy, zamknął ją, położył kółko z kluczami Wesa do szuflady, pod kilkoma otwieraczami do butelek, i wyszedł z domu. Starannie zamknął za sobą drzwi kluczem Carolyn i pobiegł pod górę przez las w tych za dużych butach. Znów zaczął sypać gęsty śnieg. Carter miał cholernie szczęście. Jego ślady znikną przed świtem.

Rozdział 37

Nie mogę dzisiaj - szeptała Cassie, leżąc w łóżku. Było już zbyt późno.

Czy ten Josh oszalał, żeby dzwonić do niej po pomocy? - Nie kłóć się ze mną, dobrze? Nie będziesz mi mówił, co mam robić. - Więc pozwolisz, żeby mama cię kontrolowała?

Powiedziałam, że tam nie pojedę.

- No dobra, a jutro? Jest impreza.
- Nie mogę. Słuchaj, Josh, daj już spokój, dobra?
- Ale ja cię kocham, Cass, wiesz o tym.

Czy rzeczywiście ją kocha?

- Nie mogę tak ryzykować.
- Jutro jest kolejne czuwanie przy świecach w intencji mamy lana. Możesz powiedzieć w domu, że tam jedziesz. Koniecznie chcę się znów z tobą zobaczyć.
- Nie wiem sama... - Czują jednak, że musi się wyrwać z tych czterech ścian, gdzie tkwiła w towarzystwie zdenerwowanej matki, rozkapryszonej siostry i uważnego ochroniarza.
- Zastanów się nad tym - powiedział Josh i odłożył słuchawkę.

Cassie przygryzła wargę i wyjrzała przez okno. Czy ten cholerny śnieg nigdy nie przestanie padać? To prawda, że śmiertelnie się nudziła i działały sobie z mamą nawzajem na nerwy. Świetna rozrywka...

Omal nie zerwała z Joshem...

*

Ale żeby wyrwać się z domu pod pretekstem, że idzie na czuwanie przy świecach za Lynnette Swaggert? Jakie to beznadziejne. Jakie podłe.

Z trudem powstrzymywania się od płaczu.

Co za beznadziejne życie.

- Przyjdę po ciebie... - bezcielesny głos szeptał ponad zmrożoną ziemią. Płatki śniegu, maleńkie koraliki lodu, spadały z bezkسیężycowego nieba. Głos zdawał się dochodzić zewsząd - z gór, z płynącej dołem rzeki, z mrocznych lasów.

- Kim jesteś? - zawołała Jenna, przerażona do ostatecznych granic. Biegła, jak mogła najszybciej, łapczywie chwytając w płuca hausty lodowatego po wietrza. Oglądając się przez ramię, usiłowała dojrzeć tego, kto ją ścigał. Niczego nie zobaczyła, ale on tam był, gonił ją, śledził jej każdy ruch. Wy czuwała go. Wiedziała, że ją ściga.

Nie miała dokąd uciec, a jednak biegła, ślizgając się bosymi stopami po zamrzniętej ziemi. Ciasna czarna suknia krępowała jej ruchy, nie pozwalając biec szybciej.

- Jenna... Jeeeeennnnnaaaaa...

Głos ten wydawał się dobiegać ze wszystkich stron.

- Kim jesteś? - spytała, a wiatr rozwiewał jej włosy, bił po twarzy.
- Dobrze wiesz.
- Nie wiem! - Nogi jej potwornie ciążyły, wciągały ją głębiej w śnieg, suknia podarła się i opadła z niej, a Jenna, przerażona, błędziła wśród kamiennych nagrobnych i usiłowała brnąć przez śnieg, który kasał nagą skórę. Głos szepnął jej do ucha:
 - Jestem prawdziwym mężczyzną.
- Głęboki, gardłowy odbijał się echem po cmentarzu.
- Zostaw mnie w spokoju. - Potknęła się o niski kamienny nagrobek, przy sypany śniegiem.
 - Czekaj na mnie...
 - Daj mi spokój, do diabła! - krzyknęła, odwracając się. Nikogo. Żadnego potwora. Żadnego monstrum. Żadnej okropnej istoty, która ją napastowała. Płatki śniegu nadal wirowały w nocnym powietrzu.
 - Jesteś moją kobietą...
 - Nie jestem niczyją kobietą, bydlaku. - Znow zaczęła biec, ale coś ją chwyciło od dołu, trzymając mocno. Wokół kostek nóg zacisnęły się silne palce. Opuszczając wzrok, Jenna dostrzegła twarz Lynnetty Swaggert. Włosy Lynnetty tworzyły anielską aureolę, która jarzyła się wkoło jej głowy. Lynnetta leżała na śniegu z błogim uśmiechem. Powiedziała:
 - Podarłaś sobie sukienkę, Jenno. - Błękitne oczy pociemniały troską. - Uważaj. Ja już nie będę mogła ci jej zszyć.
 - Lynnetta! Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało.
- Ale niewinna twarz Lynnetty zmieniła się, stała się zła.
 - Zmysłowa... silna... pociągająca... - powtarzała słowa, jak zapamiętaną lekcję.
 - Co ty tutaj robisz? Kto cię tu przywiózł? - spytała Jenna.
 - Jesteś prawdziwą kobietą.
 - Akurat, do diabła!
 - To twoje przeznaczenie.
 - Przeznaczenie? Nie... - Jenna w panice rozejrzała się po osypujących nagrobkach. Zewsząd otaczała ją mroczna noc. — Nie mam żadnego przeznaczenia.
 - Oczywiście, że masz. Mówię o Bogu, Jenno - powiedziała Lynnetta. - On jest jedyną drogą do zbawienia.
 - Bóg nie ma z tym nic wspólnego.
 - Jego drogi są tajemnicze.
 - To bzdura, Lynnetto.
 - Gdzie twoje ubranie?

- Co? - Jenna opuściła wzrok i odkryła, że jest naga. Ciało nie okrywała już wąska czarna suknia i było jej zimno... Tak okropnie zimno... Drżała. Ostre kolce gradu wbijały się w ciało, zostawiając maleńkie, czerwone obrzmienia na skórze. - Nie wiem.

- Lepiej je znajdź, ty niegrzeczna dziewczynko. Wstydz się. Robić takie brzydkie filmy... - Lynnetta znikła. Na jej miejscu leżał brudny śnieg, spiętrzony wysoko wokół jakiegoś nagrobka.

Przerażonymi oczyma Jenna odczytała napis: Cassandra Lynn Kramer, ukochana córka. Co? Serce zabiło jej boleśnie. Cassie? Nie!

- Nie! Nie! Nie! - krzyknęła, zachłystując się powietrzem, a łzy lały się strumieniem po jej twarzy...

Jenna szeroko otworzyła oczy.

Otaczał ją mrok, a koszmar senny znikał w najgłębszych zakamarkach podświadomości.

- O mój Boże - szepnęła, ocierając łzy z kącików oczu.

Była w domu.

We własnym łóżku.

Bezpieczna.

Bicie serca uspokajało się. I wtedy to wyczuła. Czyjaś obecność. Coś mrocznego i złego... Jakby ktoś stał nad nią i patrzył, jak boleśnie wiję się w okowach koszmaru. Ale to przecież było niemożliwe. Prawdopodobnie ciągle jeszcze miała w pamięci mrozący krew w żyłach sen. Pokryta ze strachu gęsią skórą zaczęła nasłuchiwać. Nic, jedynie wycie w kominie i skrzypienie starych belek, osiadających na przemarzniętych fundamentach. A jednak w powietrzu coś wisiało, coś było nie tak, lekki podmuch zwiastował obecność jakiegoś obcego stworzenia.

Cicho wydostała się spod kołdry i narzuciła na siebie szlafrok, wiszący na łóżku. Z gwałtownie bijącym sercem wyszła na korytarz i w słabym świetle nocnej lampki weszła po paru schodkach na górne piętro. Drewniana podłoga chłodziła jej gołe stopy, a powietrze wydawało się rozedrgane.

Drzwi do sypialni Cassie były lekko uchylone i ze środka sączyło się niebieskawe światło. Jenna cicho pchnęła drzwi i zobaczyła córkę twardo śpiącą na łóżku. Twarz Cassie miała niewinny, spokojny wyraz w niebieskawej poświacie włączonego i wyciszonego telewizora.

Na razie wszystko w porządku. Jenna bezszelestnie przeszła do sypialni młodszej córki. Ostrożnie uchyliła drzwi. Pokraka, leżący przy łóżku, podniósł kudłaty łeb i zaczął walić ogonem o podłogę. Allie przez sen cmoknęła wargami i przekręciła się na łóżku, głębiej zakopując się pod kołdrę.

Wszystkie były bezpieczne.

Żadne zło nie czaiło się w mroku.

- Jenna?

O mało nie zemdląca.

Obróciła się na pięcie i zobaczyła Jake'a Turnaquista. Tylko głowa i ramiona wystawały mu ponad poręcz schodów.

- Wszystko w porządku?

- Tak... Nie... Chyba tak. - Odsunęła opadające na oczy włosy i usiło wała uspokoić galopujące serce. Schodząc po schodach, szeptem dodała: - Miałam zły sen. O Lynnetcie. A kiedy się obudziłam, miałam uczucie, że ktoś był w moim pokoju, stał przy moim łóżku, patrzył na mnie.

- Może usłyszałaś, jak wchodziłem.

- Do mojego pokoju? - Ogarnęła ją nagła nieufność.

- Nie. Byłem na dole. Wyczerpały się baterie od latarki i nie miałem na wymianę. Wiedziałem, że trzymasz zapasowe w spiżarni, więc przyszedłem po nie. Może usłyszałaś, jak otwierałem drzwi.

- Może. - Pokręciła głową. - Jednak nie wydaje mi się. Moim zdaniem...

O Boże, czyja tracę zmysły? - powiedziała i zdała sobie sprawę, że nie może sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni przespała spokojnie całą noc. Nerwy miała w strzępach i znajdowała się na krawędzi kompletnego załamania. - Tak, tracę zmysły.

- Nie wydaje mi się. Masz zdolność samooceny, co świadczy o tym, że jesteś normalna - powiedział zmęczonym tonem. - Żeby to cię uspokoić, zrobię jeszcze jeden obchód.

- Dzięki - odparła.

Jenna w swoim gabinecie włączyła telewizor, nie patrzyła jednak na ekran, zaczęła wpatrywać się w mrok za oknem, w ciemną, wietrzną noc. Nie było księżycy. Nie było widać gwiazd. Tylko śnieg padający bez przerwy.

W szybie dostrzegła własne blade odbicie. Patrzyła na Jake'a, póki nie zniknął jej z oczu, a potem czekała niemal godzinę na jego powrót.

Dołożyła do ognia, zrobiła gorącą czekoladę, przejrzała wczorajszą gazetę i jednym uchem słuchała późnego wydania talk-show, przez cały czas patrząc, jak zegar odlicza sekundy.

Wreszcie tylne drzwi otworzyły się i Turnaquist wszedł do domu, strzepując śnieg z kurtki i spodni. Twarz miał zaczerwienioną od mroźnego wiatru i wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Nic? - Jenna podała mu gorącą czekoladę.

Ściągnął rękawice i chętnie wziął od niej kubek.

- Zupełnie nic.

Nie widział nikogo na zewnątrz.

Nie znalazł żadnego śladu, świadczącego o tym, że ktoś się kręcił po posiadłości.

- Pewnie wpadam po prostu w paranoję - powiedziała, czując się jak idiotka. Wysłała człowieka na mróz, bo wydało jej się, że ktoś nad nią stał i ją obserwował, kiedy spała. Jake chyba musiał być porządnie wkurzony, chociaż starał się tego nie okazywać. Śnieg topniał na jego kominiarce, a palce, mimo że podczas obchodów nosił ciepłe rękawice, miał zeszywniałe od mrozu.

- Nie, nie uważam, żebyś oszalała. Ale nerwy masz rzeczywiście w marnym stanie. - Ton tych słów nie brzmiał zbyt uprzejmie. Jake ogrzewał sobie dłonie przy ogniu, zginając palce, jakby chciał się przekonać, czy są jeszcze sprawne. - Może powinnaś brać coś, co ci pozwoli zasnąć.

- Tabletki nasenne?

Spojrzał na nią przez ramię, oceniając ją spojrzeniem chłodnych, błękitnych oczu.

- Valium, prozac, coś, żebyś mogła się odprężyć.

- Moim zdaniem właśnie teraz muszę być czujna.

Nie odpowiedział, wziął kubek i dopił czekoladę. Na zewnątrz szalał wiatr, wyjąc i hucząc w kominie.

- Jake?

- Tak?

- Dziękuję.

- To moja praca- powiedział nieco łagodniej, zanosząc kubek do zlewu. - Pójdę na górę i wszystko pozamykam.

- Dobranoc.

- Naprawdę taka dobra? - zażartował, kręcąc głową. - Jakoś mi się nie wydaje.

- Mnie też nie. - Uśmiechając się z jego kiepskiego żartu, poszła na górę do sypialni, do swojego zbezczeszczonego sanktuarium. Czy kiedykolwiek jeszcze zdoła się tu poczuć swobodnie? Rzucając szlafrok koło łóżka, ziewnęła. Wszyscy byli w domu. Bezpieczni. Mogła teraz zasnąć.

Spojrzała na toaletkę i jej wzrok padł na pudełko na biżuterię. Czy nie stało inaczej? Nie, znowu jakieś przewidzenia.

Jednak patrząc na pudełko, zauważyła, że jedna z jego małych szufladek nie była do końca domknięta.

Czy ona tak ją zostawiła?

Kiedy po raz ostami otwierała pudełko?

Nie mogła sobie przypomnieć.

No i co z tego, że szufladka nie jest do końca zasunięta? Jake ma rację, musi coś - Sztucznie wziąć na uspokojenie! Sięgnęła w stronę lampy, a potem zdecydowała, że zamknie

te szufladkę. Podeszła do biurka i zajrzała do niej. Zesztywniała. W środku - Gdzie zobaczyła mały pakiecik, owinięty lawendową bibułą.

Co to jest? znalazłaś

Niczego w bibułce nie wkładała do pudełka. ?

Ale Allie mogła coś włożyć. Wiecznie bawi się jej rzeczami. Może znalazła jakąś - W zapomnianą bransoletkę i oddalają, owiniętą jak prezent? moim

Albo... pudełku

Z walącym sercem ostrożnie rozwinęła delikatny papier, a kiedy to zrobiła, na pomyślała, że zwymiotuje. Oczy rozszerzyły jej się z przerażenia i krzyknęła na biżuterię. cały głos, patrząc na odcięty, zakrwawiony palec. - Chcę zobaczyć

Rozdział 38 . - Allie na

Wrzask Jenny na pewno obudził pół stanu Oregon. Drżąc, wpatrywała się przera bosaka ec. O Boże, o Bo

Usłyszała kroki, głos dzieci podbiegł

- Mamo! Mamo! a do

Pokraka rozszczękał się wściekle. toaletki. -

- Mamo, nic ci nie jest? Och, co

Obejrawszy się przez ramię, Jenna zauważyła stojącą w korytarzu Allie, bladą, za roztrzęsioną. Drobnymi paluszkami ścisnęła framugę drzwi, wpijając paznokcie w ohyda! -

drewnianą ramę. Cassie stała tuż za nią, opiekuńczo obejmując młodszą siostrę, powiedzi ała,

- Co się stało? - szepnęła, wyraźnie przerażona. krzywiąc

Jenna powiedziała sobie, że musi się opanować, musi być dzielna. Wzięła głęboki buzię z oddech, spojrzała do wnętrza pudełka i zauważyła, że krew nie wygląda przerażen

naturalnie... Że nie widać śladu kości, że... Co, u diabła? Myśli jej galopowały ia.

bezdłanie. Wreszcie zdała sobie sprawę, że nie był to prawdziwy palec. Jego Cassie

imitacją z pierścieniem zaręczynowym i obrączką ślubną. Coś takiego, co robią kręciła

specjaliści od charakteryzacji na planie filmowym. Coś, o czym wcześniej głową.

wspominał Shane Carter. - Ale

- Mamo? - ponagliła Cassie kto...

- Ja... Nic mi nie jest. Po prostu głupi dowcip - powiedziała. - Głupi, podły do Na dole ręła się w środku, ale zmusiła się do uśmiechu. skrzypnął

- - Ktoś mi zostawił upominek. y drzwi.

Cassie, uspokojona, że nic złego się nie stało, wymięła przerażoną Allie i Jennie podeszła bliżej. zamarło

- Słodki Jezu-jęknęła.-Co to jest? serce.

- Ćśś! - Objęła obie dziewczynki.
 - Jenna! - Głos Turnquista rozległ się w całym domu. - Jenna!
- Ogarnęła ją ulga.
- Jestem na górze! W moim pokoju! Nic się nie stało!
- Wpadł do pokoju z bronią w ręku.
- Słyszałem krzyk.
 - Kolejne odwiedziny - powiedziała i ruchem brody wskazała pudełko.
- Turnquist przeszedł przez pokój.
- Cholera. - Spojrzał na palec, ale go nie dotknął. - Co to jest, do licha?
 - To sztuczny palec, ktoś mi zrobił głupi dowcip.
 - Pierścionki wyglądają na prawdziwe.
 - Są prawdziwe - szepnęła. - Albo bardzo dobrze podrobione. Wygląda ją jak pierścionek zaręczynowy i obrączka Lynnetty Swaggert.
 - Nie! - krzyknęła Cassie, a jej twarz zbieleła. - Ale to nie są jej prawdziwe pierścionki, prawda? Tylko... takie podobne.
 - Zwróciłam na nie uwagę parę dni temu, kiedy Lynnetta przerabiała ją kąs sukienkę. Jeśli to są ich kopie, cholernie dobre kopie.
- Allie szeroko otworzyła oczy. Objęła matkę, a Jenna mocno ją przytuliła.
- Boję się, mamo.
 - Ja też, kochanie. Ja też.

Po raz pierwszy w życiu Jenna nie wiedziała, co robić. Zakłócono spokój jej domu, a ona niewątpliwie znalazła się w niebezpieczeństwie. Ten, kto ją terroryzował, przychodził tu i wychodził, kiedy tylko chciał. Mimo

systemu alarmowego. Mimo jej kontaktów z policją. Mimo obecności ochroniarza.

Wyglądała przez okno na padający śnieg i modliła się, żeby nie zabrakło prądu.

Dokąd zabrać dzieci? Gdzie znaleźć schronienie, w którym jej córki byłyby bezpieczne? I jak je stąd zabrać? Drogi były niemal nieprzejezdne, a wszystkie hotele w mieście przepełnione. W dodatku ten sukinsyn chciał, żeby zaczęła uciekać. To było całkiem oczywiste. W jakim innym celu tak by ją straszyl? Kim, u diabła, był ten bydlak? Co usiłował osiągnąć?

- Nic nam nie będzie - powiedziała stanowczo do Allie, głaszcząc ją włosach.

Cassie wpatrywała się w matkę, nie wierząc jej słowom. Teraz w jej spojrzeniu nie było gniewu, braku szacunku ani złośliwości. Tylko zwykły, nagi strach.

- Moim zdaniem powinniśmy pojechać na święta do Los Angeles.

Jenna nie spierała się, ale powiedziała:

- On chyba właśnie tego chce.

- Kto? Ten świr, który to zrobił? - spytała Cassie.

- Tak.

- No i co z tego? Mimo to uważam, że powinniśmy wyjechać. Mamo, tego typu rzeczy nigdy nie działy się w Kalifornii.

Tu miała rację. Zupełnie tak, jakby ten świr chciał, żeby tam wróciła.

Dlaczego? Czyjej pobyt tutaj był mu nie na rękę? A może usiłował sprowadzić ją z powrotem do Kalifornii, bo chciał, żeby kręciła więcej filmów?

Robert.

Chce, żeby dzieci były bliżej niego.

- Zadzwoń do szeryfa - powiedział Turnquist. - Niech przyśle tutaj swoich ludzi albo skontaktuje się z policją stanową. Chcę, żeby to miejsce zostało dokładnie przeczesane. Tymczasem wszyscy zostaniemy tutaj. W gabinecie. Kiedy przyjedzie policja, rozbiorę ten dom do fundamentów.

- Rób, co chcesz - powiedziała Jenna, a on wyciągnął z kieszeni komórkę i wybrał numer. Nie miałyby nic przeciwko, żeby zburzył ściany. Chciała tylko, żeby dopadli tego sukinsyna.

Carter jechał przez śnieg, przekraczając wszelkie ograniczenia prędkości.

Miał zamiar wyjaśnić, że zobaczył, jak ktoś kręcił się koło sklepu Wesa, pojechał za facetem i zadzwonił do BJ z komórki. A potem, kiedy w śnieżycy stracił z oczu podejrzanego, wrócił na miejsce zajścia, żeby spotkać się z Wesem. To powinno wiele wyjaśnić. Pokryć jego kłamstwa.

Wjechał do miasta i zobaczył furgonetkę Wesa, zaparkowaną na ulicy obok sklepu elektrycznego. Sklep składał się z biura i warsztatu, gdzie Wes trzymał części zapasowe i narzędzia. Był wewnątrz. Światła się paliły. Carter wszedł przez otwarte drzwi.

- O co tu chodzi, do diabła? - spytał ostro Wes z ponurą twarzą. Wionął od niego zapach piwa i papierosów.
 - Widziałem, jak ktoś tu się kręcił.
 - Kto?
 - Nie wiem.
 - Niczego nie brakuje. Okna są całe. Drzwi zamknięte na cztery spusty. - Wes oparł się biodrem o obdrapane biurko.
 - Miałeś farta.
 - Czyżby? - spytał Wes. - Mam ten sklep od, zaraz... Od dziewięciu lat. Nigdy żadnego włamania, nigdy nic nie zginęło i nagle dzisiaj pojawia się ktoś, kogo nie rozpoznajesz, jedziesz za nim i gubisz go w tej śnieżycy. Bo to mi chcesz powiedzieć, prawda?
 - I właśnie to ci mówię.
 - Ty, który masz na głowie jedno morderstwo, trzy zaginione kobiety i różne inne nagłe wypadki, jechałeś, ot tak sobie, przez miasto i zauważyłeś kogoś, kto się kręcił koło mojego sklepu. - Przeszył Cartera spojrzeniem, które aż krzyczało: gówno prawda.
 - Byłem w drodze do domu.
 - Który znajduje się w przeciwnej stronie.
 - Robiłem ostami objazd. Skoro jednak moja pomoc ci nie w smak, spadam stąd. Możesz mi wierzyć albo nie, Wes, mam za sobą długi dzień. Jestem zmęczony, przemarznięty i nie zamierzam wysłuchiwać takich rzeczy od ciebie ani od nikogo innego. Jak byłeś łaskaw zauważyć, mam na głowie ważniejsze sprawy.
- Wes nie wydawał się w najmniejszym stopniu przekonany.
- Cholernie długo trwało, zanim tu dotarłeś.
- Carter ruszył do drzwi.
- Mam lepsze rzeczy do roboty, niż wysłuchiwać tej gadaniny. Myślałem, że będziesz chciał wiedzieć, że ktoś się kręcił koło twojego warsztatu. Na razie.
 - Ktoś był dziś wieczorem w moim domu.
 - Kto? - spytał spokojnie Carter, ale stał się czujny.
 - Nie jestem pewien. Ale ktoś tam wchodził. Chyba go wystraszyłem.
 - Jak wszedł? Przez drzwi? Przez okno?
- Wes pokręcił głową.
- Są jakieś ślady włamania?

- Nie.
- Może zapomniałeś zamknąć dom.
- Nie.
- No to o co chodzi?

Wes z ponurą miną zmarszczył brwi. Wzruszył ramionami.

- Coś zginęło? - Zdjęcia i kasety, nadal tkwiące w kieszeni Cartera, ciążyły mu jak ołów.

- Jeszcze nie wiem.
- Jeśli chcesz, mogę pojechać i rozejrzeć się. Sprawdzić dom.

W oczach Wesa przez moment widać było błysk paniki, którego nie udało mu się ukryć.

- Może się pomyliłem.
- Jesteś pewien?
- Do diabła, już niczego nie jestem pewien, Shane. - Splótł ramiona na piersi.

- Witaj w klubie. A teraz, jeśli mnie już tu nie potrzebujesz, wychodzę.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego mnie tu wyciągnąłeś w środku nocy.

Carter uniósł brwi i *zagrał* atutową kartą.

- Może nie powinieneś prowadzić.

- Co?

- Cuchniesz jak cały browar.

Wes zmrużył oczy.

- Chcesz mnie poddać testowi na obecność alkoholu? - spytał cicho. -

Twoi ludzie ściągają mnie tutaj z powodu jakiegoś fałszywego alarmu, a ty chcesz mi robić test na obecność alkoholu? Co jest, Shane? Wrabiasz mnie w coś?

- Powiedziałem ci już, co się stało,

- A ja ci nie wierzę.

Carter westchnął i potarł kark.

- Nie zmuszaj mnie...

- Nic nie musisz, Shane. Nic, cholera, nie musisz. Wracam do domu i po prostu zapomnimy o całej sprawie. - Odsunął się od biurka i wziął leżące na nim klucze.

Carter udawał, że się zastanawia. Wes ruszył do drzwi.

- Późno już.

Carter powoli skinął głową, nadal sprawiając wrażenie, że się namyśla.

- Wiesz, co? Zamknij warsztat, jedź do domu, sprawdź wszystko, a jeśli coś zginęło, daj mi znać. Wyślę zastępcę albo możesz wypełnić zawiadomienie o przestępstwie na komisariacie.

- Świetnie - mruknął Wes, otwierając drzwi i do biura wdarł się podmuch lodowatego wiatru. Carter wyszedł na zewnątrz i ruszył w stronę swojego wozu.

- Uważaj w drodze do domu - przestrzegł, jakby nadal uważał, że Wes jest pijany. Wiedział, że tak nie jest. Wes może jesfna lekkim rauszu, ale daleko mu do stanu upojenia.

Wes podniósł kołnierz kurtki, chroniąc się przed wiatrem.

- Nic mi nie będzie - powiedział, wsiadając do furgonetki.

Wsiadłszy do swojego samochodu, Carter obserwował we wstecznym lusterku odjeżdżającego Wesa. Uśmiechnął się ponuro, widząc, jaką uwagę Wes przywiązuje do poprawnej sygnalizacji, przystaje na skrzyżowaniach i trzyma się dobrze poniżej limitu prędkości.

Żeby na wszelki wypadek dać jeszcze Wesowi do myślenia, Carter jechał za nim przez sześć przecznic i dopiero wtedy zawrócił, kierując się w stronę domu. Ulice były prawie puste, a kiedy wyjeżdżał z miasta, w lusterku wstecznym nie widział żadnego samochodu. Tym lepiej.

Carter wyjechał za miasto i skręcił na 1-84, drogę wiodącą na zachód. Nie było żadnego ruchu, jako że droga oficjalnie została zamknięta, ale on zignorował barierki, objeżdżając zaśnieżone barykady i kilka kilometrów dalej skręcił na most Bogów. Zatrzymał się na środku mostu. Zostawiając samochód na jałowym biegu, wysiadł, podszedł do barierki i wyciągnął z kieszeni taśmę wideo. Patrząc na czarne pudełko, zastanawiał się, jakie obrazy Carolyn znalazły się na tej cholernej taśmie. Czy była naga? Z Wesem? W kompromitującej sytuacji? Czy może całkowicie ubrana, uśmiechnięta do kamery... Czy to ważne? Powiedział sobie, że lepiej nie wiedzieć. Naprawdę było mu wszystko jedno, co zrobiła Carolyn. Nie chciał na nowo rozdrapywać ran.

Stał z kasety ślady palców. Wiał ostry, przesywający na wylot wiatr. Śnieg szaleńczo wirował. Pod mostem kłębiły się atramentowo czarne, wzburzone wody Kolumbii.

Szczękając zębami, Carter cisnął kasetą o śliski asfalt mostu. Obcasem zmiażdżył pudełko.

Nie wystarczyło mu to.

Wydarł taśmę, zrywając ją ze szpulek, a potem pozbierał resztki i wrzucił cały cholerny kłęb w ciemne, lodowate odmęty płynące dołem Kolumbii.

- Adios - powiedział do wyjącego wiatru i ogarnęło go zadziwiające uczucie wolności.

Zdjęcia, które miał w kieszeni, spali w piecyku we własnym domu. Nie będzie z tego robił żadnej demonstracji. Po prostu wrzuci je do ognia i nawet nie będzie patrzył, jak syczą i zwijają się w płomieniach.

Zniszczy je na zawsze. Kiedy dom Wesa Allena zostanie przeszukany, żadne zdjęcia Carolyn nie wypłyną na jaw, rozniecając na nowo dawny skandal. Wes nie okaże się na tyle głupi, żeby wspomnieć policji, że ktoś zabrał mu zdjęcia i kasetę wideo z żoną innego mężczyzny - ze zmarłą żoną szeryfa. A nawet gdyby, co z tego? Wes Allen był nie tylko dawnym przyjacielem Cartera i kochankiem jego żony, teraz stał się człowiekiem, który prześladował Jennę Hughes.

Ale jego dobra passa kończyła się.

W szybkim tempie.

Ponad wyciem wiatru usłyszał dzwonek komórki. Ślizgając się na pokrytym lodem asfalcie, podbiegł do blazera i wskoczył na siedzenie kierowcy.

Udało mu się odebrać telefon, kiedy zamykał drzwi drugą ręką.

- Carter - rzucił do aparatu.

- Mówi Turnquist. - Głos ochroniarza był ledwie słyszalny.

Mięśnie Cartera stężały.

- Mamy tu u pani Hughes pewien problem. Wszyscy są teraz bezpieczni, ale naruszono system bezpieczeństwa.

Cholera.

- Jak? - spytał ostro Carter.

- Chyba ten facet był tutaj. Nie wiem, kiedy. Pewnie wieczorem.

- Co? A ty tam wtedy byłeś?

- Nie jestem tego pewien, ale chyba tak.

Carter miał ochotę udusić ochroniarza.

- Jennie nic nie jest?

- Nic. Wszystkie mają się dobrze.

- Obie dziewczynki?

- Tak. Ale potrzebuję wsparcia. Siedzimy razem w gabinecie. Nie chcę zostawiać Jenny i dziewczynek samych w domu, ale muszę przeszukać posiadłość.

- W żadnym razie nie zostawiaj ich samych! - przykazał Carter, nagle bardzo zaniepokojony. Dlaczego nie pojechał za Wesem do samego domu? Jednak Wes przez te pół godziny w żaden sposób nie mógł się tam dostać, A co robił wcześniej? Czy naprawdę siedział w Lucky Seven?

Carter nacisnął gaz i w miejscu zawrócił na moście.

- Daj mi Jenę do telefonu.
- Nic jej nie jest.
- Daj mi ją do telefonu! - Dodał gazu, aż opony zapiszczały.
- Halo? - Głos miała nienaturalnie spokojny.
- Nic ci nie jest?
- A jak sądzisz? - Mimo gniewnego tonu wyczuł w jej głosie skrywane przerażenie.
- Masz zostać z Turnąquistem. - Zjechał z mostu. Wycieraczki walczyły z lodem pokrywającym przednią szybę.
- Nie martw się.
- Martwię się.

Odezwała się po sekundzie wahania:

- Carter?
- Tak?
- Pospiesz się, przyjedź tutaj.
- Trzymaj się, Jenna. Już jadę.

Rozdział 39

Sekundy odmierzane zegarem w gabinecie wlokły się bez końca, a Jenna czuła, że za moment zwariuje. Ona, Cassie, Turnąquist, a nawet Pokraka, stłoczyli się w niewielkim pomieszczeniu. Zastony i żaluzje w całym domu zostały szczelnie zaciągnięte, światło mrugało, kiedy domem szarpał wiatr. Dziewczynki skuliły się pod śpiworem na kanapie, a Jenna usiłowała zachować spokój umysłu.

Bezskutecznie.

Żeby ten Carter wreszcie przyjechał.

Turnąquist też był podenerwowany, nie rozstawał się z bronią.

Co dziesięć minut obchodził dom z rewolwerem w ręku, zaglądając w każdy kąt, przystając przy oknach i rozsuwając żaluzje, żeby zerknąć na śnieżycę.

Jenna słyszała, jak schody skrzypią pod jego krokami, jak Jake lekko stąpa po deskach podłogi na piętrze.

Siedziała w bujanym fotelu, jedną rękę opuściła, żeby podrapać Pokraka za uszami. Wreszcie, w momencie kiedy Jenna doszła do wniosku, że zaraz oszaleje, pies uniósł łeb i warknął. Turnąquist, który właśnie był na schodach, wszedł do mrocznej kuchni i wyjrzał przez okno w noc.

- To blazer Cartera - powiedział i wstukał kod, żeby wpuścić szeryfa przez bramę. Ale brama nawet nie drgnęła. - Cholerny szmelc. Wychodzę na dwór! - zawołał przez ramię. - Brama zamarzła.

Narzucił kurtkę i wyszedł z domu, zamykając za sobą drzwi na klucz. , Allie przysypiała.

- Ufasz mu, mamó? — spytała Cassie.

- Komu? Turnajstowi?

- Tak. Moim zdaniem on nie robi zbyt wiele. No bo skoro ten facet nadal tu wchodzi... Może to on.

- Sprawdziłam go.

- Bo porozmawiałaś z panem Brennanem.

- Zadzwoniłam do ludzi z listy referencyjnej, którą mi dał.

- Jakby nie mógł tego zaaranżować.

- Szeryf Carter go zarekomendował.

- Może on też jest w to zamieszany.

- Nie.

- Nie? - Cassie uniosła brwi. - A skąd wiesz, mamó? Całe to miasto może być jakąś komuną szaleńców, wszyscy tu są jak z innej planety. Tu się dzieją naprawdę dziwne rzeczy, mamó. Połowa ludzi wierzy w człowieka śniegu. Ten facet, Charley Perry, który znalazł zwłoki na Catwalk Point, twierdzi, że na jakiś czas porwali go kosmici. A najdziwaczniejsze jest to, że wszyscy w mieście po prostu to akceptują. Jest „nieco ekscentryczny”. Czy oni po szaleli? Perry jest kompletnym wariatem i powinien zostać zamknięty. Tak jak połowa ludzi z miasta. Nie wydaje ci się, że to dziwne, że dwóch facetów, z którymi się spotykałaś, Harrison Brennan i Travis Settler, mają jakąś tajemniczą przeszłość - że działali w jakichś elitarnych wojskowych grupach specjalnych albo w CIA, albo w czymś innym, o czym nie wolno im mówić? A co z Rindą, twoją przyjaciółką? Jej brat i syn są pogięci na maksa. Coś tu jest nie tak z genami, jeśli chcesz znać moje zdanie.

- Za to Josh jest normalny.

- -Nie. Tego nie powiedziałam. Cała jego rodzina jest szajbnięta! Zaczynam myśleć, że my - ty, ja i Allie - to jedyne normalne osoby. A to też wariactwo, bo przecież ty jesteś hollywoodzką gwiazdą, czy raczej była gwiazdą, rodzina jest rozbita, tata ponownie się ożenił... A i tak wydaje mi się, że jesteśmy normalniejsze niż większość tutejszych ludzi.

- Tak uważasz? - zapytała Jenna, ale Cassie znów zaczęła patrzeć w telewizor. Normalne? Z jej nienawiścią, do zimy? Wątpiła w to, wyglądając przez okno na białą ciemność śniegu.

Biała ciemność. Niedokończony film. Na którego planie zginęła Jill. Zamiast jej. Przecież to ona miała być na tej górze, nie Jill.

Zadrżała, wspominając, jak usłyszała wybuch, jak śnieg wystrzelił na setki metrów w górę. A potem ten straszliwy grzmot, jakby ziemia się rozstała. Z ratraka patrzyła z przerażeniem, jak ściana śniegu i lodu runęła w dół zbocza, tam, gdzie mieli kręcić następną scenę, gdzie czekała Bogu ducha winna Jill. Krzyknęła, chciała do niej biec, ale ktoś z ekipy ją przytrzymał. Przez wiele godzin szukali ciała Jill, ale Jenna wiedziała, że siostra zginęła. A wszystko przez nią. To ona ją namówiła, żeby poszła w jej ślady. Zasugerowała Robertowi, żeby ją zatrudnił.

Katastrofa miała daleko idące konsekwencje. Śledztwo wykazało, że środki wybuchowe, które miały być wykorzystane w dalszych scenach filmu, zostały przypadkowo odpalone wcześniej, powodując lawinę, która zniszczyła plan zdjęciowy następnego ujęcia. Przypadkowa tragedia. Ale wszyscy członkowie ekipy czuli się winni. Jenna była zdruzgotana. Robert ledwie uniknął bankructwa. Obwiniali siebie nawzajem, a Jenna nie chciała grać w filmie, który kosztował Jill życie.

Prasa oszalała. Zdjęcia Jenny i jej rodziny zapełniały gazety w całym kraju. Brukowce rozpowszechniały teorię spiskową, jakoby źle zaplanowane finansowo przedsięwzięcie do tego stopnia przekroczyło budżet, że jeden z inwestorów zdecydował się dokonać sabotażu, chcąc zwiąć z pieniędzmi z ubezpieczenia.

Ten okres życia Jenna wspominała jako prawdziwy koszmar. Ze względu na dzieci usiłowała jakoś się trzymać, ale jej kariera legła w gruzach, niezbyt udane małżeństwo rozpadło się, a poczucie winy zżerało ją żywcem. Wszyscy jej znajomi odwrócili się od niej. Jeden z głównych producentów Paulo Roblez, podobnie jak Monty Fenderson, agent Jenny, grozili pozwem sądowym jej i Robertowi.

Skończyło się na tym, że znienawidziła zimę i święta Bożego Narodzenia. No więc czemu przeprowadziła się właśnie tu, do krainy najchłodniejszych zim, z najwyższymi górami w całym stanie? Czemu nadal zabierała dziewczynki na narty? Żeby ukarać samą siebie czy żeby pokonać własny żal i lęki? Nie zdołała odpowiedzieć sobie na to pytanie przez rok psychoterapii. Do dziś Jenna odczuwała żal i poczucie winy na myśl o śmierci siostry. To ona namówiła Jill na aktorstwo. Jenna, przyjmując rolę Katriny w *Utraconej*

niewinności, podobną do roli Brooke Shields w *Pretty baby*, bardzo wczesnie rozpoczęła wspinaczkę na szczyt kariery. Od tej pory grywała role twardych, niezłomnych bohaterek i zaskarbiła sobie szacunek środowiska niezbyt skorego do pochlebstw. Jill chętnie poszła w ślady sławnej siostry i w efekcie straciła życie.

Teraz, patrząc na nocną śnieżycę, czuła te same wątpliwości, które dręczyły ją od chwili wypadku. Jenna zawsze zastanawiała się, czy ta tragedia nie została zaplanowana, czy wypadek na planie *Białej ciemności* nie został okrutnie wyreżyserowany. Czy to możliwe, żeby ktoś umyślnie wywołał lawinę? I dlaczego? Policyjne śledztwo w sprawie wypadku niczego nie wykazało, nawet żadnego zaniedbania, a całą katastrofę uznano za przypadkową. Ale krążyły plotki, że był to sabotaż, że ktoś z premedytacją przedwcześnie odpalił środki wybuchowe przeznaczone do innej sceny, w ten sposób kładąc kres produkcji, która już i tak znacznie przekroczyła budżet. Według innych plotek „wypadek” miał zareklamować film, napędzić publiczność do kin.

Ale Jenna ucieła spekulacje, że jakoby miała skorzystać na śmierci siostry. Odeszła z branży, pozostawiając wszelkie spory prawnikom.

Patrzyła teraz, jak Jake wreszcie zdołał szarpnięciem otworzyć bramę, a Carter swoim wozem terenowym podjeżdżał pod garaż. Poczowała ulgę. Nie mogła oderwać oczu od tego wysokiego, smukłego stróża prawa, którego zaczęła uważać za swojego wybawcę. Nie mogła się powstrzymać i pobiegła do kuchni, żeby otworzyć drzwi na jego powitanie. Rzuciła mu się w ramiona i poczuła, że on z całej siły przytula ją do siebie.

- Dzięki Bogu, że już jesteś - powiedziała bliska łez.
- Spokojnie. - Carter kopniakiem zamknął drzwi, ale nie wypuścił jej z objęć, trzymał ją przy sobie blisko. A ona przez puchową, nieprzemakalną kurtkę czuła jego mięśnie, jego siłę i determinację. - Nigdzie stąd nie ucieknę.
- Dziękuję. - Uniosła twarz, wargami dotknęła jego ucha.

Zacisnął szczęki.

- Jeszcze mi nie dziękuj. Musimy *znaleźć* tego wariata.
- Ano fakt. - Niechętnie wysunęła się jego objęć i zamrugnęła oczami, odpędzając łzy, które nie miały przecież prawa pojawić się jej w oczach.
- A przy okazji, czy spotkałaś kiedykolwiek poetę Leo Ruskina?

Pokręciła głową.

- Nie.
- Mieszkał w południowej Kalifornii kilka lat temu. Słowa z jego wiersza: „Dziś... Jutro... Bez końca...” wykorzystano jako tekst promocyjny do *Białej ciemności*.

- Nie wiedziałam tego - powiedziała całkiem szczerze. - Ale ja wtedy wielu rzeczy nie wiedziałam, bo Robert i ja prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Spędzałam dni na planie, a wieczory z dziećmi. Wszystkie sprawy finansowe - kwestie promocji, reklamy i temu podobne - zostawiałam jemu. Rozmawiałaś z Ruskinem?

- Nie można go znaleźć. Ale go znajdziemy. - Przerwał na chwilę. - Sądzę, że powinniśmy zapytać twojego byłego męża o niego, o ten tekst promocyjny i o wszystkich, którzy pracowali w dziale charakteryzacji tego filmu.

- Charakteryzacji?

- Tak. Przecież ktoś musiał dokonywać zmian w twoim wyglądzie.

Zmrużyła oczy.

- Sądzisz, że ktoś, kto to robił, może mieć coś wspólnego z palcem, który znaleźliśmy...

- A ty tak nie uważasz?

- Nie pamiętam nazwy tamtej firmy, ale zadzwonię do Roberta. Musi mieć jakieś archiwa.

- Prawdopodobnie.

Tylne drzwi znów się otworzyły i Turnquist, tupiąc butami i zacierając dłonie w rękawicach, wszedł do środka wraz z podmuchem lodowatego powietrza. Spojrzał na wciąż objętych Jennę i Cartera i kąski ust nieco mu opadły.

- Może ty tu zostań, a ja przeszukam dom.

- Myślałem, że zrobiłeś to zaraz po telefonie.

- Teraz mam zamiar zerwać podłogi. W jakiś sposób ten świr musi wie dzieć, co się dzieje w domu.

- Zaczekaj na policję stanową. Zadzwoniłem do nich, jadąc tutaj.

Turnquist poczerwieniał.

- Poradzę sobie.

- Doprawdy? Nie chcę, żebyś zataił jakieś ślady. Opowiedz dokładnie, co się tu wydarzyło, a potem zaczekamy na policję stanową.

- To może potrwać parę godzin.

- Czasu nam nie brak. - Rozdzwoniła się komórka Cartera. Pokraka ziewnął, stanął na nogi i podszedł obwąchać buty szeryfa. Allie nawet nie otworzyła oczu. Cassie zwinęła się w kłębek po przeciwnej stronie sofy. Ona też wreszcie pozwoliła, żeby zmęczenie wzięło górę. Podłożywszy rękę pod głowę, pochrapywała cichutko.

Serce ścisnęło się Jennie na wspomnienie tamtego koszmarne go snu. Jak to się stało, że ona i Cassie tak się od siebie oddaliły? Jako dziecko Cassie

była taka żywa, taka radosna, zachwycała się wszystkimi nowymi rzeczami, od szczeniaków, po lody i samoloty. Potem, gdy zaczęła dojrzewać, małżeństwo jej rodziców rozpadło się, a ona utraciła tę radość życia, która stanowiła esencję jej dzieciństwa. Zapewne było to spowodowane niezdolnością jej rodziców do rozwiązania wspólnych problemów po tamym wypadku.

A teraz znów wracamy do wypadku.

Zawsze ta tragedia.

Carter skończył rozmawiać przez telefon.

- Larry Sparks tu jedzie - powiedział. - Ale policja stanowa utkwiała na dobre w tej burzy. Będziemy musieli zdobyć się na cierpliwość. Mamy przed sobą długą noc.

- Już jest wystarczająco długa - mruknął Turnquist.

- Dobrze, chodźmy do kuchni. - Carter skinął głową w stronę otwartych drzwi. - Opowiedzcie mi wszystko, co się dzisiaj tutaj działo.

Rozdział 40

Następnych parę godzin ciągnęło się bez końca. Larry Sparks i detektyw z oregońskiej policji stanowej razem z Turnquistem przeszukali dom i okolicę. Jenna tymczasem wyjaśniła, co zdarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni, kto wchodził na teren posiadłości, kiedy po raz ostatni zaglądała do pudełka z biżuterią, jakich mogła mieć wrogów. Policja ponownie przeszukała dom, znów go posypała proszkiem do wykrywania odcisków palców, zabrała imitację palca i miała zamiar sprawdzić jego skład, szukając alginianu, substancji, którą znaleziono na miejscu odkrycia zwłok Mavis Gette. Sparks już zadzwonił do wielbego Swaggerta w sprawie pierścionków. Chciał sprawdzić, czy należały do Lynnetty.

- Więc pana zdaniem człowiek, który to zrobił, zabił panią Gette i porwał tamte kobiety - powiedziała Jenna, kiedy policja już się zabierała do odjazdu.

- Na to mi wygląda.

- Ale jak? Dlaczego? - Potrząsnęła głową i przygryzła dolną wargę. - Nie rozumiem, czemu mnie to spotyka.

- Ja też nie. Ktoś dostał obsesji na twój temat - powiedział Carter. Sie dział na postumencie kominka, grzejąc plecy, splecione dłonie zwieszając między kolanami.

- Jakiś szaleniec.

- Prawdopodobnie. Szaleniec i obsesjonat. Uważa ciąża swoją własność.

Pamiętasz tamtą linijkę z wiersza, „moja kobieta”?

- Trudno to zapomnieć. Cholernie trudno.
- FBI pracuje nad profilem psychologicznym przestępcy.
- I poznamy wtedy jego nazwisko?
- Niestety, nie. - Pokręcił głową, rozprostował plecy. - Ale dopadniemy go, Jenno. Jesteśmy coraz bliżej.
- Mam taką nadzieję. — Usiadła obok Cartera przy kominku, czując ciepło trzaskających płomieni. - Wydaje mi się, że on mnie usiłuje zmusić do wyjazdu. Jakby chciał mnie wygnać z mojego domu. Dlaczego miałoby mu na rym zależeć?
- Nie wiem - odparł. - A ty domyślasz się czegoś?

Pokręciła przecząco głową.

Porucznik Sparks włożył czapkę i wkładał grube rękawice.

- Zostajesz? - spytał Cartera.
 - Tak.
 - A ochroniarz?
 - Będzie na zewnątrz. Ma z góry widok na całą posiadłość i nie ruszy się stamtąd do świtu. Ja zostanę w domu.
- Sparks pokiwał głową i uśmiechnął się.
- Powodzenia. Zadzwonię do ciebie rano, dam ci znać, co laboratorium powie na temat tego palca i czy udało nam się zidentyfikować pierścionki.
 - Dzięki. - Carter wstał i uściśnął jego dłoń. -1 chciałbym, żebyście jeszcze coś dla mnie sprawdzili.
 - Co?
 - Chodzi o Wesa Allena. Dowiedźcie się, jakie ma alibi na te wieczory, kiedy porywano kobiety.
 - Myślisz, że jest w to zamieszany?
 - Wes? - spytała zdumiona Jenna. Poderwała się na nogi. - Zaraz. To mój przyjaciel.

Carter nie zwrócił na nią uwagi. Nie odrywał oczu od Sparksa.

- Sprawdź to dobrze.
- Jasne.
- Powiedziałam, że to mój przyjaciel - zaprotestowała Jenna.
- Więc nie będzie miał niczego do ukrycia.

Kiedy Sparks zamknął za sobą drzwi, Carter przekręcił klucz w zamku, włączył system alarmowy, a potem patrzył przez kurtynę śniegu, jak samochód policji stanowej odjeżdża, a Turnquist zamyka bramę. Dochodziła druga nad ranem,

- Dlaczego podejrzewasz Wesa?
- Podejrzewam wszystkich.

- Ale nie kazałeś sprawdzać alibi wszystkich.
- Jenna, są rzeczy, o których nie mogę mówić.
- To moje życie, Carter. To życie moich dzieci! Powiedz mi, o co tutaj chodzi.

- Niedługo się dowiesz.

Nie miała zamiaru dać się zbyć. Stała na palcach, patrząc mu w oczy.

- Mam prawo wiedzieć. Dlaczego uważasz, że Wes może być w to zamieszany? Wes jest bratem Rindy!
- A ja go znam z czasów dzieciństwa. Po prostu eliminuję podejrzanych.
- Jakimi metodami?

Zacisnął wargi, a oczy błysnęły mu ponuro.

- Wyjaśnię ci to wszystko niedługo, dobrze? Ale nie mogę ci powiedzieć nic, co zaszkodzi śledztwu.
- Nie, Carter, nie możesz mi sugerować takich rzeczy, a potem prosić mnie o cierpliwość. Nie po tym, co się tutaj dzieje. Czemu Wes?

Zawahał się, przygryzł wąsa.

- A, do diabła. Masz prawo wiedzieć.
- Cholerna racja!
- Nie mogę ci jednak powiedzieć wszystkiego. Dla dobra śledztwa.
- Oczywiście. Ale coś muszę wiedzieć.

Jakiś mięsień zadrgał mu na twarzy.

- Po pierwsze, wypożyczył i kupił więcej twoich kaset wideo i DVD niż ktokolwiek inny w mieście.
- I co z tego? - powiedziała. Poczła się jednak niezręcznie na myśl, że •Wes Allen wielokrotnie oglądał jej filmy w ścianach własnego domu, ale byłoby jej równie głupio, gdyby to dotyczyło każdego z jej znajomych.
- I często odwiedza wszystkie strony internetowe twoich fanklubów.
- Mnóstwo ludzi to robi. - Znów poczuła się dziwnie. Przypomniała sobie wszystkie te chwile, kiedy Wes usiłował się do niej zbliżyć w teatrze. - Uważam, że odkąd się tu przeprowadziłam, ludzie zainteresowali się moją pracą. Wielu ludzi kupowało i wypożyczało kasety.
- Ale Wes Allen jest fanem numer jeden. Po prostu musimy to wyjaśnić.

Zastanawiała się nad wszystkimi tymi chwilami, kiedy przebywała w pobliżu Wesa. Stawał blisko niej. Często dotykał jej ramienia, jej ręki.

Przyjaciół? Wielbiciel jej talentu? Czy obsesjonat?

- W głowie mi się to nie mieści - szepnęła, ale jakąś częścią swojej świa domości akceptowała to, co sugerował Carter. Poczula w ustach smak żółci.

- Po prostu staram się być przezorny- powiedział, ale zauważyła, jak zaciskał szczęki, jak oczy błyszczały mu determinacją. Był przekonany, że Wes jest jakoś zamieszany w tę sprawę. - Powinnaś się teraz przespać - do dał, widząc, że Jenna pada już z nóg.

- A ty?

- O mnie się nie martw.

- Jasne. - Dotknęła ręką jego policzka pokrytego szczeciną zarostu. -Już wyglądasz jak półżywy.

- Czy to komplement?

- Oczywiście - zażartowała.

Jenna wiedziała, że na górze nie uda jej się zasnąć. Nie mogła wrócić do swojego pokoju pokrytego proszkiem do wykrywania odcisków palców, do prześladowających ją obrazów, więc zamknęła drzwi do wszystkich pokoiów na piętrze i wróciła do gabinetu z naręczem poduszek i koców. Rzuciła Car-terowi poduszkę i narzutę ręcznie zszywaną z łątek.

- Na wszelki wypadek.

A potem przeszła przez podwójne drzwi prowadzące do salonu i usadowiła się na kanapie. Carter po raz ostatni przeszukał dom - słyszała jego kroki, kiedy zaglądał do każdego pokoju i schowka - a potem usiadł koło niej na wyściełanym fotelu, opierając stopy na pufie.

- Odpocznij - zaproponował.

Ziewając, odparła:

- Ty też powinienes.

Kącik ust uniósł mu się w tym bezczelnym uśmiešku, który zaczynała uwielbiać.

Pod wąsem ukazały się białe zęby.

- Jak śpię, mam grzeszne myśli.

Jenna zamknęła oczy, nie chcąc już myśleć o Wesie Allenie.

Carter na bosaka obszedł dom po raz ostatni. Nie spał od ponad dwudziestu czterech godzin. Nerwy miał napięte. Dobrze, że one były bezpieczne. Przynajmniej tej nocy. Za parę godzin wstanie słońce. Śnieżycy zaczęła ustawać. Nadal było diabelnie zimno, ale wiatr stracił na sile. Usiadł przy kuchennym stole, skąd mógł widzieć gabinet, w którym dziewczynki spały jak zabite. Kątem oka widział kanapę w salonie, na której spała Jenna. Popijając kawę, myślał o nadchodzącym dniu. Zacznie od przejrzenia dowodów łączących wszystkie przestępstwa. Sprawdzi alibi Wesa Allena, załatwi nakaz rewizji w jego domu i stodołach. Stały one puste od lat. Może znajdzie się tam coś więcej niż tylko sanktuarium telewizyjne, ukryte w suterenie.

Usłyszał z salonu jęk.

Poderwał się na nogi i podbiegł do kanapy, na której rzucała się Jenna.

- Nie! — powiedziała, nie otwierając oczu. — Nie, proszę!

- Jenna - szepnęła i zauważył, że cała drży. - Jenna, obudź się. Nic się nie stało. Jestem przy tobie.

- Nie rób tego! Och, nie!

- Jenna - powiedział nieco głośniejszym, delikatnie przytrzymując jej drżące ramiona. - Obudź się. Coś ci się przyśniło.

Otworzyła oczy.

Przestraszona omal nie krzyknęła.

- Cicho, kochanie. Nic ci nie grozi - powiedział, blisko przysuwając twarz do jej twarzy, żeby mogła go rozpoznać w półmroku światła rzucane go przez kominek.

- Och! - Zamrugła i z jej oczu spłynęły łzy. Twarz miała bladą jak kreda i drżała, jakby przemarzła do kości.

- Wszystko w porządku.

Pociągnęła nosem i pokręciła głową. Usiadł obok niej na kanapie, a ona ukryła twarz na jego ramieniu.

- To znów była Cassie. On ją dopadł... Ten bydlak bez twarzy ją dopadł!

- Nic jej nie jest. Śpi w gabinecie.

Jenny nie dało się uspokoić. Owinięta narzutą poszła do gabinetu i zajrzała do środka gdzie obie jej córki mocno spały. Pies nawet nie drgnął. Odsunęła włosy opadające na oczy, zaczęła się uspokajać.

- Która godzina?

- Zbyt wczesna.

- I co?

- Nic się nie stało, odkąd usnęłaś.

- Dzięki Bogu. - Przeciągnęła się, narzuta zsunęła się z jej ramion, a sweter podjechał w górę, obnażając gładki, płaski brzuch. - Powinam wstać.

- Powinnaś iść spać.

- A ty? — spytała, ziewając i opuszczając ręce wzdłuż ciała.

- Mnie jest tu dobrze.

- Facet ze stali?

Roześmiał się.

- Raczej z folii aluminiowej.

Uśmiechnęła się. Błysk jej zębów oszołomił go, sprawiając, że jego myśli pomknęły w niechcianym, niebezpiecznym kierunku.

— Stał czy folia aluminiowa, wszystko mi jedno - przyznała i podeszła do niego. - Po prostu cieszę się, że tu jesteś. Dzięki, Carter. Bardzo cię potrzebowałam.

A on, chociaż wiedział, że robi z siebie największego dumia pod słońcem, wsunął dłonie pod tę jej narzutę, przyciągnął ją mocno do siebie i pocałował. Najpierw delikatnie, czując, jak jej ciepłe, miękkie wargi reagują na dotyk, a potem, nie myśląc już o konsekwencjach, objął ją jeszcze mocniej i napał wargami na jej usta.

Westchnęła, rozchylając wargi.

Carter przestał panować nad sobą. Krew rozpałiło mu pożądanie.

Nie pamiętał, ile czasu minęło, odkąd całował kobietę, ale było to zdecydowanie za długo. Czekał na nią, odkąd zatrzymał jej samochód na zaśnieżonej autostradzie. Ona też go pragnęła. Czuł to w sposobie, w jaki tuliła się do niego, przyciskając piersi do jego torsu, obejmując go za szyję, trzymając go mocno przy sobie, wspinając się na palce na lekko rozstawionych nogach. Poczul, jak zamek jej dzinsów ociera się o jego .udo, usłyszał jak z jej ust wyrzywa się jęk pożądania.

Trzymając dłonie na jej plecach, palcami mnąc jej sweter, czując jędrną skórę pod miękką wełną, pogrążył się w jej zapachu. Jego ciało aż krzyczało z pragnienia, mięśnie się napinały. Seks wydawał się upragnionym antidotum na całe zło świata. Była taka piękna, taka ponętna, tak cholernie seksowna, że każde włókienko nerwowe domagało się ulgi, jaką mogła mu ofiarować. Nie powinien tego robić. Nie wolno tracić głowy. Ona jest ofiarą prześladowania, kobietą, którą ma ochraniać, hollywoodzką księżniczką, której pożądają wszyscy mężczyźni.

Ale jej ciało ocierało się o niego, a jej usta otwierały się tak ochoczo pod dotykiem jego warg. Czuł sutki Jenny przez sweter i stanik, twarde guziczki, które chciał dotknąć, pocałować, ująć zębami.

Serce waliło mu dziko, krew pulsowała, erekcja osiągnęła szczyt. Nie mógł złapać tchu, myśli krążyły w kółko. Wyobrażał sobie, jakby to było, gdyby się z nią kochał, czuł jej ciepłe, wilgotne ciało, obejmujące go uściskiem, patrzył na nią, leżącą pod nim, na czarne włosy, rozsypane wokół twarzy, pełne piersi, ciemne sutki twarde z pożądania, na warstewkę potu, błyszczącą na skórze, kiedy wsuwał się w nią i zaczynał poruszać. Przez całą noc... To by zajęło całą noc, i jeszcze dłużej.

Ale nie mógł. Nie tutaj. Nie teraz.

Uniósł głowę i prawie znów się zatracił, kiedy spojrzał w te senne, zmysłowe oczy Jenny Hughes.

- Nie mogę - powiedział, chociaż całe jego ciało krzychało, że popełnia największy błąd swojego życia.

- Wiem.

- Dzieci. - Wskazał ręką w stronę gabinetu.

- Wiem.

Poprowadziła go przez salon, dwa stopnie w dół, do gościnnego pokoju. Pusto. Zimno. Ciemno.

- Nie powinniśmy - powiedziała, ale znów zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go gorączkowo.

Opuściła go siłą woli, zatrzasnęła drzwi za nimi i przekręciła klucz w zamku.

Zdjął z niej sweter, chcąc wreszcie poczuć w dłoniach ciężar jej piersi.

Kiedy sweter upadł na podłogę, zsunął ramiączka stanika Jenny i obnażył jej piersi. Palcami miętoszyła rąbek jego koszuli. Ściągnął ją z siebie, a potem podniósł Jennę, posadził ją sobie na biodrach i niecierpliwie, głodnymi ustami poszukał jej piersi. Jęknęła i przytrzymała go jedną ręką, odrzucając do tyłu głowę. Wiedział, że popełnia błąd, ale starał się o tym nie myśleć. Wszystko spieprzy, jeśli się z nią prześpi. Szlag trafi całą jego karierę, całe jego życie, wszystko, na co pracował.

Zdjął z niej stanik. Jenna szarpała suwak jego spodni. Rozebrał ją z dzinsów i majtek, zrzucił własne, a potem pociągnął ją na siebie. Słodka. Gorąca. Wilgotna. Zaczął się poruszać, a jego zmęczone mięśnie nagle nabrały energii.

Trzymała się jego ramion, przywierała do niego, ich ciała naprężyły się.

Trzymał ją w talii jednym ramieniem, a drugą dłoń wsunął w jej włosy.

- Jenna- szepnął chrapliwie, nasłuchując tempa jej oddechu, obserwując, jak jej piersi unoszą się i opadają, kiedy go ujeżdżała. Dopiero gdy poczuł jej dreszcz, kiedy usłyszał jęk, zagłębił się w nią mocniej. Słyszał jej coraz bardziej przyspieszony oddech, te słodkie, urywane sapnięcia, kiedy dostosowała się do jego rytmu i przyspieszyła razem z nim. Szybciej, szybciej, szybciej, aż nie mógł się powstrzymać już ani sekundy dłużej, odrzucił głowę w tył i skończył.

Ich ciała zgodnie zadrżały, a ona chwyciła się go jeszcze mocniej. Tuż przy uchu wyczuł jej cichy krzyk, kiedy wstrząsały nią kolejne fale orgazmu.

- O Boże - powiedziała wreszcie. Włosy miała tak samo wilgotne jak on, tak samo zaróżowioną twarz. Zaniósł ją na kanapę stojącą pod ścianą i położył się tam z nią. Leżeli przytuleni do siebie na wąskim materacu, wśród zbyt wielu poduszek. Carter pocałował ją w czoło.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się błogo.

- No proszę, proszę, Carter... Zdecydowanie jesteś facetem ze stali.

- Tak uważasz?

- Uhm. - Pocałowała go w policzek, a potem lekko ukąsiła płatek ucha. -

Przekonałam się o tym.

Zaśmiał się. Dobrze było odprężyć się tak, choćby tylko na kilka minut.

Wkrótce znów będzie musiał stanąć twarzą w twarz ze światem, ale jeszcze przez te parę minut... Zwrócił do niej twarz i zaczął ją znów całować. Tym razem przyrzekł sobie, czując, jak na niego zareagowała, że weźmie ją powoli. Bardzo powoli.

- Cholera! - zaklął, patrząc na wulgarne sceny na monitorze. Oglądał je dzięki kamerze, którą zainstalował w jej domu. Całą elektronikę ukrył głęboko w izolacji strychu, prowadząc kable kanałami sufitu i w podłogach. Kiedy tylko dowiedział się, że ma zamiar przeprowadzić się do posiadłości starego McReedy'ego, zaczął ją okablowywać na swoje własne, specyficzne potrzeby. Czasami jednak miniaturowe kamery nawalały i zmuszony był obserwować ją ze swojego myśliwskiego stanowiska na drzewie. Co bardzo lubił. Zwłaszcza kiedy śnieg pieścił mu skórę.

Dziś w nocy ze względu na burzę śnieżną siedział w domu i patrzył w monitor. I zbierało mu się na mdłości. Przewracały mu się wszystkie flaki. Wściekle kopnął puszkę z farbą, przewrócił ją i czerwona farba zalała ścianę. Nawet tego nie zauważył.

Była z innym mężczyzną.

Całowała go.

Dotykała:

Pieprzyła się z nim jak suka podczas cieczki.

Puls bił mu szybko, krew dudniła w mózgu. Poczul się zdradzony w sposób najgorszy z możliwych, patrząc, jak sobie pozwala z innym mężczyzną.

Żałosne. Nie mogła poczekać? Czy nie wiedziała, że tylko on może jej dać satysfakcję? Jego kaplica poświęcona Jennie była już prawie gotowa, a oto jak ona mu się odpląca, zachowując się jak tania dziwka, skwapliwie rozkładając nogi przed szeryfem.

Shane Carter, człowiek, który przysięgał chronić prawa. Popatrzcie tylko na niego, jak zrzuca ubranie, zębami i językiem smakuje jej skórę, ssie jej piersi. Głęboko wpycha w nią swojego członka. A ona mu na to pozwalała! Jego Jenna!

Ogarnęła go furia i zaczął wymyślać różne rodzaje zemsty. Ale nie mógł odstąpić od swojego planu. Nie teraz. Niezbędna była precyzja.

Patrzył, jak spólkują, i jego gniew stał się zimny jak ta noc. Spojrzał na podest, gdzie większość kobiet stała już na swoich miejscach. Ile czasu się do tego szykował? Lata całe. Na długo zanim ktokolwiek mógł się czegoś domyślić. A potem nadeszła wiadomość o jej przeprowadzce do Falls Crossing. Za pieniądze z ubezpieczenia, które spadły mu jak z nieba, kupił to miejsce i urządził je. Miał pod tym względem szczęście, gwiazdy mu sprzyjały. Bo to było przeznaczenie. Byli dla siebie stworzeni. Jego życie miało się przeplatać z jej życiem, a on wszystko, co robił, robił dla Jenny.

Tylko dla Jenny.

Od pierwszej chwili, kiedy stanął z nią twarzą w twarz, wiedział to i przygotowywał się.

Biorąc głęboki wdech, spojrział na podest. Na swoją kaplicę poświęconą Jennie i jej pracy.

Wszystko było gotowe.

Wszystkie postacie zostały ubrane i ustawione, umalowane twarze stanowiły niemal idealne repliki Jenny - Marnie Sylvane, Faye Tyler, Paris Knowl-ton i Zoey Trammel. Wszystkie były gotowe, poza ostatnimi dwiema. Czekały na Katrinę Petrową i Annę Parks. Najbardziej znane, gwiazdorskie role Jenny. Zastanawiał się też nad Rebeccą Lange, ale ponieważ *Biała ciemność* nie została ukończona, zrezygnował z tego pomysłu.

Uspokoił się. Nadal miał wszystko pod kontrolą. Będzie musiał zrobić parę drobnych poprawek, nieco zmienić kilka rzeczy. Wyłączył monitor, przeszedł do łazienki i zaczął się szykować. Najpierw szkła kontaktowe, żeby tęczówki nabrały innej barwy, potem peruka, żeby uzyskać nową linię włosów przy czole i zmienić ich naturalny kolor, wkładki do butów, które dodawały mu parę centymetrów wzrostu. Ogolił się starannie.

Kiedy skończył, długo wpatrywał się w lustro.

Własna matka by go nie poznała.

Uśmiechnął się na tę myśl i wtedy przypomniał sobie o nakładkach na zęby.

Wsunął je na miejsce.

Nie, matka nigdy by go nie poznała.

I bardzo dobrze.

Nie przestając myśleć o swoim celu, sięgnął po kurtkę.

Czas ruszyć na polowanie.

Rozdział 41

Obudziła się, czując zapach kawy, mając wrażenie, że coś się w jej życiu zmieniło. Poruszyła się, poczuła lekkie otarcie między udami i uśmiechnęła się. Ona i Shane Carter kochali się bez końca... Spojrzała na zegarek i aż jęknęła. Zaledwie dochodziła siódma, a on już był na nogach. Pierwsze promienie dziennego światła sączyły się przez opuszczone żaluzje.

Pocierając twarz dłonią, pomyślała o wydarzeniach, które doprowadziły do przyjazdu Cartera. Wes Allen. Policja uważa, że to Wes Allen ją terroryzuje. Nadal nie mogła w to uwierzyć. Chociaż Wes wydawał jej się zdolny do wielu rzeczy, nie mogła go sobie wyobrazić w roli mordercy.

Chociaż znaleziono tylko rozkładające się zwłoki Mavis Gette, wszyscy bali się, że Sonję Hatchell, Roxie Olmstead i Lynnette Swaggert spotkał podobny los.

Carter rozmawiał przez telefon. Słyszała jego cichy, pewny siebie głos.

Narzuciwszy na siebie pogniecione ubranie, zajrzała do gabinetu, gdzie dziewczynki nadal mocno spały, a potem podreptała na bosaka do kuchni.

Carter rzucił na nią okiem i chyba się zarumienił.

- Witaj, śliczna - powiedział. Odstawił kubek po kawie. Zanim zdążyła mu odpowiedzieć, wziął ją w ramiona i zaczął całować tak, jakby nigdy nie miał przestać.

Bez tchu, położyła dłoń na szybko bijącym sercu.

- Mój Boże, szeryfie... Ty to wiesz, jak powiedzieć dziewczynie „dzień dobry”.

Kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu.

- Chciałabym się tak budzić co rano - przyznała.

Poczuła, że jej szyję oblał rumieniec, kiedy przypomniała sobie ich splecione, spocone ciała, jego mięśnie napięte z wysiłku, to, jak wydał ostatni, gwałtowny jęk i przywarł do niej, jakby nigdy nie chciał wypuścić jej z objęć. To śmieszne, ale zastanawiała się, jakby to było mieszkać z szeryfem Shane'em Carterem, przy tym jego mrukliwym, nieprzystępnym sposobie bycia, niebezpieczeństwach związanych z jego pracą. Ale noce...

Boże drogi, noce byłyby niesamowite. Jak można tak fantazjować?

- Kawy? - zapytał, przyglądając się jej, jakby czytał w jej myślach, a ona ujęła w karby rozbrykaną wyobraźnię, wybiła sobie z głowy głupiutki marzenia.

- Tak, z rozkoszą.

Zdjął dzbanek z podstawki i nalał do kubka parującej kawy, a ona patrzyła, jak spodnie opinają jego szczupłe pośladki, przypominała sobie, jak wbiła palce w te twarde mięśnie, kiedy się z nią kochał. W gardle jej zaschło. Pomyślała o gładkiej skórze i mięśniach ukrytych pod kurtką Cartera. Ale spędzili ze sobą raptem jedną noc. To wszystko. Kilka godzin odprężenia. Nie należy robić sobie większych nadziei. Wczoraj znaleźli się w sytuacji trudnej do zniesienia i poszukali pociechy w sobie nawzajem. Koniec historii.

Podał jej kubek, pochwycił jej spojrzenie, jakby domyślał się, o czym myślała, i sprowadził rozmowę na chwilę obecną. Uosobienie profesjonalizmu.

- Muszę jechać teraz do biura, ale później do ciebie zadzwonię.
- Dobrze - odparła.
- I wtedy dam ci znać, czy aresztowaliśmy Wesa.

Drgnęła. Upiła łyk kawy.

- W głowie mi się to nie mieści.
- Rozmawiałem z Lanym Sparksem. Ktoś będzie stale śledzić Wesa Alena, dopóki nie dostaniemy nakazu rewizji jego domu. Ty i dziewczynki możecie czuć się bezpiecznie z Turnaquistem. Będę tu wysyłał patrole na wszelki wypadek, a jeśli cokolwiek cię zaniepokoi, cokolwiek wyda ci się nie w porządku, dzwoń do mnie na komórkę.
- Dobrze. Obiecuję.

Spojrzał na zegarek.

- Muszę już lecieć. Po drodze jeszcze pogadam z Turnaquistem.

Odstawiła kubek, wzięła go za rękę i wciągnęła do pokoju gościnnego.

Tam, włożyła dłonie do kieszeni jego kurtki, przytuliła się do niego i uniosła twarz do pocałunku.

- Jenna... - zaprotestował.
- Co? Nie pocałujesz mnie na pożegnanie?
- Może raz... - Aż jęknął, obejmując ją i całując w usta.

Oddała pocałunek, czując, jak krew w jej żyłach znów zaczyna krążyć szybciej, pożądanie pojawia się jak za uderzeniem pioruna. Nogi się pod nią ugięły.

- Naprawdę muszą już iść - powiedział i delikatnie uwolnił się z jej objęć.

- Ty marudo. - Wyjmując dłoń z jego kieszeni natrafiła na coś.

Jakiś kartonik? Na podłogę posypały się zdjęcia, a Jenna zamarła w bezruchu. Carter schylił się i zebrał zdjęcia wolną ręką, ale Jenna zdążyła zauważyć, że przedstawiają kobietę -

piękną, seksowną kobietę, ubraną skąpo w złote stringi, zasłaniającą dłońmi piersi, uwodzicielsko spoglądającą w obiektyw aparatu.

Na innym leżała w pogniecionej pościeli, tym razem zupełnie naga, z potarganymi włosami, jakby przed chwilą skończyła się kochać. Jenna cofnęła się o krok. Serce rozprysło jej się na milion zbolałych kawałków. I co ona sobie wyobrażała na temat tego człowieka, którego prawie nie zna? Dobry Boże, ależ z niej idiotka! Spojrzała w oczy Shane'owi i ogarnęła ją fala gwałtownej wściekłości.

- Ładne rzeczy - powiedziała.
- Mogę to wyjaśnić.
- Nie trzeba.
- To zdjęcia mojej żony. Mojej zmarłej żony.
- Nosisz w kieszeni kurtki fotografię nagiej żony? Na miłość boską, Carter, mam nadzieję, że chodzisz do psychoterapeuty, bo coś tu z tobą nie w porządku.

Zmrużył oczy, ale nic nie odpowiedział.

Jedną dłonią odsunęła włosy opadające jej na oczy. Kątem oka dostrzegła kanapę, poduszki rzucone beztrząsco na podłogę, narzutę i prześcieradła ściągnięte z materaca. Znowu pomyślała o ich gorących, namiętych uściskach, o tym, że w ogóle się nie zabezpieczyła. A przecież Carter to, co z nią, mógł robić z dziesiątkami innych kobiet.

- Są rzeczy, z których nie zdajesz sobie sprawy — powiedział i skrzywił się, bo zabrzmiało to tak głupio, jak kwestia rodem z kiepskiej telenoweli.
- Najwyraźniej.
- Te zdjęcia nic nie znaczą.

Parsknęła.

- Jasne. Bo człowiek ani na moment nie rozstaje się ze zdjęciami tych osób, które go wcale nie obchodzą. - Zanim zdołał podać jej jakąś kolejną wymówkę, zaczęła słać kanapę, zdzierając z niej pachnące seksem prześcieradła i z powrotem układając poduszki. - Słuchaj, ja nie oczekuję od ciebie żadnych wyjaśnień, przeprosin czy niczego takiego. - Zbierając naręczę pościeli, zwróciła się twarzą do niego. - Po prostu złap tego typu, który mnieprześladuje, dobrze? To twoje zadanie. To po to tu jesteś.

Niosła pościel do pralni, kiedy tylne drzwi otworzyły się i do środka wszedł Turnquist. Carter przystanął i przez kilka chwil z nim rozmawiał, a ona wepchnęła prześcieradła do pralki, dodała proszek i włączyła pranie. Nie patrzyła, jak odchodzi, usłyszała tylko, że tylne drzwi otwierają się i zamykają, a potem osunęła się na suszarkę.

Nie należy z tego robić tragedii. To był tylko seks. To się czasem zdarza. Ale nie jej. Jej się nigdy coś takiego nie zdarzyło. Bo trzymała się na wodzy. Uważała. Nie wystawiała na szwank własnego serca.

Aż do tej pory.

Aż do chwili, kiedy poznała tego cholernego policjanta.

Carter zgrzytał zębami tak mocno, że rozboleła go szczęka. Wszystko schrzaśnił. Teraz, skoro ktoś widział zdjęcia Carolyn zabrane z domu Wesa Allena, mogło to zaszkodzić śledztwu.

- Cholera, cholera, cholera! - warczał, uderzając dłonią o kierownicę. Drogi nadal były nie całkiem przejezdne, niektóre zostały odśnieżone i po sypane piaskiem, inne nadal pokrywał śnieg świeżo opadły w ciągu nocy. Co go napadło, żeby kochać się z Jenną Hughes?

Po prostu bezmyślność. W tym problem. Popełnił tę głupotę, bo zbyt długo nie miał kobiety, zbyt wiele godzin spędził bez snu, zbyt wiele miał zmartwień w związku ze śledztwem, ale wszystko sprowadzało się do prostego faktu -był napalony jak diabli, zakochany w tej hollywoodzkiej księżniczce, a kiedy trafiła mu się okazja, jak mógł się zachować w takiej sytuacji?

- Psiakrew - mruknął, wjeżdżając na własny podjazd. Napęd na cztery koła ledwie sobie poradził z nowymi zaspami śniegu. Poszedł do domu i spalił te cholerne zdjęcia, upewniając się, kiedy dorzucał drewna, że cały ten do wód rzeczowy poszedł z dymem. Sprawdził pocztę elektroniczną, a potem znów poszukał w sieci Leo Ruskina, znajdując zaledwie parę starych odnie sień. Następnie poszukał informacji o *Białej ciemności*, ale niewiele się do wiedział, poza tym że znalazł nazwę firmy, która zajmowała się charakterystyką przy kręceniu tego filmu. Dlaczego, u diabła, upierał się, że ten film ma coś wspólnego z morderstwami? Ze względu na Jennę? Ze względu na mrozy? Czy dlatego że miał powyżej uszu tego całego śniegu? W trakcie pierwszych poszukiwań nie trafił na spis pracowników tej firmy, a teraz nie miał czasu się tym zająć. W podłym nastroju Carter analizował w myślach wszystkie dane, usiłując dopasować Wesa Allena do tego, co wiedział o sprawie, a jednocześnie smażył jajka, bekon i ziemniaki. Zjadł to potem, jednym okiem oglądając wiadomości, włożył pusty talerz do zlewu i poszedł na górę, na swoje poddasze.

Wes Allen nigdy nie miał nic wspólnego z branżą charakteryzatorską. Nie pracował przy żadnym z filmów Jenny. Możliwe, że ten bydlak jest niewinny.

- Skubaniec! - mruknął Carter, zdejmując ubranie. Nic mu nie ułatwiało tej sprawy. Nic tu nie było logiczne. Ale ten ktoś, ten bydlak, który miał dostęp do jej domu, był związany z jej filmami. Jej mąż? Sprawdzili, że nie ruszał się z Los Angeles. Były chłopak? O ile udało się to ustalić policji, Jenna nie spotykała się z nikim. Parą randek, ale nic poważnego. Nawet żadnej przygody na jedną noc.

Pomijając ostatnią noc.

No ale co to miało, u diabła, za znaczenie?

Biorąc prysznic, myślał o Jennie i nie mógł powstrzymać erekcji, która pojawiła się, kiedy wspominał, jak się kochali. Była tak samo piękna jak w swoich wszystkich filmach, a może nawet jeszcze bardziej. Chętna.

Zręczna. Gorąca.

- Jezu!

No więc zaliczył hollywoodzką aktorkę, dosłownie rzecz biorąc, pieprzył się z gwiazdą. Co z tego? Ma się tym chwalić? Faktem jest jednak, że ze wszystkich śliniących się do niej facetów wybrała właśnie jego. A on wszystko schrzanił. Tak jak przepowiadał doktor Randall. Czego się tylko tknie, w końcu to schrzani.

Umył się, opłukał, wyszedł spod prysznica i owinał biodra ręcznikiem.

Ogolił się, gniewnie wpatrując się we własne odbicie w zasnutym parą lustrze. Wyglądał na tak zmęczonego i sfrustrowanego, jak się czuł, ale wiedział, że czeka go kolejny dzień napędzany kofeina, a może i nikotyną.

Bo dzisiaj miał zamiar dopaść Wesa Allena.

Poczuł następne ostre ukłucie wątpliwości co do tego frajera, ale zignorował je.

Człowiek jest niewinny, dopóki nie dowiedzie mu się winy.

- Allen ma mocne alibi - powiedział przez telefon Sparks. Jadąc przez miasto, Carter minął teatr i zauważył, że na parkingu nie ma żadnych samochodów. Śnieg leżał na miejscach do parkowania, w oknach było ciemno. - Tego wieczoru, kiedy porwano Sonję Hatchell, Wes siedział w Lucky Seven i popijał piwo jeszcze po północy. Kelnerka go pamięta, bo ma na niego ochotę.

- Powiedz jej, żeby była ostrożna. - Carter jechał główną ulicą. Zauważył kilka znajomych twarzy i samochody stojące pod restauracją. Hans Dvorak, Charley Perry, Seth Whitaker, Harrison Brennan i Blanche Johnson jak co dzień szli do Canyon Cafe. Zauważył doktora Deana Randalla z papiero

wym kubkiem kawy w dłoni, zmierzającego do biblioteki, i Trvisa Settlera, który szedł do sklepu z narzędziami. Ale Wesa Allena nie było wśród nich. - A co z pozostałymi kobietami? Gdzie był, kiedy porwano Roxie Olmstead i Lynnette?

- Nadal to sprawdzamy.
- Może mieć współnika.
- Może być i tak, że szczekamy pod niewłaściwym drzewem.

Wykluczone. Carter wyłączył telefon. Głos brzęczący mu w głowie oskarżał go, że poluje na człowieka, który odebrał mu żonę. Odebrał? A może sam ją podał Wesowi Allenowi na srebrnej tacy?

Wjechał na parking pod budynkiem administracji hrabstwa i zamknął swojego blazera.

Wewnątrz było aż duszno z gorąca. Otworzył okno i do środka wdarło się zimne powietrze, potrząsając przywiedłymi liśćmi bożonarodzeniowej po-insecji.

- Hej, zwariowałaś? Co ty wyprawiasz? - zapytała BJ, siadając na krześle przy jego biurku. - Carter, coś ty wczoraj robił?

- Aż tak dobrze wyglądam?
- Wprost świetnie - powiedziała ironicznie.

- Skutki bezsennej nocy. Dowiedziałaś się czegoś jeszcze? Co z tym Ruskinem? I z ludźmi od charakteryzacji? Przede wszystkim tymi, którzy pracowali przy *Białej ciemności*. To film, na którym Jenna Hughes zakończyła karierę, ten, którego promocyjnym hasłem miał być podobno wiersz Ruskina, ze ścieżką dźwiękową, którą usłyszała w tle tamtego głuchego telefonu.

- Sprawdzę to. Jeśli chodzi o papier, na którym napisano listy, jest zupełnie typowy, można go kupić wszędzie, od dużego sklepu z zaopatrzeniem biurowym po zwykły papirniczy. To samo, jeśli chodzi o drukarkę i toner. Ślepy tor.

- Na razie... A co z alginianem?
- Większość tego towaru trafia do Kalifornii. Ten konkretny rodzaj, który znalezione na zwłokach Mavis Gette, pochodzi z firmy w Kanadzie, mam listę ich klientów w ostatnich pięciu latach.

Rozdzwoniła się jego komórka i sięgnął do kieszeni, usiłując opanować bicie serca, kiedy na wyświetlaczu zobaczył numer Jenny.

- Carter.
- Cześć, tu Jenna - odezwała się chłodnym tonem. Najwyraźniej nadal urażona po odkryciu zdjęć Carolyn. - Właśnie zadzwoniłam do Roberta i ja

kimś cudem go zastałam. Zapytałam go o Ruskina. Nigdy go nie widział na oczy, ale na planie filmu w tym narciarskim kurorcie ktoś zostawił książeczkę z jego wierszami.

- Ktoś zatrudniony przy produkcji filmu? - Podsunął sobie leżący na biurku blok papieru i złapał długopis.

- Najprawdopodobniej - odparła, a Carter poczuł przypływ adrenaliny. - Robert zobaczył ten wiersz i spodobało mu się jego brzmienie.

- A co z prawami autorskimi?

- Zanim to załatwiono, doszło do wypadku i przerwano prace nad filmem.

Robert powiedział, że do charakteryzacji i efektów specjalnych zatrudnił firmę Hazzard Brothers. Korzystał z ich usług przy wielu filmach. To firma z Burbank, jej właścicielami są Del i Mark Hazzardowie. O mało nie zbankrowali po kłapie z *Białą ciemnością* ze względu na koszty odszkodowań. Rodziny zabitych i rannych w wypadku pracowników wniosły do sądu pozew przeciw producentom.

- A producenci zapłacili?

- Za Hazzard Brothers zapłaciła firma ubezpieczeniowa.

- Dzięki.

- Czy to się na coś przyda?

- Oczywiście, że tak.

- Dobrze.

- Jenna... Kliknięcie. Rozłączyła się.

Carter westchnął i podniósłszy wzrok, zobaczył, że BJ mu się uważnie przygląda.

- A więc teraz już „Jenna”, tak?

- Nic wielkiego.

- Skoro tak twierdzisz.

Nie miał zamiaru dać się wciągnąć w żadne babskie pogaduszki na temat związków. Zwłaszcza że to nie był żaden związek.

- Chcę wiedzieć wszystko na temat Hazzard Brothers, firmy, która zajmuje się charakteryzacją i efektami specjalnymi, mieszczącej się w Burbank w Kalifornii. Sprawdź, czy jacyś ich byli pracownicy przenieśli się w nasze okolice po zdjęciach do *Białej ciemności*. Zadzwoń znowu komórka.

- Carter.

- Shane, coś ty za polowanie na czarownice sobie urządził? - spytał ostro Wes Allen. - Mam policyjny ogon i chciałbym, kurwa, wiedzieć czemu!

- Może powinieneś tu zajrzeć, pogadamy.

- O czym mamy gadać? - Wes nie spuszczał z tonu. - Gdybym nie wiedział, że to absurd, pomyślałbym, że usiłujesz na mnie zwalić tamte morder

stwa,

Carter zrobił się czujny.

- Masz na myśli porwania, tak?
- Och, na miłość boską, przecież wszyscy sądzą, że te kobiety nie żyją. Mam nadzieję, że to nieprawda, ale... Czy to możliwe, że ten wariat je więzi?
- Sam mi powiedz.
- Dobra, dzwonię do mojego adwokata. Mam do tego prawo. Nie zrobiłem nic złego, a ty kazałeś mnie śledzić! To zwykła wendeta. Zaskarżę cię, jeśli się nie opamiętasz.
- A skarż sobie, ile ci się żywnie podoba.
- Ty świętoszkowaty, obłudny bydlaku! Wylecisz z roboty.
- Życzę powodzenia — powiedział, ale Allen już trzasnął słuchawką.
- Twój fanklub? - spytała BJ.
- Jego prezes.
- Dlaczego mam wrażenie, że chcesz sobie napytać biedy? - B J nie uśmiechała się. To nie był żart.
- Bo jesteś bystrą kobietą. Bardzo bystrą.
- Co się dzieje, Shane?
- Chyba dopadniemy drania, który się za tym wszystkim kryje, oto co się dzieje. Zadzwoń do Hazzard Brothers i przekonaj się, jak dużo zużywają alginianu, czy coś im nie zginęło, od kogo go kupują. Potem wypytaj o ich ostatnich pracowników. Zobaczymy, czy nie podadzą nam nazwiska, które znajdzie się na tej liście. - Postukał palcem w wydruk nazwisk osób, które kupowały i wypożyczyły filmy Jenny Hughes. - Założę się o sto do jednego, że je tu znajdziemy.

Rozdział 42

Zaraz przyjadę - powiedziała Jenna, opierając się ramieniem o drzwi szafki kuchennej, gdy Rinda po drugiej stronie linii pociągała nosem.

- Przepraszam, że o to proszę. Wiem, że sama masz swoje problemy, ale naprawdę uważam, że powinnam iść na czuwanie. Mogłabym pójść ze Scottem, ale on ostatnio zamknął się w sobie, wiecznie jest poza domem... - Westchnęła ciężko. - Czasami wydaje mi się, że już go zupełnie nie znam.
- To chyba naturalna kolej rzeczy.
- Kiedy dzieci mają szesnaście lat. Ale nie dwadzieścia cztery. W jego wieku byłam już mężatka i matką... No, nie chciałam jednak, żeby przeszedł przez to samo, co ja.
- Jakoś się odnajdzie - powiedziała Jenna, krzywiąc się na dźwięk włas

nych słów pocieszenia. Wcale w to nie wierzyła, ale teraz, kiedy Rinda na dal czuła się winna zniknięcia Lynnetty, nie było sensu wspominać, że Scott wydawał się Jennie nieco dziwny. Żadna matka nie chciałaby czegoś takiego usłyszeć.

- Mam nadzieję... Boże, przy tym wszystkim, co się ostatnio dzieje, wołałabym, żeby siedział w domu. Blisko mnie. - Myśląc o swoich dwóch dziewczynkach, Jenna całkiem rozumiała przyjaciółkę. - A gdzie chcesz się ze mną spotkać?

- Spotkajmy się na kawie w Java Beans o wpół do siódmej. Możemy pójść razem na czuwanie. Zaczyna się o siódmej, tak?

- Chyba tak. Zadzwoń, jeśli okaże się, że jest inaczej. Dzięki, Jenna.

- Nie ma sprawy.

Jenna już przedtem chciała wziąć udział w czuwaniu przy świecach w intencji trzech zaginionych kobiet. Musiała się wyrwać z domu. Tkwiła w nim z dziećmi przez cały dzień. Allie, która znów się przeziębila, była marudna, a Cassie jak zwykle burkliwa. Kończyła im się żywność a Jenna, po poprzedniej nocy przypominającej jazdę górską kolejką, nie mogła powrócić do równowagi. W jednej minucie rozmyślała o horrorze, jakim było znalezienie imitacji palca, w drugiej wspominała namiętność uścisków Shane'a, a po chwili przypominała sobie fotografie Carolyn Carter rozsypujące się po dywanie. Na dodatek, pewnie przez jakiś przeciek z policji albo niedyskrecję obozu wielebnego Swaggerta, rozniosła się plotka, że Jennie dostarczono do domu ten makabryczny upominek. Po rozmowie z jakimś reporterem już rzuciła słuchawkę i włączyła sekretarkę automatyczną, nie chcąc odbierać telefonów. Ale nie mogła siedzieć w domu jak w więzieniu przez cały kolejny wieczór. Musiała się wyrwać, nawet wbrew protestom Turnquista.

- Moim zdaniem to niebezpieczne - dowodził, kiedy siedzieli przy obiedzie, jedząc spaghetti.

- Czuwanie przy. świecach w kościele? Nic się nie stanie. Będziemy wszystkie razem.

Allie widelcem rozgrzebywała makaron na talerzu.

- Ja nie chcę jechać - powiedziała.

- Dlaczego?

- Bo to makabra - powiedziała Cassie. - Ja też nie pojedę.

- Obiecałam Rindzie.

- Więc jedź - powiedziała Cassie.

- I mam was zostawić tu same? Po tym, co zaszło wczoraj wieczorem?

- Nie wiesz, czy palec podrzucono wczoraj - zaoponowała Cassie. - Mógł

tam leżeć kilka dni.

- Zauważyłabym.
- Naprawdę? Ostatnio nie jesteś w formie. - Nawinęła spaghetti na widelec i włożyła do ust.
- Obiecałam Rindzie, że pojedziemy. Spotykam się z nią o wpół do siódmej.
- No więc jedź. Ja nie mogę - powiedziała Cassie.
- Dlaczego nie?

Cassie zerknęła na Turnaquista, a potem szepnęła:

- Nie czuję się zbyt dobrze.
- Ty też?

Co to za konspiracja?

- Nie, to nie gardło, ale... no wiesz, ja... - Zaczerwieniła się. - Boli mnie brzuch.
- Ach tak. - Jenna poczuła się jak idiotka. Przecież jej córka ma okres. Jenna notowała sobie to comiesięczne wydarzenie. Szybko policzyła w myślach i doszła do wniosku, że Cassie nie kłamie. Biorąc pod uwagę jej zauroczenie Joshem, stanowiło to dobrą wiadomość.

Jenna rzuciła serwetkę na stół.

- Słuchajcie, dziewczynki, ja muszę jechać do miasta, ale będę z Rindą, więc nic mi nie grozi.
- Nie pojedziesz sama - wtrącił się Turnaquist.
- Ktoś musi zostać z dziewczynkami.

Nawet się nie spierał, tylko wyjął telefon, szybko wybrał numer i ku konsternacji Jenny połączył się z samym szeryfem.

- Zaraz, chwileczkę!

Ale było już za późno. Turnaquist skończył rozmowę.

- Carter przyjedzie po ciebie. O szóstej.
 - Nie ma mowy. - Po ostatniej nocy i tym fatalnym poranku, nie była gotowa na spotkanie z Carterem.
 - Jenna zatrudniłaś mnie do wykonania określonego zadania, a teraz upierasz się żeby mi to uniemożliwić. Nie mogę na to pozwolić. Stawką jest tu twoje życie i moja reputacja. Zostanę z dziewczynkami, a ty pojedziesz z szeryfem.
 - Podobno to ja jestem szefem.
 - Albo zrobimy, to tak, jak mówię, albo odchodzę. Żadnych kompromisów.- Jego niebieskie oczy lśniły chłodną determinacją, kwadretowa szczęka wyrażała stanowczość.
- Jenna gotowała się ze złości.

- Dobrze. Dzisiaj zrobimy to po twojemu, ale w przyszłości będziemy omawiali wszelkie plany wyjść. Dopóki to się nie skończy.

- Nie ma problemu.

Telefon zadzwonił i Allie sięgnęła po słuchawkę.

- Czekaj. Nie odbieraj- Upomniała ją Jenna. Włączyła się automatyczna sekretarka. Rozległ się chichot i dziecinny, wredny głos powiedział:

- Hej, Allie, słyszałem, że ktoś twojej mamie pokazał palec!

Kliknięcie.

Allie zdębiała.

- Kto to był ?

- Jakiś palant. Nie zwracaj na to uwagi – Powiedziała Cassie i odsunęła krzesło od stołu. – Ten ktoś ma rozum wielkości ziarnka groszku, a siusiaka jeszcze mniejszego. Tylko gębę ma wielką !

- Cassie!- przywołała ją do porządku Jenna. Allie zachichotała.

Turnquist wstał od stołu.

Jenna nie miała innego wyjścia, jak tylko przyjąć do wiadomości, że czeka ją przejazdka z szeryfem. Miała nadzieję, że szeryf nie zabierze ze sobą zdjęć żony.

-..Dobra, wyjaśnijmy sobie jedną rzecz – powiedziała Jenna, kiedy otworzył przed nią drzwi blazera. Wsiadła do środka – To nie był mój pomysł. Sama mogłam pojechać do miasta, ale Jake nie chciał o tym słyszeć. A więc, chcemy czy nie chcemy, następna parę godzin musimy spędzić razem.

- Jakoś to przeżyję - powiedział sucho i został nagrodzony spojrzeniem, które mogło przeciąć stal. Zatrzasnął drzwi samochodu i w przenikliwym wietrze obszedł go, żeby wsiąść od strony kierowcy. Kiedy już zapalił silnik i wyjechali za bramę, którą otworzył im Turnquist, dodał: - Wiesz, moim zdaniem powinniśmy się oboje nieco odprężyć. Będzie nam się o wiele przyjemniej jechało.

- Dobrze. - Powoli pokiwała głową, jakby chcąc przekonać samą siebie. - Ale powinnam ci coś wyjaśnić w związku z tamtą nocą.

- A jest tu coś do wyjaśnienia?

- Moim zdaniem tak. Pewnie uważasz, że w Los Angeles wszyscy są wyluzowani, wyzwoleni seksualnie, śpią z kim popadnie.

- Wcale tak nie uważam.

- A ja wcale tak nie postępuję. - Wyrzała przez boczną szybę i palcem starła zbierającą się na niej wilgoć. Chociaż odwróciła od niego twarz, kątem oka widział jej profil. - Wcale nie jestem taka seksualnie wyzwolona

i dlatego... Dlatego wczoraj w nocy... No cóż, powinnam była się jakoś zabezpieczyć.

Zacisnął dłonie na kierownicy.

- Tym się właśnie martwisz? Cięża?

- Tak, tym też. W głowie mi się nie mieści, że mogłam się tak zapomnieć.

Po wszystkich kazaniach, jakie prawie Cassie... Ja... Och, sam wiesz, co się stało.

- Jestem tak samo winny jak ty.

- Winny. Co za romantyczny sposób spojrzenia na sprawę.

- Nie wiedziałem, że w grę wchodzi romantyczne uczucia - powiedział i zauważył niewielką pionową zmarszczkę między jej ściągniętymi brwiami.

- Bo ich nie było. Chciałam tylko powiedzieć, że powinniśmy się przynajmniej traktować nawzajem uprzejmie.

- Nie mam nic przeciwko temu. - Zwolnił przed zakrętem i przez padający śnieg zauważył światła miasta, mrugające u podnóża wzgórz. - Nawiasem mówiąc, też nie jestem wyluzowany ani seksualnie wyzwolony i też nie śpię z kim popadnie. A przynajmniej nie robiłem tego od bardzo dawna. Jako napalony nastolatek inaczej patrzyłem na te sprawy. Nie zamartwiamy się przesadnie niczym poza tym, że trzeba ci zapewnić bezpieczeństwo i złapać tego faceta, który ci grozi. Wszystko w swoim czasie. Zgoda?

Odetchnęła głęboko.

- Zgoda.

- No więc następny problem to Rinda. Nie przepada za mną w tej chwili. Uważa, że prześladowają jej brata i podejrzewam jej syna.

- A tak nie jest?

Uśmiechnął się.

- Ja bym tego nie nazwał prześladowaniem. A podejrzewam wszystkich. Również Scotta. Ale jego matka uważa, że jestem nadgorliwy.

Wjechali do miasta. Carter zaparkował parę przecznic od kawiarni, ale zdążył jeszcze zauważyć wozy stacji telewizyjnych w pobliżu kościoła metodystów i tłum ludzi przy schodach.

Zaprowadził Jennę do kawiarni, gdzie siedzieli stali bywalcy tego lokalu.

Poprzez syk ekspresu do kawy i kolędy sączące się z ukrytych głośników słyszał było szmer rozmów.

Tak jak przewidywał, Rinda, która siedziała przy wysokim stoliku i jedną ręką posypywała cynamonem piankę na swojej *caffè latte*, a w drugiej trzymała telefon komórkowy, przyciskając go do ucha, rzuciła Carterowi spojrzenie, nachmurzyła się i wystrzeliła od razu z obu luf.

- Carter - powiedziała, zatrzasnąjąc aparat i odstawiając pojemnik z cynamonem tak gwałtownie, że wzbila się z niego aromatyczna, rdzawa chmurka. Nawet tego nie zauważyła. - Jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałam się tu dziś zobaczyć. Czy nie powinieneś tropić przestępstw albo przynajmniej gnębić uczciwych podatników i obywateli?

Uśmiechnął się szeroko i spróbował sparować cios.

- Pomyślałem, że na chwilę dam sobie spokój.

- To mnie daj spokój.

- Rinda, nie czepiaj się mnie. Robię tylko to, co muszę, a w tej chwili nie chodzi tu o ciebie, o mnie, o Wesa ani Scotta. Chodzi tylko o te zaginione kobiety.

Chciała coś jeszcze powiedzieć - widział, jak rozszerzają się jej nozdrza, jak zaciska wargi, jak gniewnie na niego spogląda - ale zdecydowała się nie robić sceny. Przynajmniej przez te kilka minut przed nabożeństwem postanowiła trzymać język za zębami. Zapanowało między nimi chwilowe zawieszenie broni, o którym zresztą szybko przestał myśleć, obserwując tłumek ludzi na ulicy. Wiele twarzy rozpoznawał, ale niektóre były mu obce. Ocierając się ramieniem o Jenną, czując zapach jej perfum, obserwował każdą osobę zbliżającą się do Pierwszego Kościoła Metodystów.

Cassie spojrzała na zegarek. Czas na spotkanie z Joshem. Zadzwoił i powiedział, że będzie na nią czekał po drugiej stronie ogrodzenia. W lesie. Tam, gdzie spotykali się wcześniej. Na leśnej przecince, która dochodziła do ich posiadłości.

Ale musiała jakoś pozbyć się ochroniarza. Turnaist był bardziej upierdliwy niż zwykle, chociaż całe to gadanie o „kobiecych problemach” było genialnym pociągnięciem. Nie poszedł za nią do jej pokoju, został na dole z Allie.

Idiotyczne były te próby stworzenia pozorów, że śpi we własnym łóżku, zrolowane poduszki i włosy lalki wystające spod kołdry, ale mogło jej się upiec, jeśli nie wróci zbyt późno.

A zatem... Jeśli tylko uda jej się wymknąć przez sypialnię matki i ześli znać po gładkiej belce, która podpierała jacuzzi na górnej werandzie, dopnie swego. Do plecaka włożyła ubranie na zmianę i pobiegła na górę, nasłuchując wszelkich odgłosów.

Gdy się upewniła, że ten niedźwiedziowaty ochroniarz nie idzie za nią po schodach, wymknęła się drzwiami na werandę, zamknęła je cicho za sobą i opuściła się na dół po słupie.

Zignorowała wewnętrzny głos, który mówił jej, że oszalała, że w okolicy na prawo i lewo porywano kobiety, że jej matka dostała dziwaczne listy i sztuczny palec.

To wszystko dowodziło po prostu, że dom nie był bezpiecznym miejscem. Nawet w towarzystwie Jake'a Turnaquista, tej żalostnej imitacji ochroniarza. Włożyła buty i ruszyła, trzymając się blisko domu, schylając głowę, gdy przechodziła pod oknami. A potem pobiegła zadaszonym przejściem, omijając garaż. Zerknęła do tyłu i omal nie padła, kiedy zobaczyła Allie stojącą w oknie swego pokoju.

Co? To niemożliwe!

Jeszcze raz spojrzała na dom, ale tym razem nikogo nie ujrzała w oknie, jakby Allie była jakimś cholernym duchem. Zapinając kurtkę pod szyją, ruszyła obok wiatraka, za stodołę, ślizgając się i zostawiając na śniegu ślady. Miała nadzieję, że śnieg je zasypie.

Powietrze było tak zimne, że aż parzyło w płucach, wiatr świszcział, zmuszając do tańca obciążone śniegiem gałęzie sosen.

Pomyślała, że głupio robi. Było zbyt zimno, żeby tu tak sterczeć. I trochę bała się tego szurniętego porywacza, który ciągle przebywał na wolności. Spotka się z Joshem i powie mu, że zmieniła zdanie. Żadna impreza nie była tego warta. A poza tym jest jeszcze mama. Chociaż Cassie była na nią wściekła, nie mogła ryzykować, że napędzi jej śmiertelnego stracha. Gdyby Jenna zorientowała się, że Cassie związała, da jej dożywotni szlaban. Nie... impreza nie była tego warta. A poza tym, prawdę mówiąc, Josh ostatnio nudził ją.

Pochylając głowę, poszła pod wiatr wzdłuż ogrodzenia. Znalazła znane sobie miejsce, gdzie przerzuciła plecak nad górną żerdzią. Wylądował w miękkim śniegu. Wspięła się na ogrodzenie, zeskoczyła po drugiej stronie i złapała plecak za pasek.

- Josh! - szepnęła. - Jesteś tu?

Nie usłyszała niczego, jeszcze raz spojrzała na zegarek i zaklęła w duchu. Albo ten pacyk spóźnia się, albo wystawił ją do wiatru. Otworzyła klapkę komórki i zadzwoniła do niego. Po chwili włączyła się poczta głosowa.

- Cholera, Josh, nie rób mi tego. - Kiedy mogła już nagrać wiadomość, powiedziała: - Jestem tu, gdzie się umówiliśmy. Czekam pięć minut. Jeśli się nie pojawisz, wracam do domu. W ogóle to bez sensu. Zimno jak diabli. Zamknęła klapkę aparatu i weszła między drzewa, żeby nie zobaczyła jej Allie.

Ale przecież Allie wcale nie wyglądała przez okno. To jej własne poczucie winy stwarza takie złudzenia.

Wiatr wył dziko. Niesamowicie. Cassie przykucnęła za jednym z drzew. Ściągnawszy zębami rękawiczkę, sięgnęła do plecaka po papierosy i zapalniczkę. Zapaliła, a potem zarzuciła plecak na ramię i poszła w kierunku przecinki. Może Josh czekał na nią w ciepłej furgonetce? Prawdopodobnie słuchał muzyki tak głośno, że nawet nie słyszał jak dzwoni komórka. Ale coś tu było nie tak. On nigdy nie rozstawał się z telefonem. Zawsze natychmiast odpowiadał. Przez zasłonę padającego śniegu zauważyła promień światła. Mocno zaciągnęła się papierosem i wyteżyła oczy. Reflektory samochodu! Czekał na nią. Idiota. Już ona powie mu parę słów do słuchu! Idąc wśród drzew, usłyszała muzykę z jego odtwarzacza CD, zobaczyła go za kierownicą.

Sukinsyn nawet nie miał zamiaru wysiąść, żeby się z nią przywitać.

- Hej, czekałam tam, gdzie się umówiliśmy! - powiedziała, ale on nawet nie drgnął. Zachowywał się, jakby jej nie widział. Miała tego dosyć. Musi z nim zerwać.

- Cassie!

Zamarła i obróciła się w stronę głosu.

- Cassie! - wołała Allie zza drzew.

Co sobie wyobrażała ta mała? To wszystko był jakiś koszmar. Cassie rzuciła papierosa w śnieg, podeszła do samochodu od strony drzwi pasażera i otworzyła je szarpnięciem.

- Słuchaj, nie mogę tego zrobić - powiedziała. Josh ani drgnął. - Josh, słyszysz mnie? Muszę wracać do...

Coś się za nią poruszyło. Ciche, groźne kroki po śniegu.

I wtedy Josh osunął się. Jego oczy wpatrywały się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem, krew ściekała na koszulę z ciemnej, ziejącej rany, przecinającej gardło.

Cassie wrzasnęła. Obróciła się i zobaczyła napastnika, który przyparł ją do samochodu. W panice zaczęła kopać i wymachiwać rękami, trafiła go pięścią w nos. Jęknął pod kominiarką. Kopnęła go, celując w krocze, ale jakby przewidując atak, przesunął się i jej kolano trafiło go w udo. Ponad jego ramieniem coś zauważyła, jakiś ruch. Serce Cassie zabiło mocniej, bo pomyślał, że ktoś przybył jej na pomoc, a wtedy zauważyła Allie.

- Uciekaj!-wrzasnęła, nadal walcząc. - Uciekaj!

Napastnik obejrzał się przez ramię.

- Kurwa! - zaklął jakimś znajomym głosem.

- Uciekaj! - krzyknęła. - Sprowadź pomoc!

Allie rzuciła się między drzewa, znikając w gęstwinie.

- Cholera!

Cassie wysliznęła się z jego uścisku, ale on znów ją złapał, ręką w rękawiczce chwycił ją za wełnianą czapkę. Gdy czapka spadła, złapał ją za włosy. Szarpnął za nie tak mocno, że poleciała w tył, tracąc równowagę. Upadła na śnieg, a on w jednej chwili *znalazł* się na niej, przygważdżając ją do ziemi silnymi nogami, siedząc jej okrakiem na piersiach, jedną dłonią chwytając ją za oba nadgarstki.

Wyrwała się i szarpała, ale on tego prawie nie zauważał. Sięgnął do kieszeni i wyjął przyrząd, który trochę przypominał z wyglądu pilota do telewizora.

Przyłożył go do jej szyi i ciałem Cassie wstrząsnął elektryczny szok, po którym opadła bezwładnie jak szmaciana lalka. Tracąc świadomość, modliła się, żeby Allie udało się uciec.

Rozdział 43

Czuwanie szybko zamieniało się w medialny cyrk. Mimo podłej pogody połowa obywateli Falls Crossing zebrała się ze świecami na placu, a potem przeszła do kościoła, gdzie wielbny Swaggert poprosił wszystkich o modlitwę, wygłosił krótkie kazanie i wdziękzył się do kamer. Jenna nie mogła pozbyć się wrażenia, że w tym nabożeństwie jest coś sztucznego, obliczonego na afekt. Kaznodzieja nawet zapłakał, mówiąc, że Lynnetta była Jego aniołem zesłanym z nieba", modlił się także żarliwie za inne kobiety. Ołtarz ozdobiony był kwiatami. Duże plakaty z portretami każdej z tych kobiet spoglądały na zgromadzonych wiernych. Jenna patrzyła spod oka na tę wystawę i na Derwina Swaggerta, który z przymkniętymi oczyma i kroplami potu na zaczerwienionej twarzy trzymał się z całej siły pulpitu zaciśniętymi do białości palcami.

Zamigotało światło.

Ludzie podnieśli wzrok, odrywając się od swoich modlitw. Tylko głos pastora dudnił bez przerwy. Jenna usiłowała skoncentrować się na jego słowach, ale rozpraszał ją wiatr, wyjący dokoła budynku.

Światło znów zamrugalo.

Carter trzymał ją za łokieć.

- Można by pomyśleć, że Bóg nas wysłuchał - powiedziała Rinda i w tej samej chwili światło zgasło. Ale w kościele nie zrobiło się ciemno, bo wszyscy trzymali w dłoniach zapalone świece.

Pastor otworzył oczy i podniósł ręce, uciszając zgromadzonych, którzy zaczęli wiercić się i szeptać.

- Ojciec jest z nami - oświadczył - a my módlmy się, aby nie opuszczał Sonji, Roxie i mojej ukochanej Lynnetty. Idźcie w pokoju.

Powoli ruszyli do wyjścia, wciąż z innymi mieszkańcami miasteczka, którzy szepcząc, opuszczali kościół i niespiesznie schodzili ze schodów na mroczną ulicę. Rinda przystanęła na moment, obracając się plecami do wiatru, kiedy bezskutecznie usiłowała dodzwonić się do syna. Okna okolicznych domów były ciemne, latarnie uliczne pogasły. Mrok rozpraszały jedynie świece, latarki i reflektory samochodów.

Zadzwoniła komórka Cartera i szeryf przystanął, wyciągając telefon z kieszeni.

- Carter... Co? Tu w mieście też nie ma prądu. Tak... - Rozmawiał przy ciszonym głosem.

- Jenna!

Obróciła się i zauważyła Trvisa Settlera, który przeciskał się przez tłum w jej stronę. Trzymał za rękę córkę. W drugiej ręce niośł wotywną świecę.

- Allie jest tutaj? - spytała Dani, której sztywne brązowe loki wrywały się spod narciarskiej czapeczki nieujarzmionymi falami.

- Została dziś wieczorem w domu. Nie czuła się zbyt dobrze.

- Fatalnie — powiedziała Dani.

- Mielśmy nadzieję, że ją tu spotkamy, i że u nas zanojuje. Dani chce pójść na ślizgawkę, którą mamy za domem.

- Może jutro, jeśli poczuje się lepiej... I jeśli będziemy mieli światło - powiedziała Jenna i poczuła, że Carter podchodzi do niej bliżej.

Travis popatrzył na Cartera, a potem na Jenę.

- Miejmy nadzieję, że przerwa w dostawie prądu nie potrwa całą noc.

- Moim zdaniem to fajne - powiedziała Dani, której piwne oczy błyszczały w słabym świetle trzymanej w dłoni świecy. To była cała Dani, zawsze gotowa na jakąś przygodę.

- Bo nie musisz sama rąbać drewna, podsycać ognia ani martwić się o za marzające rury - stwierdził jej ojciec.

- Nie, bo wtedy gramy w coś, zamiast cały czas oglądać sport w telewizji.

Travis uśmiechnął się lekko.

- Uwielbia wygrywać ze mną w szachy i pokera.

Dani uśmiechnęła się szerzej, pokazując nieco wystające górne zęby.

- To wcale nie takie łatwe.

- Chodź, dziecko, wracajmy do domu. Cześć - powiedział Trevis do Jeny, a potem skinął głową Carterowi i Rindzie. Carter zatrzasnął klapkę telefonu, szczęki miał mocno zaciśnięte.

- Niech Allie do mnie zadzwoni! - zawołała Dani, kiedy Travis prowa

dził ją do furgonetki.

- Jakieś kłopoty? — zapytała Jenna.

- Całe mnóstwo. Prądu nie ma nie tylko tutaj, ale w promieniu wielu kilometrów. Jakiś samochód spadł z mostu Bogów, a na drodze 84 stoi wrak po wypadku. Wzywają mnie tam. Ze względu na śnieżycę może nie dotrzeć helikopter sanitarny. - Machnął dłonią w stronę samochodu. - Lepiej odwiozę cię do domu.

- To jest w przeciwną stronę - powiedziała Rinda. - Sama odwiozę Jennę.

- Powinna była przyjechać własnym dżipem.

Komórka Cartera znów się rozdzwoiła. Zamieniła kilka słów przez telefon, zaklął i powiedział:

- Robi się coraz lepiej. Kolejny samochód wpadł w poślizg na miejscu tamtego wypadku, uderzył w wóz policyjny i zabił funkcjonariusza. Muszę tam jechać.

- Zadzwoń do Turnquista, żeby po mnie przyjechał.

- Nie wariuj - powiedziała Rinda. Zwróciła się do Shane'a: - Ja ją odwiozę do domu.

Carter zawahał się.

- Och, na litość boską, jeżdżę w takich warunkach przez całe życie, po mijając ten okres, kiedy szukałam szczęścia w Kalifornii. Moje subaru ma napęd na cztery koła. Trzyma się drogi jak marzenie.

Telefon Cartera znów się odezwał i szeryf skinął głową.

- Dobra. Ale jeśli cokolwiek będzie nie tak, jeśli coś wyda wam się podejrzane, dzwońcie do mnie. I koniecznie zadzwoń po przyjeździe do domu. Daj mi znać, co tam słychać. - Ścisnął ją za ramię, musnął ustami jej policzek i truchtem pobiegł do swojego blazera.

- Pocałunek? Od twardego jak garbowana skóra szeryfa, co to nie potrzebuje żadnej kobiety? Nieźle, nieźle.

- On myśli tylko o swojej żonie.

- Kotku, ona nie żyje. - Wsiadły do samochodu. Rinda włączyła ogrzewanie i nawiew. Tłum się przeredzał, pozbawione elektryczności miasto było zupełnie ciemne, pomijając kilka sklepów oświetlonych prądem z własnych generatorów. - Carolyn była moją najlepszą przyjaciółką... - Rinda zerknęła na Jennę. - Co za ironia, nie sądzisz? Wygląda na to, że Shane ma słabość do osób, które sama lubię. Fajnie spędzaliśmy wtedy czas. Znałimy się od szkoły średniej. Wes, Shane i David Landis zawsze trzymali się razem. - Wyciągając szyję, żeby spojrzeć przez ramię, nacisnęła gaz i szybko zawróciła, a potem skierowała się na drogę prowadzącą za mia

sto. - David zginął, kiedy usiłował się wspiąć na Pious Falls. Shane był wtedy z nim. Obaj mieli po szesnaście lat. Shane bardzo to przeżył. Potem wyswatałam mu Carolyn i przez jakiś czas byli ze sobą bardzo szczęśliwi.

- Przez jakiś czas?

- Uhm. Pewnego razu, po okropnej awanturze, w taką paskudną, mroźną noc jak ta, Carolyn wsiadła do samochodu i straciła panowanie nad kierownicą. Zginęła. - Rinda przystanąła przed nieoświetlonym skrzyżowaniem, a potem ruszyła dalej ciemnymi ulicami. - Shane nigdy sobie tego nie wybaczył. Zarówno śmierci Davida, jak i śmierci Carolyn.

Co wiele wyjaśniało.

Po krótkiej pauzie Rinda spytała:

- Jesteś pewna, że chcesz się angażować?

- W tej chwili nie jestem niczego pewna.

- Robisz uniki. Widać, że między wami jest coś poważnego. Shane nie lubi publicznie okazywać uczuć. Właściwie chyba nigdy nie widziałam, żeby całował kobietą, no, na sylwestra.

Jej subaru dzielnie brnęło przez śnieg.

- Po śmierci Carolyn prawie się nie spotykał z kobietami. Wierz mi, ja to wiem. Od lat usiłowałam go z kimś spiknąć, ale nic z tego nie wychodziło. Moim zdaniem zresztą nie o to chodzi, że on ją nadal kocha, to tylko zadawione poczucie winy.

Minęły stojący przy drodze samochód, na którym już zbierał się śnieg.

Rinda włączyła radio. Prognoza pogody nie była obiecująca - dalsze opady śniegu i jeszcze większy mróz.

- To chyba już niemożliwe - skomentowała Rinda i przełączyła się na stację nadającą kolędy.

W żadnym z domów mijanych po drodze nie było elektryczności. Światło, które sączyło się przez szpary w żaluzjach, pochodziło ze świec, ognia na kominkach albo latarek.

Spotkały jeden pług, migający pomarańczowym światłem, spychający śnieg na pobocze i piaskarkę jadącą w ślad za nim. Na prawie trzy kwadransy utknęły w korku spowodowanym kolejnym wypadkiem na głównej szosie - furgonetka jakiegoś farmera zderzyła się z samochodem osobowym i nijak nie można było wyminąć obu pojazdów. Jenna spróbowała dodzwonić się do domu. Ponieważ wszystkie jej bezprzewodowe telefony stacjonarne z braku prądu nie mogły działać, zadzwoniła na komórki Turnaquista, Cassie i Al-lie, ale nikt nie odebrał.

- Dlaczego oni nie odbierają telefonu? - spytała, czując, jak w serce za

krada się niepokój.

- To rzeczywiście dziwne. Przecież mieli siedzieć w domu?

- Tak się umawialiśmy.

- Może komórki nie mają zasięgu. To się czasami zdarza, na odludziu.

Kiedy byłam raz na wakacjach, nie mogłam się do nikogo dodzwonić przez dwa dni.

- Albo wszystkie linie są zablokowane ze względu na śnieżycę.

- Tak, pewnie właśnie o to chodzi. Przynajmniej spróbuj dodzwonić się do Shane'a. Albo na komisariat - podsunęła Rinda, podkręcając ogrzewanie. Nie mogła ani na chwilę wyłączyć silnika, bo wtedy temperatura w samochodzie gwałtownie spadała.

- Tak zrobię. Jeśli szybko się to nie wyjaśni. - Jenna trzymała komórkę w rękę, usiłując zapanować nad nerwami.

- Dobrze, że przynajmniej mam pojemny pęcherz - stwierdziła Rinda, kiedy za pomocą ciężarówki odholowano wreszcie na bok strzaskany samochód i funkcjonariusz policji stanowej zasygnalizował kierowcom, że mogą jechać dalej. -1 duży wybór kompaktów.

Czekając, słuchały kołęd. Mały samochód Rindy ruszył dalej oblodzoną szosą. Śnieżycą ani na chwilę nie ustawała i służby drogowe nie radziły sobie z odśnieżaniem. Rinda wyjęła płytę, włączyła radio i nastawiła na informacje dla kierowców. Okazało się, że większość dróg w hrabstwie Lewis została zamknięta.

- Najgorsza śnieżycą w tym stuleciu - powiedziała Rinda, wyłączając radio.

- Kiedyś musi się to skończyć - powiedziała Jenna. Martwiła sienie o pogodę, ale o własną rodzinę. Znow spróbowała do nich zadzwonić, ale znow bezskutecznie. Zadzwoniła do Cartera, ale nie odebrał. Nie zostawiła mu wiadomości, bo były już prawie w domu.

- Cholernie się denerwuję- powiedziała Rinda, zaciskając wargi, kiedy koła wpadły w poślizg, dopiero po chwili odzyskując przyczepność. - Mam nadzieję, że Scott siedzi w domu, nie wałęsa się przy tej pogodzie.

- Nie możesz zadzwonić?

- Mam telefony bezprzewodowe, a jak wiesz, potrzebują prądu, żeby działać. Miałam zamiar kupić sobie zwykły aparat starego typu, ze sznurem, ale potem o tym zapomniałam.

- A jego komórka?

- Próbowałam kilka razy. Łączę się tylko z pocztą głosową, gdzie nagrany tekst obiecuje, że oddzwoni. Akurat.

Kwadrans później, kiedy ucichły ostatnie nuty *Jingle Bells Rock*, Rinda skierowała samochód w stronę podjazdu do domu Jenny. Brama była otwarta. Dom był całkiem ciemny. Jenna poczuła skurcz w żołądku.

- Niedobrze- powiedziała, kiedy zatrzymali się koło garażu. - Niedobrze.

Wysiadła z samochodu. Ślizgając się, pobiegła w stronę tylnych drzwi. Powtarzała sobie, że należy zachować spokój. To nic dziwnego, że w domu było ciemno. Nie mieli prądu. Tak jak wszyscy nad rzeką.

Ale dlaczego jej córki nie odbierają komórek? Dlaczego nie odbiera Turnquist?

Usiłowała włożyć klucz w zamek, ale drzwi same się uchyliły. W ciemnym wnętrzu było zimno. I całkiem cicho.

- Cassie! - krzyknęła, usiłując opanować panikę we własnym głosie. - Allie! Hej, jestem w domu! Cassie! Jake!

- Co się stało? — spytała Rinda, podchodząc do niej.

- Nie wiem. Pewnie nic. - Jennie serce waliło ze strachu, włosy jeżyły się na głowie. Działo się tutaj coś złego. Bardzo złego. Czowała to w zimnym po wietrze, słyszała w tej ciszy.

Za kratą kominka dogasał ogień. Potykając się, zaczęła szukać w kuchennej szufladzie latarki, włączyła ją i znów krzyknęła:

- Cassie? Gdzie jesteście? Allie!

Dom nie odpowiadał. Tylko wiatr gwizdał w dachu i postukiwały okiennice na piętrze. Jej własny głos wracał do niej echem. W domu nie było żadnych oznak życia.

Po kręgosłupie przeleciał jej dreszcz zimny jak sama śmierć. - Dopadł ich - szepnęła, a bezlitosny strach ścisnął ją za gardło. - On je ma.

- Kto?

W kieszeni Jenny zadzwoniła komórka.

- Dzięki Bogu!

Na chwilę lęki schowały się w mrocznych zakamarkach umysłu. Kiedy nastąpiła awaria elektryczności, Jake zabrał pewnie dziewczynki do miasta albo w jakieś inne bezpieczniejsze miejsce. I utknął na nieprzejezdnych drogach. Tak było. Musiało tak być.

- Halo? - rzuciła do telefonu, ale nikt się nie odezwał. - Halo? Kto mówi? Jake? Carter?

Omam nie zaczęła krzyczeć, kiedy usłyszała coś w tle. Stłumione dźwięki muzyki filmowej... Z jej pierwszej znanej roli. Temat przewodni z *Utraconej niewinności*.

Niewiele brakowało, a upadłaby.

To on! Znęcał się nad nią. Rozejrzała się wokół gorączkowo, oświetlając latarką sprzęty kuchenne.

- Kto mówi? - rzuciła ostro do telefonu. - Kto mówi, do diabła?

Ale telefon w jej dłoni ucichł. Oparła się bezwładnie o kuchenny blat, bo zrozumiała, że to prawda. Spełniły się jej najgorsze obawy, ten szaleniak porwał jej córki.

Rozdział 44

Nie panikuj - powiedziała Rinda, kiedy Jenna przetrząsała cały dom.

Zaglądała w każdy kąt, nawołując dzieci. Zaprzeczając temu, co w głębi serca wiedziała.

- Gdzie oni są, do cholery? A pies? Gdzie jest ten przeklęty pies? Dokąd on je zabrał?

- Nie wiem, Jenna. Ale nie ma ich tutaj, a jeśli zrobisz bałagan, pozacie rasz ślady, to tylko pogorszysz sprawę.

Jenna zaczynała tracić głowę.

- Muszę coś zrobić!

Po raz kolejny zadzwoniła do Shane'a, ale nie udało jej się z nim połączyć.

- Postępujemy metodycznie, dobrze? - zaproponowała Rinda. - Może wte dy odkryjemy, co tu się właściwie stało.

- Dobrze. Zacznijmy od góry.

Obie miały latarki, ale dom był duży, mroczny jak sama śmierć.

Napięta, z nerwami w strzępach, z pulsującym bólem głowy, Jenna przetrząsała dom od samego poddasza. Z Rindą u boku, przeszukała wszystkie sypialnie i schowki, saunę, łazienki. Zaglądała do każdego kąta. Nic.

Żadnego śladu czyjejś obecności, nawet tego przeklętego psa.

Przy każdym kroku strach coraz mocniej ścisnął ją za gardło i prawie nie mogła już oddychać.

Modliła się, żeby córki znalazły się, żeby były bezpieczne.

- Allie! - wołała na próżno. - Cassie! Dziewczynki!

W jej oczach zbierały się łzy, gardło miała zaciśnięte. Nie było ich w domu. Nigdzie. Zupełnie jakby rozpląły się w zamieci. Razem z ochroniarzem.

- Trzeba sprawdzić garaż - powiedziała po przeszukaniu całego domu.

Próbowała opanować rosnącą panikę, ale głos ją zdradzał. - Może Turnquist dokądś je zabrał. Gdzieś, gdzie jest bezpiecznie. Może wziął mój sa mochód.

- Nie zadzwoniłby do ciebie?

- Powinien - powiedziała. Jednak ostatnio miała ochroniarzowi sporo do zarzucenia, jego osąd sytuacji i umiejętności okazały się zupełnie niewystarczające. Wyszła na zewnątrz, gdzie wiatr nawiewał śnieg do zadaszzonego

przejścia między domem a garażem, wprawiając wiatrak w obroty, od których jęczał i skrzypiał.

- Cassie! - wołała, przekrzykując wiatr. - Allie!

Dobry Boże, żeby nic im się nie stało!

Jak on się tu dostał?

Nie ma żadnych śladów włamania.

Dlaczego mieliby wpuścić do domu szaleńca?

Co się, u licha, stało?

Przeszukała garaż w środku i na zewnątrz. Nie brakowało żadnego z pojazdów. Jej džip, stara furgonetka i samochód Jake'a Turnaquista stały na swoich miejscach, na ścianach wisiły narzędzia, w kącie stała nieużywana kosiarka, pokryta kurzem.

Jakby nie wydarzyło sienie złego. Jakby jej rodziny nie spotkał żaden zły los. Jenna traciła otuchę, ale mimo wszystko nie poddawała się. Dostrzegła sierp wiszący na ścianie i złapała go. Na wszelki wypadek. Pobiegła ku zewnętrznym schodom, prowadzącym na poddasze nad garażem, do warsztatu, do którego wprowadził się Jake Turnaquist. Drzwi stały otworem. Jak w całym domu. W pomieszczeniach zajmowanych przez Turnaquista panowała ciemność. Oświetliła latarką jego pokój. Dwie puszki po napój ach, pusta butelka po piwie, na blacie parę opakowań po daniach do odgrzania w mikrofalówce. Flanelowe spodnie od piżamy wiszące na kołku w drzwiach. Łóżko było niepoślane, szafa pusta, na umywalce w łazience leżała jednorazowa maszynka do golenia.

Kamery, noktowizor i rewolwer leżały na stoliku do kawy. Nie miał przy sobie broni?

Coś tu było zdecydowanie nie w porządku.

Nabierała coraz silniejszego przekonania, że jej dzieci znajdują się w niebezpieczeństwie. Że coś im grozi. Kto to zrobił? Dlaczego?

I w jaki sposób? Jak ktoś mógł wejść do środka, obezwładnić Turnaquista, uciszyć psa i porwać dziewczynki? A może Turnaquist brał udział w tym porwaniu?

Z coraz większym bólem głowy wróciła do domu, gdzie Rinda stała plecami do kominka i rozmawiała przez telefon, wymachując gwałtownie wolną ręką. Dostrzegając Jennę, zastygła bez ruchu.

- Sekundkę. Właśnie weszła. I nic, tak?

- Nic.
- Cholera. - Rinda ze zmartwioną miną podała Jennie komórkę. - Wreszcie dodzwoniłam się do Shane'a. Porozmawiaj z nim.
Jenna o mało nie rozplakała się, czując nagłą ulgę.
- Cześć.
- Rinda wszystko mi powiedziała - odezwał się, a jego głos był dla niej jak balsam. - Przepraszam, że nie odbierałem wcześniej. Za wiele telefonów naraz. Linie są przeciążone. Znalazłeś jakiś ślad Turnaquista?
- Nie. Nie ma tutaj nikogo. Nie ma dzieci. Nie ma pieprzonego ochroniarza, nie ma psa - powiedziała łamiącym się głosem.
- Dobra, słuchaj. Zamknij na klucz wszystkie drzwi. Niech Rinda zostanie z tobą. Zamknijcie się w pokoju z pojedynczym wejściem, zablokujcie drzwi. Wysłałam tam patrol policji stanowej, który jest w pobliżu. Ja przyjadę za pół godziny. Siedź i nigdzie się nie ruszaj. Jeśli chcesz, nie przerywajmy tego połączenia.
- Idę sprawdzić stajnię i stodołę.
- Zaczekaj, aż przyjedzie policja.
- Nie mogę, Shane. Muszę je znaleźć.
- Kilka minut nie zrobi różnicy.
- Kilka minut więcej może je kosztować życie. Mogą być gdzieś na zewnątrz w tej śnieżycy, zamarzać na śmierć. Każda minuta się liczy. - Wyjrzała za okno na zaśnieżony krajobraz, zaspasy, majaczące w mroku ciemne zabudowania z oblodzonymi, czarnymi oknami. —A może on je ma. Już do stałam jeden dziwny telefon, więc jest niedaleko.
- Telefon?
- Na komórkę. On się nade mną złącza, Shane.
- Nie ruszaj się stamtąd!
- Nic mi nie będzie. Mam strzelbę.
- Trzymaj ją przy sobie.
- Muszę kończyć — powiedziała.
- Będę tam niedługo.

Rozłączywszy się, oddała telefon Rindzie.

- Nie wychodź znowu.
 - Muszę. Ty też byś wyszła, gdyby chodziło o Scotta.
- Skoro komórki znów działały, wyjęła własny telefon z kieszeni i nacisnęła klawisz szybkiego wybierania numeru.
- Najpierw spróbowała zadzwonić do Cassie. Żadnej odpowiedzi. Cztery dzwonki i przełączenie na skrzynkę głosową, gdzie Jenna zostawiła krótką wiadomość, instruując Cassie, że ma zadzwonić do domu. Potem połączyła

się z komórką Allie. Czekając na połączenie, usłyszała dzwonienie komórki Allie i znalazła ją między poduszkami kanapy w gabinecie.

- Cholera.

Potem wybrała numer komórki Josha Sykesa. Znow nic.

- Och, odbierz wreszcie - rozkazała, jakby mógł ją usłyszeć. Trzęsła się w środku, śmiertelnie przerażona. Kiedy bezosobowy głos Josha poprosił ją o zostawienie wiadomości, nagrała się: - Mówi Jenna, mama Cassie. Martwię się o nią. Nie ma jej w domu i pomyślałam, że może jest z tobą. Oddzwoń do mnie jak najszybciej. — Podała swój numer telefonu i rozłączyła się. Potem wybrała ostatni numer.

Odebrała kobieta o zachrypniętym głosie, brzmiącym tak, jakby wyrwano ją ze snu.

- Halo?

- Pani Sykes? Mówi Jenna Hughes. Szukam mojej córki. Czy zastała Josha?

- Nie ma go. I nie wiem, kiedy wróci. - Jenna usłyszała pstryknięcie za palniczki, a potem odgłos zaciągania się papierosem. - Uznałam, że jest z pani córką. - Wanda Sykes powiedziała to takim tonem, jakby uważała, że Cassie stanowi nieodpowiednie towarzystwo dla jej syna.

- Nie wiem, gdzie mogą być.

- Wielka mi dziwota. - Kolejne zaciągnięcie się dymem. - Wie pani, próbowałam nieco ukrócić mu cugli, ale on mnie nie słucha, zwłaszcza kiedy idzie o tę pani małą. Mówiłam mu, że ma się jej nie narzucać, że to dla niego za wysokie progi, ale czy on mnie słucha? Psiakrew, nie. Nigdy nie miał oleju w głowie. Za bardzo wdał się w mojego starego. Obchodzi go tylko picie, palenie i bzykanko.

Jenna oniemiała. Nigdy nie spotkała tej kobiety, a ona mówi o takich intymnych sprawach.

- Proszę pani, kiedy Josh wróci, niech zadzwoni do mnie, dobrze? Złośliwy, urywany śmiech zakończył się atakiem kaszlu.

- Powiem mu, o ile to się na coś przyda, a ja nie będę spała. Jasne, że mu powiem.

- Bardzo proszę, niech mu pani zostawi karteczkę, skoro ma pani zamiar iść spać.

Jak to możliwe, że ta kobieta nie umiera z niepokoju?

- Przecież zostawiła mu pani wiadomość na komórce. Oddzwoni do pani. Kobieta odłożyła słuchawkę, jakby miejsce pobytu Cassie zupełnie jej nie obchodziło.

- Idiotka. Czy nie dotarło do niej, że w okolicy jakiś szaleniec porywa kobiety? - mruknęła Jenna. Nie czekając na odpowiedź Rindy, pobiegła po schodach, po dwa stopnie naraz, a wątle światło latarki drgało przed nią na ziemi. Znalazła pod łóżkiem strzelbę, w szafce nocnej leżały naboje.

Załadowała broń, zabezpieczyła i wróciła na parter, gdzie Rinda dorzucała opału do ognia. Kilka płomieni zaczynało lizać nowe kawałki drewna.

- Pójdę z tobą.

- Nie. - Jenna spojrzała ostro na przyjaciółkę. - W żadnym wypadku. Zostań tutaj. Mam komórkę. Jak będziesz mi potrzebna, zadzwonię.

- Jeśli zadziała.

- No tak...

- Obiecuj, że nie zrobisz niczego głupiego - powiedziała Rinda, spoglądając na strzelbę. Usiadła na postumencie przed kominkiem. Ogień zaczął się palić żywiej, trzaskając, sycząc i rzucając na pokój ruchome, złotawe cienie.

- Idę po moje dzieci - powiedziała Jenna.

Rinda popatrzyła na strzelbę.

- Z bronią?

- Dla ochrony.

- Czy w ogóle wiesz, jak tego używać?

- Wystarczająco dobrze - powiedziała Jenna i wyszła w ciemność, gdzie wiatr nawiewał śnieg sypiący z nieba, a gdzieś tam były jej dzieci.

- Szeryf Carter? - odezwał się jakiś męski głos, przekrzykując zakłócenia na linii komórkowej. Carter stanął plecami do wiatru i sceny wypadku, gdzie roztrzaskany wóz patrolowy i mały samochód stały zgniecione jak puszki po piwie. Załoga karetki krzątała się przy rannych, wezwano też ambulans, który miał zabrać zabitych. - Mówi Craig z policji stanowej. Jechaliśmy do domu pani Hughes, ale zatrzymał nas wypadek na autostradzie. Dwoje rannych, jeden zabity. Jakaś kobieta rodzi. Jedzie tu pogotowie, ale nie uda nam się stąd wydostać przez co najmniej pół godziny.

Cholera! Carter spojrzał na zegarek. Patrol policyjny już powinien być u Jenny.

- Dzwoniłem po wsparcie, ale nie mają wolnych ludzi.

- Ja się tym zajmę - powiedział Carter.

- Będziemy tam najszybciej, jak się da.

- Dobrze.

Carter wyłączył się i podszedł na miejsce wypadku, gdzie porucznik Sparks robił notatki.

- Jestem ci do czegoś potrzebny? - spytał.

Sparks podniósł oczy i spojrzał badawczo.

- Co jest?

Kiedy Carter wyjaśnił mu, Sparks skinął głową.

- Ja się tu wszystkim zajmuję. Jedź tam od razu.

Carter nie czekał na nic więcej. Po chwili już siedział w swoim blazerze i pędził tak szybko, jak tylko się dało. Wycieraczki usuwały płachty śniegu z szyby, policyjna radiostacja trzeszczała, a Carter serce miał w gardle.

Postanowił sprać na kwaśne jabłko i wywalić na zbity pysk tego nieudacznika, który chciał uchodzić za ochroniarza. Jaka rolę odgrywał w tym wszystkim Turnquist?

Zadzwoniła komórka. Odebrał telefon, bojąc się, że coś uniemożliwi mu jazdę do domu Jenny.

- Carter.

- Cześć, tu BJ. Wezwano mnie do wypadku na drodze 84, ale pomyślałam, że ci powiem, że znalazłam podejrzanego.

- Podejrzanego? - powtórzył i zacisnął dłonie na kierownicy.

- Hazzard Brothers miało pracownika, który zwolnił się zaraz po zdjęciach do *Białej ciemności*. Był specjalistą od charakteryzacji, ale zajmował się też sprawami technicznymi i został ranny w czasie eksplozji, o mały włos nie stracił nogi. Dostał ładną sumkę z ubezpieczenia, prawie milion dolałów, i zniknął. Sprawdzili adresy, pod jakimi się z nim kontaktowali -jeden z nich, uważaj, jest w Medford.

- Mavis Gette po raz ostatni widziano w Medford - powiedział Carter. - Dobra, więc jak on się nazywa? - Szykował się na odpowiedź BJ. Wiedział, że mógł to być każdy. Prawdopodobnie nie Wes Allen.

- Steven White - powiedziała.

- Steven White? Nie znam nikogo takiego.

- Ani ja, i nie ma go w lokalnej książce telefonicznej. Oczywiście w okolicy Portland jest ze dwudziestu Stevenów White'ów, ale ich jeszcze nie sprawdziłam. Mam zamiar poprosić też o wszystkie akta na to nazwisko. Hazzard Brothers mają mnóstwo informacji o swoich pracownikach, włącznie mi je faksują, włącznie ze zdjęciem White'a. Jeśli ten facet posługuje się fałszywym nazwiskiem i tak go znajdziemy.

- On musi mieszkać gdzieś niedaleko. Założę się, że nie chciał, żeby mu przeszkadzał właściciel domu. Dlatego więc zrób listę osób, które kupiły domy w okolicy od czasu tamtego wypadku.

- Jest jeszcze jedna rzecz - powiedziała szybko BJ. - Nie wiem, jak to pasuje do całości, o ile w ogóle pasuje. Ale Steven White to nazwisko

bohatera występującego w *Odkupieniu*. Był tam obiektem uczuć Annę Parks, granej przez Jennę.

- O, na pewno pasuje - powiedział zupełnie o tym przekonany. - Nie wiem tylko jak. Zadzwoń do porucznika Sparksa i powiem mu, żeby się skontaktował z FBI. Niech sprawdzą nazwisko Stevena White'a w swojej bazie danych. A ty sprawdź, czy ktoś o tym nazwisku kiedykolwiek odsiadywał wyrok na Zachodnim Wybrzeżu.

- Masz to jak w banku - powiedziała BJ. - Jak tylko wrócę do biura.

- Informuj mnie na bieżąco. - Carter wyłączył się, zadzwonił do Sparksa i przekazał mu swoją prośbę. A potem skręcił z szosy. Dom Jenny znajdował się niecałe dwadzieścia minut drogi stąd.

Trzymając mocno strzelbę jedną ręką, drugą ręką Jenna oświetlała sobie drogę latarką. Sypał śnieg, a ona usiłowała zrozumieć cokolwiek ze śladów, które widniały dokoła domu, garażu i szop. Nad jej głową wiatrak skrzypiał, obracając się w lodowatym powietrzu. Noc, pełna zła, którego Jenna nie mogła dotknąć ani zobaczyć, dyszała jej prosto w kark ciężkim, zimnym oddechem.

Zauważyła kilka śladów wiodących w stronę stajni i stodoły. Dużych śladów. Zostawionych przez Turnquista obchodzącego posiadłość.

Pomyślała gniewnie, że nie na wiele to się zdało. Zauważyła też mniejsze ślady, prowadzące prosto do stodoły. Serce Jenny przyspieszyło. Allie... Ślady musiały należeć do Allie. Obok były też odciski łap jakiegoś zwierzęcia. Psa? I większe ślady. Może Turnquista?

Poszła w tamtym kierunku. Czowała przyływ adrenaliny w żyłach. A jeśli ten bydlak złapał jej dziewczynki? Pomyślała o Sonji Hatchell, Lynnetcie Swaggert i Roxie Olmstead. Wszystkie były dorosłymi, silnymi kobietami, a mimo to... Jej palce zacisnęły się mocniej na strzelbie.

Czy potrafi strzelić do tego bydlaka?

Z pewnością tak, jeśli porwał jej dzieci.

A jeśli zasłoni się małą Allie?

Będzie musiała znaleźć inny sposób, żeby uwolnić córkę.

A co jeśli Allie i Cassie już nie żyją?

Nawet nie chciała o tym myśleć. Zaciskając zęby, dojrnęła przez głęboki do kolan śnieg w stronę okna i zajrzała ostrożnie do ciemnej stodoły. Korzystała z niej wyłącznie do przechowywania różnych rzeczy. Nigdy nie hodowała bydła ani owiec, a konie stały w stajni.

Nie dostrzegła niczego przez pokryte lodem szyby i nie usłyszała stamtąd żadnych odgłosów. Ale ślady urywały się pod drzwiami stodoły.

Zgasiała latarkę, z którą była zbyt łatwym celem. Jeśli ktoś czekał na nią w środku, chciała nieco wyrównać szansę.

Spojrzała na śnieg w pobliżu drzwi i straciła resztkę nadziei. Zobaczyła kilka ciemnych plam, które stopiły śnieg, a teraz znikwały pod kolejną jego warstwą.

Powiedziała sobie, że to ptasie odchody, ale krótki błysk latarką ukazał całą prawdę. Krew. Ciemne plamy krwi.

Strach o córki ścisnął jej żołądek. Zmusiła się jednak, żeby iść dalej. Może tylko były ranne... Mogła je jeszcze uratować. Pchnęła ramieniem drzwi, które cicho skrzypnęły.

Wśliznęła się do stodoły i pożałowała, że nie wzięła noktowizora Turnquista, który leżał na stoliku do kawy. Teraz jednak było już za późno.

Zapach suchego siania i kurzu drażnił jej nozdrza, a ponad gwizdem wiatru, wdzierającego się przez szczelinę okna, usłyszała coś... Jakiś cichy dźwięk, który się regularnie powtarzał i nie pasował do tego miejsca.

Przyłożyła do ramienia ciągle jeszcze nieodbezpieczoną strzelbę.

Omijając puste żłoby, wpatrywała się zmrużonymi oczami w ciemność, dostrzegając zarysy narzędzi, worków na ziarno i innych przedmiotów, które w ciemności robiły niesamowite wrażenie. Tylko wpadająca przez małe okna poświata od śniegu zapewniała jakąkolwiek widoczność. Ten dźwięk, którego nie umiała zidentyfikować, odgłos niepasujący do tej starej stodoły, stawał się coraz bliższy.

W gardle jej zaschło.

Nie była tu sama.

Jenna omal nie upuściła strzelby, kiedy głośno zaszczekał pies.

- Pokraka, nie! - przerażony głos Allie zabrzmiał z kąta w pobliżu schodów prowadzących na stryszek z sianem.

- Allie? - Jenna poszła w kierunku głosu córki. - Allie? To mama. Jestem tu. - Włączyła latarkę, oświetlając własną twarz, zanim skierowała światło w stronę ściany.

- Mama? - Głos córki był stłumiony lękiem. - Och, mamo!

Jenna, nie zważając już na nic, rzuciła się biegiem w tamtą stronę. Pokraka o mało nie przewrócił jej, skacząc na nią z radości. Latarką oświetliła jeden z boksów i znalazła w nim Allie, skuloną w pozycji embrionalnej, kołyszącą się w tył i w przód. Po jej twarzy płynęły łzy. Jenna upuściła strzelbę i złapała w ramiona swoje dziecko.

Rozszlochana, rozdygotana Allie przywarła do niej.

- Ćśś, kochanie... - powiedziała Jenna. - Już wszystko w porządku, jestem tutaj.

- Nie... nie... - Głos Allie był zmieniony, twarz biała, oczy okrągłe w tym mroku.

- Nic ci nie jest?

Co za idiotyczne pytanie. Allie, chociaż nie widać było ran na jej ciele, znajdowała się w stanie bliskim histerii.

- Gdzie jest Cassie? - szepnęła Jenna, tuląc mocno córką i przypominając sobie ślady krwi.

- Z... z... z nim - Allie rozplakała się tak, że dostała czkawki.

- Cóż, kochanie, uspokój się. Nic nam nie będzie. A więc z kim jest Cassie? Z Turnquistem? Czy z Joshem?

Allie drżała tak mocno, że Jenna, żeby nie upaść, musiała oprzeć się o słup podtrzymujący stryżek z sianem. Pokraka też był niespokojny: popiskiwał, warczał, dreptał w kółko. W stodole było zimno jak w chłodni, ale wyczuwała tu jakiś dziwny zapach.

- Nie, nie z Joshem! Z nim! Z nim! - zawołała histerycznie Allie.

- Z kim? - spytała Jenna. Serce jej zamarło. Nie! O Boże, nie! Tylko nie ten zbrojeniec! Spojrzała przez okienko, mając nadzieję, że zobaczy światła samochodu, jakiś znak, że policja już tu jedzie. - Chodź - szepnęła. - Wracajmy do domu.

- Nie! - Allie pociągnęła nosem i przywarła do niej mocniej. - On tam czeka.

- Gdzie? - spytała Jenna, dostając gęsiej skórki.

- W domu.

Boże, przecież zostawiła tam Rindę!

- Byłam tam przed chwilą. Przeszukałam dom od strychu do piwnic. Musisz być dzielna. Puść mnie na chwilę.

- Nie!

- Muszę zadzwonić do domu i wziąć strzelbę. Chodź, Allie... Jestem przy tobie. - Łagodnie uwolniła się z objęć córki i schyliła się po strzelbę. - Po trzymaj latarkę, dobrze?

- D-dobrze.

Jenna drżącą ręką wyjęła telefon z kieszeni i otworzyła klapkę. Wybrała numer własnego domu.

Jeden sygnał.

Czy tu coś kapało? Teraz, kiedy Allie ucichła, wyraźnie słyszała jakieś kapanie.

Drugi sygnał.

I ten zapach... Co to był za zapach? Miedzi? Żelaza? Jakiś metaliczny powiew w powietrzu.

Trzy sygnały. Dlaczego ona nie odbiera? Zaczęła ją ogarniać panika. Może Allie miała rację? Może ten potwór zaczął się w domu?

Och, nie, proszę, tylko nie Rinda. Odbierz ten telefon, cholera!

Czwarty sygnał, a potem odezwał się jej własny, fiagransy na sekretarkę głos.

- Rinda, odbierz! - szepnęła, zanim skończyło się nagranie. - Odbierz ten cholerny telefon!

Pokraka piszcział, kręcąc się przy niej. Poddała się. Rozłączyła się i zadzwoniła na komórkę Shane'a Cartera.

- Carter - odezwał się po pierwszym dzwonku.

- Tu Jenna. Przyjedź tu. Cassie i Turnquist znikli. Dokoła stodoły jest krwi...

Kap!

- Co? Będę za pięć minut.

- Może być za późno! - powiedziała i spojrzała w dół. W świetle latarki ujrzała na deskach podłogi śladach łap i butów, tworzących czerwoną mozaikę...

- O Boże... - szepnęła. Odebrała córce latarkę i skierowała jej słabe światło na krwawe ślady łap... I dalej, pod tylną ścianę, gdzie powoli rozlewała się wielka, ciemna kałuża.

Strach chwycił ją za gardło. Powoli podnosząc latarkę w górę, zobaczyła zwisające z belki ciało.

Jej krzyk zawibrował w całej stodole, a twarz wykrzywił grymas przerażenia, kiedy rozpoznała ofiarę. Rozebrany do naga i wypatroszony Jake Turnquist wisiał jak tusza jelenia po polowaniu. Jego ciało było białe, pozbawione kropli krwi, a przez całą długość tułowia biegła straszna szczelina. Wnętrznosci, jeszcze parujące, piętrzyły się na ziemi śliską, połyskującą masą.

Jenna upuściła telefon. Allie, przytulona do niej, krzyczała, zupełnie nie panując nad sobą.

Kim był rzeźnik, który to zrobił? Czy porwał Cassie? Oddychając z trudem, walcząc z wszechogarniającym strachem, osunęła się na ziemię, w mokrą kałużę. Dłonie lepiły jej się od krwi ochroniarza.

- Shane! - krzyknęła, ale połączenie zostało przerwane. Śliskim rękami udało jej się chwycić telefon, strzelbę, latarkę i ramię Allie, wszędzie rozmazując krew. - Wynośmy się stąd. - Popychając córkę w stronę tylnego wyjścia dla bydła, ruszyła biegiem. Jeśli tylko uda im się dotrzeć do garażu, do dżipa...

Otworzyła wielkie drzwi i wyszła na zewnątrz, w ciemną noc. Ciągnąc za sobą Allie, zgasila latarkę, a potem zaczęła biec, brnąć po kolana w śniegu.

W jednej dłoni trzymała telefon i wybrała szybko numer alarmowy. Im więcej

policji zdoła tu ściągnąć, tym lepiej. Pokraka truchtał za nimi, sapiąc, dotrzymując im kroku, Śnieg nadal padał.

Rinda! Nie mogła zostawić Rindy!

Ale ten bydlak porwał Cassie.

Jej zdaniem nie było go w domu. Od stodoły do domu nie prowadziły żadne świeże ślady.

Jenna starała się wziąć w garść. Musi znaleźć jakiś sposób, żeby zapewnić bezpieczeństwo Allie i znaleźć Cassie.

Ale jak? Potrzebowała pomocy.

Żeby Carter przyjechał tu wreszcie!

Czemu ten telefon nie może złapać sieci? Czy został uszkodzony, kiedy upadł w stodole na ziemię, do kałuży zastygającej krwi? A może stacje nadawcze nie mogły się uporać z nadmiarem połączeń? Może tylko zatkała się sieć. Trzeba próbować dalej.

Nadal ciągnęła za sobą Allie, brnąc przez śnieg, mrugając oczami, kiedy lodowate płatki śniegu kęsały ją w policzki. Pies biegł przodem.

Szybciej, szybciej... Gdzie jest, do diabła, policja?

Carter powiedział, że wysłał tu patrol.

Garaż był tylko o parę kroków od nich. Kluczyki powinny tkwić w stacyjce dżipa. A w szufladzie w garażu leżą zapasowe.

Nagle Pokraka stanął jak wryty. Sierść na karku stanęła mu dęba i zaczął warczeć, obnażając kły.

Jenna zatrzymała się. Z całej siły trzymała dziecko za rękę. Przez lepkie płatki śniegu wydało jej się, że widzi jakiś ruch. Serce jej zamarło. Zmrużyła oczy, stwierdzając, że to tylko ciemna sylwetka jakiegoś drzewa, którego gałęzie poruszają się na wietrze.

- Chodź, Allie - powiedziała, ponaglając córkę do biegu.

Nie usłyszała żadnego dźwięku, wyczuła tylko w powietrzu jakaś zmianę, szept chłodnego wiatru na karku. Kątem oka znów dostrzegła ruch, ciemną, zwierzęco zwinną postać, która wyskoczyła zza garażu.

Allie wrzasnęła.

Jenna poderwała lufę strzelby i odbezpieczyła broń, gdy on rzucił się na nią. Ciężki, mocno zbudowany mężczyzna samym ciężarem ciała powalił ją na ziemię.

- Uciekaj! - krzyknęła do Allie. Wyrwała się, szukając gorączkowo w zaspie broni, twarzą w twarz z napastnikiem, którego pies obszczekiwał i usiłował kąsać. Ubrany w panterkę, w kominiarce na twarzy, znów się na nią rzucił.

Przeturlała się w bok w śnieżnej zaspie. - Uciekaj!

Wyczuła ręką lufę strzelby i sięgnęła po nią, zaciskając palce w rękawiczkę na zimnej stali. Ale on znów jej dopadł. Tym razem przycisnął do jej karku coś zimnego i wtedy jej ciałem szarpnął wstrząs, tysiące woltów elektryczności przeleciało przez nerwy. Jenna jęknęła żałośnie i osunęła się na ziemię.

Rozdział 45

Carter się spóźnił. Kiedy wjechał przez otwartą bramę rancza Jenny, zrozumiał, że już po wszystkim. Przez telefon usłyszał wcześniej jej przerażony krzyk i tę przeklętą ciszę, która potem zapadła. Krzyczał głośno, ale Jenna nie odpowiadała. Kiedy spróbował znów do niej zadzwonić, nie mógł się połączyć.

Miał wrażenie, że od chwili, kiedy połączenie zostało przerwane, minęły całe wieki. Spojrzał na zegarek i przekonał się, że upłynęło zaledwie niecałe dziesięć minut. Teraz, kiedy znalazł się pod jej domem, bez wychodzenia z samochodu wiedział, że ją stracił. Wezwał telefonicznie wsparcie, ale sam nie czekał. Czas był zbyt cenny, żeby go marnować.

Otworzył drzwi blazera i podmuch mroźnego wiatru chlasnął go po twarzy. Pobiegł do domu przez głęboki śnieg. Zauważył w oknach światelko. Może jakimś cudem ocalała? Wyciągając broń, przejściem obok garażu doszedł do tylnych drzwi. Nie były zamknięte. Zły znak. Otworzył je i cicho wśliznął się do środka.

Nikt mu nie wyszedł na powitanie, nawet ten cholerny pies.

- Jenna? - zawołał. - Tu Shane.

Gdzieś z wnętrza domu dobiegł go szloch.

- Shane? - usłyszał głos Rindy. - Dzięki Bogu. Myślałam, że nigdy tu nie dotrzesz!

Podskakujący promień światła latarki na moment skierował się na jego twarz, a potem Rinda przypadła do niego, płacząc, szlochając, bezładnie coś mówiąc. Młodsza córka Jenny nie odstępowała jej na krok.

- Uspokój się i powiedz mi dokładnie, co się stało. Gdzie jest Turnquist?

- Nie żyje. Chyba jest w stodole. Ja... ja tam nie wchodziłam, ale Allie tam była.

- Jesteś pewna, że nie żyje? - Shane spytał Allie, a ona przytaknęła bez słowa. Oczy miała rozszerzone z przerażenia.

Zimny strach ścisnął serce Cartera.

- Josh Sykes też nie żyje - powiedziała Rinda. - Jest w swojej furgonetce, po drugiej stronie ogrodzenia, przy leśnej przecince. Allie poszła za Cassie, która wymknęła się z domu, żeby tam spotkać się z Joshem. Widziała,

jak ten zabójca zaatakował Cassie. Przedtem zabił Josha.

- Sprawdziłaś?
- Nie. Ale wierzę jej na słowo.
- Nie żyje, widziałam go - szepnęła Allie ochryplym głosem.
- A Cassie?

Allie zaczęła płakać.

- Nie powinnam była jej zostawiać. On ją złapał! Złapał!
- On je ma obie, Shane - powiedziała Rinda z twarzą wykrzywioną wściekłością. Jej ciemne oczy zabłyśły w świetle latarki. - Ten potwór porwał Jennę i Cassie.
- Nie wiecie, kim jest?
- Ja go nie widziałam, ale Allie tak.

Shane spojrzał na dziewczynkę, która wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Ciągle kiwała głową, jakby mogło ją to uspokoić.

- Możesz mi powiedzieć, co się tutaj stało? - zapytał. - Allie, proszę. — Dotknął jej ramienia. — Nie będę mógł pomóc twojej matce, dopóki mi nie powiesz, co się tutaj wydarzyło. Czy widziałaś człowieka, który to zrobił?

Pokiwała głową. Jej oczy wypełniły się łzami.

- Rozpoznałaś go?

Zawahała się. Pokręciła głową przecząco.

- Pomyśl, Allie - nalegał łagodnie. - Czy wiesz, kto to był?
- Nie... Ale... ale... -Przygryzła wargę.-On wiedział, jak mam na imię. A jego głos... Wydaje mi się, że go chyba znam.

- Możesz go opisać?

Allie zadrgała broda. Zerknęła na Rindę.

- No powiedz, kochanie, spróbuj.
- Był duży.
- Taki wysoki jak ja?
- Większy... Miał kominiarkę. I panterkę... Było ciemno, a ja stałam daleko, kiedy złapał Cassie, i... - mówiła coraz szybciej, coraz wyższym głosem - uciekłam, pobiegłam do stodoły. To wtedy... Wtedy zobaczyłam Jake'a i tak się wystraszyłam, że nie wiedziałam, co robić, więc zostałam w stodole... jak najdalej od Jake'a. Był ze mną Pokraka. Aż wreszcie przyszła mama. -Allie rozszlochała się histerycznie, z twarzą wykrzywioną z rozpacz, a potem dodała: - A teraz jej nie ma! - Pociągając nosem i ocierając mokrą buzię grzbietem dłoni, wpatrywała mu się w oczy. - Musisz je znaleźć. Musisz.
- Wiem. Znajdę je - obiecał i spojrzał na Rindę. Jakie były szansę na to,

że Cassie i Jenna jeszcze żyją? Za oknem zobaczył błyskające światła, na przemian czerwone i niebieskie, przebijające się przez ciągle padający śnieg. Nadjeżdżały posiłki.

Ale było już za późno.

Cassie dygotała, chłód przenikał ją do szpiku kości. Całe ciało ją bolało, kiedy spróbowała się poruszyć. Otworzyła oczy i poczuła ogarniającą ją panikę. Gdzie się znalazła? Wisiała w powietrzu, zawieszona jakieś dwa metry nad wielkim zbiornikiem wypełnionym przejrzystym płynem. Co to? Była naga. Kompletnie rozebrana... I co się stało z jej włosami? Ten bydlak zdjął z niej ubranie, a potem... potem ogolił jej głowę. Przywiązał ją do tej belki i związał jej ręce nad głową. Ale po co? Wszystko to było takie przerażające. Przypomniała sobie Josha w furgonetce, kiedy powoli wyciekało z niego życie, i Allie biegnącą przez las, i okropny wstrząs elektryczny, który spowodował ten szaleniec, człowiek, którego znała, mogłaby to przysiąc, chociaż nie widziała jego twarzy.

Trzęsąc się ze strachu, jakiego nigdy dotąd nie zaznała, łapała powietrze krótkimi, urywanymi oddechami. Chciałaby zasnąć i obudzić się we własnym łóżku, chciała, żeby Josh żył, a jej mama siedziała w pokoju obok. Nie będzie się już złościć na siostrę, którą ciągle zawraca jej głowę... Zaszło-chała, ale natychmiast ugryzła się w język. Nie mogła się poddawać panice, uniemożliwiającej racjonalne myślenie.

Musiła pomyśleć. Znaleźć jakiś sposób, żeby wyrwać się z tego nieprawdopodobnego horroru. Wzięła głęboki oddech i rozejrzała się po otoczeniu. Tego psychopaty nie było teraz w pobliżu, a przynajmniej ona nie mogła go dojrzeć.

Gdzie się właściwie znalazła?

Nie mogąc się ruszyć, opuściła wzrok na dół.

Paliły się przyćmione światła. Udało jej się dostrzec grupą postaci, ustawionych w różnych pozach na czymś w rodzaju sceny, a obok nich jakiś fotel ze stalowym ramieniem umocowanym nad nim.

Wyteżyła oczy. To nie były przypadkowe postacie, zrozumiała nagle i po kręgosłupie przeleciał dreszcz strachu. Wszystkie kobiety wyglądały jak jej mama. Jak mama ubrana i ucharakteryzowana do swoich najbardziej znanych ról.

Nie, to niemożliwe, to nie miało najmniejszego sensu.

Ale czy tutaj w ogóle cokolwiek miało jakiś sens?

Musiła się czegoś naćpać... No właśnie. Bardzo się starała skoncentrować i chociaż umysł nadal miała przyglony, a światło było tu słabe, udało jej

się rozróżnić postacie filmowe... Paris Knowlton z *Mroku*, Faye Tyler z *Przechodnia*, Zoey Trammel z *Milczenia śniegu*, Marnie Sylvane z *Końca lata*, wszystkie ubrane tak, jak widziała na ekranie, włącznie z biżuterią i rekwizytami, z takimi samymi fryzurami, każda stanowiła idealną replikę danej postaci.

Dziwaczne.

I cholernie przerażające.

Wykręciła głowę i spojrzała w górę. Nad belką, pod którą ją podwieszono, do wysokiego sufitu przyklejono dziesiątki powiększonych zdjęć jej matki w najśłynniejszych rolach. Te same postacie, które ustawiono na scenie, a prócz nich zdjęcia Jenny jako Katriny Petrovej z *Utraconej niewinności* i jako Annę Parks w *Odkupieniu*.

To wszystko było takie niesamowite... Znów spojrzała w dół. Dwie postacie. .. Nie, manekiny, manekiny naturalnej wielkości. Dwie kobiety nie miały twarzy, chociaż jedna nosiła perukę z długimi czarnymi lokami, przy pominających ją Katrinę... O cholera, ten świr najwyraźniej nie dokończył swego artystycznego dzieła...

Cassie zamarło serce. Przypomniała sobie o porwanych kobietach... Czy były one jakąś częścią tego makabrycznego spektaklu?

Zastygła w bezruchu i spojrzała w dół na dwa manekiny, stojące obok pozostałych. Te dwa z pewnością miały się zamienić w Katrinę Petrovą z *Utraconej niewinności* i Annę Parks z *Odkupienia*.

Ale co to wszystko miało wspólnego z nią? Rozglądała się wkoło gorączkowo. W głowie nieco jej się rozjaśniło, przypomniała sobie o porwaniu, o tym, jak ten świr ją zaskoczył, i o Joshu... martwym... z wywróconymi oczami i poderżniętym gardłem, z krwią rozlewającą się po całym samochodzie.

Czemu to wszystko miało służyć?

Mniejsza o to. Najważniejsze, jak się stąd wydostać.

Rozglądała się po tym wielkim jak magazyn pomieszczeniu. Były tu drzwi... a za nimi pokój z nowoczesną aparaturą i monitorami. Gdyby tylko zdołała przeciąć te więzy... W jaki sposób on ją tak zawiesił? Ręce miała związane... ale nie wisiała na nich. Jej stopy spoczywały na czymś w rodzaju podpórki, a wzdłuż pleców biegła zimna rura... Po co?

W miarę jak rozjaśniały jej się myśli, zaczynała się coraz bardziej denerwować, zdając sobie sprawę z tego, w jak poważnych tarapatkach się znalazła. Ten psychol, którego twarzy nie widziała, choć czuła, że go zna, zniknął gdzieś. Ale wróci.

Musiała przygotować się na jego powrót.

Półprzytomna Jenna otworzyła oczy. Całe ciało ją bolało, a mózg nie chciał funkcjonować. Gdzie się znalazła, skąd ten ból i oszołomienie, zupełnie jakby zamiast mózgu miała galarete?

Leżała płasko na plecach i czuła szarpnięcia, bo najwyraźniej wieziono ją w bagażniku jakiegoś samochodu albo w furgonetce. Ręce i nogi miała skrępowane, a całe ciało oplecione sznurem, przywiązane do zimnej karoserii. Przez jej skołataną głowę przelatywały strzępki przytomniejszych myśli. Cassie znikła. Turnquist wisiał pod belką stropu i wyciekała z niego krew. Allie wariowała z przerażenia. A ją porażono prądem elektrycznym.

Ale to nie był jeszcze koniec, nie... Została nafaszerowana jakimś lekiem, pamiętała igłę strzykawki wbitą w jej ramię i łagodny męski głos, brzmiący jakoś znajomo, który powiedział:

- Nareszcie jedziemy do domu.

Do domu? O co w tym wszystkim chodzi?

A teraz związaną wieziono ją gdzieś w furgonetce. Było jej zimno, czuła się poobijana od tej jazdy po nierównej drodze. Bolały ją skrępowane nadgarstki i kostki nóg.

Pomyślała o swojej córce. Cassie... Gdzie, na litość boską, była Cassie? Zadrzała na myśl, że ten szaleniec ją porwał. Nie chciała myśleć o tym, że jej córka może już nie żyć. Ten potwór miał dość czasu, żeby ją zabić.

Modliła się w duchu, żeby mogła znaleźć swoją córkę i ją uratować.

Usłyszała, że silnik wyje, a koła buksują, jakby samochód jechał ostro pod górę.

Nagle silnik zgasł, a ona sprężyła się w sobie. Dojechali na miejsce.

Musiała się jakoś uwolnić. Kiedy ten drań otworzy klapę, zaatakuję go całą siłą, kopnie go związanymi nogami w twarz.

A co potem? Nadal będzie związana. Nie... Musi poczekać, aż on spróbuje ją gdzieś przenieść. Nie może nic zrobić, póki jest przywiązana do tej furgonetki.

Ale on znów porazi ją paralizatorem.

Trzeba udawać nieprzytomną. Przecież jest aktorką! Musi przygotować się na występ swojego życia.

Zebrała całą swoją odwagę, modłać się w duchu i wpatrując w ciemność, gdzie musiała się znajdować klapa furgonetki. Ale zamiast odgłosu otwieranej klapy, dobiegł ją brzęk łańcuchów, gdzieś blisko, z przodu furgonetki, a potem silnik zawył. Furgonetka drgnęła, zatrzęsła się, a potem

zaczęła posuwać się pod jakimś nieprawdopodobnym kątem, wspinając się na jakieś niesamowicie strome wzniesienie.

Jenna osunęłaby się na klapę furgonetki, gdyby nie została przywiązana do karoserii. Co to takiego? W głowie roilo się od sprzecznych myśli, dopóki nie zrozumiała, że furgonetka jest holowana pod górę po bardzo stromym zboczu.

Zabierał ją do odległego od świata miejsca. Ukrytego w górach. Z dala od dróg.

Wszelka nadzieja na uwolnienie się opuściła ją.

Policja nie miała pojęcia, gdzie jest.

W tej śnieżycy nigdy jej nie znajdą.

Miał ją!

Zdobył swoją Jennę.

Podśpiewywał pod nosem piosenkę z *Odkupienia*. Wpadająca w ucho, wręcz niesamowita melodia rozbrzmiewała mu w myślach niczym jakiś hymn. Krew kipiała mu w żyłach, pożądanie zmieniało się w gorączkę. Widzieć ją z tak bliska. Dotykać jej... Ach... Wszystko dobiega końca. Rozkoszował się zimnem, kiedy wiatr i śnieg hulały wśród drzew. Obserwował, jak jego furgonetka przez przecinkę wśród drzew wjeżdża na górę. Zachował ten wyciąg wyłącznie w tym celu, żeby móc ukryć wóz, i teraz, w bezustannie padającym śniegu, który całował jego skórę i zacierał ślady, wiedział, że wszystko, na co miał nadzieję, wszystko, co sobie zaplanował, właśnie miało wydać owoce.

Tak długo czekał na ten moment. Wypatrzył tę posiadłość wówczas, kiedy się dowiedział, że Jenna Hughes szuka domu w tej części stanu Oregon, w rejonie, który znał, w tej części kraju, gdzie mieszkała jego własna, żalosna matka.

Uśmiechnął się z goryczą na myśl o tej suce, która go urodziła, i o ojcu, którego nie znał, podejrzewał zresztą, że ona też nie wiedziała, kto nim był. Pieprzona dziwka! Ile razy wyrzucała go na dwór, kiedy sama, w ciepłym domu, zabawiała swoich gości? Czyjego własny ojciec był taki jak ci, których widywał przez szybę? Jakiś grajek z przylizanymi włosami, okrutnym uśmiechem i płonącymi oczami, bo uwagę takich mężczyzn przyciągała i takich sprowadzała do domu? Ile to nocy spędził wyrzucony z domu, gdy ona się zabawiała?

Zimna, zimna matka.

Mieszkająca niedaleko.

Nawet nie rozpoznała swojego dziecka. Widywał ją na ulicy, a ona nawet nie zatrzymała na nim wzroku. Suka o lodowatym sercu.

Co za ironia losu, że Jenna zamieszkała właśnie w tej okolicy. Jakby jakieś przeznaczenie ściągnęło ją do kotliny rzeki Kolumbii i jej mroźnych zim.

Wszystko ułożyło się idealnie. Bez najmniejszych problemów znalazł w pobliżu lokum, niewielki ośrodek narciarski, który został zamknięty wiele lat temu, kiedy jego właściciel zachorował. Po jego śmierci spadkobiercy chcieli jak najszybciej pozbyć się tego, co uznali za kamień u nogi.

Nietrudno było przerobić ośrodek na prywatną kwaterę. Sam wykonał potrzebne prace, a latem, kiedy drogi były przejezdne, sprowadzał na górę wszelkie materiały budowlane i zapasy. Poza tym, oczywiście, istniał czarny rynek, który zaopatrywał go w rzeczy niezbędne do pracy artystycznej, takie jak alginian, leki, strzykawki, miniaturowe kamery, wszystko, czego potrzebował. Odpowiedni człowiek z Portland dostarczył mu to, nie zadając żadnych pytań.

Wyciąg zatrzymał się, a jego furgonetka znalazła się teraz sześć metrów ponad drogą, ukryta między drzewami. Inaczej można się tam było dostać tylko od przeciwnego zbrocza góry, w normalnych warunkach dojazd tam zajmował czterdzieści minut, a w czasie śnieżycy tak gwałtownej jak obecna parę godzin, jeśli nie dłużej.

Nie obawiał się, że ktokolwiek go znajdzie.

Nikt nie wiedział, gdzie jest.

I nikt się nigdy nie dowie.

Carter był pewien, że odpowiedź ma przed oczami. Rinda i Allie tuliły się do siebie w gabinecie, funkcjonariusze z policji stanowej czekali na ludzi z laboratorium kryminalistycznego, a on studiował wydruki z nazwiskami osób, które odwiedzały stronę internetową Jenny, strony jej fanów, osób, które wypożyczały albo kupowały jej filmy, tych, które się z nią kontaktowały, w domu i w teatrze, ludzi, którzy mieli domy w promieniu trzydziestu kilometrów... Myślał szybko, ale czas równie szybko uciekał. Merline Jacobosky i jej trzech pomocników ze stanowego laboratorium kryminalistycznego przyjechali po tym, jak Shane dwa razy przeszukał już stodołę i leśną drogę, żeby sprawdzić, czy na pewno w żadnym z tych miejsc nie ma Jenny i Cassie. Na obu miejscach zbrodni stał na posterunku funkcjonariusz.

Carter rozmawiał przez telefon z policją stanową, prosząc ich, żeby się skontaktowali z firmą telekomunikacyjną, z której usług korzystała Jenna i dziewczynki. Liczył na to, że mają nadal przy sobie komórki i że system

GPS pozwoli je namierzyć. Poprosił również, żeby policjanci sprawdzili Harrisona Brennana, Trávisa Settlera, Hansa Dvoraka i Rona Fallettiego, czyli dwóch mężczyzn, z którymi się umawiała, zarządcę jej rancza i jej trenera, bo wszyscy oni mogli dobrze znać rozkład jej zajęć. Wykluczył Wesa Alle- na, który według raportu jednego z funkcjonariuszy przez cały ten czas siedział na swoim ulubionym stołku w Lucky Seven.

A czas uciekał.

- Nie dostałabym się tu tak szybko - powiedziała Carterowi Jacobosky - ale pracowaliśmy na drugim brzegu rzeki Hood. Wygląda na to, że nie wró- cimy dzisiaj do Portland. Droga jest nieprzejezdna.

- Chyba dopisało nam szczęście.

- Bardziej bym się cieszyła, gdybyśmy siedzieli teraz przy kominku w schronisku narciarskim, po paru zjazdach, i pili grzane wino albo piwo. Ale oczywiście jeszcze gorzej byłoby powiewać się po obcym mieście, w którym nie ma prądu i trudno jest o miejsce w hotelu - powiedziała sucho Jacobosky. - No więc, gdzie są zwłoki?

- W stodole. - Carter opisał jej sytuację i zaprowadził całą grupę na miej- sce zbrodni.

- O Jezu - szepnęła Merline, kiedy oświetliła latarką kałużę krwi, ślady nóg i psich łap na podłodze z wysłużonych desek, a potem spojrzała na to, co zostało z Turnaquista. - Chyba morderca czekał tu na niego. Był przygoto- wany. Miał broń. Prawdopodobnie poderznął mu gardło, zarzucił na szyję pętlę, przerzucił linę przez belkę, a potem go podciągnął i wypatroszył. Ofi- cjalną opinię wyda lekarz sądowy. - Przesunęła światłem latarki po torsie Turnaquista. - Czyste cięcie, nożem myśliwskim albo może nawet lancetem chirurgicznym. Sądząc ze sposobu, w jaki wypatroszył zwłoki, robił to już przedtem. - Opuściła latarkę w stronę wnętrzości piętrzących się niedaleko beczki, w której kiedyś przechowywano karmę. - Lepiej to sprzątnijcie, zanim szczury się dobiorą.

- Myśliwy... - odezwał się Carter, patrząc na tę krwawą masę. Jakim trzeba być psychopatą, żeby zrobić coś takiego.

- Albo ktoś, kto ma za sobą służbę w wojsku. Raczej bym to obstawia- ła. - Podniosła wzrok. - No dobra, chłopaki, oznakować taśmą cały ten kram... I nie wpuszczajcie do stodoły nikogo, nawet psa, dopóki nie spraw- dzimy, czy nie ma mikrośladów. - Zrobiła parę notatek w trzymanym w rę- ku notesie.

- Są jeszcze drugie zwłoki, tak? - spytała.

- Tędy.

Z postawionymi kołnierzami kurtek, z rękami w kieszeniach, brnęli przez śnieg wzdłuż ogrodzenia. Przeszli na drugą stronę, minęli zagajnik ośnieżonych drzew i zobaczyli furgonetkę, której drzwi nadal były otwarte, wewnątrz oświetlone słabym światłem, a ostrzegawczy brzęczyk nadal odzywał się cicho i regularnie -jedyny dźwięk poza wszechobecnym wiatrem.

Josh leżał na plecach, głowę miał przechyloną na bok i zwieszoną z fotela. Twarz miał przysypaną śniegiem, który nie zdołał ukryć głębokiej, krwawej rany pod brodą. Niewielka kozia bródka i baczki w kształcie kija hokejowego pokryte były zastygłą krwią, a skóra miała widmowy biały kolor.

Merline westchnęła.

- Taki dzieciak. Czy ktoś zadzwonił do jego rodziców?
- Jeszcze nie - powiedział Carter, obserwując furgonetkę i przesuwając promień światła latarki po ziemi, gdzie widać było ślady szamotaniny, a za lany krwią śnieg był udeptany.
- Kiedy tylko lekarz sądowy skończy pracę, wyślę kogoś do domu Sykesów.
- Paskudne zadanie — szepnęła, a potem schyliła się, żeby spojrzeć na ciało z bliska. Oświetliła latarką gardło Josha. - Rozcięte od ucha do ucha. Chyba nie stawiał oporu. Znow mam wrażenie, że morderca działał z zaskoczenia. Carter popatrzył na zegarek, czując, jak nagli go uciekający czas. Gdzie był ten zbrodniarz, który porwał Jennę? Gdyby pogoda była lepsza, z helikopterów i samolotów obserwowano by okoliczne wzgórza, ale w tych warunkach musieli ograniczyć się do poszukiwań na ziemi, co bardzo utrudniała śnieżycy.

Gdy technicy kryminalistyczni zabrali się do pracy, Shane poszedł w stronę domu. Był zdenerwowany. Szansę Jenny malały z każdą chwilą.

Co on wiedział o tym psychopacie?

Że mieszkał w tej okolicy.

Że miał obsesję na punkcie Jenny Hughes.

Że uważał się za poetę.

Był myśliwym, człowiekiem silnym fizycznie.

Miał jakiś związek z Hollywood i pracował, wykorzystując alginian do robienia odlewów.

Znał teren, znał tryb życia Jenny. Wiedział, że Cassie wymyka się na spotkania ze swoim chłopakiem. Wiedział o leśnej przecince.

Ktoś z okolicy...

Ktoś, kto nazywał się Steven White, tak jak postać z filmu *Odkupienie*.

Kiedy Carter doszedł do domu, był tam już porucznik Sparks i jeszcze jeden funkcjonariusz z policji stanowej. Sparks stał przy kominku w gabinecie i rozmawiał przez telefon. Rinda, Allie i pies siedzieli na kanapie, okryci kocem, a technik z policji stanowej przeszukiwał dom.

- Nie wiem jeszcze nic w sprawie GPS - powiedział Sparks po skończonej rozmowie. - A Brennan, Settler, Falletti i Dvorak mają alibi. Kazałem moim ludziom to sprawdzić.

- Możemy stąd wyjść? - spytała Rinda. - Zajmę się Allie, jednak najpierw muszę znaleźć Scotta.

- Nie ma go? - spytał Carter i przypomniał sobie, że syn Rindy znał na pamięć teksty z ról Jenny, że był na samej górze listy osób kupujących i wypożyczających jej filmy.

- Pojechał do Portland. Carter, nie patrz tak na mnie. Scott nie ma z tym nic wspólnego. Tak samo jak Wes. - Kiedy nie zareagował, odrzuciła koc. - Och, na litość boską, Shane, opanuj się.

- Hej! - zawołał technik ze schodów. - Chodźcie tu!

- Zostań z małą - przykazał Rindzie Carter i razem ze Sparksem wbiegli po schodach, mijając półpiętro z witrażowym oknem. Technik zaprowadził ich do jednego ze schowków Jenny, z opuszczaną drabiną, po której można było się dostać na stryżek. Na strychu, za grubą warstwą izolacji, pokazał im kabel zakończony małą, okrągłą końcówką.

- Kamera - powiedział. - Patrzcie tam. - Pokazał im więcej takich kabli, biegnących wzdłuż belki w suficie, ledwie zauważalnych. - To profesjonalna instalacja. Bardzo nowoczesna. Ten ktoś musiał mieć sporo czasu, żeby ją założyć. Pewnie zrobił to, zanim wprowadziła się pani Hughes... Może był tu dozorca albo został wynajęty, żeby doprowadzić dom do stanu używalności. A więc człowiek, którego szukamy, zna się na profesjonalnej elektronice, miał dostęp do domu i *założył* tu te swoje zabawki.

Shane'owi przyszedł na myśl Scott Dalinsky. Tak, miał on w tej dziedzinie pewną wiedzę. A może Wes Allen? Albo ktoś inny? Przyszedł mu na myśl Seth Whitaker. Ale on chyba nie pochodził stąd?

Wyjął z kieszeni komórkę i zadzwonił do B.J.

- Wyślij kogoś do ratusza, niech się dowie, kto remontował dom Jenny Hughes i gdzie mieszka Seth Whitaker...

- To akurat wiem. Sprawdziłam - powiedziała B.J. - Kupił nieruchomość Farrisa, mniej więcej dwa i pół roku temu. Zanim Jenna Hughes pojawiła się tutaj.

- Ale mogła już przedtem rozglądać się za jakąś posiadłością do kupienia. Gdzie jest ten dom Whitakera?

- Pamiętasz ten projekt budowy ośrodka narciarskiego, z którego zrezygnowano? Właśnie tam.

Carter poczuł przeblysł nagłego olśnienia, który towarzyszy znalezieniu rozwiązania jakiejś szczególnie trudnej łamigłówki.

Porzucony ośrodek narciarski górował nad ranczem Jenny. Położony był wysoko nad urwiskiem, z którego wodospad Pious Falls spadał nieujarzmioną kaskadą. Cały teren był ukryty głęboko w lesie. Jakiś przedsiębiorca budowlany z Arizony wpadł na pomysł, żeby zbudować tam ośrodek narciarski, co większość miejscowych uznała za idiotyzm. Nie było jak się tam dostać, a zimą od strony kotliny wiały silne wiatry. Cały pomysł spalił na panewce. Człowiek, który wymyślił ten szalony plan, umarł zaraz po tym, jak wstępna faza budowy utknęła z powodu biurokracji i trudności finansowych. Jego spadkobiercy przez kilka lat usiłowali pozbyć się tego terenu.

I tu pojawił się Seth Whitaker. Samotnik. Złota rączka. Elektryk.

Czy kiedyś pracował w Los Angeles? Czy miał j jakiś związek z Jenną i j jej filmami?

- Uważasz, że Whitaker jest w to zamieszany? - spytała BJ.

- Moim zdaniem tak. Sprawdź jego alibi na te wieczory, kiedy porwano Sonję Hatchell, Roxie Olmstead i Lynnettę Swaggert, potem zobacz, czy jeździł do Medford w zeszłym roku, mniej więcej wtedy, kiedy Mavis Gette jechała stopem do Oregonu. Powinny być jakieś rachunki z kart kredytowych, wskazujące na to, że przebywał w południowym Oregonie albo w północnej Kalifornii. Muszę wiedzieć, czy ten facet zmienił nazwisko, czy kiedykolwiek mieszkał w okolicy Los Angeles, czy miał związki z Hazzard Brothers albo jakąkolwiek inną firmą, która pracowała przy filmach Jenny Hughes. Dowiedz się o nim wszystkiego.

- Trudna sprawa.

- I potrzebne mi to natychmiast.

- Zrobię, co się da, ale pamiętaj, myślałeś też, że nasz morderca to Wes Allen.

- Pobożne życzenia — zażartował.

Nie roześmiała się.

- Wyślij też jakąś jednostkę do tego domu Whitakera na górze.

- Nie mamy żadnej wolnej jednostki, ani jednego człowieka - powiedziała. - Ale poczekaj sekundę... Właśnie dostałam informację, że wszystkie drogi prowadzące na górę do Wildcat Mountain, zostały zamknięte. A heli kopter nie poleci w taką zawieruchę.

To górskie schronienie było matecznikiem mordercy. Carter czuł to w kościach.

- Zadzwoń do nadleśnictwa. Niech nam pożyczą sprzęt. Znajdź jakiś sposób, żeby tam się dostać.

- Carter, a nie chcesz gwiazdki z nieba?

- Bierz się do roboty - rzucił niecierpliwie.

Rozłączył się i zwrócił się do Sparksa.

- To Seth Whitaker. To jego szukamy.

- Jesteś pewien? - zapytał Sparks ze sceptyczną miną.

- Jest elektrykiem. Mieszka stosunkowo blisko. Pojawił się tu zaledwie dwa czy trzy lata temu.

Sparks pokręcił głową.

- To mocno naciągane.

- Warto go odwiedzić. - Carter skierował się do gabinetu. Córka Jenny siedziała w kącie kanapy, na kolanach miała kieszonkową grę wideo, ale patrzyła przez okno. - Hej, Allie - powiedział Carter, postanawiając niczym jej nie sugerować. - Czy ten człowiek, który zabrał twoją mamę, był takiej budowy jak ktoś, kogo znasz, kto bywał u was w domu?

- Może. - Nadal była śmiertelnie przerażona i patrzyła na Shane'a nieufnymi oczami.

- Jak kto?

- Jak ochroniarz. Taki duży jak on.

- Wysoki i muskularny?

- Tak... - Odwróciła głowę.

- Ale go nie rozpoznałaś?

Skrzywiła się. Z kącików oczu popłynęły jej łzy.

- Daj jej spokój - powiedziała Rinda. - Carter, wystarczy

Miała rację, nie należy jej dręczyć. Poszedł do kuchni.

- Możesz z nimi zostać? - spytał Sparksa. - Dopóki nie wrócę.

- Muszę tu czekać na patologa sądowego i prokuratora okręgowego. Tak długo, jak będzie tu pracować ekipa kryminalistyczna. - Komórka się rozdzwoniła i Sparks odebrał połączenie. Nie rozmawiał długo. Ciemne oczy zwięzły mu się, a potem zatrzasnął klapkę telefonu. - System GPS pozwolił namierzyć komórki, łącznie z telefonem Turnaquista. Wygląda na to, że zostały porzucone na wschód stąd, nad rzeką Wildcat.

- Po drodze do domu Whitakera.

- Po drodze do wielu domów - pokiwał głową Larry. - Uważasz, że to nasz poszukiwany?

- Mogę się założyć. Zadzwoń do federalnych. Niech wyślą posiłki.

- Jedziesz tam?
 - Nie mam innego wyjścia - powiedział Carter i już był za drzwiami, na mrozie. - Załatw mi nakaz przeszukania!
 - Na dzisiaj?
 - Tak. Zadzwoń do Amandy Pratt z biura prokuratora okręgowego. Będzie uszczęśliwiona, że pojawiła się szansa, żeby rozgryźć tę sprawę. Wierz mi, że znajdzie jakiegoś sędziego, nawet jeśli będzie musiała iść z nim do łóżka. Ale ja muszę dostać się na teren Setha Whitakera.
 - Zobaczę, co da się zrobić. Ale jak zamierzasz tam się dostać? - zapytał Sparks.
 - W jedyny możliwy sposób - odparł Carter i otworzył drzwi swojego blazera.
- Będzie musiał wspiąć się na ten cholerny wodospad.

Rozdział 46

Zimno pieściło go, kiedy wysiadł z furgonetki. Niczym kochanka owijało się wokół niego, wstrząsając lodowatymi dreszczami. Otworzył klapę furgonetki. Jenna leżała tak, jak ją zostawił, nadal nieprzytomna, chociaż powinna się już zacząć budzić.

Ostrożnie, nieufnie, bo przecież mogła tylko udawać omdlenie, dotknął jej nogi. Nie drgnęła. Potem uniosł pięść, jakby zamierzał ją uderzyć, wymierzając cios w twarz i zatrzymując rękę w ostatniej chwili. Nawet nie mrugnęła powieką.

Pewien, że nadal jest nieprzytomna, odwiązał sznur, który utrzymywał ją w jednej pozycji, przewleczony przez otwory plandeki.

Czarne włosy opadały jej na twarz, czarne jak smoła rzęsy ocieniały policzki. Wyobrażał sobie, jak będzie wyglądała jako Annę Parks... No cóż, wiedział przecież. Obejrzał *Odkupienie* tyle razy, że mógł z pamięci wyrecytować dialogi, znał każdy niuans jej gestów, przewidywał każde drgnienie emocji.

Ale zanim stworzy Annę, miał do wykonania jeszcze jeden manekin, który będzie wyglądał jak żywy, a to dzięki kobiecie, która okazała się tak podobna do Jenny, że aż mu dech w piersiach zaparło. Cassie Kramer, pierworodna córka Jenny, będzie świetnym modelem dla Katriny z *Utraconej niewinności*. Rysy twarzy miała takie same jak jej matka, tylko włosy muszą być ciemniejsze.

A kiedy już skończy z Cassie, stworzy swoją replikę Annę Parks, wykorzystując jako model do odlewu samą Jennę. Zostanie unieśmiertelniona w swojej najpiękniejszej roli.

Jego sanktuarium stanie się wtedy niemal kompletne - zabraknie tylko Rebecki Lange z *Białej ciemności*. Tę rolę przeznaczył dla siostry Jenny, Jill, ale parę lat temu popełnił błąd i niechcący spowodował wypadek. Sam pomyślał wywołania lawiny, kiedy śnieg i lód zsuwały się ze zbocza grzmiącą, skłębioną kaskadą nie był wcale taki zły. Ale nie zamierzał zabijać kobiety, która idealnie nadawałaby się na replikę Rebecki Lange z *Białej ciemności*. W tamtym czasie nie mógł nawet marzyć o stworzeniu takiego sanktuarium. Dopiero kiedy został ranny w następstwie tego wypadku i dostał odszkodowanie od ubezpieczyciela, po raz pierwszy pomyślał o złożeniu jej tego niezwykle hołdu. Film nie został ukończony, a małżeństwo Jenny rozpadło się. Usunęła się z blasku reflektorów Hollywood i zaczęła mówić o wyjeździe z Los Angeles. Kiedy się dowiedział, że chce się przeprowadzić na północ, uznał to za dobry omen. Niezwykle zjednoczenie ciał i umysłów.

A teraz należała do niego.

Tylko do niego.

Ale czas mu się kończył. Sam to wyczuwał. Nawet nieco zmienił swoje plany, z czego wcale nie był zadowolony. Nie miał już czasu zeszlifować zębów Cassie Kramer...

Niedobrze. Zły znak. Wszystko powinno iść zgodnie z planem.

Zdjął ją delikatnie z furgonetki i zaniósł, niczym nowożeniec pannę młodą przez próg, do skutera śnieżnego, za którym umocowany był tobogan, jakiego używa się do transportowania rannych ze stoków narciarskich.

Wiatr szepczący wśród drzew, obiecał jej:

- To już niedługo.

-

Jenna czekała. Z najwyższym trudem powstrzymała się przed rzuceniem się do gardła temu szaleńcowi, ale wiedziała, że przegra, jeśli teraz to uczyni. I nie zdoła się dowiedzieć, gdzie jest Cassie.

Powtarzała sobie, że musi być cierpliwa, kiedy czuła, że przywiązuje jądo tego, w czym leżała, a potem zapuszcza silnik i rusza. Nie śmiała zaryzykować otwarcia choćby jednego oka, dopóki nie poczuła gwałtownego szarpnięcia; zaczęła sunąć po śniegu. Owiewało ją zimne powietrze i dopiero wtedy odważyła się spojrzeć na pokryte śniegiem drzewa i zarośla, przelatujące obok, rozmazane w pędzie. Była przywiązana do jakichś sań, które holował za skuterem, rozpryskującym śnieg.

Zacisnęła zęby. Musi wytrzymać wszystko, co dla niej zaplanował.

Żeby tylko zawiózł ją do Cassie, a wtedy mu pokaże.

Sprzęt był stary. Lin, raków i czekana nie używał od czasu wypadku, w którym zginął David Landis: Carter nie zamierzał już używać tego sprzętu do wspinaczki lodowej, ale nie wiadomo po co przechowywał go w garażu.

Teraz wrzucił wszystko na tylne siedzenie blazera i pojechał leśną drogą w stronę wodospadu. Nie zawahał się ani przez chwilę.

BJ miała rację — droga w, stronę domu Whitakera została zamknięta, a ta, którą dostawały się na górę służby leśne, znajdowała się daleko stąd. Trasa w górę wodospadu była śmiertelnie niebezpieczna, ale stanowiła najszybszy sposób dotarcia do celu.

Podjechał jak najdalej się dało nieużywaną leśną przecinką. Koła blazera buksowały w śniegu, ale napęd na cztery koła dobrze się sprawdzał. Jechał starą drogą tak szybko, jak tylko mógł. Mijał drzewa, które wierzchołkami celowały w chmurne niebo, i strome skalne ściany tuż przy wąskiej drodze.

Nie odrywał oczu od przedniej szyby, usiłując wypatrzeć miejsca, w których droga była bardziej pewna, omijając zasypane śniegiem doły, które mogły pochłonąć blazera. Bał się chwili, w której koła ześlizną się z drogi, a samochód runie w mrok, ale jechał dalej. W górę. Blazer z trudem pokonywał wzniesienie, aż droga się skończyła.

Carter zaciągnął hamulec, złapał sprzęt z tylnego siedzenia samochodu i zaczął brnąć przez zaspy. Droga była trudna, cały czas w górę po głębokim śniegu, wąskim szlakiem, który wiódł zakosami do wodospadu i tam się kończył.

W ciemności Carter oświetlił latarką srebrzystą płachtę grubego lodu. I natychmiast zobaczył Davida Landisa, który szykował się do wspinaczki w tym samym miejscu, usłyszał jego przechwałki, które brzmiały mu w głowie echem przez tak wiele lat.

- Nie mów mi, że się boisz.

Cholera, jasne, że się boję.

- Taki z ciebie tchórz? Taki wielki cykor?

Carterowi ścisnął się żołądek na wspomnienie tego upadku... Tego, że nie mógł uratować Davida. I teraz, kiedy wiatr szeptał wśród drzew, wydawało mu się, że słyszy echo uszczypliwych uwag Davida.

- Nie mów mi, że się boisz.

Carter zacisnął zęby.

Przymocował raki i ruszył, nie patrząc w dół.

Albo uratuje Jenę, albo zginie podczas tej próby.

Zwolnili, a potem silnik skutera ucichł.

Jenna postanowiła nadal udawać omdlenie, nie przerywać tej gry. Do tej pory szło dobrze.

Ale teraz, na odludziu, pozostała sam na sam z tym psychopata.

Poczuła, że ją znów podnosi. Z trudem powstrzymała odruch wstrętu, kiedy brał ją w ramiona. Opuściła głowę na jego ramię. Wiatr szarpnął jej włosy.

Przystanął. Zamarł w bezruchu. Jakby czuł, że coś jest nie w porządku.

Oddychaj normalnie. Bądź bezwładna, jak szmaciana laleczką. Nie drzyj, nie patrz, nawet nie porusz brwią, mówiła sobie w duchu.

- Jezus, ależ ty jesteś piękna - szepnął, a ona pomyślała, że chyba zna ten głos. - Czekałem tak długo. - Przestąpił z nogi na nogę, uniósł ją wyżej i po czuła jego gorący oddech na twarzy.

Nie ruszaj się, Jenna. Cokolwiek on zrobi, nie reaguj!

- Jesteś moją kobietą... moją kobietą...

Pomyślała, że zrobi jej się niedobrze.

Poczuła, że napastnik drży z pożądania. Pod dotykiem jego ciepłej skóry jej własna pokryją się gęsią skórka. Nadal nie reagowała, nawet wtedy, kiedy jego usta dotknęły Tęcza jej warg i potem, kiedy napał na nie językiem.

Miała odruch, żeby zacisnąć zęby, ale przypomniała sobie te wszystkie sceny miłosne, w których aktor, z którym według scenariusza miał się kochać, bywał obrzydliwym, wstrętnym typem.

Poczuła, że jej porywacz zadrzał z pożądania i z najwyższym trudem powstrzymała odruch, który kazał jej odsunąć się od niego.

Zaspokojony znów ruszył przed siebie. Usłyszała, jak otworzyły się jakieś drzwi, a potem zatrzasnęły z ciężkim, metalicznym odgłosem. Jenna powtarzała sobie, że musi to wszystko znieść... Dopóki nie usłyszała głosu Cas-sie. Ulga przemieszała się z przerażeniem.

- Hej! Ty! Wypuść mnie stąd! Słyszysz? Powiedziałam... Och... Nie. Porwałś moją matkę? Ty bydlaku, zostaw ją natychmiast!

Czemu Cassie niepotrzebnie go drażni?

- Co ty z nią wyprawiasz, do cholery? Zostaw ją w spokoju!

Napastnik zeszywniał.

- Zamknij się!

- Puść ją. Nie ujdzie ci na sucho to, co robisz.

- Och, doprawdy? - odezwał się kpiąco, a Jennie zamarło serce.

Opuścił Jennę na zimną, gładką podłogę, chyba cementową. Było tu okropnie zimno. Usłyszała, że jego kroki się oddalają, i zaryzykowała zerknięcie jednym okiem.

Przekonała się, że jest w jakimś ogromnym pomieszczeniu. Zostawił ją na środku podestu, na którym pozowały jakieś aktorki. Nie, nie aktorki, to

wszystko były postacie z jej własnych filmów. Ubrania, biżuteria, parasolka zawieszona na ramieniu Marnie Sylvane, śmieszne okulary na nosie Zoey Tram-mel, zaginiona bransoletka ze sztucznych pereł na nadgarstku Paris Knowlton. Wszystko to były rekwizyty z jej filmów. Nawet te dwa manekiny bez twarzy dało się rozpoznać po perukach na głowach. Długie, kręcone, czarne loki Katriny spływały na przejrzystą, białą koszulkę koronkową, idealną replikę kostiumu, który Jenna nosiła w tej roli. Drugi manekin bez twarzy już miał na szyi nabijaną ćwiekami obrożę, a w dłoni rzeźniczy nóż. Bez wątpienia miała tu być Annę Parks.

Co za obłąkany pomysł...

Co to miało być, jakieś sanktuarium? Gabinet figur woskowych z nią, jako jedyną postacią? Ogarnęła ją panika. Jenna zmuszała się, żeby nie mrugać, nie zadrzeć, kiedy przyglądała się tej scenie. Obok stał fotel dentystyczny, nad fotelem wisiała wiertarka, a na podłokietniku i zagłówku fotela widniały ciemne plamy... Krew? Kim był ten nienormalny typ?

Wysoko nad głową widziała własne fotosy w różnych rolach albo zdjęcia powycinane z czasopism, powiększone i przyklejone do sufitu.

Rzuciła kolejne szybkie spojrzenie i dostrzegła pokój komputerowy, oświetlony rzędem monitorów. Dobiegał stamtąd szum generatora wytwarzającego prąd.

Ale gdzie była Cassie?

Zaryzykowała rzut okiem do tyłu i z trudem powstrzymała krzyk. W odległym kącie pomieszczenia stało urządzenie, którego przeznaczenia nie mogła zrozumieć. Nad wielkim szklanym zbiornikiem wisiała jej córka, naga, z ogoloną głową, przywiązana do czegoś w rodzaju belki, z dłońmi związanymi nad głową, ze stopami opartymi na wąskim podnóżku.

Jenna nie miała już żadnych wątpiwości, że ten psychopata zmierza je obie zabić.

Krok po kroku, z trudem, Shane piął się wzwyż, wbijając czekan, lgnąc do lodu, czując, jak szarpie nim wiatr. Z nieba sypał śnieg i nadal było ciemno - nieprędko jeszcze wszędzie słońce.

Mimo ocieplanej odzieży szcześniekał zębami z zimna, a ciało pokryło się potem z wysiłku. Szedł naprzód - powoli, pewnie, spokojnie, napędzany własnymi myślami.

Jenna mogła już nie żyć.

Kolejna ukochana osoba, ofiara zimy i szaleńca.

Cassie też pewnie została już zabita.

- Ty cholerny bydlaku - jęknął, robiąc zamach czekaniem, wykuwając kolejny uchwyt w lodzie wodospadu. Zostało mu już mniej niż sześć metrów wspinaczki, sześć najgorszych metrów.

Kolejny podmuch wiatru szarpnął go za plecy, kpiąc z jego żalosnych wysiłków. Sięgnął do uchwytu. Palce omsknęły się, stopy zaczęły ześlizgiwać ze stopnia. Osunął się po lodowej ścianie.

- Cholera!

Lina utrzymała go.

Przestał się zsuwać.

Uratowany od upadku z wysokości niemal stu metrów przez moment myślał o Davidzie. Serce waliło mu szaleńczo, kiedy znów przywarł do płachty lodu, która stała się jego drabiną.

Zgrzytając zębami, napiął protestujące mięśnie i zwrócony twarzą do ściany sięgnął w górę, tym razem natrafiając na jakiś uchwyt.

- Idę tam, ty sukinsynu - powiedział przez zamarznąjącą szczecinę wąsów. - Już idę.

Obudziłaś się, Jenno? - zapytał, a jego głos zdawał się dochodzić z zewsząd. W mroku kryły się jakieś głośniki. - Oto mój teatr, zbudowany dla ciebie. Obudź się i spójrz, co dla ciebie zrobiłem, jaki hołd ci składam.

- Hołd? - krzyknęła Cassie.

Jenna żałowała, że nie może uciszyć córki. Nie powinna wyprowadzać go z równowagi.

- Wiem, że jesteś przytomna. Że udajesz. Nie trzeba. Jesteś już ze mną, w domu. Wiesz, kim jestem, prawda?

- A kogo to obchodzi, ty durny palancie! - zawołała Cassie.

Jenna obserwowała go przez zaslonę rzęs. Powoli zdjął buty. I natychmiast jakimś cudem stracił kilka centymetrów wzrostu. Potem ściągnął ubranie, ocieplaną kurtkę - taką, jakie noszą myśliwi, żeby nie było ich widać w zaroślach - spodnie do kompletu, pod którymi miał ocieplaną spodnią bieliznę i koszulę. Zdjął kominiarkę.

Seth Whitaker.

Człowiek, któremu powierzyła system alarmowy we własnym domu. Ileż to razy „sprawdzał kable”? Ależ była głupia.

- Ty kretynie! - wrzasnęła Cassie.

Podniósł na nią wzrok.

- Nawet nie wiesz, kim jestem naprawdę - powiedział. Głos mu się zmienił, miał nieco wyższy tembr. Zdjął perukę i okazało się, że jest niemal łysy, głowę pokrywał mu jasny puch. Potem wyjął soczewki kontaktowe i

ukazały się ciemniejsze tęczęwki. Oczy, które już kiedyś widziała.

- Kim jesteś? - spytała Cassie, kiedy wyjmował protezę z ust i wkładki zmieniające kształt szczęki.

Jenna widział go już kiedyś. Była tego pewna. Kiedy? W Kalifornii? Obrócił się twarzą w jej stronę i wtedy go rozpoznała. Jeden z techników zatrudnionych na planie *Białej ciemności*, ranny w tamtym wypadku. Facet o takim samym nazwisku, co jeden z bohaterów filmu. Steven White - tak, to był on.

Zdjął ocieplaną bieliznę, pod którą miał jeszcze kombinezon. Kiedy się rozebrał, okazało się, że jest szczupły, umięśniony. Musiał uprawiać specjalny rodzaj ćwiczeń fizycznych.

Seth Whitaker. Steven White. Jak naprawdę się nazywał?

Nagi, popatrzył na Cassie.

- Czas już, Katrino.

- Do mnie mówisz? Nie nazywam się Katrina. Puść mnie.

- Zawsze niepokorna - powiedział i przeszedł do pokoju komputerowego, gdzie wpisał jakiś kod na klawiaturze. Natychmiast pomieszczenie zapełniła muzyka, muzyka z *Utraconej niewinności*, ta sama muzyka, którą Jenna słyszała w czasie głuchego telefonu.

Kiedy był w pokoju komputerowym, Jenna gorączkowo szukała jakiejś możliwości ucieczki. Musiała uwolnić się z więzów, ale ręce miała skrępowane tak mocno, że nie mogła się ruszać.

Belka, do której przywiązano Cassie, z głośnym szczękiem zaczęła się opuszczać. Co było w tym zbiorniku z przejrzystym płynem? Wyglądało jak woda, ale mogło być czymkolwiek innym, potwornym.

- Hej! Nie! - Cassie wpadła w panikę. - Puść mnie! - wołała łamiącym się głosem. - Nigdy ci nic złego nie zrobiłam. Proszę, nie rób mi tego!

Wrócił z pokoju komputerowego i spojrzał na nią. Nie powiedział ani słowa. Ku przerażeniu Jenny Cassie opuszczała się coraz niżej nad zbiornikiem, podczas gdy ciało tego zbrojeńca reagowało w przeciwnym kierunku — zaczął mu się unosić członek.

Podniecał się, patrząc na Cassie. Odwrócił się plecami do Jenny, która podsuwała się coraz bliżej do manekina przedstawiającego Annę Parks, do noża, który trzymała w ręku. Jeszcze tylko kilkanaście centymetrów, ale czas uciekał, belka, do której przywiązał Cassie, już dotykała powierzchni płynu. Cassie zobaczyła, że Jenna się porusza.

- Mamo, nie!

Obrócił się na pięcie, oczy mu płonęły.

Teraz albo nigdy.

Jenna rzuciła się w stronę manekina, przewróciła go, nóż znalazł się jeszcze dalej od niej. Ramię Anne uderzyło Paris i, niczym kostki domina, wszystkie te dziwne podobizny Jenny przewracały się z hukiem, a po posadzce rozsypała się biżuteria i rekwizyty. Głowa jednego z manekinów wykręciła się pod jakimś nieprawdopodobnym kątem.

- Nie! - zawołał, obracając się i przez zmrużone oczy patrząc na stos po przewracanych kukieł. Członek mu opadł. - Zostaw je w spokoju! - Zaczął zbliżać się do Jenny i stosu manekinów. - Paris! Marnie! Faye! - krzyknął z twarzą wykrzywioną bólem, a potem z furią spojrzał na Jennę. - Popatrz, co zrobiłaś! To było twoje sanktuarium, ty niewdzięczna suko!

Jenna pełzła jak tylko mogła najszybciej, nie tracąc kontaktu wzrokowego z tym szaleńcem, widząc kątem oka, że nóż o długim ostrzu leży już tylko metr od niej.

Ruszył szybkim krokiem, zapominając chyba o Cassie, która zapiszczała, kiedy jej stopy dotknęły powierzchni płynu w zbiorniku.

- Puść ją! - zażądała Jenna. - To mnie chcesz. Więc ją puść.

- Potrzebuję was obydwu.

Cassie centymetr po centymetrze zanurzała się. Dygotała, usiłując wyrwać się z więzów.

- Ratunku! - krzyknęła.

- Proszę cię, Seth - powiedziała Jerma. - Puść ją!

- Nie nazywam się Seth.

- No to Steven. Proszę! Zrobię wszystko, co chcesz. Tylko wypuść moją córkę.

O Boże, było tak zimno, otaczająca ją woda wydawała się wręcz gęsta, jak żelatyna, tak była lodowata. Cassie usiłowała wspiąć się, podsunąć wyżej na belce, do której ją przywiązano, ale bezskutecznie. Opuszczała się coraz niżej i niżej, patrząc to na zamarzający płyn, to na matkę i tego potwora. Lodowata woda -jeśli to była tylko woda - sięgała kolan, ud...

Carter podciągnął się na krawędź urwiska i przeturlał w śnieżną zaspę.

Sapał głośno, a kryształki lodu kasały jego odsłoniętą twarz. Zlany potem i rozdygotany, podniósł się na nogi, zdjął raki i zarzucił plecak na ramię.

Między drzewami dostrzegł ośrodek, masywną budowlę całkowicie zasypaną śniegiem. Pozostało tylko parę niewielkich okienek, inne zabito deskami.

Zbliżał się ostrożnie, czując dziwny strach. Nie było tu żadnego samochodu, ale tuż przy drzwiach stał skuter śnieżny z doczepionym toboganem.

Pomyślał ponuro, że właśnie w ten sposób Whitaker transportował tu swoje ofiary. Przez pokryte lodem okna zobaczył, że w środku pali się światło. Sięgnął do kieszeni, znalazł komórkę i włączył ją. Nic. Brak zasięgu.

Z plecaka wyciągnął walkie-talkie i nacisnął klawisz. Rozległ się trzask.

- Tu Carter, jestem pod ośrodkiem. Przyślijcie wsparcie.

Nie czekał na odpowiedź, nie mógł tracić czasu. Wcisnął walkie-talkie z powrotem do plecaka, wyciągnął rewolwer i trzymał go w pogotowiu.

Palce drugiej dłoni zacisnął na czekanie.

Lasem zatrzęsł krzyk, jęk przerażenia, który wyrwał się z wnętrza budowli.

Carter nie czekał dłużej.

Kopniakiem otworzył drzwi, pochylony wpadł do środka i z bronią w ręku krzyknął:

- Nie ruszać się! Policja!

Whitaker, słysząc krzyk, odwrócił się. W drzwiach stał szeryf z bronią w ręku i mierzył do niego.

Jenna odetchnęła z ulgą. Ale Whitaker nie zamierzał się poddawać teraz, kiedy był tak blisko celu.

Rzucił się w bok i złapał Jennę, trzymając ją przed sobą jak tarczę. Wykręcił jej głowę, aż krzyknęła z bólu.

- Zabije ją, Carter - powiedział spokojnie. - A wtedy możesz sobie strzelać, ile chcesz, możesz mnie zabić. To nie ma znaczenia, będę razem z nią.

- Ratunku! - zawołała Cassie i Whitaker spojrzał w jej stronę. Była prawie zanurzona, z trudem walczyła o oddech, lodowata woda spowalniała jej reakcje, postępowała hipotermia.

- Shane, pomóż jej! - krzyknęła Jenna. - Wyłącznik jest w pokoju komputerowym!

Carter mierzył do niego, ale Whitaker się tym nie przejmował. Umrze razem z Jenną, zabierze ją ze sobą i w ten sposób osiągnie swój cel.

- Powiedziałem, puść ją - powtórzył Carter.

- Odwał się - warknął i, patrząc na Cartera, coraz bardziej wykręcał głowę Jenny. Drugą ręką pomacał jej pierś. Boskie uczucie.

Słychać było, że Cassie krztusiła się, tonęła, ale szeryf nic nie mógł na to poradzić.

Jenna szarpnęła się, uderzyła napastnika związanymi dłońmi. Whitaker zobaczył, że Carter przesuwając się w bok, i wzmocnił uścisk, zaczynając skręcać Jennie kark.

Ból był przejmujący, ale Jenna nie dbała o to. Cassie tonęła. Na jej oczach. A nóż leżał tuż obok. Rzuciła się na napastnika całym ciężarem ciała, rękoma drapiąc po betonie, łamiąc paznokcie. Natrafiła na rękojeść noża, uniosła go obiema dłońmi i zaatakowała z półobrotu.

Whitaker zawył.

Rozluźnił na moment uchwyt.

Rozległ się huk wystrzału, echem odbijający się od ścian, i Whitaker puścił ją.

- Ratuj Cassie! - krzyknęła Jenna, usiłując podnieść się na nogi. Carter czekaniem przeciął więzy na nadgarstkach i kostkach Jenny. Rzuciła się pędem do pokoju komputerowego.

Cassie była już całkiem zanurzona i przestała się ruszać.

Carter nie zwlekał. Wymierzył z broni w szklany zbiornik, nacisnął spust.

Szkło posypało się z eksplodującego zbiornika. Potężną, niepowstrzymaną kaskadą woda zalała pomieszczenie.

Cassie rozkaszała się, kiedy Carter, szarpiąc za liny, zdołał podciągnąć belkę. Uwolnił ją, a ona osunęła się na platformę.

- Poszukaj koców! - krzyknął i zaczął robić Cassie sztuczne oddychanie pompując jej powietrze w płuca, a potem uciskając klatkę piersiową. Bez skutku. Spróbował jeszcze raz. I jeszcze raz. Zmuszał Cassie, by walczyła, nie pozwoliła, żeby ten sukinsyn zwyciężył.

Usłyszał, że Jenna wspina się po drabinie na platformę.

- O Boże, czy ona...

Cassie zadygotała, zaczęła krztusić się i kaszleć, a woda popłynęła jej ust i nosa, kiedy obróciła się na bok. Złapała wielki haust powietrza i znów się rozkaszała.

- Och, kochanie! - Jenna uklękła koło niej, owinęła ją kocem, objęła jej głowę. - Och, dziecko, dziecko, dziecko...

Cassie płakała, trzęsła się. Wreszcie dostrzegła Shane'a Cartera stojącego kilka kroków za Jenną. Zorientowała się, że jest naga, przypomniała, co wydarzyło.

- Co za ohyda... — Owinęła się ciasniej kocem.

Carter patrzył w dół, na manekiny przedstawiające Jennę, na wpół zanurzone w lodowatej wodzie, zabarwionej krwią Whitakera. Rekwizyty pływały dokoła dentystycznego fotela. Plastikowe okulary słoneczne unosiły się na powierzchni.

- Sprawdź, czy on naprawdę nie żyje - powiedział Carter, podchodząc do Whitakera, który patrzył w sufit oklejony plakatami, przedstawiającym Jennę. W kącikach jego ust pojawiła się krew, krew wypływała również z rany na plecach.

Carter schylił się i poszukał pulsu na szyi Whitakera.

Nie znalazł go.

Seth Whitaker, czyli Steven White, nie żył.

Żyły za to Jenna i Cassie.

Sprawa mogła się skończyć gorzej.

O wiele gorzej.

Epilog

Myślałem, że już pan zrezygnował z tych gównie wartych spotkań - powiedział doktor Randall dziesięć miesięcy później, kiedy Carter stanął na progu jego gabinetu.

- Bo zrezygnowałem. - Szeryf wszedł do pokoju, w którym wywnętrzał się przez wiele miesięcy. Marszcząc brwi, spojrzał na obitą skórą kozetkę, pastelowe morskie pejzaże na ścianach, biblioteczkę pełną książek o wszelkich patologiach, chorobach umysłowych i zaburzeniach osobowości, jakie istnieją na świecie.

Stojąca w kącie paprotka chwytała ostatnie promienie letniego słońca, wpadające przez okno, zadbana, ze świeżymi liśćmi.

Randall miał minę, jakby cieszyło go, że marnotrawny syn wreszcie zdecydował się na powrót. Obaj stali w pobliżu okna wychodzącego na parking.

- Nie mam w tej chwili czasu na sesję. Właśnie wychodziłem.

- Nic nie szkodzi, nie zajmę panu dużo czasu. Chciałem tylko powiedzieć, że będę na siebie uważał, proszę się o mnie nie martwić. Dotarły do mnie pogłoski, że pisze pan książkę.

- Kto z nas nie *marzy* o czymś takim?

- Ja.

- No cóż, nie wszyscy możemy zostać pisarzami - powiedział Randall.

- Słyszałem też, że jest oparta na motywach prześladowania Jenny Hughes przez Seta Whitakera.

- Jest w niej mowa o człowieku niezrównoważonym, który dostaje obsesji na punkcie byłej gwiazdy kina.

- I spotkała się z przychylną reakcją, nieprawdaż? Zainteresował się nią agent i wydawca, nawet Hollywood zapukało do drzwi...

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Randall zerknął na zegarek. Carter wskazał głową okno, dając znak, żeby psychiatra wyjrzał na parking, gdzie w upalnym słońcu Jenna siedziała za kierownicą dżipa.

- Widzę, że u pana wszystko się ułożyło - stwierdził Randall z lekkim

uśmieszkiem. - Może zima nie jest wcale taką złą porą roku.

- Może. Owszem, wszystko się układa, ale Jenna nadal ma swoje kontakty w Los Angeles, gdzie chodzą słuchy, że jej były mąż będzie reżyserował historię kropka w kropkę podobną do pańskiej.

- Rzeczywiście? - Ich oczy się spotkały. Shane dopiero teraz zauważył w jego wzroku poczucie wyższości, lekceważenie dla osób obdarzonych mniej rozwiniętym intelektem niż Dean M. Randall, lekarz psychiatra. Przy- najmniej facet nie był obłudny i nie usiłował tego ukrywać.

- Chciałbym po prostu, żeby pan wiedział, że podejrzewam pana o nagrywanie wszystkich naszych spotkań.

Randall zmarszczył brwi.

- Ja nagrywałem pańskie sesje?

- Jeśli w pana książce znajdę cokolwiek, najmniejszy ślad tego, co po wierzyłem panu w zaufaniu, wytoczę panu proces.

- Nigdy bym...

- Oczywiście, że nie - powiedział Carter, uśmiechając się swoim najbardziej rozbajającym, szczerym, chłopięcym uśmiechem. - Jednak wolałem pana uprzedzić.

Po tych słowach ruszył do wyjścia. Zszedł po schodach i stanął przed budynkiem. Późne lato zaczynało powoli zmieniać się we wczesną jesień. Na chodniku leżało kilka opadłych liści. Falls Crossing przeżyło najmroźniejszą zimę od prawie stu lat i chociaż zostało po niej trochę blizn, wszystko się jakoś poukładało.

Musiąo trochę potrwać, zanim policja znalazła zwłoki kobiet, porwanych przez Setha Whitakera. Poowijane płachtami, poukrywane na terenie posiadłości, ich zamrożone nagie ciała czekały, aż się ich ostatecznie pozbędzie. Znaleźli Sonję Hatchell, Roxie Olmstead i Lynnette Swaggert. Miały ogolone głowy i spiłowane zęby. Policja odkryła samochód Sonji ukryty w starej szopie, a w jednej z szuflad odciski szczęk, skopiowane z modelu ukradzionego z planu *Białej ciemności*. Właśnie za pomocą tego Seth nadawał wszystkim swoim manekinom olśniewający uśmiech Jenny. Oficerowie śledczy, agenci FBI i dziennikarze mieli swój wielki dzień, badając scenę zbrodni.

Carter został uznany za bohatera, chociaż wcale nie był pewien, czy zasługuje na takie wyróżnienie. Z Jenną prawie się nie rozstawali. Planowali, że razem zamieszkają, może nawet wezmą ślub, ale starali się niczego nie przyspieszać.

Jej dzieci po spędzeniu ostatniego Bożego Narodzenia z ojcem wróciły do Falls Crossing. Allie chodziła za Carterem krok w krok niczym psiak.

Zanim zaczęła się szkoła, zabierał ją i jej przyjaciółkę Dani Settler na przejażdżki, na ryby i leśne włości. Allie szybko doszła do siebie, ale Cassie nadal nie mogła zapomnieć o okropnych przeżyciach, jakich doznała za sprawą Whitakera.

Carter zaciskał szczęki, ile razy myślał o tym bydlaku. Jego zdaniem piekło było dla Setha Whitakera zbyt łagodną karą.

Cassie otrząsnie się z tego, ale mogło to potrwać lata.

Włosy jej odrastały, ale nie była z nich zadowolona. Żeby zaznaczyć swój indywidualizm, ufarbowała krótkie kosmyki na wściekły róż. A potem, za pomocą żelu, zrobiła sterczącego we wszystkie strony jeża.

Mimo próśb Jenny Cassie nadal zadawała się z niewłaściwym towarzystwem, do którego, niestety, zaliczała się córka BJ, Megan. Zrobiła się jednak grzeczniejsza w stosunku do matki, pilniej się uczyła i - aczkolwiek niechętnie - zaakceptowała w końcu związek Jenny i Cartera.

- Powiedziałeś wszystko Randallowi? - spytała Jenna, kiedy Carter wsiadał do samochodu.

- Nie do końca.

- Tak?

- Może powinienem jeszcze postawić kropkę nad i.

- W jaki sposób?

Carter zauważył, że Randall wyszedł z budynku, poprawił krawat, a potem udał się na parking.

- Na przykład tak - odparł, obejmując ją i mocno do siebie przyciągając.

Całował ją tak, jakby nigdy nie miał przestać. Wargi miała ciepłe i miękkie.

Kiedy podniósł głowę, Jenna nie mogła złapać tchu.

- Och, mój ty szeryfie... - powiedziała.

Wyjrzał przez okno ponad jej ramieniem i dostrzegł zaskoczony wyraz twarzy Randalla.

- O co tu właściwie chodzi? - spytała.

- Daję komuś coś do zrozumienia. - Mrugnął do niej okiem.

- Udało ci się?

- Na pewno. Jedźmy.

Zapięła pas.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

- Jasne.

Wrzuciła bieg i ruszyła przez miasto, mijając teatr z plakatami now przedstawienia.

Burze śnieżne ustały w połowie grudnia i chociaż ośrodkom narciarskim nie brakowało gości, miasteczko spędziło święta w nastroju powszechnego

przygnębienia. Pierwszego stycznia Carter wyrzucił swój sprzęt do lodowej wspinaczki.

Usunął z domu wszystkie zdjęcia Carolyn, a z myśli wszelkie wspomnienia o żonie. Postawił nawet Wesowi Allenowi piwo w Lucky Seven. Allen wypił pilsnera, ale potem kazał Shane'owi „odpieprzyć się raz na zawsze” Mimo to Rinda, jak zawsze macierzyńska, usiłowała ich jakoś ze sobii po- dzić.

Scott przeniósł się do Portland w ślad za swoją dziewczyną. Rinda sprawiła sobie dwa psy i żółwia. Zdaniem Cartera bardziej by się jej przydał facet niż ta domowa menażeria. Uznał, że sama też pewnie wkrótce dojdzie do podobnego wniosku.

Teraz, dziewięć miesięcy po tych wydarzeniach, Jenna podjechała do stu- letniego, wiktoriańskiego domu, ozdobionego wykuszami, smukłymi wie- życzkami i szeroką werandą od frontu. Na niewielkim trawniku kępami rosła wysuszona trawa. Jenna spojrzała na zegarek.

- Lekcja już się chyba skończyła - powiedziała, zatrzymując samochód przy podjeździe, na którym zaparkowany był wóz Blanche Johnson, ale nie wyłączając silnika.

Allie, razem z Dani Settler, brała tu lekcje gry na pianinie. Kiedy jednak Jenna opuściła szybę, nie usłyszała zwykłych dźwięków muzyki sączącej się zza starych okien. Dzisiaj Dani miała jechać z Allie do domu Jenny i zostać tam na noc.

- Pewnie wyjdą za moment - powiedział Shane.

Jenna ponownie spojrzała na zegarek, kiedy podjechał Travis Settler parkował niedaleko furtki i pomachał im ręką. Uśmiechnął się z lekkim przy- musem, jakby nadal nie mógł Jennie darować, że wołała Cartera.

Z niewielkim pakunkiem podszedł do dżipa Jenny.

- Jadąc rano do szkoły, zapomniała śpiwora i prosiła, żeby go jej tu pod- rzucił.

- Mogliśmy po niego podjechać - powiedziała Jenna.

- I tak musiałem przyjechać do miasta. Chciałem przy okazji zamienić słowo z Dani. - Pociągnął nosem powietrze, - Czujecie dym? -

Spojrzał ponad dachem samochodu w stronę domu Blanche.

- Nie...

- Ja czuję-powiedział Shane, wysiadając z dżipa, żeby rozprostować nogi. Rozejrzał się wkoło, ale nie przejął się specjalnie tym dymem, bo wielu lu- dzi zaczynało już palić w kominkach i piecykach.

Jenna ponownie spojrzała na zegarek. Lekcja powinna była skończyć się już dobry kwadrans temu, a Allie nigdy nie chciała ćwiczyć gam ani sekundy dłużej niż trzeba.

- Zobaczą, co się dzieje.

Wysiadła z dżipa. Kiedy otwierała furtkę, poczuła ostry zapach dymu. Ale nie dymu z palącego się drewna.

- Pójdę z tobą- powiedział Carter, czując już, że coś jest chyba nie w porządku. Dreszcz lęku przeleciał po skórze Jenny, kiedy nacisnęła dzwonek i usłyszała kuranty rozbrzmiewające w starej budowli.

I wtedy zwróciła uwagę na drzwi.

Były uchylone.

Pewnie któraś z dziewczynek nie domknęła ich, wbiegając do środka.

Jenna weszła do domu i serce zaczęło jej mocno walić.

- Blanche. - zawołała. - Tu Jenna! - Korytarz był pusty. Ciemny. Żadnych dźwięków poza skrzypieniem starych belek. - Blanche? Allie?

Usłyszała za sobą kroki. Shane i Travis weszli za nią do środka.

- Co się dzieje? - spytał Travis. - Gdzie są dziewczynki?

- Nie mam pojęcia. - Poszła do saloniku, gdzie stało stare pianino. Ła weczka była przewrócona. Nuty walały się po podłodze. - Coś jest nie tak - szepnęła. - Allie! —krzyknęła i strach, ten sam ogłupiający strach, który czuła minionej zimy, objął ją żelaznym uściskiem.

- Jezu! - powiedział Travis, zagładając za kanapę. Zbladł jak kreda. - Dzwoncie po pogotowie.

- Co? - Jenna podbiegła pełna przerażenia. Shane już dzwonił z komórki. Za kanapą, w kałuży krwi plamiącej dywan, leżała Blanche Johnson. - Nie! O Boże, nie!

Blanche miała skórę białą jak kreda, rozczochrane włosy, szkliste, spoglądające przed siebie oczy. Jenna chwyciła się dłonią za szyję.

- Tylko nie to - szepnęła przejęta strachem.

- Szukajcie dziewczynek! - polecił Travis i wyciągnął rękę, żeby zbadać puls Blanche. Trwało to chyba wieki, zanim wreszcie przecząco pokręcił głową. - Spóźniliśmy się. Nie żyje.

Carter podszedł do zwłok. Przygarnął Jennę do siebie.

- Dzwoniłem pod numer alarmowy. Sajuż w drodze. - Zmrużył oczy i zbliżył się do ściany za pianinem. - Co to jest?

Jenna dopiero teraz zauważyła znaki na tapecie, wydrapane na niej gniewne słowa, namazane jakąś ciemną substancją, plamiącą wzór w wielkie n' i pędy winorośli:

Czas zapłaty.

- Co to, do cholery, znaczy? - spytał Travis głosem pełnym lęku.

Allie? Gdzie jest Allie?

Obróciwszy się, Jenna dostrzegła dym. Gęsty i czarny snuł się po koryta rzu od strony kuchni.

- Pożar! - krzyknęła. - Allie! Dani! - O Boże, gdzie one się podziały
Gorączkowo wybiegła do holu. Musiały jakoś stąd uciec. - Allie! - zawołał.
W oddali zabrzmiał jęk syreny.

Travis złapał wełniany pokrowiec ze stojącego obok fotela, zasłonił sobie usta i nos i pobiegł w kierunku dymu.

- Dani? Na miłość boską, jesteś tu? Dani!

Carter już wbiegał po schodach na piętro.

- Wyjdź z tego domu, Jenna!

- Nie ma mowy.

- One pewnie już są na zewnątrz!

Gdyby tylko mogła w to uwierzyć! Wołając córkę, otworzyła na oścież drzwi do schowka na ubrania. Pusto. Wbiegła do pokoju dziennego, do jadalni i spiżarni. Nic. Nad głową słyszała trzask płomieni i odgłos kroku Cartera.

Travis wycofywał się z kuchni z gaśnicą w rękach i krzyknął do niej przez ramię:

- W kuchni nie ma nikogo. Po prostu zapalił się tłuszcz.

Dom był pusty.

Kiedy przyjechała policja i straż pożarna, Shane zaprowadził Jennę do dżipa, osłaniając ją przed już zbierającym się tłumem. Wsiadła do samochodu i zauważyła, że ma dwie nowe wiadomości w telefonie. Obie od Allie. Odsłuchiwała je i łzy ulgi popłynęły jej z oczu.

- Allie czeka na nas w szkole - zwróciła się Trávisa. - Dani powiedziała jej, że dostała telefon od Blanche, która odwołała lekcję.

- A więc nic im nie jest - stwierdził uspokojony Travis. Wyjął własną komórkę i zadzwonił. Odczekał, zmarszczył brwi, a potem powiedział: Tu tata, oddzwoni do mnie. - Wyłączył telefon. Spojrzał na Shane'a. Nie odbiera.

Jenna już dzwoniła do Allie, która zgłosiła się natychmiast.

- Halo?

- Cześć, kochanie.

- Gdzie jesteś? - zapytała Allie. - Czekałam już tyle czasu!

- Jestem u pani Johnson. Nie dogadałyśmy się jakoś. Myślałam, że masz lekcję pianina, ale nie ruszaj się z miejsca, podjadę po ciebie za pięć minut.

Czy Dani jest z tobą?

- Nie.

- Nie? - Jenna zamarła. Przeraziła się. Spojrzała w oczy Trávisa. - A gdzie

jest?

- Nie wiem - burknęła Allie. - Wystawiła mnie do wiatru.
- Jak to, wystawiła cię do wiatru? - powtórzyła Jenna. - To do niej niepodobne. Co się stało?
- Mówiłam ci, że nie wiem. Na lunchu powiedziała mi, że lekcje pianina są odwołane i że spotka się ze mną po szkole. Ale jej tutaj nie ma. Nikogo tu nie ma.
- Już do ciebie jadę. Jesteśmy niedaleko szkoły. Nigdzie nie odchodź. Słyszysz mnie?
- Tak...
- Dani z nianie ma - powiedziała. - Jadę po Allie. Zaraz wrócimy.
- Pojadę z tobą- powiedział Shane.
- Nie powinieneś raczej wyjaśnić im, co się tu dzieje? - Ruchem brody wskazała policjantów. - Zaraz wrócę. Z Allie.
- Jedź już. Ja pojadę za tobą- powiedział niecierpliwie Travis.

Jenna ruszyła szybko i zauważyła, że Travis trzyma się tuż za nią. Trzy i pół minuty później wjeżdżali razem na parking pod szkołą.

Allie, z plecakiem na ramieniu, czekała w pobliżu wejścia do Szkoły Podstawowej Harrington. Minę miała bardzo niezadowoloną. Jenna wysiadła z dżipa, kiedy Allie ruszyła w jej stronę.

Travis wyskoczył z furgonetki i pobiegł przez parking.

- Gdzie Dani? - spytał ostro.
- Już mówiłam mamie, że nie mam pojęcia - odparła Allie, tracąc nieco swojej zwykłej buty. -Nie widziałam jej od lunchu.
- A ktoś inny ją widział?

Allie wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

- Zaczekajcie tu - przykazał.

Jenna objęła córkę.

- Zaczekamy - obiecała. Mimo prawie trzydziestostopniowego upału dygotała. Dobry Boże, co się stało? Gdzie się podziała Dani? Dlaczego ktoś miałby mordować Blanche? Czas zapłaty? Co to, do cholery, znaczyło?

Jej komórka zadzwoniła. Widząc na wyświetlaczu, że to Shane, uśmiechnęła się.

- Cześć - powiedziała, obserwując pusty parking.
- Cześć. Słuchaj, uważam, że powinnaś to wiedzieć. Instynkt mówi mi że to nie ma nic wspólnego z tobą ani z Allie. Cokolwiek się wydarzyło, ma związek z Blanche.
- No to czemu znikła Dani?
- Jeszcze nie wiem. Może to zbieg okoliczności, ale...

- Ale ty nie wierzysz w zbiegi okoliczności.
- Właśnie. Zajmiemy się tym - zapewnił ją. - Już zadzwoniłem do domu. Telefon odebrała Cassie. Nic jej nie jest.
- Właśnie sama miałam to zrobić. - Jenna poczuła ulgę, którą szybko przyćmiła myśl o Travisie i jego córce. Co stało się z Dani? Na pewno nic jej nie jest. To wszystko jakieś gigantyczne nieporozumienie.

Tyle że Blanche Johnson nie żyje.

Dzięki Bogu ma Shane'a. Silnego. Kochającego.

- Wszystko w porządku? - W jego głosie usłyszała niepokój.
 - Tak - odparła ze ściśniętym gardłem.
 - Dobrze. Zobaczymy się w domu. Przez parę godzin będę tu uwiązany potem ktoś mnie podrzuci.
 - Zadzwon do mnie, to po ciebie przyjadę. — Nie mogła się doczekać kiedy znów go zobaczy. Poczuję jego bliskość.
 - Może zadzwonię - powiedział, a potem dodał: - Kocham cię, wiesz?
 - Wiem. Ja też.
 - No to świetnie - powiedział. Jenna usłyszała, że ktoś już do niego mówi. - Słuchaj, Jenna, muszę kończyć.
 - Rozumiem.
 - Do zobaczenia.
 - Liczę na to, szeryfie - uśmiechnęła się, ale kiedy skończyła rozmowę w oczach zebrały jej się nagle, gorące łzy ulgi, domagające się ujścia. Spróbowała wziąć się w garść. Nie pora się rozklejać. Dziewczynki były bezpieczne. Jej życie z Shanem układało się lepiej, niż mogła o tym marzyć.
- A jednak nie przestawała zamartwiać się o Dani Settler. Gdzie ona podziała?

Travis otworzył drzwi na oścież i wbiegł do budynku szkoły. Korytarze były niemal puste. Żadnych roześmianych dzieciaków, żadnych nauczycieli tylko woźny pchający duży kosz na śmieci na kółkach jednym z korytarzy. W przeszklonym biurze za biurkiem siedziała sekretarka. Na nosie miała okulary, do ucha przyciskała słuchawkę telefonu i odczytywała coś z komputerowego wydruku. Podniosła oczy, kiedy go zobaczyła.

- O, pan Settler, miło pana widzieć. - Uśmiechnęła się do niego z przymusem. - Danielle nie pojawiła się na wychowaniu fizycznym, dzisiejszej ostatniej lekcji. Właśnie dzwoniłam do państwa do domu. Będzie potrzebowała jakiegoś usprawiedliwienia tej nieobecności...
- Jak to, nie pokazała się?

- Tak jak mówię. Pan Jarnison odnotował jej nieobecność i...
- No to gdzie ona jest? - spytał ostro. Krew dudniła mu w uszach.
- Właśnie miałam pana spytać o to samo. - Oczy za okularami zmieniły wyraz, zamiast poprzedniej obojętności pojawiła się troska.
- Po raz ostatni widziałem Dani, kiedy odwoziłem ją do szkoły dziś rano - powiedział. W myślach migwały mu scenki z udziałem Dani, niczym tasowana talia kart. Dani tuż po urodzeniu się, z łysą głową pokrytą puszką, z czerwoną twarzą, Dani jako trzylatka z figlarnym uśmiechem i burzą loków, Dani bez przednich mlecznych zębów w czasie Gwiazdki, kiedy miała siedem lat, Dani na pogrzebie matki... O Boże, gdzie ona przepadła?
- Chyba lepiej zadzwonię do dyrektora - powiedziała sekretarka. Rozłączyła się z numerem Trava i nacisnęła klawisz szybkiego wybierania. Dyrektor, policja, gwardia narodowa. Dzwonić, do kogo chcesz. Kątem oka Travis zauważył, że Jenna i Allie zwracają się w stronę biura. Obie miały niepokój wypisany na pobladłych twarzach i Trava Settlera ogarnęła rozpacz równie głęboka i mroczna jak samo piekło. Jenna i Allie weszły do biura. Jenna opiekuńczym gestem trzymała dłoń na ramieniu córki.
- No i co? - spytała.
- Nie wiem, gdzie jest - powiedział, przypominając sobie zwłoki Blanche Johnson, niezrozumiałą wiadomość wypisaną krwią na ścianie i ogień z tłustym, gęstym dymem. Z trudem przełknął ślinę i poczuł, jakby życie z niego uchodziło. Wszystkie jego największe lęki zmateriały się. Dotychczasowe życie dobiegło końca. - Moja córka zaginęła - dodał i wiedział już bez żadnych wątpliwości, że najgorszy koszmar jego życia dopiero się zaczyna.